

John Fowles

Larwa

(Tłumaczyła: Irena Doleżał-Nowicka)

Prolog

Przed wielu laty, nim zabrałem się do pisania tej książki, mała grupka podróżników bez twarzy, nie mając widomego powodu, zmierzała w mej wyobraźni do jakiegoś niezwykłego zdarzenia. Działo się to w odległej przeszłości, gdyż jechali konno przez jakieś pustkowie, a ja nic więcej nie widziałem prócz tego prymitywnego obrazu. Nie wiem, skąd się wziął, ani dlaczego uporczywie wydostawał się z mej podświadomości. Jeźdźcy nigdy nie dotarli do miejsca przeznaczenia, po prostu zmierzali przed siebie, przesuwali się jak splątana sekwencja filmu w projektorze albo pojedynczy wers, ostatni ślad utraconego mitu.

Larwa to wstępna faza uskrzydłonej istoty, podobnie jak napisany tekst (przynajmniej takie złudzenia żywi autor). Książka ta może się wydać powieścią historyczną, ale tak nie jest – to larwa.

John Fowles, 1985

Dawno temu późnym popołudniem ostatniego dnia kwietnia, daleko na południowym zachodzie Anglii samotna mała grupka podróżnych wolno przemierzała zagubioną w pustce wyżynę. Wszyscy jechali na koniach szlakiem prowadzącym przez wrzosowiska. Otaczała ich w tym ponurym krajobrazie, gdzie było zbyt wysoko, żeby w jednolitej szarości zachmurzonego nieba odczuć już wyraźny powiew wiosny, aura smutnej monotonii, nuda zarówno podróży, jak i pory roku. Torfiasty szlak przecinał bezmiar wyschłych wrzosów i niskich zarośli, a później, w dolinie o stromych zboczach, widniała mroczna ściana lasu, bezlistna, ale już w pąkach. Horyzont przed nimi ginął we mgle, a ubrania podróżujących dziwnym zbiegiem okoliczności były tak samo bez wyrazu. Dzień był bezwietrzny. W dali na zachodzie wąziutka smuga żółtego światła zwiastowała słabą nadzieję na lepszą pogodę.

Tę milczącą karawanę prowadził dwudziestoparoletni mężczyzna, w ciemnym brązowym płaszczu i trójgraniastym kapeluszu z brzegami ozdobionymi wąską srebrną wypustką. Brzuch i nogi jego gniadego konia, podobnie jak rumaków jego towarzyszy oraz ich ubrania były schlapane błotem. Wodze wypuścił z rąk, lekko pochylony patrzył na szlak przed sobą z takim wyrazem, jakby go nie widział. Nieco za nim podążał stary mężczyzna na mniejszym, lecz masywniejszym koniu. Miał na sobie ciemnoszary płaszcz i zwyczajny czarny kapelusz; on także nie patrzył ani w lewo, ani w prawo, tylko czytał z małej książeczki, którą trzymał w wolnej ręce, pozwalając swemu łagodnemu wierzchowcowi wybierać drogę. Za nim na dorodnej klaczy siedziało dwoje ludzi. Mężczyzna z gołą głową, w bluzie z długimi rękawami, w cienkiej wełnianej kamizeli i skórzanych bryczesach długie włosy miał związane w węzeł. Przed nim oparta bokiem o niego siedziała młoda kobieta, którą przytrzymywał prawą ręką. Była tak mocno otulona brązową peleryną z kapturem, że widać jej było tylko oczy i nos. Za tych dwojgiem prowadzony na lince szedł juczny koń. Dźwigał drewnianą ramę ze sporą skórzaną walizą, przywiązaną do jednego boku, a do drugiego umocowana była mniejsza drewniana skrzynia, opasana mosiężnymi listwami i okuciami. Pod siatką ze sznura widać było worki i toboły. Przeciążone zwierzę człapało ze spuszczonego łbem, nadając tempo pozostałym jeźdźcom.

Choć jechali w ciszy, zostali jednak zauważeni. Niebo nad doliną, gdzie wysoko w górze strome zbocza przechodziły w skały i niewielkie klify, rozdarła nagle ponura wrzawa głosów skarżących się na zakłócenie spokoju. Te skargi i groźby pochodziły od wielkiego stada zaniepokojonych kruków, które w owych czasach nie były taką

rzadkością jak teraz; można było spotkać je nawet w miastach, a we wsiach tworzyły wielkie gromady. Choć ich czarne plamki wysoko szybujące w powietrzu i zataczające kręgi znajdowały się chyba o milę, było coś przerażającego w ich czujnej wrogości. A ci, którzy właśnie podróżowali tego dnia, mimo różnic, jakie ich dzieliły w wielu innych sprawach, kruki uważali za ptaki złowróżbne i wszystkich w głębi duszy przerażał ten skrzeczący wrzask.

Można by przypuszczać, że dwóch jeźdźców na przedzie i przypadkowo spotkany rzemieślnik z żoną trzymają się razem na tym odludziu ze względu na bezpieczeństwo. Że taka jest przyczyna, a nie kruki, świadczył wygląd pierwszego mężczyzny. Spod jego płaszcza widać było rękojeść szpady, zaś duża wypukłość pod fałdami u drugiego boku świadczyła bez wątpienia, że do siodła jest przymocowany pistolet. Rzemieślnik także miał okuty miedzią pistolet w olstrze, łatwy do wyciągnięcia zza siodła, do bagaży zaś w siatce, dźwiganych przez jucznego konia, przywiązany był długolufowy muszkiet. Tylko starszy, drugi z kolei, jeździec, nie był chyba uzbrojony. I właśnie to on jak na owe czasy był wyjątkiem. Obaj dzentelmeni, gdyby się przypadkowo spotkali, z pewnością rozmawialiby, jadąc obok siebie, na co pozwalała szerokość drogi. Ale ci dwaj nie zamienili nawet słowa, milczeli również kobieta i mężczyzna za nimi. Jechali, jak gdyby każdy był zatopiony w swoim własnym świecie.

Wreszcie szlak zaczął ukośnie schodzić w dół, w kierunku rosnącego poniżej lasu. Po około mili las ustępował miejsca polom uprawnym, a jeszcze dalej – tam, gdzie dolina przechodziła w następną dolinę – w delikatnym welonie dymu można było dostrzec ciemną plamę domów i górującą nad nimi wieżę kościelną. Na zachodnim niebie przez niewidoczną szczelinę w chmurach zaczęły się przebijać bursztynowe smugi, co zapewne u innych podróżnych wywołałoby jakieś komentarze i ożywiło nastrój, ale ci wcale na to nie zareagowali. Nagle na drodze, w miejscu gdzie zanurzała się w drzewa, pojawił się jeździec, zmierzając naprzeciw podróżnym. Na głowie miał coś, co przypominało dragoński kapelusz, a nieco wypłowiała szkarłatna kurtka jeździecka ożywiła nagle wszechobecną szarzyznę. Był to wąsaty, dobrze zbudowany mężczyzna w nieokreślonym wieku. Długi kord za siodłem i masywna kolba garłacza wyzierająca z pochwy zdawały się wyraźnie świadczyć o jego profesji, tak samo jak to, że kiedy ujrzał jeźdźców, uderzył obcasami konia i ruszył szybszym truchtem pod górę, jakby chciał ich zatrzymać. Tymczasem oni nie okazali ani strachu, ani podniecenia. Tylko starszy mężczyzna, który czytał, zamknął spokojnie

książkę i wsunął ją do kieszeni płaszcza. Nowo przybyły ściągnął wodze o jakieś dziesięć jardów przed młodzieńcem na przedzie, dotknął runda kapelusza i zawrócił konia, żeby jechać obok. Coś potem powiedział, a młodzieniec skinął głową, nawet nie patrząc na niego. Nowo przybyły znowu dotknął runda kapelusza i czekał, żeby jadąca na jednym koniu para wyprzedziła go i zatrzymała się, wtedy on pochylił się i z kółka z tyłu siodła odwiązał linkę, na której prowadzony był juczny koń. Również teraz nie padło żadne słowo. Wtedy ten w szkarłatnej kurtce zajął miejsce na końcu procesji, prowadząc jucznego konia i wnet stał się częścią tej karawany, jakby zawsze jej towarzyszył – jeszcze jeden milczący fragment obojętnej reszty.

Wjechali w bezlistny las. Szlak opadał coraz bardziej, stawał się trudniejszy, ponieważ w czasie zimowych deszczy był łożyskiem potoku. Coraz częściej rozlegał się stukot metalowych podków o kamienie. W pewnej chwili dotarli do parowu, którego strome zbocze tworzyły na poły ukryte w ziemi skalne bloki, gdzie nawet zejście pieszo byłoby trudne. Jadący na czele młodzieniec zdawał się nie widzieć tego, choć koń zawahał się, nerwowo wybierając drogę. Nagle jedna z jego tylnych nóg obsunęła się i przez chwilę zdawało się, że upadnie, przygniatając jeźdźca. Ale jakoś i koń, i chwiejący się człowiek utrzymali równowagę. Zjeżdżali teraz trochę wolniej, czasem znowu się ześlizgując z głośnym stukotem podków, aż wreszcie dotarli do równiejszego terenu. Koń cicho zarżał. Przewodnik jechał, nie oglądając się nawet, żeby sprawdzić, jak inni dają sobie radę.

Starszy człowiek zatrzymał się i spojrzał na jadącą za nim parę. Młody mężczyzna zatoczył palcem kółeczko w lewą stronę i wskazał na ziemię: trzeba zejść z koni i prowadzić je. Ten w szkarłatnej kurtce, jadący całkiem z tyłu, doświadczony we wspinaczce pod górę, już zsiadł i przywiązywał jucznego konia do wystającego korzenia obok drogi. Starszy człowiek też zsiadł. Potem ten, który jechał za nim, zeskoczył z przedziwną zręcznością, najpierw uwalniając się z prawego strzemienia, następnie przerzucając nogę nad kłębem konia, jednym płynnym rzutem ciała ześliznął się na ziemię i wyciągnął ramiona w stronę kobiety, która mocno pochyliła się, żeby ją złapał, a on uniósł ją i postawił na drodze.

Starszy mężczyzna ostrożnie schodził zboczem wąwozu, prowadząc swego przysadzistego konia, za nim szedł ten z gołą głową, w wełnianej kamizeli, też prowadząc konia. Idąca z tyłu kobieta uniosła nieco spódnicę, chcąc lepiej widzieć drogę, wreszcie pochód zamykał mężczyzna w wyblakłej szkarłatnej kurtce. Na dole wodze swego wierzchowca dał do potrzymania temu w kamizeli, a sam zawrócił i

powoli się wspinając, wrócił po juczną klacz. Starszy człowiek z trudem dosiadł znowu konia i ruszył. Kobieta odsunęła kaptur peleryny i rozluźniła białą opaskę zasłaniającą dolną część twarzy. Bardzo młoda, blada, jeszcze dziecinna, na głowie miała płaski kapelusz z łyka, spod którego widać było mocno ściągnięte ciemne włosy. Przymocowane do jego boków związane pod brodą wstążki przylegały do policzków, tworząc jakby czepek. Takie płaskie kapelusze były wówczas noszone w Anglii przez wszystkie uboższe wieśniaczki. Spod rąbka peleryny wystawał biały fartuch. Najwidoczniej była służącą.

Rozwiązując u góry pelerynę i wstążki kapelusza, szła skrajem drogi nieco na przedzie i schylała się, ilekroć dojrzała na zboczu kwitnące właśnie fiołki. Jej towarzysz patrzył na pochylone plecy dziewczyny, na delikatne ruchy dłoni, kiedy lewą ręką rozgarniała zielone w kształcie serca listeczki, żeby zerwać małe kwiatki, w prawej trzymając mały bukiet. A minę miał, jakby nie rozumiał, dlaczego ona to robi.

Jego twarz była dziwnie nieprzenikniona, nie zdradzała, czy ten brak wyrazu świadczy o głupocie nieuka, czy o bezmyślnej akceptacji losu, niewiele różniącego się od losu dwóch koni, które trzymał, a może ukrywał głębsze purytańskie potępienie tej ładnej młodej dziewczyny, która marnowała czas, zrywając kwiaty. Przy tym była to twarz uderzająco regularna, o dobrych proporcjach, co w połączeniu z widoczną zręcznością, harmonijną budową ciała i siłą przydawało zaskakujących klasycznych, apollińskich cech temu nisko urodzonemu człowiekowi, nie mającemu nic wspólnego z Grecją. Przede wszystkim zwracały uwagę jego oczy: niebieskie, tak puste, jakby nie widzące, chociaż było jasne, że tak nie jest. Pogłębiały one wrażenie owej pustki, gdyż nie zdradzały cienia żadnych uczuć, jakby ich właściciel duchem przebywał gdzieś indziej. Tak mogą patrzeć bliźniacze soczewki aparatu filmowego, ale nie normalne ludzkie oczy.

Po chwili dziewczyna wyprostowała się i wróciła do niego, wachając małe bukiet, potem wyciągnęła w jego kierunku fioletowe kwiatki z pomarańczowymi i srebrnymi plamkami, żeby i on je powąchał. Ich spojrzenia przez chwilę się spotkały. Ona miała oczy całkiem zwykłe, po prostu piwne, trochę wyzywające i figlarne, choć się nie uśmiechała. Podsunęła mu pod nos bukiet. Wciągnął głęboko zapach i skinął głową, lecz zaraz jakby chcąc nadrobić stratę czasu, odwrócił się i wsiadł na swego wierzchowca z tym samym wdziękiem i zręcznością jak poprzednio, nadal trzymając w ręku wodze drugiego konia. Gdy siedział już w górze, dziewczyna obserwowała go

przez chwilę, zawiązując ciasniej płócienną opaskę, tak by zakryła jej usta. Fiolki starannie schowała za rąbek białego materiału, blisko nozdrzy.

Mężczyzna w jeździeckiej kurtce poszedł nieco wyżej z juczną klaczą, zatrzymał się chwilę i zasłonięty przez konia oddał mocz, po czym wziął wodze swojego konia od mężczyzny w wełnianej kamizeli i ponownie przywiązał linkę. Dziewczyna stała wyczekująco przy damskim siodle, wtedy najwyraźniej zgodnie z rytuałem wojskowy podszedł do niej, po czym schylił się i splótł palce rąk tak, że utworzyły jakby strzemię. Dziewczyna lewą stopę umieściła w jego dłoniach, prawą odbiła się od ziemi i lekko została uniesiona na swoje miejsce, obserwowana obojętnie przez mężczyznę w kamizeli. Spojrzała w dół, bukiet fiołków pod jej nosem wyglądał jak absurdalne wąsy. Mężczyzna w szkarłatnej kurtce wskazującym palcem dotknął runda kapelusza i porozumiewawczo mrugnął okiem. Odwróciła wzrok. Jej towarzysz widząc to, nagle uderzył piętami w boki konia, który natychmiast ruszył ociężałym klusem, po czym nagle ściągnął gwałtownie wodze do tyłu, tak że dziewczyna mocno się oparła o niego plecami. Z pięściami zaciśniętymi na udach mężczyzna w wojskowej kurtce chwilę obserwował, jak jechali, zrobił parę kroków, a potem dosiadł swego konia i ruszył za nimi.

Gdy przez zalesiony teren zjeżdżali krętą ścieżką w dół, rozległ się jakiś słaby dźwięk. To śpiewała młoda kobieta, a właściwie cicho nuciła melancholijną starą ludową piosenkę *Dafne*. Przerwanie dotychczasowej ciszy przez ludzki głos zdawało się niemal zuchwalstwem. Mężczyzna zamykający orszak podjechał bliżej, żeby lepiej słyszeć śpiew. Oprócz tego słychać było stukot kopyt, od czasu do czasu chrzęst skóry, cichutki brzęk metalu, szum spadającej w dole wody i trele drozda niosące się gdzieś z doliny, tak samo ledwie słyszalne, urywane jak stłumiony głos dziewczyny. Przez nagie gałęzie w górze, tam, gdzie zachodnie słońce przedarło się przez szczelinę w chmurach, rozblysło świetliste złoto.

Naraz wszystkie dźwięki przesłonił szum wody. Chwilę jechali nad szybkim, wartkim strumieniem, gwałtownie płynącym od strony wrzosowisk, obramowanym bujną zielonością. Było tu więcej fiołków, dzikiego szczawiu, paproci, rosły też kępy pierwiosnków, szmaragdowe młode sitowie i trawa. Dotarli do małej polanki, gdzie szlak schodził wprost nad strumień i skręcał w wodę, spokojniejszą w tym miejscu, gdyż był to bród. Na drugim brzegu, zwróceniu do nich twarzą, czekali dwaj mężczyźni, którzy jechali na przedzie, i było teraz oczywiste, że to panowie czekają na spóźnionych służących, maruderów. Starszy, ten na drugim planie, zażył tabaki.

Dziewczyna przestała śpiewać. Trzy konie, rozpryskując wodę, przeszły obok kamieni ułożonych dla pieszych, wyszukując drogę wśród otoczków oblewanych wartko płynącą wodą. Młodszy mężczyzna popatrzył na dziewczynę, na jej „wasy” z fiołków, z takim wyrazem twarzy, jakby ją obwiniał za opóźnienie. Ona nie spojrzała nawet na niego, ale przytuliła się do swego towarzysza, który otoczył ją ramionami, żeby nie straciła równowagi. Dopiero kiedy wszystkie trzy konie oraz ładunek znalazły się bezpiecznie na drugim brzegu, młodszy mężczyzna zawrócił konia i ruszył w drogę w tym samym porządku jak przedtem i w takim samym jak poprzednio milczeniu.

Po kilku minutach złożona z pięciu osób ponura kawalkada wyjechała z drzew i znowu znalazła się na otwartej przestrzeni, gdyż tutaj dno doliny znacznie się rozszerzało. Droga prowadziła lekko w dół wzdłuż wąskiej długiej łąki. W owych dniach to owce na zachodzie Anglii zdominowały rolnictwo i dlatego rozległe pastwiska zajęły duże obszary uprawnej ziemi. Wielkie stuakrowe wybiegi dla owiec były o wiele częściej spotykane wśród uprawnych krajobrazów niż dzisiejsze obrośnięte żywopłotami pasma niewielkich poletek. W dali można było dostrzec małe miasteczko i wieżę kościelną, którą widzieli z wrzosowiska. Kilka stad owiec pasło się na łące, którą mieli przed sobą, i tyłuż było pasterzy, monolitycznych postaci w kapotach z brązowego szorstkiego sukna, dzierżących zakrzywione kije jak pierwotni biskupi. Koło jednego z nich hasało dwoje dzieci. Ich owce rasy Exmoor były mniejsze i chudsze niż współczesne owce i miały gęste zwarte runo. Po lewej stronie podróżników, gdzie wzgórze schodziło aż do dna doliny, stała zagroda z dużych kamieni i nieco dalej następna.

Młodzieniec na czele ściągnął lekko wodze, tak że jego starszy towarzysz zrównał się z nim, i od tego momentu jechali obok siebie, nadal jednak w całkowitym milczeniu. Dzieci przebiegły przez wyskubaną przez owce krótką trawę, żeby przed jeźdźcami znaleźć się obok szlaku, i czekały tam z przejęciem, niczym na istoty z bajki, a nie na rzeczywistych ludzi. Te zapatrzone bose dzieci, chłopiec i dziewczynka, nie uczyniły żadnego powitalnego gestu, ich również nikt nie pozdrowił. Młodszy mężczyzna zignorował je całkowicie, starszy jedynie spojrzał na nie przelotnie. Służący na podwójnie obciążonym koniu postąpił tak samo, nie zwracając na nie uwagi. Mężczyzna w szkarłatnej kurtce próbował mimo tak małego audytorium przybrać bardziej godną postawę. Wyprostował się, patrząc bystro przed siebie, jak przystało na kawalerzystę. Tylko młoda kobieta uśmiechnęła się, patrząc z góry na małą dziewczynkę.

Przez prawie trzysta jardów dzieci to szły, to biegły obok podróżnych. Nagle chłopiec wyskoczył naprzód, gdyż drogę zagrażała brama i ściana żywoplotu. Odsunął rygiel i pchnął wrota, stając przy nich z wyciągniętą ręką. Starszy człowiek chwilę szukał w kieszeni swego płaszcza, po czym rzucił drobną monetę. Chłopiec i dziewczynka skoczyli za nią, gdy toczyła się po ziemi, ale chłopiec był szybszy. I znowu stanęli z wyciągniętymi rękami, dłońmi ku górze, pochyliwszy głowy. Kiedy kawalkada mijała je, młoda kobieta wzięła w lewą rękę swój bukiet i rzuciła go dziewczynce. Przeleciał nad jej opuszczoną, zapewne zawieszoną głową i spadł na ziemię. Dziecko spojrzało na fiołki zdumione tym niezrozumiałym niepotrzebnym darem.

W kwadrans później piątka jeźdźców dotarła do krańców małego miasteczka C. Było ono uważane za miasto tylko dlatego, że liczyło paręset więcej mieszkańców niż któraś z otaczających wsi na tym słabo zaludnionym terenie; oczywiście nie odpowiadało współczesnemu pojęciu miasta; było też miastem dlatego, że czterysta lat temu w bardziej pomyślnych, pełnych nadziei czasach przyznano mu na mocy nadania statut, dzięki któremu nadal (co za absurd) ospały burmistrz wraz z nieliczną radą miejską mógł wybierać posłów do parlamentu. Szczyciło się ono kilkoma kupcami i rzemieślnikami, cotygodniowym targiem, gospodą (oprócz kilku pijalni piwa i cydru), a nawet odwieczną szkołą średnią, jeśli można nazwać szkołą miejsce, gdzie jeden stary nauczyciel, a zarazem skryba parafialny uczy siedmiu chłopców; tak więc po prostu była to wieś.

Istotnie majestatyczna ze stromym dachem i blankami wieża tutejszego średniowiecznego kościoła mogła jednak wprowadzić w błąd; strzegła teraz o wiele mniej zasobne i prężne miasto, będące przeciwieństwem tego, które ją zbudowało prawie trzysta lat temu, i była raczej zabytkiem niż symbolem aktualnego dostatku. Na stałe nie mieszkał tu nikt z ziemiaństwa, chociaż znajdował się rozległy dwór. Leżące na uboczu C, podobnie jak wiele tego rodzaju miejscowości w Brytanii, nie miało roгатki, gdzie by pobierano opłatę wjazdową, nie miało też przyzwoitej drogi. Poza tym w okolicy nie było żadnych atrakcji, zważywszy na to, iż był to wiek, w którym pojęcie piękna przyrody – dla nielicznych, którzy potrafili sformułować takie pojęcie – ograniczało się wyłącznie do francuskich albo włoskich sztucznych ogrodów, zaprowadzonych we własnym kraju, albo do ogołconych i pedantycznie uporządkowanych dzięki sztuce ogrodniczej klasycznych krajobrazów na wzór podobnych w Europie Południowej.

Nawet wykształcony podróżnik angielski w rodzimych dzikich krajobrazach nie widział wtedy nic romantycznego czy malowniczego, a już na pewno nie w zaludnionych ciasno miasteczkach takich jak C. Wszystko tu było nędzne, niegodne uwagi kogoś, kto miał pretensje do dobrego smaku. Epoka ta nie darzyła uznaniem nie podporządkowanej lub pierwotnej natury, której drapieżna żywotność przypominała o upadku człowieka, o jego wygnaniu z rajskiego ogrodu; zwłaszcza odrażająca była w swej bezużyteczności dla opętanego chęcią zysku narodu purytanów, który stał na progu wielkiego rozkwitu handlu. Nie interesowano się wówczas starożytnością (z wyjątkiem nielicznych książkowych moli i uczonych), najwyżej tylko Grecją i Rzymem; nawet nauki przyrodnicze, takie jak botanika, choć od dawna istniejące, pozostały w swej istocie wrogie dzikiej naturze, uważając ją za coś, co należy oswoić, sklasyfikować, używać i eksploatować. Wąskie, ciasno zabudowane ulice i zaułki oraz domy w stylu Tudorów takich miast świadczyły o przedpotopowym barbarzyństwie, jakiego my dziś możemy doświadczyć tylko w którymś z prymitywnych obcych krajów... może w afrykańskiej wiosce albo na arabskim suku.

Gdyby dwudziestowieczny człowiek mógł cofnąć się w czasie i mieć wrażliwość i oczy tych dwóch należących do lepszej klasy społecznej podróżnych, wjeżdżających tego dnia do miasta, czułby się zaskoczony albo uspokoiony tym dziwnym zastojem czasu i ducha, który się rodzi, gdy Klio zatrzymuje się i drapiąc się w swoją rozczochraną głowę, myśli, gdzie by, u licha, uciec. Ten ostatni dzień kwietnia przypadł w roku równie bliskim roku 1689, kulminacji rewolucji angielskiej, jak i roku 1789, początku rewolucji francuskiej. Można było to nazwać drzemającą, przesileniową ciszą, bezruchem przepowiadany przez współczesnych, którzy widzą ewolucję jako równowagę pomiędzy tymi dwoma zenitalnymi datami i tym, co one reprezentują; w czasach reakcji na nie opanowane krańcowości poprzedniego wieku, kiedy jednak już kielkują nasiona (może nawet w tym groszu i niedbale rzuconych fiołkach) nadchodzących zmian. Z pewnością Anglia pogrążona była w swojej odwiecznej narodowej manii, którą było zapadanie się w głąb siebie i łączenie w zapiekłej nienawiści do wszelkiego rodzaju zmian.

Jednak jak w wielu pozornie martwych okresach historii nie był to całkiem zły czas dla sześciu milionów (czy coś koło tego) Anglików, mimo iż bardzo skromnie żyli. Dwoje żebrzących przy drodze dzieci miało obszarpaną, połataną odzież, ale widać było, że nie są zagłodzone i że nie głodują. Zarobki były teraz większe niż w minionych

wiekach i miały takie pozostać przez prawie dwa następne stulecia. Istotnie, czas wyraźnie sprzyjał hrabstwu Devon. Jego porty, statki, miasta i wsie żyły i w większości rozwijały się tak jak w ubiegłej połowie millenium dzięki jednemu ważnemu artykulowi: wełnie. Jednak w ciągu następnych siedemdziesięciu lat przemysł ten miał być najpierw stopniowo zdławiony, a w końcu całkowicie unicestwiony na skutek powszechnej zmiany gustu Anglików, którzy woleli lżejsze materiały, oraz wskutek przedsiębiorczości północnej Anglii, na szczęście jednak w tym czasie połowa Europy, a nawet kolonialna Ameryka oraz carska Rosja nadal kupowały i nosiły ubrania z sukna z hrabstwa Devon, ze słynnego serżu i perpetuany.

O rozwoju przemysłu sukienniczego w C. świadczyły prawie wszystkie otwarte drzwi i okiennice pokrytych strzechą domów; wszyscy tu przędli, kobiety, mężczyźni, dzieci. Mieli tak wprawne ręce, że pracując mogli swobodnie ze sobą rozmawiać. Jeśli nie przędli, zajmowali się czyszczeniem, gręplowaniem i czesaniem owczego runa. Od czasu do czasu z ciemnego wnętrza dobiegał stukot warsztatu tkackiego, ale zdecydowanie królowało przędzenie. Mechaniczne przędzarki miały wejść w użycie dopiero kilkadziesiąt lat później, a w tym dawnym rękodzielniczym procesie wąskim gardłem było zawsze wytworzenie przędzy, na którą nienasycone zapotrzebowanie miały wielkie tkalnie i wykańczalnie ośrodków handlowych takich jak Tiverton czy Exeter oraz bogaci handlarze sukna. Jednak podróżnicy nie widzieli nic malowniczego ani interesującego w tym nie kończącym się pedałowaniu, w rozpędzonych kołowrotkach i ostrym zapachu surowej wełny. W całym kraju przemysł ten opierał się na systemie domowym. Ale pogarda lub ślepotą zostały odpłacone w inny sposób. Jeźdźcy musieli znacznie zwolnić, gdyż przed sobą mieli jadący powoli wóz zaprzężony w woły, który blokował całą szerokość drogi; przędący w drzwiach ludzie, przechodnie na ulicy oraz inni domownicy zwabieni do okien i na progi stukotem kopyt końskich dawali wyraz swej wrogości. Podobnie jak dzieci pasterza patrzyli na obcych z niechęcią, jakby byli niegodni ich zaufania. Tak oto rodziły się polityczne i klasowe uczucia wrogości, które objawiały się już pięćdziesiąt lat przedtem w sąsiadujących hrabstwach Somerset i Dorset, gdzie prawie połowa zwolenników rebelii Monmoutha¹ wywodziła się z przemysłu sukienniczego;

¹ James Scott Monmouth (1649-1685), książę, pretendent do tronu Anglii, naturalny syn Karola II, po śmierci ojca przybył do Kornwalii, ogłosił się królem; jego oddziały uległy wojskom Jakuba II pod Sedgemoor; został schwytyany i ścięty (przyp. tłum.).

większość pozostałych pochodziła z ośrodków rolniczych, a niemal nikt z miejscowego ziemiaństwa. Byłoby jednak błędem mówić o duchu związków zawodowych czy nawet o solidarności tłumu, co w owym czasie występowało w większych miastach i czego obawiano się. Była to zapiekła niechęć do tych, którzy nie żyli w świecie podległym bez reszty przemysłowi tkackiemu.

Obaj jadący na przedzie mężczyźni unikali obserwujących oczu, a ich wyniosła powaga gasiła w zarodku pozdrowienia, jakiegokolwiek pytania czy komentarze. Młoda kobieta od czasu do czasu nieśmiało rozglądała się na boki, a jej zakryta twarz budziła zdumienie miejscowych ludzi. Tylko zamykający kawalkadę mężczyzna w wypłowiałej szkarłatnej kurtce wydawał się zwykłym podróżnikiem. Na spojrzenie odpowiadał spojrzeniem, a nawet uchylił kapelusza na widok dwóch dziewcząt stojących w progu jednego z domów.

Nagle jakiś chłopak w fartuchu wypadł z glinianego podcienia wspierającego pochyloną ścianę którejś z chat i pomachał w stronę mężczyzny o wojskowej posturze wiklinowym kołem, do którego przyczepione były martwe ptaszki. Uśmiechał się jak prostak, na poły żartowniś, na poły wiejski idiota.

– Pan kupi? Pensa za wszystkie!

Ktoś go odsunął na bok, ale nie ustępował, ciągle wymachując kołem z ptaszkami, z których każdy miał przebitą szyję, a ich czerwono-brunatne piersi i czarne łebki były skierowane w stronę jeźdźca. Za gile dobrze wtedy płacono.

– Dokąd jedziecie, panie?

Mężczyzna w szkarłatnej kurtce jechał chwilę w milczeniu, a potem rzucił odpowiedź przez ramię:

– Do pcheł w waszej cholernej gospodzie.

– A po co?

Jeździec znowu zwlekał z odpowiedzią, ale tym razem nie odwrócił głowy:

– Nie twoja sprawa.

Wóz zaprzężony w woły skręcił wreszcie na podwórze kowala i jeźdźcy mogli przyspieszyć tempo. Po stu jardach znaleźli się na otwartym placu, wybrukowanym zniszczoną granitową kostką. Choć słońce już zaszło, niebo na zachodzie wyraźnie się rozjaśniło. Różane smugi szybowwały w złocistym świetle, barwiąc sklepienie ametystowymi plamami. Wyższe i bardziej okazałe domy otaczały plac targowy i jego centralną budowlę – dużą szopę z otwartym jednym bokiem, zbudowaną z mocnych dębowych desek, i ze stromo sklepionym dachem, w której mieściły się kramy

sukiennika, siodlarza, kupca kolonialnego, aptekarza i cyrulika-chirurga, który tutaj pełnił funkcję konsyliarza i skórnika. W głębi placu poza szopą z kramami stała grupa ludzi. Byli skupieni wokół leżącego na ziemi długiego drewnianego słupa – najważniejszego symbolu mających się odbyć następnego dnia uroczystości ku czci wiosny – który właśnie ozdabiali barwnymi chorągiewkami.

W pobliżu podpór podtrzymujących dach szopy z kramami hałasowały gromady dzieci. Grały w prymitywny baseball, a także bawiły się w berka. Współcześni miłośnicy baseballu byliby zaszokowani faktem, że brały w nim udział przeważnie dziewczynki (i zapewne również wiadomością, że tradycyjną nagrodą dla najlepszych nie był milionowy kontrakt, ale porcja puddingu). Grupa starszych chłopców, wśród nich także kilku mężczyzn, trzymając w ręku krótkie pałki w kształcie maczugi wystrugane z gałęzi ostrokrzewu i głogu, kolejno rzucała nimi w przypominający ptaka wypchany kawałek czerwonego materiału, oparty o ścianę szopy. Dla podróżnych był to widok swojski; oto uprawiano szlachetny, starodawny i powszechny angielski sport jutra, czyli zabijanie kogutów rzucając w nie ciężkimi kijami lub krążkami. Tradycyjną porą tej dyscypliny były ostatki, jednak tutaj była równie popularna jak walki kogutów wśród ziemiaństwa i dlatego oddawano się jej również z okazji innych świąt. Wkrótce zamiast czerwonej kukły miały być wykorzystywane żywe ptaki, a ich krwią miał spływać bruk. W osiemnastym wieku człowiek był prawdziwym chrześcijaninem w swoim okrucieństwie wobec zwierząt. Czyż to nie bluźnierczy kogut zapiał trzy razy, radośnie głosząc każde zaparcie się apostoła Piotra? Czyż zatem nie jest rzeczą chwalebłą zatłuc na śmierć jego potomków?

Obaj mężczyźni ściągnęli wodze, jakby nieco zaskoczeni, tym nieoczekiwanym przedstawieniem. Ci, którzy ćwiczyli rzucanie pałkami w koguty, nagle zaniechali tej rozrywki, również dzieci przestały się bawić. Młodszy mężczyzna odwrócił się do tyłu i spojrzał na jeźdźca w szkarłatnej kurtce. Ten wskazał palcem północny kraniec placu, gdzie stał zniszczony kamienny dom, na którym wisiała drewniana tablica z prymitywnie namalowanym czarnym jeleniem, druga taka sama znajdowała się nad bramą prowadzącą do stajni.

Kawalkada ze stukotem kopyt jechała teraz przez nieco wybruszony plac. Nawet „majowy słup” został zapomniany z racji przyjazdu jeźdźców. To interesujące wydarzenie zgromadziło mały orszak towarzyszący podróżnym aż do gospody, było sześćdziesiąt, a może nawet siedemdziesiąt osób. Kiedy mieli zsiąść, młodszy

mężczyzna uprzejmym gestem poprosił swego starszego towarzysza, żeby uczynił to pierwszy. Rumiany mężczyzna z wydatnym brzuchem wyszedł na ganek, a za nim służąca i młody chłopak – pomocnik szynkarski, wreszcie z podwórza dołączył do nich kulejący stajenny, który przytrzymał konia starszego mężczyzny, kiedy ten zsiadał zeszywniały. Tymczasem chłopak pomógł jego towarzyszowi. Gospodarz skinął głową na powitanie.

– Witam, sir. Puddicombe, do usług. Mamy nadzieję, że podróż była dobra.

W odpowiedzi starszy mężczyzna spytał:

– Czy wszystko gotowe?

– Tak jak ustalił pański człowiek, sir. Co do joty.

– No, to pokażcie nam nasze pokoje. Jesteśmy bardzo zmęczeni.

Gospodarz odsunął się na bok, przepuszczając obu mężczyzn, ale ten młodszy chwilę zwlekał, spoglądając na pozostałe trzy konie oraz ich jeźdźców, którzy skierowali się na podwórze gospody. Starszy mężczyzna spojrział na niego, potem na gromadę gapiów i powiedział stanowczo, nawet z pewnym rozdrażnieniem:

– Chodź, siostrzeńcze. Przestańmy być widowiskiem dla gapiów. – To mówiąc, wszedł do gospody, a młody mężczyzna podążył za nim.

W najlepszym pokoju na piętrze wuj i siostrzeniec właśnie skończyli wieczerzę. Zapalono świece w kinkiecie koło drzwi oraz trzy w cynowym kandelabrze na stole. W dużej starej izbie na kominku płonął ogień z jesionowych polan, a lekko gorzki drażniący dym był tłem dla ruchomych cieni. Wielkie łóżce o czterech kolumnach z zaciągniętymi zasłonami stało wezgłowie dosunięte do ściany naprzeciw ognia; obok znajdowała się umywalnia z dzbankiem i miednicą. Przy oknie stał drugi mniejszy stół i krzesło. Dwa stare obite skórą fotele, zniszczone przez korniki, stały po obu stronach kominka, a długa siedemnastowieczna ława u stóp łóżca. Ot, całe umeblowanie. Okiennice były zaryglowane. Na gołych ścianach, bez makat, rysunków czy obrazów, oprawiony w ramy wisiał nad kominkiem sztych z wizerunkiem przedostatniej monarchini, królowej Anny, oraz małe zmatowiałe lustro na ścianie z kinkietem.

Koło drzwi stała otwarta skórzana waliza, ukazując ubrania, oraz obita mosiężnymi listwami drewniana skrzynia. Tańczące światło ognia i gra cieni do pewnego stopnia tuszowały pustkę pokoju, a stara sięgająca do połowy wysokości ścian boazeria i pozbawiona dywanu, jednak wyfroterowana, podłoga z szerokich desek dawały poczucie przytulności.

Siostrzeniec nalał sobie do kieliszka madery z biało-niebieskiego porcelanowego dzbanka i podszedł do ognia, wpatrując się weń dłuższą chwilę w milczeniu, potem zdjął halsztuk i włożył adamaszkowe luźne okrycie na długą kamizelę i bryczesy. Zdjął również perukę, ukazując głowę ogoloną do miejsca, gdzie zaczynała się łysina, widoczna nawet w słabym świetle, i gdyby nie strój, wyglądałby na współczesnego skinheada. Na hakach przy drzwiach wisiała jego jeździecka kurtka, długi płaszcz i krótka modna peruka, wysokie buty i szpada stały pod ścianą. Jego wuj nadal był całkowicie ubrany, wciąż miał nawet kapelusz na głowie. Jego peruka była znacznie bujniejsza, a jej sploty opadały na kołnierz. Obaj mężczyźni nie byli do siebie podobni. Siostrzeniec był lżejszej budowy, a kiedy wpatrywał się w ogień, na jego twarzy malowała się zarówno wyniosłość, jak i stanowczość. Ta twarz z orlim nosem i ładnie zarysowanymi ustami była urodziwa, ale mroczna. Na pewno świadczyła o dobrym wychowaniu i obyciu; nie ulegało wątpliwości, że ten człowiek jest pewien siebie i swojej pozycji, że mimo młodości ma własną filozofię, silną wolę i że jest mu obojętne wszystko, co nie było z nią zgodne.

Zamyślona twarz młodego człowieka kontrastowała z obliczem jego korpulentnego wuja, na pierwszy rzut oka człowieka o raczej władczym charakterze, na co wskazywały grube brwi i mocna szczęka. Jednak mimo to wydawał się o wiele mniej spokojny niż jego towarzysz, którego pochyloną twarz właśnie obserwował. W spojrzeniu wuja malowało się niezadowolenie z domieszką niecierpliwości. Po chwili skierował wzrok na stojący przed nim talerz. Gwałtownie podniósł głowę, kiedy młody człowiek nieoczekiwanie przemówił, jakby do ognia, co świadczyło o tym, że podczas jedzenia, podobnie jak w podróży, raczej milczano.

– Dziękuję ci, Lacy, żeś wytrzymał ze mną. I moimi *vacua*.
– Zostałem uprzedzony, sir. I otrzymałem godziwą zapłatę.
– Mimo to. Jak na człowieka, dla którego rozmowa jest solą życia... Obawiam się, że byłem marnym kompanem.

Nie rozmawiali jak siostrzeniec z wujem. Starszy mężczyzna wyjął tabakierkę i spojrzął spod oka na młodego towarzysza.

– Niejedna rozmowa przyniosła mi fatalne skutki. Jednak pewna rozmowa z panem okazała się dla mnie korzystna. – Wciągnął do nozdrzy szczyptę tabaki.

Słyszając te słowa, młodzieniec obejrzał się z lekkim uśmiechem.

– Ja nigdy bym nie podjął się takiego zadania.
– Nie mogę temu zaprzeczyć, sir. Z pewnością byłoby zbyt trudne.

– Jestem ci za to bardzo wdzięczny. Swoją rolę odegrałeś dobrze.

Starszy mężczyzna skłonił się z ledwie dostrzegalną kpina.

– Mógłbym ją odegrać znacznie lepiej, gdybym miał... – urwał nagle i rozłożył tylko dłonie.

– Czy masz większe zaufanie do autora?

– Do jego ostatecznego zamysłu, panie Bartholomew, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

Młodzieniec zapatrzył się znowu w ogień.

– Każdy z nas może tak powiedzieć, prawda? *In comoedia vitae...*

– To prawda, sir. – Lacy wyciągnął z kieszeni koronkową chusteczkę i lekko wytarł nos. – Jednakże nasz zawód skłania do kompromisu. Lubimy mieć zapewnione jutro. Od tego zależy nasza sztuka. Bez tego jesteśmy pozbawieni połowy naszych możliwości, sir.

– Nie zauważyłem tego.

Aktor uśmiechnął się w odpowiedzi i zamknął tabakierkę. Młodzieniec podszedł powoli do okna i leniwie najpierw odsunął rygiel, a potem trzeszczące skrzydło okiennicy. Po czym wyjrzał, jakby oczekiwał, że zobaczy kogoś na dole, na placu targowym – kogoś, kto czeka na niego. Ale o tej porze panowała tam pustka i ciemność. W oknach kilku sąsiednich domów pełgały słabe światełka świec. Na zachodniej części nieba jaśniał jeszcze ledwie dostrzegalny poblask, ostatni oddech minionego dnia, a gwiazdy, wydawało się, że wiszą prawie nad głową. Zamknął z powrotem okiennicę i zwrócił się do siedzącego przy stole człowieka:

– Jutro przez godzinę będziemy jechać tą samą drogą, ale potem musimy się rozstać.

Starszy mężczyzna spuścił wzrok, unosząc nieco brwi i z lekkim skinieniem wyrażając niezbyt chętnie zgodę, podobnie jak szachista, który musi uznać, że spotkał swego mistrza.

– Chyba mogę przynajmniej żywić nadzieję, że spotkam pana w znacznie bardziej sprzyjających okolicznościach.

– Jeśli tak zechce fortuna...

Aktor spojrzał na niego przeciągle.

– Przepraszam, sir. Czy kilka dni temu nie szydził pan z przesądów? Mówi pan tak, jakby fortuna była pańskim wrogiem.

– Ryzyko nie jest przesądem, Lacy.

– Jeden rzut kośćmi zapewne tak. Ale przecież zawsze można rzucić jeszcze raz. Czy jednak można dwukrotnie przekroczyć Rubikon?

– Jeśli młoda dama...

– Tym razem... albo nigdy więcej. – Lacy milczał przez dłuższą chwilę. – Łaskawy panie, zachowując cały należny szacunek, sędzę, że zbyt tragicznie patrzy pan na sprawy. Tylko Romeo był przywiązany do koła przeznaczenia. Takie poglądy są wymysłem poety, żeby osiągnąć zamierzony efekt. – Urwał, ale nie otrzymał odpowiedzi. – No, dobrze, może pan ponieść tym razem klęskę w swoim przedsięwzięciu, jak poniósł pan uprzednio, o czym mi pan powiedział. Ale czy nie spróbuje pan jeszcze raz... jak próbować musi prawdziwy kochanek? Przecież mówią nam o tym stare przysłowia.

Młodzieniec wrócił do stołu, usiadł na krześle i długą chwilę patrzył w ogień.

– Powiedzmy, że jest to historia, w której nie ma ani Romea, ani Julii. A to inne zakończenie jest czarne jak najczarniejsza noc. – Spojrzał na swego towarzysza, w jego wzroku malowała się nagle siła i stanowczość.

– I co wtedy, Lacy?

– To porównanie można odnieść do nas obu. Kiedy pan tak mówi, sir, czuję się jak wrzucony w najczarniejszą noc.

Ponownie młodzieniec zwlekał z odpowiedzią.

– Pozwól, że ci przedstawię bardzo dziwną koncepcję. Przed chwilą mówiłeś o zapewnionym jutrze. Wyobraź sobie, że ktoś przyszedł do ciebie, tylko do ciebie, i powiedział, że odkrył tajemnice przyszłości świata – mam na myśli nie te niebiańskie, ale zagadki świata, w którym żyjemy. Kto zdoła cię przekonać, że nie jest jarmarcznym szarlatanem, ale że odkrył coś dzięki tajemnym naukom, powiedzmy dzięki wiedzy matematycznej czy astrologii, co chcesz. I opowie o tym, co się stanie ze światem, co się stanie jutro, za miesiąc od tego dnia, w następnym roku, za sto czy tysiąc lat. Wszystko jak w historii. Czy wybiegłbyś na ulicę, głośno o tym krzycząc, czy też zachowałbyś milczenie?

– Przede wszystkim zwątpiłbym we własny umysł.

– A gdyby twoje wątpliwości zostały rozwiane przez nie do obalenia dowody?

– Wtedy bym ostrzegł swoich bliźnich, chcąc ochronić ich przed grożącym im niebezpieczeństwem.

– Doskonale. Idźmy zatem dalej. Otóż ten prorok wyjawia ci, że przepowiadana przyszłość tego świata pełna jest ognia i plag, wojen i nie kończących się nieszczęść.

Co poczniesz wtedy? Czy tak samo byś postąpił?

– Nie bardzo nadążam, sir, za tokiem pańskiego rozumowania. Jak tego można dowieść?

– Słuchaj dobrze. To tylko przypuszczenie. Załóżmy, że ten ktoś znajdzie sposób, żeby cię przekonać.

– Pan jest dla mnie zbyt głęboki, panie Bartholomew. Gdyby w gwiazdach było, że jutro w mój dom uderzy piorun, zapewniam pana, że nie mógłbym tego uniknąć. Jednak gdyby także w gwiazdach było, że można mi aż tyle powiedzieć, mógłbym z pewnością wyprowadzić się z mego domu, żeby tego uniknąć.

– Ale załóżmy, że piorun uderzy w ciebie, gdziekolwiek uciekniesz czy się schronisz. Równie dobrze mógłbyś więc zostać w domu. Poza tym, on sam mógłby nie wiedzieć, jaką śmiercią ty miałbyś umrzeć, kiedy to takie albo inne zło spadnie na każdego człowieka, lecz tylko, że może się to zdarzyć większości ludzi. Spytałbym tak oto, Lacy: Gdyby ktoś taki przed przyjściem do ciebie uprzedził cię o celu swego przybycia, po to żebyś miał czas na zastanowienie się i pokonanie normalnej ciekawości, czy odmówiłbyś wysłuchania choćby jednego jego słowa?

– Może. To całkiem możliwe.

– A gdyby on był chrześcijaninem i dobrym człowiekiem, i zwróć na to uwagę, gdyby nawet jego prorocza wiedza przepowiedziała coś wręcz przeciwnego, mianowicie, że ten zepsuty i okrutny świat pewnego dnia będzie żyć w wiecznej szczęśliwości i dostatku, czy nie byłoby najmądrzej, gdyby on ową tajemnicę zachował dla siebie? Bowiem gdyby jednego dnia wszystkim zapewniono raj, kto starałby się żyć cnotliwie, żeby na to zasłużyć?

– Zgadzam się z pańskim rozumowaniem, sir. Ale dlaczego pan o tym mówi teraz?

– Słuchaj, Lacy. Załóżmy, że to ty jesteś tym człowiekiem, który może odczytać ów najstraszniejszy wyrok. Czy nie byłoby zatem najlepszym wyjściem, gdybyś postanowił być jedyną jego ofiarą? A może ten najbardziej sprawiedliwy boski gniew z powodu bluźnierczego złamania pieczęci czasu będzie złagodzony za cenę twego milczenia, twego własnego życia?

– Nie mogę na to odpowiedzieć. Porusza pan zbyt wiele tematów... nie wolno nam wkraczać w gestie Stwórcy.

Młodszy mężczyzna ciągle wpatrzony w ogień schylił głowę, jakby się zgadzał.

– Ale ja tylko wskazuję pewien problem. Nie mam zamiaru bluźnić –

powiedział i zamilkł, jak gdyby żałował, że w ogóle zaczął tę rozmowę.

Oczywiście nie zadowolilo to aktora, który wstał i teraz on podszedł do okna, z rękami splecionymi z tyłu. Stał chwilę przed okiennicami, potem nagle mocniej zacisnął dłonie, odwrócił się i odezwał, mając przed sobą tył łysej głowy młodzieńca siedzącego przed kominkiem:

– Muszę mówić szczerze, panie Bartholomew, ponieważ jutro się rozstajemy. W moim zawodzie potrafimy z fizjonomii odczytać, jacy ludzie są. Z ich wyglądu, sposobu chodzenia, zachowania. Zdołałem wyrobić sobie opinię i o panu. Jest ona wysoce pochlebna, sir. Mimo pozorów, do których jesteśmy obecnie zmuszeni, uważam pana za uczciwego i prawego dżentelmena. Wierzę, iż na tyle dobrze pan mnie poznał, sir, że mogę powiedzieć panu rzecz następującą: nigdy bym nie wziął udziału w tym przedsięwzięciu, gdybym nie był przekonany, iż sprawiedliwość jest po pańskiej stronie.

Młody mężczyzna nie odwrócił się, ale jego głos zabrzmiał ostro, kiedy spytał:

– Ale?

– Mogę wybaczyć panu, sir, ukrycie pewnych okoliczności. Sądzę, że była to dyktowana rozsądkiem konieczność. Ale posłużenie się taką koniecznością, żeby mnie oszukać co do istoty samej sprawy, nie, tego wybaczyć nie mógłbym. Nie ukrywam tego, sir, może pan mówić o dziwnych koncepcjach, ale to, co mam zrobić...

Nagle młody człowiek wstał, a uczynił to tak gwałtownie, jakby powodowała nim wściekłość. Zwrócił się w stronę aktora, patrząc mu prosto w oczy.

– Daję ci moje słowo, Lacy. Wiesz dobrze, że jestem nieposłusznym synem, wiesz dobrze, że nie powiedziałem ci wszystkiego. Jeśli to mają być moje grzechy, to się do nich przyznaję. Masz moje słowo, że to, co czynię, nie łamie żadnego prawa tego kraju. – Zrobił krok naprzód i wyciągnął rękę. – Chciałbym, żebyś w to uwierzył.

Aktor zawahał się, ale uściśnął wyciągniętą dłoń. Młody mężczyzna wpatrywał się w niego uparcie.

– Na mój honor, Lacy. Nie oceniałś mnie źle w tej materii. I modlę się o to, żebyś pamiętał o tym, cokolwiek nas czeka. – Opuścił rękę i znowu odwrócił się do ognia, ale obejrzał się na aktora stojącego przy fotelu. – W wielu sprawach cię oszukałem. Pragnę, byś uwierzył mi, że uczyniłem to również dlatego, żeby ci wiele oszczędzić. Nikt nigdy nie doszuka się w tobie winy, ponieważ byłeś tylko moim narzędziem.

Wzrok starszego mężczyzny był twardy.

– Skłonił mnie pan, bym uwierzył w pewne fakty, a jednak wydarzyć się może coś innego, czyż nie tak?

Młody mężczyzna znów zapatrzył się w ogień.

– Muszę się z kimś spotkać. I to jest cała prawda.

– Ale to nie jest spotkanie tego rodzaju, o którym pan mówił? – Bartholomew milczał. – Sprawa honorowa?

Bartholomew uśmiechnął się słabo.

– Nie byłbym tu sam, gdyby o to chodziło. Ani nie jechałbym taki szmat drogi, gdybym mógł to załatwić znacznie bliżej Londynu.

Aktor otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie zdążył, bowiem za drzwiami rozległy się kroki i zaraz potem stukanie. Młody mężczyzna zawołał, że można wejść. W progu ukazał się właściciel gospody, Puddicombe, i zwrócił się do rzekomego wuja:

– Łaskawy panie, na dole czeka pewien dżentelmen. Z pozdrowieniami.

Zaciekawiony aktor spojrzał na mężczyznę siedzącego przed kominkiem. Młodzieniec nie okazał, że kogoś oczekiwał, jednak spytał niecierpliwie gospodarza:

– Kto to taki?

– Niejaki pan Beckford, panie.

– A kimże jest pan Beckford?

– Naszym plebanem, sir.

Mężczyzna przed kominkiem spuścił wzrok, prawie z ulgą, a potem spojrzał na aktora.

– Wybacz mi, wuju, jestem zmęczony. Ale nie chciałbym cię pozbawić...

Aktor z pewnym ociąganiem, ale podjął swoją kwestię:

– Powiedźcie wielce szanownemu panu plebanowi, że z przyjemnością spotkam się z nim na dole. Mój siostrzeniec prosi go o wybaczenie.

– Tak jest, sir. Zaraz to przekażę – powiedział Puddicombe i wyszedł.

– Przygotuj się, przyjacielu. To ostatnie zadanie.

– Nie mogę na tym zakończyć naszej rozmowy, sir.

– Pozbądź się go jak najspieszniej, ale uczyn to, nie obrażając go.

Aktor poprawił swój halsztuk i kapelusz, wygładził surdut mówiąc:

– No, dobrze. – A potem lekko się skłoniwszy, podszedł do drzwi. Wyciągnął już rękę, żeby je otworzyć, kiedy młody człowiek przemówił po raz ostatni:

– I poproś z łaski swojej naszego drogiego gospodarza, żeby mi tu przysłał więcej tych swoich marnych łożowych świec. Chcę poczytać.

Aktor w milczeniu znowu skłonił się, po czym wyszedł. Przez dłuższą chwilę mężczyzna siedzący przed kominkiem wpatrywał się w podłogę. Wreszcie podszedł do małego stolika i przeniósł go spod okna, stawiając przy fotelu, na którym siedział, po czym wziął duży świecznik i umieścił go na stoliku. Następnie wyjąwszy z kieszeni swej długiej do kolan kamizeli klucz, podszedł do stojącej przy drzwiach obitej metalem skrzyni, pochylił się i otworzył ją. Najwidoczniej nie zawierała nic oprócz książek i luźnych rękopisów. Chwilę szukał czegoś, aż wreszcie znalazł związany pakiet, wziął go, usiadł w fotelu i zaczął czytać.

Po chwili ktoś zastukał do drzwi. Weszła posługująca w gospodzie dziewczyna, przynosząc na tacy jeszcze jeden świecznik. Bartholomew gestem wskazał jej, żeby postawiła go obok tego na stole. Uczynił to, nie patrząc nawet na nią, jak gdyby żył nie dwieście pięćdziesiąt lat temu, ale pięć wieków później, kiedy wszystkie ciężkie i przykre prace wykonywać będą roboty. Zabierając tacę z talerzami, dziewczyna odwróciła się od drzwi i dygnęła niezręcznie w stronę nieruchomego pochłoniętego czytaniem mężczyzny w fotelu. W ogóle nie podniósł wzroku, a ona przerażona, ponieważ może sądziła, że czytanie jest domeną diabła, albo w głębi serca dotknięta tak niezrozumiałą obojętnością, jako że nawet w owych czasach nie zatrudniano w gospodach brzydkich dziewcząt, odeszła w milczeniu.

W znacznie skromniejszym pokoiku piętro wyżej, na poddaszu, na wąskim drewnianym łóżku, przykryta zamiast kołdrą swoją brązową peleryną leżała młoda kobieta, sprawiając wrażenie, że śpi. Na końcu tego pomieszczenia bez sufitu, do stołu znajdującego się przy małym okienku w szczytowej ścianie przyklepiona była jedyna świeczka, której słaby blask ledwie oświetlał izbę. Dziewczyna leżała prawie na brzuchu, ze zgiętą ręką na szorstkiej poduszce, którą przykryła lnianą opaską, jakiej używała do owinięcia twarzy podczas podróży. Było coś bardzo dziecięcego w jej pozie i twarzy z lekko zadartym nosem, zamkniętymi oczami i drugimi rzęsami. W lewej dłoni trzymała kilka zwiędłych fiołków. Pod stołem baraszkowała mysz.

Na oparciu krzesła stojącego obok łóżka, wyjęty z tobołka na ziemi, wisiał czepek, najwyraźniej bardzo cenny dla dziewczyny, boki i przód miał wykończone riuszką, a dwie przykrywające uszy wstęgi mierzyły ponad półtorej stopy. W tej prymitywnie, nędznie urządzonej izbie czepek był dziwnym elementem, wyglądał wręcz absurdalnie. Takie nakrycie głowy, ale bez bocznych długich wstążek, było w przeszłości oznaką służących i dziewczyn podających w gospodach, ale w owych

czasach nosiły je wszystkie kobiety z lepszego towarzystwa, zarówno matrony, jak i młode panienki. Służących i lokai, niewolników liberii, łatwo było rozpoznać, natomiast kobiety służebne, jak zauważył krytycznie pewien żyjący wówczas mężczyzna, miały w tej dziedzinie znaczną swobodę. Niejeden dżentelmen, wkraczając do nie znanego sobie salonu, kłaniał się szarmancko damie, którą wziął za krewną pani domu, żeby po chwili ze zgrozą stwierdzić, iż wytworny ukłon złożył pokojówce.

Właścicielka tego lekkiego zagadkowego czepeczka tak naprawdę nie spała. Natychmiast otworzyła oczy, słysząc czyjeś kroki na schodach, które zatrzymały się przed izdebką, po czym rozległy się dwa kopnięcia w dolną część drzwi. Odrzuciła pelerynę i wstała z łóżka. Miała na sobie ciemnozieloną suknię podszytą złotym materiałem, którego rąbek było widać przy szyi i wywiniętych rękawach. Poniżej pasa suknię przykrywał sięgający aż do ziemi biały fartuch. Spódnica sukni była wszyta w wąski pasek, a fiszbiny gorsetu tak ścisnęły klatkę piersiową, iż górna część jej ciała robiła wrażenie odwróconego stożka. Nogi w pończochach wsunęła w zniszczone pantofle bez pięt. Dziewczyna pospiesznie otworzyła drzwi.

Stał przed nią służący, z którym jechała na jednym koniu. W rękach trzymał duży miedziany dzban z ciepłą wodą oraz glinianą polewaną misę koloru ochry. Był ledwie widoczny w ciemnościach, twarz tonęła w cieniu. Na jej widok wyraźnie zeszytniał, a ona cofnęła się i gestem ręki wskazała na kąt izby, gdzie znajdował się stół. Przeszedł obok niej, postawił dzban koło świecy, potem misę i znieruchomiał ze zwieszoną głową, odwrócony do niej plecami.

Młoda kobieta wzięła z podłogi duży toból, położyła na łóżku i rozwiązała. Ukazały się różne ubrania, wstążki oraz haftowana bawełniana szarfa, w którą owinięty był mniejszy tłumoczek zawierający mnóstwo glinianych słoiczków, poowijanych kawałkami pergaminu i owiązanych sznurkiem. Były tam również małe zakorkowane niebieskie buteleczki, grzebień, szczotka, ręczne lustro. Gdy nagle uświadomiła sobie, że mężczyzna nadal stoi nieporuszenie, odwróciła się i spojrzała na niego.

Przez chwilę jakby się namyślała, potem podeszła, wzięła go za rękę i skłoniła, żeby na nią spojrzał. Choć na twarzy jego malowała się bierność, to jego postawa wyrażała cierpienie, przypominał nieszczęśliwe zwierzę schwyte w pułapkę. Patrzyła na niego spokojnie i potrząsnęła głową, wtedy odwrócił od niej puste niebieskie oczy i wbił wzrok w przeciwległą ścianę, nie wykonując przy tym

najmniejszego gestu. Uniosła jego rękę, jakby chciała ją obejrzyć, i pogłaskała swoją drugą dłonią. Stali tak dziwnie nieruchomi w ciszy, jakby wyczekując, że coś się wydarzy. Wreszcie dziewczyna puściła jego rękę, podeszła do drzwi, zaryglowała je, następnie odwróciła się i spojrzała na mężczyznę, który bacznie ją obserwował. Potem wskazała na podłogę koło siebie, jakby dawała znak ulubionemu psu – łagodnie, ale stanowczo. Mężczyzna zrobił kilka kroków, nie spuszczać z niej wzroku. Ponownie dotknęła jego ręki, ale tym razem przelotnie. Wróciła do stołu, odwiązuje fartuch. Ale, jakby sobie coś przypominała, podeszła do łóżka, wzięła jeden z małych słoiczek, niewielką buteleczkę i kawałek zniszczonego zgrzebnego płótna, który najwidoczniej służył jej jako ręcznik. Z tymi rzeczami wróciła znów do stołu i stała przy nim chwilę w milczeniu, w świetle świecy otwierając słoiczek.

Potem zaczęła się rozbierać. Najpierw zdjęła fartuch i powiesiła na jednym z licznych kołków, wbitych koło okna. Następnie ściągnęła zieloną suknię na żółtej podszewce, pod którą miała pikowaną halkę z brokatowego sukna. Koszula była w kolorze oliwkowym, dziwnie błyszcząca, gdyż do wełnianej przędzy dodano atlasu. Rozwiązała ją w pasie i zawiesiła obok sukni. Wreszcie zdjęła gorset. Pod spodem miała biały staniczek, który powinna była ze względu na skromność zostawić. Jednak ściągnęła go przez głowę i umieściła na kołku obok reszty ubrania. Została półnago, mając na sobie tylko płócienną spodnią halkę.

Robiła to wszystko szybko, całkiem naturalnie, jakby w izbie nikogo prócz niej nie było. Widok ten podzielał na mężczyznę nieoczekiwanie. Ledwie zaczęła się rozbierać, powoli ruszył, ale nie w jej kierunku, lecz w stronę przeciwległej ściany, która go zatrzymała, tak że nie mógł już dalej uciec.

Dziewczyna nalala wody do miski i wyjąwszy ze szklanego słoika kawałek goździkowego mydła, zaczęła myć twarz i szyję, piersi i ramiona. Pod wpływem jej gestów światło świecy nieco drżało, czasem mały ruch jej ciała albo ramion rzucał jasny refleks na mokrą skórę lub bramował białą linią jej pogrążone w cieniu plecy. Wśród krokwii w górze wydłużone pajęczne cienie parodiowały zwykłą codzienną czynność, ujawniając przy tym, że dziewczyna była leworęczna. Wreszcie zaczęła się wycierać do sucha. Potem wzięła niebieską butelkę i zmoczyła koniec zgrzebnego ręcznika w płynie, który zawierała, i przetarła tu i ówdzie nagie ciało: szyję, pod pachami i między piersiami. Po izbie rozszedł się zapach larendogry.

Wyciągnęła rękę po swoją koszulę i znów ją włożyła, wtedy odwróciła się, przyniosła lichtarz ze świecą i postawiła koło łóżka, obok mężczyzny. Usiadła.

Odszukała teraz mały porcelanowy pojemniczek. Przedtem wycierając starannie okrągłe mydło i umieszczając je we właściwym słoiku, postawiła go przy świecy. Pojemnik zawierał biel ołowianą, biały krem albo maść zrobioną z węglań ołowiu, kosmetyku bardzo powszechnie używanego w ówczesnych czasach, uważanego też za śmiertelną truciznę. Nabrała trochę maści na wskazujący palec i wtarła w policzki, a potem w całą twarz małymi półkolistymi ruchami. Tak samo namaściła szyję i górną część ramion. Odłożyła krem do tobołka, a wyjęła lusterko i jedną z malutkich niebieskich, zamkniętych korkiem buteleczek. Przez chwilę oglądała uważnie swoją twarz. Światło na tej zaimprovizowanej toalecie było zbyt słabe i odległe, podniosła więc lichtarz i odwróciła się do mężczyzny, pokazując, by potrzymał go bliżej.

Spełnił jej życzenie, trzymając świecznik w pobliżu twarzy dziewczyny. Rozłożyła ręcznik na kolanach i starannie otworzyła kolejny mały słoiczek. Znajdowała się w nim karminowa pomada; niewielką jej ilość położyła na wargach i najpierw rozprowadziła barwnik językiem, potem – z lusterkiem w rękę – koniuszkiem palca, następnie tymże palcem dotknęła kości policzkowych i tu również wtarła maść. Wreszcie zadowolona z rezultatu odłożyła lusterko i zamknęła słoiczek. Kiedy skończyła, odsunęła łagodnie rękę mężczyzny przytrzymującą lichtarz i sięgnęła po następną niebieską buteleczkę: w jej korku tkwiła dudka gęsiego pióra. Dziewczyna odchyliła głowę i wpuściła po jednej bezbarwnej kropli do oczu. Widocznie piekło, gdyż za każdym razem szybko zamrugła powiekami. Dopiero gdy zakorkowała butelkę, spojrzała na mężczyznę.

Błysk jej oczu, rozszerzonych pod wpływem belladony, mocne kolory na policzkach i umalowane usta, których czerwień bynajmniej nie była naturalna, wszystko to świadczyło, że nie jest zwykłą służącą, choć w rezultacie wyglądała raczej jak lalka niż uwodzicielska kobieta. Tylko piwne tęczówki z poszerzonymi źrenicami przypominały tę młodą prostą dziewczynę, która kilkanaście minut temu drzemała na łóżku. Jej czerwone wargi rozchyliły się w lekkim niewinnym uśmiechu, jakby siostra pragnęła spełnić jakieś niewinne marzenie brata. Po chwili, nadal z uniesioną lekko twarzą, zamknęła oczy.

Można by sądzić, że jest to zaproszenie do pocałunku, ale mężczyzna jedynie nieco zbliżył lichtarz i przesunął go z jednej strony na drugą. Zdawał się badać każdy cal jej lekko woskowej skóry, każdy rys, jakby wśród nich znajdował się malutki zagubiony przedmiot, ukryty objaw, jakaś odpowiedź. Nagle jego twarz nabrała wyrazu tajemniczości, tak intensywne było to pozbawione wszelkiego uczucia

skupienie. Był to wyraz głębokiej niewinności, jaką przejawiają czasem upośledzeni umysłowo. Pomimo to postrzegał ją w głębszy sposób, pełniej niż potrafi człowiek o normalnej inteligencji. Jednak w tej regularnej, nawet urodziwej twarzy nie było nic z idioty, zwłaszcza usta miał mocne, wyraźnie zarysowane, i przebijała z niej niezachwiana powaga, jakaś odmienność.

Przez długą chwilę znosiła to milczące badanie. Uniósł wolną rękę, zawahał się, po czym dotknął jej prawej skroni. Obrysował palcami linię twarzy, następnie policzek, dolną szczękę i brodę, jakby naprawdę to nie była twarz kobiety z krwi i ciała, lecz wosk, malowany marmur, śmiertelna maska. Badanie trwało nadal i znowu zamknęła oczy, teraz przesuwając palcami po czole, brwiach, powiekach, nosie, ustach wreszcie. Jej wargi nawet nie drgnęły pod dotykiem palców mężczyzny.

Nagle padł na kolana, stawiając lichtarz na podłodze, kryjąc twarz w jej łonie, jakby nie mógł znieść dalszego widoku tego, co pieścił, a jednak będąc pod przemożnym wrażeniem. Nie zareagowała, ba! nie wydawała się tym zdumiona. Patrzyła tylko długo na głowę wtuloną w jej ciało, potem wyciągnęła lewą rękę i potargała jego związane włosy, szepcząc tak cicho, jakby do siebie samej:

– Och, mój biedny Dicku. Biedny Dicku.

Nie odpowiedział, znów zmartwiały. Nadal głaskała jego włosy, targając je w milczeniu. Wreszcie łagodnie go odepchnęła i wstała, tylko po to, żeby się odwrócić do otwartego tobołka i wyjąć z niego różową suknię, którą starannie wygładziła, najwidoczniej mając zamiar ją włożyć. On nadal klęczał ze spuszczoną głową, jakby czemuś się poddał albo o coś błagał. To, co oświetlała teraz świeca stojąca na podłodze nie świadczyło o żadnym z tych uczuć. Spojrzał na to jak zahipnotyzowany, tak jak przedtem patrzył na jej twarz, i nagle zacisnął obie dłonie jak tonący człowiek na niosącej ratunek gałęzi. Górę spodni miał rozpiętą, a to co ścisnął, nie było gałęzią, lecz był to duży, nagi penis w erekcji. Młoda kobieta nie okazała zdumienia ani obrzydzenia na widok tej sprośności, choć przestała wygładzać suknię. Podeszła spokojnie do wezgłowia prymitywnego łóżka, gdzie na poduszce leżały jeszcze rozrzucone fiołki, zebrała je i wróciła do klęczącego mężczyzny, żeby je rozrzucić od niechcienia, prawie kpiąco, na jego opuszczoną głowę, na ręce i monstrualnie wielką, nabiegłą krwią żołądek.

Uniósł twarz chyba w rozpacz, spoglądając na umalowaną dziewczynę, i przez długą chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem przeszła obok niego, odryglowała drzwi i stała przy nich czekając, żeby wyszedł, na co on, niezgrabnie zapinając spodnie,

podniósł się ciężko z podłogi i, nie spojrzawszy na nią, skierował się w stronę wyjścia, spodnie nadal mając w wiele mówiącym nieporządku. Wyszła za próg może po to, żeby mu poświęcić na ciemnych schodach. Mocny podmuch omal nie zgasił świecy, cofnęła się więc, zasłaniając dłonią chwiejny płomień, jak postać z obrazu Chardina, i plecami zamknęła drzwi. Oparła się o nie, patrząc na leżącą na łóżku różową brokatową suknię. Nie było nikogo, kto by zobaczył w jej oczach oprócz belladony również łyzy.

Przez krótki czas swego pobytu na górze Dick był tematem rozmowy przy długim stole w kuchni gospody. Takie kuchnie, kiedyś na ogół dostępne dla wszystkich, były także ośrodkiem życia nie tylko gospody, lecz i skromniejszych podróżników albo służących wielkich panów – taki odpowiednik pokoju dla służby na starych farmach. Nawet jeśli podawane tu potrawy nie były wykwintne – jak z pewnością nie była doborowa tutejsza kompania – to jednak były cieplejsze niż w salach dla gości czy w prywatnych pokojach. Służba w gospodzie przepadała za plotkami, nowinami i rozrywką, jakich dostarczali im przybysze z ich własnej klasy oraz podobnej proveniencji. Tego wieczoru niewątpliwym królem kuchni w gospodzie „Pod Czarnym Jeleniem”, i to ledwie wszedł przez drzwi od strony stajennego podwórza, z kordem i gałaczem pod pachą, był mężczyzna w szkarłatnej kurtce, który się przedstawił jako sierżant Farthing. Wystarczył jeden gest, szarmanckie zdjęcie kapelusza, i uwodzicielskie spojrzenie, którym omiółł kucharkę, jej pomocnicę i służącą Dorcas, żeby podbić ich serca.

Należał do tego, jak się wkrótce okazało, równie odwiecznego co wojny prowadzone przez ludzi typu rasy ludzkiej, który rzymscy komediopisarze nazywali *miles gloriosus*, wojak-samochwała, czyli odwieczny pyszałek i nicpoń. Być skromnym żołnierzem nawet w osiemnastowiecznej Anglii nie było powodem do radości. Monarchowie oraz ich ministrowie mogli się domagać stałej armii, ale wszyscy pozostali obywatele uważali żołnierzy za dopust boży (i zagrożenie, jeśli byli cudzoziemskimi najemnikami), obciążenie ponad siły zarówno dla narodu, jak i dla tych nieszczęsnych miejscowości, gdzie byli zakwaterowani. Farthing zdawał się o tym nie pamiętać i bezczelnie chełpił się tym, czego to dokonał jako dawny bosman w marynarce królewskiej (o czym nie świadczył rzecz jasna jego obecny ubiór) i jak był werblistą na flagowym okręcie Bynga w czasie słynnej wyprawy na Cape Passaro w 1718 roku, kiedy to Hiszpanom sprawiono tęgie lanie; a za swoją odwagę został

odznaczony przez samego admirała Bynga, choć wtedy był „nie większy niż ten smarkacz”, co roznosi piwo. Posiadał dar przykuwania uwagi, i to na długo. Z pewnością w kuchni tej nie było dotąd nikogo, kto mógłby dorównać tak dzielnemu, bywałemu w świecie wojakowi. Śmiało też spoglądał na zasłuchane kobiety, gdyż jak wszyscy mężczyźni jego pokroju doskonale wiedział, że aby zdobyć aplauz słuchaczy, trzeba im schlebiać. Jadł i pił także dużo, wychwalając każdą kroplę napitku i łyżkę strawy, ale zapewne jedyne prawdziwe zdanie, jakie wypowiedział, dotyczyło stwierdzenia, że po smaku od razu rozpozna dobry cydr.

Oczywiście wypytywano go na temat jego obecnej podróży. Młody dżentelmen i jego wuj podobno jechali do pewnej damy, która była ciotką jednego, a siostrą drugiego, żeby złożyć jej wyrazy uszanowania, a która była tak bogata jak intendent na statku; stara i cierpiąca mieszkała w Bideford czy gdzieś w okolicy, nigdy nie wyszła za mąż, ale odziedziczyła majątek ziemski godny księżnej. Na tę informację wszystkim zabłyśły oczy; no, a podobno młody dżentelmen nie zawsze był wzorem roztropności i nawet teraz miał spore długi. Dziewczyna na górze to służąca pewnej damy z Londynu, a ma służyć ciotce, podczas gdy on, Tymoteusz Farthing, jest służącym wuja, którego od dawna znał, a który okropnie boi się wszelkiego autoramentu rabusiów i właściwie każdego człowieka spotkanego dalej niż o milę od katedry Świętego Pawła. Niedawno przyznał, że pod jego (Farthinga) czujnym okiem podróżuje się tak bezpiecznie jak w towarzystwie kompanii żołnierzy.

A ten wuj? O, to zamożny kupiec z londyńskiego City, mający jednak gromadkę własnych dzieci, o które musi się troszczyć. Jego owdowiała wcześniej siostra, matka młodszego dżentelmena, umarła przedwcześnie kilka lat temu, tak więc wuj jest opiekunem i mentorem swego siostrzeńca.

Farthing tylko raz przerwał swoją przemowę, właściwie monolog, kiedy od strony stajni nadszedł Dick i bez uśmiechu, jakby zagubiony, stanął w progu. Bosman podniósł stulone palce jednej ręki do ust, potem wskazał na koniec stołu i wreszcie mrugnął porozumiewawczo do Puddicombe'a, właściciela gospody.

– Nie słyszy i nie mówi. Urodził się głuchoniemy. Ale dobry z niego człowiek. Choć jego ubranie o tym nie świadczy, jest służącym mojego młodszego pana. Siadaj, Dick, bierz się do jedzenia. Jeszcze tak dobrze jak tu nie jedliśmy podczas naszej drogi. Na czym to ja stanąłem?

– Jak natrafiliście na hiszpański galeon – podsunął chłopak roznoszący piwo.

Podczas gdy niemy służący jadł, Farthing od czasu do czasu zagadywał do

niego: „Czyż nie tak, Dick?” Albo: „Dick mógłby powiedzieć więcej, gdyby miał język... albo rozum, żeby to wyrazić”.

Oczywiście jego odżywki pozostawały bez odpowiedzi. Dick w ogóle nie zwracał uwagi na nic. Nie reagował nawet wówczas, kiedy jego puste niebieskie oczy spoczywały na Farthingu i kiedy ten do niego się zwracał. Mimo to Farthing najwidoczniej koniecznie chciał pokazać, jak zażyłe stosunki ich łączą. Jednak obecne w kuchni dziewczęta co i raz zerkwały na Dicka, być może z ciekawości, a może pod wpływem współczucia, że tak przystojny i w zasadzie atrakcyjny młody mężczyzna, choć ponury i smutny, jest nieszczęsnym upośledzonym umysłowo głupkiem.

Monolog Farthinga ponownie został przerwany, kiedy do izby weszła „dziewczyna z góry”, niosąc tacę z resztkami swojej wieczerzy. Dała znak Dorcas, żeby do niej podeszła. Rozmawiały po cichu i Dorcas obejrzała się na głuchoniemego. Farthing zaproponował, żeby dziewczyna przyłączyła się do nich, ale odmówiła stanowczo.

– Słyszałam już wszystkie twoje krwiożercze opowieści, dziękuję – odparła wyniośle.

Małe dygnięcie, nim wyszła, wyrażało taką samą pogardę jak jej słowa. Sierżant poglądził wąsy i powiedział, szukając współczucia u właściciela:

– Oto masz Londyn, mój dobry Tomasz. Zapewniam cię, że kilka lat temu ta dziewczyna była tak świeża i urocza jak obecna tu Dorcas. Teraz ta smarkata całkiem sfrancuziała, podobnie jak jej imię, którego, mogę przysiąc, nie dostała na chrzcie. Podobno kiedyś była miła i łagodna jak baranek. – I dodał sztucznym tonem: – „Gdyby tu był mój ukochany, traktowałabym go jak psa”, tak mi sama powiedziała. Takie one są. Mówię wam, byłibyście dziesięć razy lepiej traktowani przez jej panią niż przez taką dziewczynę jak Louise. Louise... a cóż to za imię dla Angielki, pytam was. Czyż nie mam racji, Dick!?

Dick nieporuszenie spoglądał na niego.

– Biedny Dick, przez cały dzień musi znosić te jej dziwaczne maniery. Czyż nie tak, chłopcze? – Zaczął odgrywać pantomimę, kciukiem wskazując na drzwi, którymi właśnie wyszła dziewczyna, a potem rozcapierzonymi palcami naśladował dwoje ludzi jadących na jednym koniu. Wreszcie podniósł głowę do góry i jeszcze raz wskazał w kierunku drzwi. Głuchoniemy nadal patrzył na niego pustym wzrokiem. Farthing mrugnął do gospodarza: – Słowo daję, niejeden pień drzewa jest od niego mądrzejszy.

Nieco później, kiedy Dorcas zaczęła nalewać gorącą wodę z wielkiego sagana

do miedzianego dzbana, była to chyba sprawa, o której rozmawiała z dziewczyną z góry, głuchoniemy wstał i czekał, żeby go zabrać, a potem zatrzymał się przy drzwiach, gdzie służąca podała mu stojącą na kredensie glinianą miskę. Nawet skłonił głowę jakby w podziękę za pomoc, ale ona odwróciła się do Farthinga i spytała niepewnie:

– Czy on wie, gdzie ma zanieść wodę?

– Tak, niech idzie. – Zamknął jedno oko i dotknął je palcem. – Dick ma sokoli wzrok. Widzi przez ściany.

– Niemożliwe.

– On musi, moja kochana. Nigdy w życiu nie spotkałem człowieka, który by tak lubił na nie patrzeć. – I znowu mrugnął, żeby podkreślić, że to był żart.

Pan Puddicombe wyraził zdanie, że to dziwny przypadek, żeby dżentelmen miał służącego, który rozumie tak niewiele. Jak wydaje mu polecenia i jak on je wykonuje?

Farthing spojrział w stronę drzwi i pochylił się konfidencjonalnie:

– Zaraz powiem. Pan godny jest swego służącego. Nigdy nie spotkałem dżentelmena, który mówiłby tak mało. Jego wuj uprzedził mnie, że takie ma usposobienie. Niech sobie ma, ja się nie obrażę. – Skierował palec w stronę właściciela gospody. – Ale proszę zapamiętać moje słowa, on potrafi rozmawiać z Dickiem.

– Jakim cudem?

– Znakami, sir.

– Jakimi znów znakami?

Farthing rozsiadł się wygodnie, po czym uderzył się palcem w pierś i podniósł zaciśniętą pięść. Jego audytorium patrzyło na niego tak samo tępym wzrokiem jak głuchoniemy. Gesty zostały powtórzone, potem wyjaśnione.

– Przynieś mi... poncz.

Dorcas zasłoniła usta dłonią. Farthing poklepał się po ramieniu, następnie podniósł otwartą dłoń i palec wskazujący drugiej dłoni. Znowu czekał, a potem rozszyfrował znaki:

– Obudź mnie punktualnie o szóstej.

Teraz na wyciągniętej dłoni położył drugą zaciśniętą, a następnie stulonymi dłońmi dotknął swoich piersi, potem podniósł cztery palce. Zafascynowani widzowie czekali na wyjaśnienie.

– To gra słów, wy tego nie zrozumiecie, a znaczy: wszystko w porządku, czekaj na mnie pod domem takiej to a takiej damy o godzinie czwartej.

Puddicombe skinął raczej niepewnie głową:

– Zaczynam rozumieć.

– Mógłbym dać dziesięć razy więcej przykładów, ba, sto razy więcej. Nasz Dick nie jest taki głupi, na jakiego wygląda. Powiem więcej, lecz pozostanie to tylko między nami. – Znowu spojrział w stronę drzwi i zniżył głos: – Wczoraj wieczorem w Taunton musiałem z nim spać w jednym łóżku, nie mogliśmy znaleźć lepszej gospody. Nie wiem sam, czemu obudziłem się w środku nocy. I zauważyłem, że go nie ma, wymknął się gdzieś, kiedy spałem. Nie przejąłem się tym specjalnie, może musiał. Tym lepiej dla mnie, miałem więcej miejsca. Już zasypiałem, gdy usłyszałem jakiś hałas, jakby ktoś mówił do siebie we śnie. Wszak nie były to słowa, tylko gardłowe pomrukiwanie. O tak. – Wydał dźwięk naśladujący mruczenie. Przerwał i powtórzył znowu. – Spojrzałem i zobaczyłem go przy oknie, w koszuli, klęczącego, jakby się modlił. Ale nie jak chrześcijanin, który modli się do Boga. Nie. Do księżyca, który świecił jasno akurat w miejscu, gdzie on klęczał. A potem wstał i przysunął się bardzo blisko do szyby, nadal wydając te dziwne dźwięki. Wtedy sobie pomyślałem: „Tim, stałeś na wprost armat hiszpańskich, byłeś doboszem, patrzyłeś śmierci w twarz, niezliczoną liczbę razy widziałeś bohaterów, gotowych na wszystko ludzi, ale niech skonam, czegoś takiego nie widziałeś”. Było oczywiste, że Dick był w lunatycznym transie i że w każdej chwili może się odwrócić, rzucić na mnie i zrobić Bóg wie co. – Urwał, czekając na efekt, wzrokiem omiół stół. – Powiadam wam, moi drodzy, to nie jest żart, nie chciałbym przeżyć raz jeszcze takiej chwili nawet za sto funtów. Gdzie tam, nawet za tysiąc.

– Czy nie mogłeś go zbudzić?

Na twarzy Farthinga pojawił się pełen wyrozumiałości uśmiech.

– Chyba, gospodarzu, nigdy nie byłeś w Bedlam, w szpitalu dla wariatów. Ale ja widziałem tam człowieka, który był cichusieńki, spokojniusiński, a kiedy dostawał ataku, dziesięciu osiłków nie mogło mu dać rady. Lunatyk ma siłę tygrysa, kiedy światło księżyca pada na niego. Staje się moczarnym nad moczarnie, jak to się mówi. Ma siłę i wściekłość dwudziestu ludzi. A zauważcie, że Dick nie jest słabeuszem nawet, kiedy jest spokojny.

– I co wtedy zrobiłeś?

– Leżałem jak martwy, tą oto ręką trzymając rękojeść mego korda. Ktoś mniej

odporny wołałby pewno o pomoc. Ale ja sam postanowiłem uratować swoją głowę, mój dobry Tomaszu. I udało mi się.

– Jak się to stało?

– No cóż, atak minął. Dick wrócił do łóżka, położył się. Zaczął chrapać... Ja nie, słowo daję. Tim Farthing zna swoje obowiązki. Przez całą noc oka nie zmrużyłem, trzymając kord w pogotowiu, siedziałem na krześle gotów go powalić, gdyby znowu dostał ataku albo działo się coś gorszego. Nie kłamię, przyjaciele, gdyby się przebudził choć na sekundę, wykończyłbym go w jednej chwili, na niebiosa, zrobiłbym to! Następnego ranka powiedziałem o tym panu Brownowi. A on mi na to, że porozmawia ze swoim siostrzeńcem, który wcale się tym nie przejął i powiedział, że Dick jest trochę dziwny, ale nikomu nie zrobi krzywdy, i nie mam się przejmować. – Farthing znowu oparł się mocniej o ścianę i pogładził wąsy. – Ale ja mam własne zdanie na ten temat, mój drogi Tomaszu.

– Święta racja.

– A pod ręką swój garłacz. – Spojrzał na Dorcas. – Nie masz powodu bać się, moja kochana. Farthing czuwa. On tutaj nie zrobi nikomu krzywdy. – Dziewczyna odruchowo spojrzała na sufit. – Ani tam również – dodał.

– Ale to tylko dwa piętra.

Farthing skrzyżował ramiona, potem językiem wypchnął policzek.

– Chyba że ona przypadkiem znajdzie dla niego robotę.

– Jaką znów robotę? – zdziwiła się Dorcas.

– Robotę, której żaden mężczyzna nie uważa za robotę, moje niewiniątko – odparł szyderczo, a dziewczyna, która wreszcie zrozumiała, co miał na myśli, dłonią zakryła usta. Farthing przeniósł wzrok na gospodarza. – Powiadam ci, że Londyn to siedziba zła. Służąca tam małpuje swoją panią. Dopiero wtedy jest zadowolona, kiedy się wystroi i może wygodzić swoim żądom. Jeśli moja pani ma swego chutliwego lokaja, to dlaczego ja mam być inna, powiada. W dzień go lekceważy, za to co noc bierze sobie do łóżka.

– Błagam, panie Farthing, ani słowa więcej. Gdyby tu była moja zacna małżonka...

– Amen, nie mówiłbym o tym, gdyby ten człowiek nie był rozpustny jak stary cap. Trzeba ostrzec wasze dziewczęta. W drodze tutaj dopadł jednej w stajni... na szczęście akurat obok przechodziłem i powstrzymałem łajdaka. Za dużo tego. On innych kobiet nie zna. Jego zdaniem wszystkie są tak lubieżne jak Ewa, niech Bóg mu

przebaczy. Tak skore unieść spódnice, jak on, żeby zdjąć spodnie.

– Czemu jego pan nie sprawi mu porządnego lania?

– Przydałoby mu się. Oj, przydało. Ale dajmy spokój. Wystarczy tego, co powiedziałem.

Przeszli więc do innych spraw, a kiedy jakieś dziesięć minut później pojawił się znów głuchoniemy, w kuchni jakby powiało chłodem. I tym razem twarz miał bez wyrazu, na nikogo nie spojrzał, tylko od razu usiadł na swoim miejscu. Wszyscy ukradkiem na niego zerkali, jakby szukając rumieńca, jakichś zewnętrznych oznak jego występków. Ale on wpatrywał się w stół, biernie oczekując dalszych upokorzeń.

– Mam nadzieję, że dobrze poszło.

– Niech będą przekłete pojedynczo i zbiorowo jego stada, jego rada parafialna i jego kościelni. Został pan zaproszony na jutrzejszy obiad, żeby od początku wysłuchać wszystkiego. Odmówiłem w pańskim imieniu.

– Nie pytał zbyt dużo?

– Tyle co z grzeczności. Tego plebana naprawdę interesuje tylko jedno, on sam. Sprawy innych go nie obchodzą.

– Jak na swój talent miałaś kiepskie audytorium. Bardzo przepraszam. – Aktor, który stał po drugiej stronie kominka, gdzie siedział Bartholomew nad swoimi papierami, spojrzał na niego badawczo, jakby się nie dał zwieść temu żartobliwemu nastrojowi. – Daj spokój, drogi Lacy. Moje słowo przeciw twojemu. Nie mam na myśli nic złego. Nikt nie będzie winił ciebie, nie będzie mógł cię winić tylko z racji twego udziału.

– A ja uwierzyłem, że dąży pan do innego celu, niż jest naprawdę. Czyż nie tak? Teraz wreszcie mogę mówić. Nie mam wątpliwości, że pan życzy mi dobrze we wszystkich swoich tajemnych poczynaniach. Wątpię jednak, czy pan życzy dobrze sobie samemu.

– Czy powiesz, że poeta kłamie, kiedy mówi, że spotkał muzy?

– Wiemy, co chce przekazać pod tą przerośnią.

– Ale czy mówimy, że kłamie?

– Nie.

– A więc w tym sensie i ja nie okłamałem ciebie. Zamierzam spotkać kogoś, kogo pragnę poznać i kogo szanuję, tak jak bym chciał szanować pannę młodą... albo moją żonę, gdybym był poetą. Wobec tego kogoś jestem takim samym ignorantem

jak Dick wobec mnie, a może nawet i większym. Nie mogłem go dotąd zobaczyć, gdyż nie dopuścił do tego zazdrosny opiekun. Mogłem cię oszukać co do litery, ale nie ducha.

Aktor spojrział na papiery.

– Muszę spytać, dlaczego spotkanie z kimś uczonym i nieznanym musi się odbyć w tak wielkiej tajemnicy i w tym odległym miejscu, jeśli cel tego spotkania jest całkowicie niewinny.

Bartholomew rozsiadł się wygodnie w fotelu, tym razem z wyraźnie sardonycznym uśmiechem.

– A może jestem jednym z tych słynnych północnych buntowników? Jeszcze jednym Bolingbroke'em? ² Te papiery tutaj to tylko cyfry. Nie są w zwykłym języku, francuskim albo hiszpańskim. Mam zamiar spiskować z emisariuszem Jakuba Stuarta.

Przez chwilę aktor wydawał się zmieszany, jakby została odczytana jego sekretna myśl.

– Czuję mróz w kościach, sir.

– Patrz. To naprawdę są pewnego rodzaju cyfry.

Wyciągnął kartkę papieru, którą czytał. Lacy wziął ją do ręki. Po kilku chwilach podniósł wzrok.

– Nic z tego nie rozumiem.

– Nie uważasz, że to nekromantyczne? Jestem tu po to, aby zakraść się do lasu i spotkać ucznia wiedzy z Endor. Żeby zamienić moją duszę na tajemnice innego świata. Co o tym sądzisz?

Aktor oddał mu kartkę.

– Pan sobie żartuje, a moim zdaniem chwila nie jest po temu stosowna.

– Wobec tego przestańmy rozmawiać o nonsensach. Nie działam na szkodę króla ani kraju, ani nikogo innego. Nie zagrażam nikomu ciału ani nikomu duszy. Może jedynie własnej, ale dusza każdego człowieka to jego sprawa. Zapewne to, do czego dążę, jest mrzonką, niemądrym urojeniem. Osoba, którą chcę spotkać, może...

– Urwał i odłożył kartkę razem z innymi papierami na stół koło fotela. – Nieważne.

² Bolingbroke Henry St. James, wicehrabia (1678-1751), polityk, pisarz, torys, minister wojny, minister spraw zagranicznych. W 1715 r. oskarżony o zdradę stanu za próbę przywrócenia dynastii Stuartów, uciekł do Francji, skąd wrócił w 1723 r. (przyp. tłum.).

– Czy ta osoba się ukrywa?

Bartholomew spojrział na niego przeciągle.

– Daj spokój, Lacy, błagam cię.

– Nadal jednak muszę zapytać, dlaczego zostałem oszukany.

– Mój drogi, to pytanie dziwnie brzmi w twoich ustach. Czyś całego swojego życia nie spędził na oszukiwaniu? – Lacy wyraźnie zachnął się na to oskarżenie. Młody mężczyzna wstał z fotela i podszedł do ognia, stając plecami do aktora. – Wiesz, powiem ci coś. Urodziłem się, mając przypisane sobie przeznaczenie. Wszystko, co ci opowiedziałem o moim domniemanym ojcu, mógłbym powiedzieć o moim prawdziwym ojcu i nawet jeszcze znacznie gorsze rzeczy, ponieważ jest starym głupcem i dał życie drugiemu głupcowi, to znaczy memu starszemu bratu. Jak widzisz, powierzono mi rolę do odegrania w pewnej historii i nie pozwolono zrezygnować z tej misji. Zwróć uwagę, jeśli o nas idzie, sprawa nie jest taka sama. Jeśli ty nie będziesz grał, stracisz tylko pieniądze. Ja stracę... znacznie więcej, niż możesz sobie wyobrazić. – Odwrócił się. – Nie mam wyboru, Lacy, chyba że ukradnę pierwszy. Jeśli pójdę tam, gdzie chcę, muszę iść jak złodziej, uciekając od tych, którzy chcą, bym postępował wedle ich woli. To wszystko. A teraz, naprawdę nic więcej już nie powiem.

Aktor wzruszył ramionami i skinął głową, jakby zdumiony, a Bartholomew ciągnął dalej spokojnie:

– Jutro wyjeżdżamy razem. Po kilku milach dotrzemy do miejsca, gdzie będziemy się musieli rozstać. Droga, którą ty i twój człowiek obierzecie, łączy się z traktem prowadzącym do Credition i Exeter, do którego to miasta chciałbym, żebyś dotarł jak najszybciej. Kiedy się już tam znajdziesz, możesz wrócić do Londynu, jak ci się podoba i kiedy ci się podoba. Pragnę, żebyś nie zdradził tylko jednego, mianowicie wszystkiego, co dotyczy mnie, oraz sposobu, w jaki dotarliśmy tutaj. Tak zresztą ustaliliśmy na początku.

– Czy dziewczyna jedzie z nami?

– Nie.

– Muszę panu coś powiedzieć. – Zrobił krótką przerwę.

– Jones, to jest Farthing, jest przekonany, że już ją przedtem widział.

Bartholomew znów odwrócił się do ognia. Zapadła chwila ciszy.

– Gdzie?

Aktor patrzył na jego plecy.

– Kiedy wchodziła do burdelu. Jak mu powiedziano, była tam zatrudniona.

– A co ty na to?

– Nie uwierzyłem mu.

– Masz rację, omylił się.

– Ale nie jest służącą pewnej damy, za pozwoleniem pańskim? Moim zdaniem powinien pan wiedzieć, że pański służący jest nią urzeczony. Farthing mi to powiedział, i nie bez powodu. Mówił, że on sam został odtrącony. – Zawahał się i dodał: – Któraś wieczoru poszedł do niej na górę.

Bartholomew spojrział na niego przeciągle, jakby aktor przebrał miarę, ale po chwili uśmiechnął się pogardliwie.

– Czyżby mąż nie miał prawa spać z własną żoną?

I znowu aktor był zaskoczony. Patrzył przez chwilę na swego rozmówcę, a potem spuścił wzrok.

– Może i tak. Ale musiałem to powiedzieć.

– Nie kwestionuję intencji, jakie tobą kierowały. Załatwimy nasze sprawy i jutro się oficjalnie pożegnamy, ale pozwól mi teraz podziękować za twoją pomoc i cierpliwość. Niewiele miałem do czynienia z ludźmi twojej profesji. Jeśli wszyscy są tacy jak ty, to sędzę, że wiele straciłem, nie znając was przedtem. Choć nie wierzysz mi w tylu innych sprawach, mam nadzieję, że w to mi uwierzysz. Szczerze pragnę, żebyśmy się jeszcze spotkali, lecz w okolicznościach nie tak zagmatwanych jak obecne.

Aktor uśmiechnął się żałośnie.

– Chciałbym, żeby tak było, sir. Niezależnie od moich obaw wzbudził pan moją wielką ciekawość.

– Obaw musisz zaniechać. Co do ciekawości możesz być spokojny. To naprawdę po prostu jakby opowieść, powiedzmy jedna z twoich sztuk. Sędzę, że nie pozwolisz widzom, żeby obejrżeli ostatni akt przed pierwszym, mimo że tak bardzo lubisz pewne jutro. Nieprawdaż? Wobec tego pozwól mi zachować moje tajemnice.

– Zawsze znałem ostatni akt każdej mojej sztuki, sir. Teraz nie mam tego przywileju.

– A ja ci nie mogę go dać, ponieważ nie został jeszcze napisany. Na tym polega istotna różnica. – Uśmiechnął się. – Życzę ci dobrej nocy, Lacy.

Aktor po raz ostatni spojrział na niego badawczo, ale też niepewnie, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zrezygnował. Skłonił się tylko i odwrócił. Kiedy otworzył drzwi, żeby wyjść, zatrzymał się zdziwiony i spojrział na Bartholomew.

– Pański służący czeka tu.

– Niech wejdzie.

Aktor zawahał się, jeszcze raz spojrzął na milczącego mężczyznę w mrocznym korytarzu, minął go i skinąwszy mu głową, oddalił się.

Głuchoniemy służący wszedł do pokoju, zamknął drzwi i czekał, patrząc na stojącego przed kominkiem swego pana. Ten powoli spojrzął na niego. Taka wzajemna wymiana spojrzeń byłaby dziwna, nawet gdyby trwała tylko jedną, dwie sekundy, ponieważ służący nie wykonał żadnego gestu okazującego szacunek. W rzeczywistości to wpatrywanie się w siebie trwało nadmiernie długo. Jak gdyby ze sobą rozmawiali, choć ich wargi nie poruszały się. Taka wymiana spojrzeń czasem zdarza się między mężem i żoną albo bliźniętami w pomieszczeniu, gdzie jest więcej osób, a oni nie mogą powiedzieć głośno, co naprawdę myślą. Ta jednak trwała znacznie dłużej niż tego rodzaju wymiana sekretnych uczuć i była pozbawiona jakichkolwiek ukrytych aluzji. Przypominała odwrócenie kartki w książce, lecz tam gdzie można by oczekiwać dialogu albo przynajmniej opisu gestów i sytuacji, nie było nic. Tylko zupełnie pusta, nie zadrukowana strona albo w ogóle brak strony. Dwaj mężczyźni stali pogrążeni w milczeniu, zapatrzeni w siebie niby w lustro.

Wreszcie obaj się poruszyli, jak gdyby znowu ruszyła filmowa stopklatka. Dick odwrócił się do skrzyni, obok której stał. Bartholomew usiadł znów w fotelu i patrzył, jak służący podnosi ją, stawia przed kominkiem i nie patrząc na swego pana, zaczyna rzucać stosy zapisanego papieru na czerwony żar, jakby to były stare gazety. Papier prawie od razu się zajął i wtedy Dick ukląkł i z kolei począł palić oprawne w skórę książki. Wyjmował jeden po drugim, małe i duże foliały. Wiele miało wytłoczone na okładce złociste herby. Wrzucał je wprost w narastające coraz bardziej płomienie. Kilka rozdarł, niektóre popychał w stronę ognia albo przesunął pogrzebaczem, by szybciej się paliły.

Bartholomew wstał, sięgnął po stos papierów na stole i rzucił w płomienie. Potem stanął za pochylonym służącym, który właśnie sięgnął po drwa naszykowane obok kominka, wziął kilka polan i ułożył na krzyż na żarzącym się papierze, po czym zaczął się wpatrywać w ogień. Obaj mężczyźni patrzyli teraz na to małe całopalenie tak jak przedtem na siebie. W prawie pustym pokoju, gdzie blask bijący z paleniska był o wiele jaśniejszy niż świece palące się w kandelabrze, swobodnie tańczyły cienie.

Bartholomew zrobił krok i pochylił się nad skrzynią, żeby się upewnić, że

została opróżniona. Potem nałożył pokrywę, wrócił do fotela i znowu usiadł, czekając na koniec tej niezrozumiałej ofiary, na to, żeby każdy skrawek papieru, każda strona przemieniła się w popiół.

Kilka minut później Dick zwrócił wzrok na swego pana i z kolei na jego twarzy zagościł słaby uśmiech. Był to uśmiech kogoś, kto zna przyczynę dokonanego czynu i jest z tego rad. Nie był to uśmiech służącego jak też i nie starego przyjaciela ani współwinowajcy. Co trzeba, zostało zrobione. Odpowiedzią był tajemniczy uśmiech Bartholomew, i znów na kilka sekund ich spojrzenia spotkały się. Tym razem pierwszy spuścił wzrok Bartholomew. Podniósł lewą dłoń, robiąc koło z kciuka i palca wskazującego, potem wyprostował palec wskazujący prawej ręki i szybkim gestem jeden raz przebił koło.

Dick wstał i podszedł do ławy stojącej w nogach łóżka, podniósł ją i ustawił przed palącym się jasno ogniem, o jakieś dziesięć stóp od niego. Potem wrócił do łóżka i rozsunął kotary, po czym, nie spojrzawszy nawet na swego pana, wyszedł z pokoju.

Bartholomew wpatrywał się w ogień, pogrążony w myślach. Trwał tak, aż drzwi znowu się otworzyły. W progu stała jaskrawo umalowana dziewczyna z poddasza. Dygnęła bez uśmiechu i powoli wkroczyła do środka. Dick był za nią, zamknął drzwi, ale nie wszedł dalej. Bartholomew wciąż patrzył w płomienie, jakby nierad, że ktoś mu przeszkadza. Dopiero po dłuższej chwili spojrzał zimno na dziewczynę. Zlustrował ją wzrokiem jak jakieś zwierzę: jej różową brokatową suknię, koronkowe duże mankiety przy rękawach, wiśniowe i żółtawe ostre zakończenie stanika, tak że tworzył odwrócony stożek, nienaturalnie umalowaną twarz, biały czepek ze zwisającymi wstążkami. Założyła też mały naszyjnik z krwawników. Całość robiła raczej dobre wrażenie, jednak tutaj wszystko to wydawało się nie na miejscu, jakby coś naturalne i ładne stało się sztuczne i pretensjonalne. To nowe ubranie wcale nie poprawiło wyglądu dziewczyny.

– Czy mam cię odesłać z powrotem do madame Claiborne, Fanny? I kazać jej, żeby cię wychłostała za twoją ponurą minę?

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, stała nieruchomo, nie zdziwiła się też, kiedy Bartholomew zwrócił się do niej nie tym imieniem, którego używał, mówiąc o niej Farthing – Louise.

– Czyż nie nająłem ciebie po to, żeby mieć przyjemność?

– Tak, sir.

– Żeby poznać te twoje sztuczki francuskie, włoskie. – Dziewczyna znowu nie odpowiedziała. – Skromność pasuje do ciebie jak jedwab do gówna. Ilu mężczyznom dogodziłaś w ciągu ostatnich sześciu miesięcy?

– Nie wiem, sir.

– W jaki sposób? Claiborne opowiedziała mi o tobie wszystko. Nawet ospa boi się tknąć twego wstrętnego ścierwa. – Obserwował ją. – Odgrywałaś rolę chłopca wobec każdego zbrojnego w Londynie. Nawet nosiłaś męski strój, żeby rozpalić ich żądzę. – Spojrzał na nią ostro. – Odpowiadaj. Tak czy nie?

– Tak, sir, nosiłam męskie ubranie.

– Za co będziesz się smażyć w piekle.

– Nie będę tam sama, sir.

– Ale będziesz podwójnie przypiekana, ponieważ to ty ich kusiałaś. Czy myślisz, że Bóg nie robi różnicy w swoim gniewie między tymi, co upadli, a tymi, co ich do upadku doprowadzili? Między słabością Adama a niegodziwością Ewy?

– Nie wiem, sir.

– Tak będzie. Mówię ci. I powiem jeszcze, że wyciągnę z ciebie wszystko, czy chcesz, czy nie. Słyszałaś kiedy, żeby koń mówił swemu panu, jak ma jeździć?

– Uczyniłam wszystko wedle pańskiej woli.

– Potajemnie. Twój bezwstyd ukazał się tak samo jawnie jak twoje piersi. Czy myślisz, że jestem ślepy i nie widziałem twego spojrzenia, kiedy byliśmy koło brodu?

– Ale to było tylko spojrzenie, sir.

– A ten pęczek kwiatów, który trzymałaś koło nosa, tych jakichś tam fiołków?

– Tak, sir.

– Ty kłamliwa suko!

– Nie, sir.

– A ja mówię tak, sir. Widziałem twoje spojrzenie i co ono mówiło, a te twoje cholerne fiołki śmierdziały.

– Zerwałam je dla nich samych, sir. Nic innego nie miałam na myśli.

– Przysięgniesz?

– Tak, sir.

– No, to klękaj. O, tu. – Pokazał miejsce przed sobą koło ławy. Dziewczyna zawahała się, ale podeszła i uklękła, głowę miała schyloną. – Chcę widzieć twoje oczy. A teraz powtarzaj: jestem publiczną dziwką.

– Jestem publiczną dziwką.

- Wynajętą do pańskiego użytku.
- Wynajętą do pańskiego użytku.
- Żeby panu we wszystkim dogodzić.
- Żeby panu we wszystkim dogodzić.
- Jestem poczęta z Ewy ze wszystkimi jej grzechami.
- Jestem poczęta z Ewy.
- Ze wszystkimi jej grzechami.
- Ze wszystkimi jej grzechami.
- I winna bezczelności.
- Winna bezczelności.
- Której odtąd się wyrzekam.
- Której odtąd się wyrzekam.
- I to przysięgam.
- To przysięgam.
- Albo niech będę potępiona w piekle.
- Potępiona w piekle.

Bartholomew długą chwilę patrzył w oczy dziewczyny. Coś demonicznego malowało się w jego twarzy, okazywanego nie w gniewie czy uczuciu, ale w chłodzie, obojętności wobec klęczącej przed nim kobiety. Świadczyło to o czymś ukrytym dotąd w jego charakterze, o sadyzmie przed markizem de Sade, który jeszcze przebywał w ciemnym labiryncie czasu, by się urodzić w cztery lata później, i tak samo odrażającym jak dusząca woń spalonej skóry i papieru, która przenikała pokój. Jego twarz była w tym momencie antytezą ludzkich uczuć.

- Zostałaś wypowiedzana. A teraz obnaż swoje grzeszne, skazone ciało.

Dziewczyna przez chwilę wpatrywała się w podłogę, potem wstała i zaczęła się rozbierać. Bartholomew siedział nadal niewzruszony w swoim fotelu i czytał. W trakcie rozbierania się dziewczyna nieco odwróciła się do niego plecami. Gdy skończyła, usiadła na dalszym krańcu ławki, koło rzeczy, które zdjęła, i na koniec ściągnęła pończochy ze strzałkami. Wreszcie została zupełnie naga, mając tylko na sobie naszyjnik z krwawników i czepek. Siedziała z pochyloną głową, z rękami na kolanach. Jej szczupłe ciało z małymi piersiami, raczej białe niż różowe, na którym nie widać było żadnych krost ani wyrzutów, o co została przed chwilą oskarżona, nie było w guście mężczyzn ówczesnej epoki.

- Czy ci wygodził? – Dziewczyna milczała. – Odpowiedz.

– Ja mam skłonność do pana, sir. Ale pan tego nie chce.

– Masz do niego. I jego kutasa.

– Taka była pańska wola.

– Żeby zobaczyć, jak się zabawiacie i parzycie. A nie żebyś się puszyła swoim związkiem jak gruchająca gołąbka. Czyż nie wstyd ci, że ty, która miałaś znajomość z najlepszym, teraz upadłaś tak nisko? – Milczała. – Odpowiedz.

Najwyraźniej zawstydzona do granic wytrzymałości nie chciała odpowiedzieć. Bartholomew popatrzył na nią, na jej spuszczoną buntowniczo głowę, a potem na stojącego przy drzwiach Dicka, i znowu spojrzeli na siebie tak jak przed jej przyjściem – jak na tajemniczą pustą stronę. Tym razem jednak nie trwało to długo, a choć Bartholomew nie dał widocznego znaku, Dick nagle się odwrócił i wyszedł. Dziewczyna rzuciła okiem na drzwi, jak gdyby tym zdziwiona, ale nie poprosiła o wyjaśnienie.

Byli teraz sami, wstał i podszedł do kominka. Tutaj pochylił się, wziął pogrzebacz i starannie przesunął ostatnie skrawki papieru, które nie spłonęły, w stronę palących się bierwion. Potem wyprostował się i odwrócony do niej tyłem patrzył na kominek. Powoli uniosła głowę i zaczęła mu się przyglądać. W jej piwnych oczach pojawiło się coś w rodzaju namysłu, może wyrachowania. Chwilę wahała się, wstała, podeszła cicho bosymi stopami i zatrzymała się za plecami milczącego mężczyzny. Coś powiedziała prawie bezgłośnie. Nietrudno było odgadnąć jej intencje, ponieważ ręce podniosła wolno, choć wprawnym gestem, i położyła mu na bokach, przytulając się nagim ciałem do jego pleców, tak jakby jechała za kimś na jednym koniu.

Gwałtownie schwycił jej ręce, nie gniewnie, ale po to, by nie zsunęły się do przodu, i odezwał się, o dziwo, nie tak ostro i karcąco jak przedtem:

– Jesteś głupia, Fanny, i kłamiesz. Słyszałem, jak głęboko oddychałaś, kiedy cię ostatnio dosiadł.

– To było tylko udane, sir.

– Byłaś bardzo chętna.

– Nie, sir. Tylko panu chcę się podobać.

Nic nie powiedział, jej ręce próbowały uniknąć jego dłoni i znowu wysunęły się do przodu, ale zostały stanowczo odtrącone.

– A teraz ubieraj się.

Nadal próbowała go ułagodzić.

– Z całego serca, sir. Sprawię, że będzie panu stał jak pałka miejskiego strażnika, żeby potem mógł pan ze mnie do woli skorzystać.

– Ty nie masz serca. Okryj swój bezwstyd. I wynoś się!

Mocno zamyślony stał przed kominkiem plecami do pokoju, podczas gdy ona się ubierała. Kiedy była gotowa, usiadła znów na ławie i czekała. Wreszcie przerwała milczenie:

– Jestem ubrana, sir.

Odwrócił się nieco, jakby zbudzony ze snu, ale zaraz znów zapatrzył się w ogień.

– Kiedy po raz pierwszy zostałeś sprowadzona na drogę rozpusty?

Coś w jego głosie, jakaś nieoczekiwana iskierka ciekawości sprawiła, że odparła z ociąganiem:

– Jak miałam szesnaście lat, sir.

– W burdelu?

– Nie, sir. To był syn ludzi, u których byłam służącą.

– W Londynie?

– W Bristolu, gdzie się urodziłam.

– Zrobił ci dziecko?

– Nie, sir, ale jego matka przyłapała nas pewnego dnia.

– Otrzymałaś zapłatę za swoją służbę?

– Jeśli kij od miotły można nazwać zapłatą.

– Jak dostałaś się do Londynu?

– Przymierając głodem.

– Bóg nie zachował ci rodziców?

– Oni nie pozwoliliby mi wrócić do domu. To są „przyjaciele”.

– Jak to przyjaciele?

– Ludzie nazywają ich także kwakrami. Moja pani i pan też należeli do kwakrów.

Odwrócił się, z rozstawionymi nogami, z dłońmi splecionymi z tyłu.

– I co dalej?

– Młody panicz dał mi pierścionek, nim nas przyłapano. Ukradł go matce z jej kasetki. Wiedziałam, że jak to odkryją, mnie oskarżą, bo matka nie uwierzy w winę syna. Tak więc szybko sprzedałam pierścionek i dotarłam do Londynu. Wkrótce znalazłam pracę i myślałam, że mam jednak szczęście. Ale tak nie było, bo mój pan

zaczął mnie napastować i musiałam mu ulec, gdyż bałam się stracić to miejsce. Kiedy moja nowa pani odkryła, co się święci, znów znalazłam się na ulicy. I musiałam w końcu zebrać, ponieważ nie mogłam dostać żadnej pracy. Było coś takiego w mojej twarzy, że nie podobałam się zamożnym paniom, a to one przecież godzą służbę. – I po chwili dodała: – Zostałam zmuszona do tego, sir. Tak jak większość z nas.

– Ale większość kobiet w potrzebie nie zostaje ladacznicami.

– Wiem o tym, sir.

– A więc zepsucie leży w twojej lubieżnej naturze.

– Tak, sir.

– I twoi rodzice mieli rację, że cię potępiłi, choć wyznają fałszywą doktrynę.

– Za to, co zrobiłam, tak, sir. Ale obwiniano mnie o wszystko. Moja pani mówiła każdemu, że opętałam czarami jej syna. Nieprawda, to on pierwszy zmusił mnie do pocałunku, to on ukradł pierścionek, nie pytając mnie o zdanie, i w ogóle był winien tego wszystkiego, co się potem stało. Moi rodzice nie chcieli o mnie słyszeć, powiedzieli, że zaprzeczyłam wewnętrznemu światłu. Że jestem dzieckiem szatana, a nie ich, i że zatruję moje siostry.

– Co to za wewnętrzne światło?

– Światło Chrystusa. To jest istota ich wiary, sir.

– Ale nie dla ciebie od tamtego dnia?

– Nie, sir.

– Nie wierzysz w Chrystusa?

– Nie wierzę, że Go spotkam na tym świecie, sir. Ani na tamtym.

– Wierzysz w tamten świat?

– Tak, sir.

– Który musi być piekłem dla takich jak ty.

– Modlę się, żeby nie, sir.

– Czyż nie jest to tak pewne jak to, że to drewno spali się na popiół? – Dziewczyna jeszcze bardziej spuściła głowę i nie odpowiedziała. Ciągnął dalej tym samym spokojnym tonem: – Albo tak pewne jak piekło, które oczekuje cię tutaj na ziemi, kiedy staniesz się mało atrakcyjna w burdelu. Skończysz, Fanny, jako zwyczajna stręczycielka albo starucha w przytułku dla nędzarzy. Jeśli przedtem nie umrzesz na ospę. A może chcesz mnożyć dalej swoje grzechy i stać się w przyszłości jeszcze jedną madame Claiborne? Ale to cię nie zbawi. – Przestał mówić i czekał, ale dziewczyna się nie odezwała. – Dlaczego milczysz? Mowę ci odjęło?

– Ja nie chciałam być taka, jaka jestem, sir. Tym bardziej nie chcę być madame Claiborne.

– Cnotliwą żoną, bez wątpienia. Z płaczącymi dziećmi uwieszonymi u twojej spódnicy.

– Jestem bezpłodna, sir.

– No, to istotnie rzadki z ciebie okaz, Fanny.

Powoli podniosła głowę i napotkała jego wzrok, była raczej zdumiona niż dotknięta, że tak została wyszydzona, i chyba starała się wyczytać z jego twarzy wszystko, czego nie rozumiała w słowach. To, co się stało potem, było jeszcze bardziej niezrozumiałe, gdyż nagle tę lodowatą twarz rozjaśnił uśmiech – niezupełnie szczery uśmiech, ale też nie cyniczny i nie szydyczny. A najdziwniejsze, że wyrażał on jakby zrozumienie. Potem zaś nastąpiło jeszcze coś dziwniejszego, gdyż zrobił kilka kroków, stanął przed nią, pochylił się, wziął jej prawą rękę w dłoń i uniósł szybko do ust. Po czym nie puszczać jej ręki, patrząc z góry na jej twarz, nadal się uśmiechał. Przez chwilę Bartholomew z łysą głową i Fanny z umalowaną mocno twarzą wyglądali jak kłowni z *fête galante* na obrazie Watteau. Nagle puścił jej rękę i wrócił do swego fotela, usiadł w nim, a ona spojrzała na niego wstrząśnięta.

– Dlaczego pan to zrobił, sir?

– Nie wiesz, dlaczego dżentelmen całuje kobietę w rękę?

– Tego już było dla niej za wiele. Zagubiona spuściła głowę i potrząsnęła nią bezradnie. – Za to, co masz zamiar mi dać, droga gołąbeczko.

Znów zdumiona spojrzała na niego uważnie.

– Co mam panu dać, sir?

– Wkrótce znajdziemy się w pobliżu tych wód, o których mówiłem, a które mnie wyleczą. Jutro spotkamy się z tymi, którzy ich strzegą i są w mocy spełnić moje najtajniejsze nadzieje. Dam im prezent, znak mego szacunku. Nie pieniądze ani klejnoty, im nie zależy na takich rzeczach. Tym prezentem będziesz ty, Fanny. – Wpatrywał się w nią uważnie. – Co powiesz na to?

– To, co muszę, sir. Że jestem związana z panią Claiborne i że przysięgam jej wrócić.

– Przysięga wobec diabła nie jest przysięgą.

– Być może, sir. Ale ona jest gorsza od diabła, zwłaszcza dla tych z nas, które by ją porzuciły. Albo ona musiałaby zniknąć, albo my wszystkie.

– Czyż przed chwilą nie powiedziałaś, że wolałabyś nie być taka, jaka jesteś?

– Nie jestem jeszcze najgorsza – szepnęła prawie niesłyszalnie.

– Czy nie powiedziała ci, że się umówiliśmy, iż musisz mi się we wszystkim podporządkować?

– Tak, sir, ale nie że również innym.

– Kupiłem ciebie na trzy tygodnie, czyż nie tak?

– Tak, sir.

– A więc mogę cię wykorzystywać jeszcze przez dwa tygodnie. A ponieważ za to wykorzystywanie dużo zapłaciłem, rozkazuję ci rzecz następującą. Jutro spróbujesz spodobać się tym, których mamy nadzieję spotkać. – Schyliła głowę, jakby niechętnie ulegając, a on ciągnął dalej: – Chciałbym, żebyś teraz zapamiętała każde moje słowo, Fanny. Nie możesz popełnić omyłki co do obyczajów i wyglądu ludzi strzegących tych wód. Oni niedawno przybyli ze swego rodzinnego kraju. Jest bardzo daleko stąd i oni nie mówią naszym językiem.

– Znam trochę francuski, kilka słów po holendersku.

– Tych języków także nie znają. Z nimi musisz tak rozmawiać, jak nauczyłaś się porozumiewać z Dickiem. – Zamilkł, patrząc na jej spuszczoną głowę. – Zachowałeś się tu dobrze, Fanny. Moje niezadowolenie było udane, chciałem cię sprawdzić, czy nadasz się do tego tak istotnego dla mnie zamysłu. A teraz słuchaj uważnie. W ich kraju nie ma takich kobiet jak ty. Jesteś na tyle zdolna, że potrafisz odegrać rolę cnotliwej dziewicy. I chcę, żebyś taka jutro była. Żadnej szminki, cudactw ani londyńskich manier. Żadnych znaczących spojrzeń, ani śladu, kim naprawdę jesteś. Powściągliwość we wszystkim, młoda dama wychowana w prowincjonalnej skromności, niewinna, która nie ma pojęcia, co to mężczyzna. Dla tych, których spotkamy, musisz być uosobieniem niewinności i godności. Wyrzuć swoją agresywną żądzę, nie wolno ci pokazać im tego, czym uraczyłaś mnie zaledwie pół godziny temu, a i z tysiąc innych mężczyzn. Zrozumiałaś?

– Czy taka mam być, kiedy będą mnie chcieli wziąć do łóżka?

– Będziesz musiała robić to, czego będą wyraźnie chcieli.

– Czy będę miała ochotę, czy nie?

– Powiadam ci, będziesz spełniała ich wolę, bo to będzie moja wola. Czy pani Claiborne pozwala ci wybierać, na kogo masz ochotę, jakbyś była prawdziwą damą?

Znowu zwiesiła głowę i zapadła cisza. Bartholomew przyglądał się jej uważnie. Twarz jego pozbawiona była teraz nie tylko cynizmu lub sarkazmu, ale i poprzedniego okrucieństwa. Wyrażała tylko dziwną cierpliwość i spokój. Przypominał buddyjskiego

mnicha, nadzwyczajnie zrównoważonego i opanowanego, zatopionego w tym, czym jest i co czyni. A jednak w jego oczach było coś więcej, i to jeszcze bardziej nieoczekiwanego. Do tej chwili nic w jego zachowaniu nie zapowiadało zadowolenia, satysfakcji podobnej do tej, jaką jego służący okazał przelotnie, kiedy płonęły papiery. Minęła długa chwila, nim się znowu odezwał:

– Podejź do okna, Fanny.

Spojrzała na niego i powód jej milczenia stał się jasny. Oczy miała mokre od łez. Były to ciche łzy dziewczyny, która nie ma wyboru. W jej czasach ludzi osądzano wedle ich zewnętrznego wyglądu. Wedle tego kryterium oceniano samych siebie, zaszufadkowanych, przypisanych określonej kategorii przez okoliczności i los. Nam taki świat wydawałby się odrażająco skostniały, wyznaczający każdemu jego osobiste przeznaczenie, trudny do zaakceptowania, totalitarny w swej istocie. Z kolei dla ówczesnych nasze obecne życie byłoby równie nie do zniesienia, płynne, ruchliwe, kierowane wolną wolą (którego bogactwo, podobnie jak Midasowe, było nie tyle godne pozazdroszczenia, ile współczucia z powodu braku wartości absolutnych i stałości warunków społecznych), a nade wszystko anarchiczne, po wariacku napędzane egocentryzmem i własnym interesem. Fanny nie płakała na skutek frustracji i gniewu, poczucia ważności swego „ja”, ponieważ życie zmuszało ją do tego rodzaju upokorzeń, płakała raczej jak nieme smutne zwierzę. Były one tak samo nieodłącznie związane z jej życiem jak błoto z drogą w zimie albo śmierć dziecka z jego narodzinami (na 2710 zgonów dzieci, zapisanych w ówczesnej Anglii w przeciętnym miesiącu, prawie połowę stanowiły dzieci zmarłe w wieku poniżej pięciu lat). Warunki w owej epoce były o wiele twardsze, tak bardzo twarde, że nie potrafimy tego sobie wyobrazić, i niełatwo było wówczas wzbudzić współczucie, o czym świadczyła pozbawiona wyrazu twarz pana Bartholomew.

– Zrób, jak ci powiedziałem – rzekł spokojnie.

Nadal się wahała, ale nagle podjęła decyzję i stanęła przy oknie.

– Otwórz teraz okiennice i wyjrzyj na zewnątrz. – Nie odwracając się w fotelu, nasłuchiwał, czy wykonała jego polecenie. – Czy widzisz Odkupiciela na tronie w niebiosach obok Jego Ojca?

Spojrzała na niego.

– Pan wie, że nie widzę.

– Więc co zamiast tego widzisz?

– Nic. Tylko noc.

– A w tej nocy?

Wyjrzała szybko przez okno.

– Nic, oprócz gwiazd. Niebo jest czyste.

– Czy promienie tej najjaśniejszej drżą?

Znowu wyjrzała.

– Tak, sir.

– Czy wiesz, dlaczego?

– Nie, sir.

– No to ci powiem. Drżą ze śmiechu, Fanny, bo z ciebie kpią. Kpią sobie z ciebie od dnia twych urodzin. I będą to robić aż do dnia twojej śmierci. Dla nich ty i cały twój świat to tylko malowany cień. Nie ma dla nich żadnego znaczenia, czy wierzysz w Chrystusa czy nie. Czy jesteś grzesznicą czy świętą, ladacznicą czy księżniczką. Kobieta czy mężczyzną, czy jesteś młoda czy stara, im jest wszystko jedno, co cię czeka, niebo czy piekło, dobry los czy zły, cierpienie czy szczęście, dla nich to nie ma żadnego znaczenia. Urodziłaś się dla ich rozrywki, tak jak zostałaś kupiona dla mojej. W ich świetle jesteś tylko głupim zwierzątkiem, tak samo głucha i niema jak Dick, jak sam los. Nie dbają wcale o to, co się z tobą stanie ani jak się potoczy twoja marna egzystencja, podobnie jak ci, którzy z wysokiego wzgórza obserwują toczącą się w dole bitwę, obojętni na wszystko, ciekawi tylko samego widowiska. Jesteś niczym dla nich, Fanny. Czy mam ci powiedzieć, dlaczego szydzą z ciebie? – Nic nie powiedziała. – Ponieważ ty nie szydzisz z nich.

Dziewczyna spojrzała na tył jego głowy.

– Jak mogę szydzić z gwiazd, sir?

– A jak szydzisz z człowieka?

Długo nic nie mówiła, wreszcie odezwała się:

– Unikam go albo drwię z jego pożądaniami.

– Ale powiedzmy, że ten człowiek to sędzia, który kazał cię wychłostać i zakuć w dyby bez żadnego powodu?

– Gdybym była niewinna, protestowałabym.

– A gdyby on tego nie słyszał? – Milczała. – Wtedy musiałabyś siedzieć w dybach.

– Tak, sir.

– Czy to jest prawdziwa sprawiedliwość?

– Nie.

– Teraz powiedzmy, że sędzia, który wydał taki wyrok, nie jest mężczyzną, ale tobą samą i że dyby, w których siedzisz, nie są zrobione z drewna i żelaza, ale z twojej ślepoty i głupoty? I co wtedy?

– Jestem zaskoczona, sir. Nie wiem, czego pan po mnie oczekuje.

Wstał i podszedł do kominka.

– Tego, czego będę mieć znacznie więcej niż ty, Fanny.

– Sir?

– No, dość już. Idź, gdzie masz spać, i pozostań tam aż do przebudzenia.

Przez chwilę stała nieruchomo, potem ruszyła w kierunku drzwi, ale zatrzymała się przy ławie i z ukosa spojrzała na niego.

– Przepraszam pana, sir, ale co pan będzie mieć?

Zamiast odpowiedzi ujrzała podniesioną rękę, która wskazała jej drzwi. Odwrócił się od niej, dając w ten sposób znak, że to koniec rozmowy. Dygnęła, czego nie widział, i wyszła.

Przez dłuższy czas stał zapatrzony w gasnący ogień. Wreszcie odwrócił się i spojrzał na ławę, potem podszedł do okna. Wyjrzał przez nie, tak samo jak ona, prawie jakby chciał upewnić się, że tylko gwiazdy są na niebie. Nie można było wyczytać z jego twarzy, co myśli, choć nastąpiła w niej metamorfoza. Zdawała się teraz wyrażać, oczywiście w kategoriach jego płci i cech charakterystycznych, łagodność, jaka się pojawiła na twarzy dziewczyny podczas ich rozmowy. Wreszcie spokojnie zamknął okiennice. Rozpinając swoją długą kamizelę, podszedł do łóżka, tutaj padł na kolana i oparty o boczną deskę ukrył twarz w dłoniach jak człowiek, który szuka niezasłużonego przebaczenia, albo dziecko tulące się do spódnicy matki.

Barnstaple, czwartek, 17 czerwca.

Sześć tygodni minęło od odkrycia w lesie parafialnym, o 10 mil stąd, nieznanego, który się własnoręcznie powiesił, w każdym razie tak stwierdził koroner, ponieważ podczas wstępnego dochodzenia nie znalazł nazwiska tego felona de se ani też powodu tak przerażającego czynu. Teraz zajął się ponownie sprawą wskutek alarmującej informacji o znacznie większej zbrodni. Wiadomo obecnie, że był to służący, mimo że głuchoniemy, pewnego dżentelmena nazwiskiem Bartholomew, który jechał do Bideford wraz z trzema innymi osobami ostatniego dnia kwietnia, o którym od tego czasu nie słyszano, jak również o jego towarzyszach. Nasuwa to przypuszczenie, że w przystępie szaleństwa niemy sługa zabił wszystkich i ukrył ich ciała, a potem pod wpływem wyrzutów sumienia albo w obawie przed sprawiedliwością zakończył swój nędzny żywot. Jednak rzecz dziwna, że do dziś dnia nie zostało wszczęte śledztwo przez przyjaciół pana Bartholomew.

„The Western Gazette”, 1736

Przesłuchanie i zeznanie

TOMASZA PUDDICOMBE'A,
które złożył pod przysięgą
trzydziestego pierwszego dnia lipca,
w dziesiątym roku panowania naszego Władcy,
Jerzego Drugiego, z Bożej łaski Króla Wielkiej Brytanii
i Anglii etc.

Mam sześćdziesiąt sześć lat. Od czterdziestu lat jestem właścicielem gospody „Pod Czarnym Jeleniem”, tak jak przedtem mój ojciec. Jestem obywatelem tego miasta. Trzy razy byłem burmistrzem, a także sędzią.

PYTANIE: Panie Puddicombe, najpierw chciałbym, żeby pan potwierdził, że ten portret w miniaturze, który panu pokazałem i znowu pokazuję, przedstawia młodszego z dwóch dżentelmenów, którzy zatrzymali się w pańskiej gospodzie trzy miesiące temu.

ODPOWIEDŹ: Wedle mego przekonania jest do niego podobny. Mógłbym na to przysiąc. Choć ubrany jest mniej wytwornie.

P: Proszę spojrzeć na jego twarz. Ubranie jest nieważne.

O: Tak, to on.

P: Bardzo dobrze. Kiedy oni przybyli?

O: Ostatniego dnia kwietnia tego roku. Dobrze to pamiętam. Nigdy tego nie zapomnę.

P: O której godzinie?

O: Najpierw przyjechał jakiś mężczyzna, trzy godziny przed zachodem słońca, i zamówił pokoje i jedzenie. Gdyż, jak powiedział, kiepsko jedli i mają puste brzuchy.

P: Jak się nazywał?

O: Farthing. Potem odjechał, żeby ich przyprowadzić. Przybędą, jak powiedział, trochę po szóstej albo coś koło tego.

P: Razem było ich pięcioro?

O: Wuj i siostrzeniec, dwaj mężczyźni i dziewczyna.

P: Był to pan Brown i pan Bartholomew, takie podali nazwiska?

O: Tak istotnie było, sir.

P: Czy coś zwróciło pana uwagę w ich zachowaniu?

O: Wtedy nie. Dopóki nie dowiedziałem się o tym odkryciu.

P: Ale tego wieczora, kiedy przybyli?

O: Wyglądało, że jest tak, jak mówili, że jadą do Bideford. Bardzo mało rozmawiałem z tymi dżentelmenami. Młodszy zaraz po przybyciu poszedł do swego pokoju i nie pokazał się aż do wyjazdu. Tyle wiem o nim co o przechodniu, którego minąłem na ulicy. Zjadł wieczerzę, przespał się, obudził, zjadł śniadanie. To wszystko działo się w czterech ścianach jego pokoju. A potem odjechał.

P: A wuj?

O: Miałbym trochę do powiedzenia, sir. Po wieczerzy pił herbatę z panem Beckfordem i...

P: Kto to jest?

O: Nasz pleban. Przyszedł złożyć im wyrazy uszanowania.

P: Znał ich?

O: Nie sędzę. Kiedy powiedziałem im, że jest na dole, sprawiali wrażenie, że go nie znają.

P: Stało się to w jaki czas po ich przybyciu?

O: W jakąś godzinę, może więcej, sir. Oni zjedli akurat wieczerzę.

P: Czy rozmawiali z nim?

O: To pan Brown zszedł na dół, sir, po kilku minutach i usiadł z panem Beckfordem w oddzielnym saloniku.

P: To był wuj? Siostrzeniec nie był przy tym obecny?

O: Tylko wuj, sir.

P: Jak długo?

O: Niecałą godzinę, sir. Nawet krócej.

P: Czy pan słyszał, o czym rozmawiali?

O: Nie, sir. Obsługiwała ich dziewczyna imieniem Dorcas. Ona powiedziała...

P: Tego sam się dowiem od niej. Proszę mówić to, co pan widział na własne oczy i słyszał na własne uszy.

O: Zaprowadziłem pana Browna tam, gdzie czekał pan Beckford. Skłonili się sobie uprzejmie i usiedli, ale ja nic więcej nie słyszałem, bo poszedłem dopilnować ich herbaty.

P: Witali się jak obcy... czy jak ludzie, którzy przedtem się znali?

O: Jak obcy, sir. Pan Beckford często tak robi.

P: To znaczy jak?

O: Spotyka się z moźniejszymi ludźmi, którzy tędy przejeżdżają. Z takimi,

którzy są wykształceni i znają łacinę.

P: Słowem dwaj dżentelmeni, którzy spotkali się przypadkowo?

O: Tak myślę, sir.

P: Czy pan Beckford mówił panu o tym spotkaniu później? O tym, co zaszło?

O: Nie, sir. Kiedy wychodził, powiedział tylko, że powinienem dobrze obu dżentelmenów obsłużyć. I że wuj jest znaczną osobą w Londynie i prowadzi chrześcijański interes. Tak powiedział, sir, chrześcijański interes.

P: To znaczy jaki?

O: Nie powiedział tego, sir. Ale ten człowiek, ten Farthing mówił w kuchni, dlaczego podróżują. Że młody pan ma odwiedzić swoją ciotkę w Bideford. Bogatą damę, powiedział, siostrę pana Browna. Bogatą jak sułtanka, tak powiedział. A dziewczyna zabrana z Londynu miała jej służyć, czesać ją i tak dalej.

P: Jednak w Bideford nikt taki nie mieszka?

O: Nie, wedle ostatnich dochodzeń. Kiedy nadmieniałem, że nie znam nikogo takiego, Farthing powiedział, że nic w tym dziwnego, ponieważ ona żyje samotnie i nie w samym mieście Bideford, ale w pobliżu. Oczywiście kłamał, łajdak, bo oni wypyтали wszystkich i sprawdzili, że nie ma tam damy tego nazwiska.

P: A co mówił Farthing o profesji pana Browna?

O: Że jest kupcem w Londynie i radnym miejskim, że ma dzieci, ale został wyznaczony opiekunem swego siostrzeńca po śmierci jego rodziców. Bo on był synem drugiej siostry, która zmarła, i jej mąż także.

P: A ten siostrzeniec nie odziedziczył żadnego majątku?

O: Stracił wszystko. Dlatego wziąłem Farthinga na spytki. Ale skłamał we wszystkim.

P: Mówił coś o zmarłych rodzicach pana Bartholomew?

O: Nie, sir. Tylko to, że ich syn jest całkiem od nich inny.

P: Dobrze. A teraz chciałbym dowiedzieć się czegoś bliższego o służących.

O: Z jednym to prosta historia. Ale ten służący siostrzeńca, ten którego znalezione, o tym nic nie wiem.

P: Jak się nazywał?

O: Wołali go Dick, nazwiska nie miał, sir. A jakie rzeczy opowiadał o nim Farthing. Żałuję, że to usłyszały moje dziewczęta. Miałem za swoje, kiedy pani Puddicombe wróciła do domu. Była w Molton, bo nasza najmłodsza córka była w połogu, urodziła syna i...

P: Tak, tak, panie Puddicombe. Jakie to rzeczy opowiadał o nim?

O: Że pomyłony i wszetecznik. Ale ja tam nie wierzę Farthingowi, bo to Walińczyk. A im nie można wierzyć.

P: Jest pan pewny, że był Walińczykiem?

O: Jakiem Puddicombe, sir. Poznałem to przede wszystkim po jego akcencie. Potem po przechwałkach, że był kiedyś bosmanem w marynarce wojennej, bo tak chciał nam wmówić. Koniecznie chciał być od nas mądrzejszy. Robił to, żeby zyskać względy moich służących. A co do wszeteczności, to się okazało, że to siebie powinien był obwiniać, a nie tego tam, którego nazywali Dick.

P: Dlaczego?

O: Dowiedziałem się, dopiero kiedy odjechali, sir, bo dziewczyna bała się mówić. Moja służąca, Dorcas, sir. Chciał sobie z nią poswawolić w nocy. Obiecywał jej za to szylinga. Ale to dobra dziewczyna, spokojna i nie zaczepia nikogo.

P: O czym jeszcze mówił?

O: Wiele o sprawach wojskowych i o swoich wtedy wyczynach. Chciał nam wmówić, że był dzielniejszy niż naprawdę. A o panu Brownie mówił jak o swoim przyjacielu, kiedy było jasne, że jest służącym tego dżentelmena. Robił więcej hałasu niż kompania dragonów. Od razu sobie pomyślałem, że to nicpoń, i się nie omyliłem. Nadęty jak paw i tak samo odważny. No i potem to jego zniknięcie przed wschodem słońca, tak że ludzkie oko nie widziało go.

P: Jak to się stało?

O: Osiodłał konia i odjechał przed świtem bez żadnego uprzedzenia.

P: Może został wysłany z jakimś poleceniem?

O: Kiedy wstaliśmy, już go nie było, tyle wiem.

P: To znaczy bez wiedzy swego pana?

O: Tego nie wiem, sir.

P: Czy pan Brown był zdziwiony, że Farthing odjechał?

O: Nie, sir.

P: Ci inni także?

O: Też nie, sir. Nie mówili o tym.

P: A jednak pańskim zdaniem było w tym coś podejrzanego.

O: Tak, to, że nic o tym nie powiedział, kiedy z nami jadł wieczerzę.

P: W jakim był wieku?

O: Twierdził, że jako chłopiec był doboszem podczas bitwy w osiemnastym, tak

że wedle mego wyliczenia, dodając rok albo dwa, urodził się jakieś trzydzieści lat temu, na co wskazywał też jego obecny wygląd.

P: A jeśli chodzi o wygląd, czy było w nim coś specjalnego, co zwracało uwagę?

O: Chyba tylko długie wąsy jak u Turka. Był raczej wysoki niż niski, i więcej miał tłuszczu niż mięsa. A dlaczego tak było, doświadczyła tego moja spizarnia i piwniczka. Bo zjadł i wypił tyle, że mój kucharz nazwał go żartem bosman „Pasibrzuch”.

P: Dobrze zbudowany?

O: Tylko z pozoru, a nie naprawdę, jakim Puddicombe.

P: Jakiego koloru miał oczy?

O: Ciemne i przebiegłe, nie jak uczciwy człowiek.

P: Czy miał jakieś widoczne blizny, ślady dawnych ran?

O: Nie, sir.

P: Czy nie utykał na nogę, nie chromiał?

O: Nie, sir. Wątpię teraz w ogóle, czy kiedykolwiek walczył poza tawernami, i to może tylko z kielichem.

P: Doskonale. A ten drugi człowiek, ten Dick. Co z nim?

O: Nie powiedział ani słowa, sir, bo nie mógł. Ale z jego oczu wyczytałem, że miał podobne zdanie o Farthingu jak ja. Za co wcale go nie winię, ponieważ ten Farthing dobrze musiał mu dokuczać, wystawiając na pośmiewisko. Poza tym, na własne oczy widziałem, że dobrze robił, co do niego należało.

P: Czy był niespełna rozumu?

O: Wydawał się człowiekiem bardzo prostym. Zdolnym wykonywać tylko swoje obowiązki, nic więcej. Biedaczysko, słaby na umyśle, ot co. Za to bardzo sprawny fizycznie, chciałbym mieć takiego służącego. Myślę, że on nikogo by nie skrzywdził, choć teraz tyle różności o nim gadają.

P: A może był rozpustnikiem?

O: Farthing opowiadał jakąś głupotę, kiedy Dick zaniósł wodę tej służącej na górę i długo nie schodził. Myśmy jednak wtedy mu nie uwierzyli.

P: Nie zalecał się do waszych służących?

O: Nie, sir.

P: A ta służąca, która z nim przyjechała, jak miała na imię?

O: Dziwne, sir, po królu francuskim, niech Bóg go skarże. Louise ją wołali, czy coś w tym rodzaju.

P: Czy była Francuzką?

O: Nie, sir, sądząc z jej akcentu, pochodziła raczej z Bristolu, a może z jego okolic. Ale maniery miała tak dobre, że mogła być z Francji. Farthing powiedział, że teraz jest moda w Londynie na takie jak ona, i niektóre służące małpują swoje panie.

P: Czy ona przybyła z Londynu?

O: Podobno tak, sir.

P: Ale mówiła z takim akcentem, jakby urodziła się w Bristolu?

O: Tak, sir, i jadła wieczerzę w swojej izbie na górze, jak dama, i nie dzieliła jej z nikim. Moim zdaniem było to dziwne. Farthing mówił bardzo źle o niej i twierdził, że zadziera nosa. Za to moja służąca Dorcas mówiła o niej dobrze. Powiedziała, że nie będzie jeść na dole, bo cierpi na ból głowy i chciałaby wypocząć, prosi więc o wybaczenie. Tak sobie myślę, że to Farthinga nie mogła znieść, a nie nas.

P: Jak wyglądała?

O: Ładna, całkiem ładna. Nieco blada i miała taki miejski chorowity wygląd, ale ładne rysy, raczej szczupła. Nie zapomnę jej oczu, były piwne i płochliwe jak u sarny, jakby we wszystko wątpiła. Nie widziałem, żeby choć raz się uśmiechnęła.

P: Co pan miał na myśli, panie Puddicombe, mówiąc „jakby we wszystko wątpiła”?

O: Jakby wątpiła w to, po co się wśród nas znalazła, jak ryba wyrzucona na piasek, jak to u nas powiadają.

P: Czy dużo mówiła?

O: Nie, sir, rozmawiała tylko z Dorcas.

P: A może to nie była służąca, tylko szlachetnie urodzona osoba w przebraniu?

O: No tak, sir, teraz tak niektórzy myślą, że to była dama zamieszana w jakiś romans.

P: Czy można mówić o porwaniu?

O: Nie wiem, sir. To kucharka Betty i pani Puddicombe tak sądzą. Ale ja nie mam pojęcia.

P: Dobrze, a teraz zadam ważne pytanie. Czy ten Farthing powiedział coś o zachowaniu pana Bartholomew? Czy sprawiał wrażenie kogoś, kto żył ponad stan, i kto, choć wbrew swej woli, miał paść do nóg ciotki?

O: Nie potrafię na to odpowiedzieć, sir. Robił wrażenie człowieka nawykłego do rozkazywania, niecierpliwego. Był taki jak w obecnych czasach wielu młodych dżentelmenów.

P: A czy nie wydawał się większym dżentelmenem, niż się panu zdawało, kimś, kto pochodzi z wytworniejszego świata niż jego wuj kupiec?

O: Miał wygląd dżentelmena i zachowywał się jak dżentelmen, sir. Nic więcej nie potrafię powiedzieć. Chyba tylko to, że nie mówili jak tutejsi ludzie. Pan Brown miał chyba londyński akcent, ale ten jego siostrzeniec, choć mało mówił, to jednak zdawało mi się, że mówił akcentem z pomocnych stron, tak trochę jak pan, sir.

P: Czy okazywał, że szanuje swego wuja?

O: Raczej to było pozorne, niż płynęło z serca, sir. Zajął dla siebie mój najlepszy i największy pokój, co już wtedy wydało mi się dziwne. Zwróciłem się do pana Browna z zapytaniem o polecenia, ale to jego siostrzeniec mi ich udzielił. To wuj się spotkał z panem Beckfordem, a nie on, i tak dalej. Choć muszę przyznać, że wszystko to czynił bardzo grzecznie.

P: Czy dużo pił?

O: Niewiele, sir. Szklaneczkę ponczu, kiedy przyjechali, pół kwarty wina bordoskiego i flaszkę najlepszej madery do wieczery. Tego wina to nawet nie wypił do końca.

P: Przejdziemy teraz do ich wyjazdu. O której godzinie to było?

O: Tak gdzieś po siódmej, sir. Byliśmy wszyscy bardzo zajęci, ponieważ to był Dzień Majowy. Właściwie nie zauważyłem tego.

P: Kto płacił panu rachunek?

O: Pan Brown.

P: Dobrze zapłacił?

O: Całkiem dobrze. Nie mogę się skarżyć.

P: I pojechali drogą na Bideford?

O: Tak, sir. W każdym razie pytali mego stajennego Ezechiela, którą drogę z miasta obrać, żeby tam dojechać.

P: I od tego dnia więcej pan o nich nie słyszał?

O: Tylko od tych, którzy jechali do naszego miasta na te majowe uroczystości i zapytali ich, jak jest w mojej gospodzie, bo myśleli, że u mnie się zatrzymali.

P: Po prostu tak z czystej ciekawości?

O: Tak, sir.

P: A poza tym żadnych innych wiadomości, jak tego dnia podróżowali?

O: Nie, sir. Ani słowa. Aż dopiero potem, jak znaleziono tego człowieka z fiołkami.

P: Którego?

O: Tego biedaka, którego nazywano Dickiem. Jednak najpierw, sir, muszę powiedzieć o klaczy. Było to późnym rankiem drugiego maja. Niejaki Barnecott z Fremington, który jest strasznym nudziarzem, i którego znam dobrze od wielu lat, wpadł do mnie w jakiejś sprawie i wspomniał o luźnym koniu, którego napotkał, idąc do mnie. Powiedział, że to był płochliwy koń, a on nie miał czasu, żeby go złapać, więc dał spokój.

P: Co to był za koń?

O: Stara gniada klacz. Nie miała ani uprzęży, ani wodzy, ani siodła. Powiedział o tym ot tak, mimochodem. Przypuszczał, że uciekła komuś z pastwiska. To nic dziwnego, nasze konie często się tu mieszają z tymi pasącymi się na podmokłych terenach.

P: Czy to była juczna klacz?

O: Jak mi wiadomo teraz, tak, sir. Nie wiedziałem wszak o tym, dopóki ten Dick nie został znaleziony.

P: Jak się pan o tym dowiedział?

O: Od takiego jednego, który przejeżdżał przez Dacombe, kiedy na tragach przyniesiono tam jego ciało.

P: Jak daleko stąd jest Dacombe?

O: O, dobrą milę, sir.

P: A jak i kiedy zostało znalezione ciało?

O: Znalazł je chłopak, pastuch. W wielkim lesie, który my nazywamy Gęstym Borem. Rozciąga się aż po bagniska i rośnie czasem na takich stromiznach, że człowiek nie zawsze może tam przejść. Mógłby tam wisieć nawet siedem lat i nikt by go nie znalazł, gdyby Pan Bóg nie zechciał inaczej. Jest to miejsce bardziej dla dzikich zwierząt niż ludzi.

P: Czy to było w pobliżu miejsca, gdzie widziano klacz?

O: O milę od drogi, gdzie ją widziano.

P: A co to za historia z fiołkami?

O: Mówiono już o tym podczas śledztwa. Rozmawiałem z tym, który odciął ciało, nim zostało zabrane i pochowane w Dacombe na rozstaju dróg. Mówił, że w usta biedaka była wetknięta kępka fiołków wyrwana z korzeniami. Kwiatki i liście były takie świeże, jakby rosły nad brzegiem wody. Wielu uważa to za diabelską sztuczkę, sir. Ale bardziej uczeni powiadają, że roślina czerpała soki z ciała. Ten człowiek

powiedział mi, że widoku tych słodkich kwiatków w szerniałej twarzy do końca życia nie zapomni.

P: I nie macie żadnych podejrzeń, kto to mógł uczynić?

O: Nie, sir. Ani wtedy, ani kiedy po raz pierwszy przyszedł człowiek koronera. Bo to minął cały tydzień, od kiedy oni wyjechali, musi pan wiedzieć. A Dacombe to nie nasza parafia. Ponieważ tych moich gości było pięcioro, nie przyszło mi do głowy, żeby jeden z nich mógł tak skończyć, a żaden z jego panów nie wszczął śledztwa.

P: Co było potem?

O: Potem znaleziono obitą miedzianymi listwami skrzynię, sir, blisko drogi biegnącej koło Gęstego Boru, gdzie widziano starą klacz. Wtedy wreszcie się ocknąłem i szybko powiedziałem memu przyjacielowi, panu Tuckerowi, który jest burmistrzem, o moich podejrzeniach. Zaraz potem pan Tucker i ja oraz pan Ackland, aptekarz, który jest w naszym mieście doradcą prawnym, bo się trochę zna na prawie, i Digory Skinner, urzędujący tu sierżant i nasz konstabl, oraz kilku innych dowiedzieliśmy się, że na zasadzie *posse comitatus* jedziemy tam, żeby wziąć udział w śledztwie i napisać raport.

P: Kiedy to było?

O: W pierwszym tygodniu czerwca, sir. Pojechaliśmy w to miejsce, skąd zabrali skrzynię. Od razu wiedziałem, że to ta sama, którą miał pan Bartholomew. Tak samo widział ją mój stajenny, Ezechiel, ponieważ pomagał ją mocować sznurami wraz z innymi bagażami tamtego ranka, kiedy wyjeżdżali. Potem zobaczyłem tego konia, który został złapany, a którego trzymano na pobliskiej farmie. I wtedy zacząłem podejrzewać, że to była ta sama klacz. Usiadłem, pomyślałem i chciałem się dowiedzieć czegoś więcej, jak wyglądał ten mężczyzna z fiołkami. Ten, który go widział, powiedział mi, że miał jasne włosy i niebieskie oczy. Wszystko było dla mnie oczywiste wtedy i zostało zapisane przez pana Acklanda i przekazane do Barnstaple do koronera.

P: Wy tutaj nie macie koronera?

O: Zgodnie z prawem powinniśmy mieć, sir, ale nikt nie objął tego stanowiska. I przypadło. I dlatego wezwano tego z Barnstaple.

P: Doktora Pettigrew?

O: Tak, sir.

P: Czy ta skrzynia była schowana?

O: Wrzucona w gęste zarośla, o jakieś czterysta kroków od drogi. Ten, co ją

znalazł, zobaczył błysk metalu wśród liści.

P: Dokładnie, gdzie była wrzucona?

O: W wąską szczelinę.

P: Czy znajdowała się poniżej miejsca, gdzie znaleziono ciało?

O: Tak.

P: Czy skrzynia była pusta?

O: Całkiem pusta, sir. Muszę tu powiedzieć to, co mówi Dorcas. Niektórzy gadają, że była pełna złota, ale ona ją widziała otwartą i wcale w niej złota nie było.

P: Spytałem ją samą o to. Czy mieli więcej bagaży?

O: Tak, sir, wielką skórzaną walizę i jeszcze inne. Ale tej dotąd nie znaleziono, tych innych też nie, nawet najmniejszych bagaży ani ich zawartości.

P: Czy to miejsce dobrze przeszukano?

O: Dziesięciu ludzi tam było, sir. I konstablowie. Bali się okropnie, że mogą natrafić na ciała pozostałych ludzi napadniętych i zamordowanych. Wielu myśli, że tak się stało, ale nie wiadomo, gdzie ich szukać.

P: Wobec tego, dlaczego ten człowiek imieniem Dick nie został również ukryty?

O: Nie wiem, sir. To wszystko jest zagadkowe. Niektórzy powiadają, że to on zamordował, potem uciekł, ale zabił się pod wpływem wyrzutów sumienia. Inni zaś twierdzą, że był w zмовie z mordercami, ale chciał wszystko wyznać, musieli więc go uciszyć i tak to zrobili, żeby wyglądało na samobójstwo. Tak się śpieszyli, że nie mieli czasu zakopać.

P: Macie tutaj często do czynienia z takimi ludźmi?

O: Dzięki Bogu, od dwudziestu lat, nie.

P: Wobec tego to drugie wyjaśnienie, panie Puddicombe, niewiele jest warte.

O: Ja też tak uważam, sir. Powtarzam tylko to, co ludzie mówią. Jedno jest pewne, że w miejscu, gdzie znajdowała się ta puszczona luzem kłacz i gdzie znaleziono skrzynię, została popełniona jakaś okropna zbrodnia. I powiem panu dlaczego, sir. Jeśli by pojechali dalej, musieliby przejechać przez Dacombe. A ponieważ wtedy akurat wypadł Dzień Majowy, na ulicach było pełno ludzi, więc ktoś z pewnością by ich zauważył.

P: Nikt ich tam nie widział?

O: Nikt, sir. Oni tamtędy nie jechali.

P: Czy są inne drogi?

O: Nie takie, na które zdecydowaliby się roztropni podróżni, a już z pewnością

nikt tak objuczony jak oni. Zresztą oni, obcy w tych stronach, nie mogli ich znać. A nawet gdyby znali, nie obraliby ich, gdyby naprawdę jechali do Bideford.

P: Czy tam o nich pytano?

O: Tak, sir. Ale trop był fałszywy. To ludne miasto, gdzie stale przebywa mnóstwo obcych. Ludzie, których posłał tam doktor Pettigrew, niczego się nie dowiedzieli. I tyle dało to drugie śledztwo.

P: Czy tego wieczoru, kiedy przybyli pod ten dach, nie było słyhać, żeby się kłócili, żeby przeklinali?

O: Nie, sir.

P: Nikt nie przyszedł, żeby się z nimi spotkać, z wyjątkiem pana Beckforda? Nie było żadnego posłańca, kogoś obcego?

O: Nie, sir.

P: Czy może pan opisać, jak wyglądał pan Brown?

O: Wyglądał groźnie, ale zachowanie miał łagodne.

P: Co to znaczy groźnie?

O: No, powiedziałbym może raczej, że był poważny. Jak jakiś uczony doktor, jak się tu u nas mówi.

P: A więc wygląd nie odpowiadał jego przypuszczalnemu zajęciu? Podobno był kupcem?

O: Nie wiem, sir, nie znam Londynu. Ale tam podobno jest dużo ważnych ludzi.

P: Jaki był, gruby czy chudy? Jakiego wzrostu?

O: Ani chudy, ani gruby, średniego wzrostu. Wyglądał zdrowo.

P: W jakim wieku?

O: Pod pięćdziesiątkę, sir, tylko tyle mogę powiedzieć. Może trochę więcej.

P: Czy jeszcze jest coś, co by miało związek z moim śledztwem?

O: W tej chwili nic takiego nie pamiętam, sir. Nic ważnego mi się nie nasuwa, daję słowo.

P: No dobrze, Puddicombe, dziękuję panu. Jak ostrzegąłem, proszę moje dochodzenie zachować w tajemnicy, w przeciwnym razie poniesie pan karę.

O: Przecież przysiągłem, sir. Na moim słowie można polegać, zapewniam pana. Wierny jestem królowi i naszemu prawdziwemu Kościołowi, nie jestem zwolennikiem żadnych plotek. Wystarczy spytać kogokolwiek, a potwierdzi moje słowa.

Jurat tricesimo uno die Jul.

Anno Domini 1736 coram me

Henry Ayscough

Przesłuchanie i zeznania

DORCAS HELLYER,
*które złożyła pod przysięgą
trzydziestego pierwszego dnia lipca,
w dziesiątym roku panowania naszego Władcy,
Jerzego Drugiego, z Bożej łaski Króla Wielkiej Brytanii
i Anglii etc.*

Mam siedemnaście lat, urodziłam się tu, jestem panną. Pracuję jako służąca do wszystkiego u pani i pana Puddicombe'ów.

PYTANIE: Czy twój pan powiedział ci, dlaczego tu jestem?

ODPOWIEDŹ: Tak, sir.

P: I że po złożeniu przysięgi masz zeznawać tak jak w sądzie?

O: Tak, sir.

P: Tak więc zeznawaj tylko prawdę, ponieważ obecny tu protokolant zapisze wszystko, co powiesz.

O: Powiem całą prawdę, sir.

P: Doskonale. A teraz, proszę, spójrz raz jeszcze na ten portret. Czy to jest dżentelmen, któremu posługiwałaś w tym właśnie pokoju ostatniego dnia kwietnia?

O: Tak, sir, wydaje mi się, że to on.

P: Czy jesteś pewna? Jeśli nie, musisz powiedzieć, dziewczyno. Nie będziesz miała żadnych przykrości z tego powodu.

O: Jestem pewna.

P: Doskonale. Posługiwałaś dwom dżentelmenom podczas wieczery?

O: Tak, sir. Przy wieczery, no i potem.

P: Czy nie jest raczej w zwyczaju, że podróżujący dżentelmeni, tacy jak ci, są obsługiwani przez własną służbę?

O: To zależy od ich życzenia.

P: Nic na ten temat nie mówili?

O: Nie, sir.

P: Czy rozmawiali ze sobą w twojej obecności?

O: Nie, sir. W każdym razie ja nic nie słyszałam.

P: Czy zostałaś w pokoju, kiedy jedli?

O: Powinam była. Ale kiedy wszystko przyniosłam, odprawili mnie.

P: Sami się obsługiwali?

O: Tak, sir.

P: Czy coś zwróciło twoją uwagę w ich zachowaniu?

O: A na co miałam zwrócić uwagę, sir?

P: Pytam cię. Przypomnij sobie. Czy byli wzburzeni albo chcieli, żebyś jak najspieszniej wyszła z pokoju i zostawiła ich samych?

O: Byli zmęczeni po długiej jeździe konno. I wspomnieli, że jedli kiepski obiad.

P: Dlatego chcieli zjeść wieczerzę bez żadnych dalszych ceregieli?

O: Tak, sir.

P: Co jedli?

O: Duszone mięso, jajka, gotowany groch i sałatę z cebulą, a potem białą polewkę.

P: Dużo jedli?

O: O tak, sir, dobrze sobie podjedli.

P: Czy byli dla siebie uprzejmi? A może byli zdenerwowani, jakby po jakiejś kłótni?

O: Nie, sir.

P: Który z tych dżentelmenów wydawał ci polecenia?

O: Ten starszy, sir.

P: A potem podałaś jemu herbatę i panu Beckfordowi? [*Non comprehendit.*] No, czaj, dziewczyno. Chińskie liście.

O: Tak, sir. Ale to było na dole.

P: Czy słyszałaś, co mówili?

O: Pan Beckford, o ile pamiętam, mówił o sobie.

P: Co mówił o sobie?

O: O swojej rodzinie, sir. On pochodzi z Wiltshire. Słyszałam, jak mówił o swojej siostrze, która niedawno wyszła za mąż w Salisbury.

P: I co więcej?

O: Nic więcej, sir.

P: Czy widywałaś przedtem pana Beckforda rozmawiającego z przyjezdnymi?

O: Tak, sir. Bo on mieszka blisko, z drugiej strony placu. Jakby pan się odwrócił do okna, to by pan zobaczył ten dom. I on od siebie wszystko widzi przez okno.

P: Lubi towarzystwo ludzi dobrze urodzonych?

O: Tak, sir. Tylko takich. Przynajmniej tak wszyscy mówią.

P: A teraz, Dorcas, powiedz, czyś widziała w pokojach tych panów coś z ich rzeczy, co zwróciło twoją uwagę?

O: Nic takiego, sir. Chyba może tylko skrzynię i papiery.

P: Jakiego rodzaju papiery?

O: Były w skrzyni młodszego dżentelmena, którą sam wniósł na górę. Trochę leżało rozłożonych tutaj na stole, na którym on pisał, kiedy wniosłam drugi świecznik. Ten starszy poprosił, żeby go zanieść na górę, kiedy zszedł do pana Beckforda.

P: Czy on je czytał?

O: Tak, sir. Potrzeba mu było więcej światła.

P: Jakiego rodzaju były te papiery?

O: Nie mogę powiedzieć, sir. Nie znam alfabetu.

P: Chcesz powiedzieć, liter? Czy na tych papierach były jakieś zapisy, adresy?

O: Ja nie umiem czytać, sir.

P: Ach, tak. Ale może widziałaś litery, widziałaś jakąś pieczęć albo z bliska to, co było napisane?

O: Nie, te papiery robiły raczej wrażenie rachunków.

P: Jak one wyglądały?

O: Podobne do rachunków za pobyt w gospodzie, jakie pisze mój pan, jeśli ktoś tego żąda.

P: Chcesz przez to powiedzieć, że tam były napisane liczby?

O: Tak, sir. Liczby i znaki, które nie były literami alfabetu, bo ja wiem, jak one wyglądają.

P: Czy te liczby były pisane w kolumnach i rzędach, tak jak na rachunku?

O: Nie, sir. Wśród rysunków.

P: Jakich rysunków?

O: Widziałam tylko jeden, to było wielkie koło i potem taki z trzema bokami i znakami jak księżyc.

P: Co to znaczy „znakami jak księżyc”?

O: To wyglądało jak skóra na serze albo takie czarne na księżycu w pełni.

P: Na półkolu?

O: Tak, sir.

P: A obok tego jakieś obliczenia?

O: Tak, sir.

P: A na tym stole, na który patrzyłaś, ile było stron z takimi rysunkami i liczbami?

O: Dużo, sir. Kilkanaście, a może i więcej.

P: Jaki był rozmiar każdej kartki tych papierów?

O: Taki, jak ten, na którym pisze teraz tamten pan. A jeden podwójnie duży.

P: Zapisz „folio” i „podwójne folio”. Było to pisane atramentem, ręcznie?

O: Tak, sir.

P: Nie takimi literami, jakie są wydrukowane w książce... Czy to nie były kartki wyrwane z książki?

O: Nie, sir.

P: Czy ten dżentelmen pisał?

O: Nie, sir. W każdym razie ja tego nie widziałam.

P: Czy widziałaś przybory do pisania? Kałamarz? Pióro?

O: Nie, sir.

P: A czy w tej skrzyni dużo było takich papierów?

O: Było ich trochę. Ale też i książki, a wśród nich wielki mosiężny zegar, bez obudowy.

P: Zegar? Jesteś tego pewna?

O: Był taki duży jak ten pani Puddicombe, który stoi na kominku.

P: Widziałaś cyferblat, wskazówki?

O: Nie, sir, ponieważ leżał tarczą w dół. Ale widziałam mnóstwo kólek takich samych jak w naszym zegarze.

P: A te książki, gdzie one były?

O: Skrzynia stała przy drzwiach, pokrywa była otwarta. Choć stała w cieniu, ale przechodząc zajrzałam do środka.

P: Czy zobaczyłaś tam książki?

O: Tak, sir. A ludzie gadają, że była pełna złota, i dlatego oni zostali zamordowani.

P: Ale ty wiesz, że to nie jest prawda?

O: Tak, sir. Ale nikt mi nie uwierzy.

P: Nie przejmuj się. Ja tobie wierzę, Dorcas. Teraz przejdźmy do Louise, tej służącej. Chciałbym wiedzieć, o czym rozmawiałyście.

O: Ona niewiele mówiła, kiedy ją prowadziłam do jej izby na poddaszu, sir.

P: O czym mówiła?

O: O tym, że przyjechali z daleka. I dokąd jadą. Takie tam rzeczy.

P: A o sobie nic nie mówiła?

O: Tak, sir, bo się spytałam. Odparła, że jedzie do Bideford, gdzie będzie służącą pewnej damy, krewnej obu tych dżentelmenów. I o tym, że jej dawna pani, ta w Londynie, wyjechała za granicę i nie chciała jej ze sobą zabrać. Potem zapytała mnie, czy znam Bideford, a ja odpowiedziałam, że byłam tam tylko raz z moim ojcem, co jest świętą prawdą, i że to jest duże miasto z pięknym rynkiem.

P: Czy podała nazwisko swej poprzedniej pani?

O: Powiedziała jakieś nazwisko, ale ja go teraz nie pamiętam, sir.

P: Angielskie nazwisko?

O: Tak, sir.

P: Czy była to dama utytułowana?

O: Nie, sir, zwyczajna pani. Ale zapomniałam.

P: Nie zapytałaś tej Louise, skąd pochodzi, gdzie się urodziła?

O: Powiedziała, że pochodzi z Bristolu, sir, że przez całe życie pracowała jako służąca, bo rodzice ją odumarli. Mówiła, że potrafi szyć i układać fryzury, i że takim jak ona dobrze za to płacą.

P: A ciebie o nic nie spytała?

O: Tak, sir. Czy lubię moją gospodynię i swoją pracę?

P: Co jeszcze?

O: Nie rozmawialiśmy długo, sir, bo mnie zawołano. Więc ona powiedziała, że wie, że mam dużo roboty i nie będzie mnie zatrzymywać. I że jest bardzo zmęczona i sama zje wiesz, ale ja nie muszę się tym zajmować, bo poprosi Dicka, żeby jej przyniósł na górę.

P: Czy mówiła coś o tych dwóch dżentelmenach?

O: Powiedziała, że pierwszy raz w życiu zobaczyła ich dziesięć dni temu, ale że jej poprzednia pani dobrze mówiła o tym starszym.

P: A co mówiła o tych dwóch służących?

O: O Farthingu nic nie mówiła. A o tym drugim, Dicku, głuchoniemym, że nikomu nie zrobiłby krzywdy i że nie powinniśmy obawiać się jego wyglądu i zachowania.

P: A teraz, proszę, dobrze się zastanów, moje dziecko. Czy ona naprawdę wyglądała na służącą prawdziwej damy, za jaką chciała uchodzić wobec wszystkich,

albo może dla jakichś sobie wiadomych celów tylko to udawała?

O: Zachowywała się na sposób londyński, sir. Bardzo ładnie mówiła, a oczy miała takie, że niejeden mężczyzna by dla nich umarł.

P: Czy przypominała bardziej damę czy służącą? Czy nie była zbyt wytworna jak na swoją pozycję?

O: Trudno mi powiedzieć, sir. Ale czasem tak wymawiała niektóre słowa jak ludzie z Bristolu.

P: Powiedziałaabyś, że nie miała wyglądu damy i nie zachowywała się jak dama?

O: Tak, sir. I wiem, że nie poszła spać po wieczerzy, jak mówiła, że zrobi. Bo kiedy szłam, żeby się położyć w godzinę, a może i więcej potem, przechodziłam koło pokoju młodego dżentelmena. I tam ona była.

P: Słyszałaś jej głos?

O: Tak, sir.

P: Czy zatrzymałaś się, żeby posłuchać?

O: Tak, sir, za przeproszeniem pańskim. Tylko chwilę, bo się zdziwiłam, że ją słyszę, kiedy ja myślałam, że ona już śpi.

P: Czy słyszałaś, o czym mówili?

O: Drzwi są grube, a oni cicho rozmawiali, sir.

P: Kto mówił przeważnie?

O: Ten dżentelmen, sir.

P: Co mówił? Przypomnij sobie.

O: Udzielał jej instrukcji, jak ma się przypodobać swej nowej pani.

P: Słyszałaś? Musisz mi wszystko powiedzieć.

O: Przysięgam, sir, próbowałam, ale nie usłyszałam.

P: Dlaczego udzielał jej tych instrukcji o tak późnej godzinie?

O: Nie wiem, sir.

P: Jeszcze raz pytam, czyś nie pomyślała: to nie jest służąca dobrze urodzonej damy?

O: Ja tylko pomyślałam sobie, że to dziwne, że tak długo rozmawiają, sir.

P: Skąd wiesz, że to było długo, przecież powiedziałaś, że zatrzymałaś się tylko na chwilę.

O: Bo tak było, sir. Ale jej izba była obok izby mojej i Betty. I myśmy słyszały, jak po cichu wróciła do siebie i zamknęła drzwi na zasuwkę, a to było w pół godziny potem, a może i później.

P: Czy nie pomyślałaś, że ma raczej służyć temu młodemu dżentelmenowi, spełniając jego zachcianki, niż swojej nowej pani w Bideford?

O: Nie wiem, sir.

P: Daj spokój, Dorcas, masz siedemnaście lat, jesteś bystra i ładna. Jestem pewien, że miałaś już z dziesięciu chłopaków.

O: Mam tylko jednego, sir, i wyjdę za niego za mąż.

P: No, to oszczędź mi swoich rumieńców. Czy następnego ranka nie znalazłaś dowodów, że ta rozmowa miała koniec bardziej cielesny?

O: Nie wiem, co pan ma na myśli, sir.

P: Czy oboje poszli do łóżka i leżeli na prześcieradle?

O: Nie, sir. W łóżku nikt nie spał.

P: Nikt nie spał? Czy jesteś tego pewna?

O: Tak, sir. Było zasłane, ale kapa nie została zdjęta, w ogóle nie było ruszone.

P: Czy nie słyszałaś, żeby jeszcze ktoś inny wchodził do izby tej młodej kobiety?

O: Nie, sir.

P: A może w nocy wychodziła?

O: Nie, sir.

P: Żadnego stamtąd głosu ani dźwięku?

O: Żadnego, sir. Ja mocno śpię, Berty także.

P: Czy nie sprawiała wrażenia kobiety źle się prowadzącej, ladacznicy?

O: Nie, sir.

P: Czy przypadkiem nie powiedziała ci, że w Londynie z twoją urodą mogłaby ci znaleźć o wiele lepsze zajęcie, gdzie byś dostawała cenne podarki?

O: Nie, sir.

P: A może opowiedziała ci bardzo smutną historię swej zawiedzionej miłości?

O: Też nie, sir.

P: Czy była smutna czy zadowolona ze swego losu?

O: Nie wiem, sir. Ale chyba wolałaby zostać tam, gdzie była, niż jechać tak daleko i przebywać wśród obcych.

P: Czy ci to powiedziała?

O: To było widać po jej minie, sir.

P: Nie uśmiechała się?

O: Może raz albo dwa. I wtedy była zupełnie inna.

P: Co możesz jeszcze o niej powiedzieć? Że była bardziej frywolna czy wesoła?

O: Nie wiem, sir, jak to powiedzieć.

P: Daj spokój, dziewczyno. Przecież nic ci nie zrobię.

O: Kiedy odjechali, znalazłam na jej poduszce chustę w kwiaty, położyła ją, żebym to ja ją znalazła, bo chciała mi zrobić przyjemność.

P: Gdzie jest teraz ta chusta?

O: Moja matka kazała mi ją spalić, sir, kiedy zaczęto mówić o morderstwie i o tym człowieku z fiołkami. Powiedziała, że ta chusta przyniosłaby mi nieszczęście.

P: Czy to była kosztowna rzecz?

O: Tak, z indyjskiej bawełny, był na niej wzór w kwiaty i takie małe nie znane u nas ptaszki.

P: Czy była to rzecz, na jaką mogła pozwolić sobie służąca?

O: Takie chusty na ostatnim dużym targu pokazywał kramarz z Tiverton, mówił, że je robią teraz w Londynie i nie sprzedają poniżej trzech szylingów, i że są tak samo dobre jak indyjskie, a przy tym prawo królewskie nie zakazuje ich noszenia.

P: Nazajutrz rano nie spytałaś jej, co tak długo robiła w pokoju młodszego dżentelmena?

O: Nie, sir, powiedziałam jej tylko do widzenia. Przecież to był Dzień Majowy i miałyśmy we trzy bardzo dużo roboty.

P: Słyszałem, Dorcas, że ten Farthing pozwolił sobie na zbyt swobodne zachowanie wobec ciebie.

O: Próbował, ale na nic mu nie pozwoliłam, nie jestem taka.

P: Czy wziął cię na stronę?

O: Poszedł za mną, kiedy podczas wieczerzy musiałam iść do spizarni, i próbował mnie objąć. Ale kiedy mu się wyrwałam, powiedział, żebym przysłała później na stryszek nad stajnią, gdzie on miał spać, i obiecał mi szylinga, jeśli to zrobię.

P: Ale tyś go nie chciała?

O: Nie, sir. Był bardzo pijany. Nie zależy mi na pieniądzach. Poza tym wiedziałam, że to kłamca.

P: Skąd wiedziałaś?

O: Bo podczas wieczerzy mówił źle o tym człowieku imieniem Dick, że to jest półzwierzę i że gdyby tylko mógł, to każdej z nas zrobiłby krzywdę. A przecież sam był tak samo zły albo jeszcze gorszy. A kiedy powiedziałam, że nie chcę tego szylinga, powiedział, że przyjdzie tam, gdzie śpię, po to, żeby mnie strzec. Ale ja mu wcale nie wierzyłam.

P: Więc w nocy przyszedł do ciebie?

O: Nie, sir. Choć żałuję, że tego nie zrobił, bo zamiast pocałunków dostałby od naszej Betty pałką po głowie.

P: Czy powiedział ci, że nazajutrz wyjedzie wcześniej, jeszcze przed świtem?

O: Nie, sir. Ani słowa.

P: Widzę, Dorcas, że jesteś uczciwą dziewczyną. Do kościoła chodzisz regularnie?

O: Tak, sir.

P: I rób tak zawsze. A tu masz szylinga, zamiast tego, który straciłaś z powodu swej uczciwości.

Jurat die et anno supradicto coram

Henry Ayscough

Przesłuchanie i zeznania

SAMPSONA BECKFORDA,
które złożył pod przysięgę
trzydziestego pierwszego dnia lipca,
w dziesiątym roku panowania naszego Władcy,
Jerzego Drugiego, z Bożej łaski króla Wielkiej Brytanii
i Anglii etc.

Nazywam się Sampson Beckford, jestem wykładowcą w Kolegium Wadham, w Oxfordzie, i plebanem tutejszej parafii, na świętego Michała minęło dwa lata.

PYTANIE: Dziękuję, sir, że pan tutaj przyszedł. I obiecuję, że nie zabiorę dużo pańskiego czasu.

ODPOWIEDŹ: Może pan zabrać cały mój czas. Jestem na pańskie usługi.

P: Dziękuję panu, panie Beckford. Zakładam, że nigdy przed trzydziestym kwietnią tego roku nie widział pan na oczy ani pana Browna, ani pana Bartholomew?

O: Istotnie tak było.

P: Ani nie został pan uprzedzony listownie czy w inny sposób o ich przybyciu tutaj?

O: W żaden taki sposób nie zostałem uprzedzony. Przyszedłem tu powodowany grzecznością. Przypadkowo zobaczyłem ich, jak wjeżdżali, i wziąłem ich za ludzi wykształconych. *Rarissime aves*, panie Ayscough, w tym nieszczęsnym mieście.

P: Współczuję panu, sir.

O: Chciałem ich zapewnić, że nie znaleźli się w najbliższym moskiewskim mieście, jak nie wątpię by uważali, gdyby się uważnie przyjrżeli temu miejscu, oraz że nie całkiem jesteśmy pozbawieni *politesse* mimo odcięcia od społeczeństwa na poziomie.

P: Czy pan spotkał się z młodszym dżentelmenem?

O: Nie, nie spotkałem go, sir. Jego wuj, pan Brown, powiedział mi, że jest bardzo zmęczony i prosił, żeby wybaczyć jego nieobecność.

P: A ten wuj, czy powiedział panu, że celem ich podróży jest odwiedzenie jego siostry w Bideford?

O: Mówił o tym bardzo niejasno, ale dał do zrozumienia, że jego siostrzeniec, który dotąd beztrąsko trwonął swój majątek, żywi pewne nadzieje na pieniądze,

ponieważ ta dama nie miała własnego potomka.

P: Czy sprecyzował, na czym polegała owa beztroska siostrzeńca?

O: Trudno mi powiedzieć, sir. Ja sądzę, że takie folgowanie sobie zawsze jest głupotą. Napomknął tylko, że zbyt wiele czasu poświęcał różnego rodzaju uciechom i żył ponad stan. Pamiętam, że tych właśnie słów użył.

P: Że siostrzeniec żył ponad stan?

O: Właśnie tak.

P: Czy potępiał go za to?

O: Jak mam to panu przedstawić, sir? Sądziłem, że mam przed sobą wuja i opiekuna, który prowadzi uczciwe, pracowite i chrześcijańskie życie, i uważa za swój obowiązek ukrócić wybryki bliskiego krewnego. Choć częściowo winił o to Londyn i jego pokusy, pamiętam, że przede wszystkim zarzuty stawiał nadmiernej swobodzie panującej w teatrach i kawiarniach, i mówił, że gdyby to od niego zależało, kazałby je wszystkie zamknąć.

P: Czy mówił coś o sobie?

O: Że jest londyńskim kupcem. Wywnioskowałem, że raczej bogatym, gdyż w czasie rozmowy napomknął o jednym ze swych statków. A innym razem o swoim przyjacielu radnym w City.

P: Czy podał nazwisko?

O: Nie przypominam sobie.

P: Czy mówił, że sam też jest radnym w City?

O: Nie, sir.

P: Czy nie uważał pan za dziwne, panie Beckford, że ten jegomość mówił panu o tak delikatnych sprawach rodzinnych, mimo że przecież nie znał pana?

O: On się nie wdawał w szczegóły, sir. Poczytałem to za komplement dla mej duchownej szaty. Jako dżentelmen zapewne uważał za swój obowiązek wyjaśnić mi powody ich obecności tutaj.

P: Czy on był dżentelmenem z racji zamożności czy dobrego wychowania?

O: Otóż to, sir. Odniosłem wrażenie, że to człowiek szacowny, ale pozbawiony wyrafinowania. Zapytał mnie o moją tutaj posługę duchowną, co było uprzejme z jego strony. Ale kiedy skromnie zauważyłem, że moja praca duszpasterska właściwie idzie tu na „marne, i zacytowałem kilka wersów Owidiusza, wyraźnie był zagubiony.

P: Znał się lepiej na rachunkach niż na klasycznych językach?

O: Tak mi się zdaje.

P: Ale co teraz pan myśli o nim, panie Beckford? Wie pan o tym, że ostatnio poszukiwano tej damy, jego siostry, i nie znaleziono?

O: Wiem i nic nie rozumiem. Dlaczego człowiek najwyraźniej zamożny i uczciwy, miałby zadać sobie tyle trudu, żeby mnie wprowadzić w błąd... Naprawdę wiele o tym myślałem. Najwidoczniej uważał, że prawdziwego celu ich podróży nie można zdradzić nikomu obcemu. Obawiam się, że było to coś złego.

P: Zauważono również, że czasem to właśnie ten pozornie skruszony siostrzeniec wydawał polecenia, przewodził, a wuj trzymał się na uboczu. Co pan na to?

O: Słyszałem o tym, sir. I muszę panu powiedzieć, że kiedy patrzyłem na nich z mego okna, kiedy przybyli do tej gospody, i zastanawiałem się, jaki tutaj mają interes, wyznaję, ale to tylko domniemanie... Otóż nie przypuszczałem wtedy, sądząc po ich zachowaniu, że to wuj i siostrzeniec.

P: Kto zatem?

O: Nie potrafię powiedzieć, sir, wyraźnie określić. Sądziłem raczej, że to młody dżentelmen i ktoś starszy, z pańskiej czcigodnej profesji, przyjechali może w jakiejś ważnej sprawie. Może tutor. Naprawdę trudno mi to powiedzieć, jedno tylko jest pewne, na myśl mi nie przyszło, że ci mężczyźni mogą być krewnymi. Przyznam, że byłem zdziwiony, kiedy czekając na nich, dowiedziałem się o tym.

P: W jaki sposób mówił pan Brown?

O: Poważnie, zwyczajnie, bez ozdób i figur retorycznych. Całkiem dobrze.

P: Czy nie podejrzewał pan, że się kroi jakaś sprawa niezgodna z prawem albo gorsząca?

O: Wyznam, sir, że nie. Uwierzyłem w to, co mówił. Nie wzbudził moich podejrzeń. Sprawa była całkiem prosta.

P: Czy w trakcie tej rozmowy mówiliście więcej o jego sprawach czy o pańskich?

O: Trafne pytanie. Ja także nad tym się zastanawiałem. Mam wrażenie, że tak pokierował rozmową, żebym więcej mówił o sobie, niż mam w zwyczaju, lub czego wymaga zwykła grzeczność.

P: Proszę wybaczyć, jeśli ujmę to raczej obcesowo, w pewnym sensie wystrychnął pana na dudka?

O: Opowiedziałem mu o moich nadziejach i rozczarowaniach, następnie o braku poszanowania dla religii w tym bezbożnym mieście. Mam nieszczęście być

najmłodszym synem, panie Ayscough. Szerzy się tu schizma, i to bardzo występna, co mnie okropnie trapi. Szczerze mówiąc, jeśli tylko mam współczującego słuchacza, daję upust memu oburzeniu. I tak, obawiam się, było tamtego wieczoru.

P: Zgadzał się z pańskimi poglądami, chciał się dowiedzieć czegoś więcej?

O: Tak, sir, i nawet powiedział, że pragnąłby, żeby więcej tu było ludzi o tak ugruntowanych poglądach jak moje. Wyraził też żal, że nie będzie mógł zostać tu aż do niedzieli, kiedy to miałem wygłosić kazanie, w którym, muszę sobie oddać sprawiedliwość, pięknie odparowałem argumenty tych, którzy nas, duchownych chcą pozbawić dziesięciny. Może zechciałby pan przeczytać kopię tego kazania?

P: Uważałbym to za wielki zaszczyt, sir.

O: Mój służący przyniesie ją panu, jak tylko wrócę do domu.

P: Dziękuję. A teraz, panie Beckford, muszę posiać ziarno wątpliwości w pańskiej duszy. Czyż pan nie wie, że w City wszyscy co do jednego są wigami? Że większość nigdy nie byłaby zwolennikami tego, co, rozumiem, stanowi pańskie szlachetne poglądy dotyczące religii? Że poszanowanie odwiecznych zasad mają za nic, a najważniejsze są dla nich ich własne świeckie prawa? Że dla wielu z nich jedynym bogiem na świecie jest mamona, to znaczy, dążą żeby tylko osiągnąć zysk, i że wyszydzą wszystko, co im zagraża czy stoi na przeszkodzie. Czy nie wydało się panu dziwne, że ten kupiec okazał tyle zrozumienia dla pańskich poglądów?

O: Muszę przyznać, że wystrychnął mnie na dudka, sir. Niestety znam te sprawy i wiem, że tacy tolerują naszych nonkonformistów i schizmatyków, co jest nad wyraz naganne, ale w tym przypadku sądziłem, że to szczęśliwy wyjątek w tej ogólnej regule.

P: A może ten wuj-kupiec był w rzeczywistości prawnikiem, przecież mamy pewną wprawę w tym, żeby nadać rozmowie pożądany kierunek: Proszę się zastanowić, sir. Czy pan niczego sobie nie przypomina?

O: Nie zachowywał się tak jak pan, sir.

P: Ale zakładając, że w sytuacji, w jakiej był, może z jakiegoś nieznanego powodu musiał ukryć swój normalny sposób bycia, a panu ukazał tylko tę pozornie uczciwą, budzącą zaufanie maskę, a nie to, co naprawdę się pod nią kryło?

O: Zakładając taką hipotezę, jest to całkiem możliwe, sir. Tak, to możliwe, że odgrywał jakąś rolę. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

P: *Id est*, czy był przyuczonym do oszukiwania dżentelmenem, tak dobrze wyrażającym się i wykształconym jak pan sam, sir? Jak mówił? czy w sposób

swobodny, jak ktoś, kto nie ma nic do ukrycia, czy cicho, a może jeszcze inaczej?

O: Z pewną powagą, choć zarazem i otwartością. Jak ktoś, kto przywykł wypowiadać się na tematy publiczne w publicznych miejscach.

P: Może zechciałby pan go opisać.

O: Średniego wzrostu, z dość okazałym brzuchem. Jak na swój wiek raczej przystojny, choć przy tym nieco błady. Wzrok miał przenikliwy, jakby potrafił sprawiedliwie osądzać ludzi. Miał gęste, grube brwi.

P: W jakim, pańskim zdaniem, był wieku?

O: Na pewno miał co najmniej czterdzieści pięć lat, no, może pięćdziesiąt.

P: Czy miał jakieś cechy charakterystyczne?

O: Sporą brodawkę z jednej strony nosa. O tutaj.

P: A więc z prawej. Czy nosił pierścienie?

O: Tylko obrączkę ślubną.

P: Złotą?

O: Tak. Zwyczajną, o ile pamiętam.

P: A jak był ubrany?

O: Porządnie, ubranie miał z dobrego sukna, ale było nieco zniszczone, jakby może używał go tylko do podróży. Perukę nosił raczej staroświecką.

P: Koszula czysta?

O: Tak, sir. Ubrany był jak przystało na człowieka jego kondycji.

P: Gratuluję panu jego pamięci. A teraz przejdźmy do innych jego cech charakterystycznych, może pan zauważył jeszcze coś szczególnego?

O: Zażywał tabaki, sir, i jak na mój gust zbyt często. Uważałem to za niezbyt eleganckie.

P: Panie Beckford, czy nie słyszał pan czegoś, co by dotyczyło późniejszych wydarzeń, to znaczy, czegoś, co nie było powszechnie wiadome?

O: Słyszałem różne plotki, jak to zwykle bywa. Tutejsze nieoświecone błazny są bardzo do tego skore.

P: A może coś od innych okolicznych dżentelmenów czy ich rodzin?

O: W tej parafii niestety tylko pan Devereux jest jedynym człowiekiem, którego mogę obdarzyć takim określeniem. Ale wtedy jego tu nie było.

P: Czy jest obecnie?

O: Dwa tygodnie temu wrócił do Bath.

P: Rozmawiał pan z nim o tej sprawie?

O: Uczyniłem wszystko, żeby zaspokoić jego ciekawość, sir.

P: A on, jak się można spodziewać, o niczym nie wiedział?

O: Istotnie tak było.

P: Dżentelmen pańskiego pokroju?

O: Żyję na pustyni, choć mówię o tym z bólem. Nikt subtelny, wykształcony nie mieszkałby dobrowolnie w takiej okolicy, gdyby nie był, jak ja, zmuszony do tego okolicznościami. Z żalem muszę stwierdzić, że drugi duchowny w sąsiedztwie jest lepszym specjalistą w dziedzinie polowania niż wiary. Woli uderzać w dzwony, żeby uczcić dobrą walkę kogutów, niż wezwać wiernych na nabożeństwo. Z kolei ten w Dacombe jest człowiekiem, który poświęca życie swemu ogrodowi i uprawie ziemi i nie dba wcale o kościół.

P: Czy pan Devereux jest pańskim patronem?

O: Nie, sir. Patronem jest kanonik Bullock z Exeter. Jest właścicielem prebendy i moim tytularnym wikarym.

P: Z kapituły?

O: Właśnie tak. Przyjeżdża tu raz w roku, żeby odebrać dziesięcinę. To stary człowiek, bliski siedemdziesiątki.

P: Czy to jest rodowy okręg wyborczy? A pan Fane i pułkownik Mitchell są posłami do parlamentu?

O: Tak, sir. Ale od ostatnich wyborów nie zaszczycili nas swą obecnością.

P: Czyli krótko mówiąc, od dwóch lat. Czy weszli do parlamentu bez sprzeciwu?

O: Tak, sir.

P: I nie przeprowadzili żadnego śledztwa dotyczącego zaistniałych wydarzeń?

O: Nie zwracali się ani do mnie, ani w ogóle do nikogo, o ile mi wiadomo.

P: Doskonale. Wystarczy. Czy może miał pan jakiś kontakt z ową trójką służących?

O: Żadnego.

P: Czy nie słyszał pan, żeby inni podróżni w tych stronach zostali obrabowani albo zamordowani? Od czasu pana przybycia tu lub przedtem?

O: Nie, ani w tej parafii, ani w jej sąsiedztwie. Słyszałem opowieści o bandzie pieszych złoczyńców grasujących w pobliżu Minehead pięć lat temu. Ale, o ile mi wiadomo, wszyscy zostali schwytani i powieszani. Tutaj nie dotarli.

P: A o konnych rabusiach?

O: Nie ma tu dla nich dość ludzi bogatych. Łajdaków i rzeźmieszków jest sporo w Bideford. Tam grabią na portowych nabrzeżach. Również podróżujący Irlandczycy są niewiele lepsi. My tutaj jesteśmy bardzo surowi wobec obcych, którzy nie mają przepustek. Po chłóście muszą opuścić parafię.

P: Czy ma pan własne zdanie na temat wydarzeń z pierwszego maja?

O: Uważam, że boska sprawiedliwość wzięła górę nad wielkim oszukaństwem.

P: Czy chce pan przez to powiedzieć, że oni wszyscy zostali zamordowani?

O: Słyszałem, że podobno dwaj będący w zмовie służący zamordowali swych panów, potem się pobili o łup i dziewczynę, którą porwał zwycięzca, a następnie uciekł bocznymi drogami.

P: Ale z jakiego powodu czekali, żeby popełnić ten czyn tak daleko od Londynu? I dlaczego ten pański zwycięzca, jeśli był na tyle przebiegły, żeby tak starannie ukryć dwa pierwsze ciała, że do dziś nie można ich znaleźć, nie ukrył w ten sam sposób trzeciego?

O: Nie mam pojęcia, sir. Może z powodu wielkiego pośpiechu na skutek poczucia winy.

P: Pan źle ocenia swego domniemanego łajdaka, panie Beckford. Dużo miałem do czynienia z wieloma ludźmi z tego bractwa i wiem, że bardziej ich obchodzi własna śmiertelna skóra niż nieśmiertelna dusza. Człowiek, który by czekał tak długo, żeby zaplanować z premedytacją swoją zbrodnię... to nie jest ktoś lekkomyślny.

O: Chylę głowę przed pańskim większym niż moje doświadczeniem. Nie wyobrażam sobie innych wariantów.

P: To nieistotne, sir. Więcej mi pan pomógł, niż przypuszcza. Jak pana poinformowałem na wstępie, nie wolno mi podać nazwiska osoby, na której zlecenie prowadzę śledztwo. Ale powiem w zaufaniu, przekonany, że całkowicie mogę polegać na pańskiej dyskrecji, iż celem moim jest dowiedzieć się, jaki los spotkał tego, który podawał się za pana Bartholomew.

O: Wielce sobie cenię pańskie zaufanie, sir. Jeśli to nie byłoby pogwałceniem tajemnicy, chciałbym spytać, czy ów młodszy dżentelmen pochodził ze szlacheckiej rodziny?

P: Nic więcej nie mogę powiedzieć, panie Beckford. Działam wedle ściśle ustalonych instrukcji. Dla wiadomości ogółu człowiek ten udał się w podróż do Francji i Włoch. Taki zresztą cel podawał przed swoim wyjazdem z Londynu.

O: Dziwi mnie, że pan tak mało wie o jego towarzyszu.

P: Ponieważ tylko z jednym wyjątkiem, sir, *videlicet* zmarły mężczyzna, ci, z którymi tu przybył, to nie byli ci, których najął do swojej podróży, o której wszystkim opowiadał. Gdzie ich znalazł, nie wiemy. Ponieważ był bardzo we wszystkim tajemniczy i ukrył swoje prawdziwe nazwisko, musimy założyć, że skłonił ich, by oni również ukryli swoje nazwiska. Z tego powodu został pan poddany memu nużącemu przesłuchaniu. Jak widać, moje zadanie jest niełatwe.

O: Istotnie, panie Ayscough.

P: Jutro wyjeżdżam, żeby gdzie indziej prowadzić poszukiwania. Jednak byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pan, słysząc jakieś informacje związane z tą sprawą, przekazał mi je do Lincoln's Inn. Może pan też być pewien, że postaram się, żeby pańska tu praca duszpasterska została zauważona.

O: Zrobię wszystko, żeby dopomóc oszukanemu rodzicielowi, zwłaszcza jeśli to jest ktoś szlachetnie urodzony.

P: Dotrę do samego dna tej sprawy, panie Beckford. Pracuję powoli, ale mało uchodzi mej uwagi. Tym czym dla pana jest herezja, dla mnie jest oszustwo i łajdactwo. I nie spocznę, dopóki wszystkiego nie ujawnię.

O: Amen, sir. Niech niebiosa pomogą nam obu w naszych modlitwach.

Jurat die tricesimo et uno Jul.

anno supradicto coram me

Henry Ayscough

Barnstaple, 4 sierpnia

Wasza Miłość,

Wolałbym nie mieć smutnego obowiązku poinformowania Waszej Miłości, że moja podróż na zachód, choć była sukcesem w przedmiotach drobnych, to okazała się klęską w kwestiach poważniejszych. *Not est inventus*. Ponieważ jednak wyraźnym żądaniem Waszej Miłości było, żebym nie ukrywał nic, czego się dowiem, spieszę zdać sprawę.

Z zeznań, które załączam, by Wasza Miłość je przeczytał, wynika bez żadnych wątpliwości, że co do tego, kim naprawdę był pan Bartholomew, nie ma mowy o pomyłce, zwłaszcza że poparte były oględzinami portretu (co Wasza Miłość może uważać za wystarczające samo w sobie), który mi został powierzony, ale również faktem obecności służącego pozbawionego mowy i słuchu, ponadto zgodnie z innymi zeznaniami dotyczącymi wyglądu i zachowania. Nie trudzę Waszej Miłości lekturą wszystkich zeznań, które zebrałem, ponieważ potwierdzają na ogół to, co przesyłam. Doktor Pettigrew, koroner, potwierdził je wszystkie, rozmawiałem także z jego urzędnikiem, który był wysłany na wieść o pierwszym doniesieniu, ponieważ doktor (starszy już człowiek) był niedysponowany, kiedy się to wydarzyło.

Błagam Waszą Miłość (i Jego boską małżonkę, której ośmielam się przesłać moje uniżone ukłony), żeby mego odkrycia co do skonu Thurlowa nie brać pod wpływem *prima facie* reakcji, jako pewnego dowodu o jakiejś o wiele większej tragedii. Ci, którzy przypisują temu tak wielkie znaczenie, będą ignorantami, tchórzami, którzy bardziej skłonni są (*omne ignotum pro magnifico est*) na ogół we wszystkim widzieć rękę diabła, a nie kierować się rozsądkiem. Hipoteza wymaga ciała, którego jednak nie mamy. Nie mamy też szlachetnie urodzonej osoby, która tak interesuje Waszą Miłość ani trzech nieznanymi towarzyszami jego podróży.

W tym celu kazałem dwudziestu czterem bystrym ludziom, dobrze zorientowanym *in loco*, którym obiecałem godziwe wynagrodzenie, przeszukać miejsce, gdzie została znaleziona skrzynia. Każdy krzak, każdy cal ziemi był ponownie sprawdzony i to nawet w dalszym zasięgu; *idem*, tam, gdzie Thurlow został znaleziony i wokoło bardzo dokładnie. Mogę zapewnić Waszą Miłość, że *auspicium melioris aevi* wszędzie były zachowane wszelkie pozory. We wszystkim, zapewniam Waszą Miłość, nakazana przez Niego dyskretność została skrupulatnie zachowana. Kiedy trzeba było, deklarowałem się jako przedstawiciel kogoś, kto daleko sięga, nie zdradzając przy

tym, jak wysokiej on jest rangi. Tylko doktorowi Pettigrew powiedziałem część prawdy, mianowicie, że nie jest to zwykły przypadek zaginięcia byle kogo; doktor jest człowiekiem zacnym, z zasadami, i można mu zaufać.

Wasza Miłość uczyniła mi kiedyś zaszczyt, mówiąc, że tak wierzy w mój nos, jak w nos swego ulubionego psa; jeśli Wasza Miłość nadal jest tego zdania, to jestem przekonany, że ten, którego szukam, jest żywy i zdrowy i zostanie odnaleziony, choć nie mogę zaprzeczyć, że miejsce jego obecności trudno mi będzie odkryć, a ponieważ brak mi tropu, nie mam jeszcze wyrobionego zdania na ten temat. Podany pretekst jest jasny, to *ad captandum vulgum*, środek do zamydlania oczu innym.

Nie potrafię zrozumieć, co sprowadziło Jego Lordowską Mość do tego ponurego zachodniego kraju, tak odmiennego od jego gustów i skłonności. Co prawda tu, gdzie był ostatnio widziany, krajobraz przypomina niektóre bardziej lesiste doliny w majątku Waszej Miłości, choć są mniej strome i zadrzewione (wiele też jest pastwisk dla owiec), natomiast całkiem odmiennie jest wielkie koszmarne wzgórze, zwane Exmoor, leżące o kilka mil stąd na północ i całkiem jałowe, gdzie rzeka Exe ma swoje źródła. Teraz wszystko jest jeszcze bardziej nieprzyjazne, ponieważ w ubiegłym miesiącu padały ulewne deszcze, jakich najstarsi mieszkańcy nie pamiętają, i wyrządziły wiele szkód na łąkach i polach, a także wśród budynków. (Kraży tu ponury dowcip, że nie jest ważne, ile młynów zostało zniszczonych, bo i tak nie będzie ziarna do mielenia, gdyż zniszczy je przedtem śnieć zbożowa i wilgoć).

Tutejsi ludzie są bardziej milczący niż nasi, a język ich niejasny i prymitywny. Nie znają koniugacji ani zaimków, takie same końcówki mają dla mężczyzn i dla niewiast, nie rozróżniają litery „f” od „w”, słowem ich język jest bardzo grubiański, lecz protokolant starał się go oszczędzić Waszej Wysokości, dla lepszego zrozumienia. W tym nędznym miasteczku, gdzie Jego Lordowską Mość ostatnio był widziany, nie ma nikogo edukowanego prócz plebana, pana Beckforda. Nie wątpię, że jako torys zaszedłby daleko, tak jak ongiś Sacheverell, gdyby wszyscy biskupi nie byli wigami.

Tuszę, iż Wasza Miłość zgodzi się z moim przekonaniem, że w tej okolicy niewiele pozostało do odkrycia. Moje dalsze śledztwo zarówno w Bideford, jak i w tym mieście, skąd mam zaszczyt zwracać się do Waszej Miłości, nie osiągnęło większych rezultatów niż dochodzenie prowadzone przez doktora Pettigrew. Jednak muszę uznać za pewne, iż Jego Lordowską Mość był tu, choć nie wiadomo, co dalej się stało. Żaden ze znajomych Jego Lordowskiej Mości, których pytałem przed przybyciem tu, nie wspomniał o rzekomym wuju i jego służącym. Również nie odkryłem, jak Wasza

Miłość sobie przypomina, żadnego tajemnego i niedozwolonego związku Jego Lordowskiej Mości, który tłumaczyłby obecność dziewczyny. Nawet gdyby tak było, jej wygląd zewnętrzny zdawał się wskazywać, iż jest damą. Trudno wyobrazić sobie, żeby skandal spowodowany tego rodzaju porwaniem nie stał się do tej pory głośny, ani również, *non obstante*, gdyby tak było, niezrozumiałe jest, czemu nie udali się prosto do Dover czy innego miejsca bliskiego Francji, zamiast w tak nieodpowiednie (do tego celu) okolice.

W rzeczywistości nadal nie wiem, jak wytłumaczyć, czemu Jego Lordowska Mość miał te trzy dodatkowe osoby w swej świcie. Jest oczywiste, że podróżowanie tylko z własnym służącym bardziej odpowiadałoby zachowaniu w tajemnicy jego zamiarów. Mogę tylko przypuszczać, że po to podróżował w grupie pięciu osób oraz odgrywał drugoplanową rolę wobec domniemanego wuja, żeby zmylić pogoń, jeśli z jakiegoś powodu jej się obawiał. Może to przybycie do Devonu jest po prostu kluczeniem zajęcia, jeśli Wasza Miłość wybaczy mi to porównanie. Zarówno Bideford, jak i Barnstaple prowadzą handel z Walią oraz Irlandią, z Francją, Portugalią i Kadyksem, z tym miastem zwłaszcza ożywiony od czasu zawarcia nowego pokoju. Sprawdziłem też, czy żaden płynący do Francji żaglowiec nie opuścił (choć kursuje kilka do Nowej Funlandii i Nowej Anglii, bo to najlepsza pora) któregoś z tych portów w pierwszych dwóch tygodniach maja. I dlatego uważam taką okólną drogę ucieczki za wątpliwą.

Wasza Miłość lepiej niż ja zna przywiązanie, jakie łączyło Jego Lordowska Mość z Thurlowem. Wiele nad tym myślałem i doszedłem do wniosku, że nieprawdopodobne jest, by tak serdeczny wobec swego służącego pan spowodował jego przerażającą śmierć, oraz że gdyby się o tym dowiedział, wszcząłby przecież śledztwo w tej sprawie. Zakładam, że Jego Lordowska Mość kazał dla jakichś swoich powodów odłączyć się Thurlowowi i dalej jechać oddzielnie i że (być może) ten człowiek na skutek swego wrodzonego kalectwa nie zrozumiał właściwie intencji Jego Lordowskiej Mości, kiedy zostawił go samego, i dlatego zrozpaczony odebrał sobie życie. Ale nie będę więcej nużyć Waszej Miłości takimi domysłami.

Wasza Miłość bez wątpienia zwrócił uwagę na zeznanie dziewczki służebnej. Jest oczywiste, że w czasie podróży Jego Lordowska Mość miał ze sobą papiery i przedmiot swoich ulubionych dociekań, obciążenie niezgodne z porwaniem albo jakimś innym sentymentalnym celem. I dlatego pomyślałem, że trzeba zbadać, czy w tej okolicy nie mieszkają jacyś wybitni znawcy matematyki albo astronomii. Dzięki

pośrednictwu doktora Pettigrew jednego z nich odwiedziłem w Barnstaple, pana Samuela Daya, człowieka zamożnego, miłośnika nauk przyrodniczych, dzięki czemu między innymi nawiązał kontakt z Royal Society i sir H. Sloane'em. Na moje docieklive pytania nie powiedział nic istotnego, nie ma też tu w sąsiedztwie – jego zdaniem – nic godnego obserwacji (dopiero bliżej Bristolu), jak również nikogo innego takiego jak on, z którym naukowiec z Londynu chciałby nawiązać kontakt. Obawiam się, że również w tej materii sługa uniżony Waszej Łaskawości znalazł się *in tenebris*. Nawet gdyby to było powodem *primum mobile* podróży Jego Lordowskiej Mości, przyznaję, że nie wiem, czemu z tak niewinnego powodu została w podobny sposób przeprowadzona.

Za radą doktora Pettigrew odwiedziłem wczoraj niejakiego pana Roberta Lucka, kierownika tutejszej szkoły średniej i szanowanego uczonego, który poza tym jest dobrym źródłem plotek. To on uczył zmarłego niedawno pana Gaya literatury, z czego jest nad wyraz dumny i nad wyraz także ślepy na to, co buntownicze w utworach jego dawnego ucznia. Wręczył mi egzemplarz sielanek pana Gaya, wydanych dwadzieścia lat temu pod tytułem *Tydzień pasterza*, które zdaniem pana L. są wiernym obrazem tutejszej północnej części Devonu, wręczył mi również tomik swoich wierszy (jest pedagogiem-poetą, jak się okazało) wydanych przez Cave'a, o których pisał on pochlebnie w swoim magazynie; oba egzemplarze załączam na wypadek, gdyby Wasza Miłość raczył rzucić okiem na coś tak marnego. Jeśli idzie o moje śledztwo, pan Luck nie wniósł nic nowego, jak zresztą w innych sprawach również.

Jutro wyruszam do Taunton i tam bez zwłoki wsiądę do dyliżansu jadącego do Londynu, by pójść tropem podejrzenia, jakie powziąłem. Wasza Miłość, tuszę, wybaczy mi, że teraz nie będę się o tym rozpisywał, ponieważ spieszo mi, by wysłać tę paczkę, którą chciałbym, żeby uskrzydłony Merkury dostarczył do rąk Waszej Miłości, gdyż wiem, jak jest oczekiwana, a poza tym nie odważyłbym się rozniecić nadziei na podstawie zbyt słabych przesłanek. Sądzę, że Wasza Miłość zna mnie wystarczająco dobrze, by wierzyć, że *quo fata trahunt, sequamur*, i że z tą samą pilnością, z jaką wypełniałem przedtem obowiązki na mnie nakładane przez Waszą Miłość, również i z tych się wywiążę. Najpokorniejszy i najbardziej posłuszny sługa Waszej Miłości,

Henry Asyscough

Postscriptum. Pan Luck przekazał mi informację świeżo otrzymaną z Londynu o haniebnym wyroku wydanym w Edynburgu na kapitana Porteousa i o zamieszkach spowodowanych przez hałastę, które rozpętały się tydzień temu w Shoreditch. Jestem pewien, iż obie te wiadomości zaniepokoją Waszą Miłość. Tutaj uważa się, że do tych rozruchów doszło z powodu ustawy o dzinie, której wszyscy są przeciwni. H.A.

Mężczyzna w gołębioszarym ubraniu i kamizelce w dyskretne kwiatki, napiętej na wystającym brzuchu, o grubych brwiach, z brodawką na jednej stronie nosa, trzymając laskę w ręku, stał w niezbyt wystudiowanej pozie, w drzwiach jednego z wykładanych boazerią pokoi Lincoln's Inn. Lewą ścianę zajmowała półka, na której znajdowały się oprawne w skórę tomy precedensowych spraw, dokumenty i pergaminy, przed nią stał wysoki pulpit i taboret, a na blacie leżał czysty papier i starannie ułożone przybory do pisania. Naprzeciw lśnił bielą marmurowy kominek z popiersiem Cyncerona, po bokach którego stały dwa srebrne świeczniki, teraz nie zapalone, podobnie zresztą nie palił się ogień w kominku. Poranny blask słoneczny wpadał do pokoju przez południowe okna, które wychodziły na niezbyt odległą ścianę nadal jeszcze zielonych liści. Skądś z zewnątrz, dzięki temu, że górna część ramy okiennej była spuszczone w dół, dobiegał cichy, melodyjny głos przekupki zachwalającej jabłka, poza tym w pokoju panowała cisza. Bardzo niski, drobny, ubrany na czarno mężczyzna w peruce, który czytał coś przy okrągłym stole w odległym kącie pokoju, nie podnosił wzroku znad swojej lektury. Drugi – stojący w progu rozejrzał się, ale ten, kto go przyprowadził tu, zniknął bezszelestnie. Wobec tego chrząknął głośno, w fachowy sposób, jak człowiek, który nie tyle chce się pozbyć flegmy, ile zwrócić na siebie uwagę. Wreszcie siedzący za stołem podniósł wzrok. Był wyraźnie o kilka lat starszy od przybysza, i gorszej postury, mając chuderlawą budowę Woltera. Mężczyzna w progu uniósł grzecznie kapelusz i lekko się skłonił.

– Czy mam honor zwrócić się do pana Ayscough? Francis Lacy, na pańskie rozkazy, sir.

Dziwna rzecz, mały prawnik w odpowiedzi nie zareagował równie grzecznie, lecz po prostu odsunął papiery, oparł się wygodnie w swoim fotelu o wysokim oparciu, który jeszcze bardziej go pomniejszał, i skrzyżował ramiona, potem lekko przechylił głowę, jak gil gotów coś upolować. W jego szarych oczach malowała się kpiąca stanowczość. Pan Francis Lacy był wyraźnie speszony tego rodzaju przyjęciem, wszakże doszedł do wniosku, że chwilową przyczyną jest roztargnienie i że prawnik nie wie, z kim ma do czynienia. Ponownie więc się odezwał:

– Jestem aktorem tragicznym, sir. Przybyłem, żeby, jak zostało umówione, spotkać się z pańskim klientem, sir.

Wreszcie Ayscough odezwał się;

– Proszę siadać.

Aktor podszedł do fotela stojącego po przeciwnej stronie stołu, najwyraźniej znów odzyskał śmiałość. Nim jednak zdążył usiąść, jakiś hałas przy drzwiach sprawił, że się odwrócił. Wysoki, milczący urzędnik, również cały w czerni, stał plecami do drzwi, trzymając pod pachą oprawioną w skórę księgę. Jego wzrok był równie przenikliwy jak zwierchnika, ale wyraźnie bardziej sardoniczny. Lacy spojrzął na prawnika, który powtórzył:

– Proszę siadać.

Lacy odrzucił poły surduta i usiadł. Zapadła cisza, prawnik nadal nie spuszczał wzroku z aktora. Ten, zbity z tropu, sięgnął do kieszeni kamizelki i wyjął tabakierkę. Otworzył ją i wyciągnął w stronę prawnika.

– Czy zechce pan się poczęstować, sir? Najlepszy, Devizes. – Ayscough przecząco potrząsnęła głową. – Wobec tego za pańskim przyzwoleniem...

Lacy umieścił dwie szczypty tabaki we wgłębieniu lewej ręki i głęboko je wciągnął, potem zatrzasnął wieczko i umieścił tabakierkę z powrotem w kieszonce, jednocześnie wyciągając jedwabną chusteczkę, którą otarł sobie nos.

– Czy pański klient chce zasięgnąć mojej rady w sprawie jakiegoś utworu teatralnego?

– Owszem, chce.

– Dobrze wybrał, sir, choć mówię to z całą skromnością. Niewielu dorówna mi w doświadczeniu, nawet moi krytycy muszą mi to przyznać. – Czekał na jakieś grzeczne potwierdzenie tego, ale wątek nie został podjęty. – Wolno spytać, czy jego muza to śmiejąca się Talia czy raczej poważna Terpsychora.

– Jego muzą jest Terpsychora.

– O...?

– Czyż nie jest muzą tańca?

– Nie jestem mistrzem w tańcu, sir. Obawiam się, że zaszła pomyłka. Jeśli idzie o pantomimę, to proszę się zwrócić do mego przyjaciela, pana Richa.

– Nie ma żadnej pomyłki.

Lacy zdziwiony zastygł.

– Jestem aktorem, sir. Mój talent znają wszyscy miłośnicy teatru w tym mieście.

Prawnik, nadal siedząc z założonymi rękami, uśmiechnął się bez cienia wesołości.

– I wkrótce równie znany będzie w Tyburn. Mój klient napisał dla pana sztukę,

mój przyjacielu. Tytuł jej brzmi *Schodki i stryczek, czyli tralala!* W której zawisniesz na szubienicy, tańcząc gigę na katowskim sznurze.

Na twarzy Lacy'ego odmalowało się przerażenie, ale zaraz wyprostował się, ściskając w jednej ręce laskę.

– Czy to ma być obraźliwy żart, sir?

Ayscough wstał i rękami oparty o stół pochylił się nieco w kierunku aktora.

– To nie żart... panie B r o w n . Na niebiosa, to nie żart, ty bezczelny łajdaku!

Aktor spojrzał w gniewne oczy prawnika, jakby nie mógł uwierzyć swoim uszom.

– Nazywam się...

– Cztery miesiące temu w hrabstwie Devon występował pan jako Brown. Czy ośmieli się pan temu zaprzeczyć?

Aktor nagle odwrócił wzrok.

– Pan przekracza wszelkie granice. Proszę wybaczyć, odchodzę.

Wstał i skierował się w stronę drzwi. Urzędnik, który nadal tam się znajdował, nie drgnął nawet. Jedyne księgę, którą przyniósł, przycisnął teraz do piersi, trzymając ją oburącz, tak że było widać krzyż wyciśnięty w jej skórzanej oprawie.

– Został pan zdemaskowany, sir! – powiedział ostrym podniesionym głosem prawnik. Lacy odwrócił się i spojrzał na niego. – I proszę nie próbować na mnie swoich kiepskich sztuczek. Jeszcze nie tak dawno tacy jak pan byli publicznie chłostani za swoje przewiny. Niech pan zejdzie z koturnów. Znajduje się tu przedstawicielstwo prawa. To nie teatr, gdzie można paradować w tandetnej koronie i przerażać widzów swoimi błazeństwami i fanfaronadami. Czy wyraziłem się dość jasno?

Raz jeszcze aktor odwrócił wzrok od twarzy prawnika i spojrzał na najbliższe okno i zielone za nim listowie, jakby się chciał w nim ukryć. Zapadła cisza. Wreszcie znów popatrzył na swego prześladowcę.

– Chciałbym wiedzieć, na jakiej podstawie zwraca się pan do mnie w ten sposób?

Prawnik wyciągnął drobną dłoń i nie spuszczał oczu z aktora, zaczął wyliczać:

– Po pierwsze, sprawdziłem, że w owym czasie nie był pan w Londynie. Po drugie, byłem tam, gdzie i pan był, poszedłem pańskimi kłamliwymi śladami. Po trzecie, mam zaprzysiężone zeznania co do pańskiego rysopisu, w którym wymieniona

jest nawet narośl, którą widzę na pańskim nosie z prawej strony. Dalej, mój urzędnik, który się znajduje za pańskimi plecami, rozmawiał z kimś, kto w owym czasie był w pańskim mieszkaniu, i powiedziano mu, że wyjechał pan w osobistej sprawie na zachód. I kto to powiedział? Nikt inny, tylko pańska małżonka we własnej osobie. Czyżby uważał ją pan za taką samą kłamczuchę jak pan?

– Nie będę przeczył, przypadkowo złożyło się, że byłem w Exeter.

– Pan kłamie.

– Mogę dowieść, że nie. Proszę spytać w gospodzie „Pod Okrętem”, koło katedry, gdzie się zatrzymałem.

– W jakiej sprawie pan tam był?

– Miałem dostać engagement... ale nic z tego nie wyszło.

– Nie będę się z panem sprzeczać, Lacy. Jeszcze nie skończyliśmy z innymi zarzutami. Pańskim służącym był Farthing, Walińczyk niewart nawet swego imienia.³ Była z panem również panna służąca, niejaka Louise. Może pan spuścić wzrok, bo usłyszysz pan zaraz gorsze rzeczy. Był z panem jeszcze jeden służący, głuchoniemy, który miał być służącym pańskiego domniemanego siostrzeńca, pana Bartholomew. Ten służący zniknął, sir, ale znaleziono jego ciało, i wszystko wskazuje na to, że został w okrutny sposób zamordowany przez kogoś do niedawna nie znanego, ale teraz już znanego, sir. Oto stoi on przede mną!

Słyszając słowo „ciało” aktor podniósł wzrok i po raz pierwszy nie udawał.

– Jak to „ciało”?

Prawnik wygodnie rozsiadł się w fotelu, przez chwilę milczał, przyglądając się uważnie aktorowi. Potem złączył czubki palców i przemówił już mniej oskarżycielskim głosem:

– Cóż to pana obchodzi, sir? Czyż w tym czasie nie był pan w Exeter w sprawie engagement? – Aktor stał milcząc. – Czyż nie grał pan głównej roli w tej zuchwałej satyrze, tego roku w marcu i na początku kwietnia prawie do Wielkanocy w sztuce pod tytułem *Pasquin* napisanej przez skończonego łotra, niejakiego Fieldinga, w małym teatrze na Haymarket?

– Wszyscy o tym wiedzą. Cały Londyn widział to przedstawienie.

– Grał pan rolę Fustiana, poważną rolę, czyż nie?

– Tak.

³ Farthing – drobna moneta warta 1/4 pensa (przyp. tłum.).

– To był wielki sukces, jak mi powiedziano, gdyż w tych bluźnierczych czasach wszystko to, co ma czelność szydzić z konstytucji, cieszy się poklaskiem. Ile było przedstawień do siedemnastego kwietnia, kiedy w tygodniu wielkanocnym została zdjęta z afisza?

– Jakież trzydzieści przedstawień, nie pamiętam dokładnie.

– Nie, sir. Trzydzieści pięć. To była najdłużej grana sztuka pod względem swej bezczelności równa *Operze żebraczej*. Czyż nie tak było?

– Możliwe.

– Jak to, nie wie pan? Czyż nie występował pan również w tej sztuce jakież siedem, osiem lat temu?

– Wziąłem małą rolę, żeby zrobić przyjemność panu Gayowi. Miałem ten zaszczyt, że się przyjaźniliśmy.

– Też mi zaszczyt! Czy jest zaszczytem grać rolę w sztuce, w której z najwybitniejszego człowieka w tym kraju, a przy tym najważniejszego ministra, robi się rozbójnika i łajdaka? Czyż nie odegrał pan najbardziej błazeńskiej i podlej trawestacji sir Roberta Walpole’a, grając rolę Robina z Bagshot? Pańska żona nie była lepsza, przecież w tej samej sztuce grała Dolly Trull, bezwstydną ulicznicę, w którą to rolę bez wątpienia z łatwością się wczuła.

– Sir, protestuję z największym oburzeniem co do ostatniej uwagi. Moja żona...

– Nic mnie pańska żona nie obchodzi. Znam pana, sir, i to znacznie lepiej, niż się panu zdaje. Wiem także, co było, gdy znowu zaczęto grać *Pasquina* dwudziestego szóstego kwietnia. Nie wiedzieć czemu, pan nie grał w tej sztuce, pańską wspaniałą rolę przejął ktoś inny, niejaki Topham, czyż nie tak było? Znam też kłamliwe wytłumaczenie, jakie pan podał. Mam świadków na to, że zerwał pan swoje engagement. Chce mi pan wmówić, że pan zrezygnował z roli, która była bombą sezonu, w czym pan miał niemały udział, po to, by jechać do Exeter z powodu możliwości uzyskania jakiejś innej propozycji? Pan został podkupiony, Lacy, i wiem nawet przez kogo.

Aktor stał zgarbiony, słuchając tego. Potem spojrział na prawnika i powiedział tym razem całkiem zwyczajnie:

– Nie popełniłem żadnej zbrodni, nic nie wiem o... o tym, co mi pan powiedział. Mogę na to przysiąc.

– Ale nie zaprzeczy pan, że kupiono pana, żeby pan dotrzymał towarzystwa osobie o nazwisku Bartholomew w jego podróży na zachód, w ostatnim tygodniu

kwietnia?

– Mam prawo wiedzieć, jaki wpływ może mieć na tę sprawę moja odpowiedź?

Ayscough chwilę milczał.

– Powiem panu wprost. Jeśli będzie pan dalej wszystkiemu zaprzeczać, wyekspediuję pana prosto z tego pokoju do więzienia Newgate, a stamtąd w kajdanach do Devonu na najbliższą sesję sądową. Proszę zeznać pod przysięgą, że pan jest tym, za kogo pana mam, a potem zobaczymy. Zdecyduje ten, w imieniu którego działam. – Podniósł surowo palec. – Ale ostrzegam pana, muszę wiedzieć wszystko co do joty. W przeciwnym razie mój mocodawca i ja zmiążdżymy pana całkowicie. Wystarczy, że skinie on głową, a nie zostanie z pana garstka prochu i będzie pan przeklinać dzień, w którym się urodził.

Aktor podszedł do fotela i ciężko w nim usiadł. Potrząsnął głową i wbił wzrok w podłogę.

– A więc, sir?

– Zostałem oszukany, szkaradnie oszukany. Myślałem, że przez ten podstęp zostanie osiągnięty szlachetny cel. – Podniósł wzrok. – Pan mi nie uwierzy, ale ma pan przed sobą człowieka uczciwego. W tym, co się stało, zawiniłem tylko łatwowiernością, lekkomyślnością, temu niestety nie mogę zaprzeczyć. Ale nie miałem złych intencji, nic też złego nie uczyniłem. Błagam, żeby pan w to uwierzył.

– Proszę mnie o nic nie błagać, sir. Nie wierzę w nic prócz faktów.

– A dla mej czcigodnej małżonki, pani Lacy, jest pan niesprawiedliwy. W niczym nie brała udziału.

– To dopiero ustalimy.

– Może pan o mnie pytać, jestem dobrze znany w swoim środowisku. Znałem pana Gaya, także jego przyjaciółkę, księżnę Queensberry, oraz jej wielce czcigodnego małżonka, cieszyłem się też przyjaźnią generała Charlesa Churchilla, spotykałem go najczęściej na Grosvenor Street, nim umarła pani Oldfield. Znam też pana Richa z Goodman's Fields, pana Cibbera poetę-laureata, pana Quina i znaną panią Bracegirdle. Wszyscy oni mogą wiele o mnie powiedzieć, nie jestem Thomasem Walkerem, żeby przynosić wstyd mej profesji. – Prawnik milczał, wpatrując się w niego. – Czy obraziłem jakąś ważną personę? – Prawnik nadal milczał. – Obawiam się, że tak się stało. Gdybym wiedział na początku, czego się na zakończenie dowiedziałem... – Znowu żadnej odpowiedzi. – Co mam zrobić?

– Złożyć przysięgę i powiedzieć wszystko, niczego nie ukrywając. I to od

samego początku.

Przesłuchanie i zeznanie

FRANCISA LACY'EGO,
*które złożył pod przysięgę
dwudziestego trzeciego dnia sierpnia,
w dziesiątym roku panowania naszego Władcy,
Jerzego Drugiego, z Bożej łaski Króla Wielkiej Brytanii
i Anglii etc.*

Nazywam się Francis Lacy, mieszkam przy Hart Street w pobliżu Ogrodu, a dwa domy od „Latającego Anioła”. Mam pięćdziesiąt jeden lat, urodziłem się w Londynie, w parafii Świętego Idziego. Jestem aktorem, wnukiem Johna Lacy'ego, ulubieńca króla Karola.

PYTANIE: Przede wszystkim proszę mi odpowiedzieć na następujące pytanie: czy wiedział pan, że pan Bartholomew używał fałszywego nazwiska?

ODPOWIEDŹ: Wiedziałem.

P: Czy znał pan jego prawdziwe nazwisko?

O: Nie znałem i nie znam do dzisiaj.

P: W jakich okolicznościach widział go pan po raz ostatni?

O: Pierwszego maja tego roku.

P: Czy pan wie, gdzie on teraz jest?

O: Nie wiem.

P: Przypominam, że złożył pan przysięgę.

O: Szczerze odpowiadam, sir.

P: Przysięga pan, że od pierwszego maja nie widział go pan ani nie miał z nim osobistych kontaktów, ani jakichkolwiek wiadomości przekazanych w inny sposób?

O: Przysięgam uroczyście. Ale, na Boga, pragnąłbym wiedzieć, co się z nim dzieje?

P: Teraz pytam o to samo, lecz jeśli idzie o dwoje innych towarzyszy podróży, pana służącego i dziewczyny? Co z nimi?

O: Nic nie wiem. Od tego samego dnia. Proszę mi wierzyć, sir, okoliczności są tak zagmatwane, i gdybym mógł wyjaśnić...

P: Wyjaśni pan w swoim czasie. A teraz, czy przysięga pan, że nie wie, gdzie tych dwoje się znajduje?

O: Przysięgam, także i na to, że do dzisiaj nie wiedziałem nic o śmierci służącego. Czy mogę spytać...

P: Nie może pan. I niech niebiosa mają pana w swej opiece, jeśli pan kłamie.

O: Niech niebiosa porażą mnie gromem, jeśli kłamię.

P: No dobrze. Wszak przypominam, że nieświadomość skutków nie jest w sądzie argumentem. Nadal jest pan współwinny zbrodni. A teraz chcę usłyszeć wszystko, i to od początku.

O: Będzie to dziwna opowieść, sir, i mogę w niej wyjść na głupca. Na własną obronę muszę opowiedzieć, jak wtedy podchodziłem do całej tej sprawy. W każdym razie zmieniłem zdanie, kiedy poznałem ją bliżej.

P: Nic dziwnego. Proszę zaczynać.

O: Było to w połowie kwietnia tego roku. Jak pan wie, grałem Fustiana we wczesnej sztuce pana Fieldinga *Pasquin*, rolę, w której, tutaj muszę się pochwalić...

P: Nie ma czym się chwalić. Przejdźmy do sedna.

O: Zmierzam do tego sir, że sztuka była przyjęta bardzo przychylnie, a moja w niej rola zauważona. Dzień lub dwa, nim mieliśmy ją przestać grać przed Wielkanocą, człowiek imieniem Dick przyszedł około południa do mego domu na Hart Street i wręczył mi list od swego pana, który podpisał się nie nazwiskiem, lecz jako Philocomoedia. W środku była paczuszka, a w niej pięć gwinei. W liście proszono mnie, żebym je przyjął jako wyraz uznania dla mej gry, piszący dodał też kilka komplementów.

P: Czy ma pan ten list?

O: Tak, mam go w domu. Pamiętam jego styl. Był bardzo rzeczowy.

P: Proszę kontynuować.

O: Piszący twierdził, że oglądał sztukę trzy razy, wyłącznie po to, aby mieć przyjemność podziwiania mego talentu. I że byłby wielce zaszczycony, gdybym się z nim spotkał, gdyż chciałby mi przedstawić propozycję, która przyniesie nam obu korzyść. Podano czas i miejsce spotkania, choć wspomniano, że jeśli mi to nie odpowiada, można zmienić dzień i porę.

P: Gdzie i kiedy?

O: W kawiarni Trevelyana, następnego dnia rano.

P: I pan się zgodził?

O: Tak, sir. Nie zaprzeczę, że wręcz się ucieszyłem.

P: I zapewne czuł pan zapach następnych gwinei.

O: Uczciwie zdobytych, sir. W moim zawodzie zarabia się znacznie mniej niż w pańskim.

P: Czy nie był pan tą propozycją zdziwiony? Czyż to raczej nie aktorki otrzymują takie złote prośby o schadzkę?

O: Nie byłem zdziwiony, sir. Nie wszyscy są tak kiepskiego zdania o teatrze jak pan. Wielu dżentelmenów lubi dyskutować o sztukach dramatycznych i aktorstwie, i wcale nie gardzą naszym towarzystwem. Inni sami aspirują do wawrzynów i chętnie korzystają z naszych rad, kiedy ich utwory są wystawiane na scenie. Przypuszczałem, że o to właśnie chodzi. Nie byłem pierwszy, który dostał taką propozycję, zapewniam pana. Sam uczyłem się od Francuzów, i to z powodzeniem. Moja przeróbka sztuki Moliera pod tytułem...

P: Dobrze, dobrze. I co dalej?

O: Jego służący, ten głuchoniemy Dick, czekał na mnie przy wejściu do Trevellyana i zaprowadził do prywatnego pokoju, gdzie spotkałem pana Bartholomew.

P: Pod tym właśnie nazwiskiem?

O: Tak. Tak mi się przedstawił.

P: Był sam?

O: Tak, sir. Usiedliśmy i znowu powtórzył swoje komplementy z listu. Pytał o mnie i o role, które grałem.

P: Czy sprawiał wrażenie, że jest znawcą teatru?

O: Wcale tego nie udawał. Wyznał, że od niedawna jest w Londynie i do teatru przedtem nie chodził. Zaczął ostatnio i połączył to z innymi zainteresowaniami.

P: Skąd przybył?

O: Z północy, sir. Nie powiedział dokładnie skąd, ale po jego wymowie zorientowałem się, że z pomocnego wschodu. Tak mówią ludzie pochodzący z hrabstwa York.

P: Jakie to były te inne zainteresowania?

O: Nauki przyrodnicze. Twierdził, że zaniedbał sztuki piękne od czasu, kiedy opuścił uniwersytet.

P: Mówił coś o swej rodzinie?

O: Właśnie chciałem o tym powiedzieć. Zadałem kilka uprzejmych pytań, przedtem opowiadając może zbyt długo o moich własnych dziejach. Na co on powiedział, jak mi się zdawało nieco zmieszany, że jest młodszym synem pewnego ziemianina, ale nie chciał nic więcej powiedzieć, gdyż przeszedł do ważniejszej

sprawy, przyczyny naszego spotkania. Muszę stwierdzić, że to wszystko, co potem nastąpiło, okazało się nieprawdą.

P: Proszę opowiedzieć tak, jak to zostało panu opowiedziane.

O: Nie będę tracił pańskiego...

P: Sam osądzę, czy jest warte mego czasu. Proszę mówić.

O: Zaczął od założeń hipotetycznych, sir. Co, jak się przekonałem później, często miało miejsce w naszych rozmowach. Spytał mnie, co bym powiedział, gdybym dostał godziwą zapłatę za odgrywanie pewnej roli tylko dla niego. Odparłem, że chciałbym wiedzieć, jakiego rodzaju roli. Takiej, jaką on mi wyznaczy – powiedział. Pomyślałem sobie, iż doszliśmy do sedna sprawy, że napisał jakąś sztukę i chciałby, żebym mu ją deklamował. Wobec tego odparłem, że z przyjemnością mogę mu służyć w takim charakterze. Powiedział, że to bardzo dobrze, ale to nie będzie tu i teraz, nie chodzi też o jeden występ, ale trwający kilka dni, a może nawet dłużej, i że chodzi mu o koniec miesiąca i że bardzo mu na tym zależy, ale że to będzie dla mnie z wielką korzyścią, gdyż wie, iż jestem zaangażowany w Małym Teatrze, więc uczyni wszystko, żeby mi się opłacało, kiedy na pewien czas się zwolnię. Tak mówił. Muszę przyznać, że byłem bardzo tym zaskoczony, zwłaszcza kiedy zaczął mnie pytać, ile biorę za rolę na Haymarket. Wyjaśniłem mu, jak dzielimy wpływy, a on stwierdził, że mój udział wynosi około pięciu gwinei tygodniowo. Bardzo dobrze, powiedział, ustalmy więc, że za moją rolę będę panu płacił pięć gwinei dziennie, niezależnie od wpływów. I zapytał, czy uważam to za godziwą zapłatę za swój talent. Byłem wprost oniemiały, słysząc o takiej szczodrości, wprost nie wierzyłem własnym uszom i myślałem z początku, że sobie żartuje. Ale nie żartował, daleki był od tego. Widząc moje wahanie, oświadczył, że skoro będę musiał podróżować, żeby odegrać swoją rolę, co może zająć mi i dwa tygodnie, oraz znosić wiele niedogodności, z radością proponuje mi dalsze trzydzieści gwinei, co razem da okrągłą sumę stu gwinei za oddane mu przeze mnie usługi. Panie Ayscough, nie jestem na tyle dobrze sytuowany, żeby mi taka suma przeszła koło nosa. Oto proponowano mi, żebym w dwa tygodnie zarobił tyle, ile miałbym, pracując pół roku. Muszę też panu powiedzieć, że *Pasquin* już się ograł, jak to się u nas mówi, gdyż dochody były coraz mniejsze, a i sezon zbliżał się do końca. Mój przyjaciel, pan Topham, zastępował mnie przedtem dwa dni, kiedy byłem niedysponowany, i nie bez pewnego aplauzu, choć...

P: Wystarczy. Doskonale, sir, bardzo to pana kusilo. Przejdźmy do meritum.

O: Poza tym pomyślałem sobie, że pewnie chce zrobić niespodziankę sąsiadom

i rodzinie w swych stronach. Jednak szybko zostałem wyprowadzony z błędu. Poprosiłem, żeby powiedział coś bliższego. Pamiętam jego odpowiedź *verbatim*, sir. Potrzebuję kogoś, panie Lacy – powiedział – kto by mi towarzyszył podczas podróży, osoby poważnej i budzącej zaufanie, sądzę, że odegranie tej roli nie sprawi panu trudności, gdyż taki jest pan ze swej natury. Podziękowałem mu za komplement, ale stwierdziłem, że nie mam pojęcia, dlaczego potrzebuje takiego towarzysza. Ponownie był zmieszany i nie odpowiedział. Wstał, podszedł do okna i tam się głęboko zamyślił. Po dłuższej chwili odwrócił się do mnie, jakby chciał zmienić tok rozmowy i poprosił o wybaczenie. Wyznał, że został zmuszony postępować wbrew swej naturze, gdyż przywykł zawsze działać otwarcie w każdej napotkanej sytuacji. Potem powiedział, że musi się z kimś spotkać, od kogo zależy jego życie, i że są ludzie, którzy by chcieli mu przeszkodzić, dlatego muszę podać nieprawdziwe przyczyny mego wyjazdu. A wreszcie dodał dość gwałtownie, że nie ma nic nieszlachetnego ani przynoszącego ujmę w tym, co zamierza uczynić. Po prostu jest ofiarą niesprawiedliwego i okrutnego losu, co chciałby naprawić. I że daje na to słowo honoru.

P: Co dalej?

O: Jak można się spodziewać, byłem zdumiony. Powiedziałem, że pewno mówimy o jakiejś damie, o związku uczuciowym. Na to on tylko smutno się uśmiechnął. To więcej niż związek uczuciowy, Lacy – powiedział. Jestem zakochany i prawie umieram z tego powodu. Opowiedział mi wtedy o surowym i bardzo upartym ojcu, i o zaplanowanym dla niego małżeństwie, do którego jego ojciec uporczywie zdąży, ponieważ owa dama jest bogata i posiada majątek ziemski, na którym jego ojcu bardzo zależy, gdyż graniczy z jego włościami. Jednak ona jest o dziesięć lat starsza od pana Bartholomew, a do tego, używając jego słów, to najbrzydsza stara panna w promieniu pięćdziesięciu mil. Po czym poinformował mnie, że gdyby nawet była najpiękniejszą panną w okolicy, nie posłuchałby ojca, ponieważ w Londynie, w październiku ubiegłego roku, zapalał uczuciem do pewnej młodej osoby, przebywającej właśnie w stolicy wraz z wujem, swym opiekunem, i jego rodziną.

P: Jak się nazywała?

O: Jej nazwisko nigdy nie padło. Ta młoda osoba była sierotą i miała po dojściu do pełnoletniości odziedziczyć majątek. Niestety jej wuj i opiekun miał syna w wieku do żeniaczki, no więc wiadomo, co planował.

P: Tak, rozumiem.

O: Pan Bartholomew wyznał mi, że jego afekt został odkryty, a ponadto, co w

normalnych okolicznościach byłoby wydarzeniem bardzo szczęśliwym, jego uczucie było gorąco odwzajemnione. Wobec tego młodą osobkę szybko przewieziono do Kornwalii, gdzie znajduje się majątek jej opiekuna.

P: I tam została uwięziona?

O: Istotnie tak. Jednak mogli potajemnie wymieniać korespondencję dzięki zaufanej służącej. Wiadomo wszystkim, że rozłąka podsyca miłość. W rezultacie zrozpaczony pan Bartholomew zwierzył się ze wszystkiego swemu rodzicowi, prosząc go o pomoc i błogosławieństwo. Niestety ambicja ojcowska wygrała z uczuciem. Doszło do ostrej wymiany słów, ojciec nie chciał wyrazić zgody. Przedstawiam to panu, panie Ayscough, tak jak zostało to mnie przedstawione, choć opuściłem drobne szczegóły i atmosferę tej wypowiedzi.

P: Proszę mówić dalej.

O: Streszczając się, pana Bartholomew, ponieważ nadal nie zgadzał się na związek z kimś innym, ojciec wypędził z domu i zapowiedział, że dopiero wtedy może wrócić, jak się uspokoi i wypełni swój synowski obowiązek. Zagroził nawet, że jeśli będzie się upierał przy swojej decyzji, straci wszelkie możliwości na przyszłość. Wobec tego przybył do Londynu przejęty zarówno ogniem miłości, jak i poczuciem krzywdy, ponieważ dama jego serca, choć nie tak bogata jak ta wybrana przez ojca, posiadała też znaczny majątek i pochodziła z bardzo dobrej rodziny, a nad tamtą górowała wdziękiem, urodą i młodością. Postanowił więc pokonać wszelkie przeszkody, jechać na zachód i wziąć sprawę w swoje ręce.

P: Kiedy to było?

O: Miesiąc przedtem. Wyznał, że czynił to bez namysłu, po prostu ulegając przemożnej chęci ujrzenia ukochanej, pragnąc ją zapewnić o swojej miłości oraz powiedzieć, że wstrętem napawa go myśl o planowanym przez ojca małżeństwie. Chciał jej obiecać, że nigdy nie da wydrzeć sobie z serca...

P: Proszę mi oszczędzić tych czułych argumentów.

O: Kiedy przybył na miejsce, przekonał się, że został uprzedzony. Nie wie dlaczego, być może któryś list został przechwycony. Przyznał, że nieopatrznie mówił o swoich sprawach w Londynie przyjaciółom i może jakieś wieści dotarły do uszu osób wrogich jego zamiarom. Następnie podróżował pod własnym nazwiskiem, większość drogi przebył dylizanssem i podejrzewa teraz, że wiadomość o jego przyjeździe wyprzedziła go. Kiedy dotarł na miejsce, dom zastał pusty i nikt nie potrafił mu powiedzieć, dokąd udała się cała rodzina. Podobno wyjechali dzień przedtem w

wielkim pośpiechu. Na próżno czekał cały tydzień. Wypytywał się na wszystkie strony, ale to nic nie dało, ponieważ, jak się zdaje, wuj dziewczyny ma wielkie wpływy w tej okolicy. Wobec tego wrócił do Londynu. Tutaj, sir, czekał na niego list, w którym młoda lady wyraźnie napisała, że została wywieziona wbrew swej woli, że jej wuj był wściekły na nią i robił wszystko, co w jego mocy, żeby ją zmusić do małżeństwa ze swoim synem, a jej bratem ciotecznym, i że choć brat cioteczny kocha ją, ma nadzieję, że nie zmusi jej do małżeństwa, tak jak chce jego ojciec. Jednak obawia się, że on nie wytrwa długo w swoim postanowieniu, ponieważ jego uczucie i życzenia ojca są zbieżne. Na zakończenie dodała, że jej służąca została wyrzucona z pracy i że nie mając teraz ani przyjaciółki, ani osoby zaufanej, jest pogrążona w rozpacz.

P: Widzę, o co chodzi. Teraz przejdźmy do sprawy.

O: Pan Bartholomew powiedział, że postanowił tam pojechać. Tym razem zachowa to w tajemnicy. Z tego powodu udawał wobec wszystkich znajomych, że wyzbył się wszelkiej nadziei poślubienia tej młodej damy i zamierza być posłuszny ojcu. Jednak obawia się wielce, że wiadomość o tej udanej zmianie jego uczuć dotrze do wuja ukochanej, a tym samym i do niej, i ona może w to uwierzyć. Dlatego musi działać szybko i podróżować pod fałszywym nazwiskiem, nie sam i pod innym pretekstem. Taka jest istota całej sprawy.

P: *Facile credimus, quod volumus*. A pan najwyraźniej wziął za dobrą monetę tę całą brednię.

O: Przyznam, że pochlebily mi te zwierzenia. Brzmiały bardzo prawdziwie. Gdybym odniósł wrażenie, iż mam do czynienia z jakimś szczerwanym łajdakiem... Ale zapewniam pana, że tak nie było.

P: Doskonale, proszę mówić dalej.

O: Powiedziałem panu Bartholomew, że bardzo mu współczuję, ale za żadne skarby nie wezmę udziału w kryminalnym przedsięwzięciu i że przewiduję bardzo nieprzyjemne konsekwencje, jeśli jego plan się powiedzie.

P: Co on na to?

O: Co do ojca, mówił, jest pewien, że z czasem uzyska jego przebaczenie, ponieważ przed tym konfliktem stosunki ich były raczej dobre. Jeśli zaś idzie o wuja, to jego okrucieństwo wobec siostrzenicy, jego zamiary były tak jawne, że wkrótce na własnej skórze przekona się, jak opinia publiczna ostro potępi jego bezwzględne dążenie do realizacji egoistycznego celu. Z pewnością będzie okropnie zły, kiedy dziewczyna ucieknie od niego, ale nie ośmieli się nadawać rozgłosu tej historii.

P: I przekonał pana?

O: Nadal miałem skrupuły, panie Ayscough. Zapewnił mnie jednak, że nie chce, by w przyszłości ktokolwiek oprócz niego ponosił odpowiedzialność za tę sprawę. Powiedział, że przemyślał wszystko i że moja rola skończy się w przeddzień dotarcia do miejsca celu podróży. Dalej pojedzie już tylko ze służącym. Daje uroczyste słowo honoru, że nie będzie mnie prosić o bezpośredni udział w porwaniu. Po prostu, jak to ujął, doprowadzę go bezpiecznie na sam próg. A co się zdarzy później, to nie moja sprawa.

P: Czy miał plan porwania?

O: Zamierzał jak najszybciej dotrzeć do Francji, po jakimś czasie jednak wrócić, ponieważ dziewczyna zostawiła jego żonę, będzie miała wszelkie prawa do majątku. Wtedy chciał wraz z nią rzucić się do nóg ojca.

P: I co dalej?

O: Powiedziałem, że muszę się zastanowić nad tą propozycją i że nazajutrz dam odpowiedź. Chciałem to omówić z panią Lacy, jak to mam w zwyczaju w ważniejszych sprawach życiowych, ponieważ cenię jej zdanie. Jeśli mówi, że jakieś engagement jest nie dla mnie, nie przyjmuję go. Rodzice mej małżonki podobnie jak pan, panie Ayscough, nie pochwalali mej profesji. Kiedy pan Bartholomew opowiedział mi o swoich perypetiach, przypomniałem sobie własne młode lata. Nie rozwodząc się długo nad sprawą, wspomnę tylko, że pani Lacy i ja też nie czekaliśmy na rodzicielskie błogosławieństwo. Może to było niezgodne z prawem, ale owocem jest chrześcijańskie, bardzo szczęśliwe małżeństwo. Nie mówię tego, sir, żeby się tłumaczyć. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że swego czasu i ja też byłem zaślepiiony miłością.

P: Czy ona się zgodziła?

O: Dopiero kiedy dokładnie zrelacjonowałem, jakie jest moje zdanie o panu Bartholomew... podkreśliłem jego szczerość i przejęcie całą sytuacją.

P: Posłuchajmy więc teraz o tym.

O: Powiedziałem żonie, że jest to poważny młody człowiek, może nawet zbyt poważny jak na swój wiek. Trzeba przyznać, że o swoim uczuciu nie mówił z wielką wylewnością, jednak odniosłem wrażenie, że było to uczucie głębokie, a jego intencje szlachetne. Mówię to, choć teraz wiem, że zostałem oszukany i wystrychnięty na dudka. A kiedy zdjęta została zasłona z moich oczu... No, cóż, sir, przekonałem się, że pozostała jeszcze jedna zasłona, i to ciemniejsza. Zaraz przejdę do tego.

P: Czy spotkał się pan z nim nazajutrz?

O: Tak, u Trevelyana, w tym samym pokoju co przedtem, wkrótce po mojej rozmowie z panem Tophamem w sprawie zastępstwa. Najpierw powiedziałem o moich wątpliwościach.

P: Zapewne po to, by dostać więcej?

O: Pan się upiera, żeby mnie źle sądzić.

P: A pan się upiera, że nie był narzędziem kryminalnego przestępstwa? Kupido, to jedno, Lacy, a prawnie wyznaczony opiekun to całkiem coś innego. Nie mówiąc o tym, że ojciec ma prawo domagać się, żeby syn ożenił się z osobą, którą on wskaże. No, ale dosyć. Proszę mówić dalej.

O: Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o panu Bartholomew i jego sytuacji. Grzecznie mi odmówił, twierdząc, że tak będzie lepiej nie tylko dla jego dobra, ale i mojego. Im mniej wiem, tym mniejsza szkoda może wyniknąć, jeśli sprawa nabierze rozgłosu, gdyż wtedy z jasnym czołem będę mógł twierdzić, że nic nie wiedziałem o jego zamiarach *et cetera*.

P: Czy nie spytał pan o jego prawdziwe nazwisko?

O: Zapomniałem powiedzieć, sir, że przedtem wyznał, iż podał mi fałszywe z wyżej podanego powodu. Przyjąłem to za dobrą monetę, uważając, że nie chce mnie niepotrzebnie obciążać.

P: Czy pańskim zdaniem jego maniery świadczyły o tym, że jest kimś więcej niż synem skromnego ziemianina?

O: Czy mam przypuszczać, że...

P: Nic pan nie ma przypuszczać, tylko odpowiadać na moje pytania.

O: A więc, sir, nie w tym czasie. Wtedy odniosłem wrażenie, że nie przywykł do życia w Londynie. Zresztą sam o tym mówił.

P: Czy później zmienił pan zdanie?

O: Miałem wątpliwości, sir. Nie potrafił ukryć pewności siebie i niecierpliwości. Wiedziałem, że jest kimś więcej niż synem właściciela ziemskiego, jednak nie domyślałem się, kto może się kryć pod maską, którą przywdział.

P: Doskonale. Proszę mówić dalej.

O: Zażądałem ponownej obietnicy, że moje zobowiązania wobec niego ustaną w miejscu, które ustalił. Dalej że, niezależnie od tego, jakie są jego plany poza tym miejscem, podczas ich realizacji nie będzie użyta przemoc.

P: I dał to zapewnienie?

O: Z całą szczerością. Powiedział, że jeśli chce, może przysiąc na Biblię.

P: Przejdźmy do faktów.

O: Powiedział, że chce wyruszyć w tydzień od owego dnia, czyli w następny poniedziałek, dwudziestego szóstego kwietnia, co jak zapewne pan sobie przypomina, było na dzień przedtem jak Jego Wysokość książę Walii miał poślubić księżniczkę Saxe-Gotha. Pan Bartholomew uważał, że z tego powodu będzie wielkie zamieszanie i dlatego uda nam się wyjechać niepostrzeżenie. Ja miałem być w przebraniu kupca londyńskiego, on moim siostrzeńcem, a jawnym celem naszej podróży miało być odwiedzenie...

P: O tym wiem. Rzekomej ciotki w Bideford.

O: Właśnie tak.

P: Czy dał panu do zrozumienia, że jest śledzony, że wysłano za nim szpiegów?

O: Nie podał konkretnego przypadku, ale twierdził, że są ludzie, którzy wszystko zrobią, żeby przeszkodzić w jego zamiarach.

P: Pana zdaniem mieli to być ludzie z jego własnej rodziny czy rodziny opiekuna tej młodej damy?

O: Zrozumiałem, że ze strony jego rodziny, gdyż wspomniał kiedyś o starszym bracie, który we wszystkim zgadzał się z ojcem, a z którym pan Bartholomew prawie nie rozmawiał, tak bardzo byli sobie obcy.

P: Byli sobie obcy, dlatego że starszy brat był posłuszny we wszystkim ojcu?

O: Że podobnie jak ojciec przedkładał bogactwa i duże własności ziemskie ponad prawdziwe uczucie.

P: Nie wspomniał pan dotąd o człowieku imieniem Farthing i dziewczynie?

O: To ja miałem załatwić dla siebie służącego. Pan Bartholomew spytał, czy znam kogoś, komu mógłbym zaufać, bystrego, zdolnego odegrać określoną rolę, a także przydatnego podczas podróży, żeby nas chronił przed rabusiami. Przypomniał mi się więc jeden taki.

P: Jego nazwisko?

O: On jest nawet bardziej niewinny niż ja, sir, przynajmniej w tej sprawie.

P: Dlaczego pan mówi „przynajmniej w tej sprawie”.

O: Poznałem go, kiedy był portierem w teatrze na Drury Lane, ale go wyrzucono, ponieważ niedbale wykonywał swoje obowiązki. Ma słabość do picia alkoholu, co niestety często się spotyka w naszym zawodzie.

P: On jest również aktorem?

O: Kiedyś był. Czasem powierzano mu poślednie rólki, poza tym miał pewne zdolności do błaznowania. Z pochodzenia jest Walijszczykiem, kiedyś grał rolę odzwiernego w *Makbecie* Szekspira, kiedy byliśmy w trudnym położeniu z powodu nagłej choroby aktora i nie mogliśmy znaleźć nikogo lepszego. Został całkiem dobrze przyjęty i mieliśmy zamiar dalej go zatrudniać. Nigdy jednak nie potrafił nauczyć się dłuższego tekstu, nawet kiedy był trzeźwy, i dlatego dostawał tylko drobne role.

P: Jego nazwisko?

O: Dawid Jones.

P: I powiada pan, że nie widział go pan od pierwszego maja?

O: Nie widziałem, sir. Mówiąc dokładnie od dnia poprzedzającego. Ponieważ uciekł w nocy bez naszej wiedzy.

P: Nie pojechał ani z panem, ani z panem Bartholomew?

O: Nie.

P: I nie widział go pan od tamtej pory? Ani nie słyszał o nim?

O: Daję słowo, że nie. Dziesięć dni temu spotkałem na ulicy pewnego człowieka, który dobrze go znał, i spytałem, co się z nim dzieje. Ale on także ani go nie widział, ani o nim nie słyszał w ciągu tych czterech minionych miesięcy.

P: Czy pan wie, gdzie on mieszkał?

O: Wiem tylko, że bywał w pijalni ponczu na Berwick Street, gdzie również po powrocie kilka razy o niego pytałem, ale nikt go nie widział.

P: Mówimy o Farthingu?

O: Tak. Po tym, jak uciekł, przysłał mi list, że chce odwiedzić swoją matkę w Walii. W Swansea. Kiedyś mi powiedział, że miała nędzną piwiarnię, ale nie wiem, czy to prawda i czy on tam pojechał. Nic więcej nie potrafię o nim powiedzieć.

P: Czy to pan go zgodził?

O: Zabrałem go na spotkanie z panem Bartholomew, który zaakceptował go. To dobrze zbudowany mężczyzna, umie obchodzić się z bronią, wygląda na odważnego i dzięki temu został przyjęty. Grał kiedyś dla mnie rolę hałaśliwego chwalipięty w sztuce Farquhara *Oficer werbunkowy*, gdzie miał duże powodzenie, choć na to nie zasłużył, bo prawdę mówiąc, był tak pijany, nim zaczęliśmy grać, że nie musiał tego udawać na scenie. Ustaliliśmy więc, że odegra część tej roli, żeby wykonać nasze zadanie.

P: Jaka miała być jego zapłata?

O: Dziesięć gwinei za całość, które miałem mu wypłacić dopiero na koniec, po

to, z wyjątkiem jednej gwinei na zadatek, żeby mieć pewność, że nie będzie pił. No, i utrzymanie.

P: Ale pan mu tego nie zapłacił?

O: Nie zapłaciłem, sir. Tylko drobną część, prawdę mówiąc. To jeszcze jedna wielka tajemnica, dlaczego wziął nogi za pas, nim dostał pieniądze.

P: Czy powiedziano mu wszystko?

O: Tylko tyle, że podróżujemy potajemnie, pod fałszywymi nazwiskami. I że chodzi tu o sprawy sercowe.

P: Czy nie miał nic przeciw temu?

O: Nie. Dałem mu słowo, że nie ma w tej sprawie nic zakazanego. Zawdzięczał mi różne przysługi.

P: A jakie przysługi pan mu wyświadczał?

O: Jak już mówiłem, nieraz dawałem mu pracę. Jedną mu załatwiłem, jak go wyrzucono z Drury Lane. Od czasu do czasu pożyczałem mu niewielkie sumy. On nie jest łobuzem, po prostu leniuch.

P: Jaką pracę?

O: Stangreta u nieżyjącej już pani Oldfield. Musiała go jednak zwolnić, bo zbyt często się upijał. Od tego czasu żył z dnia na dzień. Przez pewien czas był skrybą u notariusza, potem mył okna, nie tak dawno był lektykarzem i sam nie wiem, kim jeszcze.

P: A mnie wydaje się, że jednak jest łobuzem.

O: Brał to, co mu życie niesło, jak się u nas mówi. Wśród równych sobie lubił się przechwalać. Z natury był wymowny. Ponieważ służący pana Bartholomew był niemy, uważaliśmy, że ktoś taki jak Jones uśpi podejrzenia tam, gdzie się zatrzymamy. Bo on umie trzymać język za zębami, mimo pozorów, nawet kiedy pije. W rzeczywistości nie jest głupcem i całkiem przy tym uczciwy.

P: Dobrze. A teraz co z dziewczyną?

O: Zapomniałem powiedzieć, że pan Bartholomew uprzedził mnie, że będzie nam towarzyszyć. Zobaczyłem ją dopiero w Staines. Poinformował mnie, że to jest właśnie służąca, o której mówił, zaufana młodej damy, która została wyrzucona z powodu swych dla niej zasług. Dlatego przywiózł ją do Londynu, zaopiekował się nią, a teraz zamierza zabrać, żeby wróciła do swojej pani. Nie bardzo zwracałem na nią uwagę podczas naszego pierwszego spotkania. W każdym razie wyglądała na służącą z dobrego domu.

P: Czy podano jej imię? Louise? Czy nikt się nie zwracał do niej inaczej?

O: Miała na imię Louise i nie słyszałem, żeby ktoś mówił do niej inaczej.

P: Czy nie uważał pan, że jest zbyt delikatna i wyniosła jak na służącą?

O: Nie, sir, była milcząca i opanowana.

P: Ładna?

O: Miała piękne oczy, sir, była bardzo ładna. Kiedy się odezwała, wyrażała się poprawnie, nazwałbym ją skromną pięknnością, gdyby nie to, że jak na mój gust była zbyt drobna i szczupła. Muszę jednak panu powiedzieć, że wiązała się z jej osobą jakaś wielka tajemnica, tak samo jak z osobą służącego pana Bartholomew.

P: A co z nim?

O: Pominąwszy jego wrodzone kalectwo, nie przypominał zupełnie służącego. Nie nosił granatowej liberyjnej kamizelki, kiedy pierwszy raz pojawił się u mnie, i nie przypuszczałem, że to jest służący. Oczy miał takie jakieś puste i nie zachowywał się jak człowiek swego stanu, jakby nigdy nie przebywał w eleganckim towarzystwie, ani nie miał w zwyczaju szanować tych, którzy byli wyżej od niego. Nie nosił też liberii, kiedy byliśmy w drodze, wyglądał raczej jak prosty wieśniak, wędrowny Irlandczyk, a nie służący dżentelmena. Nie pasował zupełnie ani do swego pana, ani do tej dziewczyny. Jednakże to nie wszystko, sir, jest jeszcze coś dziwniejszego.

P: Wszystko we właściwym czasie. Wróćmy do waszej podróży. Czy to pan B. był organizatorem wszystkiego?

O: Jeśli idzie o naszą marszrutę, tak. Powiedział, że boi się gościńca do Bristolu, ponieważ jest zbyt uczęszczany, i uważa za całkiem prawdopodobne, że wuj umieścił na nim swego obserwatora w Marlborough albo samym Bristolu, żeby go uprzedził. Dlatego skierowaliśmy się na południe, jakbyśmy jechali do Exeter, pod pretekstem że miał tam interes przed moją wizytą u domniemanej siostry w Bideford.

P: Czy właśnie to powiedział panu, nim wyruszyliście w drogę? Że jedzie do Bideford?

O: Tak. Ale poprosił, żebyśmy doradzili mu, jakiego użyć wybiegu, mówiąc, że pierwszy raz w życiu musi tak udawać i że my z pewnością lepiej wiemy, jak się takie rzeczy robi. Tak więc doradziliśmy mu, jak mówię.

P: Gdzie się spotkaliście?

O: Zostało zdecydowane, że w przeddzień Jones i ja pojedziemy sami dyliżansem do Hounslow i zatrzymamy się tam „Pod Bykiem”.

P: Mamy zatem dwudziesty piąty kwietnia?

O: Tak. I że znajdziemy tam czekające na nas konie, następnie o brzasku wyruszymy drogą na Staines, gdzie spotkamy jego wraz ze służącym i dziewczyną. I tak było. Spotkaliśmy się z nimi na milę przed Staines.

P: Skąd przybyli?

O: Nie wiem. Nie zostało to powiedziane. Chyba nocowali w Staines i cofnęli się. Miasteczko to przejechaliśmy, nie zatrzymując się.

P: Czy nic nie zaszło podczas tego spotkania?

O: Nie, sir. Wyznam, że wyruszyliśmy w nastroju wyczekiwania jakichś miłych zdarzeń.

P: Czy zapłacono panu przed wyjazdem?

O: Zaliczkę na sumę ustaloną dla mnie i tak samo było z Jonesem, z tym, że pieniądze dla niego zostały wypłacone mnie. Miałem pewne wydatki związane z wyjazdem.

P: Ile?

O: Dostałem dziesięć gwinei, Jones jedną. W złocie.

P: A reszta sumy?

O: Otrzymałem przekaz na nią, kiedy się rozstawaliśmy ostatniego ranka, tak jak było ustalone. I pieniądze zainkasowałem.

P: Na jaką firmę był wystawiony?

O: Na firmę pana Barrow z Lombard Street.

P: Handlującą z Rosją?

O: Tak.

P: Nie zajmujmy się drobiazgami. Chcę znać powody pańskiego odkrycia, że pan B. był kimś innym, niż się podawał.

O: Podejrzenia szybko się zjawily, zapewniam pana. Jechaliśmy tak chyba z godzinę, kiedy po raz pierwszy pojawiły się moje wątpliwości. Jechałem nieco z tyłu z Jonesem, który prowadził jucznego konia. I wtedy oświadczył, że musi mi coś wyznać, ale jeśli uznam, że mówi bez sensu, mam mu od razu przerwać. Zgodziłem się go wysłuchać. Wzrokiem wskazał na dziewczynę, która jechała przed nami razem z Dickiem, siedząc za nim, i powiedział: panie Lacy, wydaje mi się, że tę młodą kobietę już widziałem i że to nie jest służąca żadnej damy, wcale nie. Stwierdził, że spotkał ją jakieś dwa, trzy miesiące temu, kiedy odwiedził koło St James dom publiczny niejakiej Claiborne. Znajomy, z którym tam był, powiedział mu, że to – proszę mi wybaczyć wyrażenie – jedna z najlepszych dziwek, które tam pracowały. Może pan

sobie wyobrazić, jak byłem tym zaskoczony, sir, spytałem, czy jest tego pewien. Na co on przyznał, że widział ją krótko i w świetle pochodni, więc przysiąc na to nie może, ale jeśli nawet się myli, to podobieństwo jest uderzające. Wyznam, panie Ayscough, że byłem niezwykle zdziwiony. Wiedziałem, ile takie kreatury oraz ich opiekunki potrafią zarobić na swoim procederze, i choć słyszałem, że takie jak ta Claiborne potrafią dostarczyć dobry towar na jedną noc do domu stałego klienta, nie wyobrażałem sobie jednak, że mogłaby coś takiego załatwić na naszą podróż. Zresztą po co. Przykro mi było, że panu B. udało się mnie oszukać, poza tym nie sądziłem, że ciesząca się takim powodzeniem ladacznica chciałaby się nająć na służbę. Krótko mówiąc, sir, powiedziałem Jonesowi, że z pewnością się myli, ale, że jak tylko nadarzy się sprzyjająca okazja, powinien porozmawiać z dziewczyną, bo może uda mu się odkryć coś więcej.

P: Czy Jones znał jej imię z lupanaru?

O: Nie znał nazwiska ani imienia. Ale wśród tych, którzy odwiedzali ten dom, znana była jako Kwakierka.

P: Co to oznaczało?

O: Że udawała niewinność, żeby podsyć apetyt rozpustników.

P: Czy Jones rozmawiał z nią, tak jak mu pan polecił?

O: Tak, sir, nieco później tego samego dnia. Mówił mi, że niewiele powiedziała. Tylko tyle, że urodziła się w Bristolu i że bardzo chce znowu się zobaczyć ze swoją młodą panią.

P: A więc była wtajemniczona w plan?

O: Tak, ale nie powiedziała nic więcej, mimo że Jones próbował wyciągnąć z niej jak najwięcej. Zapewne pan B. nakazał jej milczeć. Zdaniem Jonesa wyglądała na bardzo nieśmiałą. Mówiła cicho, odpowiadała krótkim tak albo nie, lub tylko skinieniem głowy. Jones trochę zwątpił, bo kiedy przedtem ją widział, nie była taka skromna, i w końcu powiedział, że na pewno się omylił. Krótko mówiąc, sir, nasze podejrzenia na pewien czas zostały rozwiane, a wątpliwości uciszone.

P: Czy mówił pan o tym panu B.?

O: Nie, sir, choć niezupełnie, jak opowiem później.

P: Czy rozmawiał z dziewczyną na osobności, dawał jej jakieś znaki świadczące o ich zмовie?

O: Wtedy nie, sir, w każdym razie nie widziałem tego ani nie słyszałem. Kiedy jechaliśmy, sprawiał wrażenie, że jest mu ona całkowicie obojętna, jakby była tylko

jakimś bagażem. Wie pan, najczęściej on jechał oddzielnie. Kilka razy prosił mnie o wybaczenie, że jest niezbyt uprzejmy, zachowując się jak pustelnik, tak to ujął, ale powinienem zrozumieć, że wszystkie jego myśli wybiegają naprzód, uciekając od nudnej teraźniejszości. Uważałem to wtedy za słowa bez znaczenia, całkiem naturalne w ustach pełnego nadziei kochanka.

P: Czy w ten sposób chciał sobie oszczędzić trudu udawania?

O: Teraz myślę, że tak było.

P: Ogólnie biorąc, pan z nim mało rozmawiał?

O: Raczej tak, ale od czasu do czasu jechał obok mnie, choć nie pierwszego dnia. Wówczas rozmawialiśmy o tym, co mijaliśmy, o naszych koniach i drodze, o takich tam rzeczach. Nie o tym, do czego zostaliśmy najęci. Dopytywał się o moje życie i chętnie słuchał tego, co mu opowiadałem, o sobie samym, o moim dziadku i o królu Karolu, choć wyczuwałem, że słucha bardziej z grzeczności niż powodowany prawdziwym zainteresowaniem. Ogólnie biorąc, im dalej jechaliśmy na zachód, tym bardziej stawał się milczący. Zresztą byłem uprzedzony o tym zawczasu. Jednak coś niecoś dowiedziałem się przypadkowo. To prawda, panie Ayscough, że rola, jaką grałem w *Operze żebraczej*, wyśmiewała sir Roberta Walpole'a, ale proszę mi wierzyć, że my, aktorzy, zawsze musimy mieć dwie osobowości, jedną na deskach scenicznych, drugą poza nimi. Pierwszego dnia, kiedy musieliśmy przejechać te wrzosowiska pod Bagshot i Camberley, nie byłem Robinem, zapewniam pana. Byłem bardzo przerażony, że natkniemy się na prawdziwych rozbójników, do czego, chwała Bogu, nie doszło.

P: Dobrze, dobrze, Lacy, to nie jest ważne.

O: Muszę zaprzeczyć, sir, z całym szacunkiem. To, co panu mówię, powiedziałem panu B., i dalej mówiłem, chwając to, co jest dobre w obecnej polityce rządu *quieta non movere*, a wtedy on na mnie spojrział, jakby chciał powiedzieć, że się ze mną nie zgadza. Wtedy skłoniłem go, żeby przedstawił swoje poglądy. Odparł na to, że jeśli idzie o sir Roberta, to musi przyznać, że jest dobrym zarządcą i człowiekiem interesu w sprawach narodu i że ten kto potrafi zadowolić zarówno ziemiaństwo, jak i kupiectwo miejskie nie może być głupcem; mimo to uważa, iż zasadnicze podstawy jego administracji, o czym wspomniałem, muszą być złe. Bo jak może powstać lepszy świat, mówił, jeśli ten obecny się nie zmieni? I spytał mnie, czy nie sądzę, że przynajmniej jeden cel Boga jest wyraźny: mianowicie to, że On daje nam wolność wyboru i poruszania się, podobnie jak statek na wielkim oceanie czasu, co nie znaczy,

żebyśmy wciąż stali przycumowani w tym porcie, gdzie zostaliśmy zbudowani i spuszczeni na wodę. Potem, że to kupcy oraz ich interesy wkrótce będą rządzić naszym światem, co już widzimy po mężach stanu, ponieważ – rzekł – mąż stanu może być uczciwy przez dwa tygodnie, ale nie będzie nim przez miesiąc; i taka jest merkantylna filozofia, począwszy od najnędnieszego kramarza, a skończywszy na wielkim kupcu. Potem uśmiechnął się do mnie smutnie i dodał, że nie mówi tego swojemu ojcu. Ja na to, że obawiam się, iż synowie nigdy nie są na obraz i podobieństwo swych ojców. Na co odparł: I niestety nic się nie zmieni aż do końca czasu, dobrze wiem o tym, Lacy. Jeśli syn nie podda się każdemu ojcowskiemu rozkazowi, jest potępiony, nie ma własnego życia.

P: Czy nic więcej nie mówił o swoim ojcu?

O: W każdym razie ja nic takiego nie pamiętam. Poza tym, co powiedział za pierwszym razem, że jest zbyt surowy, i jeszcze raz, przy innej okazji, kiedy powiedział, że to stary głupiec, tak samo jak jego starszy brat. Przy wspomnianej przedtem okazji wyznał na koniec, że ogólnie biorąc, polityka jest mu obojętna i przytoczył mi poglądy niejakiego Saundersona, profesora matematyki na uniwersytecie Cambridge, który chyba go uczył, kiedy tam studiował, i który odpowiedział na podobne zadane mu pytanie, że cała polityka to chmury przed słońcem, że jest to raczej konieczne utrapienie niż prawda.

P: Czy z tym się zgodził?

O: Tak mi się zdaje. Ale potem mówił o pewnym uczonym, który choć niewidomy, ale dzięki swej inteligencji pokonał w znacznym stopniu to kalectwo, i jest bardzo kochany i szanowany przez swoich uczniów.

P: Czy pan B. mówił o religii, o Kościele?

O: Tylko raz, sir, i to później. Spotkaliśmy jakiegoś plebana na drodze, to znaczy siedzącego na jej skraju, gdyż zbyt był pijany, żeby wsiąść na konia, którego trzymał za uzdę jego służący. Na co pan B. spojrział z obrzydzeniem i powiedział, że zdarza się to zbyt często, nic więc dziwnego, iż przy takich pasterzach trzoda się rozprasza. W naszej dalszej rozmowie stwierdził, że nienawidzi hipokryzji. Że Bóg zakrył z konieczności licznymi zasłonami swoją tajemnicę, ale że jego kapłani zbyt często pozbawiają wzroku swoje owieczki i prowadzą je w kierunku ignorancji i ogłupiających przesądów. Jest też przekonany, że każdy człowiek będzie ostatecznie osądzony, a jego dusza zbawiona dzięki jego czynom, a nie zewnętrznemu obnoszeniu swej wiary, ale że Kościół anglikański nigdy nie oprze się na tak prostym

rozumowaniu, gdyż w ten sposób zaprzeczyłby własnemu dziedzictwu i całej swej ziemskiej potędze.

P: Są to wolnomyślicielskie doktryny. Czy nie uważa ich pan za godne potępienia?

O: Nie, sir. Uważam, że są rozsądne.

P: Szydzić z Kościoła anglikańskiego?

O: Szydzić z hipokrytów, panie Ayscough. Nie tylko my, którzy występujemy na deskach scenicznych, gramy różne role na tym świecie. Taki jest mój pogląd, sir, z całym szacunkiem.

P: Pańskie poglądy są rebelianckie. Krytykują posiadaczy, krytykują duchowieństwo. Ale dość tego, tracimy czas. Gdzie zatrzymaliście się tego wieczoru?

O: „Pod Aniołem”, w Basingstoke. Stamtąd rano wyruszyliśmy do Andover i Amesbury, gdzie nocowaliśmy.

P: Wynika z tego, że niezbyt się śpieszyliście.

O: Istotnie tak było, a co więcej, kiedy przybyliśmy do Amesbury, pan B. powiedział, że chciałby obejrzeć znajdującą się w pobliżu słynną świątynię w Stonehenge. I że powinniśmy tu wypocząć, choć wedle mnie, odpoczynek nie był konieczny.

P: Czy nie był pan tym zdziwiony?

O: Tak, sir.

P: Teraz przerwiemy. Mój protokolant weźmie pana na obiad i zaczniemy znowu punktualnie o trzeciej.

O: Pani Lacy spodziewa się, sir, że będę jadł obiad w domu.

P: Wobec czego będzie czekać na próżno.

O: Czy mogę przesłać jej wiadomość, że się spóźnię?

P: Nie może pan.

To samo dalsze zeznanie pod przysięgą, *die annoque praedicto*

P: Czy tego wieczoru w Basingstoke, nim przybyliście do Amesbury, nic się nie wydarzyło?

O: Nic, sir, wszystko przebiegało, jak zaplanowano. Pan B. odgrywał rolę mego siostrzeńca. „Pod Aniołem” kazał mi dać najlepszy pokój i przy ludziach okazywał mi wielki szacunek. Wieczерę jedliśmy w moim pokoju, gdyż gdziekolwiek się

zatrzymywaliśmy, nie chciał jeść w ogólnej sali. Nie zwlekał przy tym nigdy, ledwie skończyliśmy jeść, udawał się do swego pokoju i zostawiał mnie własnemu losowi, co twierdził, nie jest z jego strony uchybieniem, lecz grzecznością, ponieważ jest strasznym nudziarzem.

P: Czy pan nie wie, czym się potem zajmował?

O: Nie, sir. Może książkami. Ponieważ zabrał z sobą niewielką skrzynię, którą nazywał swoją *bibliotheca viatica*, i widziałem, że otwierał ją kilka razy. W jednej z gospód, było to w Taunton, z konieczności musieliśmy dzielić jeden pokój. I tam czytał po wieczery papiery, które wyjął ze skrzyni.

P: W tej skrzyni były książki czy papiery?

O: I książki, i papiery. Powiedział mi, że ta jego podróżna biblioteka dotyczy matematyki, i że taka lektura odwraca jego umysł od trapiących go myśli.

P: Czy kiedyś powiedział coś bliższego o ich treści?

O: Nie, sir.

P: Czy pan kiedyś spytał o to?

O: Nie, sir. W takiej materii nie mam podstaw, by zabierać głos.

P: Czy widział pan kiedy tytuł którejs z tych książek?

O: Pamiętam dzieło sir Izaaka Newtona, było po łacinie, nie przypominam sobie tytułu. Pan B. mówił o nim z wielkim szacunkiem, i że to pan Saunderson zapoznał go z tymi pracami. Pewnego dnia, kiedy jechaliśmy obok siebie, próbował mi wyjaśnić teorię sir Izaaka o flukcji i szeregach nieskończonych. Wtedy, przyznam, sir, że całkiem się zgubiłem, i uprzejmie go poinformowałem, że niepotrzebnie się trudzi. Potem, a było to, kiedy przyjechaliśmy do Taunton Deane, mówił o pewnym uczonym mnichu, który żył wiele wieków temu, a który odkrył zasady mnożenia liczb. To akurat zrozumiałem, gdyż było proste, z wyjątkiem dodawania dwóch ostatnich cyfr, żeby otrzymać następną. Na przykład: jeden, dwa, trzy, pięć, osiem, trzynaście, dwadzieścia jeden i tak dalej, wedle woli. Pan B. twierdził, że jego zdaniem te liczby występują często, choć niedostrzegalnie w przyrodzie, jakby to był boski szyfr, że wszystko, co żyje, musi się powtarzać, gdyż stosunek pomiędzy jego następnymi liczbami był również tajemnicą Greków, którzy odkryli doskonałe proporcje, wydaje mi się, że powiedział, iż to jest jeden do jeden i sześciu dziesiątych. Wskazywał na różne rzeczy wokół nas i mówił, że te liczby można w nich wyczytać i podawał przykłady, które teraz zapomniałem, z wyjątkiem tych związanych z układem płatków i liści drzew i ziół, lecz nie pamiętam teraz których.

P: Czy dawał przykłady tych liczb?

O: Nie, sir. Raczej mówił o tym jako o ciekawostce.

P: Czy twierdził, że odkrył jakąś tajemnicę przyrody?

O: Nie powiedziałbym tego, panie Ayscough, raczej, że podpatrzył taką tajemnicę, ale jeszcze w pełni nie zbadał.

P: Czy nie uważa pan za dziwne, że mając ten rzekomy cel podróży, zajmował się takimi rozważaniami i zabrał ze sobą podręczną bibliotekę?

O: Trochę tak, sir. Im dłużej jechaliśmy, tym bardziej byłem przekonany, że nie jest taki jak przeciętni ludzie. Przypuszczam, że poważniej traktował swoje naukowe spekulacje, niż się chciał do tego przyznać, i nie zamierzał się ich wyrzec na wygnaniu, które go czekało, kiedy porwie swą ukochaną.

P: Mam na koniec jeszcze jedno pytanie. Czy widział pan w tej skrzyni zrobiony z mosiądzu przyrząd, który miał wygląd jakby zegara z wieloma trybami?

O: Nie, sir.

P: Powiedział pan, że widział tę skrzynię otwartą.

O: Zawsze była pełna, a na wierzchu leżały rozrzucone papiery. Nigdy nie miałem okazji zobaczyć, co zawiera.

P: I nie widział pan, żeby taki przyrząd był używany?

O: Nie, sir.

P: Wróćmy do Amesbury.

O: Chciałbym wspomnieć najpierw o czymś, co zdarzyło się w Basingstoke.

P: Proszę bardzo.

O: To dotyczyło dziewczyny, Louise. Jones mi powiedział, że ona także ma mieć oddzielny pokój i że nie będzie spać ze służącymi z gospody, tak jak jest w zwyczaju. Nie będzie też jeść przy ich stole jak inne. Jedzenie dla niej ma być noszone na górę przez głuchoniemego. Dalej, że widział, iż ten człowiek był nią zauroczony, co uważał za dziwne. Rozmawialiśmy o tym, ale nie doszliśmy wtedy do żadnych wniosków.

P: Czy ona również była nim zauroczona?

O: Tego nie potrafię stwierdzić, sir, tyle, że otwarcie go nie odtrącała. Wiele można powiedzieć na ten temat. Zrobię to we właściwym momencie.

P: Czy ona zawsze... spała i jadła oddzielnie?

O: Tak, sir, wszędzie tam, gdzie był wolny pokój. Jednym razem, było to w Wincanton, wynikła sprzeczka co do tego rodzaju niespotykanego żądania, tak że

trzeba się było uciec do autorytetu pana B., a on powiedział, że będzie tak, jak ona chce. Ja nie byłem tego świadkiem. Jones mi o tym później mówił.

P: Przejdźmy do Amesbury.

O: Jak już wspomniałem, nim tam dotarliśmy, pan B. powiedział, że powinniśmy się tam zatrzymać, choć mogliśmy jechać dalej. Że chce zobaczyć świątynię, więc jak zjemy obiad, jeśli mam ochotę, mogę z nim pojechać, żeby ją też obejrzeć. Dzień był piękny, odległość niezbyt duża, a ja byłem ciekaw tego miejsca, choć wyznam, że moim zdaniem ta budowla nie była tak imponująca, jak się spodziewałem. Czy pan tam był, sir?

P: Widziałem na sztychach. Czy służba pojechała z wami?

O: Tylko Dick. Pan B. i ja zsiadliśmy z koni i zrobiliśmy spacer wśród kamiennych bloków. Ku memu zdumieniu sprawiał wrażenie, że zna to miejsce, choć powiedział, że tak samo jak ja nigdy przedtem tu nie był.

P: Co mówił?

O: Zaczął, sir, opowiadać, jaka przypuszczalnie była ta barbarzyńska religia i przeznaczenie tych wielkich głazów, i jakby to wszystko wyglądało, gdyby nie było na poły zrujnowane, i jeszcze dużo innych rzeczy. Spytałem go ze zdziwieniem, jak zdobył tę wiedzę, na co on się uśmiechnął, mówiąc: Nie dzięki czarnej magii, zapewniam cię, Lacy. I powiedział, że spotkał wielebnego pana Stukeleya ze Stamfordu, antykwariusza, i widział jego rysunki i mapy i dużo z nim rozmawiał. Mówił też o innych książkach i dyskusjach na temat Stonehenge, które czytał, był jednak zdania, że poglądy pana Stukeleya były o wiele bardziej słuszne i godne uwagi.

P: Dopiero tam stał się wymowny?

O: Tak, sir. Mówił jak prawdziwy znawca przedmiotu. Wyznam, że bardziej uderzyła mnie jego wiedza niż samo miejsce. A potem spytał jakby mimochodem, czy wierzę w to, w co wierzyli starożytni, że istnieją szczęśliwe dni. Powiedziałem, że się nad tym nie zastanawiałem. Bardzo dobrze, odparł, i dalej, czy nie obawiałbym się wyznaczyć premierę nowej sztuki w piątek, trzynastego? Wyznałem, że raczej tak, choć uważam takie rzeczy za przesady. A on na to: Tak postępuje większość ludzi, ale być może mylą się. Odprowadził mnie kilka kroków w bok i wskazał na wielki głaz o jakies pięćdziesiąt kroków od nas i poinformował, że w dniu letniego przesilenia wschodzące słońce znajdzie się nad tym właśnie kamieniem, czyli w samym środku świątyni, gdzie właśnie stoimy. Pewien uczony pisarz, którego nazwiska sobie nie przypominam, odkrył, że zawsze się tak działo i dziać będzie, co nie mogło być już

przypadkiem. A potem pan B. dodał: Powiem ci, Lacy, że owi starożytni ludzie znali tajemnicę, za którą oddałbym wszystko, byle ją poznać. Znali zenit swego życia, którego ja ciągle szukam. We wszystkim innym żyli w ciemnościach, powiedział, jednak posiadali to wielkie światło, podczas gdy ja żyję w świetle, a natykam się na widma. Zauważyłem, iż podziwiam wspaniały cel naszej wyprawy, który przecież nie jest złudą. Na co jakby się zachnął, ale potem się uśmiechnął i powiedział: Masz rację, zawędrowałem na ciemne pastwiska. Przeszliśmy kilka kroków w milczeniu i po chwili mówił dalej. Czy to nie dziwne, powiedział, że prymitywni dzicy ludzie poznali dziedzinę, po której my jeszcze się boimy stąpać, i znali to, co my dopiero ledwie zaczynamy rozumieć? Coś, wobec czego nawet filozof tak wielki jak sir Izaak Newton był jak bezbronne dziecko? Powiedziałem, że nie wiem, o jaką to tajemną wiedzę może tu chodzić, panie Ayscough. Na co padła jego odpowiedź: To, że Bóg jest wiecznym ruchem, Lacy. To było Jego pierwsze planetarium. Czy znasz prawdziwą nazwę tego słupa? *Chorum Giganteum*, taniec Gogów i Magogów. Tutejsi ludzie powiadają, że zatańczy dopiero w dniu ostatecznym. Ale on się kręci i tańczy teraz, Lacy, trzeba tylko mieć oczy, które potrafią widzieć.

P: I co pan na to?

O: To było powiedziane od niechcenia, sir, jakby kpił z mojej ignorancji. Ja w tym samym lekkim tonie zarzuciłem mu, że mi zrobił przykrość. Jednak on zapewnił mnie, że tak nie jest, że nie miał zamiaru żartować ze mnie. My śmiertelnicy, powiedział, jesteśmy zamknięci jak w Newgate, za kratami, w kajdanach naszych zmysłów i danego nam krótkiego żywota i dlatego jesteśmy ślepi, dla Boga zaś czas to jedność, wieczność teraz, podczas gdy my musimy patrzeć na to jak na przeszłość, terażniejszość i przyszłość, jak w historii. Potem wskazał wokół na kamienie i powiedział: Czyż nie jest godne podziwu, że być może przed Rzymem, przed samym Chrystusem, ci prości ludzie, którzy ustawili te kamienie, wiedzieli coś, czego nawet nasi Newtonowie i Leibnitzowie nie zdołali odkryć? Potem przyrównał ludzkość do widowni w teatrze, która nie zna aktorów i nie ma pojęcia, że grają wedle ustalonego i napisanego tekstu, i co więcej, że za tymi aktorami jest autor i reżyser. Na co ja, sir, powiedziałem, że my z pewnością wiemy, że za wszystkim jest Autor, jak również Jego święty tekst. Na co znów się uśmiechnął i odparł, że nie zaprzecza istnieniu takiego Autora, ale musi podać w wątpliwość nasze obecne pojęcia o Nim, gdyż słuszniej byłoby powiedzieć, że jesteśmy jak bohaterowie opowiadania czy powieści, którzy nie mają pojęcia, że tak jest, i uważają siebie za postacie jak najbardziej realne, nie

dostrzegając, że zostaliśmy zrobieni z niedoskonałych słów oraz idei po to, by służyć celom całkiem innym, niż nam się wydaje. Możemy wyobrazić sobie tego wielkiego Autora tak albo inaczej, na nasz własny obraz i podobieństwo, czasem okrutnego, czasem łaskawego, jak wyobrażamy sobie naszych królów. Mimo to nie wiemy o Nim i Jego celach więcej niż o tym, co się znajduje na Księżycu albo na tamtym świecie. Wie pan, panie Ayscough, wdałbym się z nim w dyskusję, bo zdawało mi się, że sobie kpi z naszej anglikańskiej religii, ale on, jakby nagle nie miał ochoty rozmawiać dłużej o tych sprawach, skinął na swego służącego, który czekał w pobliżu, a mnie powiedział, że na prośbę pana Stukeleya musi zrobić tu pewne pomiary i że to będzie bardzo nudne, więc nie chciałby nadużywać mojej cierpliwości.

P: Po prostu chciał się pana pozbyć?

O: Na to wyglądało, sir. Widocznie za dużo mówiłem.

P: Co pana zdaniem miał na myśli, mówiąc o tej wielkiej tajemnicy, której nie można zgłębić?

O: Żeby na to odpowiedzieć, sir, muszę wybiec wprzód.

P: No to niech pan wybiega.

O: Tego dnia nie widziałem już więcej pana B. Nazajutrz, kiedy przejeżdżaliśmy w pobliżu owych kamiennych kręgów, kierując się na zachód, skorzystałem z okazji i spytałem go, co myśli o starożytnych i na czym polegała ich tajemnica. Na co odparł: Wiedzieli, że nic nie wiedzą. Potem dodał: Odpowiadam zagadkami, czyż nie? Przyznałem mu rację, żeby go skłonić do bardziej wyczerpującej odpowiedzi. Powiedział wtedy: My współcześni jesteśmy zepsuci naszą przeszłością i naszą nauką przez historyków, a im więcej wiemy, co się wydarzyło, tym mniej wiemy, co się wydarzy, gdyż, jak już powiedziałem, jesteśmy jak osoby z jakiejś opowieści, określone czyjąś intencją, musimy być albo dobrzy, albo źli, szczęśliwi albo nieszczęśliwi, jak popadnie. Ale ci, którzy tu zgromadzili i ułożyli te kamienie, istnieli, nim opowieść się zaczęła, Lacy, w teraźniejszości, która nie miała przeszłości, czego my nie potrafimy sobie nawet wyobrazić. A potem dodał, że zdaniem pana Stukeleya, to oni wezwali druidów, którzy ten pomnik zbudowali, i że przybyli z Ziemi Świętej, przynosząc ze sobą pierwsze nasiona chrześcijaństwa, on zaś jest przekonany, że przeniknęli jakąś część tajemnicy czasu. Nawet historycy rzymscy, choć byli ich wrogami, przyznali, że mogli oni zajrzeć w przyszłość, czytając z lotu ptaków i kształtu wątroby, on jednak sądzi, że ich wiedza była znacznie większa, o czym świadczy ta budowla, której nie potrafimy odczytać w terminach matematycznych. I że właśnie dlatego postanowił

zrobić tu pomiary. I dodał, iż wierzy, że znali Biblię i dzieje tego świata, do ostatniej strony, jak zapewne jest mi wiadomo z mojego Milтона... Nosilem bowiem przy sobie w kieszeni jego wielkie dzieło, panie Ayscough, a pan B. spytał kiedyś, co czytam.

P: I co pan na to odparł?

O: Wyraziłem zdumienie, dlaczego, jeśli potrafili czytać przyszłość, zostali podbici przez Rzymian i zniknęli z powierzchni tego świata. Na co on odparł, że byli narodem wieszczów i niewinnych filozofów, nie mogli dorównać więc Rzymianom w walce i dodał: Czyż sam Chrystus nie został ukrzyżowany?

P: A czy przedtem nie mówił panu, że człowiek może dokonać wyboru i przez to zmienić swój los, a potem coś zupełnie innego, że jego historia jest predestynowana, a my nie mamy więcej swobody niż postacie sztuki lub książki już napisanej?

O: Panie Ayscough, pańskie spostrzeżenie również przyszło mi na myśl i powiedziałem o tym panu B. Na co on odpowiedział, że my możemy decydować o wielu małych rzeczach, tak jak ja mogę decydować, jak odegram jakąś rolę, jaki do niej włożę kostium, jakich gestów będę używać i tak dalej, jednak w końcu w ważniejszych sprawach muszę być posłuszny tej roli i oddać wiernie jej losy, tak jak stworzył je autor. Powiedział też, że choć wierzy w opatrzność, nie sądzi, żeby za każdym razem Bóg nią kierował, ponieważ nie wierzy, żeby On był w ludziach złośliwych i występnych tak jak jest w dobrych i szlachetnych, i że Bóg nie pozwoliłby, by ci, których natchnął, którzy są niewinni, cierpieli ból i nędzę, jak to się najczęściej zdarza, a co wokół nas widzimy.

P: Jest to bardzo niebezpieczna doktryna.

O: Zgadzam się z panem, sir. Powtarzam tylko, jak mi to zostało przedstawione.

P: Bardzo dobrze. Zostawiliśmy pana wracającego do Amesbury.

O: Tam natknąłem się na Jonesa, który łowił ryby w strumieniu. Siedziałem z nim godzinę albo i dłużej, bo wieczór był piękny. Kiedy wróciliśmy do gospody, w moim pokoju zastałem kartkę od pana B., w której prosił o wybaczenie, że nie będzie mi towarzyszyć podczas wieczery, ponieważ jest bardzo zmęczony i od razu kładzie się do łóżka.

P: Jak pan na to zareagował?

O: Wcale nie zareagowałem, sir. Sam byłem zmęczony, dlatego od razu położyłem się i głęboko zasnąłem. Czego bym nie zrobił, gdybym wiedział, że wczesnym rankiem przyjdzie do mnie Jones z niezwykłą historią. Spał w tej samej

izbie co Dick. Tuż przed pomocą obudził się i słyszał, że Dick wychodzi. Pomyślał, że za potrzebą. Ale nie, ledwie dzwony skończyły bić, usłyszał jakiś hałas na podwórzu. Wstał więc i podszedł do okna, na dole zobaczył trzy postacie; choć nie było księżyca, było wystarczająco jasno. Jedną z tych osób był Dick, który prowadził dwa konie po bruku z owiązanymi czymś kopytami. Drugą osobą był jego pan. Trzecią dziewczyna. Nie miał wątpliwości, że to oni. Dokładnie go o to wypytałem.

P: Może się jemu to przyśniło?

O: Myślę, że nie, sir. W dobrej kompanii będzie się przechwalać i opowiadać Bóg wie co, ale jestem pewien, że nie mnie, i to przy takiej okazji. Poza tym był zaniepokojony, bał się o nas dwóch, gdyż zaczął żywić pewne podejrzenia. Muszę panu powiedzieć, panie Ayscough, że poprzedniego dnia, kiedy jechaliśmy, z bliska obserwowałem dziewczynę. Nadal nie wierzyłem Jonesowi, że widział ją w burdelu. My ludzie teatru z łatwością poznajemy takie kobiety, ale ona nie miała ich bezczelności, ani też nie wyglądała na ladacnicę. A jednak mimo jej skromności wyczuwałem w niej coś dziwnego. Zauważyłem też, że Jones ma rację co do Dicka: on ją pożerał wzrokiem. Zdumiało mnie więc, iż nie czuje się obrażona, przeciwnie, łaskawie przyjmowała jego względy, od czasu do czasu nawet uśmiechała się do niego. Wydawało mi się to nienaturalne, sir, jakby grała jakąś rolę, żeby nas zwieść.

P: A jakie były podejrzenia Jonesa?

O: Założmy, panie Lacy, powiedział, że wszystko jest prawdą, co dotyczy pana Bartholomeu i młodej damy, z wyjątkiem tego, że ona i jej wuj są teraz w zachodniej części Anglii. Założmy, że dzień lub dwa dni temu istotnie była uwięziona, jednak nie tam, gdzie sądziliśmy, ale w Londynie, gdzie pan B. powiedział panu, że ją po raz pierwszy spotkał. I dlatego... proszę się domyślić, sir.

P: Asystowaliście porwaniu *post facto*?

O: Byłem wstrząśnięty, panie Ayscough. Im więcej zastanawiałem się nad tym, co widziałem, obserwując ją, tym bardziej widziałem fałsz, pomijając nawet uprzejmość wobec Dicka, zrozumiałem, że ten wyjazd w nocy mógł być po to, żeby zawrzeć potajemny ślub, co wyjaśniałoby, dlaczego opóźniliśmy wyjazd z Amesbury pod tym błahym pretekstem. Jedno było w tym wszystkim dobre, że jeśli pan B. doprowadził do takiego zakończenia, nie będzie dłużej potrzebować naszych usług i szybko się o tym dowiemy. Nie będę powtarzał wszystkich naszych domysłów, sir. Kiedy rano zszedłem na dół, byłem prawie pewien, iż dowiem się, że pan B. już wyjechał wraz z panną młodą.

P: Ale nie wyjechał?

O: Nie wyjechał, nie było też widać żadnej zmiany w jego sposobie bycia. Musieliśmy więc wyruszyć w drogę, a ja całkiem nie wiedziałem, jak zacząć z nim rozmowę na ten temat. Jednak przedtem ustaliłem z Jonesem, że on postara się porozmawiać z dziewczyną na boku, napomykając żartobliwie, że wie coś niecoś na temat jej nocnej przygody, słowem, że postara się wyciągnąć z niej, ile będzie można.

P: Czy mu się to udało?

O: Nie, sir, choć miał okazję, żeby ją o to spytać. Powiedział, że najpierw była zmieszana, kiedy zaczął mówić o swoich podejrzeniach, jednak do niczego się nie przyznała i wpadła w gniew, kiedy nalegał, aż wreszcie w ogóle zamilkła.

P: Zaprzeczyła, że wyjechała z gospody?

O: Tak, sir.

P: A czy po tym dniu miał pan jakieś informacje na temat tej nocnej wyprawy?

O: Niestety żadnych, sir. Jeszcze jedna tajemnica, jak wiele innych.

P: Doskonale. Na dziś wystarczy, Lacy, mam inne sprawy do załatwienia. Proszę się tu stawić jutro, punktualnie o godzinie ósmej. Czy pan dobrze mnie zrozumiał? Jeszcze nie jest pan całkowicie czysty.

O: Przyprowdzi mnie tu moje własne sumienie, panie Ayscough. Nie musi pan się obawiać.

Przesłuchanie i zeznania

HANNY CLAIBORNE,
*które złożyła pod przysięgę
dwudziestego czwartego dnia sierpnia,
w dziesiątym roku panowania naszego Władcy,
Jerzego Drugiego, z Bożej łaski Króla Wielkiej Brytanii
i Anglii etc.*

Nazywam się Hanna Claiborne, mam czterdzieści osiem lat, jestem wdową. Jestem właścicielką domu St James, to znaczy przy German Street.

PYTANIE: A teraz, kobieto, zmierzajmy prosto do celu, znasz bowiem tego, którego szukam.

ODPOWIEDŹ: Znam i dużo mnie to kosztowało.

P: Więcej będzie cię kosztowało, jeśli nie powiesz prawdy.

O: Wiem dobrze, z której strony chleb posmarowany jest masłem.

P: Najpierw chciałbym usłyszeć o tej twojej dziewczce. Czy znasz jej prawdziwe nazwisko?

O: Rebeka Hocknell, ale nazywałyśmy ją Fanny.

P: Nigdy nie słyszałaś, żeby zwracano się do niej francuskim imieniem Louise?

O: Nie.

P: Skąd pochodzi?

O: Z Bristolu, w każdym razie tak mówiła.

P: Czy ma tam rodzinę?

O: Czy ja wiem?

P: A więc nie wiesz?

O: Nigdy o niej nie mówiła.

P: Kiedy przybyła do twojego domu?

O: Trzy lata temu.

P: W jakim była wtedy wieku?

O: Miała prawie dwadzieścia lat.

P: Jak się znalazła w twoich szponach?

O: Przez taką jedną, którą znałam.

P: Słuchaj, Claiborne, należysz do najbardziej znanych stręczycielek w tym

mieście. A teraz jesteś po prostu bezczelna. Skończ z tym!

O: Przez pewną kobietę, którą do niej posłałam.

P: Żeby wysledzić niewinną istotę i potem ją zdeprawować?

O: Ona już była zdeprawowana.

P: Już była ladacznicą?

O: Straciła cnotę, kiedy była służącą, uwiódł ją młody panicz, w Bristolu, skąd pochodzi. No, i została wyrzucona. W każdym razie tak mówiła.

P: Czy była brzemienna?

O: Nie, z natury jest bezpłodna.

P: Chyba wbrew naturze. Dlaczego miała takie powodzenie w twoim burdelu?

O: Bardziej dzięki swoim sztuczkom niż ciału.

P: Jakim sztuczkom?

O: Ona wiedziała, jak wedle swej woli poskromić żądze każdego mężczyzny. Była nie tylko ladacznicą, ale i aktorką.

P: W jaki sposób to czyniła?

O: Nie zachowywała się jak zwykła kokota, ale czysta, kryształowo czysta, skromna panienka, i wymagała, żeby tak ją traktowano. Aż dziw, jak jej klienci to lubili i stale do niej wracali.

P: Grała rolę damy?

O: Grała niewiniątko, którym wcale nie była, wręcz przeciwnie. Była zimna, wyrachowana. Niewiele takich znałam.

P: Na czym to polegało?

O: Udawała skromne dziewczę, kwiatusek prosto z łąki, niewinność, której nie można tknąć. Jej sztuczki wypełniłyby całą książkę. Była niewinna jak gniazdo żmij, przebiegła łajdaczka. Niezrównana w biczowaniu.

P: Wyjaśnij, kobieto, co masz na myśli?

O: No, choćby taki sędzia P., z pewnością dobrze go pan zna, sir, nic mu się nie uda, dopóki nie zostanie porządnie wysmagany batem. Wobec niego jednocześnie była pogardliwą infantką i okrutnym Tatarzynem. A on to uwielbiał.

P: Gdzie się nauczyła takiego udawania?

O: Nie ode mnie, do diabła. Ma to wrodzone.

P: Ale ta jej lubieżność była bardzo zachwalana.

O: O co chodzi?

P: Chciałbym, żebyś spojrzała na ten druk, Claiborne. Powiedziano mi, że

został wydany na twój koszt.

O: Zaprzeczam temu.

P: Widziałaś go?

O: Mogłabym rzucić okiem?

P: Przeczytam ci smakowity ustęp: „Temu, kto będzie miał miłosne spotkanie z Kwakierką, dobrze się opłaci wydane złoto. Nie jest wyniosłą królową, a mimo swego skromnego wyglądu, nie jest też skromniwą. Trzeba bowiem wiedzieć, że nic bardziej nie sprzyja prawdziwej rozkoszy niż użycie siły, i taka jest zasada tej przebiegłej nimfy – czerwieni się, ucieka, płacze ze wstydu, aż wreszcie zostanie osaczona. Ale potem jest ciekawą i chętną sarną, która nie walczy o życie ani nie mdleje ze strachu, ale ze słodyczą obnaża swoje serce szczęsnemu sztyletowi myśliwego; co prawda krąży fama, iż sztyletowanie, którego się domaga, często omal nie pozbawia życia (w przeciwieństwie do niej) samego Nemroda”. No, i co, madame?

O: Słucham, sir?

P: Taka ona jest?

O: Tak, chyba tak. A jeśli nawet, to co z tego? Nie napisałam tego ani nie kazałam wydrukować.

P: To ci nie zapewni przebaczenia w Dniu Sądu. Kiedy przyszedł po raz pierwszy do ciebie ten, którego nazwisko zabraniam ci wymienić?

O: Na początku kwietnia tego roku.

P: Znałaś go przedtem?

O: Nie, i wolałabym nigdy go nie zobaczyć. Przyszedł z pewnym dobrze mi znanym dżentelmenem, niejakim lordem B., który mi go przedstawił i powiedział, że chce się spotkać z Fanny, którą mu polecił, o czym wiedziałam już przedtem.

P: Jak to?

O: Lord B. już ją zabrał, pod zastaw, cztery dni przedtem, choć nie powiedział dla kogo, tylko że dla jednego ze swych przyjaciół.

P: Często się zdarza, że twoje panienki są zabierane przed wypełnieniem swego rozpustnego obowiązku?

O: Jeśli są pierwszorzędne, to tak.

P: A ona taka była?

O: Tak, niech będzie przeklęta.

P: Czy lord B. przedstawił swego przyjaciela pod jego prawdziwym nazwiskiem?

O: Wtedy nie padło żadne nazwisko, ale lord B. powiedział mi je potem w tajemnicy.

P: I co dalej było?

O: Odjechał z Fanny. A potem powtórzyło się to jeszcze dwa, trzy razy w następnym tygodniu.

P: Czy sprawiał wrażenie człowieka bywałego w takich domach jak twój?

O: To żółtodziób.

P: Jak się zachowywał?

O: Tacy jak on są niezwykle hojni, chcą mieć jedną dziewczkę, żadnej innej, nie podają nigdy swego nazwiska, w wielkiej tajemnicy przychodzą i odchodzą. Nazywamy ich kurczakami.

P: A wasze kurki złajdaczonymi rozpustnicami.

O: Tak.

P: A ten, o którym mówimy, nadal był wytrwały?

O: Żadnej innej nie chciał tylko Fanny i najpierw ukrywał swoje nazwisko, a w każdym razie ukrywał przede mną. Robił prezenty, znacznie droższe niż to, co miał zapłacić.

P: Tobie czy dziewczynie?

O: Nam obu.

P: Pieniądze?

O: Tak.

P: A co sprawiło, że odeszła od ciebie?

O: Przyszedł do mnie pewnego dnia mówiąc, że chce omówić pewną sprawę, która, jak ma nadzieję, będzie pomyślna dla nas obojga.

P: Kiedy to było?

O: Mniej więcej w środku miesiąca. Powiedział, że został zaproszony na takie męskie przyjęcie w hrabstwie Oxford, w majątku przyjaciela, gdzie będą inne ladaczniczki i po wypróbowaniu każdej przez wszystkich, ten, kto sprowadzi najlepszą rozpustnicę, otrzyma nagrodę. Że oprócz tego będą inne rozrywki i że w ogóle będzie to dwutygodniowa orgia. Co wraz z podróżą tam i z powrotem zajmie trzy tygodnie. I wreszcie, że na ten czas chce wypożyczyć Fanny, jeśli się zgodzę i wymienię sumę, na jaką oceniam jej nieobecność u mnie.

P: Czy powiedział, gdzie jest ten majątek?

O: Nie. Nie chcieli wywołać skandalu, dlatego wszystko miało być zachowane w

tajemnicy.

P: Co odpowiedziałaś?

O: Odpowiedziałam, że nigdy czegoś takiego nie robiłam. A on na to, że mówiono mu, że robiłam. Odparłam, że czasem mogłam posłać dziewczynę na ustalonych warunkach dżentelmenowi, którego dobrze znałam, na kolację i tak dalej w mieście. Że go nie znam dobrze ani nawet jego prawdziwego nazwiska.

P: Czy podał jakiegokolwiek?

O: Nazywał siebie pan Smith. Ale wtedy podał mi swoje prawdziwe nazwisko, które już słyszałam od lorda B. Powiedział, że rozmawiał o tej wesołej eskapadzie z Fanny, która ma na to wielką ochotę i chętnie pojedzie, jednak wszystko zależy ode mnie. Powiedziałam, że się zastanowię, że nie mogę w takiej sprawie zdecydować zbyt szybko.

P: Jak on to przyjął?

O: Odparł, że przecież wiem, jak wysoką ma pozycję, i że jest bogaty, muszę więc wziąć to pod uwagę. I z tym wyszedł.

P: Nie podałaś warunków?

O: Wtedy nie. Chyba w dwa dni później przyszedł do Fanny, a potem do mnie, wtedy byłam po rozmowie z lordem B., którego spytałam, czy wie o tej planowanej męskiej zabawie. Powiedział, że wie, że sam został zaproszony, chociaż nie będzie mógł wziąć udziału, gdyż ma pilny interes do załatwienia. I że dziwi się, że o tym nie słyszałam. Że chyba byłoby głupotą z mojej strony, gdybym obraziła kogoś tak możnego jak syn księcia. Że dla mnie to będzie świetny interes, bo za tę przysługę mogę zażądać sumy, jakiej zechcę. Mówił jeszcze o innych sprawach.

P: Jakich innych sprawach, kobieto?

O: Że kiedy raz się zrobi coś takiego, rozejdą się o tym wieści i sławę zyskają ci wszyscy, którzy w tym brali udział, że nawet pani Wishbourne obiecała przysłać dwie swoje dziewczyny i może mi zrobić konkurencję.

P: Kto jest ta Wishbourne?

O: Taka tam parweniuszka, właścicielka nowego domu koło Covent Garden.

P: I dałaś się przekonać?

O: Dałam się omamić.

P: Rozmawiałaś z dziewczyną?

O: Odparła, że jej to jest obojętne i zrobi, jak ja chcę. Ale ta przebiegła zdzira kłamała.

P: Jak to kłamała?

O: Była wtajemniczona we wszystko. Umiała świetnie udawać. Dałam się nabrać. Ona już była kupiona.

P: Masz na to dowody?

O: Nie wróciła, to dla mnie wystarczający dowód. Poniosłam przez nią wielkie straty.

P: Mała strata dla przyzwoitości. Chciałbym wiedzieć, ile miało kosztować jej wypożyczenie?

O: Podałam sumę, jaką zarobiłaby w moim domu przez te trzy tygodnie.

P: Ile?

O: Trzysta gwinei.

P: Nie zaprotestował?

O: A dlaczego miałby protestować? Zapłacił mi trzysta, a ukradł dziesięć tysięcy.

P: Kobieto, trzymaj za zębami swój bezczelny język!

O: Kiedy to prawda. Mimo swych wad była delikatną, dobrą dziwką, nieplodną, używaną tylko trzy lata.

P: Dość tego. Ile ona miała dostać za udział w tej wyprawie?

O: Ubranie, wyżywienie, bieliznę, wszystko. I opłacony miał być aptekarz, gdyby któraś dostała choroby wenerycznej.

P: Akurat. Dowiem się, ile dostała.

O: Jedną piątą, oprócz prezentów, jakie mogła dostać dla siebie.

P: Sześćdziesiąt gwinei?

O: To więcej, niż zasługiwała.

P: Ile jej dałaś?

O: Nic, miała dostać po powrocie.

P: Żeby ją zmusić do powrotu?

O: Tak.

P: I nadal masz dla niej te pieniądze?

O: Jeszcze nawet więcej.

P: Czy nie dała ci znać od swego wyjazdu?

O: Nie, ani razu, i życzę jej, żeby się paliła w ogniu piekielnym.

P: Gdzie się zapewne obie spotkacie. A kiedy nie wróciła w ustalonym terminie, co uczyniłaś?

O: Spytałam lorda B. i poskarżyłam się. Obiecał, że się dowie. Dwa dni później przyszedł do mnie i powiedział, że kryje się w tym jakaś tajemnica, że krążą plotki, że ten dżentelmen wyjechał do Francji i w ogóle nie brał udziału w tej męskiej eskapadzie, rozmawiał z kimś, kto tam był i przysiągł, że ani tego dżentelmena, ani Fanny tam nie było. Że muszę być cierpliwa, bo z tego powodu nie może dojść za granicą do skandalu, i chyba sama wiem, ile to by kosztowało, i że straciłabym znacznie więcej niż na jej odejściu.

P: Uwierzyłaś mu?

O: Nie. I nie wybaczyłam mu także, bo się dowiedziałam tymczasem, że ta Wishbourne nie wysłała żadnej dziewczyny, i że nikt nie wiedział o tej imprezie. To wszystko były kłamstwa, żeby mi zamącić w głowie.

P: Czyś mu to wprost powiedziała?

O: Dobrze wiem, z której strony chleb jest posmarowany masłem. On sprowadza wielu klientów do mego domu. Muszę więc nabrać wody w usta. Choć życzę mu...

P: Nie chcę o tym więcej słyszeć.

O: Ale ja mu za to jeszcze odpłacę.

P: Dosyć tego. Teraz chciałbym wiedzieć, co dziewczyna opowiadała o tym, w którego sprawie prowadzę śledztwo, tobie albo twoim dziewczynom.

O: Że był zielony, ale dobrze się zapowiadał, szybko się brał do roboty i szybko kończył, co jej ułatwiało pracę.

P: Czy sprawiał wrażenie, że szczególnie nią się interesuje?

O: Tak, bo nie chciał spróbować z żadną inną, choć mu proponowały i zabiegały o to.

P: A ona, czy była pod jego wrażeniem?

O: Nic nie mówiła, nawet jeśli tak było. Dobrze wiedziała, jakie są moje zasady. Nie pozwalałam na potajemne związki, nie opłacone względy.

P: Czy do tego czasu była posłuszna tym zasadom?

O: Tak. Taki był jej plan.

P: Jaki plan?

O: Taki, żeby mnie omamić. Mimo że pozowała na dziewczynę z prowincji, nie była głupia. Wiedziała, że może mnie tym sobie zyskać, tak jak i większość mężczyzn.

P: A co z mężczyznami?

O: Ona grała rolę niewiniątka, które nigdy dotąd nie zaznało mężczyzny i które

trzeba traktować delikatnie, żeby je zdobyć, a nie brać w galopie. Wielu mężczyzn lubiło to w niej, gdyż uważali, że te jej pruderyjne fortELE są bardziej podniecające niż normalne sztuczki, i wydawało im się, że dokonali wielkiego podboju, kiedy wreszcie pozwoliła im włożyć sobie ich kogucika między nogi. Chciała klientów przyjmować tylko w nocy, na co się zgodziłam, bośmy lepiej na tym zarabiały. Nieraz jednej nocy potrafiłam sprzedać tę lajdaczkę i sześć razy. Zamówienia przychodziły na tydzień naprzód.

P: Ile kobiet trzymasz?

O: Z reguły około dziesięciu.

P: Ona była najbardziej amatorska, a najwięcej kosztowała?

O: Najbardziej amatorska jest zawsze najświeższa. A ona nie była dziewicą, mimo wszelkiego udawania. Jeśli klient płaci więcej za przechodzony towar, to jego sprawa.

P: Czy inne twoje panienki były zdziwione, kiedy nie wróciła?

O: Tak.

P: I co im powiedziałaś?

O: Że sobie poszła, i bardzo dobrze.

P: I że ty i twoje alfonsy już dopilnowaliście, żeby więcej się nie kurwiła, czyż nie tak?

O: Na to nie odpowiem. To kłamstwo. Mam prawo odzyskać to, co moje.

P: Co zrobiłaś w tym kierunku?

O: A co miałam zrobić, kiedy ona wyjechała za granicę?

P: A te twoje łotrzyki i szpiedzy pilnują, kiedy wróci, co chyba jeszcze się nie stało? Ostrzegam cię, Claiborne, z całą powagą. Ta dziewczyna jest teraz moja. Jeśli któryś z twoich ludzi dowie się, gdzie ona jest, a ty natychmiast nie przyjdiesz do mnie, żeby mi o tym powiedzieć, nigdy już nie będziesz miała kurek i kurczaków. Na niebiosy, nie będziesz miała, a ja wykończę twój interes raz na zawsze. Czy dość jasno się wyraziłem?

O: Jakby się wyraził któryś z moich pomocników.

P: Nie dam się sprowokować komuś takiemu jak ty. Powtarzam, czy zrozumiałaś mnie dobrze?

O: Tak.

P: No, to zapamiętaj sobie raz na zawsze. A teraz zabierz swoją wstrętą wymalowaną gębę sprzed moich oczu, madame.

*Jurat die quattuor et vicesimo
Aug. anno domini 1736 coram me
Henry Ayscough*

Dalsze – przesłuchanie i zeznania

FRANCISA LACY'EGO

po ponownym złożeniu przysięgi

dwudziestego czwartego sierpnia

anno praedicto

PYTANIE: Chciałbym teraz wrócić do kilku szczegółów, o których mówiliśmy w dniu wczorajszym. Kiedy pan Bartholomew mówił o swoich zainteresowaniach, kiedy oglądaliście świątynię w pobliżu Amesbury, albo też przy jakiejś innej okazji, czy nie wydawało się panu, że mówi to z czystej grzeczności, żeby tylko zabić czas? Czy może było to poważne zainteresowanie, powiedziałbym nadrzędne? Może zaczął pan myśleć: Oto dziwny kochanek, bardziej żarliwy i wymowny wobec kamieni niż nadziei ujrzenia swojej umiłowanej? Rad z opóźnienia wyjazdu, żeby tylko prowadzić swoje badania, kiedy powinien raczej cierpieć z powodu każdej straconej godziny? Czyż nie dziwna koniunkcja – wielka namiętność i skrzynia z uczonymi księgami?

ODPOWIEDŹ: Z pewnością tak myślałem. Ale czy to było takie dziwactwo pana Bartholomew czy wielka pasja, nie potrafiłem wtedy powiedzieć.

P: A czy teraz może pan to zrobić?

O: Mogę powiedzieć to, co pan Bartholomew wyznał mi wreszcie, że nie ma żadnej młodej damy w Kornwalii. To wszystko było tylko pretekstem. Prawdziwego celu naszej podróży dotąd nie znam, sir. Jak się pan przekona.

P: Co miał na myśli mówiąc, że poszukuje zenitu swego życia?

O: Wyraził tylko niejasną i dziwną metaforę. Mogła to być jakaś wiara, jakieś przekonanie. Obawiam się, że niewielką znajdował pociechę w religii praktykowanej w naszym kraju.

P: Mało powiedział pan o jego służącym, co pan o nim sądził?

O: Najpierw to, co stwierdziłem wczoraj. Potem coraz mniej mi się podobał. Jak mam to wytłumaczyć, panie Ayscough... Zacząłem podejrzewać, że był tak samo najęty jak Farthing i ja, a nie był prawdziwym służącym. Chodzi mi nie o to, co robił, bo to robił, jeśli nie z wdziękiem, to starannie. Ale coś było w jego sposobie bycia, nie mogę powiedzieć, że arogancja, a jednak... Trudno mi to opisać, sir. Widziałem nieraz, jak patrzył na swego pana za jego plecami, jakby sam był panem i tyle samo wiedział co on. Wyczuwałem w nim tajemną urażę, nazwałbym to nawet zazdrością, taką, jaką obserwowałem nieraz w moim zawodzie między słynnym aktorem i poślednim, mimo

ich uśmiechniętych dla publiczności twarzy i wzajemnie prawionych komplementów. Ja jestem równie dobry jak ty, oklaskiwany draniu – powiada w duchu ten gorszy – i pewnego dnia pokażę światu, że jestem znacznie lepszy.

P: Czy pan mówił o tym panu Bartholomew?

O: Nie bezpośrednio, sir. Choć pewnego dnia, kiedy jedliśmy wieczerzę, było to w Wincanton, spytałem w sposób zawoalowany, że to dziwne, że wybrał na służącego kalekę. Na co on powiedział, że łączy ich dłuższa znajomość, niż przypuszczam. Że Dick urodził się w majątku ojca, jego matka była mamką pana Bartholomew i obaj ssali z tej samej piersi, a więc byli mlecznymi braćmi. A wskutek dziwnego kaprysu gwiazd urodzili się tego samego jesienno dnia o tej samej godzinie. I o tym, że Dick był w czasach jego dzieciństwa nieodłącznym towarzyszem, a kiedy na to przyszła pora, został służącym. Wszystkiego, co umie, powiedział mi, ja go nauczyłem, rozmowy na migi, jakie są jego obowiązki, podstawowych manier, wszystkiego. Beze mnie byłby dziką istotą, prawie zwierzęciem, pośmiewiskiem dla wiejskich wesołków, jeśli przedtem nie zatłukli go kamieniami na śmierć. Jednak odważyłem się wtedy powiedzieć, że nie podoba mi się spojrzenie, jakim obrzuca swego pana... jak to już mówiłem przedtem.

P: I co odpowiedział pan Bartholomew?

O: Roześmiał się, sir... a właściwie to było coś w rodzaju śmiechu, jakby chciał powiedzieć, że się omyliłem. Potem dodał, że dobrze zna te jego spojrzenia, widzi je przez całe życie. Wyrażał w ten sposób swój gniew, że los uczynił go takim, jakim jest. Wszystko jest dziełem przypadku. Równie dobrze mógłbyś ty nim być albo najbliższy przechodzień. Drzewem, domem, krzesłem. Bez różnicy. On nie jest taki jak my, Lacy. Nie potrafi zrozumieć, co czuje, jest jak muszkiet. Ilekroć wyceluje, kiedy przeklina los, tylekroć wydaje mu się, że wypalił. Potem dodał, że on i Dick to jeden duch, jedna wola, jedno pragnienie. Co ja lubię, on też lubi, czego ja pożądam, on także pożąda, co ja robię, on zrobi także. Jeśli będę uważał, że jakaś kobieta ma twarz Wenus, on tak samo będzie sądził. Jeśli ja przebiorę się za Hotentota, on zrobi to samo. Jeśli stwierdzę, że jakieś zepsute jedzenie godne jest bogów, pochłonie je z apetytem. Powiedział mi, że ja osądzam Dicka tak, jak osądzam innych ludzi z wszystkimi ich uzdolnieniami. Powiedział, że wiele razy próbował wpoić w niego świadomość Boskiej Istoty, pokazywał mu wizerunek Chrystusa, Boga na Niebieskim Tronie. Na próżno, powiedział, ponieważ ja wiem, czyj wizerunek uważa za jedyne bóstwo w swoim życiu. Mógłbym go zasztyletować i nawet ręki nie podniósłby w swej obronie, obedrzyć go ze

skóry, a on poddałby się temu. Ja jestem jego życiodajną mocą, Lacy, beze mnie jest zaledwie korzeniem, kamieniem. Jeśli ja umrę, on umrze natychmiast po mnie. Wie o tym, równie dobrze jak ja. To, co mówię, nie jest wyrozumowane. To tkwi w każdej fibrze jego ciała. Na tej samej zasadzie koń potrafi odróżnić swego pana od innych jeźdźców.

P: Co pan myślał o tym wszystkim?

O: Musiałem mu uwierzyć, sir. Ponieważ na zakończenie powiedział, że choć Dick jest ignorantem w tylu sprawach, jako rekompensatę posiada rodzaj mądrości, wobec której pan Bartholomew czuje szacunek, i nawet mu jej zazdrości. Że ma zmysły wyczulone jak u zwierzęcia i potrafi widzieć rzeczy, których my ujrzeć nie możemy. Dzięki temu mógł odsunąć na bok złudne zasłony mowy, obyczajów i ubrania i tak dalej, zobaczyć rzeczywistą istotę człowieka, i że niejedyn raz przekonał się, jak słuszna jest jego ocena kogoś, co do którego on sam się omylił. A kiedy okazałem pewne zdziwienie, zauważył, że Dick był jego kompasem w wielu sprawach i że bardzo się liczy z jego obdarzonym mocą niemyślenia osądem.

P: A teraz, Lacy, muszę wkroczyć na delikatny teren. Teraz muszę spytać, czy nie zauważył pan przy jakiejś okazji, w jakimś momencie waszej podróży, może to nie było nic więcej niż ukradkowe spojrzenie, gest, wymiana znaków, słowem czegoś, co świadczyłoby, że ten związek między panem Bartholomew a jego służącym opiera się na uczuciu, które nie było naturalne?

O: Co to znaczy, że miałyby nie być naturalne, sir?

P: No, dobrze, nie będę owijał w bawełnę. Czy był jakiś dowód, choćby nawet mały, najbardziej odrażającego występku, praktykowanego w starożytnych czasach w miastach Sodomy i Gomory? Dlaczego pan nie odpowiada?

O: Jestem zaszokowany, sir. Taka myśl w ogóle nie przyszła mi do głowy.

P: A teraz przyszła?

O: Nie mogę uwierzyć. Nie miałem najmniejszych podejrzeń. A poza tym było całkiem jasne, że ten służący bardzo się interesował dziewczyną.

P: A może to był trik, żeby odsunąć podejrzeń?

O: To nie był trik, sir. Ja nie powiedziałem jeszcze wszystkiego.

P: Doskonale, wróćmy zatem do podróży. Gdzie zatrzymaliście się następnego wieczoru?

O: W Wincanton. Nie wydarzyło się tam nic szczególnego, na co zwróciłbym uwagę. Ale kiedy wyjechaliśmy następnego dnia rano, Jones mi powiedział, że Dick

opuścił łóżko, w którym razem spali, i poszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie akurat tej nocy spała Louise, i zobaczył go dopiero rano.

P: Co pan wtedy pomyślał?

O: Że musi być tą, za którą się podaje, i że nasze poprzednie domysły były fałszywe.

P: Że nie mogła być ani dumną ladacnicą, ani damą w przebraniu?

O: Tak.

P: Czy napomknął pan coś na ten temat panu Bartholomew?

O: Nie. Wyznaję, że pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli to zachowam dla siebie, ponieważ wiedziałem, że nasza podróż dobiega końca.

P: Powiada pan, że im dalej jechaliście na zachód, tym bardziej on stawał się milczący?

O: Tak. Nie tylko mówił mniej, kiedy jechaliśmy, jakby tylko o jednym myślał, ale kiedy razem jedliśmy wieczerzę, to ja musiałem prowadzić rozmowę, aż wreszcie milkłem tak jak on. Pewno opadły go jakieś nowe wątpliwości albo melancholia. Starał się to ukryć przede mną, ale ja to widziałem.

P: Zwątpił w całe to przedsięwzięcie?

O: Tak przypuszczałem.

P: Czy nie próbował pan przyjść mu z pomocą?

O: Wtedy już wiedziałem, jak postępować, panie Ayscough. Sądzę, że zna pan pana Bartholomew znacznie lepiej niż ja. Że coś takiego jest w jego sposobie bycia, że niełatwo go odciągnąć od tego, czym jest zajęty. I dlatego najbardziej niewinne w intencji objawy sympatii czy zainteresowania mogą być poczytane za impertynencję.

P: Czy pan albo Jones dowiedzieliście się czegoś więcej? Czy nic więcej nie wydarzyło się w Taunton?

O: Nie, sir, z wyjątkiem tego, że musieliśmy dzielić pokój, jak już powiedziałem. Po tym, jak pan B. poprosił mnie o wybaczenie, że po wieczerzy będzie czytać swoje papiery, ja położyłem się, żeby wypocząć. Nie przywykłem do takiego podróżowania.

P: Czy ten odcinek z Taunton, to był wasz ostatni wspólny?

O: Tak, sir.

P: I nic istotnego nie wydarzyło się tego dnia?

O: Tylko to, że pod koniec dwa razy pan Bartholomew jechał razem z Dickiem i dziewczyną, jakby chcieli obejrzeć wspólnie jakiś przed sobą widok.

P: Czy przedtem tego nie robił?

O: Nie, sir. W obu przypadkach jechali razem z nim do wzniesienia, które przecinała nasza droga. Widziałem, jak Dick coś wskazywał, jakby w kierunku odległego wzgórza lub miejscowości.

P: Czy pan B. nie wspominał o tym panu?

O: Tak, powiedział, że rozglądają się za najbardziej wygodną drogą. A ja spytałem, czy jesteśmy już blisko naszego celu. Na co odparł: Jesteśmy na progu, o którym wspominałem, Lacy, i potem: Twoja życzliwa służba prawie się kończy. Co świadczyło, że nasze przypuszczenia z Jonesem były słuszne.

P: Czy nie było to blisko miejsca, gdzie pan Bartholomew i jego służący byli sześć tygodni wcześniej? – Tam, gdzie ta dziewczyna mieszkała? Dlaczego więc szukali drogi?

O: My obaj też się temu dziwiliśmy, sir. Ale nie znając ich planów oraz intencji, myśleliśmy, iż szukają bardzo mało uczęszczanego szlaku, ponieważ zbliżali się do okolic, gdzie groziło im największe niebezpieczeństwo.

P: I to była pierwsza zapowiedź waszego rozstania w dniu następnym?

O: Tak, sir. Było jasne, że musimy być blisko, gdyż Bideford było przed nami o niecały dzień jazdy. Dlatego nie byłem specjalnie zdziwiony.

P: Teraz chciałbym wiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło „Pod Czarnym Jeleniem”.

O: Wiele aż do wieczery. Właśnie tam poprosił mnie, żebym ustąpił mu lepszy pokój, podczas gdy przedtem, kiedy mogliśmy wybierać, ja zawsze miałem ten lepszy. Sądził, że w nocy będzie mieć trudności z zaśnięciem i może będzie chodzić po izbie, tak powiedział. Jego pokój był mały.

P: Czy nie dostrzegł pan innych powodów?

O: Tylko to, że jego okna wychodziły na plac targowy, a okna tego pokoju, w którym ja spałem, na ogród i zabudowania gospodarcze. Poza tym, że był znacznie większy.

P: Proszę mówić dalej. O czym rozmawialiście podczas wieczery?

O: Zaczął mi dziękować, że wytrzymałem z nim tak długo i znosiłem jego *vacua*, jak się wyraził, chwile milczenia, i powiedział, że się obawia, że dla kogoś takiego jak ja był nieciekawym towarzyszem. Ale że mimo to odegrałem swoją rolę dobrze i że mi dziękuje. Na co ja odparłem, że mogłem zagrać lepiej, gdybym wiedział, jak się to wszystko skończy. Raz jeszcze zrobił jakąś niejasną aluzję, z której

wywnioskowałem, że nie jest przekonany o powodzeniu swojego przedsięwzięcia. Zacząłem więc go pocieszać, że jeśli nawet i tym razem mu się nie uda, może spróbować znowu. Wtedy odparł, że nie można przekraczać Rubikonu dwukrotnie i że teraz albo nigdy i tak dalej. Powiedziałem mu, że zbytnio się przejmuję. A wtedy on zaczął znowu mówić o jednym z tych swoich urojeń, i to w sposób, który mnie zaniepokoił. Stwierdziłem więc, że nie jest bohaterem jakiejś tragedii, gdzie los wszystkich jest przesądzony. Na co odparł, że chyba jego historia nie ma ani Romea, ani Julii, i spytał, jakbym się zachował wobec kogoś, kto przeniknął tajemnice przyszłości.

P: Co to znaczy... przeniknął?

O: Tego nie powiedział, sir. Ujął to w przenośni, że niby jakaś hipotetyczna osoba wie, co zdarzy się w przyszłości, i to nie dzięki zabobonom ani środkom magicznym, ale naukowym badaniom. I gdybym na przykład ja powiedział mu o tym, to przecież byłoby lepiej nikomu tej wiedzy nie odkryć. Pomyślałem sobie wtedy, że on nie chce mi zdradzić prawdziwego celu swoich poczynań. Wyznaję, że nie przyjąłem tego dobrze, sir. Gdyż pomyślałem, że mnie oszukał, nie dotrzymał słowa. I to mu powiedziałem. Na co on z wielkim przejęciem prosił mnie, żebym mu uwierzył, że jeśli coś przede mną ukrywa, to dla mego dobra. I daje na to słowo, że to nie jest żadne przestępstwo. Potem dodał, że to, co mi powiedział, jest do pewnego stopnia prawdą, gdyż tak bardzo pragnie się z kimś spotkać jak mężczyzna ze swoją ukochaną albo żoną, tak to właśnie ujął, dobrze to pamiętam, i że jak dotąd napotykał przeszkody.

P: Jakie przeszkody?

O: Tego nie powiedział.

P: Kim była ta osoba?

O: Panie Ayscough, nie wiem. Nie mogłem go bardziej naciskać. Spytałem tylko, czy to jest może sprawa honorowa. Na co uśmiechnął się smutnie i powiedział, że nie musiałby jechać tak daleko, gdyby mógł to załatwić w Hyde Parku. Tak już posunęła się nasza rozmowa, ale niestety zostałem odwołany. Niejaki pan Beckford, tamtejszy pleban...

P: Znam go. Rozmawiałem z nim. Pan go przedtem znał?

O: Nie znałem.

P: Więc zostawmy go w spokoju. Czy rozmawiał pan jeszcze z panem B., kiedy pleban odszedł?

O: Tak, ale zauważyłem, że jest zmieniony. Jak gdyby się zreflektował podczas

mojej nieobecności i doszedł do wniosku, że powiedział zbyt wiele w trakcie poprzedniej rozmowy. Nie był przy tym niegrzeczny, jednak wyraźnie zniecierpliwiony moimi wątpliwościami. Kiedy wróciłem, na stole przed sobą miał rozłożone papiery, widziałem, że to są przeważnie liczby i jakieś figury chyba geometryczne albo astronomiczne i jakieś inne niezrozumiałe znaki. Podał mi jedną kartkę, żebym się przyjrzał, i spytał, czy nie podejrzewam, że to jest tajemny, zaszyfrowany list do Jakuba Stuarta.

P: Taka sarkastyczna uwaga?

O: Tak. Albo może sędzę, że tu przyjechał, żeby uprawiać czarną magię z jakąś miejscową czarownicą. Oczywiście znowu wyśmiewając moje obawy. Potem zrobił się poważny i znowu mówił o tej osobie, z którą się spotka, że stać będzie przed nią pełen poszanowania dla potęgi jej zrozumienia i mądrości, tak jak niemy Dick staje przed nim. Że może to, co go czeka, jest tylko szalonym snem, ale że nie zagrozi jego duszy. Chyba pan rozumie, panie Ayscough, w jakim kierunku zmierzał. Wszystko zamieniał w zagadki. Jakby chciał mnie poinformować, nic przy tym nie mówiąc.

P: Miał spotkać jakiegoś uczonego? Mędrca, pustelnika?

O: Być może. Przy okazji spytałem pana Beckforda, czy ktoś taki mieszka w okolicy, ktoś przynajmniej wykształcony i z dobrym smakiem, na co odparł, że nie, nikogo takiego nie ma, a on żyje tu jak na pustyni. To jego własne słowa.

P: Czy pan B. nie wskazał, jak blisko ta osoba mieszka?

O: Nie, sir, choć można przypuszczać, że w zasięgu jednego dnia jazdy, i to w kierunku Bideford, gdzie go zostawiłem następnego dnia.

P: Można więc założyć, że ta osoba mieszka w samym Bideford albo w pobliżu miasta; że ta osoba wie, że pan B. chce się z nią spotkać, czego unika albo jest to jej obojętne; albo że ucieknie, jeśli dowie się o jego przybyciu, i że ma swoich agentów i szpiegów, sam nie wiem kogo, rozmieszczonych tak, żeby mu przeszkodzić... Stąd może te wszystkie skomplikowane wybiegi, w których pan brał udział? Może w tym cała rzecz? A ja w to nie wierzę, Lacy, raczej już przełknę tę dziedziczkę. Czy nie zastanawiał się pan, dlaczego zastąpił pozornie wiarygodną, choć fałszywą, opowiastkę o wiele mniej prawdopodobnym opowiadaniem?

O: Tak, myślałem o tym. Nie widziałem powodu, dlaczego zostałem tak wyprowadzony w pole na tym właśnie etapie naszej podróży. Jeśli podam panu tego przyczynę, jaka później przyszła mi na myśl, obawiam się, że nazwie mnie pan głupcem.

P: Nieważne, sir. Co najwyżej potraktuję pana jak uczciwego głupca.

O: A więc muszę pochwalić się, że pan B. zaczął mnie darzyć pewnym szacunkiem, nawet jeśli to nie było nic więcej niż to, co pan przed chwilą powiedział. Kiedy patrzę wstecz, sądzę, że chciał zasugerować mi większe i bardziej poważne zadanie niż to, w które uwierzyłem przedtem. Chciał, żebym wiedział, iż szuka czegoś poza naszą dotychczasową wiedzą. Jakby chciał powiedzieć: Oszukałem cię, ale dla dobra większej i bardziej ważnej sprawy, której jednak nie mogę odkryć.

P: Czy może pan sprecyzować, co było w tych papierach?

O: Mało wiem o naukach ścisłych, sir. Na kartce, którą mi podał, było wiele liczb w kolumnach. Część była wydrapana, jakby znaleziono w nich błąd. Na innych stronicach, leżących na stole, były geometryczne figury, koła z wieloma liniami, przechodzącymi przez środek, na których końcach były napisane słowa po grecku, skrócone, jeśli się nie mylę, tak jak w przepowiedniach astrologów. Ale nie mogłem się przyjrzeć z bliska.

P: Czy pan B. mówił kiedy o astrologii, że się nią interesuje, wierzy w nią?

O: Tylko w Stonehenge, kiedy wspomniał o poszukiwaniu zenitu swego życia.

P: Słowem dał panu do zrozumienia, choć niejasno, że to, co go tam sprowadziło, to nie jest to, w co pan miał uwierzyć.

O: Tak, tego jestem pewien.

P: A pan sądzi, na podstawie tej rozmowy oraz innych poprzedzających ją, że jego prawdziwy cel miał związek z tymi napomknięciami i aluzjami dotyczącymi tajemnic czasów, które miały nadejść.

O: Sir, do dziś dnia nie wiem, co o tym sądzić. Nieraz myślę, że powinienem wierzyć w to, co mi opowiadał, a nieraz, że wszystko to jest zagadkowe, że chciał sobie ze mnie zakpić, a wszelkie rozmowy na te tematy były oszukaństwem, jednak powtarzam raz jeszcze, sir, że choć chciał mnie oszukać, szczerze tego żałował.

P: Czy tego wieczoru rozmawiał pan z kimś jeszcze?

O: Tylko na jeden temat, panie Ayscough. Gdyż jego wyznanie, że znalazł się tu w innych sprawach, niż podał, spowodowało następną zagadkę, to jest czemu zabrał dziewczynę? Wyznam, że byłem głęboko urażony, że tak mało mi dotąd ufał, i dlatego wprost powiedziałem panu B., za kogo Jones ją uważa.

P: A co on na to?

O: Spytał, czy ja w to wierzę? A ja odparłem, że nie mogę w to uwierzyć, ale że podejrzewamy, że jego służący z nią sypia. Na co zadał mi pytanie, które mnie

całkowicie zaskoczyło, mianowicie: Czy mąż nie może spać ze swoją żoną, Lacy?

P: Co pan odpowiedział?

O: Nic, sir. Zbyt byłem zaskoczony. Z Jonesem snuliśmy różne domysły, ale coś takiego nie przyszło nam do głowy.

P: Dlaczego mieliby ukrywać, że są małżeństwem?

O: Nie mam pojęcia. Ani dlaczego taka jak ona ładna, dobrze się wyrażająca młoda kobieta miałaby złączyć swój los z takim kaleką bez żadnych nadziei na przyszłość.

P: I na tym skończyło się wasze wieczorne spotkanie?

O: Zapewnił mnie jeszcze o swoim szacunku.

P: W jaki sposób miał pan otrzymać umówione wynagrodzenie?

O: Zapomniałem powiedzieć, że miał to załatwić następnego dnia rano. I tak się stało. Kiedy dał mi przekaz na pieniądze, powiedział, żebym sobie zatrzymał albo sprzedał konia, jak chcę. Przyjąłem to jako bardzo ładny gest z jego strony.

P: I sprzedał go pan?

O: Tak, kiedy przybyłem do Exeter.

P: A teraz wróćmy do Jonesa i jego zniknięcia.

O: Nie miałem o tym pojęcia, panie Ayscough. Wcale mnie o tym nie uprzedził.

P: Czy pan z nim rozmawiał, kiedy pan wrócił „Pod Czarnego Jelenia”?

O: Zamieniliśmy kilka słów na jakieś błahe tematy.

P: Czy przypomniał mu pan, że wasze zadanie już się kończy?

O: Tak. Jak powiedziałem, przypuszczaliśmy, że tak będzie jeszcze przed przybyciem „Pod Czarnego Jelenia”, a kiedy wyszedłem od pana B. po tym, jak mnie poinformował, że nazajutrz my obaj mamy jechać do Exeter, wywołałem Jonesa z kuchni i poinformowałem, jak sprawy wyglądają.

P: Czy był zaskoczony?

O: Nie, wcale nie, sir. Powiedział, że jest rad, że to wszystko się już kończy.

P: I więcej pan z nim o tym nie rozmawiał?

O: On miał na to ochotę, był podchmielony. Ale ja poszedłem spać i nic z tego nie wyszło. Powiedziałem tylko, że będziemy potem mieć dość czasu, żeby się zastanowić nad wszystkim, co się wydarzyło.

P: Kiedy pan stwierdził, że on wyjechał?

O: Następnego ranka ubierając się, zauważyłem wsuniętą pod drzwi kartkę. Przyniosłem ją, jest niewyraźnie napisana.

P: Proszę ją przeczytać.

O: „Szanowny panie Lacy, mam nadzieję, że nie będzie Pan tego uważał za niewdzięczność za pańską dobroć, że mnie nie będzie, gdy Pan będzie to czytać. Nigdy bym tak nie zrobił, ale Pan wie, że mam starą matkę w miasteczku w Walii, gdzie się urodziłem, a także siostrę i brata, których nie widziałem już siedem lat. Jadąc na zachód, miałem wyrzuty sumienia, że zaniedbywałem moje synowskie obowiązki, spytałem więc naszego gospodarza, jak można się przeprawić przez kanał do Walii, a on odparł, że z Bideford i Barnstaple w tygodniu odpływają statki z węglem i miałem węglowym i dowiedziałem się, że jest akurat żaglowiec, który korzystając z przypływu, ma być tego dnia, kiedy piszę, w Barnstaple i muszę nim popłynąć. Co do konia, to zostawię go w gospodzie „Pod Koroną”, która jest na nabrzeżu portowym, a jeśli Pan albo pan B. chciałby wziąć mego garłacza, to bardzo proszę, zostawiłem go pod łóżkiem, żeby nie było, że coś ukradłem. Proszę mi wierzyć, sir, że chodzi mi tylko o matkę, która jest cierpiąca, z szacunku dla niej, i o to że muszę wykorzystać tę okazję, skoro jestem tak blisko, o czterdzieści mil morzem, a nasza podróż się kończy. Proszę zapewnić pana B., że będę trzymał gębę... – nie mogę przeczytać, co tu napisał – i proszę z całego serca, żeby ani on, ani Pan nie myśleli, że nie wywiązałem się z obowiązków, przecież to chodzi tylko o jeden króciutki dzień, a jeśli jest tak łaskaw, że wybaczy pańskiemu uniżonemu słudze i przyjacielowi, proszę zatrzymać moje wynagrodzenie aż do mego powrotu do Londynu, co nastąpi rychło, mam nadzieję. Prosząc raz jeszcze o pańskie wybaczenie, kończę, bo czasu mam niewiele”. To wszystko, panie Ayscough.

P: Czy podpisał się?

O: Tylko inicjałami.

P: Nic pan wcześniej nie podejrzewał, nie było żadnego ostrzeżenia?

O: Żadnego, sir. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, przypomniałem sobie, że w Taunton był taki moment. Jones przyszedł do mnie i powiedział jakąś bajeczkę, że wydał większość swojej zaliczki, żeby zwrócić dług w Londynie, i że teraz jest kiepsko z pieniędzmi i poprosił mnie o pewną sumę na poczet wynagrodzenia za tę naszą podróż. Co zrobiłem i zapisałem w notatniku, który zawsze mam przy sobie.

P: Ile to było?

O: Jedna gwinea.

P: Nie był pan zdziwiony, że potrzebuje tak dużej sumy?

O: Znam go aż za dobrze, sir. Jak nie dopnie swego fanfaronadą, to podejdzie

człowieka fortelem.

P: A teraz, panie Lacy, czy wierzy pan w treść tego listu?

O: Byłem zły, bardzo zły, że tak mnie zawiódł. Ale wtedy uważałem to za prawdę. Wiedziałem, że pochodzi ze Swansea czy okolic, i mówił nieraz, że jego matka nadal tam mieszka.

P: I ma tam piwiarnię?

O: Tak, chyba tak, kiedyś o tym wspomniał.

P: Powiedział pan „wtedy”, czemu nie teraz?

O: Ponieważ nie zgłosił się po resztę należności.

P: Mógł przecież znaleźć pracę w Swansea?

O: To napisałby, znam go dobrze.

P: Czy pan spytał w gospodzie, czy naprawdę tego dnia był żaglowiec do Swansea?

O: Nie, sir, zgodnie z instrukcjami pana Bartholomew. Gdyż ledwie skończyłem czytać list, wszedł Dick i zaprowadził mnie do pana B., który się właśnie od niego dowiedział, że Jones zniknął. Myślał więc, że zrobił to na moje polecenie, czemu zaprzeczyłem i powiedziałem, jak sprawa się przedstawia.

P: Pokazał mu pan tę kartkę?

O: Od razu.

P: Czy się tym zdenerwował?

O: Mniej niż się obawiałem. Był uprzejmy, widząc moje zakłopotanie, bo przecież najął Jonesa za moją rekomendacją. Spytał tylko, do jakiego stopnia można wierzyć temu listowi. Powiedziałem to samo co panu, i że nie musi się obawiać, jeśli idzie o jego własne sprawy, ponieważ Jones wie znacznie mniej niż ja, i że gdyby miał jakieś złe intencje, to nie napisałby tej kartki i nie zostawił jej na tyle późno, by można ruszyć za nim w pościg.

P: Jones wiedział, że otrzymał pan polecenie, żeby wracać przez Exeter?

O: Tak, powiedziałem mu o tym.

P: Jakie były instrukcje pana Bartholomew wobec takiego obrotu spraw?

O: Nie damy poznać po sobie, że Jones zrobił to bez naszej wiedzy, tylko będziemy udawać, że tak było ustalone. To znaczy wyjeżdżamy razem, potem się rozdzielamy. Wyznam, że niezbyt miałem ochotę jechać sam przez takie dzikie i rzadko zaludnione okolice, ale nie okazałem tego. Ostatecznie czułem się odpowiedzialny za utratę mego towarzysza podróży, jakkolwiek by był.

P: Czy nie zastanawiał się pan nad tym, co mogło mu przeszkodzić w odebraniu od pana swojej należności?

O: Mam odpowiedź i jej nie mam. Jest dość nieprawdopodobna.

P: Że nie z własnej winy zostawił pana w tak krytycznej chwili?

O: Nie. Jest zbyt biedny, żeby w takiej sytuacji kierować się współczuciem i nie podjąć nawet próby, żeby dostać te pieniądze.

P: Czy on jest żonaty?

O: Nigdy mi nie mówił o żonie, nie byliśmy przyjaciółmi. Udawał dobre maniery, ale trudno byłoby go wziąć za dżentelmena, nigdy też nie przedstawiłem go pani Lacy. Był u mnie kilka razy, ale nie przekroczył progu mego domu. Znałem kilkunastu takich jak on, ani lepszych, ani gorszych, i każdego mógłbym zarekomendować panu Bartholomew. Tak się złożyło, że go spotkałem na dzień czy dwa przedtem, rozmawialiśmy i wiedziałem, że jest bez pracy.

P: Bardzo dobrze. Doszliśmy do rozstania z panem Bartholomew.

O: Nie potrafię podać nazwy tej miejscowości. Po jakichś dwóch milach albo trochę dalej dojechaliśmy do rozstajnych dróg, gdzie stała szubienica. Tam pan Bartholomew zatrzymał się i powiedział, że o kilka mil stąd moja droga krzyżuje się z gościńcem z Barnstaple do Exeter, mam nią jechać, a przy odrobinie szczęścia spotkam innych podróżnych, do których będę mógł dołączyć, a nocować mogę w Credition albo w Exeter, jak chcę.

P: Nic więcej nie powiedział?

O: Owszem powiedział, ponieważ musieliśmy poczekać kilka minut, żeby Dick zdjął moje bagaże z jucznej klaczy i przełożył je na mojego konia. I jeszcze zapomniałem powiedzieć, że przedtem pan Bartholomew bardzo nalegał, żebym wziął garłacza Jonesa, choć wątpię, czy odważyłbym się z niego wystrzelić, chyba że w ostatecznej potrzebie, ale na moje szczęście nic takiego się nie wydarzyło. Co do naszego rozstania to obaj z panem B. zsiadliśmy z koni i odeszliśmy parę kroków na bok. Raz jeszcze podziękował mi i prosił o wybaczenie, że wywołał we mnie tyle wątpliwości, i prosił, żebym w sercu swym nie miał do niego żalu, który nigdy nie zrodziłby się, gdyby mógł mi wyjawić całą prawdę.

P: Nadal nie określił bliżej, dokąd jedzie ani z kim zamierza się spotkać?

O: Nie, sir.

P: Czy sprawiał wrażenie bardziej pewnego siebie?

O: Powiedziałbym raczej bardziej zrezygnowanego, jakby stało się coś

nieodwracalnego. Zauważyłem, że przynajmniej słońce uśmiecha się do jego przedsięwzięcia, gdyż jak na dzień majowego święta przystało, na niebie nie było nawet jednej chmurki. Na co odparł, że również stara się dostrzec w tym dobrą wróżbę. A gdy wyraziłem nadzieję, że dojdzie do tego upragnionego spotkania, skinął tylko głową, mówiąc, że wkrótce się przekona. Nic więcej nie dodał.

P: A dziewczyna i służący, czy byli zdziwieni, że pan odjeżdża?

O: Bez wątpienia zostali uprzedzeni, że moja rola się kończy, jak istotnie było. Uścisnęliśmy sobie ręce z panem Bartholomew, wsiedliśmy na konie, i oni udali się w swoją stronę, a ja w swoją. Powiedziałem panu, sir, wszystko, co wiem. Bardzo mi przykro, jeśli pana rozczarowałem, gdyż pan chciałby wiedzieć więcej. Ale ja ostrzegłem, że tak będzie.

P: Zastanówmy się, panie Lacy. Załóżmy, że Jones nie mylił się co do swego pierwszego podejrzenia, iż ta służąca nie była służącą, lecz ladaczną, i że oskarżył ją o to wprost, nie owijając w bawelnę, jak to było w pana przypadku, a za swoje milczenie zażądał pieniędzy, które otrzymał albo od niej, albo od samego pana B. Tak więc przyjmijmy, że został przekupiony i dobrze opłacony, żeby się usunął z obawy, że mógłby panu powiedzieć to, co wie, z chwilą kiedy pan odłączyłby się od pana B., jak było planowane. Czyż nie jest to bardziej prawdopodobne i nie tłumaczy, czemu nie odebrał swego ustalonego wynagrodzenia? A może je otrzymał jeszcze tam w Devonie, i było z pewnością wyższe niż ustalone na początku?

O: Trudno wprost uwierzyć, żeby tak mnie oszukał.

P: Mogę panu powiedzieć, Lacy, że jego podejrzenie było słuszne. Pańska skromna służąca nie była ani skromną, ani służącą, ale dziwką najętą wprost z lupanaru madame Claiborne.

O: Jestem całkowicie zaskoczony.

P: Był pan zbyt łatwowierny, przyjacielu. Znam takich jak Jones. Ich uczciwość zawsze jest tam, gdzie widzą swój interes. Wierność i uczciwość jest niczym w porównaniu z zarobieniem kilku gwinei.

O: Ale po co ta kreatura jechała z nami?

P: To trzeba będzie jeszcze ustalić. Załóżmy, że dla przyjemności pana B. Czy jest pan pewien, że nie było żadnych tego oznak?

O: W każdym razie ja nic nie zauważyłem.

P: A z tym Dickiem, którego brała do swego łóżka, o tym pan wiedział tylko od Jonesa?

O: Na własne oczy widziałem, panie Ayscough, jak się do siebie odnosili. Jeśli o niego idzie, to było jasne, że jej pożąda. Ona zachowywała się bardziej powściągliwie, ale mimo to wyczuwałem, że coś ich łączy.

P: Wróćmy do waszego rozstania się. Czy potem pojechał pan prosto do Exeter?

O: Wkrótce znalazłem się na gościńcu i dołączyłem do karawany jucznych koni, której pilnowało dwóch osiłków. Pożegnałem się z nimi dopiero za bramą miejską w Exeter, gdzie zatrzymałem się na dwa dni, żeby wypocząć i sprzedać konia, a trzeciego dnia wsiadłem do londyńskiego dylżansu.

P: A czy ci nowi towarzysze pańskiej podróży bardzo pana wypytywali?

O: Nigdy jeszcze nie jechałem z tak okropnymi starymi nudziarzami. Niczego się ode mnie nie dowiedzieli.

P: Czy opowiadał pan żonie o swoich przygodach?

O: Opowiedziałem, sir. Jest uosobieniem dyskrecji, zapewniam pana. Nie wszystkie kobiety w mojej profesji są tak bezwstydne jak pani Charke, której fatalna konduita i zła reputacja o taką rozpacz przyprawiły czcigodnego ojca, pana Cibbera. Moja żona jest wyjątkiem, a nie regułą. Nikt, kto poznał panią Lacy, nie mógłby jej zarzucić ani lekkich obyczajów, ani niedyskrecji w sprawach osobistych.

P: A więc posiada pan niezwykły skarb, jeśli idzie o płęć żeńską. W każdym razie, mam nadzieję, że przekazując jej moje pozdrowienia, poprosi ją pan, by nadal pielęgnowała tę niezwykłą cnotę.

O: Zapewniam pana, że tak będzie. Teraz, kiedy skończyliśmy, lżej mi na duszy. Gdybyż tak było z moimi obawami. Czy może mnie pan teraz poinformować, co się stało ze służącym pana Bartholomew... Nie mogę o nim zapomnieć.

P: Znalaziono go wiszącego na drzewie niecałe trzy mile od miejsca, gdzie go pan widział po raz ostatni. Czy sam to uczynił, czy też jakiś przestępca, który upozorował samobójstwo, nadal jest niewiadome, tak jak wiele innych rzeczy.

O: A o jego panu nadal nie ma żadnych wieści?

P: Żadnych, tak samo o dziewczynie. Może się pan uważać za szczęśliwca, że pojechał pan drogą na Exeter.

O: Tak, wiem o tym teraz, sir. Gdybym to wszystko wiedział, nigdy nie podjąłbym się tej roli.

P: Z pewnością znalazłby sobie kogoś innego. Pańska rola nie była specjalnie ważna. Powziął jakąś decyzję na długo, nim przysłał swego służącego do pańskiego

domu.

O: Chodzi o nieposłuszeństwo?

P: Co by pan powiedział o młodym człowieku pańskiej profesji, który mając wielki talent, przekraczający przeciętność, ponadto nieograniczone możliwości zarówno w życiu prywatnym, jak i na scenie publicznej, zwróciłby się w kierunku zasad, których nie chciał nikomu wyjawiać, wbrew wszelkim zrządzieniom opatrności? Nie mówiąc już o odrzucaniu wszelkich rad swojej rodziny i przyjaciół? To nie tylko nieposłuszeństwo, Lacy. Prości ludzie w hrabstwie, w którym się urodziłem, znają przypowieść o dziecku, które wyrosło na powodującego zamęt i kłopoty człowieka. Powiadają, że to diabeł go kołysał. Przez co chcą powiedzieć, że nie tyle jest to spowodowane jego występnością, ile jakimś złośliwym wybrykiem natury. Pan B. otrzymał wszystko, z wyjątkiem zadowolenia ze swego nad wyraz szczęsnego losu. Ten, którego pan poznał, nie był żadnym synem skromnego właściciela ziemskiego, tego z pewnością się pan domyślił. Ale dość tego, zaczynam mówić zbyt wiele. Lacy, dziękuję panu za jego zeznanie i mam nadzieję, że rozstajemy się w lepszej atmosferze, niż zaczęliśmy. Przyzna pan, że obaj czasem musimy być przy jakiejś okazji aktorami, oczywiście dla odmiennych powodów.

Jurat die annoque praedicto coram me

Henry Ayscough

Lincoln's Inn, 27 sierpnia

Wasza Miłość,

To, co wraz z tym listem załączam, mówi samo za siebie i będę teraz postępować tak, jak Wasza Miłość może się domyślić. Moi ludzie są już w drodze do Walii. Jeśli ten Jones przebywa w swoim rodzinnym mieście, bez wątpienia znajdą go prędzej czy później. Według mnie Lacy nie jest kłamcą i można mu wierzyć, choć on sam był zbyt łatwowierny. W głębi duszy, mimo pozy, jaką przybiera, jest dzieckiem, jak zresztą wszyscy z jego profesji, i chce uchodzić za lepiej wychowanego i ważniejszego, niż jest naprawdę. Wasza Miłość może go uważać za głupca, ale nie jest nikczemnym kłamcą. Tę stręczycielkę Claiborne powinno się wychłostać, gdyby istniała sprawiedliwość na tym świecie, a resztę swego życia powinna spędzić w koloniach. Zwyczajne powieszenie to za mało dla takich jak ona.

Dziś przed południem odwiedziłem lorda B., pokazałem mu list Waszej Miłości i moje upoważnienie, a potem przedstawiłem konieczne tylko fakty. Oświadczył, że nic o nich nie wiedział aż do dnia dzisiejszego, przypuszczał, że Jego Lordowska Mość jest za granicą, przyznał, że załatwiał sprawę w burdelu i myślał, że dziewczyna również wyjechała za granicę, żeby zapewnić przyjemności Jego Lordowskiej Mości. Spytałem lorda B., czy w jakimś momencie nie zaczął podejrzewać, że Jego Lordowska Mość ma inne zamiary niż te, o których publicznie mówił. Odparł, że Jego Lordowska Mość tak wiele opowiadał o tej podróży po Europie, że uwierzył mu.

Na moje dalsze pytania lord B. zechciał udzielić mi łaskawej odpowiedzi, że choć od czasu ich wspólnego pobytu w Cambridge rzadko się widywali, to zawsze uważał go za szacownego przyjaciela i podczas pobytu w Londynie zawsze starał się odnowić ich dawną zażyłość; ostatnio jednak był nieco zdziwiony, kiedy Jego Lordowska Mość prosił, żeby go wprowadził do występnego przybytku madame Claiborne, gdyż zawsze był przekonany, że Jego Lordowska Mość jest nieczuły na pokusy cielesne i w ogóle wydawał się obojętny na wdzięki niewieście, ponieważ dotąd się nie ożenił; ale że teraz Jego Lordowska Mość sprawiał wrażenie człowieka zdeterminowanego (*ipsissima verba*), chcącego nadrobić stracony czas. (Oszczędzę Waszej Miłości pewnych dosadnych wyrażenń tyczących tej determinacji, jakich użył lord B., gdyż sądzę, że dodał je po to, by ubarwić zamierzoną rozpustę i zamaskować prawdziwy cel Jego Lordowskiej Mości).

Dalej lord B. powiedział, że to on zaproponował, by Jego Lordowska Mość

szukał względów wymienionej kobiety, ponieważ on sam się nimi cieszył, chwalił ją za umiejętność i wdzięki. Tu lord B. użył bluźnierczego porównania, którego nie ośmieliłem się przytoczyć Waszej Miłości, ale chodziło o to, że w całym Londynie nie ma lepszej niż ona w tym niecnym procederze. Zapytałem, na czym owe wdzięki polegają, poza cielesnymi zaletami. Lord B. odparł, na tym, że należała do nich jej niezwykła skromność, tym bardziej zaskakująca w owym świecie bezwstydu; że ona nie była specjalnie dowcipna ani rozmowna, gdyż mówiła bardzo niewiele i poza tym prosto; że znał niejednego mężczyznę, który przychodził do niej nazbyt pewien siebie, nie wierząc w to, co o niej słyszał, a wychodził całkiem ujarzmiony, że owszem dla wytrawnego rozpustnika najlepszym kąskiem jest zawsze niedoświadczona bardzo młoda dziewczyna, wobec tego niektórzy uważali ją za „nieświeży towar”, ale on nie znał lepszej dla kogoś takiego jak Jego Lordowska Mość, który miał stawiać pierwsze kroki w sztuce rozkoszy, i że wedle jakiejś wyuzdanej parafrazy Tacyta, którą ostatnio czytał, była ona opisana jako *meretricum regina initiarum lenis*, o czym właśnie mówił.

Spytałem, czy po pierwszej swej wizycie Jego Lordowska Mość mówił coś o niej lordowi B., i w jakim tonie. Odparł, że tak, i to już następnego dnia, że sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego. Jak lord B. sobie przypomina, powiedział wtedy, że szuka ladaczniczki tylko dla własnego użytku i satysfakcji, z którą jednak nie chce się bliżej związać, a właśnie ona nadaje się do tego. Przy następnej okazji, w jakieś sześć, siedem dni później, kiedy lord B. rozmawiał z Jego Lordowska Mością, powiedział, że chciałby przekupić tę Claiborne i zabrać dziewczynę do Paryża, żeby go tam zabawiała podczas jego pobytu, i jakby to można załatwić oraz ile by to kosztowało *et cetera*. On (lord B.) sądził, że można to załatwić, ale Jego Lordowska Mość nie może zwlekać z wyjazdem do Francji, ponieważ Claiborne mogłaby wywołać skandal i narobić wiele kłopotów, gdyby wiedziała, że jej pensjonariuszka jest nadal w Londynie.

Dalej (mogło to być trzy albo cztery dni później) Jego Lordowska Mość wpadł do lorda B. i powiedział, że ma trudności z tą osobką, która, owszem, zgodziła się na wyjazd, ale bardzo się boi gniewu swojej pani, gdyby się wszystko wydało, i że tego lęku ani pieniądze, jakie Jego Lordowska Mość jej obiecał, ani zapewnienie opieki nie mogły uciszyć; podobno ta Claiborne bardzo pilnuje wszystkich dziewczyn i znana jest z okrucieństwa wobec każdej odważnej, która ośmieliła się ją opuścić, i wreszcie, że gdyby Jego Lordowska Mość mógł ją wynająć i załatwić jawnie sprawę z madame Claiborne pod jakimś pretekstem (w każdym razie innym niż wyjazd do Francji, na co

tamta nigdy by się nie zgodziła), to pojedzie, ale w przeciwnym razie mogłaby życiem przyłacić spełnienie życzenia Jego Lordowskiej Mości.

Lord B. doradził wtedy Jego Lordowskiej Mości, że jeśli koniecznie chce ją mieć, to musi postępować tak, jak ona radzi, choć będzie to z pewnością znacznie więcej kosztowało, że jej lęk jest uzasadniony, ponieważ wszyscy wiedzą, iż żadna właścicielka burdelu nie pozwoli uciec bezkarnie swej podopiecznej, bo inne mogłyby pójść za jej przykładem. Dlatego właśnie trzeba powiedzieć podczas rozmowy, że po upływie określonego czasu, albo jak Jego Lordowska Mość znudzi się dziewczyną, po prostu ją odeśle i nikt nie będzie wiedział, jak było naprawdę.

Po bliższej indagacji lord B. wyznał, że pomagał Jego Lordowskiej Mości wymyślić ten pretekst, żeby oszukać Claiborne. I tak się stało, co potwierdziła ta odrażająca kreatura, kiedy ją wezwałem; ale uważam, że to nie był grzech, wzięwszy pod uwagę, jaki diabelski proceder uprawia.

Jestem przekonany, że Wasza Miłość na tyle dobrze zna charakter lorda B., żeby wiedzieć, do jakiego stopnia można wierzyć jego nie zaprzysiężonemu oświadczeniu, ale pozwolę sobie dodać, że ja nie powziąłem żadnych podejrzeń podczas naszej rozmowy, iż jakieś kwestie zostały ukryte. Jednak ze smutkiem muszę stwierdzić, że szlachetny lord nie odegrał szlachetnej roli w tej całej sprawie.

Postanowiłem wreszcie spytać lorda B., czy Jego Lordowska Mość odkrył mu swoje prywatne uczucia, jeśli idzie o surowość, choć sprawiedliwą i zasłużoną, do jakiej skłonił swego arcyszlachetnego ojca. Proszę, by Wasza Miłość pamiętał, że powtarzam to, co powiedział lord B. Otóż powiedział, co następuje. Choć słyszał przed ich ponownym spotkaniem, że Jego Lordowska Mość bardzo się rozgniewał na Waszą Miłość, początkowo był zdziwiony, gdy się przekonał, że Jego Lordowska Mość raczej się pogodził ze swoim losem i nie zamierzał z nim walczyć. Jednak przy późniejszej, bardziej zażyłej okazji, Jego Lordowska Mość stwierdził, że nie wierzy w to, by mógł być synem Waszej Miłości, gdyż trudno kogoś takiego uważać za swego ojca, i że raczej wolałby dużo stracić niż uwierzyć w to. Lord B. powiedział, że wtedy też zaczął wypowiadać najbardziej obelżywe epitety, tym gorsze, że nie zostały wygłoszone w gniewie, ale w pełnej świadomości, na zimno, jakby Wasza Miłość był jakim tureckim baszą czy innym okrutnym wschodnim despotą, w którego ręce się dostał. Lord B. wyznał, że jego zdaniem ten nieoczekiwany pomysł Jego Lordowskiej Mości, żeby odegrać rolę rozpustnika, może wynikać z pretensji wobec tak świętej postaci, jaką powinien być ojciec, i dodał, żeby załagodzić to, co powiedział Jego Lordowska Mość,

że mówił to tylko do niego (podczas wspólnej przechadzki po Mali) i nigdy nie słyszał, żeby Jego Lordowska Mość oświadczył coś takiego publicznie; potem, żeby siebie samego usprawiedliwić, powiedział Jego Lordowskiej Mości (jak Wasza Miłość wie, lord B. był w bardzo złych stosunkach z własnym ojcem), że na podstawie swego doświadczenia wie, iż należy stłumić własne resentymenty i uważać czas za najlepszego arbitra, gdyż zgodnie z naturą rzeczy jest on po stronie syna, i że ostatecznie, jeśli niebiosa pozwolą, Jego Lordowska Mość i on sam także kiedyś będą ojcami. Do czego Jego Lordowska Mość jakby się przychylił i więcej już o tym nie było mowy.

Lord B. poprosił mnie, bym przekazał Waszej Miłości najgłębsze wyrazy ubolewania, że sprawy obrały tak nieprzewidziany obrót, oraz zapewnienie, że podobnie jak Wasza Miłość nie wiedział o prawdziwych intencjach i obecnym miejscu pobytu Jego Lordowskiej Mości. Oraz z całym szacunkiem by przekazać Waszej Miłości, że znając wielkie ryzyko zarażenia się od francuskich ladacznic, był przekonany, że Jego Lordowska Mość po prostu chce się zabawić, dlatego nie odradzał mu tych planów, które uważał (niesłusznie, jak się okazało) za prawdziwe, ale nawet wręcz przeciwnie, widział powody, żeby pomóc w ich realizacji; że dał słowo honoru Jego Lordowskiej Mości, iż zachowa całą sprawę w tajemnicy i postara się uciszyć pretensje Claiborne, gdyby się to okazało konieczne, co uczynił i nadal czynić będzie, i że wreszcie, gdyby w przyszłości nadal mógł pomóc Waszej Miłości w tej sprawie, prosi, by Wasza Miłość nie omieszkła go wezwać.

Najniższy i najbardziej pokorny sługa
Waszej Miłości
Henry Ayscough

Ósmy września, Lincoln's Inn

Wasza Miłość,

Piszę późno i w wielkim pośpiechu, żeby jak najrychlej przekazać wieść, jaką właśnie przyniósł mój urzędnik, Tudor. Jones został odnaleziony z nieoczekiwaną łatwością, czego się wcale nie spodziewałem, i sprowadzony do Londynu. Przybyli dwie godziny temu i Jones został umieszczony pod specjalną opieką. Jutro rano zacznę przesłuchiwać tego nicponia.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności został odnaleziony w Cardiff, kiedy moi ludzie przejeżdżali przez to miasto w drodze do Swansea. Jeden z nich powiada, że Jones pił w tej właśnie gospodzie, gdzie oni przypadkiem się zatrzymali, i że mogliby go nie zauważyć, gdyby ktoś nie powiedział głośno jego nazwiska, co oni usłyszeli, a wtedy zaczęli go obserwować i przekonali się, że mają szczęście. Najpierw on wszystkiemu zaprzeczył, ale mój człowiek zaczął go wypytywać, wtedy on próbował uciec, ale mu się nie udało, potem zaczął wołać, że został aresztowany pod fałszywym pretekstem, ale szybko stracił kontenans, kiedy usłyszał, że go zaprowadzą do sądu w Cardiff, żeby tam dowiódł swojej niewinności. Wreszcie wcale się do niego nie odzywali, ani jemu nie pozwalali mówić, choć miał na to ochotę; Tudor powiada, że jest on bardzo przestraszony i przygnębiony, wedle jego słów skruszał, gdy usłyszał o przypiekaniu, które zagroziłem mu zgotować.

Wasza Miłość, proszę pozwolić mi, żebym nie komentował Jego słusznie obrażonych uczuć ojcowskich, wyrażonych w ostatnim liście. Jestem przekonany, iż Wasza Miłość wie, że je z szacunkiem podzielałam, i podobnie jak On, jestem skonfundowany w moim rozumieniu i oczekiwaniach dotyczących Jego Lordowskiej Mości. *Quantum mutatus ab illo!* Wszystko zostanie uczynione, by rzucić światło na tę nieszczęsną sprawę.

Pokorny sługa Waszej Miłości

Henry Ayscough

Postscriptum. Załączam kopię listu, który otrzymałem od pana Saundersona z Cambridge, żeby Wasza Miłość przekonał się, jak bardzo talenty Jego młodszego syna były cenione na uczelni. Nie wątpię, że o panu Whistonie Wasza Miłość wie. To kłótniwy dysydent i niebezpieczny mówca, *terveneficus*, co sprawiło, że stracił swe

stanowisko w Cambridge, które obecnie zajmuje pan Saunderson, jakieś dwadzieścia pięć lat temu, i od tej pory stał się jeszcze bardziej zuchwale gwałtowny i agresywny. Jak teraz słyszałem, czeka na śmiertelne zejście pana Saundersona, żeby ponownie zająć to stanowisko, z którego słusznie został usunięty. H.A.

Dnia czwartego, miesiąca dziewiątego,
Christ's College, Cambridge

Sir,

Ze smutkiem przeczytałem Pański list z dnia 27 sierpnia, na który śpieszę odpowiedzieć, choć kalectwo zmusza mnie do dyktowania go kanceliście. Obawiam się, sir, że nie mogę pomóc w sprawie tak dla Pana istotnej. W ciągu ubiegłych dwóch lat nie miałem przyjemności spotkać Jego Lordowskiej Mości; ostatni raz widziałem Go podczas wyborów na uczelni, to znaczy w kwietniu 1734. Jego Lordowska Mość uczynił mi wtedy zaszczyt, odwiedzając mnie podczas swego pobytu w tym mieście. Listy, jakie wymieniliśmy od tej pory, wszystkie dotyczyły matematyki i algebry. Ostatni otrzymałem 24 marca tego roku. Jego Lordowska Mość przekazał mi wtedy życzenia pomyślności w rozpoczętym niedawno roku i zawiadamiał, że wkrótce zamierza przyjechać do Londynu, latem zaś planuje odbyć podróż do Francji oraz Italii, jednak ma nadzieję, że przed wyjazdem, kiedy pogoda stanie się łaskawsza, będzie mógł się wybrać do Cambridge, i złożyć mi wtedy wizytę, gdyż pragnąłby zasięgnąć mojej rady, kogo ma odwiedzić podczas swej podróży. Niestety, od tej pory nie miałem żadnego listu ani znaku życia od niego, tak więc sądzę, że już wyjechał. Jestem zaniepokojony, a zarazem zdumiony wieścią o Jego zniknięciu. List z marca nie zawierał nic, prócz tego, co podałem wyżej.

Co do Jego Lordowskiej Mości mogę z całą szczerością stwierdzić, że niewielu miałem równych mu uczni i żaden go nie przewyższył. Profesorem na tym uniwersytecie byłem od 1711, tak więc nie brak mi było podstaw do porównań. Gdyby nie wysoka ranga społeczna, sądzę, że Jego talenty mogłyby z wielkim pożytkiem dodać chwały naszej uczelni, nie muszę mówić, że wielu innych, nie dorównujących mu, w ciągu tych minionych dwudziestu lat objęło profesorskie katedry.

Niestety, mając do czynienia z młodymi dżentelmenami wysokiego pochodzenia, przyzwyczałem się do tego, że mimo zapału i pracowitości, jakie okazują podczas studiów, szybko stąd odchodzą w świat. Z Jego Lordowską Mością tak nie było, on z największą pilnością studiował matematykę i wszystko, co się z nią wiąże. Nie tylko czytał wiele książek, dotyczących teorii, ale był też przy tym znakomitym praktykiem. Nie ja jeden jestem tego zdania, podobnie myślał mój wybitny poprzednik, pan Whiston, którego poglądy religijne można krytykować, lecz nie jego uzdolnienia w dziedzinie matematyki, i jeszcze większy mój najbardziej

oświecony poprzednik *in cathedrâ Lucasianâ*, sir Izaak Newton. Niejednokrotnie uwagę obu zwracałem na rozwiązania czy koncepcje Jego Lordowskiej Mości, i choć, przed godną pożałowania śmiercią sir Izaaka, nie zgadzali się ze sobą, w tym byli obaj zgodni, że oto rośnie młody filozof godny ich uwagi.

Nie chciałbym pana znudzić, sir, jednak muszę dodać, że sam w ciągu tych paru lat pracowałem nad metodą prostszego rachowania dużych liczb; w związku z tym kilkakrotnie omawiałem z Jego Lordowską Mością problemy, jakie napotkałem, i przekonałem się, że w najmniejszym stopniu nie utracił swych uzdolnień, kiedy pomagał mi je pokonać. Jego talenty objawione wówczas nie były przeciętne, gdyż przeciętny umysł takie problemy stara się rozwiązywać poprzez małe udoskonalenia i korekty proponowanej metody. Tymczasem Jego Lordowską Mość niezwykle dokładnie badał zasady metody i niejednokrotnie natrafiał na lepsze i bardziej korzystne rozwiązanie. Poczytuję sobie za wielkie szczęście, że miałem tak niezwykle pomocnika.

Jedynym jego błędem, jakiego mogłem się w nim dopatrzeć, było to, że czasami dał się ponieść wierzeniom i teoriom fizycznego świata, które ja muszę określić jako raczej fantazje niż doświadczalne prawdy. Teoria, której wyjaśnienia domaga się Pan ode mnie, jest moim zdaniem następująca. Seria liczb, o której Pan wspomina, ukazała się po raz pierwszy w *Liber Abaci* niejakiego Leonardo da Pisy, uczonego Włocha. On na to wpadł, ale, jak sam wyznał, po to jedynie, żeby obliczać mnożenie się królików w królikami. Jednak Jego Lordowską Mość odkrył ten układ proporcji (który pozostaje zawsze taki sam niezależnie od dodawania poszczególnych części) wszędzie w przyrodzie, nawet w ruchu planet i układach gwiazd na niebie; dostrzegał go także we wszystkich roślinach, w układzie ich liści, na co wymyślił nazwę pochodzącą z greckiego – *phylloaxis*. Wierzył również, że tej najbardziej podstawowej sekwencji można się dopatrzeć w historii naszego świata, zarówno przeszłego, jak i przyszłego; i gdyby to zostało w pełni zrozumiane, można by przepowiadać chronologię przyszłości, jak też wyjaśniać chronologię przeszłości.

Tutaj, moim zdaniem, sir, zbyt wielką wagę przywiązywał do drobnych zbiegów okoliczności w podstawowych zjawiskach fizycznej przyrody, sądzę także, iż brak mu było nie z własnej winy, lecz na skutek tego, że w społeczeństwie jako arystokrata zajmował wysoką pozycję, brak mu było codziennej styczności ze światem ludzi przeciętnie wykształconych i dyskusji na ten temat; i dlatego cierpiał on na to, co można by nazwać *dementia in exilio*, proszę mi wybaczyć to określenie. Albo jak się tu

u nas na uniwersytecie mówi: *In delitescencia non est scientia*, żyjący w ukryciu albo daleko od wiedzy nigdy w pełni tego nie zdobędą.

Pragnę podkreślić, sir, że w sprawach dotyczących mej wiedzy przywykłem szczerze się wypowiadać, i kiedy Jego Lordowska Mość po raz pierwszy przedstawił mi swoje poglądy w tej materii, podszedłem do nich bardzo krytycznie i przekonałem się, że nie są dostatecznie uzasadnione. Miało to miejsce jakieś pięć lat temu i z początku wywołało pewne oziębienie stosunków między Jego Lordowską Mością i mną, ponieważ ośmieliłem się zakwestionować wiele jego zbyt ekstrawaganckich dedukcji, które wysnuł na podstawie niepewnych przesłanek. Jednak z radością mogę stwierdzić, że wkrótce zawarliśmy pokój wedle zasad zaproponowanych przez Jego Lordowską Mość, który oświadczył, że zbyt wysoko ceni sobie znajomość ze mną, by utracić ją z powodu sporu w sprawach, jak to przyznał, których nie może dowieść (była to aluzja do jego chimerycznego poglądu, że chronologię przyszłości można ustalić na podstawie wspomnianej zależności). Zaproponował więc, że jako *amici amicitiae* (tak to ujął) powinniśmy usunąć tę kość niezgody z naszych rozmów. I tak od tej pory było, sir. Sądziłem, że przestał się tym zajmować, gdyż dotrzymał słowa zarówno podczas naszych następnych spotkań, jak i w całej korespondencji.

Jak już powiedziałem, sir, niepokoję się bardzo, gdzie może znajdować się obecnie Jego Lordowska Mość, jednak w niczym nie potrafię Panu pomóc, mogę się jedynie modlić, by ten, którego uważam za najbardziej wartościowego, utalentowanego i szlachetnego przyjaciela, wkrótce się odnalazł.

Pański uniżony sługa
Nicholas Saunderson A. M.
Regalis Societatis Socius

Pisała Anna Saunderson, córka

Przesłuchanie i zeznania

DAWIDA JONESA,

które złożył pod przysięgą

dziwiątego dnia września,

w dziesiątym roku panowania naszego Władcy,

Jerzego Drugiego, z Bożej łaski Króla Wielkiej Brytanii

i Anglii etc.

Nazywam się Dawid Jones, urodziłem się w Swansea, jestem w wieku obecnego stulecia, czyli mam trzydzieści sześć lat. Jestem nieżonaty. Obecnie pracuję w Cardiff jako koncypient u dostawcy okrętowego.

PYTANIE: Jones, z wielkim trudem zdołałem cię odnaleźć.

ODPOWIEDŹ: Wiem, sir, i bardzo mi przykro z tego powodu.

P: Czyś czytał streszczenie zeznań pana Francisza Lacy'ego?

O: Czytałem, sir.

P: I nie zaprzeczasz, że jesteś tym, o którym mówi pan Lacy?

O: Nie, sir, nie mogę.

P: Jednak zaprzeczyłeś temu, którego posłałem, żeby cię tu sprowadził.

O: Nie znałem go, sir. Z początku nic nie mówił o panu Lacym, a ja uważam siebie, z całym szacunkiem, za przyjaciela tego szlachetnego dżentelmena i czuję się zobowiązany honorem strzec go w miarę mej możliwości, ponieważ wiem, że jest tak samo niewinny jak ja w związku z tym, co działo się ostatniego dnia kwietnia. O przyjaciół trzeba dbać, takie jest przysłowie.

P: Mój człowiek powiada, że nadal zaprzeczałeś, kiedy ci mówił o panu Lacym i że przysięgłeś, iż nie znasz nikogo takiego.

O: Tylko po to, żeby go sprawdzić, sir, czy mówi prawdę. A kiedy upewniłem się, że tak jest, przestałem kłamać.

P: Żadnych kłamstw więcej, Jones.

O: Nie będę kłamać, sir. Z całą pewnością nie będę.

P: No, to dobrze. Przejdźmy do tego, co wydarzyło się po twoim wyjeździe z Londynu. Chciałbym wiedzieć, czy w zeznaniu pana Lacy'ego, które czytałeś, nie ma jakiejś nieprawdy?

O: Nie ma, sir.

P: Albo niedokładności?

O: Też nie, sir. O ile mi wiadomo, wszystko było, jak powiedział.

P: Albo może są niedokładne w inny sposób... Może były pewne ważne sprawy, które odkryłeś, a jemu o tym nie powiedziałeś?

O: Nie, sir. Moim obowiązkiem było powiedzieć mu wszystko, co widziałem i słyszałem. I tak też zrobiłem.

P: Czy chciałbyś coś dodać?

O: Przysięgam, sir, że nie.

P: Czy zaprzeczasz, że uciekłeś, jak mówi pan Lacy, bez jego zezwolenia?

O: Nie, sir. Było tak, jak mu napisałem. Chciałem zobaczyć moją starą matkę, niech w Bogu spoczywa, a ponieważ dzielił mnie od niej tylko Kanał Bristolski, pomyślałem, że trudno o lepszą okazję. Najbliższa jest ciału koszula, jak powiada przysłowie. Źle zrobiłem, sir, wiem o tym. Ale byłem niedobrym synem i chciałem to naprawić.

P: Czyż twoja praca u pana Bartholomew nie kończyła się dopiero następnego dnia? Dlaczego nie poprosiłeś o zgodę pana Lacy'ego, jeśli wiedziałeś, że chcesz wcześniej odejść?

O: Bo myślałem, że się nie zgodzi.

P: Dlaczego?

O: Bo to strachliwy człowiek, sir, i wiedziałem, że nie będzie chciał jechać sam przez tamte okolice.

P: Czy nie był dla ciebie dobrym przyjacielem, nie tylko przy tej okazji, ale i w innych? Przecież to on znalazł ci pracę?

O: Tak, sir, to prawda, i dlatego bardzo się wstydzilem, że tak go potraktowałem, jednak moje sumienie chrześcijańskie i synowskie powiedziało mi, że muszę to zrobić. No, i zrobiłem.

P: I miałeś nadzieję, że ci wybaczy, kiedy wrócisz do Londynu?

O: Tak, sir. On także ma miękkie serce. Niech Bóg mu błogosławi. I jest dobrym chrześcijaninem.

P: Chciałbym, żebyś mi powiedział, co sądzisz o Dicku, służącym pana Bartholomew.

O: Nic nie myślę, sir. Nie znałem go lepiej na końcu niż na początku.

P: Czy dostrzegłeś w nim coś dziwnego?

O: Tylko to, co wszyscy widzieli, sir. Że to nie do pomyślenia, żeby człowiek dobrze urodzony na służącego wziął kogoś takiego. Owszem, był silny, dobrze

zbudowany, co jest zaletą lokaja, ale nic poza tym.

P: Żeby człowiek dobrze urodzony na służącego wziął kogoś takiego, tak powiedziałaś?

O: Robił, co mu powiedziano, sir, i to całkiem dobrze. Trzeba też przyznać, że nie mógł zdradzić sekretów swego pana. A teraz co do jego bagażu. Nie pozwolił mi nawet tknąć tej niewielkiej bardzo ciężkiej skrzyni, która była na jucznej klaczy. Pierwszego dnia naszej wspólnej podróży chciałem mu pomóc w zdjęciu jej, ale mnie odepchnął, i dalej też tak było. Co do tego był bardziej zazdrosny niż zwykły służący.

P: Czy nie zauważyłeś w nim czegoś specjalnego?

O: To, że nigdy nie śmiał się, nawet nie uśmiechnął się, kiedy wszyscy byli weseli. Pewnego ranka przy studni w Basingstoke była taka dziewczyna, gdzie Dick, ja oraz inni staliśmy, i ta dziewczyna chciała oblać chłopaka stajennego, bo jej dokuczał, więc pobiegła za nim z wiadrem, ale się przewróciła i sama się oblała, a było to takie śmieszne, że nawet umarły patrząc na to, pękałby ze śmiechu. Ale nie on. Stał ponury jak śmierć, jak mówi przysłowie. Zawsze był zgnębiony.

P: Melancholijny?

O: Chyba tak, sir. Jakby spadł z księżycy. Przypominał raczej figurę z drewna niż prawdziwego człowieka z krwi i kości. Tylko nie wobec dziewczyny. Mogę waszej czcigodności coś na ten temat powiedzieć.

P: Czy sprawiał wrażenie, że boi się swego pana?

O: Nie, sir. Szybko wykonywał jego polecenia, ale nie szybciej niż to jest normalne. Uważny bardzo, kiedy rozmawiali tymi swoimi znakami, których się trochę nauczyłem czytać, i starałem się nimi rozmawiać z Dickiem, ale to była strata czasu.

P: Dlaczego?

O: Nie potrafię powiedzieć, sir. W prostych sprawach, takich jak pomóż mi w tym, podnieś tamto, rozumiał. Kiedy jechaliśmy i próbowałem spytać się o coś, co go dotyczyło, co myśli, tak jak się rozmawia po przyjacielsku w wolnej chwili, to on nie reagował. Równie dobrze mógłbym mówić do niego po walijsku.

P: A więc nie był tak prostym człowiekiem, na jakiego wyglądał?

O: Chyba tak, sir. Niektórzy to mówili.

P: Mam tu zeznanie właściciela gospody „Pod Czarnym Jeleniem”, Puddicombe’a. Mówił, że opowiadałeś o lunatycznym ataku Dicka pewnej nocy.

O: Opowiadałem różne historie, gdziekolwiek się udaliśmy, sir. Żeby zabawić ludzi.

P: Czy to była prawda?

O: Sir, robiłem tak, jak mnie prosił pan Lacy i ten dżentelmen.

P: Że powinienesz rozpowiadać naokoło, że ten człowiek jest lunatykiem, że się modli do księżyca?

O: Niezupełnie tak, sir. Ponieważ Dick był taki skryty, to ja, żeby odsunąć podejrzenia, odgrywałem rolę gaduły, co o wszystkim papie.

P: A czy nie powiedziałaś, że dziewczyny służebne powinny się go strzec?

O: Może i tak, sir. I jeśli tak było, to niezbyt się myliłem.

P: W czym mianowicie?

O: Że on nie był żadnym włoskim eunuchem, sir. Choć poza tym miał braki.

P: Czy mówisz o tej dziewczynie, Louise?

O: Tak, sir.

P: I o innych kobietach po drodze?

O: On tylko ją widział, sir. Te inne to było fiume dla niego. Jak to łaskotanie młodych kobiet u Puddicombe'a.

P: A czyś ty, Jones, nie łaskotał jednej z nich, i to bardzo grubiańsko?

O: To były żarty, sir. Nic więcej, daję słowo. Tak sobie żartowałem.

P: Jak to było?

O: No, cóż, nadal jestem młody, sir. Proszę o wybaczenie, ale dużo jest we mnie normalnego wigoru, jak w każdym mężczyźnie. Takie głupie zaczepki podczas wieczery. To była tylko wiejska prostytutka.

P: Doskonale, przejdźmy teraz do Louise. Co sądzisz o tym, coś najpierw powiedział panu Lacy'emu, że pewnego dnia widziałeś ją w burdelu tej Claiborne?

O: To było wieczorem, sir, przy świetle pochodni, takie krótkie spojrzenie, jak przechodziła. Nie mógłbym na to przysiąc. Jestem pewien, że to była pomyłka. Oko jest podłe, widzi to, co najgorsze. To nie była ona, tylko ktoś podobny.

P: Powiedz mi, czy teraz jesteś pewien, że się omyliłeś?

O: Tak, sir. A może się nie myliłem?

P: Czemu pytasz?

O: Ponieważ pan wydaje się wątpić, sir. To był moment, sir. Coś mi się przywidziało.

P: Jesteś pewien, że nie była tą, o jakiej myślałeś?

O: Uwierzyłem w to, co powiedział pan Bartholomew. Albo raczej w to, co powiedział panu Lacy'emu, który z kolei mnie powiedział, kim ona jest. Tak było

dobrze i dla niego, i dla mnie.

P: Czy dużo z nią rozmawiałeś?

O: Bardzo mało. Na samym początku dała do zrozumienia, że owszem jest uprzejma, ale trzymać się będzie na uboczu. Uprzejma aż do przesady, strasznie zarozumiała, nawet nie spojrzała na mnie, jeśli siedziała przy stole albo przechodziła, a kiedy byliśmy w drodze, miała coś lepszego do roboty niż rozmowy. To francuskie imię dobrze do niej pasowało.

P: Czy nie była nazbyt uprzejma jak na służącą?

O: W dzisiejszych czasach te panny służące przeważnie są takie. Te wszystkie zdziury chcą uchodzić za swoje panie.

P: Żadnych wulgarnych słów w tym pokoju.

O: Proszę waszą czcigodność o wybaczenie.

P: Czyś nie znał jej pod innym imieniem?

O: Nie, sir. A pod jakim?

P: Czy znałeś imię dziewczyny, którą widziałeś wchodzącą do domu Claiborne?

O: Nie, sir, nie znał również ten, który mi ją pokazał. Wiedział tylko, że jest to pierwszorzędna sztuka w tym domu i że ma przydomek Kwakierka. I pomyśleliśmy, że ten dżentelmen, którego tam przynieśliśmy, może z nią wyjdzie. To był markiz L., sir.

P: Byłeś wtedy lektykarzem, prawda?

O: Tak, sir, nieraz nim bywałem, jak nie miałem lepszej roboty, żeby zarobić na chleb.

P: Często chodziłeś do tego domu jako lektykarz?

O: Czasem, jak się złożyło.

P: I nigdy nie znałeś imion tych panienek?

O: Nie, sir. Tylko tyle wiedziałem, że w tym burdelu jest najlepszy towar w całym Londynie, dla tych najbogatszych kozłów, za przeproszeniem pańskim, sir. Muszę powiedzieć, najbogatsi w Londynie dżentelmeni wchodziłi w te drzwi.

P: Jesteś pewien, że ta, z którą podróżowałeś, nie była stamtąd?

O: Teraz jestem pewien, sir.

P: Nie spytałeś nigdy tej Louise, skąd pochodzi i tak dalej?

O: Zapytałem, sir, i to wiele razy, nim dojechaliśmy do Amesbury. Na przykład jak długo była na służbie i gdzie. Ale ona miała zwyczaj mówić tyle, co nic. Nie była gadatliwa, o nie.

P: A kiedy spytałeś ją o to wyjście w nocy w Amesbury, co powiedziała?

O: Zaprzeczyła w żywe oczy i jeszcze się rozgniewała, a kwaśna była jak ocet. Ale ja wiedziałem, że ona kłamie, i tyle.

P: Powiedz, nim zauważyłeś, że Dick przychodzi do niej, czy widziałeś jakieś między nimi porozumienie?

O: U niego to było wyraźne, sir, że całkiem dla niej zgłupiał. Wystarczyło spojrzeć na niego, kiedy była w pobliżu. Nie spuszczał z niej wzroku, a kiedy obsłużył swego pana, również i ją obsługiwał.

P: W jaki sposób?

O: Nosił jej zapasy żywności, jej tobołek, co się dało.

P: Ona była bardziej powściągliwa w okazywaniu swoich uczuć?

O: Bardziej przebiegła, sir. Sądząc z pozorów, raczej można by go uważać za jej ulubionego psa niż kochanka. Ale po Amesbury to się skończyło, ona mniej się z tym kryła. Często zasypiała, jadąc na koniu, nieraz siedziała z przodu, w jego ramionach, z głową przytuloną do jego piersi, jak dziecko albo żona.

P: I tak było, mimo że była taka uprzejma?

O: Jak mówi przysłowie, sir, kto zna Ewę, zna wszystkie kobiety.

P: Jak przeważnie jechała?

O: Z początku, sir, z tyłu, jak jest powszechnie w zwyczaju, jak kakadu na drążku. Potem na trzeci dzień usiadła z przodu, w jego ramionach, powiedziała, że jest lepiej siedzieć na kłębach; lepiej by powiedziała, że jest jej bardziej miękko między tymi jego sprośnymi udami, za przeproszeniem pańskim.

P: Czy nie pytałeś ją więcej na jego temat, na przykład czy nie zamierzali się pobrać?

O: Nie, sir. Bo pan Lacy powiedział mi w zaufaniu, żebym już dalej się nie dopytywał, bał się może, że to będzie wyglądać, że na jego polecenie szpieguję pana Bartholomew, czego przecież nie robiłem. Zamknąłem więc gębę na kłódkę i pomyślałem sobie, że może z początku bała się, że ją wyśmieję, że czuje miętę do takiego faceta jak Dick, i ucięła rozmowę dla mego własnego dobra.

P: Jak to dla twego dobra?

O: Była przecież ładną dziewczyną. Miałem na nią chętkę. Moje oczy musiały jej to powiedzieć.

P: Odgrywałeś rolę zalotnika?

O: Odgrywałbym, gdyby mi na to pozwoliła. Ale nie wiadomo było, czy wie, co to są zaloty. I czy moje przypuszczenie, że jest jedną z owieczek madame Claiborne,

jest prawdą.

P: Czy możesz mi powiedzieć coś więcej o niej?

O: Nie, sir.

P: I nie widziałeś jej ani nie słyszałeś o niej ani o Dicku albo o ich panu od ostatniego dnia kwietnia?

O: Nie, sir.

P: I nie czytałeś żadnej wzmianki o nich w gazecie?

O: Nie, sir, daję na to słowo.

P: I sądziłeś, że panu Bartholomew udało się porwanie bez popełnienia zbrodni, o którą ty jesteś posądzany?

O: Tak, sir, aż do teraz. Bo teraz powinienem się bać, ale przecież jestem niewinny i przekonałem się, że wasza czcigodność jest człowiekiem sprawiedliwym i miłosiernym. Nie boję się, moja rola była żadna, taka jak rola portiera przy drzwiach.

P: Dlaczego zostałeś w Walii i nie wróciłeś do Londynu po pieniądze, które miał dla ciebie pan Lacy?

O: Trzy miesiące temu podałem panu Lacy'emu moje powody, sir.

P: On o tym nic nie wie.

O: Nie wie, sir, i pozwolę sobie poinformować pana, dlaczego. Po pierwsze, kiedy wylądowałem tam, gdzie się urodziłem, od razu otrzymałem tak smutną wieść, że się popłakałem, wasza czcigodność, płakałem jak dziecko, bo się dowiedziałem, że moje biedne matczyśko, niech Bóg ma jej duszę w swej pieczy, spoczywa już w grobie, i to od trzech lat, moja siostra, którą tak kochałem, także nie żyła od sześciu miesięcy. I że teraz nie miałem już nikogo z rodziny prócz brata, który jest nawet biedniejszy niż ja, zresztą prawdziwy z niego Walińczyk, który, jak mówi przysłowie, jest bratem własnej nędzy. Z nim przemieszkałem, sir, cały miesiąc, i pomagałem mu, jak mogłem. I wtedy ja, Jones, powiedziałem sobie: Teraz musisz wracać do Londynu. Swansea to nędzna walijska dziura, sir. Ponieważ pieniądze i Jones nie trzymają się nigdy razem, wszystko, co miałem, przepuściłem. I tak ruszyłem pieszo do Londynu, nie mając pieniędzy na innego rodzaju lokomocję. No, i przyszedłem do Cardiff, gdzie spotkałem przyjaciela, który mnie zaprosił do swego domu i ugościł, a przypadkiem był u niego pewien znajomy, który, kiedy się dowiedział, że umiem pisać, czytać i rachować, i w ogóle bywałem w świecie, powiedział, że tam gdzie pracuje, u niejakiego pana Williamsa, jest wolne miejsce, ponieważ trzy dni przedtem jego pomagier zmarł na apopleksję, i teraz on i pan Williams mają po nim dodatkową

robotę...

P: Tak, tak, przejdź do tego swojego listu.

O: No, przecież opowiadam o pracy, jaką znalazłem, i byłem szczęśliwy jak skowronek na wiosnę, ponieważ mój nowy chlebodawca uważał, że jestem zdolny i pracowity, no i dlatego nie mogłem dotrzeć do Londynu. I że było mi bardzo przykro z powodu tego, co zrobiłem, i miałem nadzieję, że pan Lacy mi wybaczy, i gdyby tak się stało, byłbym bardzo wdzięczny, gdyby znalazł jakiś sposób, żeby mi przesłać te moje pieniądze.

P: Jak wysłałeś ten list?

O: Przez takiego jednego, co to miał jakąś sprawę do załatwienia w Gloucester, sir, i obiecał, że prześle go stamtąd, za co mu dałem szylinga. A on po powrocie zapewnił mnie, że tak zrobił. Ale choć wydałem pieniądze i zadałem sobie tyle trudu, nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

P: Więc napisałeś powtórnie?

O: Uważałem, że nie warto sobie zawracać głowy tym, sir, i że pan Lacy gniewa się na mnie i odplacił mi pięknym za nadobne. A muszę przyznać, że miałby rację.

P: To była zbyt mała suma, żeby zawracać nią sobie głowę?

O: Tak, sir.

P: Ile wedle ciebie to było?

O: Wziąłem już trochę od pana Lacy'ego, nim się rozstaliśmy.

P: Ile?

O: Kilka gwinei, sir.

P: Ile dokładnie?

O: Gwineę, nim wyjechaliśmy, i trochę potem.

P: Ile potem?

O: Poprosiłem pana Lacy'ego o pieniądze w Taunton, sir. To były chyba dwie albo trzy gwinee.

P: Pan Lacy powiada, że jedna.

O: Zapomniałem, sir, mógłbym przysiąc, że więcej.

P: Tak bardzo jesteś roztargniony, jeśli idzie o pieniądze, że nie rozróżniasz jednego od trzech? [*Non respondet.*] Wziąłeś dwie gwinee, Jones. Ile się jeszcze należało?

O: Osiem, sir.

P: Ile teraz zarabiasz rocznie w tej swojej pracy?

O: Dziesięć funtów rocznie, wasza czcigodność, i wiem, do czego pan zmierza. Ale ja myślałem, że to stracone pieniądze i dlatego uważałem, że jest tego niewiele.

P: Prawie roczne wynagrodzenie to było niewiele?

O: Nie wiedziałem, jak mam je odzyskać.

P: Czy statki nie wożą węgla z Walii do Londynu?

O: Być może, sir.

P: Cóż to, pracujesz u dostawcy okrętowego i nie jesteś tego pewien?

O: Tak, sir, jestem pewien.

P: Nie pomyślałeś, żeby wysłać list którymś statkiem albo samemu pojechać?

O: Jones nie jest żeglarzem, sir. Boję się morza i piratów.

P: A ja myślę, że jest inny powód. Kłamiesz.

O: Nie, sir.

P: Tak, sir. Dowiedziałeś się czegoś o tej wyprawie na zachód, co bałeś się powiedzieć panu Lacy'emu, ponieważ wiedziałeś, że to może sprowadzić na ciebie i wszystkich innych z tym związanych kłopoty. Nigdy byś nie uciekł i nie zrezygnował z tych pieniędzy, gdyby nie chodziło o coś znacznie ważniejszego.

O: Nie wiem nic więcej, niż powiedziałem, sir. Słowo daję. No, i tyle, co powiedział już pan Lacy.

P: Złapałem cię w twoje własne sidła, człowieku. W swoim liściku do pana Lacy'ego mówiłeś o statku do Swansea, który wypływał z Barnstaple pierwszego maja. Nie było tam wówczas żadnego statku, aż dopiero w dziesięć dni później.

O: To nie tak, sir. Zostałem źle poinformowany, kiedy tam dotarłem. Tak myślałem, kiedy pisałem list. W Barnstaple powiedziano mi, że lepiej będzie, jak się dostanę do Bideford. A tam dowiedziałem się, że za trzy dni będzie węglowiec. To prawda, może pan spytać. Statek nazywał się „Henrietta”. Kapitanem był James Parry z Porthcawl, świetny kapitan, powszechnie znany.

P: Jak spędziłeś te trzy dni?

O: Pierwszy w Barnstaple, sir, a pozostałe w Bideford, gdzie w porcie zacząłem się rozpytywać i natknąłem się na pana Parry'ego i spytałem, czy mógłby mnie zabrać. Na co odparł, że tak i że odpływa nazajutrz. Przeprawę, dzięki Bogu, miałem pomyslną.

P: Kto ci podał tę mylną informację w Barnstaple... i kto „Pod Czarnym Jeleniem”?

O: Zapomniałem już, sir. Ktoś, kto tam był.

P: Do pana Lacy'ego napisałeś, że to był Puddicombe.

O: No, to wobec tego Puddicombe.

P: Jones, ostrzegałem cię. Śmierdzisz kłamstwem, tak jak twój oddech śmierdzi porami.⁴

O: Nie, sir. Boga biorę na świadka.

P: Mam tutaj twój list, w którym wyraźnie mówisz, że ci to powiedział Puddicombe. Jednakże on przysięga, że tego nie powiedział, a on nie jest kłamcą.

O: No, to się pomyliłem, sir. Pisałem w wielkim pośpiechu.

P: I spartoliłeś to, jak i całą resztę swojej opowieści. Musisz wiedzieć, że w sprawie konia napisałem „Pod Koronę”, Jones. Czy nadal twierdzisz, że zostawiłeś go tam pierwszego maja czy może któregoś następnego dnia? Czemu nie odpowiadasz?

O: Sir, jestem zmieszany. Przypomniałem sobie teraz, że jechałem na nim do Bideford i tam go zostawiłem, w gospodzie „Barbados”, gdzie zamieszkałem, dałem też pieniądze, żeby go trzymali, aż będzie zabrany, ale nie zapomniałem przesłać wiadomości „Pod Koronę” przez chłopca, gdyby ktoś o mnie pytał i myślał, że ukradłem tego konia. Przysięgam, sir, pan musi mi wybaczyć, bo jestem okropnie przerażony. Powiedziałem, że to było pierwszego, nie zastanawiając się nad tym, żeby było krótko. Nie myślałem, że to ważne.

P: A ja ci powiem, łobuzie, dlaczego i jak blisko jesteś szubienicy. Dick nie żyje, istnieje poważne podejrzenie, że to jest morderstwo, jego ciało zostało znalezione o niecały dzień jazdy konno od miejsca, gdzie nocowałeś. Kufer jego pana zniknął, skrzynka zniknęła i od tego dnia nikt nie słyszał ani o panu Bartholomew, ani o dziewczynie. I dlatego istnieje uzasadnione wyjaśnienie w tej ponurej tajemnicy, że oni leżą także gdzieś zamordowani, i jeszcze bardziej uzasadnione, że to ty ich zamordowałeś. [Tutaj przesłuchiwany wykrzykuje coś po walijsku.] Co ty na to?

O: To nieprawda, nieprawda! [Znowu słowa po walijsku.]

P: Co jest nieprawdą?

O: Ta kobieta żyje. Widziałem ją potem.

P: Możesz zostać powieszony, Jones. Spróbuj mnie jeszcze raz okłamać, a każę cię powiesić, na co w pełni zasłużyłeś. Obiecuję ci to.

O: Widziałem ją potem. Przysięgam, wasza czcigodność.

P: Kiedy?

O: Po tym, jak wyjechali pierwszego maja.

P: Skąd wiesz, że wyjechali? Nie pojechałeś do Barnstaple?

O: Nie, sir. O dobry Boże, gdybym to był zrobił. Dobry Boże. [Znowu walijskie słowa.]

P: Czy wiesz, gdzie jest teraz ta służąca?

O: Na Boga, nie wiem, sir. Może w Bristolu, powiem o tym. I wcale nie jest służącą.

P: A pan Bartholomew?

O: Dobry Boże...

P: Czemu nie odpowiadasz?

O: Wiem, kim był naprawdę. Przez niego tak się wplątałem, przeklinam ten dzień, a przecież chciałem dobrze. Wasza łaskawość, nic nie mogłem na to poradzić, dowiedziałem się od przyjaciela, który...

P: Dość. Powiedz mi nazwisko, które ci powiedziano, nic więcej. Nie pisz jego odpowiedzi.

O: *[Responded]*

P: Powiedziałeś komuś albo napisałeś gdzieś to nazwisko?

O: Nie, sir. Nikomu, przysięgam na pamięć mojej matki.

P: A więc teraz wiesz, kogo poszukuję, Jones. I dlaczego jesteś tutaj.

O: Domyślam się, sir. I pokornie błagam o łaskę, bo myślałem, że działam dla niego, sir, kiedy się dowiedziałem.

P: Dojdziemy i do tego. A teraz opowiedz, co wiesz o Jego Lordowskiej Mości po pierwszym maja? Czy rozmawiałeś z nim, miałeś jakieś o nim wieści, czy wiesz coś o nim?

O: Nie wiem, gdzie jest, przysięgam, sir, ani gdzie teraz przebywa, ani o Dicku i jak umarł. Wasza łaskawość musi mi uwierzyć. O dobry Boże, musi mi pan uwierzyć, że ukryłem wszystko, ponieważ tak okropnie byłem przerażony, nic poza tym.

P: Co ukryłeś, ty bekso. Podnieś się z kolan!

O: Tak, sir. To znaczy, ja dowiedziałem się później, że Dick nie żyje, niech Bóg ma jego duszę w swej opiece. Ale nic więcej, przysięgam na grób świętego Dawida.

P: Jak do tego doszedłeś?

O: Domyśliłem się, sir, to nie była dokładna informacja. Kiedy byłem już jakieś dwa tygodnie w Swansea, spotkałem marynarza w tawernie, który osiadł ostatnio w Barnstaple i opowiadał o nieboszczyku znalezionym blisko tego miasta, który usta

⁴ Godło narodowe Walii (przyp. tłum.).

miał wypchane fiołkami. Nie podał nazwiska, sir, wspomniał o tym mimochodem, że to jakaś dziwna sprawa. Ale już mi to dało do myślenia.

P: A potem?

O: Od jednego takiego, którego spotkałem po przeniesieniu się do Cardiff, sir, w domu mego szefa pana Williamsa, to znaczy w jego firmie, który mówił o tej samej sprawie, gdyż tego dnia rano przybył żaglowcem z Bideford, i opowiadał o tym, co nowego odkryto, i że w Bideford wszyscy o tym rozmawiają, przypuszcza się teraz, że dwa miesiące temu zostało zamordowanych pięćdziesięciu podróżnych. On też nie podał żadnych nazwisk, ale domyśliłem się z tej liczby zabitych i także innych okoliczności, o których mówił, i żyłem aż do dziś w wielkim strachu i powiedziałbym panu od razu, sir, gdyby nie moja biedna matka i...

P: Dość tego! Kiedy to było, ta druga wiadomość?

O: W ostatnim tygodniu czerwca, sir. O ile dobrze pamiętam. Nie chciałem źle.

P: Dlaczego tak się boisz, jeśli jesteś niewinny?

O: Sir, ja widziałem takie różne rzeczy, że sam bym nie uwierzył, gdyby mi to ktoś opowiedział.

P: No, to opowiesz mi je teraz, Jones. Albo wkrótce zawiśniesz, łajdaku, na szubienicy. Jeśli nie za morderstwo, to każę cię powiesić za kradzież konia.

O: Tak, sir. [Znowu mówi w języku walijskim.]

P: I skończ z tym barbarzyńskim mamrotaniem.

O: Tak, sir, ale to jest modlitwa.

P: Nie uratują cię żadne modlitwy. Nic, oprócz całej prawdy.

O: I pan będzie ją mieć, sir. Słowo honoru. Od czego mam zacząć?

P: Od tego, gdzie pierwszy raz skłamałeś. A może to już było w kołysce?

O: Nie kłamałem panu, aż do tego miejsca, gdzie zatrzymaliśmy się po wyjeździe z Amesbury, sir, czyli do Wincanton. Wszystko było, jak powiedział pan Lacy. Z wyjątkiem Louise.

P: Co z nią?

O: Ja myślałem, że mam rację, kiedy panu Lacy'emu pierwszy raz powiedziałem, gdzie ją widziałem.

P: Że wchodziła do burdelu tej Claiborne i że była dziwką?

O: Tak, sir. Ale on w to nie uwierzył. Więc nie upierałem się, choć wiedziałem, co wiedziałem, jak powiada przysłowie.

P: I że pan Lacy został oszukany przez Jego Lordowską Mość?

O: Choć nie wiem, o co chodziło, sir.

P: Czyś ją o to oskarżył?

O: Nie, sir, w każdym razie nie wprost. Pan Lacy powiedział, żebym ją wybadał. Zamieniłem z nią kilka słów, o tak, dla zabawy. Jak już mówiłem, nie dała się złapać, odpowiadała jak prawdziwa panna służąca prawdziwej damy.

P: I wtedy nie byłeś już taki pewien?

O: Tak, sir, a potem jeszcze mniej, kiedy się przekonałem, że sypia z Dickiem. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, bo śmiali się za plecami swego pana. Jednak jeszcze myślałem, że to ją widziałem, co, jak się okazało, było prawdą, sir, kiedy pan usłyszy, co się wydarzyło na koniec.

P: Jesteś pewien, że Jego Lordowska Mość nie okazywał jej specjalnych względów, nie spotykał się z nią na osobności i tak dalej?

O: W każdym razie ja tego nie widziałem, sir. Rano mówił jej dzień dobry. Kilka razy spytał, czy nie jest zmęczona zbyt jazdą na koniu, ale to nie było nic więcej niż to, co powiedziałyby z grzeczności dzentelmen komuś gorzej urodzonemu.

P: Czy odwiedziła go kiedyś w jego pokoju? Wiesz coś o tym? Tam, gdzie się zatrzymywali?

O: Nie, sir, nie mogę na to odpowiedzieć, bo rzadko chodziłem na górę, najwyżej do pana Lacy'ego. W gospodach jest taka zasada, że służący nigdy nie nocują tam, gdzie służące, to znaczy w tej samej części domu.

P: I bardzo słusznie. Tak powinno być. A teraz przejdźmy do tego, co się wydarzyło w Wincanton.

O: Jeden taki w płaszczu, który widział nas, jak wjeżdżaliśmy, podszedł do mnie w gospodzie „Pod Chartem” i spytał: Co się dzieje? A ja na to, że nic się nie dzieje, o co chodzi, człowieku? Chodź, powiedział do mnie, mrugnawszy okiem, ja wiem, kim naprawdę jest ten wasz pan Bartholomew, dwa lata temu byłem stangretem u sir Henry'ego W. i znam go, bo tam bywał. Znałem go i tego służącego niemowę, powiedział. I podał nazwisko, które przed chwilą wymówiłem, sir.

P: Podał to nazwisko?

O: Tak, i imiona jego czcigodnych rodziców także. Mowę mi odebrało, sir, nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale pomyślałem, że nie ma co za dużo gadać, i też mrugnąłem do niego, mówiąc: Może i tak jest, ale trzymaj język za zębami, on nie chce być rozpoznany. Na co on: Bardzo dobrze, nie bój się, ale dokąd on się udaje? Zapolować na młodą kuropatwę na zachodzie, odparłem. Z pewnością ładną i pulchną

– powiada on. I tyle się ode mnie dowiedział.

P: Kim był ten człowiek?

O: Stangretem u pewnego admirała, który pojechał ze swoją małżonką do Bath. Nazywał się Taylor. Przyzwoity człowiek, nieszkodliwy, po prostu ciekawski. Powiedziałem, że pan Lacy jest tutorem Jego Lordowskiej Mości i że pod pretekstem podróży naprawdę chcemy zastawić sidła, a ta dziewczyna Louise jest w pogotowiu, kiedy młoda dama będzie złapana. Wtedy nadszedł Dick i Taylor go pozdrowił, ale ten głupiec prawie wszystko zepsuł, udając, że go nie zna, i odszedł. Powiedziałem, że pewno się bał, ale Taylor się nie obraził, musiał wiedzieć, że Dick jest niespełna rozumu. Potem po jakichś dziesięciu minutach zeszła na dół Louise i zabrała mnie na stronę. Farthing, powiada, twój pan cię woła. No, więc poszedłem z nią, a za drzwiami ona mówi: To nie pan Brown cię wzywa, ale pan Bartholomew, ale nie wiem dlaczego. Więc poszedłem do niego, sir, a on powiada: Jones, obawiam się, że mimo przebrania zostałem rozpoznany. Tak, odparłem, obawiam się, że tak się stało, i opowiedziałem, jak do tego doszło, i co powiedziałem Taylorowi. Bardzo dobrze, powiada, w każdym razie pan Lacy o tym nic nie wie, i niech tak dalej będzie.

P: Czy podał jakąś przyczynę?

O: Że bardzo szanuje pana Lacy'ego, sir, i nie chciałby go niepokoić. Na co ja powiedziałem, że jestem na rozkazy Jego Lordowskiej Mości. No, to nic nie mów, powiada on, i daj temu człowiekowi na piwo, żeby się napił za moje zdrowie, i przykaż, żeby trzymał język za zębami, a tu dla ciebie także pół gwinei. Wziąłem te pół gwinei i czułem się zobowiązany.

P: I nigdy o tym nie rozmawiałeś z panem Lacym?

O: Nie, sir. A później, kiedy piłem z Taylorem, powiedział mi, że podobno czcigodny ojciec Jego Lordowskiej Mości wpadł we wściekłość, kiedy syn odmówił mu posłuszeństwa, bo nie chciał się żenić z wybraną mu panną. I zacząłem się wtedy bać, sir. Lepiej spać na pokrzywach, niż dzielić z kim sekret, jak powiada przysłowie. Wyobraziłem sobie tego rozgniewanego ojca, sir, takiego to ja nie ośmieliłbym się obrazić. I pomyślałem o Biblii i czwartym przykazaniu Mojżesza, czcisz ojca swego...

P: Przedtem o tym nie pomyślałeś? Przecież nim wyjechałeś z Londynu, wiedziałeś z grubsza, co zamierza zrobić Jego Lordowska Mość?

O: Zobaczyłem to w nowym świetle, sir.

P: To znaczy?

O: Że jest moim obowiązkiem dowiedzieć się, jakie są zamiary Jego

Lordowskiej Mości.

P: Mówiąc otwarcie, że lepiej mógłbyś zarobić, służąc jego ojcu?

O: Że to byłoby roztropniej, sir.

P: Zaczynasz zmyślać, Jones, jak cały twój naród. Widziałeś w tym możliwość dobrego zysku, czy nie tak?

O: Liczyłem na pewien zysk. Gdyby szlachetny dżentelmen uważał, że to ważne.

P: W to jestem skłonny uwierzyć. Od Wincanton byłeś gotów szpiegować Jego Lordowską Mość? Czyż nie?

O: Gdyby to było możliwe, sir. Nie wiedziałem wtedy, że będę to robić. Te dwa dni dalszej podróży nie były pomyślne dla Jonesa.

P: Teraz udajesz, że miałeś skrupuły. Jesteś zwykłym nicponiem. Dlatego poprosiłeś w Taunton pana Lacy'ego, żeby ci wypłacił z góry większość twojej należności, ponieważ już wtedy powziąłeś decyzję, więc dajmy temu spokój.

O: Tak, sir.

P: Aż do przybycia „Pod Czarnego Jelenia” nie wiedziałeś dokładnie, jaki jest cel Jego Lordowskiej Mości?

O: Tak, sir.

P: Opowiedz wszystko, od momentu, jak się obudziłeś pierwszego maja.

O: Nicponiem to może jestem, sir, ale wtedy miałem z tego powodu złą noc. Nie wiedziałem, co robić. Wreszcie jednak wstałem, zszedłem cicho na dół, tam znalazłem ogarek świeczki, kałamarz i napisałem ten list, który pan zna, do pana Lacy'ego.

P: Nie interesuje mnie to, co wiem, mów o tym, gdzie się rozstali na drodze do Bideford.

O: To było dwie mile jazdy konnej, na rozstaju dróg, i tam czekałem ukryty za gęstymi krzewami na wzgórzu, żeby mieć dobry widok, bo nie wiedziałem, którą drogę obiorą. To tam, gdzie stoi szubienica, łatwo poznać. No, i czekałem dwie godziny, może więcej, i jak głupiec cieszyłem się, że jest taki piękny słoneczny dzień.

P: Czy przejeżdżał tam ktoś inny?

O: Wóz z kilkoma dziewczętami, koło którego jechali na koniach młodzi chłopcy, było dużo hałasu i śmiechu. Jechali na obchody Dnia Majowego. Wkrótce potem jeszcze trochę pieszych, którzy też szli na zabawę.

P: Nie było żadnych konnych, może posłańców śpieszących w jakiejś pilnej

sprawie?

O: Nie, sir. Tylko ta grupka z Jego Lordowska Mością, która miała jechać w kierunku Bideford, zatrzymali się na rozstaju dróg, tam gdzie stoi szubienica.

P: Znam to miejsce. Nie słyszałeś, o czym mówili?

O: Ani słowa, sir. Leżałem ukryty o jakieś czterysta kroków.

P: Mów dalej.

O: No cóż, było mi przykro, sir, że pan Lacy pojedzie sam przez to pustkowie. Wkrótce straciłem go z oczu, gdyż jego droga prowadziła w dół, podczas gdy reszta pojechała pod górę. Czekałem, aż dojadą na szczyt pierwszego pagórka, i zszedłem na dół, gdzie kryła mnie droga, i ruszyłem za nimi, a na wzniesieniu zsiadłem z konia, żeby zobaczyć, gdzie oni są i czy lepiej ich wyprzedzić, czy raczej poczekać. I tak przejechałem ze dwie mile. Przez ten czas wjechaliśmy w wielki las, a droga tak okropnie kręciła, że się bałem, że na nich wpadnę, bo nie widziałem, co przede mną. I tak się stało, sir. Bo kiedy wyjechałem zza wysokiej skały, zobaczyłem ich o sto jardów przed sobą. Na moje szczęście byli odwróceny plecami. Zatrzymali się przy strumieniu, który spływał z wysoka i na szczęście szumiał, bo inaczej usłyszeliby mnie. Zeskoczyłem od razu z konia, odprowadziłem go w bok i przywiązałem tak, żeby go nikt nie zobaczył, a potem wróciłem bardziej ostrożnie niż przedtem. No i zobaczyłem, że się oddalili, ale nie drogą, bo widziałem plecy Louise idącej za Dickiem, który się wspinał na dość stromą górę.

P: Czy znasz nazwę tego miejsca?

O: Nie, sir. Nie widziałem tam ani Fanny, ani żadnego domu, nic nie było w pobliżu. To nie było pierwsze przejście przez strumień w tym lesie, jednak szersze i łatwiejsze. Po lewej stronie drogi woda spadała z wysoka, robiąc duży hałas.

P: Mów dalej.

O: Kiedy się upewniłem, że jest bezpiecznie, poszedłem, gdzie się zatrzymali koło wody, był tam bród szerokości może sześciu kroków, nie więcej, prowadzący przez płaskie kamienne podłoże. I wtedy zobaczyłem, gdzie oni poszli, bo tam było mniej stromo, niż w miejscu, gdzie ja się zatrzymałem, a oni poszli w górę wśród drzew. Z początku, sir, nie widziałem ścieżki i musiałem się dobrze rozejrzeć, aż wreszcie znalazłem ją i wiedziałem, którądy przeszły ich konie.

P: Czy ta ścieżka była często używana?

O: Przysięgłbym, sir, że przez wiele miesięcy żaden koń tamtędy nie przeszedł. Nieco wyżej zobaczyłem jakieś ślady, to była ścieżka pasterzy, prowadząca na łąki na

zboczach tej góry. Leżało tam dużo zeschniętych gałęzi, starego owczego łąjna i tak dalej.

P: Twoim zdaniem, dokąd oni szli?

O: Myślałem, że idą sekretną drogą do tej młodej damy albo na jakieś ustalone przedtem miejsce. Ja przecież nie wiedziałem, gdzie w tej okolicy są wielkie dwory i majątki. Na swoje nieszczęście nie zawróciłem. Ty, Jones, pomyślałem sobie, musisz dbać zarówno o jagnię, jak i o owcę, jak mówi przysłowie.

P: Dokąd prowadziła ścieżka?

O: Do miejsca całkiem dzikiego, było tam wąsko, stromo, pełno kamieni i wielkich skał wśród drzew. Miało kształt półkola, takiego jak księżyc na nowiu, i pięło się w górę. A choć słońce świeciło, było tam bardzo ponuro. Ptaki nie śpiewały, tak jak powinny o tej porze roku, jakby wszyscy o tym miejscu zapomnieli. No, i zacząłem się bać jeszcze bardziej niż przedtem.

P: Kiedy ich dogoniłeś?

O: W niecałą godzinę, sir. To nie było daleko, dwie mile, może nieco więcej. Musiałem bardzo wolno się poruszać, często stawałem, nasłuchując, bo nic nie widziałem, taka tam była gęstwina kolczastych drzew i krzewów, i pomyślałem sobie, że im pewno jest gorzej, bo idą jeszcze wolniej niż ja, nasłuchując, czy ktoś ich nie śledzi. Na szczęście maskował mnie szum wodospadu.

P: Opowiedz, gdzie ich znów zobaczyłeś?

O: To było tak, sir. Znalazłem dogodny punkt obserwacyjny. Przywiązałem więc konia i wdrapałem się trochę wyżej, skąd miałem lepszy widok. Z początku nic nie widziałem, choć ten lasek się kończył. Pomyślałem, że jeśli tam w górze jest tak goło, to nie podejść już bliżej. Przypomniało mi się powiedzenie, dziś jest źle, jutro będzie jeszcze gorzej. A ja, głupiec, myślałem, że takie śledzenie będzie dziecinnie łatwe. Wtedy zobaczyłem, że ktoś wspina się z boku o jakieś pół mili ode mnie, i wiedziałem, że to jest Dick. Nie widziałem ani Jego Lordowskiej Mości, ani dziewczyny, więc sądziłem, że są jeszcze w dole przy koniach, tam gdzie płynął strumień. Dick zatrzymał się i spojrzał przed siebie poza zasięgiem mego widzenia, lasek się kończył jak rozdwojony język węża, a on patrzył to na jedną część, to na drugą.

P: Czy zachowywał się ostrożnie?

O: Ja tego nie mogłem zobaczyć, sir. Nie stał długo i znów zaczął iść, ale straciłem go z oczu.

P: Co wtedy?

O: Pomyślałem, że to musi być koniec ich podróży i że nie mogę dalej jechać konno, sir. Bo gdybym to zrobił, to by mnie usłyszeli albo zobaczyli. No, to wprowadziłem konia w gęstwinę i przywiązałem go, ukrywając w odpowiednim miejscu. Potem pieszo poszedłem wzdłuż strumienia, tak jak oni szli. I wtedy po chwili zobaczyłem coś białego na tle zieleni, o jakieś sto kroków ode mnie, może więcej, jakby ktoś położył płótno, żeby je wysuszyć. Więc się zatrzymałem i skulony poszedłem trochę w bok, gdzie miałem lepszy widok, i zobaczyłem, że to Louise się przebrała.

P: Co to znaczy, człowieku, przebrała się?

O: Tak, jak mówię, sir. Jak Królowa Maja tego właśnie dnia, cała na biało, płótno, batyst, wstążki, jak cukierczek.

P: Jones nie rób ze mnie głupca.

O: Przysięgam, że to prawda, wasza czcigodność. Nie kłamię.

P: Czy widziałeś tę suknię wcześniej tego dnia?

O: Nie, sir, jestem pewien, że jej nie nosiła, bo przy szubienicy, za przeproszeniem, poszła w krzaki za swoją potrzebą, i widziałem, że wtedy miała jak zawsze tę swoją zielonożółtą suknię z pikowaną spódnicą.

P: Twierdzisz, że się przebrała na tym miejscu postoju, podczas gdy podpełzłeś tam do nich?

O: Tak musiała zrobić, sir, i nie włożyła z powrotem peleryny. Dzień był ciepły bez wiatru. Pan musi mi uwierzyć, sir. Gdybym opowiadał jakąś bajeczkę, wymyśliłbym coś, co by się panu spodobało.

P: A Jego Lordowska Mość?

O: Stał z boku, przy koniach, które były przywiązane wyżej, i patrzył tam, gdzie poszedł Dick.

P: A co z dziewczyną?

O: Usiadła na tej swojej pelerynie na kamieniu nad strumieniem, sir, i robiła wianek z jakichś kolczastych kwiatków i usuwała ciernie scyzorykiem, który Dick zawsze nosił przy sobie. Dojrzałem, że kilka razy się ukłuła w palce i je ssała. A raz spojrzała w kierunku, gdzie stał Jego Lordowska Mość, jakby się skarżyła, że tak musi dla niego cierpieć.

P: Wbrew swej woli?

O: Być może, sir, trudno powiedzieć.

P: Czy ta suknia była skromna czy bogata? Taka, jaką noszą damy, czy raczej wiejskie dziewczęta?

O: Taka, jaką noszą wiejskie dziewczęta, chociaż miała różowe wstążki powyżej rąbka i na ramionach. Założyła też białe pończochy. Ten wianek mnie nie zdziwił, bo zawsze zbierała kwiaty, gdziekolwiek się zatrzymywaliśmy. Kiedyś zażartowałem i powiedziałem jej, że chyba nie jest panną służącą wytwornej damy, ale sprzedawczynią kwiatów na ulicy.

P: Co ona na to?

O: Że istnieją gorsze sposoby zarabiania na życie.

P: Czy rozmawiała z Jego Lordowska Mością?

O: Nie, robiła sobie tę majową koronę i na tle zieleni wyglądała niewinnie jak aniołek. Słowo daję, oczarowałyby nawet ślepego, jak się to mówi. Zawsze lubiła się ładnie ubierać. Ale tak ładnej, słodkiej nie widziałem jej, za przeproszeniem, sir.

P: Słodka jak piołun. I co dalej?

O: Po chwili usłyszałem toczące się kamienie, to wracał Dick znad strumienia, z tego miejsca, gdzie był Jego Lordowska Mość, i zrobił znak, który źle wróżył, bo to były diabelskie rogi.

P: Pokaż.

O: O tak, sir.

P: Zapisz, mały palec i wskazujący wyprostowane, a środkowe przygięte kciukiem. Nigdy nie widziałeś takiego znaku przedtem?

O: Powiadają, że to jest pozdrowienie czarownic, sir. Tak wierzyliśmy, kiedy byłem małym chłopcem. Choć myśmy używali go, żeby kogoś wyśmiać, czy z niego zażartować, jakby mówiąc: do diabła z tobą. Ale Dick na pewno nie zrobił go dla żartu.

P: A potem?

O: A potem Jego Lordowska Mość zbliżył się do Louise i ona wstała, chwilę rozmawiali, ale nic nie słyszałem. Wtedy razem z nim podeszła do Dicka, który wziął ją na ręce i przeniósł przez strumień, żeby sobie nie zmoczyła pantofli. Następnie przeszedł Jego Lordowska Mość i zaczęli iść pod górę na to wzniesienie, na którym przedtem był Dick.

P: Czy Jego Lordowska Mość był zadowolony z powrotu Dicka?

O: Tego nie mogłem widzieć, jego twarz była zasłonięta gałęziami. On nie zrobił żadnego znaku. Ale kiedy przyszedł, żeby zabrać Louise i rozmawiał z nią, wydawał mi się jakiś bardziej ożywiony.

P: Okazywał niecierpliwość?

O: Tak, sir. Jakby chciał ją zachęcić do zrobienia czegoś. I zauważyłem, że podniósł pelerynę z kamienia i trzymał ją, żeby ona założyła, ale nie chciała, więc ją przerzucił sobie przez ramię, jak przystało na służącego. Mnie się to wydało dziwne, ale tak było.

P: Czy miała na głowie swoją majową koronę?

O: Wtedy nie, sir, ale niosła ją w ręce.

P: Opowiadaj dalej.

O: I znowu, sir, nie wiedziałem, co mam robić. Bo przecież musieli wrócić, ponieważ zostawili konie, i nie mogli odejść daleko, a mój koń był niżej w lesie, niezbyt dobrze schowany, i mogli go zauważyć, wracając z powrotem, i domyślić się wszystkiego.

P: Tak, tak. I poszedłeś za nimi?

O: Poszedłem, sir. Pierwsze dwieście kroków było stromo i bardzo nierówno, raczej gruzowisko niż ścieżka, ale potem już lepiej, choć nadal trudno.

P: Zbyt stromo dla konia?

O: Nasz walijski kuc by tamtędy przeszedł, ale żaden z waszych ciężkich koni. Doszli do miejsca, gdzie przedtem stał Dick, ale ja się bałem podnieść, bo mogli mnie zobaczyć, i się przekonałem, że patrzę na tę drugą część lasu, o której mówiłem.

P: W jakim kierunku?

O: Chyba na zachód lub północny zachód. Po lewej stronie, jak szedłem. I zobaczyłem, że tam nie ma już drzew, tylko trochę karłowatych kolczastych krzewów, a wyżej murawa i wysoka paproć, potem skalisty kawałek dochodzący jakby do niecki z wodą przypominającej kosz na ryby z płaskimi brzegami, a z północnej strony to była tylko skała.

P: A co z tymi, których śledziłeś?

O: Byli ode mnie wyżej, jakieś trzysta, czterysta kroków, sir, blisko tej niecki, o której mówiłem, jednak z miejsca, gdzie leżałem, nie widziałem ani wody, ani dna. Ale tam, sir, nie powiedziałem jeszcze najważniejszego, zauważyłem, że nie byli sami.

P: Jak to nie byli sami?

O: Najpierw pomyślałem sobie, że spotkali się z tą damą, którą Jego Lordowska Mość tak bardzo chciał poślubić, bo ta kobieta stała nieco wyżej od nich, a oni przed nią uklękli.

P: Uklękli, powiadasz?

O: Tak, sir. Z całą pewnością. Ukłękli wszyscy, pierwszy Jego Lordowska Mość z kapeluszem w rękę, a Dick i Louise ze dwa kroki za nim, klęczeli jak przed jakąś królową.

P: Jak ta kobieta wyglądała?

O: Wasza czcigodność, to było daleko i ja mogłem tylko spoglądać od czasu do czasu, bo ona patrzyła w moim kierunku, tam gdzie leżałem ukryty. Dokładnie nie potrafię powiedzieć, tylko tyle, że była całkiem dziwacznie ubrana, w coś srebrzystego, bardziej jak męczyzna niż kobieta, bo nosiła obcisłe spodnie i bluzę, nic więcej, ani peleryny, ani płaszcz, ani czapki lub kapelusza.

P: Nie widziałeś konia czy jakiejś osoby towarzyszącej?

O: Nie, sir, była sama.

P: Jak się zachowywała? Jakbyś to określił?

O: Jak ktoś, kto czeka, sir.

P: Czy coś mówiła?

O: Ja przynajmniej tego nie zauważyłem.

P: Jak daleko od niej byli?

O: Może trzydzieści, czterdzieści kroków, sir.

P: Czy była ładna?

O: Tego nie mogę powiedzieć, sir, przecież ja byłem od niej o dobre czterysta kroków. Była średniego wzrostu i tuszy, miała proste, ciemne, luźno rozrzucone włosy, jasną twarz.

P: Czy wyglądała jak stęskniona oblubienica, która wita dawno oczekiwanego kochanka?

O: Wcale nie, sir, i co najdziwniejsze oni klęczeli bez ruchu.

P: Czy widziałeś wyraz jej twarzy? Czy się uśmiechała, sprawiała wrażenie wesołej?

O: Wasza łaskawość, to było zbyt daleko.

P: Jesteś pewien, że to była kobieta?

O: Tak, sir, i wtedy pomyślałem, że pewno się przebrała, żeby uciec stamtąd, gdzie mieszkała, w strój odpowiedni do konnej jazdy, chociaż żadnego konia nie dostrzegłem. Ale, jak już powiedziałem, to nie było ubranie, jakie się nosi do konnej jazdy, tylko błyszczące, srebrzyste, jakby z jedwabiu.

P: Dowiem się, co to było. Powiedz, czy później dowiedziałeś się czegoś więcej o tej kobiecie?

O: Powiem, sir, i jeszcze to, że powinna nosić strój czarny jak noc, a nie srebrzysty.

P: Dobrze, to we właściwym czasie, którego jeszcze będziesz mieć dziś sporo. Co dalej?

O: Nie mogłem podejść bliżej, sir. Nie było żadnej osłony. Gdyby któreś z nich się odwróciło, z pewnością by mnie zobaczyli. Pomyślałem, że może trochę się cofnę i znajdę drogę do tego górnego lasku i tam przejdę niepostrzeżenie gdzieś powyżej tej niecki, nad którą przedtem stali. I tak zrobiłem, sir, choć pokaleczyłem sobie ręce i podarłem ubranie, a zajęło mi to więcej czasu, niż myślałem. Było tam tyle miejsca co dla wiewiórki, a nie dla dorosłego mężczyzny. Ale jakoś się zmieściłem i zobaczyłem, że ten lasek pnie się aż do odsłoniętej góry, jak przypuszczałem. Tam zacząłem biec, zostawiając poniżej lasek. Potem musiałem przykłęknąć i zacząłem pełznąć na brzuchu, sir, i znalazłem dobre miejsce wśród czarnych jagód na krawędzi skały, gdzie sobie leżałem jak na galerii w Drury Lane, mając świetny widok przed sobą, jak wrona w rynsztoku albo mysz w słodowni.

P: Dlaczego zamilkłeś?

O: Żeby prosić, sir, o uwierzenie na zapas w to, co teraz powiem. To będzie coś jak teatr, jak najbardziej fantastyczna sztuka, kiedykolwiek grana, nie, znacznie więcej.

P: Nie uwierzę w nic na zapas. Mów!

O: Myślałbym, sir, że leżę w łóżku i śnię, gdyby słońce nie grzało mnie w plecy i gdybym tak mocno nie oddychał po tym moim biegu.

P: Do diabła, z twoim oddychaniem. Mówże, człowieku!

O: Staram się, jak mogę, sir. Na dalszym krańcu tej niecki była kamienna skarpa, wysoka jak dom, spadająca aż do równiny. U jej podnóża, czego nie mogłem widzieć z poprzedniego miejsca obserwacji, zobaczyłem wejście do jaskini. Na pewno używali jej pasterze, sir, bo z jednej strony na ziemi leżał połamany płotek i zobaczyłem także przed tym wejściem miejsce, gdzie palili wielki ogień i trawa była czarna. Bliżej mnie znajdowała się mała sadzawka, ktoś pogłębił strumyk i przegrodził ziemną groblą, a na brzegu tej sadzawki stał wysoki głaz, choć nie tak wysoki jak te w Stonehenge, ale wysokości człowieka, jakby znacząc to miejsce.

P: Czy widziałeś tam owce?

O: Nie, sir. Tutaj pewno tak samo jak u nas w Walii, czeka się do końca maja, żeby wypuścić owce na pastwisko, bo nikt nie chce ryzykować stada, dopóki jagnięta

nie nabiorą sił.

P: Czy widziałeś Jego Lordowską Mość?

O: Pewnie, że tak. Dicka również. Stali obaj przy kamieniu, plecami do mnie i patrzyli na jaskinię o sto kroków od nich, jakby czekając, że ktoś z niej wyjdzie.

P: Jak daleko to było od ciebie?

O: Ze dwieście kroków, sir. Na odległość dobrego strzału z muszkietu.

P: A dziewczyna?

O: Klęczała przy sadzawce, na pelerynie leżącej na brzegu, umyła twarz, a potem wytarła ją rąbkiem peleryny. Klęczała tak wpatrzona w wodę, a jej wianek leżał obok niej.

P: A ta czwarta osoba, ta, którą widziałeś, będąc niżej, która była ubrana jak mężczyzna?

O: Jej nie widziałem. Może weszła do jaskini, żeby się przebrać. Jego Lordowską Mość odwrócił się i zrobił kilka kroków, potem wyjął zegarek z kieszonki, otworzył kopertę, a ja pomyślałem: Dawidku kochany, coś spaliło na panewce, coś się nie udało, on się niecierpliwi. Potem zaczął chodzić, jakby zamyślony. Było tam płasko, rosła gęsta murawa dobra nawet do grania w kule. I tak trwało prawie przez kwadrans. Dick ciągle wpatrywał się w jaskinię, Louise siedziała na trawie, wyglądali trochę jak troje ludzi, którzy nigdy się nie spotkali i nie rozmawiali ze sobą, a każde miało inne zamiary.

P: Do rzeczy.

O: Wreszcie Jego Lordowską Mość raz jeszcze spojrział na swój zegarek na dewizce. I wtedy nadeszła chyba oczekiwana godzina, podszedł do Dicka, położył mu rękę na ramieniu, jakby mówiąc: już czas.

P: Która to była wedle ciebie?

O: Może wpół do jedenastej, sir, ale nie więcej. Teraz Jego Lordowską Mość podszedł do Louise, coś do niej powiedział, a ona spuściła głowę, jakby nie chciała tego zrobić, co życzył sobie Jego Lordowską Mość. Nie słyszałem, co mówili, tylko ich głosy, bo mówili cicho. Jasne było, że nie ma ochoty słuchać tego, co on chciał, gdyż chwycił ją za rękę, jakby z powodu jej ociągania stracił do niej cierpliwość, i zaprowadził tam, gdzie stał Dick. Ona chciała wziąć swoją pelerynę, ale on ją wyrwał z jej ręki i rzucił koło kamienia, przy którym stali, potem zauważył, że zostawili wianek z kwiatów na trawie, i dał znak Dickowi, żeby go przyniósł, co on uczynił, i włożył jej na głowę. Wtedy Dick wziął ją za rękę, odwracając się w stronę jaskini, jakby byli

młodą parą przed wejściem do kościoła w dniu swego ślubu. I ręka w rękę zaczęli iść po murawie w kierunku jaskini, sir, Jego Lordowską Mość z tyłu. Tak dziwacznej procesji w życiu pan nie widział, sir. Ale nagle przestała być dziwaczna, a stała się okropna, sir. Bo ona omal nie upadła, odwróciła się i klęcząc, spojrziała w górę na Jego Lordowską Mość, jakby błagała o łaskę. Wydawało mi się, że płacze, jednak byłem zbyt daleko, więc nie jestem pewien. Ale on na to nie zwrócił uwagi, błyskawicznie wyciągnął szpadę i ostrze przytknął do piersi nieszczęsnej dziewczyny, jakby mówiąc: Stracisz życie, jeśli mnie teraz zawiedziesz.

P: Ty niegodziwco, to brednie, wszystko sobie wymyśliłeś.

O: Na Boga przysięgam, że tak było, sir. Czy ośmieliłbym się mówić coś takiego, w co wiem, że pan nie uwierzy?

P: Wyciągnął na nią szpadę? Jesteś tego pewien?

O: Daję słowo.

P: Czy coś mówił?

O: Ja tego nie słyszałem, sir. Dick znów ją podniósł i zaczęli iść. Jego Lordowską Mość z tyłu, ze szpadą w ręku, choć ją teraz spuścił ostrzem do dołu, a potem znów podniósł, jakby się bał, że dziewczyna znów będzie nieposłuszna. No, i znaleźli się u wejścia do jaskini, i znów wydarzyło się coś niezwykle dziwnego, sir. Bo nim weszli, Jego Lordowska Mość podniósł rękę, zdjął kapelusz i przycisnął go do swej piersi, tak jakby wchodzili do jakiejś wielkiej osoby, przed którą Jego Lordowska Mość musi być z odkrytą głową. Sir, żałuję, że pan kazał mi opowiedzieć sobie wszystko. Ale tak było naprawdę.

P: Jesteś pewien, że zrobił to, jakby chciał okazać szacunek?

O: Tak pewien, jak pana teraz widzę, sir.

P: A potem?

O: Weszli do środka, sir, i nie widziałem nic więcej. Po długiej chwili, takiej, że można było policzyć do dwudziestu, usłyszałem ze środka stłumiony dźwięk, krzyk kobiety. Był stłumiony, ale go słyszałem.

P: Krzyk dziewczyny?

O: Tak, sir. I przeniknął mnie do szpiku kości, bo pomyślałem, że zostało dokonane morderstwo. Choć teraz wiem, że tak nie było.

P: Duża była ta jaskinia?

O: Niska z jednej strony, wysoka z drugiej. Duży towarowy wóz mógłby wjechać do środka i byłoby jeszcze miejsce.

P: Czy widziałeś, co jest w środku?

O: Nie, sir, tylko tam, gdzie sięgały promienie słoneczne. Dalej była czarna noc.

P: Nie widziałeś tam nikogo, żadnej postaci, żadnego ruchu?

O: Nie, sir. Choć zapewniam, że patrzyłem z całym natężeniem. Nic przez długie godziny czekania. Panowała cisza, jakby się nic nie wydarzyło z tego, co widziałem. Ale przecież tak było, bo przy kamieniu leżała peleryna.

P: Czyś nie zszedł niżej, żeby się rozejrzeć?

O: Nie odważyłem się, sir, zbyt byłem przerażony. Zobaczyłem jakąś niegodziwość w Jego Lordowskiej Mości, jakieś złe zamiary, za pańskim przeproszeniem. Na dodatek w niecałe pół godziny, jak tam weszli, nadleciały dwa wielkie czarne kruki z młodymi i usiadły na skale górującej nad tą jaskinią, i podniosły wielką wrzawę, jakby się z czegoś cieszyły albo kogoś wyśmiewały. Ja tam wiem, że zapowiadają śmierć, nigdy nic dobrego, a zmyślniejsze są od wszystkich ptaków. Przynajmniej tak ludzie wierzą w mojej ojczyźnie, wasza czcigodność.

P: Daj spokój z tymi głupstwami. I nie marnuj czasu po próżnicy. Czy Jego Lordowska Mość wyszedł?

O: Ja tego nie widziałem.

P: Musiałeś przecież widzieć!

O: Nie, sir. Czekałem prawie przez cały dzień i wreszcie najpierw wyszedł Dick, a potem ona, ale on nie wyszedł. Pan musi mi uwierzyć, sir. Po raz ostatni na własne oczy widziałem Jego Lordowska Mość, kiedy wchodził do jaskini.

P: No, to mów, kiedy Dick i dziewczyna wyszli?

O: Dopiero nad wieczorem, sir, na godzinę przed zachodem słońca. A ja przez cały ten czas czekałem, nie wiedząc, co robić, bo słońce paliło i nie miałem wody, żeby ugasić pragnienie, nic też do jedzenia, a całe moje śniadanie, to był kawałek czerstwego chleba, a ja nie pomyślałem, żeby resztę tego chleba zabrać, i kawałek sera, który miałem w jukach. A moja biedna walijska dusza coraz bardziej potrzebowała jedzenia. Dobry Boże, oddałbym też prawą rękę za trochę piołunu albo słodkiego dzięgla, żeby mnie chroniły przed złymi mocami.

P: Przestań gadać o swoich cierpieniach, teraz ochrony potrzebuje twoja kłamliwa głowa. Jak to było z tym ich wychodzeniem?

O: Zaraz powiem, obiecuję, ale najpierw muszę powiedzieć o jeszcze jednej dziwnej rzeczy, którą nie od razu dojrzałem. To był niewielki dym, który się unosił z trawiastego miejsca nad jaskinią, jakby z pieca do wypalania wapna, choć nie

widziałem komina. Jakby jakiś ogień wydostawał się z wnętrza przez dziurę albo pęknięcie aż na zbocze nad skałą, gdzie siedziały kruki.

P: Płomienie widziałeś?

O: Nie, sir, tylko słaby dym, i czasem mi się wydawało, że go nie ma, i potem znów się pokazywał. Od czasu do czasu czułem także jego zapach, wcale mi się nie podobał, choć leżałem tak daleko, że ledwie go czułem.

P: Czy to było palące się drewno?

O: Raczej nie, sir, chyba że z jakąś paskudną domieszką. Taki zapach czułem nieraz w garbarni, woń jakichś zagranicznych soli i olejków. I powiem więcej, sir. Od czasu do czasu dobiegał moich uszu taki dźwięk jak pszczelego roju, najpierw bliski, a potem bardzo słaby, jakby się oddalał. Ale tam, gdzie leżałem, nie widziałem żadnej pszczoły, tylko trzmielce, a i to mało, ponieważ blisko mnie nie było dużych kwiatów, tylko takie drobniutkie.

P: Ten dźwięk dobiegał z jaskini, powiadasz?

O: Tak. Najgłośniejszy był zaledwie szeptem, ale jednak wyraźnie go słyszałem.

P: Co zamierzałeś zrobić?

O: Wtedy jeszcze nic, sir. Byłem jak zaczarowany. Chciałem odejść, ale nie mogłem.

P: Dlaczego powiedziałeś „wtedy”?

O: Bo to było, sir, nim rozmawiałem z Louise. Potem dowie się pan o czym.

P: Doskonale. A teraz słuchaj, dałeś słowo, że tego dnia ani razu nie opuściłeś swojej kryjówki, czy to prawda?

O: Dwa razy, sir, i za każdym razem nie dłużej niż na pięć minut, żeby zobaczyć, czy nie znajdę jakiejś wody, i żeby wyprostować nogi, bo leżałem nieruchomo, a ziemia była bardzo twarda. Przysięgam, ani razu więcej, a jak wróciłem na swoje miejsce, wszystko było jak poprzednio.

P: Przecież poprzedniej nocy mało spałeś. Nie przysnąłeś trochę?

O: Nie, sir. Tam nie można było spać, zapewniam pana.

P: Jones, ja chcę prawdy. Trudno byłoby obwiniać cię o to, żeś uległ zmęczeniu i okolicznościom i zasnął.

O: Może raz i drugi zapadłem w krótką drzemkę, sir, tak jak to bywa na koniu. Ale to nie był normalny sen, na Boga.

P: Wiesz, do czego zmierzam, człowieku. Czy zaprzeczysz, że ktoś mógł wyjść z jaskini i tyś go nie widział?

O: To niemożliwe, sir.

P: Możliwe. Sam wyznałeś, że dwukrotnie odchodziłeś. I ani razu nie drzemałeś?

O: Tak, sir, ale bardzo krótko. A pan jeszcze nie słyszał, co mi powiedziała Louise.

P: No, to gadaj.

O: Jak już mówiłem, cienie się wydłużyły i zaczęły pełznąć po murawie, a ja miałem jeszcze większy cień w mózgu, bo czułem, że musiało się stać coś okropnego, przecież inaczej wyszliby już dawno ze środka, a ja wiedziałem, że niedługo muszę odjechać, bo za żadne skarby nie zostałbym sam w ciemnościach. Najpierw chciałem wracać tam, gdzie nocowaliśmy, i opowiedzieć wszystko sędziemu. Ale zaraz pomyślałem, sir, jaka byłaby to niesława dla czcigodnego rodzica Jego Lordowskiej Mości, gdyby się to stało publicznie wiadome, i że powinienem znaleźć jakiś sposób, żeby mu powiedzieć to prywatnie i żeby on wtedy działał po swoim uważaniu.

P: Do rzeczy.

O: Kiedy tak leżałem ukryty jak królik w norze, nie wiedząc, co robić, nagle wybiegł Dick, z twarzą tak zmienioną, jakby miał jakiś atak, przerażony i po kilku krokach upadł na twarz, jakby się pośliznął na lodzie, ale natychmiast się zerwał i ze strachem obejrzał w tył, jakby widział coś, czego ja nie widziałem, a co było tuż za nim, otworzył usta jak do krzyku, ale się nie wydobył żaden dźwięk, i znowu zaczął biec, jakby ze wszystkich sił chciał uciec od czegoś, co tam było wewnątrz. I dalej biegł, wasza czcigodność musi mi wierzyć, tak szybko, że zdawało się, iż znikł, ledwie się pokazał, na tej drodze, którą przyszli. A ja leżałem na górze, nie wiedząc, czy mam biec za nim, i w ogóle co mam robić. Przecież biegł tak szybko, że nigdy bym go nie dogonił. No, więc pomyślałem, Dawidku, przegapiłeś tę pierwszą szansę, trudno, będą jeszcze inne, ale teraz musisz poczekać; a potem znów pomyślałem, że być może Dick pobiegł, żeby przyprowadzić konie, i zaraz wróci, i że za żadne skarby nie opuszczę mego miejsca, sir, i nie zaryzykuję spotkania z nim, z tym niebezpiecznym desperatem, do tego znacznie silniejszym ode mnie. Toteż nic nie zrobiłem i dalej leżałem.

P: Czy on wrócił?

O: Nie, sir, i nigdy więcej go nie widziałem. Nie wątpię, że uciekł, żeby się powiesić. Muszę powiedzieć waszej czcigodności, że miał taką minę, ciągle ją widzę, jak wariat z Bedlam, który nie wie, co robi, i tak długo biegnie, aż padnie, jakby

wszystkie piekielne psy gonily go albo i gorzej.

P: Powiedz wreszcie, co z dziewczyną?

O: Zaraz to zrobię, sir. Nie od razu wyszła, minęło pół godziny albo i więcej, i znowu nie wiedziałem, co mam robić, i słońce już przypełzło do wejścia jaskini, a ja przedtem postanowiłem, że pójde sobie, jak tam dotrze. I nagle ona wyszła, ale nie tak jak Dick, lecz bardzo wolno, jak ktoś, kto idzie we śnie albo całkiem ogłuszony. Widziałem kiedyś ludzi, co wyszli po wybuchu w fabryce prochu, i nie mogli z początku wykrztusić ani słowa z powodu przerażenia i nagłości tego, co się stało. Szła po murawie, wasza czcigodność, jakby w oszołomieniu, jakby nic nie widziała, była oślepią. I nie miała na sobie sukni, sir, była naga, jak w dniu, kiedy się urodziła.

P: Nic na sobie nie miała?

O: Nie, sir, ani koszuli, ani pończoch, ani pantofli, była jak Ewa przed upadkiem, gołe piersi, ramiona i nogi, wszystko gołe, z wyjątkiem tego, co u kobiety nie jest gołe, chodzi mi, za przeproszeniem waszej czcigodności, o jej czarne piórka. Nagle się zatrzymała i podniosła ramiona do oczu, najwidoczniej była oślepią światłem, choć słońce stało nisko. Potem odwróciła się do wejścia do jaskini, padła na kolana, jakby dziękując Bogu za swoje uwolnienie.

P: Czy ręce złożyła jak do modlitwy?

O: Nie, sir, spuściła głowę, a ręce jej zwisały bezwładnie po bokach. Jak ukarane dziecko, które prosi o przebaczenie.

P: Czy na jej ciele widać było jakieś rany albo inne nienaturalne ślady?

O: Nic takiego nie zauważyłem, sir, kiedy się modliła, widziałem tylko jej białe plecy i pośladki niezbyt duże, jak się można było spodziewać.

P: Czy sprawiała wrażenie cierpiącej?

O: Wyglądała, jakby ją poraził piorun. Wszystkie jej ruchy były bardzo powolne, jakby wypila jakiś odurzający napój.

P: Czy sprawiała wrażenie, że się boi pościgu?

O: Nie, sir, co po Dicku wydało mi się dziwne. Ona po chwili wstała, jakby odzyskując zmysły, i już mniej oszołomiona przeszła do kamienia przy sadzawce, wzięła pelerynę, która tam leżała przez cały dzień, okryła swoją nagość, jak ktoś, komu jest bardzo zimno i musi się ogrzać, choć było jeszcze ciepło, mimo dość późnej godziny. I tam znowu ukłękła przy sadzawce, sir, wzięła trochę wody w dłonie i napiła się, a potem przetarła sobie wodą twarz. I to wszystko, sir. Bo potem poszła boso tą samą drogą co Dick, tą, którą przybyli tu rano.

P: Czy się śpieszyła?

O: Teraz szła szybciej, sir, raz się obejrzała na wejście do jaskini, jakby się już obudziła i jakby się obudził w niej lęk. Jednak nie biegła, więc chyba nie była naprawdę przerażona.

P: A ty?

O: Poczekalem z minutę, sir, żeby zobaczyć, czy nie wyjdzie Jego Lordowska Mość. Ale nie wyszedł. I wasza czcigodność może mieć mi to za złe, że jak dzielny bohater powinienem był wejść do jaskini. Ale ja taki nie jestem, sir, nawet nie udaję tego. Po prostu nie mogłem.

P: Nie udajesz, ty tchórze? Nie udajesz? Krótko mówiąc, ty walijski tchórze, pobiegłeś za dziewczyną, czyż nie było tak? Nieodrodny syn swego narodu. Czy dogoniłeś ją?

O: Dogoniłem, sir, i wszystkiego wysłuchałem. Co nie będzie miłe dla uszu waszej czcigodności, ale ja nie powiem nic innego niż to, co ona sama powiedziała. I dlatego od razu proszę o przebaczenie.

P: Ale go nie otrzymasz, jeśli cię przyłapię na kłamstwie. A teraz, Jones, zjesz sobie obiad i dobrze go przeżujesz. Jeśli to wszystko fałsz, trup z ciebie. Zatem idź, mój kancelista zabierze cię na dół i potem przyprowdzi tu z powrotem.

Ayscough sący swoją leczniczą miksturę (piwo zmieszane z niedawno wspomnianym środkiem przeciwko czarownikom i diabłu, czyli piołunem), a Jones je obiad tam, gdzie przynależy, czyli poniżej, w ciszy, z której po raz pierwszy w życiu jest rad. Gwałtowna szowinistyczna pogarda prawnika dla świadka jest po prostu zasadą i niewiele ma wspólnego z walijskością biednego Jonesa. W owym czasie społeczeństwo, mimo swego szacunku i służalczości dla tytułu i rangi, było ponad pewien poziom względnie płynne, przy odrobinie szczęścia i przy pewnej dozie talentu ludzie całkiem nisko urodzeni mogli nabrać znaczenia w świecie i stać się wybitnymi jednostkami: duchownymi, uczonymi w Oxfordzie lub w Cambridge, jak pan Saunderson, syn akcyźnika, zamożnymi kupcami, prawnikami takimi jak Ayscough (najmłodszy syn skromnego i dalekiego od bogactwa plebana na północy kraju), poetami (Pope był synem płóciennika), filozofami i tak dalej. Jednak poniżej tego poziomu społeczeństwo było postrzegane jako statyczne, nie miało nadziei. W oczach tych znajdujących się wyżej los każdego człowieka był ustalony od dnia jego narodzin.

Rzeczą najdroższą wtedy sercu angielskiego społeczeństwa, w najmniejszym

stopniu nie pozwalającą na jakiegokolwiek zachwianie owego poziomu, było uwielbienie, jeśli nie wręcz bałwochwalcza miłość, własności. Przeciętny Anglik w tym czasie powiedziałby zapewne, że narodową opoką jest Kościół anglikański, jednak prawdziwa religia kraju tylko pozornie tkwiła wewnątrz tej ospałej instytucji. Bardziej polegała na głębokim poszanowaniu prawa do własności: to łączyło całe społeczeństwo, z wyjątkiem tych na samym dole, i dyktowało mu, jak ma się zachowywać, jakie wyznawać opinie, jak myśleć. Dysydenci mogli być odsunięci od wszystkich wybieralnych i publicznych stanowisk (co obracali na swoją korzyść, przodując w przemyśle i handlu); jednak ich własność była tak samo święta jak innych ludzi. Mimo swych poglądów wielu z nich stopniowo skłonnych było tolerować Kościół anglikański, pod warunkiem, że chronić będzie prawa i trzymać w szachu cieszącego się złą sławą wroga z tego innego odłamu, przeklętych papistów i jakobinów. To, co naprawdę zdaniem narodu musiało być zachowane za wszelką cenę, to raczej nie teologia Kościoła anglikańskiego, lecz prawo do własności i jej ochrona. Prawo dotyczące wszystkich, poczynawszy od skromnego właściciela domu aż do wielkich majątków należących do wigowskich magnatów, którzy w dziwnym aliansie z City, zamożnymi dysydentami i zgromadzeniem biskupów w znacznej mierze kontrolowali kraj, o wiele bardziej skutecznie niż król i ministrowie. Mogło się zdawać, że to Walpole dzierży całą władzę, podczas gdy on raczej był sprytnym rejestratorem tego, czego żądał od niego naród.

Pomimo wzrastającej handlowej prosperity tego wieku własność nadal pozostała o wiele bardziej cenioną inwestycją niż przedtem kompanie i akcje. Afera z South Sea Company w 1721 roku poważnie zachwiała zaufanie do tej ostatniej metody pomnażania pieniędzy. Można przypuszczać, że ta ogólna obsesja posiadania powinna była osłabnąć z powodu parlamentu, nad wyraz przestarzałych praw dotyczących posiadania własności, nabywania jej na zasadzie koszmarnie zawilego i przewlekłego systemu Sądu Lorda Kanclerza (którego prawa pokonały nawet największych współczesnych ekspertów). Wszak wcale tak się nie stało: miłość do własności starła się z innym wielkim credo osiemnastowiecznej Anglii, którym było przekonanie, że zmiana nie prowadzi do postępu, lecz do anarchii i katastrofy. *Non progredi est regredi* głosiło przysłowie, z którego wcześni georgianie opuszczali słowo *non*. Dlatego też większość zwała wówczas siebie wigami, lecz byli oni torysami we współczesnym tego słowa znaczeniu, to znaczy reakcjonistami. Dlatego właśnie wigowie i torysi, konformiści i dysydenci, czyli ci wszyscy powyżej linii podziału

obawiali się tłumu, bowiem tłum groził politycznym przewrotem i zmianą, a co najgorsze – zagrażał własności. Narzędziem, które miało temu przeciwdziałać poprzez urzędy i milicję, była uchwała o zamieszkach z 1715, której treść stała się wręcz święta; oczywiście kryminalne prawo angielskie, barbarzyńskie w swej brutalności, nadal obowiązywało, nadmiernie karząc każdego, kto naruszył świętość własności w jakikolwiek sposób, nawet przez drobną kradzież. „Wieszamy ludzi z powodu drobiazgów i skazujemy na wygnanie (zapowiedź wysłania skazańców do Australii i Ameryki) z powodu rzeczy nie wartych nazwania” – powiedział Defoe w 1703. Jednak prawo karne miało jedną zbawczą zaletę. Nie dysponując siłami policyjnymi, żeby je egzekwować, miało bardzo nikłe szanse, żeby wykryć przestępstwo czy aresztować winnego.

Sama profesja prawnicza, bezpiecznie ukryta w labiryncie specjalistycznej wiedzy (alias wielomówności), obrośnięta nie kończącymi się odroczeniami, co było okazją, by ściągać opłaty związane nieodłącznie z ówczesnym systemem, wciąż utrzymywała wyjątkowo mocną pozycję. Najdrobniejsza niedokładność w formalnym dokumencie mogła w wielu sądach doprowadzić do jego odrzucenia i unieważnienia. Dokładne przestrzeganie rytuału procedury miało swoje uzasadnienia, dlatego można by wyżej cenić osiemnastowieczną dokładność, gdyby nie fakt, że zawsze sprzyjała ona kieszeni prawników. Wielu z nich w czasach Ayscougha stało się prosperującymi pośrednikami w handlu nieruchomościami i zarządcami majątków dzięki umiejętnemu operowaniu fachowym językiem oraz znajomości archaicznych procedur; potrafili też wyszachrować (często dzięki łapówkom) wyrok *ex parte* lub w inny sposób rażąco stronniczy, jak również zawładnąć czyjąś własnością, nie dopuszczając do niej tych, którzy mieli do niej bezsporne prawo.

Ayscough zaliczał się właśnie do tej ostatniej kategorii jako zaufany człowiek, prowadzący sprawy swego pana – księcia. Był również adwokatem (kimś zupełnie innym od zwykłego prawnika), mającym prawo występowania w sądach wyższej instancji, i należał do gatunku wówczas powszechnie znienawidzonego i pogardzanego przez ludzi nie należących do branży, którzy całkiem słusznie uważali, że adwokaci o wiele bardziej zabiegają o własne bogacenie się niż o ostateczne załatwienie spraw sądowych. Ojciec Ayscougha był plebanem w Croft, małej wsi pod Darlington, w północnym hrabstwie York, należącej do sir Williama Chaytora, zbiedniałego baroneta, który ostatnie dwadzieścia lat swojego życia miał spędzić (zmarł w 1720) w osławionym londyńskim więzieniu dla dłużników – Fleet. Dopiero

w zeszłym roku została opublikowana szeroka korespondencja oraz inne papiery rodziny sir Williama i są one doskonałą ilustracją tego aspektu prawa. Musiał on obciążyć hipotekę swego majątku ponad wszelką nadzieję na odzyskanie go. W więzieniu, podobnie jak wielu innych, stał się jeszcze bardziej bezbronną ofiarą prawników niż samego prawa. Był klasycznym przykładem, ile nieszczęść potrafią oni spowodować. Ostatecznie jednak wygrał sprawę, a opis jego rozpaczliwej walki z przedstawicielami tej profesji dotrwał do naszych czasów.

Obecne śledztwo wykraczało oczywiście poza normalne obowiązki Ayscougha, do których należało: kupowanie nieruchomości, przyznawanie dzierżaw, ściganie dłużników, dozorowanie remontów, sprawy związane z ubezpieczeniami, przejmowanie na rzecz właściciela należności pieniężnych i części dobytku po śmierci dzierżawcy, kontrola nad reparacją pługów i wozów, przycinaniem żywopłotów (i setki innych *casus belli* pomiędzy panem i dzierżawcą), poza tym takie manipulowanie w okręgach wyborczych, żeby przeszli kandydaci jego pana, krótko mówiąc, wypełnianie funkcji co najmniej sześciu współczesnych specjalistów. Nie doszedłby do stanowiska, które piastował, gdyby nie był zręcznym prawnikiem wedle wymagań swej epoki, jak również człowiekiem rozsądnie cywilizowanym, a przy tym sprytnym, który, jak mawiała madame Claiborne, wiedział, z której strony chleb jest posmarowany masłem. Przed chwilą cytowałem słowa Daniela Defoe z jego słynnej broszury *Jak się rozprawić z dysydentami*, napisanej całą generacją przedtem, wkrótce po śmierci Wilhelma III i wstąpieniu na tron królowej Anny. Rządzili wtedy torysi, a w Kościele anglikańskim przeważało nastawienie reakcyjne. Defoe zażartował sobie i choć sam miał nastawienie dysydenckie, udał, że pisząc, jako jeden z nich proponuje bardzo proste rozwiązanie: powiesić wszystkich dysydentów albo zesłać ich do Ameryki. Dowcip nie wypalił, ponieważ niektórzy torysi pojęli dosłownie to drakońskie rozwiązanie i ogłosili, że jego koncepcja jest znakomita. Defoe drogo za to zapłacił, został skazany na pręgierz (wśród wiwatujących tłumów, które piły jego zdrowie) i uwięziony w Newgate. Źle ocenił poczucie humoru swoich prawdziwych wrogów, torysów ekstremistów w Kościele i Parlamencie. Jedną z jego ofiar był młody Ayscough, który wtedy sprzyjał torysom. Uczciwie trzeba przyznać, że wieszanie uważał za środek zbyt drastyczny, ale popierał pomysł, żeby Anglia pozbyła się buntowniczych konwentykli i sekt, wysyłając wszystkich ich uczestników do wygodnego śmietnika, czyli Ameryki. Wraz z upływem lat okoliczności i kariera zrobiły z niego wiga, ale pamięć o sztuczce Defoe, żeby wyciągnąć korniki z drzewa,

nie wywoływała jego uśmiechu, lecz nadal go jątrzyła.

Wszystkie odwieczne i ustalone zawody muszą się opierać na milczących przesądach, toteż Ayscough był przez nie tak samo uwięziony jak każdy dłużnik w więzieniu Fleet przez prawo. Jones był i musiał pozostać poniżej wytyczonej linii, jego „wyrok” nigdy nie miał się zmienić, na zawsze pozostał statyczny. Już to, że przeniósł się z walijskiej nicości (w której urodzony powinien był umrzeć) do wielkiego angielskiego miasta, było niewyobrażalną zbrodnią, a nawet wedle „prawa dla ubogich” konkretną winą, ponieważ każda zmiana jest złem.

Jones jest kłamcą, człowiekiem, który żyje z dnia na dzień dzięki swemu sprytowi oraz służalczej uległości, wówczas kiedy musi zmierzyć się z taką potęgą, jaką reprezentuje Ayscough. Dumy nie posiada, zresztą nie może sobie na nią pozwolić. Jednak na wiele sposobów (nie tylko w tym będą go naśladować miliony ludzi pod koniec jego wieku, opuszczając wieś i prowincję, żeby się przenieść do miasta) on jest przyszłością, a Ayscough przeszłością, a obaj są tacy, jak my nadal dzisiaj, takie same ofiary więzienia za długi Historii, którego tak samo nie jesteśmy w stanie opuścić.

Dalsze zeznanie

DAWIDA JONESA

die annoque p'dicto

PYTANIE: Jones, pamiętaj, że złożyłeś przysięgę.

ODPOWIEDŹ: Tak, sir.

P: Wróćmy do dziewczyny.

O: No, więc, wasza czcigodność, pobiegłem z powrotem, tą drogą, którą przyszedłem, ale nie tak daleko, bo zszedłem z boczem, nim zaczęły się drzewa, w wielkim strachu, że mogę być zauważony, jeśli...

P: Zostaw ten swój wielki strach, to twój normalny stan. Czy ona była przed tobą?

O: Tak, sir, ale wkrótce dogoniłem ją, akurat w miejscu, gdzie ścieżka była stroma i schodziła do strumienia, i panował tam cień. Widziałem, że kuleje, i nie wie, biedactwo, jak stąpać gołymi stopami po ostrych kamieniach. A choć starałem się iść bardzo cicho, musiała usłyszeć hałas, gdyż się odwróciła. Nie była zdziwiona, ale raczej jakby oczekiwała pogoni, bo oczy miała zamknięte i płakała. Była biała jak śmierć, okropnie przerażona. Wiedziała, że nie zdoła uciec. No, to się zatrzymałem od niej o dwa może kroki i mówię: To tylko ja, dziewczyno, co ci dolega? Wtedy nagle otworzyła oczy i zobaczyła mnie, potem znowu je zamknęła i zemdlona upadła koło moich nóg.

P: Chcesz powiedzieć, że spodziewała się kogoś innego, kogo się tak ogromnie bała, a kiedy się przekonała, że to ty, poczuła ulgę?

O: Właśnie tak, sir. Zrobiłem, co mogłem, żeby odzyskała przytomność, nie mając przecież soli trzeźwiących ani nic takiego. Po chwili zobaczyłem, że mruga oczami, a potem jęknęła, jakby coś ją bolało. No, więc powiedziałem jej imię, i że przyszedłem, żeby jej pomóc. Wtedy dwukrotnie powiedziała, jakby nadal była w omdleniu, larwa, larwa.

P: Jaka znowu larwa?

O: Wasza czcigodność powtarza moje własne słowa. Jaka znowu larwa, powiadam, o czym mówisz? Czy to na dźwięk mego głosu, sir, czy wedle czegoś innego, nagle otworzyła oczy i rozpoznała mnie. Jak tu przyszedłeś, Farthing? spytała. Powiadam, nieważne jak, widziałem dziś rzeczy, które przekraczają moje zrozumienie. Jakie rzeczy? spytała ona. Widziałem wszystko, co stało się tam na

górze. Na co ona nic nie powiedziała. Potem mówię: Co się stało z panem Bartholomew? A ona mówi: Oni odeszli. Jak to odeszli, pytam, przez cały dzień obserwowałem wyjście z jaskini i nikt z niej nie wyszedł, oprócz ciebie i Dicka. A ona znowu mówi: Oni odeszli. To niemożliwe, powiadam. A ona po raz trzeci powtarza: Oni odeszli. I nagle siada z boku, bo dotąd ją podtrzymywałem, i mówi: Farthing, jesteśmy w niebezpieczeństwie, musimy stąd uciekać. W jakim niebezpieczeństwie? pytam. To czarnoksiężstwo, odpowiada. Jakie znowu czarnoksiężstwo? Nie mogę ci powiedzieć, mówi, ale jeśli przed zapadnięciem nocy nie oddalimy się stąd, to złe moce dopadną i nas. I wstaje i zaczyna iść znacznie szybciej niż przedtem, jakbym ją obudził z poprzedniego stanu, i teraz myślała tylko o swoim bezpieczeństwie. Ale kuśtyka znowu i nagle mówi: Pomóż mi, Farthing, błagam cię, znieś mnie na dół. I tak się stało, sir, zniosłem ją po tej stromiźnie w moich ramionach, aż do tego miejsca, gdzie była znów trawa koło strumienia i gdzie ona mogła już iść sama. Może pan na mnie teraz krzyżeć, że jej posłuchałem. Ale kiedy tam na górze rozejrzałem się wokoło, widziałem tylko cienie, pustkę i nadchodzącą noc. I pomyślałem też o tym szalonym Dicku, który nie wiedziałem, gdzie się znajduje.

P: Co ona takiego powiedziała najpierw? Larwa?

O: Dojdę do tego, sir. Opowiem wszystko.

P: Ich konie i bagaże były poniżej?

O: Tak, sir, i ona poszła prosto do nich jak po sznurku, bo ja zapomniałem, że juczna klacz była bez obciążenia, kiedy szedłem w tamtą stronę, i znalazłem jej tobolek i zwykłe rzeczy, potem kazała mi się odwrócić, aż się ubierze, zapięła też buciki, które zwykle nosiła, i nałożyła znów pelerynę. A choć zadawałem jej pytania, nie odpowiadała mi, dopóki się nie ubrała, a wtedy podeszła do mnie z tym tobołkiem i spytała, czy mam konia? Powiedziałem, że tak, niżej, jeśli nie został zczarowany. No, to chodźmy, powiedziała. Ale ja się nie zgodziłem, sir, wziąłem ją za ramię i powiedziałem, że muszę najpierw wiedzieć, co z Jego Lordowską Mością, i dlaczego Dick tak uciekał.

P: Tak mówiłeś? Jego Lordowską Mość?

O: Nie, sir, przepraszam bardzo. Tylko pan Bartholomew, jak go nazywaliśmy. Wtedy ona powiedziała: Poszedł sobie do diabła, Farthing. Zmusił mnie do popełnienia wielkiego grzechu, siłą, wbrew mojej woli. I dlatego przeklinam dzień, kiedy go zobaczyłam i jego służącego. Teraz ja pomyślałem sobie, że muszę jakoś wytłumaczyć moją tu obecność, a poza tym skłonić ją, żeby powiedziała coś więcej.

Więc mówię: Louise, muszę ci powiedzieć, że jestem tutaj potajemnie wysłany przez ojca pana Bartholomew, żeby pilnować jego syna i zawiadamiać go, co on robi, i że ten ojciec jest wielką osobistością w naszym kraju, tak więc pan Bartholomew jest znacznie kimś ważniejszym, niż udawał. Spojrzała na mnie z ukosa, jakby pytająco, a potem spuściła wzrok, jakby chciała powiedzieć: To nic nowego, wiem o tym dobrze. Więc dalej mówię: Dlatego musisz mi powiedzieć, co on zrobił, bo inaczej źle będzie z tobą. Na co ona: Wobec tego powiedz Jego Łaskawości, że jego syn ma do czynienia z rzeczami, za które zwykli ludzie są wieszani. Słowo w słowo tak powiedziała, sir, z wyjątkiem tego, że nie podała nazwiska Jego Łaskawości. No, to wiesz, że nie kłamię, odparłem. To ona mówi, że jeszcze więcej jest rzeczy hańbiących niby mego pana, a im mniej się o tym mówi, tym lepiej. Powiadam, piękne słowa, ale to ja mam mu powiedzieć je prosto w twarz i dlatego powiedz mi coś więcej, żebym mógł tego dowieść. Zmieszała się i rzecze: Zrobię to, ale najpierw musimy stąd odejść. A ja na ta: A co z twoją młodą panią, u której przedtem służyłaś? Znowu spuściła wzrok i mówi: Nigdy nie było żadnej młodej pani. Daj spokój, powiadam, nie jestem głupcem, widziałem ją dziś rano, kiedy byliście na górze. To nie była ona. O, jakbym chciała, żeby tak było. Musiałem ją teraz przycisnąć, więc mówię: Jeśli nie było młodej damy, to nie było także jej służącej. Nic na to nie odpowiedziała, tylko smutno potrząsnęła głową, jakby chciała powiedzieć, że nie przeczy temu. Więc mówię: Wydaje mi się, że cię już widziałem, przedtem, nim się po raz pierwszy spotkaliśmy, ale zachowałem to dla siebie. Czy nie byłaś jedną z owieczek madame Claiborne? Odwróciła się ode mnie i wyszeptała: O Boże, czy coś w tym rodzaju. Na to ja mówię, że muszę wiedzieć. Tak, odpowiada, wielce grzeszyłam i widzę teraz, dokąd mnie to zaprowadziło. Jak bardzo żałuję, że opuściłam mój rodzinny dom. No, to o co tu chodzi, pytam, jeśli nie o porwanie? O to chodzi, że mamy do czynienia z wielką niegodziwością, z szaleństwem, i błagam cię, Farthing, nie nalegaj więcej, tylko chodźmy stąd. Powiem ci wszystko, co wiem, tylko wreszcie chodźmy stąd. Bardzo dobrze, mówię, ale wprzód muszę wiedzieć, kiedy przyjdzie Jego Lordowska Mość. Nie dzisiaj wieczorem, powiada, a w ogóle nigdy aż do końca świata, i nic mnie to nie obchodzi. Mów wyraźnie, powiadam. On został tam na górze, powiada, nie przyjdzie. I nagle dodaje: Musisz puścić konie luzem, one pójną razem. A co z Jego Lordowska Mością? pytam. Nie mogę tego zrobić. Na to ona patrzy na mnie, jakby chciała, żebym koniecznie jej uwierzył wbrew oczywistości i powiada: Nie byłam dla ciebie miła, Farthing, wiem, że źle cię traktowałam, ale miałam swoje powody, chciałam tylko dobrze dla ciebie, o żadnej

krzywdzie nie myślałam i teraz musisz mi uwierzyć, błagam cię. Dość już mam na sumieniu, powiada, i bez tych biednych zwierząt. Ja znowu mówię, że nie i dalej pytam. Wtedy ona idzie i sama zaczyna odwiązywać linkę juczej klaczy, więc podchodzę do niej i mówię: Dobrze, na twoją odpowiedzialność, nie moją. Niech tak będzie, odpowiada ona. Odwiązałem tamte dwa konie, a ich uprząż schowałem w skalnej szczelinie.

P: Nic nie wzięłaś?

O: Nic, sir, przysięgam. A wszystko to robiłem w wielkim strachu, bo ściemniało się, a ja się bałem, że gdzieś w pobliżu jest Dick i obserwuje nas, i nie wiedziałem, co mam robić. I jeszcze jedno, sir, prawie mi to wyleciało z głowy, kiedy ona się ubierała koło skalnej szczeliny, tam gdzie rozwiązała swój tobołek, zostawiła ładną różową sukienkę i spódnicę. A jak podszedłem bliżej, zobaczyłem jeszcze mały słoik na trawie i takie inne rzeczy, a nawet grzebień hiszpański, myślałem, że zapomniała, więc jej o tym mówię. A ona powiada: Zostaw to, nie chcę tych rzeczy. A ja podnosząc grzebień, mówię: Przecież jest bardzo ładny. A ona mówi: zostaw to, zostaw, to tylko marność. Ale ja uważam, sir, że każda rzecz musi mieć właściciela, jak powiada przysłowie, więc odwróciłem się do niej plecami i wsunąłem grzebień za koszulę, i miałbym go nadal, gdybym go nie sprzedał w Swansea. Wziąłem za niego pięć szylingów i sześć pensów. Ona nic z tego nie miała, ale nie uważam tego za kradzież.

P: Tak samo jak ja ciebie za uczciwego człowieka. Co dalej?

O: Poszliśmy w to miejsce, gdzie zostawiłem mego konia, i znalazłem go, dzięki Bogu, w porządku. Ona wsiadła, ja sprowadziłem go na dół drogi, sir.

P: Nie nalegałeś, żeby powiedziała coś więcej?

O: Nalegałem, i to niejedynym razem, zapewniam pana. Ale ona nie chciała mówić nic, dopóki nie wyjedziemy z tej okolicy. Dałem więc spokój. Dopiero kiedy znaleźliśmy się nad drogą, zatrzymałem się, odwróciłem i mówię, że chcę wiedzieć, gdzie mamy się udać. Bo widzi pan, kiedy tak szedłem, to sobie pomyślałem, że przekonam ją i zaprowadzę do ojca Jego Lordowskiej Mości. Ale ona powiada, że musi jak najszybciej znaleźć się w Bristolu. Dlaczego w Bristolu, pytam, a ona odpowiada: Ponieważ tam mieszkają moi rodzice. Czy oni wiedzą, kim ty jesteś, pytam ją. A ona nic nie odpowiada, tylko powtarza, że musi zobaczyć się z nimi. Wtedy mówię: Muszę znać twoje prawdziwe nazwisko i gdzie ciebie będę mógł znaleźć. Na to ona mówi: Rebeka Hocknell, chociaż niektórzy nazywają mnie Fanny,

mój ojciec ma na imię Amos, jest cieślą i stolarzem, znajdziesz go przy Hill Court w pobliżu gospody „Pod Trzema Beczkami” na Queen Street, w parafii Świętej Marii Redcliff. I powiem panu, sir, że napisałem do niej wtedy w czerwcu, kiedy usłyszałem o Dicku, jak już mówiłem, ale dotąd nie dostałem odpowiedzi. Może nie powiedziała prawdy, ale ja jej wtedy uwierzyłem.

P: No, dobrze. Co się działo potem?

O: Kiedy tak rozmawialiśmy, usłyszeliśmy, że jacyś ludzie, co się zapóźnili na majowym święcie, śpiewają, wracając przez las do domu, może sześć, siedem osób, kobiet i mężczyzn, więcej wrzasku niż śpiewania, bo mocno byli pijani. Zamilkliśmy więc, kiedy przechodzili, ciesząc się w duchu, że jesteśmy wśród zwykłych śmiertelników, pomimo ich pijaństwa i hałasów, a nie tam na górze.

P: Czy już się ściemniło?

O: Nie, sir, był tylko półmrok. Tupot kroków w dole ścichł. Nagle Rebeka, tak ją będę teraz nazywał, zawołała: Nie mogę dłużej, muszę, muszę... i nim zdążyłem się odezwać, zsiadła z konia, uciekła parę kroków i padła na kolana, jak gdyby dziękowała jeszcze raz za uwolnienie. I zaczęła płakać. Przywiązałem wodze do jakiejś gałęzi i podszedłem do niej. Trzęsła się cała, jakby miała gorączkę albo dreszcze z zimna, choć wieczór był ciepły. I ciągle przy tym jęczała, jakby ją coś bolało, och, och. Dotknąłem jej ramienia, ale szarpnęła się, jakbym ją oparzył, nic jednak nie powiedziała. I wtedy nagle upadła twarzą do ziemi, z rękami rozciągniętymi w bok, znowu trzęsąc się i jęcząc. Powiem panu, sir, że Jones przestraszył się wtedy tak samo jak przedtem. Pomyślałem sobie, że ci, o których mówiła tak niejasno, walczą teraz o jej duszę, dręczą ją, wypominając jej grzechy, i opanowali jej ciało. Dobry Boże, łkała i wzdychała, jak ktoś w ogniu piekielnym. Kiedyś słyszałem takie jęki, jak rodziła pewna kobieta, za przeproszeniem waszej czcigodności. Tak było, przysięgam. Stałem z boku, czekałem, aż atak się skończy, jeszcze chwilę leżała, od czasu do czasu szlochając. Wreszcie podszedłem do niej i spytałem, czy jest chora? A ona po chwili, jak ktoś, kto mówi we śnie, powiedziała: Nigdy w całym życiu nie czułam się lepiej. Teraz Chrystus do mnie wrócił. A ja myślałem, że jesteś opętana, powiadam. Tak było, mówi ona, ale teraz tylko On mnie ma i nie boję się, bo zostałam zbawiona. Potem usiadła i głowę oparła o kolana, ale szybko ją podniosła, mówiąc: Umieram z głodu, czy masz coś do jedzenia? Tyle, co zostało z małego bochenka chleba i kawałek sera. To wystarczy, powiada. Przyniosłem więc to jedzenie, a ona wstała, żeby je wziąć ode mnie, a potem usiadła wygodniej na zwałonym drzewie, które leżało obok, i

zaczęła jeść, ale zaraz przestała, żeby mnie spytać, czy ja nie jestem głodny. Odparłem, że tak, ale to nieważne, bo nieraz przymierałem głodem. Nie, tak nie będzie, powiedziała, tyś mnie pocieszył w potrzebie, więc się podzielimy. No, i usiadłem przy niej, a ona odłamała dla mnie po małym kawałku chleba i sera, takim na dwa, trzy kęsy. Wtedy spytałem, co miała na myśli, mówiąc, że została zbawiona. To, że Pan jest we mnie, mówi, i modlę się, żeby z tobą też się tak stało, Farthing. On nas teraz nie opuści i zostanie nam przebaczone to, co robiliśmy i widzieliśmy. To mi się wydało dziwne w ustach ladacznicy, ale powiedziałem tylko, że mam nadzieję, że tak będzie. Na co ona odparła, że została wychowana w rodzinie kwakerskiej, ale straciła światło i w ogóle wszystko w ciągu tych pięciu lat, i że teraz Pan w swej wielkiej łaskawości znowu je zapalił w jej duszy.

P: I tyś uwierzył w te brednie? W ten płacz i dreszcze?

O: Musiałem, sir. To nie było udawane. Żadna aktorka, jakie widziałem w życiu, nigdy nie mogłaby tak dobrze tego odegrać.

P: Raczej źle. Ale mów dalej.

O: Wtedy powiedziałem, że to bardzo ładnie mówić takie rzeczy, i o tym zbawieniu i przebaczeniu, ale ja muszę jednak wiedzieć, co jego Lordowska Mość robił w tej jaskini i dokąd uciekł Dick. Na co ona odpowiedziała: Dlaczego mi skłamałeś, Farthing? Co skłamałem, mówię. Że ojciec Jego Lordowskiej Mości polecił ci go śledzić. Nie skłamałem, mówię. Właśnie, że tak, upiera się, bo wtedy wiedziałbyś z całą pewnością, kim jestem, i nie musiałbyś zadawać mi pytań. No, cóż, sir, zostałem przyłapany, choć starałem się, jak mogłem, ale ona się tym nie przejęła, bo wzięła moją rękę i przycisnęła ją do siebie, jakby mówiąc mi, że niepotrzebnie tracę czas, i powiedziała: Boisz się? Nie bój się więcej. Jesteśmy teraz przyjaciółmi, Farthing, a przyjaźń i kłamstwo nie idą w parze. Pomyślałem wtedy, że muszę zmienić swoją taktykę, bo ta poprzednia zaprowadziła mnie na manowce, i mówię: Bardzo dobrze, nawet to może być prawdą, jeśli chcemy, i we dwoje powinniśmy się postarać, żeby to była prawda, bo może nam przynieść wielką nagrodę z rąk Jego Miłości, jak ona dobrze o tym wie. Na co odparła: Raczej śmierć, znam wielkich tego świata lepiej od ciebie. Raczej zamordują niż pozwolą żyć tym, którzy mogą sprowadzić na ich ród niesławę. A ja wiem o takiej niesławie, że jej nigdy nie zniosą ani nawet nie uwierzą. Bo kto będzie się liczyć z twoim słowem albo moim?

P: Ta przebiegła dziwka oszukiwała ciebie, człowieku.

O: Ona się bardzo zmieniła, sir. Dawniej nie mówiła tak układnie.

P: Układnie? Kiedy cię prosto w oczy nazwała kłamcą? Dlaczego jej nie odpowiedziałeś, że twoim chrześcijańskim obowiązkiem jest powiadomić o wszystkim Jego Miłość?

O: Uważałem, że najlepiej będzie, jak przeczekam, ale będę się trzymał mego planu. Bo ona była bardzo zacięta, powiedziała, że w swoich modlitwach obiecała, że wróci prosto do rodziców, choć nie wie, czy jeszcze żyją. Więc zacząłem rozmawiać z nią o innych rzeczach. I tak uradziliśmy, co zrobimy tej nocy. Ja byłem za tym, żeby siedząc za mną, pojechała na koniu do Bristolu, tak jak chciała. Na co odparła, że się boi wracać na naszą poprzednią drogę, że najlepiej byłoby, gdybyśmy pojechali do Bideford i stamtąd popłynęli statkiem.

P: Czy podała jakiś powód?

O: Tak, że najpierw myślała, iż jestem szpiegiem Jego Miłości, gdyż Jego Lordowska Mość uprzedził ją, że są tacy, którzy go śledzą. I że mogą nam deptać po piętach i że od razu byłaby rozpoznana, gdybyśmy ich spotkali. A ja pomyślałem wtedy, sir, że to nie robi różnicy. Jeśli ona może popłynąć statkiem, to mogę i ja, i w ten sposób razem dotrzemy do Bristolu. Tak się też stało, wasza czcigodność, że ruszyliśmy do Bideford.

P: Przejdź do jej opowiadania.

O: Dobrze, sir, wszystko opowiem, ale nie po kolei, bo nie wszystkiego od razu się dowiedziałem, tylko trochę tej nocy w drodze, a resztę, kiedy byliśmy w Bideford, gdzie zatrzymaliśmy się przez dwa dni. Na początku powiedziała mi, że spotkała Jego Lordowską Mość miesiąc przedtem u madame Claiborne i że go przyprowadził inny lord, który tam często bywał, a który mimo swego wysokiego pochodzenia po prostu był rajfurem. Że przyprowadził Jego Lordowską Mość do jej pokoju, żeby sobie użył przyjemności, ale wtedy nic z tego nie wyszło, choć kiedy był w towarzystwie na dole sprawiał wrażenie napalonego. Że położył jej pięć gwinei na stole i powiedział, że ma nadzieję, iż w ten sposób kupi jej milczenie, co do tego, co zaproponuje. Mianowicie ma wielką ułomność i niestety nie może cieszyć się tym, czym ona mogła go obdarzyć, ale on ma nadzieję, że z tego powodu będzie miała raczej dla niego współczucie niż szyderstwo. Mimo to, choć nie wie dlaczego, odczuwa pewną przyjemność, kiedy patrzy, jak się dokonuje cielesny akt, i że ma chętnego na to służącego, gdyby więc spełniła jego dziwaczną prośbę, on sownie by ją za to wynagrodził. Z powodu swego znanego nazwiska nie chce, żeby to dotarło do uszu madame Claiborne albo jego przyjaciela, z tego też powodu nie zaryzykowałby zaspokojenia swego pragnienia w

domu, w którym się znajdują. Żeby tego uniknąć, o ile się zgodzi, najpierw przyjdzie do niej jak każdy normalny mężczyzna, a potem, kiedy zdobędzie zaufanie jej pani, zaproponuje, że ją wynajmie pod byle pretekstem, i wtedy to, czego pragnie, będą mogli czynić. Obiecuje przy tym, że służący jest przystojnym, pełnym wigoru młodym mężczyzną i może przypadnie jej bardziej do gustu niż wielu innych, których musi brać w swe ramiona.

P: Czy mam przez to rozumieć, że Jego Lordowską Mość nigdy nie był z nią w łóżku?

O: Tak ona mówiła, sir. I że podczas następnej u niej wizyty Jego Lordowską Mość pokazał jej przez okno Dicka, stojącego na ulicy, który wydał jej się taki, jak on powiedział. Krótko mówiąc, ona zgodziła się, bo jak mi powiedziała, żał jej było Jego Lordowskiej Mości, który zwracał się do niej bardzo uprzejmie i z wielką uwagą, do czego nie była przyzwyczajona. I że podczas owej wizyty powiedział jej, że ciąży na nim niezawinione przekleństwo i zagmatwane sprawy, w które wplątał go zwłaszcza ojciec, zaniepokojony przez jego jawny sprzeciw wobec pewnego małżeństwa, i zagroził mu, że go wydziedziczy. I wreszcie wyznał, że to, co proponuje, doradził mu pewien doświadczony lekarz w Londynie, który twierdził, że podobne przypadki jak Jego Lordowskiej Mości wyleczył dzięki tej metodzie.

P: Naprawdę nigdy tego nie spróbował?

O: Rebeka w to wierzy, sir.

P: Czy znała przedtem takie przypadki, a może ktoś się zwracał do niej w takiej sprawie?

O: Tego nie powiedziała, sir. Ale ja słyszałem o takim jednym rozpustniku, proszę waszą czcigodność o wybaczenie. I o starych ludziach, którzy utracili swoje naturalne żądze. Zapomniałem powiedzieć, że mówił, że próbował bardziej przyzwoitych lekarstw, takich, jakie można znaleźć w aptece, ale nic nie pomogły.

P: Wróć do podróży na zachód, co jej powiedział więcej na ten temat?

O: Że pojedą w daleką drogę, ponieważ słyszał o nowych wodach leczniczych, niedawno odkrytych, podobno świetnych na jego dolegliwości, czego także spróbuje, i w ten sposób zastosuje dwie kuracje jednocześnie. Że nie chce mieć szpiegów ojca za plecami, obserwujących wszystko, co będzie robić. Dlatego musi znaleźć jakiś pretekst.

P: Ten z porwaniem i służącą tej młodej dziewczyny?

O: Tak, sir.

P: Czy mówiła o wyjeździe poza Londyn i zbiorowych igraszkach z innymi rozpustnikami?

O: Nie, sir.

P: Nieważne. Jak Jego Lordowską Mość tłumaczył jej twój udział w tym wszystkim?

O: Dobre pytanie, sir. Ja też je zadałem. Odparła, że ten pretekst miał być jak najbardziej prawdopodobny, i dlatego pan Lacy miał towarzyszyć Jego Lordowskiej Mości. I że ona ma się trzymać na dystans, o nic nas nie pytać ani też nie odpowiadać na pytania.

P: Jak się dostała na to miejsce spotkania koło Staines?

O: Nie pomyślałem o tym, żeby ją spytać, sir. Nie wątpię, że Jego Lordowska Mość trzymał ją gdzieś w ukryciu, bo mówiła mi, że spełniła jego życzenie co do Dicka, a on dał jej pieniądze i podziękował, potem, jak to się stało. Jednak kiedy ruszyliśmy w drogę, przekonała się, że Jego Lordowska Mość wkrótce się zmienił, jego poprzednia uprzejmość była tylko maską na jego prawdziwym obliczu. Musiała uczynić to, czego chciał, także następnej nocy. Po czym był już znacznie mniej zadowolony i łąał ją, że tak mało pokazała swoich sztuczek, czy jak to tam nazwać, sir, i nie chciał słyszeć, że to była wina Dicka, który bardzo się śpieszył, a ona nie mogła temu przeszkodzić.

P: Mówisz o nocy w Basingstoke?

O: Tak, sir.

P: Co powiedziała o Dicku?

O: Że on ślepo słuchał swego pana tak, że ona musiała go zaspokajać wedle jego woli. A że zdawał się nie wiedzieć, kim naprawdę była, wierzył, że ona kocha go, ponieważ on ją miał, choć to się odbywało w taki grzeszny sposób.

P: A więc udawała, że ma pewne względy dla niego?

O: Żal jej było Dicka, bo widziała, że jego namiętność jest prawdziwa i że nie zasnął przedtem innej kobiety, a trudno przecież winić kogoś, kto nie jest w pełni władz umysłowych. Powiedziała mi, że przyszedł do niej tej nocy, kiedy Jego Lordowska Mość kazał im odejść, bo znów chciał ją mieć. Na co ze strachu pozwoliła.

P: Czy spytałeś, co się stało w Amesbury, kiedy wyjechali stamtąd w nocy?

O: Tak, sir, i jest to taka historia, że pan w nią nie uwierzy.

P: Może i tak będzie, ale opowiadaj.

O: Po naszym tam przybyciu Jego Lordowska Mość wezwał ją samą do swego

pokoju. Wyraził żal, że poprzedniej nocy dał upust swej niecierpliwości i że ona musi wziąć pod uwagę jego nadmierne nadzieje na to, że się podnieci. Rzekł, że w pobliżu Amesbury jest miejscowość, gdzie podobno są takie niezwykle siły, które mogą wyleczyć takich jak on, i że tej nocy on je wypróbuje, ale ona musi tam udać się wraz z nim. I prosił, żeby się nie bała, bo to taki jego kaprys, żeby sprawdzić pewien przesąd. Obiecał, że nie stanie się jej żadna krzywda, niezależnie od tego, co się wydarzy.

P: Powiedział, że chce sprawdzić jakiś przesąd?

O: To jej własne słowa, sir. I dodała, że choć znowu był układny, to bardzo się przeraziła, gdyż wyczuła jakieś szaleństwo w Jego Lordowskiej Mości, jakieś zmącenie umysłu, i żałowała, że się na wszystko zgodziła. Ale on ponownie ją uspokoił i znowu obiecał odpowiednie wynagrodzenie, aż wreszcie ustąpiła.

P: Czy nie wydawało ci się, że ona nie mówi prawdy?

O: Nie sędzę, sir. Było ciemno, nie widziałem jej twarzy. Mówiła jak ktoś, kto z całą szczerością chce oczyścić sumienie z popełnionych grzechów.

P: Dalej.

O: No, i wyjechali konno, co widziałem na własne oczy, i opowiedziałem potem panu Lacy'emu, do pogańskiej świątyni na wzgórzu, które nazywa się Stonehenge. Tu Jego Lordowska Mość polecił Dickowi zostać na uboczu z dwoma końmi i zaprowadził ją do środka świątyni, gdzie wskazał na wielki płaski kamień, wrosnięty w ziemię, poza tym były inne, bardzo wysokie, i kazał jej położyć się na nim, mówiąc, iż jest taki przesąd, że jeśli mężczyzna posiada na nim kobietę, to ten mężczyzna może odzyskać swoją potencję. Najpierw protestowała, była przerażona. Na co on się znowu rozgniewał i zaczął ją łącać. Wreszcie biedna dziewczyna musiała zrobić, jak chciał, choć, jak powiedziała, była sparaliżowana strachem. I tak, sir, położyła się plecami na tym kamieniu jak na jakimś łóżku.

P: Czy była naga?

O: Nie, sir. Ale Jego Lordowska Mość powiedział, że powinna unieść spódnicę i obnażyć przyrodzenie, za przeproszeniem, i przyjąć miłosną postawę. Co uczyniła, pewna, że jego Lordowska Mość teraz wypróbuje swoją sprawność w tym podobno dobrze wróżącym miejscu. Ale on nic nie zrobił, tylko stał nieco z boku, pomiędzy tymi wysokimi kamieniami, jakby zamierzał czemuś się przyjrzeć. Co ona poczytała za nieśmiałość z jego strony, obawę, że znowu nie spełnią się jego nadzieje. Po chwili spytała, czy nie spróbuje, bo jest jej zimno. Na co kazał jej milczeć i leżeć spokojnie, a on ciągle stał na tym samym miejscu, o dziesięć kroków od niej. Nie wiedziała, ile

czasu upłynęło, ale z pewnością wiele, a jej było coraz bardziej zimno i niewygodnie na tym twardym posłaniu. Nagle rozległ się głośny szum w górze, jakby przelatował olbrzymi sokół. I ciemne niebo przecięła wielka błyskawica, choć nie zapowiedział jej grzmot, i w jej świetle zobaczyła postać, która stała nad nią jak posąg, wydawała się wielkim ciemno ubranym Murzynem, który patrzył na nią z pożądaniem, jak gdyby był tym sokołem, którego skrzydła słyszała, a jego peleryna falowała, kiedy wylądował na tym głazie, i nagle skoczył na nią jak drapieżny ptak na swoją ofiarę. Sir, powiedziała, że ta straszna postać pojawiła się i zniknęła tak szybko, iż nie była pewna, czy jej się to tylko nie zdawało, ale teraz po tym, co się wydarzyło w jaskini, wie, że to nie była imaginacja. I nagle w chwilę po błyskawicy poczuła jakby strumień gorącego powietrza z pieca, ale niezbyt blisko, który choć nie sparzył jej skóry, za to okropnie śmierdział palonym mięsem, ale na szczęście to też długo nie trwało. I znowu było ciemno i zimno jak przedtem.

P: Czy to coś rzuciło się na nią? Czy ona czuła, że ją dotyka? Coś prócz gorącego powietrza?

O: Nie, sir, pytałem ją i odparła, że nie. Gdyby tak było, powiedziałyby mi, bo opowiadając mi to wszystko, znowu się okropnie bała, nie mogła tego zapomnieć.

P: Kim była ta postać jej zdaniem, ten czarny myszołów?

O: Królem Piekła, sir, Księciem Ciemności.

P: Szatanem we własnej osobie, diabłem?

O: Tak, sir.

P: Czy widziała jego ogon, rogi?

O: Nie, sir, mówiła, że strach tak ją sparaliżował, że nie była przy zdrowych zmysłach, a poza tym wszystko stało się bardzo szybko, w mgnieniu oka, że nie miała czasu myśleć ani coś dojrzeć. Wiedziała, że to był on po tym, co się stało później, wróć do tego, wasza czcigodność.

P: Co się potem działo w tej świątyni?

O: Znowu dziwne rzeczy, ale bardziej zwykłe, sir. Bo kiedy po dłuższym omdleniu, które nie wie, jak długo trwało, ocknęła się, zobaczyła, że Jego Lordowska Mość klęczy obok niej, potem wziął ją za rękę i podtrzymując pomógł wstać, i nagle objął jakby była siostrą czy żoną, tymi słowami to powiedziała, i rzekł: Jesteś dzielną dziewczyną, jestem z ciebie zadowolony. Czym ona się przestraszyła i spytała Jego Lordowska Mość, co się wydarzyło. Na co on odparł, że nie stała się jej żadna krzywda i że muszą teraz wracać. Co uczynili, on wziął ją pod ramię, żeby jej pomóc i po raz

wtóry powiedział, że zachowała się bardzo dobrze i że teraz wie, że dzięki niej osiągnie swój cel.

P: Gdzie przez ten cały czas był Dick?

O: Zaraz do tego przejdę, sir. Zastali go tam, gdzie miał czekać. I tutaj, tak samo jak ją, Jego Lordowska Mość objął go, a zrobił to jak ktoś, kto z całego serca dziękuje równemu sobie, a nie jak pan służącemu.

P: Czy wymienili jakieś znaki między sobą?

O: Nic o tym nie mówiła, sir. Ona i Dick wrócili do gospody sami, ponieważ Jego Lordowska Mość został koło świątyni. Kiedy ukradkiem wrócili do swoich pokoi, on przyszedł i chciał ją wziąć, ale ona tym razem nie zgodziła się. Powiedziała, że on się nie upierał przy tym, tak jak w Basingstoke, jakby wiedział, że była bardzo zmęczona i miała ciężkie przeżycie, i poszedł sobie. Opowiedziałem panu, sir, wszystko dokładnie, nic nie pominąłem.

P: Czy nie podała szczegółów tego, co się stało? Czyś jej nie wypytywał dalej?

O: Powiedziała tylko, że teraz jest pewna, że Jego Lordowska Mość zamieszany jest w jakąś wielką niegodziwość i że bardzo się boi, co może z tego wyniknąć.

P: Do tego dojdziemy. Czy przed waszym przybyciem do gospody „Pod Czarnym Jeleniem” nie mówiła czegoś więcej o tym zdarzeniu?

O: Nie, sir, dopiero w wigilię tego dnia, o którym mówiliśmy. Powiedziała, że Jego Lordowska Mość znów rozmawiał z nią na osobności w swoim pokoju i zachowywał się jak człowiek bez rozumu, jak nigdy przedtem. Najpierw wymyślając jej z powodu jakiejś zuchwałości, którą sobie uroił, ponieważ była pewna, że tak nie było, i potem wmawiał jej, że jest wielką ladacnicą, która zasługuje na piekło, i Bóg wie co jeszcze. A mówił to wszystko takim językiem jak kaznodzieja za czasów jej kwakerskiej przeszłości albo anabaptyści, a nie jak dżentelmen, i że teraz dopilnuje, żeby została ukarana za to, co sam jej nakazał. Powiedziała wtedy: Zupełnie jakby to nie był jeden człowiek, lecz dwóch ludzi. I kiedy poszła spać, płakała, że taki był okrutny w drobnej przecież sprawie. Spytałem wtedy: A co z tymi jego pochwałami dla ciebie w świątyni? Odparła: Z ludźmi wysoko urodzonymi zawsze tak jest, są jak kurki na dachu, obracają się pod wpływem własnej zachcianki.

P: Czy ta dziewczyna wiele mówiła w duchu... braku szacunku dla lepszych niż ona?

O: Obawiam się, że tak, sir. Przejdę do tego.

P: Dobrze. A teraz pytam cię, wiedziała, czy nie wiedziała, że coś niegodziwego

i straszego się szykuje? Musiała coś przeczuwać po tej nocy w świątyni. Dlaczego nie próbowała uciekać, szukać rady i opieki pana Lacy'ego czy kogoś innego? Dlaczego przez te trzy dni zachowywała się jak niewinna owieczka idąca na rzeź?

O: Wasza czcigodność, ona była pewna, że pan Lacy i ja bierzemy udział w spisku i że to nic by nie dało. W Wincanton i Taunton myślała, żeby uciec w nocy, ale nie wiedziała dokąd, czuła się tak okropnie samotna i, to są jej własne słowa, potępiona, bez żadnej nadziei ratunku, że nie odważyła się.

P: I tyś w to uwierzył?

O: W to, że była przerażona ponad wszelkie wyobrażenie, tak, sir. Nikt nie jest bohaterem, jak mówi przysłowie, a zwłaszcza słaba niewiasta.

P: Czy Jego Lordowska Mość w ten ostatni wieczór „Pod Czarnym Jeleniem” uprzedził ją, co będzie nazajutrz?

O: Nie, sir. Kiedy wyruszyli rano, była zdziwiona, że mnie nie ma, i spytała o to pana Lacy'ego, ale on tylko powiedział, że ja pojechałem przodem. Jeszcze bardziej zdziwiła się, kiedy przy szubienicy pożegnali się z panem Lacym, o czym nikt jej nie uprzedził, i zaczęła się bardzo bać, że znajdzie się sam na sam ze swymi ciemżycielami, bo Jego Lordowska Mość jechał przodem i nic nie mówił. Milczała aż do tego brodu w lasku, gdzie ich obserwowałem, dopiero tam ośmieliła się przemówić, a Jego Lordowska Mość powiedział: Dotarliśmy do miejsca, gdzie tryskają moje cudowne wody, i obiecał, że ona również ich skosztuje.

P: To o tych wodach mówił jej w Londynie, które miały jakoby leczyć jego przypadłość?

O: Tak, sir.

P: Czy słyszałeś, żeby wspomniał o nich w trakcie waszej podróży do Devonu? Czy pan Lacy mówił o nich?

O: Nie, sir, ani słowa.

P: Nic nie mówił o nich w tej gospodzie?

O: Nie, sir. Jego Lordowska Mość sobie tylko zażartował, że nie będzie żadnych wód.

P: Mów dalej.

O: No, więc, sir, nie odważyła się pytać dalej, bo Jego Lordowska Mość i Dick byli wyraźnie zajęci tylko sobie wiadomymi sprawami, a ona była jak bagaż wieziony przez nich, no, i przybyli do lasku, gdzie ich wytropiłem i gdzie Dick odszedł. Tutaj, nim ja tam dotarłem, powiedziała, że Jego Lordowska Mość kazał Dickowi odwiązać

skrzynkę i ustawić ją na ziemi, i potem otworzyć, a w niej na wierzchu leżała biała sukienka na majowe święto, spódnica, nowy gorsecik i nowe białe pończochy, czego nigdy przedtem nie widziała na oczy, a on kazał jej zdjąć to, co miała na sobie, i włożyć te nowe rzeczy. Chciała się dowiedzieć, po co to wszystko, coraz bardziej obawiając się jego szaleństwa. Ale on odparł, że to dlatego, żeby się spodobała pilnującym źródła. Odparła tylko: Tak, sir, widząc, że niczego się nie dowie i że musi być posłuszna.

P: Powiedziała „pilnującym”?

O: Tak, sir. Wyjaśnię wkrótce, co to miało znaczyć, przekona się pan. Potem poszli, jak już mówiłem. A ona, kiedy tak szli, spytała, co będą robić, i że przecież Jego Lordowska Mość nie zgodził jej do tego, i dwukrotnie Jego Lordowska Mość kazał jej trzymać język za zębami. I tak dotarli do miejsca, gdzie ich zobaczyłem po raz pierwszy, sir, kiedy czekali klęcząc.

P: Przed tą srebrzystą kobietą?

O: Tak, sir, która, jak mówiła Rebeka, nagle stanęła przed nimi, o jakieś pięćdziesiąt kroków, jakby w magiczny sposób, i wydała się jej złym omenem, zapowiedzią czegoś fatalnego, nienormalnego, nie tylko dlatego, że w tak dziwny sposób się pojawiła, sir, na tym pustkowiu, ale także z powodu swego wyglądu. Że dopiero wtedy się pojawiła, kiedy Jego Lordowska Mość ukląkł i odkrył głowę, a także ukląkł Dick, to i Rebeka musiała pójść za ich przykładem. Powiedziała mi: Zupełnie, jakby spotkali jakąś wielką damę, królową, sir. Chociaż we wszystkim innym ona nie wyglądała na ziemską królową, nie, raczej na istotę bardzo okrutną i złą, która mogłaby im wyrządzić krzywdę, gdyby jej nie byli bez reszty posłuszni. Najpierw nie robiła nic, tylko patrzyła na nich z góry, włosy miała czarne, bujne, oczy jeszcze czarniejsze. Właściwie byłaby piękna, gdyby nie coś złego i przebiegłego w jej wyglądzie, a kiedy nagle się do nich uśmiechnęła, ten uśmiech był, powiedziała Rebeka, tysiąc razy gorszy niż jej spojrzenie. Tak mógłby się uśmiechać pajak, patrząc na muchę, która wpadła w jego sieć, a on oblizuje się, nim zje swoją ofiarę.

P: W jakim wieku ona była?

O: Młoda, sir, w wieku Rebeki, choć we wszystkim całkiem odmienna. To jej własne słowa.

P: Czy ta kobieta coś powiedziała?

O: Nie, sir, stała w milczeniu, ale oni jakby wcale nie oczekiwali, by przemówiła. Odniosła również wrażenie, że ani Jego Lordowska Mość, ani Dick nie są

przerażeni tą zjawą, ba, nawet jakby ją znali.

P: Ten jej srebrny strój, z czego był?

O: Żadna normalna kobieta by tego nie nosiła, nawet podczas maskarady czy pantomimy w Londynie nie można by zobaczyć czegoś takiego. Rebeka powiedziała, że gdyby to zobaczyła w innych okolicznościach, wysmiałyby i krój, i styl, bo to było coś niespotykanego, wytwór fantazji.

P: Jak się zakończyło to spotkanie?

O: Tak, jak się zaczęło, sir. Nagle jej już nie było, po prostu zniknęła.

P: Czy Rebeka nie spytała Jego Lordowskiej Mości, co to była za dziwna zjawka?

O: Zapomniałem, sir. Oczywiście, spytała i przytoczyła mi jego odpowiedź, że ona jest tu między innymi po to, żeby mu sprawić przyjemność. Obiecał, że wkrótce dowie się więcej, ale teraz nie wolno jej zadawać żadnych pytań.

P: Co powiedział Jego Lordowska Mość, gdy nie chciała wejść do jaskini? Mówił, że rozmawiali.

O: Skarcił ją z gniewem, że jest niesforna i że nie zniesie nieposłuszeństwa ze strony dziwki, którą sobie kupił. A potem, kiedy podeszli blisko jaskini, a ona nie mogła iść dalej i odwróciła się, żeby błagać go o zmiłowanie, on ją szarpnął, mówiąc: Bądź przeklęta, tam znajdę ukoronowanie ambicji mego życia i cię zabiję, jeśli mi to udaremnisz. A ręce, mówiła, tak mu się trzęsły jak w gorączce albo szaleńcowi, sir, i ona była pewna, że tak zrobi, jak powiedział, jeśli mu nie będzie posłuszna.

P: Czy wspomniał, dlaczego była taka niezbędna do zrealizowania jego ambicji?

O: Nie. Potem to się okaże. Czy ja już mówiłem waszej czcigodności, co było w środku?

P: Mów wszystko.

O: Najpierw nic nie widziała, tylko ciemność jak w nocy, sir. Jednak musiała iść, bo Dick ją ciągnął, aż wreszcie na tle ściany w głębi zobaczyła światło jakby od ognia i poczuła zapach spalenizny. Potem doszli do takiego załamania, bo widzi pan, ta jaskinia miała kształt psiej łapy, dłuższa część była od zgięcia. A tam, sir, ujrzała taką scenę, że się jej ścięła krew w żyłach...

P: Dlaczego urwałeś, człowieku?

O: Sir, pan mi nie uwierzy.

P: To może ty wreszcie uwierzysz, że jeśli się nie pośpieszysz, to każę ci sprawić taką chłostę, o jakiej nawet ci się nie śniło w najgorszym koszmarze.

O: Muszę mówić tak, jak mi to opowiedziano, i proszę, żeby wasza czcigodność

o tym pamiętał. Wewnątrz jaskini ona zobaczyła wielką salę, w której palił się ogień, a przy nim dwie odrażające staruchy i jedną młodszą. Od razu wiedziała, że to są czarownice, gdyż patrzyły złowieszczo, jednak wyczekująco, jakby ich oczekiwały. I w tej młodszej rozpoznała tę samą, którą spotkali przy wejściu, ale teraz ubrana była na czarno, a w ręku trzymała miech. Druga siedziała, miała z jednego boku wielkiego czarnego kota, a z drugiego kruka, wreszcie ta trzecia przędła na kołowrotku. Za trzema kobietami stał ktoś w czarnej pelerynie zamaskowany, tak jak kat, powiedziała, sir, ale ta maska nie zakrywała jego pełnych ust, które były jak u Murzyna. Choć go przedtem widziała tylko przełomie, wiedziała od razu, kim był i jaki nieszczęsny los ją teraz czeka. Bo to był szatan we własnej osobie, sir, tak jak pana widzę, Bezzle Bob, jak powiadają. Wtedy ona krzyknęła w przerażeniu, a ja to słyszałem, jak już mówiłem. Uciekłaby, gdyby Dick i Jego Lordowska Mość nie trzymali jej z całych sił. I zmusili ją, żeby podeszła do ognia. Tu się zatrzymali, a Jego Lordowska Mość przemówił w języku, którego nie rozumiała, ale zdawało się jej z wielkim szacunkiem, jak się mówi do wielkiego pana albo króla. Choć szatan nie przemówił ani słowa, jednak patrzył na nią spoza maski oczami czerwonymi jak ogień. I znowu chciała uciekać, ale nie mogła, bo Dick i Jego Lordowska Mość stali jak w transie, jednak nadal mocno ją trzymając. I wtedy cichutko zaczęła odmawiać *Ojczy nasz*, ale nie skończyła, bo najmłodsza czarownica oskarżająco wskazała na nią palcem, mówiąc, że wie, co Rebeka robi. I wtedy te dwie podeszły do niej i zaczęły ją szczypać i obmacywać, jakby była gotową do pieczenia kurą, mimo że się rozplakała i prosiła o litość. A obaj mężczyźni, którzy ją trzymali, byli niewzruszeni jak skała, dalej ją trzymali, a czarownice się nad nią pastwiły. I okropnie śmierdziały jak kozły. Im więcej ona płakała, tym mocniej ją szczypały. A po chwili szatan się do niej zbliżył, żeby lepiej widzieć tę całą zabawę.

P: Zaczekaj, Jones, i powiedz mi, skąd ona była pewna, że to szatan we własnej osobie? Że to nie był ktoś specjalnie przebrany, żeby zrobić na niej wrażenie? Jakaś sztuczka?

O: Sir, później zadałem jej takie właśnie pytanie. Odpowiedziała przecząco. Była pewna, że to był on we własnej osobie, tak jak koń, na którym jechaliśmy, był koniem. To jej własne słowa, sir.

P: Bardzo dobrze. Powiadam ci, Jones, że ani trochę w to nie wierzę. Ta dziwka kłamie w żywe oczy.

O: Być może, sir. Nawet teraz nie wiem, w co wierzyć, chyba tylko w to, że

zdarzyła się dziwna rzecz. Ona się bardzo zmieniła, sir. Widzi pan, to nie jest już ta dawna Rebeka.

P: Mów dalej.

O: Następnie, sir... czerwienię się, ale muszę to powiedzieć. Bo ona została obalona na ziemię, a te dwie stare czarownice podeszły do swego władcy i służyły mu jako garderobiane, aż był nagi, dumny ze swej demonicznej żądy i stanął nad nią, choć nadal płakała i krzyczała, bo myślała, że to jest dla niej dzień sądu ostatecznego, kara za jej grzechy popełnione w domu Claiborne. Tak mi powiedziała, sir, kiedy stał nad nią, czarny jak Ham, żeby spełnić swoją wolę. Co się stało dalej, nie potrafiła powiedzieć, bo zemdląca, i nie wie, jak długo była zemdlona, ale kiedy się ocknęła, przekonała się, że leży trochę z boku. Ktoś musiał ją tam zanieść albo przeciągnąć, a w swoich intymnych częściach czuła wielki ból, jakby to omdlenie jej nie uratowało i padła ofiarą brutalnego gwałtu. Potem spojrzała przez przymknięte powieki i zobaczyła coś, w co nie mogła wprost uwierzyć, sir. Otóż młoda czarownica i Jego Lordowską Mość nagusieńczy stali przed diabłem jak mąż i żona, a on im udzielił ślubu, albo udawał, że tak czyni w bluźnierczym naśladowaniu tego obrzędu, sir, i błogosławił ich szydlerczo, dając im do pocałowania swoje dolne części ciała, co oni uczynili, i że te zaślubiny nie tylko były spełnione w obrzędzie, ale także cielesnie, i wszyscy wokół ognia zaczęli ze sobą uprawiać odrażające bezceństwa, to, co robią podobno czarownice podczas swoich sabatów.

P: Powiadasz, że Jego Lordowską Mość także?

O: Tak, sir, diabeł i jego pomocnice, Dick i jego pan. I proszę mi wybaczyć, ale Jego Lordowską Mość został wyleczony ze swojej poprzedniej niemocy i, rywalizując z samym diabłem, był bardzo ochoczy w robieniu tych wszystkich sprośności. Tak mi mówiła, i że przypominało jej to, co widziała u madame Claiborne, ale niezupełnie tak. Nawet kruk zabrał się za kota, jakby go chciał pokryć.

P: Spytałem cię o coś, ale najpierw ostrzegam. To, co zostanie tu powiedziane między nami, tego nigdy nikomu nie powtórzysz. Gdybyś powtórzył, a ja bym o tym usłyszał, będziesz zgubiony. Czy to jasne?

O: Jasne, sir. Przysięgam, że nikomu nic nie powiem.

P: Tak, Jones, lepiej tego nie rób, bo, na niebiosa, zginiesz. A oto moje pytanie. Czy mówiła, że podczas tych sprośności coś się działo tylko między Jego Lordowską Mością i jego służącym?

O: Sir, oprócz tych zaślubin, nie wspomniała o niczym więcej.

P: Nie mówiła o jakimś ohydny akcie w szczególności?

O: Nie, sir.

P: Czy nie widziałeś żadnych oznak, nieważne kiedy i gdzie, podczas waszej podróży, takiego wbrew naturze związku między Jego Lordowską Mością i Dickiem?

O: Nie, sir, przysięgam na moje życie.

P: Jesteś tego pewien, Jones?

O: Jestem pewien, sir.

P: Bardzo dobrze, a teraz opowiadaj dalej, co ona mówiła.

O: Że w czasie przerwy między tymi odrażającymi poczynaniami jedna z czarownic podeszła do niej i potrząsnęła za ramię, jakby chciała sprawdzić, czy Rebeka się przebudziła. Ale ona udała, że nadal jest zemdlona. Wtedy czarownica odeszła i po chwili wróciła z jakimś napojem, który siłą wlała jej do gardła. To było coś mdląco-gorzkiego, powiedziała Rebeka, jakby z aloesu albo z piestrzenic. Ten napój miał działanie usypiające, ale podczas snu Rebeka nie czuła ulgi, jakby jego czcigodność mógł się spodziewać, gdyż miała sen, który nie wydawał się snem, taki był wyraźny, jakby na jawie. Szła w nim długim korytarzem albo galerią w jakimś bogatym domu, a ściany tam były obwieszane wielkimi gobelinami, jak okiem mogła sięgnąć. A obok niej szedł sam diabeł na czarno ubrany, który teraz traktował ją z wielką kurtuazją, jaką dżentelmen okazuje, oprowadzając damę po swoim pałacu i majątku, choć nic nie mówił. Ale kiedy przypadkiem spojrzała na jego twarz, to się przekonała, że to nie był ten, którego widziała w jaskini, ale raczej przypominał Jego Lordowską Mość, choć był bardziej smagły na twarzy, lecz ona jakoś wiedziała, że oni obaj to jedno.

P: Czy coś mówili?

O: Nie, bo to było jak w prawdziwym śnie. I kiedy tak szli, on od czasu do czasu dotykał jej ramienia i pokazywał taki czy inny gobelin. I zapomniałem, że ona powiedziała, iż cały czas oświetlenie tam było słabe, przyćmione, tak że trudno było coś rozróżnić, ale mimo to wydawało się ono jak najbardziej diabelskie, gdyż nie było tam okien, pochodni, nawet najmniejszej świeczki. A przy tym kiedy tak szli tą ciemną galerią, zobaczyła, że te materie nie wiszą po prostu na ścianie. One się ruszały, pęczniały i opadały, jakby od tyłu poruszane wiatrem czy prądem powietrza. Jednak żaden nie opadł.

P: Co one przedstawiały?

O: Powiedziała, sir, że wszelkiego rodzaju najpotworniejsze okrucieństwa,

jakich człowiek może dopuścić się wobec drugiego człowieka, tak że kiedy się ocknęła, za nic nie chciała tego sobie przypomnieć, ale wtedy musiała je oglądać. Bo kiedy szatan wskazał na któryś gobelin, chcąc nie chcąc musiała spojrzeć. I było to o tyle straszniejsze, że postacie na nich i tło nie były nieruchome jak na prawdziwych gobelinach, ale ruszały się jak żywe, choć bezgłośnie. I wszystko wyglądało jak w życiu, powiedziała, nie było widocznych ani ściegów, ani osnowy, każdą scenę, którą przedstawiały, odgrywano ciągle na nowo, jak w teatrze. A ona musiała patrzeć, jak jej rozkazano, jakby nie miała powiek, żeby zamknąć oczy wobec tak nieludzkich bezceństw. A we wszystkim tam była śmierć, sir. I we wszystkim sam diabeł, czasem odgrywając główną rolę, czasem trzymając się na uboczu, ze złośliwym uśmiechem. Jakby mówił, moja praca została wykonana za mnie, spójrzcie, jak dobrych pomocników mam na tym świecie. A kiedy patrzyła na dalsze sceny, one się nagle przybliżały. I tak mogła jakby ze wzgórza widzieć miasto w dole rabowane przez żołnierzy, a zaraz potem jakby z odległości dziesięciu kroków niewinne dzieci przebijane mieczem albo ich matki gwałcone na ich oczach. I nagle zobaczyła przez okno izbę tortur, a po chwili stała nad twarzą ofiary cierpiącej straszliwe męki. Tak to było, sir. Musi mi pan uwierzyć.

P: I jak się ten sen skończył?

O: W pewnym momencie odczuła wielkie pragnienie w swym sercu, tak to ujęła, miała na myśli swą duszę, potrzebę naszego Odkupiciela Jezusa Chrystusa. I zaczęła szukać na tych gobelinach znaku Jego, krzyża, krucyfiksu, ale nie mogła znaleźć, aż wreszcie przyszli do miejsca, gdzie ta diabelska galeria jakby się kończyła, gdyż zobaczyła ścianę, która ją zamykała, a na niej gobelin, który zdawał się świecić większym blaskiem, choć nie mogła dojrzeć, co na nim było. W jej sercu, jak w sercu nas wszystkich, zrodziła się iskierka nadziei, że jest tam Chrystus. I pośpieszyła do niego, ale coś zmusiło ją, by stanęła i wbrew woli spojrzała jeszcze na te materie, na których widziała tyle strasznych rzeczy. I nagle, sir, nie mogła już tego dłużej znieść, uniosła swoje spódnice i zaczęła biec tam, gdzie miała nadzieję, że jej pragnienie zostanie ugaszone. To było największe oszukaństwo ze wszystkich, sir, bo kiedy była blisko, zobaczyła, że to nie jest wizerunek Chrystusa, ale bosa dziewczynka, żebraczka w łachmanach, która płacze jak ona sama i wyciąga do niej ręce niby dziecko do swej matki. A za nią, sir, powiedziała, wszystko było w ogniu, nieskończony ogień pod nieskończoną nocą, jak wzrokiem sięgnąć, i stamtąd właśnie przychodziło to wielkie światło, i choć je widziała, nie mogła się ogrzać, tylko widziała małą nędzarkę, która

wyciągała do niej ręce. I przepelniła ją litość i współczucie dla małej. I chciała ją ratować, ale mimo wielkiego wysiłku nie mogła, bo kiedy już miała dotknąć jej rączki, pomiędzy nimi pojawiła się jakby szklana tafla, ale niewidzialna. I nie mogę zapomnieć, mówiła, opowiadając mi to, że kiedy tak na próżno usiłowała dotknąć jej i uratować to dziecko, miała uczucie, że znała je dawniej, że łączyła je siostrzana miłość i uczucie. Jednak po namyśle doszła do wniosku, że to jest ona sama, taka, jaką była, nim znalazła się w Londynie (co prawda, choć biedna, nigdy nie była tak nędznie ubrana).

P: Kończcie.

O: Jestem tego bliski, sir. I znowu muszę obrazić pańskie uczucia.

P: Obrazić? Już wystarczająco je obraziłeś.

O: Kiedy płomienie objęły tę dziewczynkę, tę żebraczkę, jej ciało nie zaczęło się palić, ale topnieć jak wosk albo tłuszcz podsycający ogień. Jej rysy zdawały się rozplýwać, sir, i skapywały tworząc gęstą kałużę, którą dopiero wtedy objęły płomienie, i pokazał się czarny dym, i to było wszystko, co z niej zostało. A stało się to szybciej niż opowiadam, jak to we śnie. I wtedy poczuła wielką rozpacz i wściekłość, bo to spłónięcie nieszczęsnej dziewczynki wydało się najbardziej okrutne i niesprawiedliwe z tego wszystkiego, co tam widziała. Wtedy odwróciła się do szatana, który, sądziła, stał za nią. Nie wiedziała, co zrobić, ale przynajmniej chciała okazać mu swój gniew. A ja spytałem: I nie było go tam? Na co ona przez chwilę milczała, a potem rzekła: Wszystko, co zastałam, kiedy tam weszłam, zniknęło. A mnie się zdawało, że stoję na nabrzeżu w Bristolu, tak dobrze kiedyś mi znanym. Koło mnie zaś stali rodzice, którzy patrzyli na mnie ze smutkiem, jakby chcieli powiedzieć, że także wiedzą, kim była ta dziewczynka-żebraczka, która zginęła w ogniu piekielnym. Obok nich stał jeszcze ktoś, w fartuchu jak cieśla, jak mój ojciec, choć znacznie młodszy, o bardzo miłej twarzy. A ja znowu zaczęłam płakać, bo ja także go dobrze znałam, kiedy byłam młodsza. Zrozumiałeś, o kogo chodzi? Odparłem: Chcesz powiedzieć, że to był nasz Pan, Jezus Chrystus? A ona, że tak, choć w złym śnie i choć ani jedno słowo nie zostało wymówione, ale tak, po tysiackroć tak. Nasz Pan, Jezus Chrystus. Nie wiedziałem, sir, co na to powiedzieć, więc spytałem: Jak on patrzył na ciebie? Tak jak ja, kiedy patrzyłam na małą żebraczkę, Farthing, tylko że nie było między nami lodowato zimnej szyby, a ja wiedziałam, że jeszcze mogę być zbawiona. Tak, sir, powiedziałem wszystko, nie oddając tylko tonacji jej głosu i okoliczności.

P: Tak objaśniła tę całą nieprawdopodobną brednię? A więc ma dojść do

świętości, zadając się i spółkując z samym Lucyferem? Człowieku, przecież powinieneś być zrzucić ją z konia do najbliższego rowu. Zasługuje na powieszenie albo ugotowanie w wosku każdy, kto uwierzyłby choć w jedno jej słowo.

O: Wtedy uważałem, że będzie lepiej, jeśli jej będę wierzył.

P: W te urojenia?

O: Tak, sir. Ona powiedziała, że upadłaby na tym nabrzeżu w Bristolu na kolana przed Jezusem i rodzicami, gdyby się nie obudziła i nie znalazła jak przedtem w jaskini, ale z wielką ulgą stwierdziła, że jest sama, choć naga i bardzo zmarznięta, bo ogień się tylko żarzył i nikogo już tam nie było. No, i wyszła, jak powiedziałem przedtem.

P: Jej zdaniem, jak zniknęli ci inni? Odlecieli na miotle?

O: Sir, spytałem ją o to, mówiąc, że ja nie widziałem, żeby wychodzili, oprócz Dicka. Ale wiedziała tyle co ja.

P: Czy nie zauważyła jakiegoś korytarza lub innego wyjścia?

O: Nie, sir, powiedziała, że pewnie oni się zamienili w jakieś zwierzęta, których ja nie dostrzegłem, uważając, że to naturalne, tak jak kruki, o których mówiłem.

P: Stare baby mogą w coś takiego uwierzyć, ale nie ja.

O: Tak, sir. Ale wobec tego ta jaskinia musi się dalej ciągnąć, leżeć pod całym wzgórzem i mieć wyjście na drugą stronę.

P: Czy sądząc po rzeźbie terenu, jest to możliwe?

O: Ja nie wiem, sir, jak tam wyglądało za tą wysoką skałą.

P: A ten dym, który widziałeś, czy nie wydobywał się z góry?

O: Chyba tak, sir. Bo przecież pięć osób nie mogło wyjść, żebym ich nie widział.

P: A to mruczenie, o którym przedtem wspomniałeś? Zapytałeś ją, co to było?

O: Tak, sir. Powiedziała, że się wydobywało z wielkiego kołowrotka, o którym mówiłem, siedziała przy nim jedna z czarownic, a obracał się szybciej niż mogły nadążyć oczy.

P: Co takiego? Przędła w zamkniętej jaskini, a tyś słyszał to z oddalenia dwustu, trzystu kroków? To niemożliwe!

O: Niemożliwe, sir.

P: Czy możesz powiedzieć, że zabiegała, byś uwierzył, że szatan z nią spółkował? Czy kiedy jechaliście konno, sprawiała wrażenie cierpiącej?

O: Nie, sir.

P: Nie widać było po niej, że jest przeniknięta obrzydzeniem i przerażeniem na

myśl, że może mieć jego nasienie w swym łonie? Czy wracała do tego ponownie?

O: Nie, sir, powtarzała tylko o wielkiej łasce, że mogła uciec i odnaleźć ponownie Chrystusa. Czyli światło, jak powiedziała.

P: A co mówiła o Dicku? Dlaczego uciekł w tak wielkim przerażeniu?

O: Nic, sir, tylko tyle, że pewno pod wpływem tego, co się stało, stracił rozum, kiedy ona leżała uśpiona tym napojem.

P: A co z tą larwą? Kiedy usłyszałeś o tym?

O: Powiedziała, że to widziała na jednym z tych gobelinów, które oglądała w swoim śnie, sir, w diabelskiej galerii. Zobaczyła tam martwą piękną młodą dziewczynę, której ciało pożerały roje larw, a jedna z nich była tak wielka, że nie sposób o niej zapomnieć.

P: Jeśli to, co powiedziała, było prawdą, to jakim cudem udało się jej uciec? To że szatan osobiście mógł się zjawić i zażądać tego, co należało do niego, zgoda, mogę w to uwierzyć. Ale w to, że się pojawił i nie zażądał nic, nie wierzę. To dziwne, że nie została zamordowana ani nie zniknęła jak inni.

O: Mówiliśmy o tym, sir. Ona wierzy, że tak się stało, ponieważ kiedy leżała w jaskini, modliła się, błagając Boga o wybaczenie jej grzechów, i przysięgała całym sercem, że nigdy więcej nie będzie tego robić, jeśli On pośpieszy jej z pomocą w tej ostatniej potrzebie. I że kiedy tam leżała, nie usłyszała odpowiedzi, a jednak we śnie czuła, że ją otrzymała. A kiedy się przebudziła i zobaczyła, że jej prześladowcy zniknęli, jeszcze bardziej się w tym upewniła. I czuła w sobie coraz większą boską obecność, światło, jak to nazywała, kiedyśmy się spotkali, i nazwała mnie dobrym Samarytaninem. A kiedy zjechaliśmy bezpiecznie w dół, ona musiała podziękować Jezusowi i ponowić obietnicę, którą złożyła przedtem. Co uczyniła, sir, zgodnie ze swą religią, trzęsąc się i łkając, jak już mówiłem.

P: Zastanów się, Jones. Natykasz się na tę dziewczynę, kiedy ona najmniej tego pragnie i się spodziewa. Wcale nie chce udać się wraz z tobą do ojca Jego Lordowskiej Mości, bo nie jest głupia. Zna dobrze mężczyzn, ciebie też i twoje wady, wie, że przelkniesz zapewne tę całą jej opowieść. Wypichciła więc dla ciebie smaczne danie, z dodatkiem zabobonu i nawrócenia, i odegrała rolę upadłej kobiety, która się kaja i potrzebuje twojej opieki. A przy tym ostrzegła cię, że to, co stało się, jest tak odrażające i straszne, że jeśli zaczniesz o tym mówić, będziesz uznany za bluźnierczego kłamcę. Co ty na to?

O: Myślałem o tym samym, sir. Nie zaprzeczam. Jednak prosząc najpokorniej

waszą czcigodność o przebaczenie, sędzę, że znam ją znacznie lepiej. Niech złodziej łapie złodzieja, jak powiada przysłowie. Ze swej strony znam pańskich kłamców, sir, bo ja sam jestem jednym z nich, niech Bóg mi to wybaczy. Co do skruchy z powodu jej przeszłości, nie wyczulem w tym żadnej gry.

P: Być może. Jednak jej opowieści o jaskini brzmią jak wierutne brednie. Ale dopadnę jej i dowiem się wszystkiego. Teraz chciałbym usłyszeć o dalszych wydarzeniach. Pojechaliście prosto do Bideford?

O: Nie, sir, bo w pierwszej wsi, do której dotarliśmy, choć wydawało się, że wszyscy śpią, strasznie rozszczękały się psy i ktoś zaczął na nas wołać, więc się przeraziliśmy, że zaczną nas gonić konstable albo poborcy, a jeszcze bardziej baliśmy się strażników z Bideford, gdybyśmy tam dojechali w nocy. Pomyśleliśmy, że lepiej będzie położyć się przy drodze i przespać aż do świtu i dopiero raniem wjechać do miasta.

P: Spaliście pod gołym niebem?

O: Tak, sir. Na małym wzniesieniu.

P: Czy mówiłeś jej znowu o tym, żeby się udać do Jego Miłości?

O: Namawiałem ją, sir, ale kiedy skończyłem mówić, powiedziała, że teraz chyba sam widzę, że to niemożliwe. Odparłem, że nie, że z pewnością zostaniemy hojnie wynagrodzeni. A ona wtedy powiedziała coś dziwnego, sir, że zna moje serce i że mówi ono innym językiem, ale jeśli wierzę tylko w złoto, choć ona wie, że tak nie jest, to ona ma aż dwadzieścia gwinei zaszytych w rąbek spódnicy i najlepiej będzie, jak ją tu zamorduję i sobie je wezmę. Na to ja, sir, że ona źle mnie osądza i że myślałem tylko o obowiązku wobec ojca Jego Lordowskiej Mości. Nie, odparła, myślałeś o złocie. Zadajesz mi kłam w żywe oczy, ja na to, i że to marna nagroda za moją dla niej pomoc. Farthing, powiada, możesz temu zaprzeczyć, ale na ciebie też spadło światło i ono cię zbawi. Najpierw sama się zbaw, odparłem. Ja też żyłam w ten sposób, ona na to, i mówię ci, świat jest skazany na potępienie. I wtedy się zatrzymaliśmy, sir, bo ja byłem wstrząśnięty, że wie tyle o mnie, i tym, jak to mówi, bo nie oskarżała mnie, nie robiła wymówek, sir, to było tak, jakby mówiło do mnie moje własne sumienie. A kiedy ja się nad tym zastanawiałem, ona ciągnęła dalej: No co, zabijesz mnie dla złota? To bardzo łatwe, tak samo ukrycie mojego ciała na tym pustkowiu. Bo to było wtedy, kiedy leżeliśmy na tym małym wzniesieniu, sir, i na milę wokoło nie było żadnego domu. Rebeka, powiadam, dobrze wiesz, że tego nie zrobię, ale co z naszym chrześcijańskim obowiązkiem? Przecież ojcu trzeba powiedzieć, co się

stało z jego synem. Co jest bardziej chrześcijańskie, ona mówi, powiedzieć mu, że poszedł do piekła, czy nie powiedzieć nic? I pamiętaj, że to ty będziesz z nim rozmawiać, bo ja tego nie zrobię. Radzę, żebyś tego zaniechał, gdyż będziesz miał same kłopoty z tego powodu i żadnej nagrody. Więc po co ci to? Skończyło się, Jego Lordowska Mość jest potępiony, a oni będą pewni, żeś ty brał w tym udział. I powiada, że jeśli mi chodzi tylko o pieniądze, to da mi połowę tego, co ma przy sobie. Przez chwilę się sprzeczałyśmy, aż wreszcie powiedziałem, że się muszę nad tym zastanowić, bo jeśli mnie któregoś dnia złapią i zaczną, wypytywać, będę w wielkim kłopotcie, jeśli powiem prawdę, a nikt tego nie będzie mógł potwierdzić, więc tylko ona może mi pomóc. Na co powiedziała, że poda mi nazwisko ojca i gdzie mieszka, i dała słowo, że potwierdzi wszystko, co powiem, jeśli ją o to poproszę. Potem już więcej nie rozmawialiśmy i przespaliśmy się jako tako. Ja wiem, pan powie, że powinienem być bardziej stanowczy, ale byłem zmordowany i cały miniony dzień wydawał mi się jak sen, bo wszystko było całkiem inaczej, niż się spodziewałem.

P: A nazajutrz?

O: Bez kłopotu przyjechaliśmy do Bideford i znaleźliśmy gospodę niedaleko nabrzeża, gdzie było spokojniej niż gdzie indziej, no, i wreszcie najedliśmy się do syta pasztetem w cieście, który choć był stary, smakował mi jak nic nigdy dotąd, tak bardzo miałem pusty żołądek. I w tej gospodzie powiedziano nam, że nazajutrz rano odpływa statek do Bristolu, co sprawdziliśmy po jedzeniu, i okazało się, że to prawda. Załatwiłem przejazd dla nas obojga, ale ona nie chciała jechać ze mną, i znowu zaczęliśmy się kłócić, ja mówiłem, że jej nie zostawię, ona z kolei mówiła, że musimy się rozdzielić. Były też inne sprawy, sir, o których nie wspomnę, żeby pana nie męczyć, ale wreszcie się pogodziliśmy. Stało na tym, że ja pojedę do Swansea, ona do Bristolu, i że nikomu nie będziemy mówić tego, co wiemy, chyba żebyśmy zostali oskarżeni. Dowiedziałem się, że mogę popłynąć do Swansea za dwa dni, tak jak mówiłem z kapitanem nazwiskiem Parry. I załatwiliśmy swoje sprawy z tymi dwoma kapitanami i wróciliśmy do gospody.

P: Czy nie pytali tam, co was do nich sprowadziło?

O: Tak, sir. A myśmy powiedzieli, że razem służyliśmy w Plymouth u jednej wdowy, ale nasza pani zmarła, więc straciliśmy pracę i wracamy do domu. I że musimy zostawić konia, ale zapłacimy za miesiąc jego utrzymania, aż zostanie zabrany, żeby nie wyglądało na to, że go ukradliśmy. I nie zapomniałem posłać kartki do Barnstaple do „Pod Koronę”, jak napisałem panu Lacy’emu, co wasza czcigodność

może sprawdzić, że tak zrobiłem, posłałem przez chłopca i dałem mu za fatygę dwa pensy.

P: Jak się nazywa ta gospoda?

O: „Barbados”, sir.

P: A co z pieniędzmi, które ci obiecała?

O: Dotrzymała obietnicy, sir. Po wieczerzy wzięła mnie do małego pokoiku na uboczu i wyliczyła mi dziesięć gwinei, choć powiedziała, że są to pieniądze z nierządu i że nie przyniosą mi szczęścia, ale byłem w wielkiej potrzebie, więc wziąłem.

P: Szybko je wydałeś, skoro w miesiąc nic z nich nie zostało.

O: Trochę wydałem, sir. Ale większość dałem mojemu bratu, gdyż bardzo ich potrzebował. Może pan go spytać.

P: Widziałeś, jak wsiadała na statek?

O: Tak, sir. Następnego ranka, i jak został odholowany, a potem postawił żagle.

P: Jak się nazywał?

O: „Elizabeth Ann”, sir. To był bryg, a kapitanem był pan Templeman albo Templeton.

P: Jesteś pewien, że dziewczyna nie wysiadła przed wypłynięciem?

O: Jestem pewien, sir. Czekałem na nabrzeżu, a ona stała przy burcie, kiedy odpływali, i pokiwała mi ręką.

P: Czy nie powiedziała czegoś ważnego przy pożegnaniu?

O: Że muszę jej wierzyć, sir. I że gdybyśmy się mieli więcej nie spotkać, radzi mi prowadzić lepsze życie.

P: W Bideford nie widziałeś żadnego śladu pobytu tam Jego Lordowskiej Mości?

O: Żadnego, sir. Może mi pan wierzyć, że rozglądałem się za nim i za Dickiem także.

P: Nazajutrz odpłynąłeś do Swansea?

O: Tak, sir. Wsiadłem na statek podczas pełnego przypływu.

P: Mimo że bałeś się morza i piratów?

O: Tak, sir, to prawda. Nigdy nie lubiłem słonej wody. Ale nie miałem wyboru, zważywszy na sytuację, w jakiej byłem. Lepsze to, niż znaleźć się w więzieniu.

P: Gdzie z przyjemnością umieściłbym ciebie. Powiadam ci, że pomyślałem, żeby pójść do rodziny Jego Lordowskiej Mości, był znacznie lepszy, bo miałbyś przynajmniej jakąś z tego korzyść. Chciałbym wiedzieć więcej, jak to się stało, że ta

dziwka zdołała cię odciągnąć od tego.

O: Może pan myśli, sir, że ona mnie omamiła, i może tak było. Ale, wasza czcigodność, jeszcze raz muszę powiedzieć, że tego dnia, kiedy z nią o tym rozmawiałem, była całkiem inną kobietą niż poprzednio. Nastąpiła w niej wielka zmiana. Teraz w jednej minucie była dla mnie o wiele bardziej przyjazna niż poprzednio w ciągu całego dnia.

P: Co to znaczy przyjazna?

O: Dużo rozmawialiśmy podczas naszej podróży do Bideford, sir. I nie tylko o terażniejszości.

P: O czym jeszcze?

O: O czasach, kiedy grzeszyła, i o tym, jak zobaczyła światło, i że nigdy już nie wróci do uprawiania nierządu. O tym, że Jezus Chrystus przyszedł na świat dla takich jak ona i ja, żeby nam pokazać drogę wśród ciemności. Pytała mnie też wiele, sir, jakbyśmy się spotkali po raz pierwszy, a ona chciała wiedzieć, kim jestem i poznać moje dawne życie. I trochę jej o tym opowiedziałem.

P: Czy podałeś jej swoje prawdziwe nazwisko?

O: Tak, sir. I całej rodziny, tego mimo wszystko nie zapomniałem. I mówiłem, że chcę ich odwiedzić, do czego mnie zachęcała.

P: Może po to, żeby się ciebie pozbyć.

O: Nie sędzę, żeby kłamała, sir.

P: Wspomniałeś przedtem, że źle mówiła o lepiej postawionych od siebie.

O: Tak, wasza czcigodność. O niesprawiedliwościach tego świata i o tym, że widziała tego dużo u madame Claiborne.

P: Na przykład?

O: Sir, błagam o łaskę, mówiłem o swoich własnych błędach, a ona powiedziała, że ci dżentelmeni, którzy przychodzili do niej do burdelu, wcale nie byli lepsi niż my, może nawet gorsi, bo oni wybrali złe życie, podczas kiedy mogli żyć dobrze, a myśmy zostali zmuszeni do złego życia, żeby zarobić na chleb. Że bogactwo niszczy dusze ludzkie, że oślepi sumienia i że świat będzie potępiony, jeśli oni nie przejrzą na oczy.

P: Krótko mówiąc, podżęgała do buntu.

O: Wasza czcigodność, powiedziała, że nie ma nadziei dla świata, dopóki grzech rządzi tymi, którzy są od nas lepsi, a którzy nie są za to karani. Że my, ludzie niższego stanu, musimy troszczyć się o nasze dusze, a nie służyć ich niegodziwości.

P: Czy nie miałeś ochoty roześmiać się, słysząc takie słowa z jej ust?

O: Nie, sir, gdyż wydawały mi się szczerze. To nie było takie sobie gadanie, i kiedy ja powiedziałem, że nie do nas należy sądzić lepszych od nas, ona starała się mnie przekonać, zadając mi różne pytania. Mówiła też, że ja tego nie przemyślałem dostatecznie i że przyjdzie nowy świat, na który wszyscy muszą zasłużyć już teraz. Bo w niebie nie ma podziałów. I mówiła, że we mnie jest też dobro. Ja wiem, że pana zdaniem my, Walijczycy, nie mamy w sobie nic dobrego i że wszyscy jesteśmy niegodziwcami. Z całym szacunkiem dla waszej czcigodności muszę powiedzieć, że my, Walijczycy, jesteśmy zrozpaczonymi biednymi ludźmi, a los tak rzadko nam sprzyja, że nasze błędy są skutkiem naszej biedy. W głębi serca nie jesteśmy źli, a raczej przyjacielscy i religijni.

P: Znam twoją przyjaźń i twoją religijność, Jones. Pierwsza to wyłącznie zdrada, a druga odszczepieństwo. Jesteście plagą wśród przyzwoitych narodów. Bolesnym wrzodem na tyłku tego królestwa, niech Bóg ci przebaczy.

O: Czasami tak, sir. Kiedy nie wiemy, jak postąpić.

P: Czyli przez cały czas. Czy mówiła coś więcej o Jego Lordowskiej Mości?

O: Że mu przebaczyła, sir, choć Bóg mu nie przebaczy.

P: Jak śmie ta bezwstydną ladacznica wybaczać swoim panom i powoływać się na wolę Boga?

O: Szedłem wtedy, prawie zasypiając, taki byłem zmordowany, i okropnie bolały mnie nogi. Nie bardzo wiedziałem, co się wydarzyło tego dnia. Kiedy ją tak prowadziłem, wydawało mi się prawdą.

P: To ona ciebie prowadziła, ty nicponiu. Czy jechała na koniu?

O: Tak, sir. Od czasu do czasu zsiadała, żebym mógł odpocząć.

P: Byłeś aż tak zmęczony, że przestałeś odgrywać rolę galanta? Dlaczego nie odpowiadasz?

O: No, cóż, wasza czcigodność, widzę, że muszę powiedzieć wszystko, choć to nie ma związku z pańską sprawą. Kiedy wypoczywaliśmy tej nocy niedaleko Bideford, było jej zimno i leżała koło mnie na tym wzniesieniu odwrócona plecami, ale tylko ze względu na ciepło, i ona powiedziała, że mi wierzy, że jej nie wykorzystam. I tak rzeczywiście było, i kiedy tak leżeliśmy, powiedziałem jej, co jest prawdą, że kiedyś byłem żonaty, ale to się źle skończyło z mojej winy, bo piłem i moja biedna żona umarła ze zgryzoty. I że nie jestem wcale dobry i dość marna ze mnie figura w porównaniu z innymi, których znała. Ale gdyby chciała mnie wziąć, to ja wziąłbym ją i

się z nią ożenił, i moglibyśmy żyć uczciwie, tak jak ona chce teraz żyć.

P: Człowieku, rano spółkowała z szatanem, a ty chciałeś ją mieć tego samego wieczora?

O: Sir, ona potem obcowała z Chrystusem, w każdym razie tak mówiła.

P: Zezwoliłeś na takie bluźnierstwo?

O: Nie, sir, ja wierzyłem, że ona żałuje za swoje grzechy.

P: I dojrzeła do twej żądz.

O: Nie zaprzeczę, sir, że przedtem bardzo zazdrościłem Dickowi uciech z nią. Mam swój męski wigor, a ona bardzo mi się podobała, zwłaszcza kiedy była taka szczerą, jak też i jej ciało. Pomyślałem sobie, że jeśli się z nią ożenię, to mnie wprowadzi na dobrą drogę.

P: Ale ta nowo narodzona święta nie chciała ciebie?

O: Powiedziała, że nie chce wychodzić za mąż, sir. Że to miło z mojej strony, że chcę wziąć za żonę kogoś tak skalanego i grzesznego jak ona, i jest mi bardzo wdzięczna, ale nie może wyjść za mnie, bo podczas tych najgorszych chwil przyrzekła sobie w jaskini, że nigdy więcej już nie zazna mężczyzny z własnej woli.

P: I taka odpowiedź ci wystarczyła?

O: Sir, następnego dnia znowu jej o tym wspomniałem. Na co odparła, że jestem dobrym człowiekiem, że pomyśli o mojej propozycji, gdyby zmieniła swoje zamiary. Ale teraz nie ma na to żadnej chęci, szczerze mówiąc, wręcz przeciwnie. A w ogóle to najpierw musi zobaczyć się z rodzicami.

P: Gdybyś tylko miał okazję, to zdarłbyś z niej tę całą udaną pobożność.

O: Nie miałem żadnych szans, sir.

P: Ja ją jeszcze dopadnę. Mnie ona nie omami swoimi niewinnymi minami i czczą gadaniną, tym całym swoim układnym kwakierstwem, na niebiosa, nie!

O: Życzę panu powodzenia, sir.

P: Nie potrzeba mi życzeń od takich jak ty.

O: Przepraszam, sir.

P: Jones, jeśli skłamałeś w jednym choćby szczególe, to będziesz wisiał, zapewniam cię.

O: Tak, sir, wiem o tym dobrze. Myślę, że wszystko dokładnie opowiedziałem.

P: Jesteś zbyt wielkim tumanem, żeby być skończonym łajdakiem. To jedynie jest w tobie dobre. A teraz idź sobie, będziesz do mojej dyspozycji. Jeszcze cię nie zwolniłem. Mieszkanie masz opłacone i zostań w nim, dopóki wszystko się nie

wyjaśni. Czy to jasne?

O: Tak, sir. Pokornie dziękuję waszej czcigodności. Niech Bóg ma pana w swej opiece.

Wasza Miłość,

Z największą pokorą, jako sługa Waszej Miłości, zawsze posłuszny Jego poleceniom, proszę o przyjęcie z wielką cierpliwością tego, co załączam. O, gdybym mógł znaleźć sprzymierzeńca w tej materii, jednak nie mogę, bowiem obowiązuje mnie odwieczna zasada mego powołania, że *testis unus, testis nullus*. Może ona być dobrze zastosowana do tego obecnego zeznania, w którym jeden świadek jest znanym kłamcą i oczywistym nieponiem, a w tym przypadku informuje o drugim świadku, który, można przypuszczać, jeszcze bardziej kłamie. Jednak po prawdzie muszę, Wasza Miłość, stwierdzić, że choć ten Jones najwyraźniej zasługuje na stryczek, to wierzę, iż nie kłamie, jeśli chodzi o istotę naszej sprawy. Dlatego musimy mieć nadzieję, że ta przebiegła dziwka go oszukała.

Wszystko zostało poruszone, żeby ją odnaleźć, co z Bożą pomocą nam się uda. A wtedy już ja się nią zajmę. Ten nicpoń Jones stale siebie wysuwa na pierwszy plan. Wasza Miłość z pewnością zna jemu podobnych, on reprezentuje wszystko, co najgorsze, a czego jest dużo w jego podłym narodzie. Jestem pewien, że nigdy nie był w wojsku, nie powąchał nawet prochu. To raczej przerażony węgorz, który złapany ucieknie z każdego garnka.

Teraz zaś proszę Waszą Miłość, który tak dobrze zna Jego Lordowską Mość i wszystko, co można mu zarzucić, by wziął jeszcze jedną okoliczność pod uwagę. Niestety nie ulega wątpliwości, że sprzeciwiając się życzeniom Waszej Miłości, popełnia On najbardziej odrażający grzech przeciw rodzinie, jednak zawsze, co przemawia na Jego korzyść, jak kiedyś Wasza Miłość zauważył, w szczęśliwych czasach sprawiał wrażenie, że nie jest skażony grzechami, zbyt często występującymi wśród dzisiejszych młodych ludzi w jego wieku i równym Mu stanem, a więc nie tym ohydny i ciemnym grzechem, o którym się teraz mówi. Wasza Miłość, mogę uwierzyć, iż są dżentelmeni, którzy popadli w taką nieprawość, ale nie ten, który ma zaszczyt być synem Waszej Miłości. Mój rozum także nie wierzy, jak również bez wątpienia rozum Waszej Miłości, w to, iż czarownice, o których jest mowa, przetrwały ostatnie stulecia. Krótko mówiąc, błagam Waszą Miłość o cierpliwość. I proszę Go, by nie uwierzył w tę domniemaną odrażającą przewinę, której załączone przesłuchanie

nie potwierdza.

Bardzo zasmucony i zawsze najbardziej posłuszny Waszej Miłości

Henry Ayscough

Bristol, Froomgate
środa, 15 września 1736

Sir,

Miałem zaszczyt otrzymać list Pański i przesyłam również jak najbardziej uprzejme pozdrowienia. Pragnę też dodać, że Pański niezwykle czcigodny klient może być pewien, iż zawsze jestem na jego rozkazy we wszystkim, co Go dotyczy. Czuję się zaszczycony, iż mogłem pomagać dżentelmenowi tak wybitnemu jak Pan w naszym zawodzie w tej sprawie z ubiegłego roku, w związku z czym muszę poinformować, że ostatnio byłem na sesji sądu (na jeszcze jednym pomyślnie zakończonym procesie) prowadzonej przez sędziego G. i że uczynił mi on honor, prosząc prywatnie, bym przekazał wyrazy szacunku dla naszego klienta i zapewnił Go o swoim najbardziej przychylnym zainteresowaniu w każdej następnej sprawie, którą sir Charles zechciałby mu powierzyć, którą to wiadomość, wielce Szanowny Panie, z radością czuję się zobligowany przekazać Panu, nim przystąpię do mego obecnego nad wyraz smutnego i delikatnego zadania.

Sir, może Pan raz jeszcze zapewnić Jego Miłość, że nic nie jest dla mnie droższe nad dobre imię naszej arystokracji, tego wybitnego i boskiego bastionu, który połączony z majestatem Króla, jest opoką bezpieczeństwa i dobrobytu naszego narodu, na której zawsze musi on się opierać, i że wszelkie dochodzenia, zgodnie z Pańską wolą, będą prowadzone w największej tajemnicy.

Wszędzie się dopytywałem o kobietę, której Pan szuka, i dowiedziałem się, że pojawiła się w naszym mieście, i to pod adresem, który podała, mniej więcej w czasie podanym w Pańskim liście, chociaż żaden z moich informatorów nie mógł ustalić bardziej dokładnej daty niż pierwszy lub drugi tydzień maja tego roku. Dowiedziała się, co jest prawdą, że jej rodzice trzy lata temu wyprowadzili się stąd do innego miasta, gdzie przebywają członkowie ich sekty, podobno do Manchesteru, i tutaj już nie mieszkają. W Manchesterze żyje jakoby brat jej ojca, który nakłonił ich do przenosin, wabiąc lepszymi warunkami życia. I tak też zrobili, zabierając ze sobą pozostałą trójkę dzieci, tak że nikt z ich rodziny nie został w naszym mieście. Ta trójka to dziewczynki, nie mają one brata.

Ojciec nazywa się Amos Hocknell, jego żona ma na imię Marta, z domu Bradling albo Bradlynch, i pochodzi z Corsham, w Wiltshire. Hocknell był tutaj

uważany za dobrego cieślę i stolarza, choć nieugiętego w swej herezji. Ostatnio był zatrudniony przez radnego miejskiego pana Diffreya, znakomitego kupca i budowniczego statków w naszym mieście, i robił wyposażenie kabin jego statków. Znam pana Diffreya, który mi powiedział, że nie miał żadnych zarzutów, jeśli idzie o pracę Hocknella, który nie potrafił niestety zostawić w domu swoich kazań i proroctw, stale próbując nawracać wszystkich wokół siebie i odciągnąć od naszej religii, do której mój drogi przyjaciel, pan D., jest bardzo przywiązany. Dlatego też, kiedy pewnego dnia przekonał się, że Hocknell potajemnie skaptował dwóch jego terminatorów na swoją fałszywą wiarę, wymówił mu pracę, co Hocknell nazwał niesprawiedliwością i prześladowaniem, choć pan D. ostrzegwał go wiele razy, że nie zniesie tego, co Hocknell uporczywie robił, a co wtedy zostało dowiedzione. Człowiek ten jest gwałtowny i zaciekły, zarówno w poglądach politycznych, jak i religijnych. Pan D. tak to określił: „Pogrążony w fałszywej wolności jak sztokfisz w beczce z solą”. Na podstawie czego może Pan wywnioskować, jaki to człowiek. Pan D. również powiedział mi, że kiedy wymówił Hocknellowi, ten miał czelność zawołać, że „każdy może najać jego ręce, ale żaden człowiek, nawet król ani Parlament, nigdy nie najmie jego duszy”. Podobno ten człowiek swego czasu zamierzał zabrać rodzinę i wyjechać do amerykańskich kolonii (gdzie chciałbym z całego serca, żeby wszyscy tego rodzaju fanatycy byli zesłani), czego jednak nie zrobił. Konkluzja jest następująca: prawie z całą pewnością można będzie go znaleźć w manchesterskim domu zebrania kwaków, gdyż jest to, o czym Pan musi wiedzieć lepiej niż ja, sir, niewielkie miasto w porównaniu z tym, z którego piszę.

Osoba wzmiankowana twierdziła, że przyjechała z Londynu, gdzie była służącą, ale nikt nie pamięta, by podała nazwisko chlebodawców oraz ich adres. Wedle mej najlepszej wiedzy zatrzymała się najwyżej na godzinę w domu sąsiadki, która powiadomiła ją o tym, co powiedziałem wyżej, i odeszła, mówiąc, że bez zwłoki musi jechać do Manchesteru, gdyż z wielką niecierpliwością czeka na spotkanie z rodzicami. Sir, muszę wyjaśnić, że na skutek fatalnego zbiegu okoliczności dla naszej sprawy owa wzmiankowana sąsiadka, starsza wiekiem kwakierka, zmarła na wodną puchlinę trzy tygodnie przed otrzymaniem Pańskiego listu, i wszystko to opiera się na tym, co mówiła innym sąsiadkom. Tak więc jest świadectwem opartym wyłącznie na słowie mówionym, ale sądzę, że można w to wierzyć.

Co do przeszłości tej osoby, mój człowiek niewiele więcej potrafił się dowiedzieć z powodu uporu jej współwyznawców w tym mieście, którzy wszelkie

dochodzenia, choćby najbardziej uzasadnione prawnie, uważają za narzuconą im tyranię. Jednak znalazł kogoś, kto powiedział, że owa dziewczyna uciekła od kwakierstwa i została stracona dla ich wiary i świata po tym, jak pięć, może sześć lat temu została przyłapana na grzechu z niejakim Henrym Harveyem, synem chlebobawców, u których po raz pierwszy w życiu pracowała, i że została wyrzucona przez swoją panią, a potem przez własnych rodziców, którzy byli zdania, że okazała zbyt małą skruchę, ponieważ to ona doprowadziła młodego człowieka do popełnienia wspólnego grzechu. Zniknęła wtedy na długo i nikt nic o niej nie słyszał, aż ostatnio tu wróciła (o czym nikt nie wiedział, z wyjątkiem wzmiankowanej sąsiadki, ani z nią nie rozmawiał, nim znowu nie odeszła).

Na koniec pragnę Pana poinformować, że nie jesteśmy pierwszymi, którzy pytali o tę osobę, gdyż owa sąsiadka powiedziała memu człowiekowi, że w czerwcu tego roku ktoś inny jeszcze dowiadywał się o nią, mówiąc, że przybył z Londynu i ma dla niej list od jej pani, ale ani jego wygląd, ani obyczaje nie wzbudziły zaufania tych zazdrosnych i podejrzliwych ludzi, którzy powiedzieli mu tylko tyle, że podobno pojechała do Manchesteru, co słysząc człowiek ten odszedł i więcej ich nie niepokoił. Sądzę, że Pan będzie wiedzieć, co z tym zrobić.

Piszę w pewnym pośpiechu, nim zajmę się następną sprawą, która zostanie załatwiona tak szybko, jak na to pozwolą okoliczności. Proszę być pewnym, że napiszę na ten temat, jak tylko to będzie możliwe, i pozostaję we wszystkich sprawach Pańskim najbardziej pokornym, wiernym i posłusznym sługą

Richard Pygge, prawnik

Bideford, 20 września

Sir,

Spędziłem ostatnie dwa dni w miejscu, które Pana tak bardzo interesuje, i piszę, póki wszystko jest świeże w mojej pamięci. Miejsce to znajduje się wedle moich obliczeń o dwie i pół mili od brodu przy drodze prowadzącej do Bideford, a poszukiwana przez nas dolina ma tak porośnięte lasem zbocza, że przypomina raczej wąwóz, jak to się często zdarza w tych okolicach. Jaskinia znajduje się przy otoczonej murawą sadzawce z wodą pitną dla zwierząt. W górnej części bocznej doliny, odchodzącej od tej wzmiankowanej, prowadzi do niej boczna ścieżka długości przeszło półtora mili aż do brodu przy głównym trakcie. Jest to zupełne pustkowie, dolinę odwiedzają najwyżej pasterze ze względu na wrzosowisko w górnych partiach. Pewien człowiek, nazwiskiem James Lock i jego syn, z parafii Dacombe, byli przy jaskini, kiedy tam dotarliśmy. Powiedział nam, że co roku przybywa tu latem ze swoim stadem. Jest to człowiek prosty, taki sam analfabeta jak jego owce, ale sądząc po jego sposobie bycia – uczciwy.

Miejsce to cieszyło się zawsze złą sławą, znane jemu oraz innym pasterzom jako Jaskinia Dollinga od nazwiska przywódcy rozbójników, którzy za czasów jego pradziadka mieszkali w jaskini, prowadząc hulaszczy tryb życia na wzór Robin Hooda (tak przynajmniej twierdzi ów Lock). Długo unikali kary dzięki temu, że miejsce to jest tak odległe, a poza tym byli bardzo przebiegli, gdyż napadali z dala od swej kryjówki, a nie w sąsiedztwie. O ile mi wiadomo, nigdy nie stanęli przed sądem i w końcu się stąd wynieśli. Na dowód tego pokazał mi wyryte prymitywnie w skale litery W. D. J. D., czyli Własny Dom Johna Dollinga. Jak widać, rozbójnik ten uważał się za właściciela „nieruchomości”.

Lock opowiedział mi także o przesądach dotyczących wysokiego kamienia, który stoi przy sadzawce. Podobno przyszedł tu kiedyś do pewnego pasterza diabeł, żeby kupić od niego jagnię, jednak kiedy ustalono cenę i pasterz powiedział, że może wybrać sobie, które chce, szatan wskazał na synka pasterza. Wtedy owczarz domyślił się, z kim naprawdę ma do czynienia, i tak się przestraszył, że zapomniał języka w gębie. Dlaczego nic nie mówisz, powiada Belzebub, czyż Abraham nie zrobił podobnej transakcji? Na to pasterz, widząc, że ma do czynienia z przeciwnikiem, który chce go zmusić do handlu duszami, uderzył go swoją laską pasterską, ale nie trafił w diabelski

łeb, tylko w ten wysoki kamień, i laska złamała się na pół. Pasterz wkrótce pocieszył się z powodu tej straty, ponieważ dusza syna została uratowana od zagłady, a ponadto diabeł nigdy więcej nie odważył się pokazać w tym miejscu swej bezwstydnej fizjonomii, stąd też od tej pory skała ta została nazwana Diabelskim Kamieniem. I może dlatego wielu okolicznych parafian uważa to miejsce za przeklęte i go unika. Ale nie Lock ani jego ojciec (swego czasu również pasterz), wręcz przeciwnie, ceni sobie dobre soczyste pastwiska, izolację owiec od zakaźnych chorób, jaskinię, którą latem może wykorzystywać jako mieszkanie i produkować w niej sery. Mam nadzieję, sir, że nie będzie mnie Pan uważał za zbyt przyziemnego, kiedy wyliczam te szczegóły, gdyż prosił mnie Pan, bym niczego nie pomijał, choćby nawet to było mało istotne.

U wejścia jaskinia ma szerokość piętnastu kroków, a w najwyższym swoim miejscu dwukrotną wysokość człowieka, potem biegnie jakieś czterdzieści kroków, skręcając ostro (z początku wydaje się, że ta pierwsza część jaskini kończy się litą ścianą) pod prymitywnie wyciosanym łukiem, który, zdaniem Locka, był dziełem natury i został rozszerzony być może przez tego łajdaka Dollinga i jego bandę. Za tym łukiem znajduje się bardziej rozległa sala. Byłem tam i stwierdziłem, że jest w kształcie nieregularnego owalu, liczy pięćdziesiąt kroków długości i trzydzieści dwa kroki szerokości. Sklepienie jest wysokie i w jednym miejscu dostrzegłem szczelinę, jak w kominie, przez którą przedostaje się słabe światło, nie widać jednak nieba. Ziemia w środku jest wilgotna, choć niezbyt mocno, i Lock powiada, że musi tam być jakiś odpływ. On nie używa tej sali z powodu panujących ciemności, tylko przechowuje w niej sery.

A teraz, sir, przechodzę do bardziej szczegółowego śledztwa. Za Pańską radą wzięłem latarnię i dzięki niej natrafiłem na popiół w środku tej wewnętrznej sali, jakby po wielkim ogniu albo wielu ogniskach rozpalanych, powiedział mi Lock, nawet, nim go spytałem, przez Egipcjan, przybywających tu dość regularnie podczas swych zimowych wędrówek. Niektóre ich bandy podobno zimą wędrują do Kornwalii na zachód, a wiosną wracają na wschód. Kiedy zacząłem go bardziej dokładnie wypytywać, powiedział mi, że kiedy tu wraca, przeważnie na początku czerwca (w tym roku też tak było), prawie zawsze znajduje ślady ich pobytu; tak też było za czasów jego ojca. Jednak on sam nigdy ich nie spotkał w tym miejscu, bo są to ludzie bardzo tajemniczy, mają własny pogański język i obyczaje, nigdy jednak nie wyrządzili mu szkody ani nie przeszkadzali podczas jego letniej obecności w jaskini, a nawet kiedyś znalazł stos drewna na opał i do grodzenia, celowo zostawionego, żeby wyschło, i

bardzo mu się ono przydało, za co był im wdzięczny.

Muszę tutaj zauważyć, że ten popiół dziwnie śmierdział, inaczej niż spalone drewno, jakby siarką lub wiotriolem, nie potrafię tego inaczej określić. Być może sprawiła to konstytucja skały, na której popiół leżał, i żar ognia wciągnął jakieś smoliste emanacje, których cząsteczki pozostały do dziś, choć nie jestem kompetentny, żeby wypowiadać się w tej materii. Spytałem Locka, co myśli o tym zapachu, ale on go chyba wcale nie zauważył, i powiedział, że nie czuje nic niezwykłego. Jednak mnie się wydaje, że nos ma zatłoczony jeszcze gorszym zapachem swoich owiec i serów, i że się nie myliłem. Mój pomocnik, który był z nami, potwierdził moje wrażenie. Potem mieliśmy dalszy dowód, że się nie myliłem, dojdę do tego, choć nie znajduję na to dobrego wyjaśnienia. Poruszyliśmy popiół, żeby się przekonać, czy jest tam coś więcej prócz węgla drzewnego, ale nic nie znaleźliśmy. W niskim kącie, właściwie we wnęce, Lock pokazał nam stos kości. Większość była od małych zwierząt, królików i drobiu, i sam nie wiem czego jeszcze, bez wątplenia rzuconych tam przez niechlujnych Egipcjan podczas ich biesiad. Lock powiada, że tej wewnętrznej sali używają zimą częściej niż on, co łatwo wytłumaczyć, gdyż jest ona lepiej chroniona przed wiatrem i chłodem tej pory roku.

Muszę dodać, sir, nim zapomnę, i w odpowiedzi na inne Pańskie pytania, że szukałem starannie z latarnią, ale nie znalazłem żadnego wyjścia z wyjątkiem tego, którym weszliśmy, i Lock był całkowicie pewien, że nie ma tu innego, oprócz tego jakby, wspomnianego przedtem, komina. Dokładnie go obejrzałem, jest to zaledwie szczelina, przekonałem się o tym, gdyż potem wdrapałem się na wzniesienie i znalazłem miejsce, gdzie ona jest widoczna: mogłoby się w nią wcisnąć najwyżej dziecko, ale nie dorosły mężczyzna. Bez drabiny nie można też do niej sięgnąć z jaskini. Również w przedsionku koło wejścia nie spostrzegłem nic, co by nas interesowało.

A teraz przechodzę, sir, do ostatniej sprawy, czyli ognia przed jaskinią. Wypalone miejsce znajduje się w odległości prawie dwudziestu kroków, nieco z boku murawy. Zauważyłem je zaraz po przybyciu, ponieważ Lock ogrodził je płotkiem, żeby nie wchodziły tam owce. Popiół został zmyty przez deszcze, jednak ziemia pozostała tu ciemna i jałowa, i nic nie urosło na niej od czasu, kiedy palono tu ogień. Lock powiada, że w poprzednich latach Egipcjanie nie rozpalali tu swoich ognisk, to znaczy na zewnątrz, i nie wie, czemu minionej zimy odstąpili od tego zwyczaju. Jego owce, ledwie je tam przypędził, zaczęły zlizywać resztki owego paleniska, jakby coś

podsycało ich apetyt, i choć żadne ze zwierząt nie rozchorowało się, Lock w obawie, że to się może stać, ogroził to miejsce, jednak owce nadal próbują się tam dostać, mimo że wokół mają pod dostatkiem soczystej trawy.

Ta wypalona łąka ma jakieś dziewięć kroków szerokości. Stałem na niej i kiedy się pochyliłem, poczułem tę samą siarczaną woń co wewnątrz. Kazałem memu pomocnikowi uklęknąć i zebrać próbki tej ziemi. Czyniąc to stwierdził, że śmierdzi jak przedtem w jaskini, co potwierdza kawałek (załączam go), który mi podał, i zauważyłem, że jest bardzo mocno spieczony niczym skorupa: *id est*, wytrzymał niszczycielskie skutki wiosennych wielkich deszczy. Kazałem Lockowi przynieść palik od ogrodzenia, którym mój pomocnik przekopał kawałek w głąb i przekonał się, że cała ziemia w tym gołym miejscu jest spieczona aż do głębokości czterech, pięciu cali, i trudna do zbadania bez dalszego wzruszenia, co świadczy o wielokrotnym rozpalaniu tu wielkich ognisk (do czego w pobliżu został zgromadzony duży zapas drewna, moim zdaniem zbyt duży jak dla zwykłych celów gotowania i ogrzewania).

Spytałem Locka, czy ten brak trawy tutaj nie wydaje mu się dziwny, na co on przytaknął, i stwierdził, że to może Egipcjanie zatruli ją, przygotowując swoje eliksiry i medykamenty. W tej części Królestwa, sir, ludzie uważają, że potrafią oni wytwarzać niezwykle skuteczne ziołowe leki, dzięki czemu zarabiają na życie, sprzedając ignorantom te swoje pseudoapteczne mikstury, ale ani ja, ani mój pomocnik nie wierzymy w to, żeby tak wielki ogień był potrzebny do tych celów, jeśli w ogóle jest potrzebny. Mój pomocnik słusznie zauważył, że to wygląda jak ziemia w jamie do wytapiania rudy, choć nie dostrzeżliśmy tam żadnych śladów metalu lub czegoś podobnego. Nie sądzę też, żeby w sąsiedztwie znano użytkową rudę. (Uwaga nawiasowa: można jej znaleźć pod dostatkiem na wzgórzu Mendip, w pobliżu Bristolu.)

Obawiam się, że muszę Pana zostawić z tą wielką zagadką nie rozwiązaną, sir, zapewniam, że nie wynikało to z braku mej wytrwałości na Pańskie polecenie ani mego zainteresowania. Mimo to nie doszedłem do żadnych pewnych wniosków. Żeby się zbyt nie rozwodzić, odpowiem teraz na kilka pozostałych kwestii:

1. Nikt nie słyszał o odwiedzinach w tym miejscu dżentelmena podróżnika czy naukowca. Nie ma tam sławnych wód i wiadomość o istnieniu tej sadzawki nie wykracza poza parafię. Pan Beckford (który zasyła pozdrowienia) nie wiedział o jej istnieniu, dopóki o nią nie spytałem, choć przecież mieszka w pobliżu.

2. Spytałem Locka o owego powieszzonego człowieka i o wszystko, co potem

nastąpiło, on stwierdził, że to sprawka złodziei, i wcale nie był tym zdziwiony. Ponieważ nie ma lepszego wyjaśnienia, jest to powszechna w okolicy opinia, choć niczym nie uzasadniona. Kiedy spytałem, czy są jakieś dalsze dowody, że w okolicy grasują tak okrutni złodzieje, powiedział, że nie ma. Przypomniałem sobie wtedy tę głupią opowieść o lądowaniu francuskich piratów, ale nie ma na to żadnych dowodów, by mogli się przedostać tak daleko w głąb kraju (nie było żadnego precedensu w ciągu minionych osiemdziesięciu lat). Oni zwykle po wylądowaniu rabują to, co leży w zasięgu ręki, i szybko uciekają, o czym dobrze wie nasza straż morska.

3. Lock zeznał pod przysięgą, że nie zauważył nic niezwykłego podczas swego pobytu latem w jaskini. Nie było też żadnych odwiedzających, prócz jego rodziny, mnie i mego pomocnika. Nie mam niestety istotnych nowych informacji (oprócz domysłów na temat owych piratów) od wzmiankowanego pana Beckforda, Puddicombe'a czy innych, których mi Pan wymienił.

4. Nie zauważyłem świeżo skopanej ziemi w pobliżu jaskini, gdzie mógłby zostać ktoś pochowany. Również ani Lock, ani jego syn, doskonale obeznani z okolicą, nie zauważyli niczego takiego.

5. Istotnie znajduje się tam górujący, dobry do obserwacji punkt, jaki opisał człowiek, którego Pan przesłuchiwał. Wszystko inne również dość dobrze odpowiada podanej topografii. Przynajmniej w tej materii może Pan mu wierzyć.

6. Z tego, co ponoć pozostawiono na dole oraz dwóch koni nie znalazłem żadnych *vestigia*, choć po prawdzie okolica w niższych partiach jest tu dzika i być może szukaliśmy nie tam, gdzie należało; jednak przeszukiwaliśmy wszelkie prawdopodobne miejsca koło strumienia i odeszliśmy z pustymi rękami. W pobliskich wioskach nikt nie wie o bezpańskich koniach lub jakichś pozostawionych rzeczach. Prawdopodobnie Egipcjanie natknęli się na te konie, i gdyby tak było, mogli, choć nie jest to pewne, zabrać je, tak samo jak to, co pozostało z bagażu. O koniu człowieka, którego Pan przesłuchiwał, postaram się wkrótce dowiedzieć.

7. Co do czarownic, to Lock mówi, że jedna żyje w jego wsi, ale ona należy do tych, które tu nazywają „białymi” albo „łagodnymi”, zajmują się raczej leczeniem kurzajek i chorych owiec niż złymi praktykami, opiekują się też ludźmi starymi i chorymi. Nie słyszał o żadnych sabatach czarownic i stanowczo twierdził, że w zimie nikt tu nie mógł być z wyjątkiem owych Egipcjan; że nigdy nie widział tu żadnej obcej kobiety, z wyjątkiem własnej żony i córki, które czasem przynoszą mu strawę i zbierają czarne jagody (które rosną tu bujnie w sierpniu). Może jednak Locka mniej

niż innych, podobnych mu, interesują czarodziejskie sztuczki, gdyż pan B. powiada, że ludzie tu powszechnie w to wierzą. Co prawda on sam od swego przybycia miał tylko jedno oskarżenie o czary, które zresztą okazało się bezpodstawne, gdyż po prostu pokłóciły się dwie stare kobiety i jedna na drugą doniosła. Jednak wielu jego parafian, tak jak ich przodkowie, wierzy w to.

8. Od początku tej doliny, przecinając Exmoor, można po siedmiu milach dojść do drogi, która prowadzi z Barnstaple do Minehead. Ścieżka ta jest ukryta i nie znana obcym; ale niektórzy bardziej zdeterminowani mogą nią przejść, jeśli *qualibet* będą iść na pomoc, wtedy muszą w jednym miejscu przeciąć gościniec biegnący ze wschodu na zachód. Najłatwiej to zrobić latem, kiedy jest sucho. Ktoś, kto pragnie podróżować w tajemnicy, może ominąć wtedy Minehead i Watchet, jedyne dwa znaczniejsze miasteczka przed Bridgewater i Taunton. Będę wracać tą drogą i rozpytam się dyskretnie, jak Pan mi nakazał, i natychmiast napiszę, jeśli znajdę jakieś nowe dowody – w przeciwnym razie odezwę się po powrocie do Bristolu.

Jest mi ogromnie przykro, sir, że nie mogę obecnie nic więcej istotnego stwierdzić w sprawie tak ważnej dla Pana i Jego czcigodnego klienta.

Mam zaszczyt być pańskim najbardziej pokornym, wiernym i posłusznym poszukiwaczem i sługą

Richard Pygge

Bristol, 23 września

Sir,

Obawiam się, że z niczym wróciłem do Bristolu, ponieważ nie natrafiłem na żadne ślady czcigodnej osoby w miastach i miasteczkach, które odwiedziłem podczas mej ostatniej podróży. Nie mogę też stanowczo stwierdzić, że ta osoba tamtędy nie przejeżdżała, gdyż trop się urwał. Nawet gdyby ktoś podróżował jawnie (i ja mógłbym prowadzić moje dochodzenie w ten sam sposób), muszę z szacunkiem zwrócić uwagę, że po tak długim czasie istnieje bardzo niewielkie prawdopodobieństwo lepszego rezultatu. Gdyby niemy służący był przez cały czas z Jego Lordowską Mością, można by liczyć na lepsze wyniki ludzkiej pamięci, ale nie mamy tego atutu. Barnstaple i Bideford to miasta bardzo ruchliwe i często odwiedzane podczas łagodniejszych pór roku z powodu handlu zarówno irlandzką wełną, jak i walijskim węglem, tak samo drogi prowadzące do nich z Taunton, Tiverton, Exeter i nawet z Bristolu.

W Bideford poborca podatkowy, pan Leverstock, mógł tylko potwierdzić, sprawdzając swój rejestr, że dnia 2 maja bieżącego roku statek „Elizabeth Ann” (kapitan Thomas Templeford) wypłynął do Bristolu, a następnego dnia statek węglowy „Henrietta” (kapitan James Parry) udał się do Swansea, jak zeznał pod przysięgą przesłuchiwany przez Pana człowiek.

Podobnie wyżej wzmiankowany powiedział prawdę co do gospody „Barbados”, gdzie pamiętano jego towarzyszkę, choć nie zwrócono specjalnie na nich uwagi, gdyż uwierzono w to, co powiedzieli. Po wyjeździe dziewczyny mężczyzna przechwalał się, że pojechała prosić rodziców w Bristolu o zezwolenie na ślub z nim.

A teraz muszę poinformować Pana, że konia, którego tam zostawili, sprzedano, i właściciel gospody twierdzi, że miał pełne po temu prawo, gdyż trzymał go przez opłacony z góry miesiąc i oprócz tego jeszcze następny, i już dłużej nie mógł. Nie chciał jednak oddać otrzymanych za niego pieniędzy, choć zagroziłem mu, że stanie przed sądem i będzie powieszony za kradzież konia, co żałuję, że się nie stało, ponieważ to człowiek bezczelny i arogancki, i, jak powiedział mi pan Leverstock, wielki przyjaciel szmuglerów. Panu z pewnością nie zależy na tak skromnej sumie, więc poniechałem tej sprawy.

Oczekuję, sir, na Pańskie dalsze instrukcje *in re* i jednocześnie załączam z szacunkiem rachunek moich wydatków i pieniędzy założonych do dnia dzisiejszego,

zapewniając, że zawsze może Pan liczyć na swego niezwykle oddanego i posłusznego
sługę

Richard Pygge, prawnik

Londyn, 1 października

Wasza Miłość,

Piszę w wielkim pośpiechu. Osoba poszukiwana została odnaleziona, choć ona sama jeszcze o tym nie wie. Mój pracownik jest całkiem pewien, ponieważ zabrał Jonesa, żeby ten ją zobaczył z ukrycia, co też uczynił, i stwierdził z całą pewnością, że to jest ona. Ostatnio poślubiła niejakiego Johna Lee, kowala z Toad Lane w mieście Manchester, i od kilku miesięcy jest brzemienna, ale to nie może być jego dziecko. Ponoć Lee jest kwakrem, podobnie jak ona. Żyją bardzo nędznie, mieszkają w piwnicy, jak twierdzi mój urzędnik, gdyż Lee nie ma stałej pracy. Przez sąsiadów nazywany jest kaznodzieją. Ta kobieta odgrywa teraz rolę gospodyni domowej i osoby bardzo pobożnej. Jej rodzice i siostry również mieszkają w tym mieście, jak napisał pan Pygge. Sądzę, że nie muszę zapewniać Waszej Miłości, iż przystąpię natychmiast do działania, i zważywszy na pilność sprawy pokornie proszę o wybaczenie krótkości niniejszego listu. Zawsze skory do usług

H. A.

Załączam list otrzymany dziś od doktora Halesa, który jest znany (w ciągu minionych kilku lat) z powodu głoszenia złych skutków picia alkoholu i potępiania pijaństwa, jednocześnie wiem, że to znany filozof przyrody, choć lepszy botanik niż chemik. Przyjaźni się z panem Pope'em, który jest jego parafianinem.

Pierwszy października,
Corpus Christi College

Sir,

Jestem rad, że mogę pomóc przyjacielowi pana Saundersona. Zbadałem próbkę spieczonej ziemi, co do której chciał Pan usłyszeć moją opinię, ale niestety nie wyciągnąłem ostatecznego wniosku, jaka jest jej natura. Oczywiście została poddana wysokiej temperaturze i nie wątpię, że nastąpiły duże zmiany jej pierwotnego składu, niestety chemiczna analiza przysłanego materiału jest nad wyraz trudna (również w lepiej wyposażonym laboratorium), gdyż możemy powiedzieć w takim przypadku, że ogień jest tym samym, co anakolut w składni. Cała naturalna logika zostaje w ten sposób przerwana i bardzo zaciemniona. Sądzę, że przed podgrzaniem do ziemi tej dodano albo nasączono ją pewnymi elementami o charakterze bitumicznym, jednak żaden z nich nie przetrwał w odpowiedniej ilości, co by pozwoliło na bliższe określenie jej składu. Królewskie Towarzystwo (którego członkiem mam zaszczyt być) w swym zbiorze minerałów i kamieni zapisanych mu w testamencie przez wielkiego chemika i filozofa, czcigodnego Roberta Boyle'a, posiada próbki z brzegu Jeziora Asfaltowego w Ziemi Świętej (czyli Morza Martwego), które są nieco do nich podobne, jeśli nie zawiodła mnie pamięć; podobnie widziałem nie różniące się kawałki przywiezione z Asphaltum, czyli Jeziora Smolistego, które znajduje się na hiszpańskiej wyspie Trynidad. Tego rodzaju próbki spotykałem także tam, gdzie gotowana jest smoła i pewna jej ilość spada na ziemię koło kadzi. Jeśli się nie mylę, rozpoznałem w tym zapieczonym popiele zapach, który nie pochodzi ani od smoły, ani od asfaltu (jak wzmiankowane wyżej próbki), ani od smoły sosnowej. Sir, gdyby mógł mi Pan dostarczyć nową porcję ziemi, która nie została spalona (a którą z pewnością można znaleźć w pobliżu), byłbym niezwykle wdzięczny i dzięki temu mógłbym Pana lepiej oświecić. Nie napotkałem dotąd żadnych wzmianek, że tego rodzaju gleba została znaleziona na Wyspach Brytyjskich. Jej odkrycie przyniosłoby wielkie korzyści Pańskiemu klientowi (którego nazwiska pan Saunderson nie podał). Pozostaję, sir, Pańskim uniżonym sługą

Stephen Halen, D.D. R.S.S.

Przyjechałem do Cambridge na krótko, następne więc listy proszę kierować tam, gdzie mieszkam na stałe, to znaczy do Teddington w Middlesex.

Przy wyszorowanym stole wysoki, mizerny mężczyzna siedzi nad pustą miską, wytartą chlebem tak do czysta, jakby została dokładnie umyta, i patrzy na kobietę siedzącą po przeciwnej stronie. Jest ona albo mniej głodna, albo może bardziej grymasna, bo je ze spuszczonego wzrokiem, jakby sama czynność jedzenia była czymś nieskromnym. Stół znajduje się przed wielkim paleniskiem z dużym kominem, ale ogień się w nim nie pali, a potrawa, którą je kobieta, najwyraźniej jest zimna. Palce, w których trzyma drewnianą łyżkę, wyglądają na zmarznięte i są zmarznięte. Drugą ręką kobieta dotyka przełamanego bochenka świeżego chleba, żeby się nieco rozgrzać jego ciepłem. Dwie miski, dwa zniszczone cynowe kubki i gliniany dzbanek z wodą – to jedyne przedmioty na stole, z boku leży duża księga. Brązowa skórzana oprawa ma zniszczone brzegi, a zamiast grzbietu pasek przyklepionego płótna.

Jest to wysoka piwniczna izba, wyłożona kamiennymi płytami, z których część jest popękana. W górę, na ulicę prowadzą schody, otwarta górna okiennica w drzwiach wpuszcza słabe wczesne październikowe słońce, podobnie jak dwa małe okienka po bokach. Promienie słońca są bardzo potrzebne, gdyż panuje tu wielkie ubóstwo. Nie ma chodnika czy choćby maty z sitowia. Niedawno wybielone ściany są też gołe. Rysują się na nich plamy wilgoci. Oprócz stołu i dwóch krzeseł stoi tu jeszcze drewniana kulawa skrzynia, pod którą podłożono kawałki drewna, żeby nie dotykała kamiennej podłogi. Dwa żelazne garnki i starodawny rondel wiszą na gwoździach wewnątrz komina wyłożonego okopconymi starymi ceglami.

Przez przejście bez drzwi, przy którym stoi skrzynia, widać sąsiednie mniejsze pomieszczenie i fragment łóżka. Do tej izby w ogóle nie dochodzi światło z zewnątrz. Na półce przybitej do belki nad paleniskiem znajduje się kilka przyborów gospodarczych, żelazny lichtarz, świece, kwadratowe lustro bez oprawy, hubka z krzesiwem i solniczka. To wszystko. Ubóstwo jak w klasztornej celi.

Jednak w tej ascetycznej scenerii można dostrzec zaskakujące rzeczy. Jedną stanowi sklepienie nad izbą. Jest ono podtrzymywane przez dwie, prawie czarne ze starości, dębowe belki, a każda jest misternie rzeźbiona, chyba wiek temu albo i dawniej. Być może za panowania Jakuba I czy królowej Elżbiety dom ten był tak szacownym miejscem, że nawet ci, którzy mieszkali czy pracowali w półpiwnicy, zasługiwali na tę wręcz artystyczną robotę stolarską. W rzeczywistości mieścił się tu sklep sukiennika, który mieszkał na piętrze. To dla jego klientów zostały wyrzeźbione te piękne belki.

Drugą zaskakującą rzeczą jest cnota. Bieda kojarzy się na ogół z upadkiem moralności oraz z brudem i zaniedbaniem zarówno osób, jak i domostwa. Ta skromna izba jest tak czysta, jak współczesna sala operacyjna: ani pyłku kurzu, śladu brudu, pajęczyny, ani jednej skazy na absolutnej czystości. Wszystko nieskazitelnie czyste, jak gdyby mieszkańcy chcieli powiedzieć: nic nie mamy i dlatego musi tu być po bożemu. W owych czasach istniało odpowiednie do tego powiedzenie: „Okrutny dla ciała, dobry dla duszy”. Cnota nie była tylko czystością w przeciwnościach losu, ale rodzajem czujnej odporności, uśpionej energii, wyczekującej woli zmiany. Akceptujemy to teraz, lecz nie zaakceptujemy tego na zawsze. Czystość była niczym więcej jak wygodnym i łatwym do pokazania symbolem: fizycznym emblematem czystości psychologicznej, skromnej, lecz upartej, uśpioną gotowością zarówno do męczeństwa, jak i wojowniczości. Dlatego tak wygodnie ustalony chrystianizm anglikański nie ufał zewnętrznym oznakom ściśle praktycznego chrystianizmu dysydentów.

Mężczyzna, choć zaledwie miał trzydzieści parę lat, już siwiał. Ubrany był w bryczesy i luźną białą bluzę oraz kamizelkę. Na jego stroju, podobnie jak na dłoniach i przedramionach, widniały niezliczone ślady przypalenizn. Albowiem jest to John Lee, kowal z Toad Lane, który co prawda teraz już nie miał kuźni i poświęcał się wykuwaniu czegoś twardszego i bardziej opornego niż żelazo, bo dusz ludzkich. Wysoki, mizerny mężczyzna, o zamysłonej twarzy i dalekowzrocznych oczach. Było w nich coś, co świadczyło, że myśli zbyt wolno, żeby kiedykolwiek się uśmiechnąć, jakby najpierw musiał dokładnie przeanalizować, czy może się roześmiać lub wygłosić swoją opinię. Z pewnością jednak nie wyglądał na człowieka, który dobrze poznał swoją żonę Rebeke, siedzącą naprzeciw. Była w szarej prostej sukni i nieskazitelnie białym czepku, który wydawał się tak samo surowy jak izba, bez koronek i falbanek, gładko przylegający do uszu. Jednak szara suknia i biały czeppek nie zdołały całkiem ukryć jej charakteru i urody. Łagodne piwne oczy, niewątpliwa prostoduszność, cierpliwość... Zmieniła się pod każdym względem. Teraz w jej potulności było coś mocnego, może przejętego od mężczyzny siedzącego naprzeciw, nowe „ja”, buntownicze, zdeterminowane nowymi okolicznościami i nowymi przekonaniami.

Podsunęła miskę w stronę męża.

– Zjedz. Ja nie mam ochoty. Muszę iść do wygodki.

– Boli cię?

– Wszystko będzie dobrze, chwała Chrystusowi.

– Twój ojciec i ja zaczekamy na dworze, będziemy modlić się za ciebie. Gdyby chcieli cię ukamienować z powodu twych dawnych grzechów, musisz się temu poddać i pamiętaj, że na nowo narodziłaś się dla Boga.

– Tak, mężu.

– Oni też będą sądzeni, kiedy On nadejdzie.

– Tak, wiem o tym.

Spojrzał na podsuniętą miskę, ale najwyraźniej myśli miał zaprzątnięte czymś innym.

– Chciałem ci coś powiedzieć, co stało się w nocy, ale nie miałem sumienia cię budzić.

– Czy to coś dobrego?

– Szedłem drogą i nagle zobaczyłem zbliżającego się do mnie człowieka w bieli. W jednej ręce trzymał kij, Biblię w drugiej i powitał mnie. A potem wyrzekł tylko te słowa: „Bądź cierpliwy, bo czas twój blisko”. Powiedział to wyraźnie, tak wyraźnie, jak ciebie teraz widzę.

– A kto to mógł być?

– Oczywiście Jan, prorok, Bogu niech będzie chwała. I co więcej, uśmiechnął się do mnie.

Przez chwilę patrzyła na niego poważnie.

– Czas jest blisko?

– Tak mówi brat Wardley. Bądź mocny w wierze, a otrzymasz znaki.

Spojrzała w dół, na swój lekko zaokrąglony brzuch, potem podniosła wzrok i słabo się uśmiechnęła. Następnie wstała i przeszła do drugiej izby. Wnet wróciła, niosąc żelazne wiadro, weszła na schody, odsunęła zasuwę u drzwi i zniknęła za nimi. Dopiero wtedy przysunął do siebie jej miskę i zaczął jeść to, co zostawiła. Nie czuł smaku, nadal pogrążony w myślach. Był to cienki kleik, wodnista owsianka z dodatkiem kilku maleńkich kawałków solonego bekonu i zielonych liści lebiody, reszta posiłku z poprzedniego wieczoru.

Kiedy skończył, przysunął do siebie księgę i otworzył ją na karcie tytułowej Nowego Testamentu. Była to stara Biblia z 1619 roku, bardzo zniszczona przez częste używanie. Słowa były ujęte w ramkę w kształcie serca, grubo podkreślone czerwonym atramentem i otoczone małymi świętymi symbolami i wizerunkami, jak na przykład: paschalnego jagnięcia, proroków, apostołów i czterech ewangelistów. Mężczyzna chwilę patrzył na świętego Jana, wąsatego jakobitę, który siedział przy stole, mając

obok siebie nie orła, lecz oswojonego ptaka dodo. Ale John Lee nie uśmiechnął się. Zajrzał do świętej Ewangelii i znalazł piętnasty rozdział: „Ja jestem prawdziwym krzewem winnym, a Ojciec mój jest tym, który [go] uprawia”.

Pochylił się nieco, żeby lepiej widzieć. Palcem przesuwiał wzdłuż linijek, a jego wargi bezdźwięcznie się poruszały, jakby czytane słowa można było zrozumieć dopiero wtedy, kiedy zostały wypowiedziane w duchu.

„Wytrwajcie we Mnie, a Ja [będę trwał] w was. Podobnie jak latorośl nie może przynosić owocu sama z siebie – jeśli nie trwa w winnym krzewie – tak samo i wy, jeżeli we Mnie trwać nie będziecie. Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami. Kto trwa we Mnie, a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić. Ten, kto we Mnie nie trwa, zostanie wyrzucony jak winna latorośl i uschnie. I zbiera się ją, i wrzuca do ognia, i płonie”.⁵

Mężczyzna podnosi wzrok i przez chwilę spogląda na światło w drzwiach, potem na popiół w palenisku. Wreszcie znowu zaczyna czytać.

Tymczasem Rebeka idzie do wygodki, niosąc wiadro. Kroczy szybko, lekko, co przeczy jej stanowi, a czego z pewnością nie pochwała Toad Lane. Choć rewolucja przemysłowa dopiero się zaczęła, Toad Lane jest wczesną zapowiedzią dobrze znanych widoków w wielu współczesnych miastach: dawniej piękna ulica przemienia się w okropny slums walących się domów, wszystkie podwórka stają się jednoizbowymi mrowiskami dla ubogich, a także wylegarnią chorób. Skutki tego widać na ludziach tu mieszkających: pokryte dziobami po ospie twarze, krzywe nogi, niedożywienie, skrofuliczne wrzody na szyi, szkorbut... w każdym razie tak to widziałyby oczy współczesnego obserwatora. Na szczęście ówczesni mieszkańcy tej ulicy nie byli świadomi swej niedoli. Takie było życie i nikt nie wyobrażał sobie żadnej zmiany, a główną zasadą było przystosowanie. Każdy przeżywał, jak mógł, albo jak musiał. Tego dnia na ulicach i w obejściach widać było prawie wyłącznie kobiety i małe dzieci, gdyż mężczyźni i starsze dzieci (mające pięć, sześć lat) poszli do pracy. Niektóre niewiasty patrzyły pytająco na Rebekę, ale nie z powodu jej stanu czy celu jej wędrowki, tylko ubioru zdradzającego przynależność do określonej sekty.

Wygodki stały niedaleko końca ulicy, na publicznym placyku: walący się rząd pięciu tyłem odwróconych do ulicy budek, z których dobiegały różne niedwuznaczne odgłosy. Między nimi i rowem poniżej wznosiła się góra ludzkich odchodów, na którą Rebeka zręcznym ruchem wyrzuciła zawartość swego wiadra. W pobliżu, jak zawsze,

rosła lebioda (roślina towarzysząca gnojowisku). Potem stanęła, żeby cierpliwie czekać na zwolnienie którejś z budek, ponieważ wszystkie były zajęte. Służyły pobliskim mieszkańcom (było ich około pięciuset), podobnie jak jedyna pompa wodna w pobliżu.

Po chwili starsza kobieta, ubrana w podobną suknię jak Rebeka i w podobnym dopasowanym białym czepku, stanęła obok niej. Rebeka uśmiechnęła się przyjacielsko i wyrzekła słowa, które, zważywszy na okoliczności, zdawały się wyrażać socjologiczną potrzebę czegoś nazbyt oczywistego, by w ogóle wymagały wymówienia.

– Więcej miłości, siostró.

W odpowiedzi usłyszała te same trzy słowa. Było oczywiste, że nie są siostrami, gdyż potem już milczały, stojąc raczej z dala od siebie. Mogło się zdawać, że jest to tradycyjne pozdrowienie wyznających tę samą wiarę sąsiadek, tak banalne jak zwykłe „dzień dobry”. A jednak nie była to kwakerska formuła, i człowiek Ayscougha, który wraz z Jonesem akurat stał w pobliżu, mylnie go poinformował w tej materii.

W jakieś piętnaście minut później John, który nałożył kapelusz z rondem i wytarty czarny płaszcz, wyszedł wraz z Rebeką z piwnicy i oboje ruszyli w kierunku dwóch mężczyzn, którzy nawet nie zadali sobie trudu, żeby się odwrócić plecami do nadchodzących i udawać, że rozmawiają, tylko wciąż stali, obserwując zbliżającą się parę. Wysokiego wzrostu urzędnik spoglądał na nich z sardonicznym uśmiechem, jako człowiek przywykły do takiej sytuacji, Jones natomiast był wyraźnie zmieszany. Kiedy dzieliło ich parę kroków, Rebeka stanęła, choć jej mąż się nie zatrzymał. Utkwiła wzrok w Jonesie, który niezdarnie zdjął kapelusz i zawstydzony spoglądał na dzielący ich rynsztok.

– Musiałem, tak ustaliliśmy.

Nadal patrzyła na niego, jak na kogoś zupełnie obcego. W jej spojrzeniu nie było cienia gniewu. Wreszcie przymknęła oczy i rzekła:

– Więcej miłości, bracie.

Potem ruszyła, przyspieszywszy kroku, żeby dogonić Johna Lee, który tymczasem też się zatrzymał. Rebeka dotknęła jego ramienia i zaczęli iść przed siebie. Dwaj mężczyźni chwilę czekali, potem się odwrócili i ruszyli za nimi, jak para lisów polujących na jagnię.

⁵ J 15, 1; 4-6, *Biblia Tysiąclecia*, Warszawa 1982, wyd. III (przyp. tłum.).

Przesłuchanie i zeznania

REBEKI LEE,
*które złożyła pod przysięgą
czwartego dnia października,
w dziesiątym roku panowania naszego Władcy,
Jerzego Drugiego, z Bożej łaski Króla Wielkiej Brytanii
i Anglii etc.*

Nazywam się Rebeka Lee, z domu Hocknell, jestem najstarszą córką Amosa i Marty Hocknellów, urodziłam się w mieście Bristolu dnia piątego stycznia roku 1712. Jestem żoną Johna Lee, kowala, mieszkamy w Manchesterze przy Toad Lane. Aż do maja bieżącego roku byłam prostytutką w Londynie i tam nosiłam imię Fanny. Jestem w szóstym miesiącu ciąży.

PYTANIE: Czy wiesz, dlaczego stanęłaś przede mną?

ODPOWIEDŹ: Tak.

P: I że prowadzę śledztwo w sprawie zaginięcia w maju tego roku pewnego szlachetnie urodzonego dżentelmena?

O: Tak.

P: A więc po pierwsze. Czy od pierwszego dnia maja tego roku widziałaś, otrzymałaś jakieś wieści albo miałaś może kontakt z Jego Lordowską Mością?

O: Nie miałam.

P: Czy wiadomo ci, że prawdopodobnie on nie żyje?

O: Nic o tym nie wiem.

P: Czy to, o co pytałem w związku z Jego Lordowską Mością, odnosi się również do Dicka? Czy masz jakieś wiadomości dotyczące jego losu?

O: Żadnych.

P: Przysięgałaś mówić prawdę.

O: Pamiętam.

P: A teraz, cnotliwa pani Lee, przekonam się, kim jesteś, nim dojdziemy do tego, kim byłaś. I masz mówić całą prawdę. I nie uratują cię ani twój rosnący brzuch, ani twoje napuszone kazania.

O: Chrystus będzie moim świadkiem.

P: Doskonale. I radzę, abyś pamiętała, że mam przed sobą dotyczące ciebie

zeznanie Jonesa, jak również zeznanie twojej dawnej pani, właścicielki burdelu, i wiele innych także. A teraz powiedz, kiedy tu przybyłaś z Bristolu?

O: Dwunastego maja.

P: Czy odnalazłaś swoich rodziców?

O: Tak.

P: Którzy przebaczyli ci twoje grzechy?

O: Chwała niech będzie Bogu.

P: Powiedziałaś im, kim byłaś od czasu, kiedy cię widzieli po raz ostatni?

O: Tak.

P: Czy nie chcieli mieć nic wspólnego z tobą?

O: Nie.

P: Jak to nie, czyż nie są gorliwymi wyznawcami swojej religii?

O: Bardzo gorliwymi i dlatego mi wybaczyli.

P: Nie rozumiem cię, kobieto.

O: Nie potępiają tych, którzy naprawdę żałują za grzechy.

P: Czy nie chcieli cię znać, wtedy, kiedy cię wypędzili?

O: Tak było, ponieważ byłam niegodziwa i nie żałowałam swoich postępów.

Teraz wiem, że mieli wówczas rację.

P: Czy opowiedziałaś im również to, co wydarzyło się w hrabstwie Devon bezpośrednio, nim tu przybyłaś?

O: Tego nie powiedziałam.

P: Dlaczego nie?

O: Ponieważ w tym nie grzeszyłam, nie chciałam więc ich martwić.

P: Jesteś głównym świadkiem i współniczką odrażających i antyreligijnych zbrodni i nie chciałaś ich martwić? Dlaczego nie odpowiadasz?

O: To nie były zbrodnie, sir.

P: Ale ja twierdzę, że były i ty pomagałaś i podżegałaś do nich.

O: Zaprzeczam temu.

P: Nie będziesz mi zaprzeczać, kobieto.

O: Będę, jeśli zostanę fałszywie oskarżona. Istnieje większy prawodawca niż Pan. Czyż Jezus Chrystus jest tak słabym wzorcem, że nie może wzbudzić prawdziwej skruchy w czyjejs duszy? On jest najważniejszy i świat wkrótce się o tym dowie.

P: Dość tego. Pilnuj swego języka. Przestań tak wzniosie gadać.

O: Taki jest nasz obyczaj. Muszę.

P: Figa z twego „muszę”.

O: Nie chciałam okazać braku szacunku. Wszyscy są braćmi i siostrami w Chrystusie.

P: Dość tego, powtarzam!

O: Kiedy to prawda. Wszyscy jesteśmy równi, choć nie na tym świecie. Proszę mnie nie winić o to, że bronię mego prawa i słowa Bożego.

P: Twoje prawo i słowo Boże! Czy mam cię zaprowadzić na kazalnicę?

O: Powiadam, że to jest jedno. Kto zabiera moje prawo, okrada Chrystusa.

P: Ty mi tu opowiadasz o swoim prawie? Jesteś wszak znaną ladacznicą. Ale nie dam się ogłupić twoją obecną skromnością, w twoich oczach nadal widzę deprawację i bezwstyd.

O: Nie jestem teraz ladacznicą. I pan o tym wie, pan dużo się o mnie dowiedział. Chrystus jest teraz moim panem i panią. Dumna jestem z tego, że jestem Jego służką.

P: Czy tak łatwo można sobie kupić odpuszczenie grzechów? To dlaczego nie jesteś w Rzymie?

O: Pan nie zna mojej religii. Pokutuję teraz z każdym oddechem, aż do ostatniego tchu, bo inaczej nadal byłabym grzeszna.

P: Każę cię wychłostać, jeśli nadal będziesz mnie atakować tą swoją pobożnością.

O: Nie przyszłam tu, żeby obrażać.

P: No, to przestań być bezczelna.

O: Kiedy byłam prostytutką, nauczyłam się, że ci, którzy służą gorzej niż ich konie czy psy, sobie służą w ten sam sposób, a ci uprzejmi i łagodni bywają bardziej szczęśliwi.

P: Czy oczekujesz, że skłonię ci się i szurnę nogami? Mam mówić do ciebie madame i służyć ci ramieniem przy wsiadaniu do powozu?

O: Pan może grzmieć i marszczyć się do woli, ale ja myślę, że to leży raczej w pańskich obyczajach niż w sercu.

P: Dobrze sobie!

O: Ale tak jest. I proszę pana, niech się pan nie gniewa. Oprócz pana znałam innych prawników, a także sędziów i wiem, że nie wszyscy mają serce z kamienia. I nie gniewaliby się na mnie za moją wszeteczność, gdybym znowu chciała dogadzać ich lubieżności.

P: Wątpię, czy kiedykolwiek weszliby ponownie do twego łóżka, gdybyś im prawila takie kazania.

O: Tym większa szkoda, że tego nie robiłam.

P: Dobrze, dobrze, widzę, że przesiąkłaś trucizną swego ojca.

O: I mojej matki, która także żyje w Chrystusie.

P: I pogardza całym świeckim porządkiem i zwyczajowym szacunkiem. Czy nie tak?

O: Nie. Dopóki ten porządek i szacunek nie przeszkadzają wolności naszego sumienia.

P: To ci nie daje prawa, żebyś arogancko odpowiadała.

O: Więc proszę nie prześladować mnie za moją wiarę.

P: Tracimy czas. Chciałbym się dowiedzieć czegoś bliższego o twoim małżeństwie. Kiedy się pobraliście?

O: Drugiego sierpnia.

P: Mąż należy do twego zgromadzenia?

O: Jesteśmy kwakrami, a on prorokiem.

P: Jakiego rodzaju prorokiem?

O: Francuskim prorokiem, pochodzi z tych, którzy tu przybyli z Francji pięćdziesiąt lat temu, zwani przez niektórych „białymi koszulami”.

P: Kamizardzi? To oni jeszcze istnieją?

O: Jest nas tu czterdzieścioro albo i więcej, którzy wierzą, iż zgodnie z prorocstwem Chrystus wkrótce przyjdzie.

P: Powiadasz, że twój mąż jest francuskiego pochodzenia?

O: Nie, on jest Anglikiem.

P: Czy twoi rodzice też są takimi prorokami?

O: Tak, i mój stryj John Hocknell, który jest przyjacielem brata Jamesa Wardleya, naszego starszego i nauczyciela.

P: Czy kwakierstwo było dla ciebie trudne do przyjęcia?

O: Nie, od kiedy wiem, że Chrystus znów przyjdzie.

P: Czy twój mąż wiedział o twojej uprzedniej niesławie?

O: Wiedział.

P: I że idąc do ołtarza, ma rogi z powodu twego rosnącego brzucha?

O: On miał chrześcijańską dobroć, a nie rogi.

P: Święty prorok, też coś! Jednym słowem wziął cię z litości?

O: I ze świętej miłości. Bo Pan nasz powiedział: A ja was nie potępię.

P: Czyż nie mówiłaś Jonesowi, że nie chcesz nawet słyszeć o małżeństwie?

O: Wtedy nie wiedziałam, że jestem w ciąży.

P: A więc wyszłaś za mąż z powodu tego bękarta?

O: Ze względu na jego duszę, albo, jeśli będzie ona, na jej duszę. I moją również.

P: Czy wasze małżeństwo jest tylko formalne, bez prawdziwego współżycia?

O: Nie wiem, o co panu chodzi?

P: O to, czy twój mąż ma swoje małżeńskie prawa.

O: Jest zadowolony z tego, co ma.

P: To nie jest odpowiedź. Żądam, byś powiedziała tak albo nie. Dlaczego nic nie mówisz?

O: Sumienie mi nie pozwala.

P: Muszę to wiedzieć.

O: No, to ode mnie pan się nie dowie ani od mego męża, który czeka na ulicy, i może pan go tu wezwać.

P: To jest bunt. Musisz odpowiedzieć.

O: Co do Jego Lordowskiej Mości może pan pytać o wszystko i odpowiem, ale na to nie odpowiem.

P: A więc przypuszczenie jest następujące: choć ten biedny głupiec chroni cię, ty go nie wpuszczasz do łóżka?

O: Może pan wierzyć w to, co pan chce. Gdzie jest większy wstyd? W moim milczeniu czy pańskim wtrącaniu się w nie swoje sprawy? Czym byłam dawniej, może pan pytać, za swoje grzechy zasługiwałam na chłostę. Kim jestem teraz, nie powinno pana obchodzić, nikogo nie powinno obchodzić.

P: Kto począł tego bękarta?

O: Służący Jego Lordowskiej Mości.

P: Jesteś tego pewna?

O: Tamtego miesiąca tylko Dick ze mną żył.

P: Jak to, jesteś prostytutką i nie spałaś z żadnym innym mężczyzną?

O: Miałam menstruację i zaraz potem opuściłam Londyn, tak że tylko był on.

P: Czy Jego Lordowska Mość nie użył sobie z tobą?

O: Nie.

P: Nie? Co to znaczy nie? Wszak cię najął?

O: Ale nie do tego.

P: Czyż sam diabeł nie wykorzystał ciebie w tej jaskini w Devonie? Dlaczego nie odpowiadasz? Jones twierdzi, że tak było, że mu to powiedziałaś.

O: Powiedziałam coś, w co mógł uwierzyć.

P: A nie to, co naprawdę się tam wydarzyło?

O: Tak.

P: Okłamałaś go?

O: Tak. W tym tak.

P: Dlaczego?

O: Ponieważ chciałam, żeby się przestał wtrącać. Ponieważ chciałam być tym, kim się teraz stałam, posłuszną córką i prawdziwą chrześcijanką. A nade wszystko chodziło mi o to ostatnie.

P: Czy nie myślałaś o rodzinie Jego Lordowskiej Mości, która jest pogrążona w rozpacz, gdyż nie wie, czy go kiedykolwiek ujrzy?

O: Bardzo im współczuję, że cierpią i nie mają wiadomości.

P: Czy nie jesteś tego przyczyną?

O: Bóg jest przyczyną.

P: A czy Bóg przebacza tym, którzy bezwstydnie nie wypełniają swoich chrześcijańskich obowiązków? Odpowiedz.

O: Odpowiadam, że przebacza tym, którzy nie mówią prawdy, w którą nikt nie uwierzy.

P: Kto nie uwierzy?

O: Jestem tu po to, żeby panu powiedzieć. Zobaczmy, czy pan sam w to uwierzy.

P: Zobaczmy, moja pani, zobaczmy, i niech niebiosy ci pomogą, jeśli ja ci nie uwierzę. A stanie się tak, jeśli nie przestaniesz mi odpowiadać w ten pokrętny sposób. Dlatego pytam, czy to prawda, że nic nie wiesz o tym, który począł ten zarodek w twoim łonie, o Dicku?

O: Tak, to prawda.

P: Pamiętaj, że mówisz pod przysięgą!

O: Tak.

P: No, to ci powiem, on nie żyje.

O: Nie żyje?

P: Własnoręcznie się powiesił, i to o niecałe trzy mile od miejsca, gdzie go

widziałaś po raz ostatni.

O: Nic mi o tym nie wiadomo.

P: Czy masz coś więcej do powiedzenia?

O: Modłę się do naszego Pana, Jezusa Chrystusa, żeby odpuścił mu jego grzechy.

P: Oszczędź mi tych swoich modlitw. Mówisz, że nic nie wiesz?

O: Kiedy go widziałam ostatni raz, żył.

P: Jones nie napisał do ciebie listu, potem, jak rozstaliście się w Bideford? Nie przyjechał tu?

O: Nie.

P: Nikt też z twego dawnego świata?

O: Tylko ktoś od madame Claiborne.

P: Madame Claiborne? Zeznała pod przysięgą, że nie wie, gdzie jesteś.

O: No, to kłamała. Wysłała niejakiego Arklesa Skinnera, którego nazywa swoim lokajem, ale naprawdę jest jej człowiekiem do poufnych zadań.

P: Kiedy tu się zjawił?

O: W końcu czerwca.

P: Czy chciał cię zmusić siłą do powrotu?

O: Tak, ale zaczęłam krzyczeć i przybiegł mój mąż John, i powalił go na ziemię. A potem poprosiłam brata Wardleya, który jest piśmienny, żeby napisał do pani tego Skinnera, że wszystkim powiedziałam, co o niej wiem, i jeśli mnie spotka krzywda, to ją jeszcze większa.

P: I od tej pory dała spokój?

O: Tak.

P: Muszę pochwalić siłę pięści twego męża. Gdzie on teraz pracuje?

O: Kiedy może, z moim stryjem, tak jak mój ojciec. Oni robią kraty i ruszty do kominków, osadzają je, a drewniana obudowa należy do mego ojca, który jest cieślą. Oni bardzo dobrze to robią, ale mają niewiele zamówień z powodu swej religii.

P: Jesteście więc biedni?

O: Wystarczy nam. Ci z nas, którzy mają, dają tym, którzy nie mają. Dobra tego świata powinny być dzielone wśród wszystkich, którzy wierzą, tak mówimy i tak robimy.

P: A teraz, pani Lee, chcę wiedzieć o roli, jaką pani odegrała ostatniego dnia kwietnia tego roku. Bez pominięcia choćby jednego szczegółu. Kiedy po raz pierwszy

Jego Lordowska Mość przyszedł do madame Claiborne?

O: Na początku miesiąca, nie potrafię powiedzieć, którego dnia.

P: Czy widziałas go już przedtem?

O: Nie widziałam. Został wprowadzony przez lorda B.

P: Wiedziałaś, kto to jest?

O: Wtedy nie, wkrótce potem tak.

P: W jaki sposób?

O: Claiborne spytała mnie o niego, a kiedy jej powiedziałam, podała mi jego prawdziwe nazwisko.

P: Coś jeszcze?

O: Że warto go oskubać i że mam go przytrzymać.

P: A jak się zachowywał Jego Lordowska Mość? Czy lubił igraszki w twoim łóżku?

O: Nie było żadnych igraszek.

P: Jak to nie było?

O: Jak tylko weszliśmy do mojego pokoju i ja chciałam go objąć, odtrącił mnie i powiedział, że nic z tego nie będzie. Że poszedł ze mną tylko dlatego, żeby nie skompromitować się wobec lorda B. I że dobrze mi zapłaci za moje milczenie.

P: Jak to? Nie wypróbował twoich sztuczek i numerów, z których byłaś słynna?

O: Nie.

P: Czy cię to nie zdziwiło?

O: To się dość często zdarza.

P: Doprawdy?

O: Tak. Choć rzadko który gość przyznaje się od razu i bez żadnej próby. A większość ich kupuje nasze milczenie, tak samo jak inni kupują nasze pochwały.

P: Dla swej jurności?

O: Było u nas w zwyczaju, że kiedy oni schodzili potem na dół, myśmy ich chwaliły, żeby więcej zarobić. Co prawda miałyśmy takie powiedzenie: Chwal jak najwięcej, rób jak najmniej. Ja myślę, że nie tylko tam tak jest.

P: Nie potrzebujemy twoich burdelowych dowcipów.

O: Więcej w tym prawdy niż dowcipu.

P: Dosyć tego. A więc nie chciał czy nie mógł? Co się stało dalej?

O: Jego Lordowska Mość był bardzo uprzejmy i zaczął ze mną rozmawiać, powiedział, że lord B. dobrze się o mnie wyrażał. I spytał o moje grzeszne życie i czy

mi się podoba to, co robię.

P: Był swobodny czy zakłopotany?

O: Nienawykły. Poprosiłam, żeby się koło mnie położył, ale nie chciał. Nawet usiąść nie chciał. Ale wreszcie usiadł w nogach łóżka i trochę mi o sobie opowiedział. Że nigdy nie miał kobiety, że bardzo z tego powodu cierpi i że musi to ukrywać przed rodziną i przyjaciółmi, i że ma wielkie kłopoty, ponieważ nie chciał się żenić, choć miał bardzo dobre oferty małżeńskie, mimo że jest młodszym synem i nie ma przed sobą zbyt wielkich perspektyw. Zdawało mi się, że bardziej jest tym zgnębiony, niż okazywał. Mówił to wszystko z odwróconą twarzą, jakby zawstydzony.

P: Coś odpowiedziała?

O: Jak mogłam, starałam się go pocieszyć, i mówiłam, że jest młody, że znałam wielu mężczyzn cierpiących na taką samą słabość, którzy jednak odzyskali swoje normalne możliwości. I że powinniśmy spróbować. Ale nie udało mi się go do tego skłonić. Nagle wstał z łóżka, a kiedy go chciałam do siebie przyciągnąć, powiedział: Zostaw mnie, nic więcej nie będzie. I był bardzo zły, a ja się zmieszałam, wtedy on zaczął mnie przeproszać, mówiąc, że to przecież nie moja wina, że robiłam, co mogłam, i nawet kamień by uległ moim pocałunkom i tak dalej. I że jeśli mam do niego cierpliwość, to spróbuje ponownie przy innej okazji, może za dwa dni, ponieważ sądzi, że tym razem zbyt był zdenerwowany swoimi oczekiwaniami, nie wiedząc, jaka ja jestem, ani nie znając tego domu, ale teraz świadom moich uroków czuje się pewniej. I to wszystko.

P: Czy zostało umówione następne spotkanie?

O: Tak.

P: I dał ci pieniądze?

O: Kiedy wychodził, rzucił kilka gwinei na łóżko.

P: A teraz chcę wiedzieć rzecz następującą: czy kiedy wypytywał cię o twoje sprawy i mówił komplementy, wykraczało to poza normalne obyczaje takich lubieżnych schadzek?

O: Nie.

P: Czy nie było raczej w zwyczaju, że klient przychodził, zaspokajał swoje pragnienia i wychodził?

O: Owszem, byli tacy, jednak większość lubiła nasze towarzystwo. Słyszałam często, jak nasi klienci mówili, że u madame Claiborne można najlepiej porozmawiać w dwojaki sposób. Nie wzięłaby dziewczyny, która nie potrafiłaby rozmawiać zarówno

poza łóżkiem, jak i w łóżku.

P: Czy miałaś innych klientów, którzy rozmawiali z tobą w ten sposób, zwierzali się?

O: Dla nich ważne było, że mogli mówić nam to, czego nie ośmieliliby się powiedzieć swoim żonom, niech Bóg im wybaczy.

P: No, dobrze. Czy wrócił?

O: Wrócił.

P: I co się wtedy stało?

O: To samo co przedtem, nie chciał mnie wziąć. Ale powiedział, że będzie patrzył, jak to, czego on nie może, będzie robić ze mną jego służący. Powiedział to jak ktoś, kto się wstydzi, a jednak jest do tego zmuszony i boi się, że mogłabym odmówić spełnienia tak dziwnej prośby, gdyż wie, że to jest trudne do przeprowadzenia, nawet gdybym się zgodziła. Ale gdyby tak się stało, dobrze by mi zapłacił.

P: Nie zaproponował tego podczas pierwszego spotkania?

O: Nie. Tego jestem pewna. Za drugim razem powiedział, żebym podeszła do okna i wyjrzała na ulicę, bo tam po przeciwległej stronie czeka Dick.

P: Coś ty na to odparła?

O: Najpierw, że się nie zgadzam, że może mnie kupić dla siebie, ale nie dla swego służącego, że madame Claiborne ściśle określiła nasze obowiązki i nigdy nie pozwoliłaby na coś takiego. Co słysząc, był wyraźnie rozczarowany. Potem zaczęliśmy rozmawiać i on powiedział, że poradził mu to bardzo uczony doktor, i takie różne rzeczy, ale ja sobie pomyślałam, że to są tylko wymówki, żeby osiągnąć to, czego chce. Widziałam jednak, że bardzo jest zmartwiony, i było mi go żal, i poprosiłam, żeby się koło mnie położył, ale on nie chciał, tylko znów nalegał. I opowiedział mi o Dicku, że są jak bliźniacy, że nawet urodzili się tego samego dnia, choć tak różnią się pochodzeniem i wyglądem zewnętrznym.

P: Czy to nie wydało ci się dziwne?

O: Tak. Jednak w to bardziej mu uwierzyłam niż w to, co mówił o doktorach. I powiem panu teraz, że nawet w połowie nie zdziwiło mnie tak, jak to, czego się później o nich obu dowiedziałam. Że choć tak krańcowo się od siebie różnili w większości spraw, mieli jedną duszę. Czego brakowało jednemu, miał drugi, podobnie jak to jest z mężczyzną i kobietą, choć obaj byli mężczyznami. Jak bliźniacy, choć nimi nie byli.

P: O to spytam więcej we właściwym czasie. Krótko mówiąc, nakłonił cię wreszcie, żebyś spełniła jego życzenie?

O: Wtedy nie, innym razem, kiedy znowu wrócił. Powiem panu teraz, czego nie mówiłam Jonesowi. Wszystko mi jedno, czy pan uwierzy, czy nie, bo to prawda. Może mnie pan uważać za bezwstydnicę, nie zaprzeczę temu. Byłam nią, niech Pan nasz Jezus Chrystus mi przebaczy, i bardzo grzeszyłam, a duszę miałam twardą jak kamień. Ale nie była ona martwa, nie była całkiem martwa, gdyż moje sumienie mówiło mi, że grzeszę i nie zostanie mi to odpuszczone. Większość moich siostr w domu madame Claiborne była ślepa, nie wiedziały, co robią, jednak ze mną tak nie było, ja wiedziałam, że tak uporczywie grzesząc, jestem na drodze do piekła, i że nie mam żadnej wymówki. Grzeszyć dla własnej egoistycznej przyjemności jest gorzej niż grzeszyć z nienawiści do samego grzechu. Nie dlatego, że chcemy, ale że musimy, jak niewolnik musi słuchać swego pana, choć nienawidzi tego posłuszeństwa i swego pana. Mówię to, ponieważ byłam w tych sidłach, kiedy pierwszy raz przyszedł do mnie Jego Lordowska Mość. Grzeszyłam tym bardziej bezwstydnie, że w sercu już nie chciałam grzeszyć. I proszę, żeby pan pamiętał, że my, kobiety, jesteśmy wychowywane po to, żeby być posłuszną woli mężczyzn. Mężczyźni mówią, że to Ewa kusi ich do burdelu, lecz Adam je tam trzyma.

P: Adam również troszczy się o to, by większość ich była czysta. Daj pokój temu gadaniu.

O: Nabieram odwagi. Widzę, że pan nie chce spojrzeć mi w oczy, a to znak, że pana zdaniem mówię prawdę. Zrozumiałam wtedy z całą mocą, że muszę zmienić swoje życie, a kluczem do otworzenia więzienia będzie Jego Lordowska Mość. I kiedy powiedział mi o tym swoim planie, żeby zabrać mnie na zachód Anglii, poczułam bicie serca i wstąpiła we mnie nadzieja. Wiedziałam, że oto mam szansę, żeby stamtąd uciec.

P: Powiadasz, że niezależnie od tego, co by się stało, nie zamierzałaś wrócić do madame Claiborne?

O: Tak.

P: I chciałaś się zmienić?

O: Powiem panu, do czego byłam zmuszana. Ku memu wiecznemu wstydowni, żeby zaspokoić tych najbardziej zepsutych klientów, musiałam odgrywać rolę bardzo cnotliwej dziewczyny, by mieli większą przyjemność z odniesionego zwycięstwa. I w tym celu dostałam Biblię, żeby lepiej mogła udawać i żeby ci mężczyźni, którym służyłam, mogli pokazać, że nie wierzą w Boga i szydzą z Jego słowa. Bo w końcu ja tę Biblię trzymałam, jakbym nią chciała ich odpędzić, a oni musieli mi ją wyrwać i

odrzuć, żeby zrobić swoje. Resztką mego sumienia mówiła mi, że to jest coś strasznego, ale nie mogłam się sprzeciwić woli madame Claiborne, i tak robiłam. Ale wkrótce, kiedy byłam sama, zaczęłam poznawać Pismo Święte, które tak bezcześciłam.

P: Opowiedz o tym.

O: Zaczęłam czytać Biblię, co przyszło mi tym łatwiej, ponieważ zapamiętałam niektóre fragmenty słyszane jeszcze w dzieciństwie, choć od tego czasu minęło wiele lat, niech Bóg mi wybaczy. Ale i wtedy Jezus był mi łaskaw, gdyż im więcej czytałam, tym większe spływało na mnie światło: że to, co robiłam, było wielkim grzechem i że ja Go znów ukrzyżowałam moimi uczynkami. Ale nie mogłam zmusić się, żeby zrobić to, co przy moim coraz większym nierządzie powinnam była zrobić. Nadal zbyt lubiłam przyjemności tego świata i decyzję ciągle odsuwałam na dzień następny. A musi pan wiedzieć, że mi to strasznie ciążyło na sumieniu jak bolesny czyrak, który trzeba przeciąć, bo inaczej można umrzeć.

P: Czy mówiłaś Jego Lordowskiej Mości o tym?

O: Nie.

P: No, dobrze. Skończmy z tą twoją wrażliwą duszą. Pod jakim pretekstem zaproponował ci podróż?

O: Po pierwsze, jak już wspomniał, chodziło o tę sprawę z Dickiem, że byłoby znacznie wygodniej, gdybyśmy wyjechali od madame Claiborne, że chciałby pić jakieś lecznicze wody, podobno skuteczne na jego dolegliwość, i w ten sposób wypróbować od razu dwa lekarstwa.

P: Czy powiedział, gdzie są te wody?

O: Nie. Potem mówił, że jego rodzina i ojciec bardzo się na niego gniewają, bo nie chce się ożenić, że jest śledzony, i obawia się, że nas też mogliby śledzić, i dlatego musielibyśmy podróżować w tajemnicy. I że po zastanowieniu się wpadł na dobry pomysł.

P: Mianowicie jaki?

O: Historię z porwaniem, w czym ja odgrywałabym rolę panny służącej sprowadzonej, by służyć tej jego nie istniejącej ukochanej.

P: Czy powiedział o tym madame Claiborne?

O: Nie. Jej powiedział, że ma się odbyć takie męskie szaleństwo pod Oxfordem, gdzie chce mnie zabrać, ponieważ każdy uczestnik ma przywieźć ze sobą taką dziewczynę jak ja.

P: Za co dobrze miałby zapłacić!

O: Obiecał, że nie pożałuję tej intrygi, zrozumiałam więc, że potem nie będę biedniejsza niż przedtem. I, na niebiosa, tak było, choć nie rozumiałam wtedy, o jakie wynagrodzenie mu chodzi.

P: Myślałaś, że mówi o pieniądzach?

O: Tak.

P: A o czym mówił naprawdę?

O: O tym, czym teraz jestem.

P: Czy mam przez to rozumieć, że jesteś teraz taka, jaka jesteś, dzięki Jego Lordowskiej Mości?

O: Opowiem o tym dalej.

P: No, dobrze. Ale najpierw ustalmy, czy obiecał ci jakąś określoną sumę za twoje usługi?

O: Nie.

P: Nie domagałaś się tego?

O: Nie, bo miałam nadzieję, że dzięki niemu ucieknę, co dla mnie więcej znaczyło niż pieniądze, a poza tym nie przywiązywałam wagi do wynagrodzenia za grzech.

P: Czy to wymyślne oszustwo nie wzbudziło twoich podejrzeń?

O: Pewno by wzbudziło, gdybym się nad tym lepiej zastanowiła. Ale ja wszystko wtedy widziałam w świetle mojej własnej korzyści. I nawet później, kiedy musiałam robić to, do czego się zobowiązałam, i byłam źle traktowana, to sobie myślałam: To cena, jaką muszę zapłacić, żeby zmienić swoje życie i oczywiście skalaną duszę.

P: Czy miałaś jakieś podejrzenia przed przybyciem do Amesbury, że Jego Lordowska Mość cię oszukał także co do prawdziwego celu tej podróży?

O: Nie, żadnych.

P: Czy on nalegał, żebyś zdecydowała się na tę podróż? Raczej prosił czy narzucał siłą?

O: Naciskał, ale niezbyt mocno. Powiedziałam mu, że czas mojej miesięczki jest blisko. Zgodził się, że najpierw musi się skończyć. I tak się stało.

P: Powiadasz, że data waszego wyjazdu zależała tylko od terminu twojej miesięczki?

O: Tak.

P: Nie zostało ustalone, że w Devonie macie być pierwszego maja?

O: Nic mi o tym nie wiadomo.

P: Moja pani, przecież często się zdarza, że taka jak ty liczy na to, że opuści swój zakład i stanie się utrzymanką jakiegoś szlachetnie urodzonego mężczyzny, który chce ją mieć na swój wyłączny użytek.

O: Proponowano mi to już przedtem, ale się nie zgodziłam.

P: Dlaczego?

O: Takie nazywamy milicją, a my to szkoleni żołnierze. Nam nie wolno dezercerować, madame Claiborne nigdy by na to nie pozwoliła.

P: Czy żaden z tych, którzy ci to proponowali, nie był na tyle mocny, żeby cię ochronić?

O: Pan nigdy nie był w tym świecie antychrysta. Ona powiedziała, że gdyby któraś z nas uciekła, odnajdzie ją choćby w piekle. I tak by zrobiła, wstrętne diabolicie.

P: Jednak pozwoliła ci wyjechać z Jego Lordowska Mością?

O: Złoto zmiękcza żelazo.

P: Zaproponował jej tyle, że nie mogła odmówić?

O: Wiem tylko to, co mi powiedziała.

P: Jak duża była to kwota?

O: Dwieście gwinei.

P: Czy powiedziałaś Claiborne, albo którejś ze swoich koleżanek, o defekcie Jego Lordowskiej Mości?

O: Nie, nikomu.

P: Dokąd zostałaś zabrana, kiedy opuściłaś burdel?

O: Na Monmouth Street, gdzie kupiłam używane ubranie, odpowiednie dla służącej na wsi.

P: Zabrał cię tam Jego Lordowska Mość?

O: Nie, Dick, jego służący, jak było ustalone, w wynajętej karecie bez żadnych herbów. A potem z miasta pojechaliśmy do Chiswick, gdzie w małym domku czekał już Jego Lordowska Mość.

P: O jakiej porze dnia to było?

O: Po obiedzie. Około szóstej dojechaliśmy do Chiswick.

P: Jak się zachowałaś wobec Dicka?

O: Wcale się nie zachowałam, bo nie jechał ze mną, tylko obok stangreta.

P: Jak zostałaś powitana w Chiswick?

O: Kiedy przyjechałam, Jego Lordowska Mość był wyraźnie z tego zadowolony. Wieczera już czekała.

P: Czy był tam jeszcze ktoś inny?

O: Starsza kobieta, która nas obsługiwała. Nic nie mówiła, wyszła, kiedy wszystko podała. Rano, kiedy wyjeżdżaliśmy, nie widziałam jej.

P: Czy coś jeszcze wydarzyło się tego wieczora?

O: To, co było ustalone, z Dickiem.

P: Jego Lordowska Mość był obecny?

O: Tak.

P: Przez cały czas?

O: Tak.

P: Gdzie to się odbywało?

O: W pokoju na piętrze.

P: Czy wywołało u niego oczekiwany skutek?

O: Nie wiem.

P: Nic nie powiedział?

O: Ani słowa. I opuścił nas, jak tylko skończyliśmy.

P: Nie podniecił się?

O: Powiedziałam już panu, nie wiem.

P: Nie widziałaś żadnych tego oznak?

O: Nie.

P: Czy przedtem robiłaś to przy widzach?

O: Od czasu do czasu, niech mi to będzie odpuszczone.

P: Co mianowicie?

O: To nie pański interes.

P: Jednak nalegam. Czy przy tej okazji nie było wszeteczności w zachowaniu Jego Lordowskiej Mości?

O: Nie.

P: No, dobrze. A Dick?

O: Co Dick?

P: Dajmy spokój, pani Lee. Nie jest pani w tej materii niewiniątkiem. Czy odegrał swoją rolę odpowiednio dobrze? Dlaczego nie odpowiadasz?

O: Odegrał swoją rolę.

P: Odpowiednio dobrze?

O: Mnie się zdaje, że on przedtem nigdy nie miał kobiety.

P: Czyż Jego Lordowską Mość nie skarżył się później, że nie potrafiłaś go powstrzymać?

O: Tak.

P: Co odpowiedziałaś?

O: Że w tych sprawach to on jest zielony i za bardzo się śpieszył.

P: Ale jednak później spółkowałaś z nim dla przyjemności?

O: Żal mi go było.

P: Ci, którzy byli z tobą, mówią coś innego.

O: Mogą sobie gadać, co chcą. Wcale się nie wstydzę, że byłam dla niego dobra, przecież to kaleka.

P: Czy on wiedział, kim jesteś?

O: Ale nie traktował mnie tak.

P: Więc jak?

O: Nie jak ciało kupione dla zaspokojenia żądzy, jak to bywało w burdelu, ale jak swoją dziewczynę, kogoś, kogo kochał.

P: Skąd o tym wiedziałaś, skoro nie mówił i nie słyszał?

O: Istnieją różne sposoby, żeby mówić bez słów. Nie pozwalał mi rozmawiać z Jonesem, patrzył na mnie takim wzrokiem, jaki bezbłędnie rozpozna każda kobieta, robił wszystko, co w jego mocy, żeby mi służyć.

P: I służył ci także w obecności Jego Lordowskiej Mości, czyż nie tak? Nie czułaś wyrzutów sumienia? Czyż prawdziwi kochankowie nie czuliby wstrętu do takiego aktu miłosnego?

O: Powiadam, że on nie był jak inni mężczyźni, tak mało wiedział o świecie, jakby żył na księżycu i we wszystkim tu na ziemi musiał mieć za przewodnika Jego Lordowską Mość. Jeśli Jego Lordowską Mość coś mu polecił, wykonywał to. Już mówiłam panu, byli sobie tak bliscy, że nie potrzebowali słów, jedna osoba w dwóch ciałach. Wydaje mi się nawet, że Jego Lordowską Mość, choć nie znosił mego dotyku, cieszył się z mojej obecności ze względu na radość Dicka.

P: Czy tego ranka, kiedy wyjeżdżaliście z Chiswick, była mowa o tym, że podczas podróży będziecie mieć innych towarzyszy?

O: Tak, Jego Lordowską Mość powiedział poprzedniego wieczoru, że się z nimi spotkamy, z panem Brownem i jego służącym. Dodał też, że pan Brown będzie udawał kupca z City, choć naprawdę jest tym doktorem, o którym mówił, ale że ja muszę się

tak zachowywać, jakbym o niczym nie wiedziała, i traktować go jak tego, za kogo uchodzi. Co uczyniłam, choć tak się zdarzyło, że dwa miesiące przedtem widziałam go w teatrze, choć nie zapamiętałam jego nazwiska. I tego samego dnia, kiedy jechaliśmy, zbliżył się do mnie Jones i wyraźnie dał mi do zrozumienia, że on również podejrzewa, że nie jestem tą, za którą się podaję, a ja bardzo się przeraziłam. Przy najbliższej okazji powiedziałam Jego Lordowskiej Mości, że obawiam się, iż zostałam rozpoznana.

P: Co on na to?

O: Że mam milczeć i nic sobie z tego nie robić.

P: Czy wydawał się zaniepokojony, zdumiony?

O: Nie, zupełnie nie. Powiedział tylko, że nikt z nas nie jest tym, za kogo chce uchodzić, i że mam mu powiedzieć, gdyby Jones znów był wścibski.

P: A czy ty powiedziałaś mu, że wiesz, kim jest naprawdę pan Brown?

O: Nie, bo muszę panu powiedzieć, że z każdym krokiem, kiedy coraz bardziej oddalaliśmy się od Londynu, było mi coraz lżej na sercu. Miałam uczucie, że opuściłam Sodomę, a Bristol jest moim Syjonem. I tak sobie pomyślałam, że jeśli Jego Lordowska Mość mnie oszukuje, tym łatwiej mnie będzie go oszukać, kiedy przyjdzie na to czas, i że teraz lepiej nie wyjawiać swoich zamiarów.

P: No, dobrze. Teraz przejdźmy do Basingstoke. Jego Lordowska Mość zażądał tam, żebyś zrobiła to co przedtem?

O: Tak.

P: Gdzie się to odbyło?

O: W jego pokoju.

P: Przyglądał się?

O: Powiedział, że wszystko się stało za szybko, a potem mnie o to winił.

P: Czy Dick był obecny, kiedy to mówił?

O: Nie, kazał mu wyjść.

P: Czy Jego Lordowska Mość był zagniewany?

O: Raczej jakby czuł się oszukany.

P: Nastawiony krytycznie, ponieważ nie pokazałaś wszystkich swoich sztuczek?

O: Zachowywał się jak doświadczony rozpustnik, którym przecież nie był.

P: Czy ty się broniła?

O: Nie, powiedziałam tylko, że Dick jest zbyt zielony, żeby nim pokierować.

P: Co na to Jego Lordowska Mość?

O: Że ja teraz do niego należę i że przekonam się, że potrafi być gorszy od samej madame Claiborne, gdyby mu się jego transakcja nie opłacała.

P: Jesteś pewna, że tak powiedział?

O: Jestem pewna.

P: A co ty odpowiedziała?

O: Nic, zrobiłam potulną minę, choć wcale tak nie czułam, a w duchu stwierdziłam, że się bardzo zmienił, nie był sprawiedliwy, bo przecież wiedział, jak się Dick do tego zabierał, jak biedne zwierzę opętane tylko jedną myślą, i że ja nie mogłam go powstrzymać. Mówię to, co wtedy czułam. Teraz wiem, że chciał być moim dobrym przyjacielem, ale wtedy tego nie rozumiałam.

P: Twoim dobrym przyjacielem?

O: Powiem o tym we właściwym czasie.

P: Chcę wiedzieć teraz.

O: Z moich ust pan się nie dowie. To jest jak w Biblii. Jedna młocka nie da ziarna. Musi pan zaczekać, aż wszystko pan usłyszysz, i po kolei się dowie, co było dalej.

P: Czy nocą Dick przyszedł potajemnie do ciebie?

O: Tak.

P: I tyś mu na to pozwoliła?

O: Tak.

P: Choć nie był lepszy niż biedne zwierzę?

O: Bo tak było. Ale miał tyle rozumu, żeby wiedzieć, że nie ma prawa o nic prosić. Czy mam panu powiedzieć, panie Ayscough, ilu książąt i lordów obsłużyłam? Nawet księcia królewskiej krwi. A żaden z tych, którzy przychodzili do mego łóżka, nie klęczał tak jak on, jak dziecko z głową wciśniętą w kołdrę, i czekał, żeby poznać moją wolę, bo nie chciał narzucać mi swojej. Pan na to odpowie, że zostałam kupiona, że nie miałam swojej woli, swobody działania, bo żadna ladacznica jej nie ma.

P: Muszę przyznać, że mądrze mówisz.

O: Pan wie swoje, a ja swoje, to wszystko. I dlatego muszę mówić swoje. Powiem panu, dlaczego mi było żal Dicka. To nie była ani miłość, ani wszeteczność.

P: Czy byliście z sobą przez całą tę noc?

O: Aż do zaśnięcia. A kiedy się przebudziłam, jego już nie było.

P: I co noc było tak samo?

O: Następnej nie, ale jeszcze następnej tak.

P: Chciałbym jeszcze usłyszeć o tej nocy w Amesbury. Czy zostałam uprzedzona,

co się tam stanie?

O: Dopiero jak przyjechaliśmy na miejsce, nie, nawet później jeszcze. Zjedliśmy wieczerzę, była ósma godzina, może trochę później, i ja poszłam do swojego pokoju, kiedy przyszedł Dick, żeby mnie zaprowadzić do Jego Lordowskiej Mości, i powiedział mi na migi, że mam się ubrać jak do konnej jazdy. Przeraziłam się, bo niby dlaczego. A Jego Lordowska Mość powiedział, że musimy wyjechać w wielkiej tajemnicy, co mnie jeszcze bardziej przeraziło, bo kiedy spytałam, w jakim celu, nie wyjaśnił mi, tylko bardzo ostro odrzekł, że po to zostałam najęta, żeby robić, co on każe.

P: Nie rozmawiał z tobą w ciągu tego dnia?

O: Nie, nie powiedział ani słowa, choć dotąd udawał, że to ja wyświadczam mu wielką przysługę. Był uprzejmy i wdzięczny, że zechciałam mu pomóc w jego zamiarach. Teraz traktował mnie jak nieposłuszną służącą. Nakazał, żebym się przespala w jego łóżku, a on mnie obudzi. I tak się stało, choć z początku nie mogłam zasnąć, bo okropnie się bałam. W końcu zasnęłam.

P: Czy wiesz, co przez ten czas robił Jego Lordowska Mość?

O: Koło niego stała jego skrzynia z papierami i czytał coś przy kominku.

P: A Dick?

O: Wyszedł, nie wiem gdzie, a kiedy wrócił, to on mnie obudził.

P: O której to było?

O: W środku nocy. W gospodzie panowała cisza, wszyscy spali.

P: Co było dalej?

Rebeka Lee milczy i czyni coś, czego nie czyniła przedtem, spuszcza wzrok. Prawnik powtarza swoje pytanie:

– Co było dalej, moja pani?

– Przedtem chciałabym się napić wody. W gardle mi zaschło.

Ayscough przygląda się jej przez dłuższą chwilę, potem, nie patrząc na protokolanta siedzącego na końcu stołu, mówi:

– Przynieś wodę.

Protokolant odkłada ołówek – tym razem pisze nim wyjątkowo, zwykle robi to gęsim piórem – i cicho wychodzi, zostawiając prawnika wpatzonego na swój dociekliwy, ptasi sposób w Rebekę. On siedzi, mając za sobą szereg imponujących jakobińskich okien, ona twarzą do nich. Podnosi wzrok i spogląda mu w oczy.

– Dziękuję panu – mówi.

Ayscough nie odpowiada, nawet nie skinął głową. Cały jest skupiony w tym patrzeniu, chce ją zakłopotać, wyrazić swoją podejrzliwość wobec tej nie na czasie prośby. Wpatruje się w Rebeke, wykorzystując swoje umiejętności i wiedzę, znajomość ludzkich spraw. To prawda, że robi to z wyrachowania, posługując się wobec trudnego świadka jednym ze swoich tricków, czego dawno się nauczył, jak na przykład wybuchami wielkiej pogardy, żeby skompensować swoją marną posturę. Jednak ona wytrzymuje jego wzrok od początku przesłuchania. We wszystkim innym jest uosobieniem skromności: świadczy o tym jej schludne ubranie, nieskazitelnie biały czepek, ręce złożone na kolanach. Jednak ani razu podczas przesłuchania nie spuściła głowy, ani nie spojrzała w bok, chcąc uniknąć jego wzroku. Współczesny prawnik byłby pełen podziwu dla takiej postawy, Ayscough tego nie podziwia. Po prostu ona umacnia go w przekonaniu, że świat staje się gorszy, zwłaszcza z powodu bezczelności ludzi niższego stanu. Znow napotykamy tę niewypowiedzianą *idée reçue* jego wieku. Zmiana nie oznacza postępu, lecz (jak ujmie to pewnego dnia dziecko urodzone w przyszłym roku) pogorszenie istniejącego stanu i upadek. Nagle wstaje i podchodzi do okna, wygląda na zewnątrz. Rebeka patrzy na jego wąskie plecy, potem znow spuszcza wzrok. Wreszcie protokolant przynosi wodę. Ayscough nie odwraca się, nie patrzy, jak ona pije, sprawia wrażenie pochłoniętego tym, co widzi na dworze: plac, gdzie znajduje się wiele sklepów i kramów, pełen ludzi, których krzyki i hałasy są nieustannym tłem dla tego, co się dzieje w pokoju. Zwraca zwłaszcza uwagę na trzech mężczyzn, którzy stoją na rogu ulicy, odchodzącej od placu, dokładnie pod oknem, przez które on wygląda, i patrzą na niego. Wie, kim są, łatwo to poznać po ich skromnych ubraniach i charakterystycznych kapeluszach. Ledwie jednak na nich spojrzeł, przestaje się nimi interesować. Obserwuje teraz pewną damę z córką. Najwidoczniej są to dobrze urodzone damy, bardzo dystyngowane, o czym świadczą ich eleganckie suknie oraz idący przed nimi lokaj w liberii, który niesie koszyk z zakupami i wolną ręką zdecydowanym gestem toruje drogę obu kobietom; większość przechodniów, jakby instynktownie, od razu się usuwa na bok. Niektórzy nawet dotykają róna kapelusza lub pozdrawiają je skinieniem głowy, mimo że obie damy nie zwracają na nich uwagi. Jednak Ayscough, choć patrzy na tę scenę, nie myśli o niej, lecz o przeczytanym niedawno artykule, który przypomniała mu ta młodsza dama, bardziej afektowana i pewna siebie. Bodajże w sierpniu w „Gentleman’s Magazine” ukazał się opatrzone inicjałami R. N. satyryczny dialog, z pewnością

autorstwa mizogina, najprawdopodobniej *abbé mondain* Kościoła anglikańskiego. Oto był przykład reguł, które złamała Rebeka, przypominał także o realiach świata dla mających większe niż ona szczęście przedstawicielek jej płci, i o tym jak odmienny los od ich losu wybrała, albo raczej został dla niej wybrany. Artykuł ten mógłby nosić tytuł *Wieczne kobiety określonego gatunku*, gdyby nie przezorność pana R. N.

Katechizm ładnej panny

P: Kim jesteś?

O: Ładną dziewiętnastoletnią młodą damą.

P: Raczej trudno zrozumieć, kim naprawdę jesteś, dlatego wyjaśnij to bliżej.

O: Zapewniam pana, że jestem raczej delikatnym towarem. „Nieświeże panny przypominają śmierdzące ryby” – powiada stare przysłowie i nadal jest ono w pełni prawdziwe.

P: Czy też tak uważasz?

O: Oczywiście, kiedy mamy szesnaście lat, zaczynamy myśleć, siedemnaście – kochać, osiemnaście lat – jęczeć, a mając dziewiętnaście lat, jeśli uda nam się zdobyć mężczyznę chętnego do żeniaczki (co jest trudnym zadaniem), nawet płaczemy. Adieu, tatusiu, i odchodzimy z naszym zalotnikiem. Bo jeśli przeoczymy swoje najlepsze lata, grozi nam wielkie ryzyko, że będziemy musiały się związać z jakimś marnym, starym nieszczęśnikiem, z odstręczającą

fizjonomią.

P: Wymień zasady swej wiary.

O: Po pierwsze wierzę, że przyszedłam na ten świat dzięki mamie, co jednak nie oznacza, że mam wobec niej jakieś zobowiązania. Następnie uznaję, iż powinnam (choć nie uważam tego za obowiązek) liczyć się z tym, czego ode mnie wymaga, jak również słuchać tego starego kutwy, który powinien za wszystko płacić, czyli mego domniemanego ojca, tylko dla tej przyczyny, że ku mojemu utrapieniu zmuszają mnie do noszenia tych marnych, niemodnych już od dwóch miesięcy jedwabnych sukien jeszcze przez dalsze pół roku. Wreszcie jeśli idzie o mego męża, którego będą oszukiwać, naprawdę jestem przekonana, że nie ma najmniejszego prawa do zwierzchności nade mną; dlatego uważam, że choć tańczenie kadryla jest moją religią, a przyprawianie rogów coniedzielną medytacją, choć rujnuję go zabawami, maskaradami, modnymi strojami,

utrzymywaniem domu etc., choć nawet mogę sobie wziąć mego lokaja jako jego zastępcę, on musi milczeć. Oto są zasady mego credo, które uwielbiam i którego przestrzegam, i czynić tak będę aż do dnia mej śmierci.

P: Czy masz inne jeszcze reguły, którymi się kierujesz?

O: Postępuję źle czy dobrze, ale zawsze wedle mej fantazji, wykorzystując swoją urodę; idę za każdą modą, nawet gdyby była śmieszna, ulegam bez reszty dumie, przyjemnościom i fanaberiom, modłę się tak często, jak lord płaci długi; chodzę do teatru etc. częściej niż do kościoła i wyśmiewam się z każdego, kto chodzi tam z pobożności, ponieważ uważam to za hipokryzję. Czynienie tego wszystkiego jest dla mnie równie oczywiste, jak dla pawia rozpostarcie swego ogona.

P: Bardzo słusznie, jednak czy pamiętasz o tym, że czeka nas przyszły świat, jak często o tym myślisz?

O: Wcale nie myślę, ponieważ takie rozważania powodują wapory, a damy nigdy nie powinny trapić się niczym poważnym i swoją wiarę opierać na tym, co podsuwa kaprys, nastrój.

P: Czyż jednak damy nie wyznają jakiejś określonej religii?

O: Nie, gdyż w takim przypadku

byłybyśmy najbardziej niemodnymi istotami na świecie. Różnorodność sprawia, że wszystko jest przyjemne, i dlatego przez jedne pół godziny wyznajemy chrześcijaństwo, a kiedy indziej jesteśmy pogankami, żydówkami, mahometankami, słowem tym, co akurat nam odpowiada.

P: A jakież są zasady, które, jeśli się ich przestrzega, sprawiają, iż życie damy jest przyjemne?

O: Polegają na tym, żeby ją samą rozpieszczać, a także jej małpkę lub ulubionego pieska, a wyśmiewać jej sąsiadów i narzekać na nich, nikim się nie przejmować i oszukiwać biednych, nie płacić rachunków bogatym, nawet kosztem reputacji męża. Leżeć w łóżku do południa i każdą noc spędzać na tańczeniu kadryla.

P: Zaraz, zaraz, jeśli czytałaś formułę przysięgi małżeńskiej, to wiesz, że obowiązkiem kobiety jest szanować i słuchać męża albo co najmniej poważać i podporządkować się jemu.

O: Formuła przysięgi małżeńskiej i obowiązek! Dobrze sobie! Ta formuła to wymysł klechów, i wobec tego nie ma się czym przejmować. Damy przestrzegają tylko paragrafów ułożonych przez prawników, a dotyczących pieniędzy na szpilki albo sum na koszty

oddzielnego utrzymania oraz interesują się, jak zdobyć ich jeszcze więcej. Zgodnie z modą nie należy się liczyć z łatwowiernym głupim mężem ani cenić jego dobroci, za to jak najwięcej go obrażać.

P: Czy istnieje jakaś

uzasadniona przyczyna tej mody?

O: Oczywiście, ona jest bardzo dobra. Dopóki żyjemy, domagamy się spełnienia naszych wszystkich zachcianek, ponieważ nie będziemy mogły tego robić, kiedy umrzemy.

Kiedy pan Ayscough przeczytał ten „katechizm”, był wstrząśnięty. Wiedział, że tekst ten dobrze odzwierciedla nastawienie wielu kobiet z utytułowanych rodzin i spośród zamożniejszego ziemiaństwa, i że schodzi w dół (niestety zbyt powszechnie) społecznej drabiny, do jego własnej klasy. Jednak nie to go najbardziej zaszokowało, lecz fakt, że zostało to publicznie, bez osłonek powiedziane. Jego początkowa niechęć do profesji Lacy’ego wywodziła się dokładnie z tego samego źródła (choć, o czym nie wiedział, remedium było blisko – w kilka miesięcy później marszałek dworu, ten nazbyt surowy cenzor, miał ogłosić 230 lat trwające drakońskie przepisy dla teatru). Zarówno religia, jak i małżeństwo zostały wyśmiane, również szacunek dla wyższości mężczyzn wobec niewiast. To, co dostrzegł w oczach Rebeki, oraz w niektórych jej odpowiedziach, było tego odbiciem, mianowicie wpływ jawnej rozwiązłości ludzi wyższego stanu na niższe stany. Pewnego dnia mogło to doprowadzić do najbardziej odrażającej formy rządów: demokracji, co było jednoznaczne z anarchią. Ogarnęło go nad wyraz niepożądane uczucie: był rad z tego, że jest stary. Rozejrzał się wokoło i zobaczył, że protokolant już siedzi przy stole, że Rebeka wypła już wodę i czeka. Była uosobieniem cierpliwości i pokory. Ayscough nie od razu wrócił na swoje krzesło. Rozpoczął przesłuchanie z miejsca, gdzie stał. Dopiero po kilku pytaniach zajął swój fotel naprzeciw niej i ponownie musiał znieść jej uporczywy wzrok, tak uporczywy, że wprost nie mógł w to uwierzyć.

P: No, dobrze, moja pani. Co dalej?

O: Po cichu zeszliśmy na dół, Dick wyprowadził dwa konie, wsiedliśmy na nie i ruszyli w drogę. Miłą, może więcej jechaliśmy kłusem, aż wreszcie dotarliśmy do tych wysokich głazów, a właściwie do miejsca o jakieś sto kroków od nich, gdzie Dick przywiązał konie. Panował półmrok, nie było widać ani gwiazd, ani księżycy, a jednak widziałam je w ciemności, jak wielkie nagrobne kamienie. Ze strachu byłam bliska

utruty zmysłów, nie wiedząc, dlaczego znaleźliśmy się tu o takiej porze. Z trudem szłam, ale musiałam, bo tak mi kazano. W pewnej odległości ujrzałam przed sobą światło, być może był to ogień rozpalony przez pasterzy, chciałam krzyknąć, ale i tak by nie usłyszeli, byli zbyt daleko. I tak doszliśmy do tych głazów i weszliśmy w wewnętrzny krąg, w sam środek.

P: Wszyscy troje?

O: Tak.

P: Jonesowi mówiłaś inaczej.

O: Powiem panu, jak naprawdę było. Przy płaskim kamieniu Jego Lordowska Mość się zatrzymał i powiedział: Uklęknij, Fanny, na tym kamieniu. I nie mogłam już tego znieść, bo myślałam, że zamierzają popełnić jakieś wielkie zło, czarnoksięstwo, że wezwą piekielne siły, sama nie wiem co, i poczułam przeraźliwe zimno, jakbym dotykała lodu. Wtedy gotowa byłam na śmierć. Dlatego nie uklękłam, nie mogłam nawet słowa wymówić, taka byłam skostniała i przerażona. Jego Lordowska Mość powtórzył: Uklęknij, Fanny. Wtedy odzyskałam mowę i powiedziałam: Robimy coś złego, Wasza Lordowska Mość, nie zostałam do tego najęta. A on na to: Uklęknij, ty nie masz prawa mówić, co jest złe. Kiedy dalej nie chciałam uklęknąć, wzięli mnie pod rękę i zmusili, żebym to uczyniła. Kamień był okropnie twardy i prawie ranił mi kolana.

P: Jonesowi powiedziałaś, że kazali ci się położyć.

O: Nie, uklęknąć. A potem sami uklękli na murawie po obu stronach.

P: Z rękami złożonymi jak do modlitwy?

O: Nie, rąk nie złożyli, pochylili tylko głowy.

P: Czy nadal byli w kapeluszach?

O: Jego Lordowska Mość tak, Dick nie miał kapelusza.

P: W którą stronę byliście zwróceni?

O: Wydaje mi się, że na północ. Jechaliśmy w stronę zachodu i weszliśmy tam, kierując się w prawo.

P: Mów dalej.

O: Ja się zaczęłam w duchu modlić i przysięgam sobie, że jeśli Bóg mi wybaczy i ocali mnie, nigdy więcej nie będę uprawiała nierządu. Byłam pewna, że wpadłam w ręce diabła, znacznie gorszego od tego najgorszego, którego spotkałam u madame Claiborne, i który bez skrupułów będzie się pastwić tak nad moją duszą, jak i nad ciałem, i...

P: Tak, tak, wyobrażam sobie, co czułaś. Jak długo klęczeliście tak wszyscy?

O: Pięć minut, może trochę dłużej, nie wiem sama. Wtedy nagle rozległ się wielki szum na niebie nad naszymi głowami, jakby skrzydeł, albo huk wielkiego wiatru. Spojrzałam w górę przerażona, ale nic nie zobaczyłam, zresztą nie było wiatru tej nocy, panował spokój.

P: Czy Jego Lordowska Mość i Dick też spojrzeli w górę?

O: Nie widziałam tego.

P: Jak długo słyhać było ten szum, ten silny wiatr?

O: Kilka chwil. Nie dłużej, niż gdyby policzyć do dziesięciu.

P: Czy wtedy się nasilił?

O: Jakby spadł z niebios wprost na nas.

P: Czy przypominał przelot gromady ptaków?

O: Nie, on dochodził z góry.

P: Czy jesteś tego całkiem pewna?

O: Pewna, jak tego, że zbawi nas Chrystus.

P: Co dalej?

O: Nagle wszystko się skończyło i zapanowała cisza, i wtedy poczułam dziwny zapach, taki jak świeżo skoszonej łąki i letnich kwiatów, niezwykle słodki, tym dziwniejszy, że nie była to ich pora i że unosił się nad tym zimnym, pustym miejscem. Nagle w górze pojawiło się światło, potężniejsze niż uczyniłby je człowiek, jakby słoneczne, sama już nie wiem jakie, tak jasne, że ledwie nań spojrzałam, musiałam spuścić wzrok, gdyż prawie mnie oślepił, i wtedy zobaczyłam jakieś piętnaście kroków dalej wśród kamieni dwóch mężczyzn, młodszego i starszego, którzy patrzyli na nas.

P: Nie wierzę. Ostrzegam, że nie dam się tak łatwo oszukać.

O: Ale ja mówię prawdę.

P: Chytrze przygotowałaś się do tego, żeby mnie zbić z tropu. Namówił cię na tę bajeczkę ten twój prorokujący mąż.

O: Nie, wcale nie. Nigdy mu o tym nie mówiłam.

P: Mówiłaś czy nie mówiłaś, nadal kłamiesz.

O: Nie. Powiadam panu, widziałam ich, stali nieco dalej niż długość tego pokoju. Co prawda, nie widziałam ich zbyt dobrze, bo, jak mówiłam, oślepiło mnie światło.

P: Jak wyglądali?

O: Młodszy był bliżej, starszy nieco w tyle. Młodszy stał z palcem wzniesionym

w górę, jakby w kierunku światła, jednak zdawało mi się, że patrzy na mnie.

P: Widziałaś jego twarz?

O: Nie, gdyż światło zgasło, nim odzyskałam w pełni wzrok.

P: A starszy?

O: Też nie widziałam wiele, tylko tyle, że miał siwą brodę.

P: Jak byli ubrani?

O: Nie wiem, jak był ubrany starszy, młodszy miał taki fartuch, jaki noszą murarze i stolarze.

P: Czy twoim zdaniem mógł to być duch?

O: Ubrany był jak dzisiejszy rzemieślnik, jak mój ojciec czy mąż.

P: A może to były postacie namalowane?

O: Nie, byli żywi. To nie był sen ani wizja.

P: Czy nie byli nadmiernie wysocy i wielcy?

O: Nie. Normalnej budowy.

P: Jak długo jeszcze świeciło to światło?

O: Bardzo krótko. Przeleciało niczym błyskawica, a nie zwykle światło. Tyle że można je było dostrzec, nie dłużej.

P: Przed chwilą powiedziałaś, że zostałaś oślepią, a teraz jesteś taka pewna, że tylko przemknęło?

O: Tak.

P: A może to były dwa kamienie?

O: Nie.

P: Nie słyszałaś grzmotu, nie rozległ się głos Belzebuba?

O: Nie. To było jak powiew ciepła, słodko pachnącej łąki latem. Radość dla powonienia, radość dla ducha. Kiedy wszystko znikło, ten zapach pozostał. A ja przestałam się bać, wiedziałam, że to nie było złe, raczej, że przyszło, żeby mnie pocieszyć, dodać otuchy. Zstąpiło na mnie jak to inne światło, tak że przestałam się bać tego, czego się bałam przedtem. Czułam tylko smutek, że trwało tak krótko, że nie mogłam go objąć, ani patrzeć na nie dłużej, nacieszyć nim oczu. Jednak wiedziałam, że pełna nadziei muszę przy nim trwać. Powiadam, nie oznaczało też zła, które było we mnie. Pan musi to zrozumieć.

P: Rozumiem tylko jedno: nadal ci nie wierzę.

O: Uwierzy pan, jak skończę opowiadać.

P: Owca przemieni się w jagnię, co? Przypomnij sobie, kiedy się pojawiło to

światło, czy miałaś jakąś wizję?

O: Ono było na niebie.

P: Czy rozświetliło całą okolicę? Przemieniło noc w dzień, jak prawdziwe słońce?

O: Noc nadal była ciemna.

P: Czy widziałaś może świece, kaganki?

O: Nie, ono było białe jak letnie słońce, w kształcie róży, koła.

P: I wisiało na niebie akurat nad świątynią?

O: Tak.

P: I nie poruszało się?

O: Nie.

P: Jak wysoko to było?

O: Nie potrafię określić.

P: Tak wysoko jak słońce i księżyc?

O: Nie, niżej, i nie tak wysoko jak chmury. Jak nad kopułą katedry Świętego Pawła.

P: Sto kroków?

O: Nie potrafię powiedzieć.

P: A dlaczego, twoim zdaniem, to światło wisiało w górze?

O: Nie wiem, może zaniósł je tam jakiś wielki ptak.

P: Albo wielka kłameczucha. Powiedziałaś niedawno, że ten dźwięk, który się rozległ, nim ono rozbłysło, to był szum skrzydeł, a potem że huk wiatru. To nie to samo.

O: Nie potrafię tego wyrazić. Świszczał jak przelatujące skrzydła.

P: A może jak bat na twoich plecach? To także usłyszysz, jeśli cię przyłapię na kłamstwie. Ci obcy mężczyźni, czy mieli coś ze sobą?

O: Nie.

P: Czy Jego Lordowska Mość przemówił do nich?

O: Nie, ale zdjął kapelusz.

P: Naprawdę? Zdjął kapelusz przed stolarzem i starcem?

O: Było, jak powiedziałam.

P: Czy w odpowiedzi uczynili jakiś znak? Okazali szacunek z racji wyświadczonej im grzeczności?

O: Nic takiego nie zauważyłam.

P: A kiedy światło znikło, czy coś słyszałaś?

O: Nie.

P: Czy widziałaś ich nadal tam stojących?

O: Nie, ponieważ wciąż byłam oślepią.

P: Czy w górze słychać było jakiś dźwięk?

O: Wszędzie panowała cisza.

P: I co sobie o tym wszystkim pomyślałaś?

O: Że Jego Lordowska Mość jest całkiem inny, niż przypuszczałam. Bo zaraz potem, jak tylko wstał, pomógł mi się podnieść, wziął moje ręce w swoje dłonie i uściskał je, jak ktoś, kto chce okazać wdzięczność, spojrział mi w oczy, choć było ciemno, i powiedział: Jesteś tą, której szukałem. Po czym odwrócił się do Dicka, który także już stał, i objęli się, nie jak pan i służący, ale jak bracia cieszący się z pomyślnego obrotu jakiejś ważnej dla nich sprawy.

P: Nie wymienili żadnych znaków?

O: Nie, tylko się objęli ramionami.

P: A potem?

O: Potem odeszliśmy od tych kamieni i w pewnej chwili Jego Lordowska Mość zatrzymał się i znów się do mnie odezwał. Powiedział, że nikomu nie wolno mi mówić o tym, co widziałam tej nocy. Że to nie przyniesie mi szkody, że nie powinnam się bać tego, co z pewnością wydało mi się dziwne. I znowu wziął moje ręce w swoje dłonie i je uściskał, jakby na dowód, że ten łagodny gest, który okazał, jest bardziej dla niego charakterystyczny, niż to wszystko, co do tej pory widziałam.

P: Coś mu odpowiedziała?

O: Obiecałam, że nikomu nie powiem. Na co odparł: Bardzo dobrze, a teraz idź z Dickiem. I poszliśmy oboje, a Jego Lordowska Mość został. Ale nim wróciliśmy do gospody, dogonił nas. Nie został tam długo.

P: Spytałaś go, co się tam wydarzyło?

O: Jechał w pewnej odległości za nami. A potem na dziedzińcu gospody życzył mi dobrej nocy i poszedł prosto do pokoju, zostawiając Dickowi swego konia, żeby go wprowadził do stajni i rozsiadłał. Ja też poszłam do swego pokoju.

P: Czy Dick przyszedł do ciebie, jak skończył swoją robotę?

O: Tej nocy więcej go nie widziałam.

P: No, dobrze. A co to było z tą bajeczką, którą opowiedziałaś Jonesowi, że Jego Lordowska Mość uprzedził cię, iż pojedziecie do świątyni, gdzie on wykorzysta

twoje ciało, ponieważ chce sprawdzić pewien przesąd? Potem nabajdurzyłaś Jonesowi o Murzynie, który stał na głazie i miał ponoć skoczyć na ciebie, gdy leżałaś na kamieniu, i o smrodzie padliny, i sam już nie wiem, o czym jeszcze. Cóż to za diabelska sztuczka?

O: Kłamałam.

P: Ona powiada, że kłamała! Powiem ci, moja pani, prawdę o kłamaniu. Kto skłamię raz, zawsze skłamię i drugi raz.

O: Teraz nie kłamię. Zznamę pod przysięgą.

P: Dlaczego tak paskudnie nakłamałaś Jonesowi?

O: Chciałam, żeby się porządnie przeraził i nie puścił pary z ust, ze strachu, że ktoś posądzi go, iż brał w tym udział. Powiem jeszcze o tym we właściwym miejscu i dlatego go okłamałam.

P: Będziesz musiała to zrobić. A teraz odpowiedz, czy następnego dnia zachowanie się Jego Lordowskiej Mości wobec ciebie zmieniło się?

O: Tylko raz, kiedy byliśmy w drodze, odwrócił się i czekał, aż dojechalibyśmy do niego, wtedy spojrzał na mnie uważnie i spytał: Czy wszystko w porządku? Odparłam, że tak, i chciałam powiedzieć coś jeszcze, ale odwrócił się i ruszył przed siebie, dając do zrozumienia, że nie ma ochoty dłużej ze mną rozmawiać.

P: Co sądzisz o tym, co jak utrzymujesz, widziałaś wśród kamieni?

O: Myślę, że tam zostały rzucone jakieś wielkie czary, że tam kryje się jakaś wielka tajemnica. Że to był znak, który był zaprzeczeniem zła. Już mówiłam panu, że nie widziałam tam zła, nie czułam lęku.

P: A co myślisz o słowach Jego Lordowskiej Mości, że jesteś tą, której szukał.

O: Że znalazł we mnie to, czego chciał.

P: Mianowicie co?

O: Że grzeszyłam, ale już więcej grzeszyć nie będę.

P: Jak to możliwe? Czyż nie utrzymywał cię w grzechu i wszeteczności?

O: Potem pan zrozumie wszystko.

P: A więc to, czego chciał, nie było kuracją na jego impotencję, jak przypuszczaliśmy?

O: Szukał tego, co się później wydarzyło.

P: Czyż zwykła ladacznica może spowodować coś, co przekracza wszelkie ludzkie wyobrażenie? Czy nie chcesz powiedzieć, że to ciebie odwiedziły te dwie postacie, a nie jego? Czyż nie klęczał obok ciebie, i do tego niżej niż ty?

O: Tak to wyglądało. Wszak byłam tam nie z własnej woli, lecz z jego nakazu. Służyłam mu tylko.

P: A jak myślisz, kim byli ci dwaj obcy?

O: Jeszcze nie powiem panu teraz.

P: Dość tych krętałów, kobieto. Zeznajesz wobec przedstawiciela prawa, a nie jesteś na jakimś swoim zebraniu z prorokiem. Nie pozwolę się dłużej zbywać byle czym.

O: Owszem pozwoli pan, panie Ayscough, bo jeśli powiem to teraz i o tym, jaka była wola Jego Lordowskiej Mości, pan mnie wyśmiej i nie uwierz mi.

P: Twój upór gorszy jest niż twoje łajdaczenie się. Dlaczego się śmiejesz?

O: Nie z pana, proszę mi wierzyć.

P: Nie uciekniesz ode mnie, moja pani.

O: Ani pan nie uniknie tego, co daje Bóg.

P: Teraz powiedz, jak było z Dickiem, czy wydawał się zmieniony następnego dnia?

O: Na pewno nie w swoim pożądanu.

P: Jak się to przejawiało?

O: Jak jechaliśmy.

P: Co to znaczy: jak jechaliśmy?

O: Jego Lordowska Mość jechał pierwszy, a za nim pan Brown i Jones.

P: I co się stało?

O: Nie powiem. Tylko tyle, że był podniecony jak zwierzę.

P: I tyś rozładowała jego napięcie.

O: Nie powiem nic więcej.

P: Chcesz przez to powiedzieć, że przy drodze, w krzakach...

O: Nie powiem nic więcej.

P: A co się wydarzyło tego wieczoru w Wincanton?

O: Jego Lordowska Mość wezwał mnie po przyjeździe i kazał mi powiedzieć Jonesowi, że chce natychmiast z nim rozmawiać.

P: Czy wiesz, dlaczego?

O: Nie. Przekazałam to polecenie i zaraz poszłam do swego pokoju.

P: Jones nic ci na ten temat nie mówił?

O: Nie.

P: A czy Jego Lordowska Mość nie wezwał cię ponownie tego wieczoru?

O: Nie.

P: Czy Dick przyszedł do ciebie w nocy?

O: Tak.

P: Spałaś z nim?

O: Tak.

P: Czy nie byłaś już zmęczona jego amatorami?

O: Przyjęłam je tak jak przedtem, nie jak prostytutka.

P: Z litości, powiadasz?

O: Tak.

P: Czyż nie podniecił twej kobiecej żądz? Uczynił to, prawda? [*Non respondet.*] Czy długo został u ciebie?

O: Tak samo jak zawsze. Kiedy się obudziłam, już go nie było.

P: Następnego dnia jechaliście do Taunton. Czy Jego Lordowska Mość rozmawiał z tobą?

O: Tylko raz, kiedy znalazł się dość blisko nas, a myśmy byli z dala od innych. Spytał wtedy, czy nic nie boli mnie z powodu jazdy. A kiedy odparłam, że tak, bo nie nawykłam do tego, powiedział: Nasza podróż zbliża się do końca, wkrótce wypoczniesz.

P: Był uprzejmy?

O: Taki jak na początku.

P: Nie spytałaś go wtedy, co się wydarzyło w tej pogańskiej świątyni?

O: Nie.

P: Przecież chwila temu sprzyjała.

O: Ja wiedziałam, że powie o tym, jak zechce. A jak nie zechce, to nie powie. A teraz jestem przekonana, że chronił mnie, że byłam dla niego bardziej cenna, niż chciał okazać, maskując to swym poprzednim okrucieństwem albo udaną obojętnością. Nie wiedziałam jednak, dlaczego tak było.

P: Tego dnia, podczas jazdy, czyś zaspokoila znów pożądanie Dicka?

O: Nie,

P: Czy nie próbował?

O: Nie chciałam tego.

P: Czy okazał gniew? Zmuszał cię do tego?

O: Nie.

P: I czekał cierpliwie aż do nocy?

O: Nie, dlatego, że w Taunton nie znaleźliśmy gospody, gdzie moglibyśmy mieszkać wedle naszej woli, i musieliśmy się ulokować w jakimś marnym zajeździe, pod miastem. Tam spałam z innymi służącymi. Jego Lordowska Mość i pan Brown spali w małym pokoiku, Dick zaś i Jones na sianie na poddaszu. I dlatego nic się nie stało. Tylko pchły i wszy mnie pogryzły.

P: I tak się zdarza. A następnego dnia?

O: Cały dzień jechaliśmy, to był dłuższy odcinek niż poprzednio. A kiedy minęliśmy Hampton, nie pojechaliśmy gościńcem, lecz bocznymi drogami, gdzie prawie nikogo nie spotkaliśmy.

P: Czy nie powiedziałaś, że nie zamierzałaś wrócić do madame Claiborne i postanowiłaś odszukać rodziców i siostry w Bristolu?

O: Tak.

P: Dlaczego więc zdecydowałaś dojechać aż tak daleko? Mogłaś przecież wcześniej uciec, żeby dostać się do Bristolu?

O: Tak, tak było. Ale ja nie miałam wciąż na to odwagi, ani nie widziałam możliwości. W głębi serca nadal byłam dziwką, niech nasz Pan, Jezus Chrystus, mi przebaczy. Życie w burdelu utwierdza w grzechu, za to rozpieszcza pod innymi względami. Miałyśmy służące, dbano o nas jak o jakieś damy. Przejmowano się naszymi humorami, żyłyśmy z dnia na dzień. O nic się nie troszczyłyśmy, nie miałyśmy wiary, która by nas uodporniła na przyszłość. Ja nadal chciałam się dostać do Bristolu, jak już mówiłam, i zmienić swoje życie, ale wtedy nie myślałam o tym, po prostu rada byłam, że oddalam się od Londynu, a o wszystkim decydował Jego Lordowska Mość. Może pan ze mnie szydzić, ale tak było. Kiedy wyjechaliśmy z Taunton, miał to być ostatni dzień naszej wspólnej podróży. Od tego jutra już nie pozwolę panu ze mnie szydzić, a jeśli pan to robi, będzie pan szydzić z samego siebie.

P: Dość tego. Przestań.

O: Ale ja muszę. Ponieważ inaczej pan nie będzie mógł zrozumieć drogi mojej duszy ani duszy Jego Lordowskiej Mości. Musi mi pan wybaczyć, że nie powiedziałam panu całej prawdy w jednej kwestii. Najpierw byłam zmuszona współżyć z Dickiem, a potem robiłam to z litości. Teraz już wiem, że mi przypadł do gustu bardziej niż jakikolwiek inny mężczyzna, którego przedtem znałam, począwszy od tego pierwszego, kiedy byłam bardzo młodą dziewczyną, zbuntowaną przeciwko wszystkiemu, czego nauczyli mnie rodzice. Dick nie znał grzesznej sztuki miłości, jednak umiał mnie zaspokoić bardziej niż ci, którzy ją znali. Kochał mnie mocno

całym swoim dziwnym sercem, mimo że nie mógł tego wyrazić słowami. Od tej pory wiem, że w tym jego braku słów było więcej treści niż w mówieniu innych. Co pochodziło nie z tego, co działo się w ciele, to znaczy w naszej grzeszności i zwierzęcym „ja”, ale z czegoś innego. Z tego, że spałam przytulona do jego piersi w drodze. Ze wspólnie oglądanych widoków, które mijaliśmy, z tego, co słyszałam lepiej, niż gdyby mówił to głośno. Tej ostatniej nocy przyszedł do mnie i wziął mnie wedle swej woli, a potem leżał, szlochając w moich ramionach i ja też płakałam, bo wiedziałam, dlaczego on płacze. To przecież było tak, jak gdybyśmy żyli w dwóch więziennych celach, mogli się nawzajem widzieć i dotykać swych rąk, ale nic poza tym. I może pan to nazywać, jak pan chce, ale powiadam, że to płkanie było dla mnie bardzo dziwne, ale też bardzo słodkie, gdyż zrozumiałam, że uwalnia mnie z mego wszeteczeństwa, mego grzechu, twardości serca, z tego wszystkiego, czym się stałam, od kiedy straciłam niewinność. To było tak, jakbym przez te wszystkie lata żyła w ciemności, przemieniła się w kamień, a teraz znowu odzyskała ciało, choć jeszcze nie chrześcijańskie i nie w pełni zbawione. Może mi pan wierzyć albo nie. Każde słowo, które mówię, to święta prawda.

P: Kochałaś tego człowieka?

O: Mogłabym go kochać, gdyby zrzucił z siebie piętno Adama.

P: A co usłyszałaś w tym jego mówieniu bez słów.

O: Że był zdesperowanym, nieszczęśliwym człowiekiem, tak samo jak ja, choć z innej przyczyny, i że kochał mnie także za to, że z niego nie szydziłam i mu nie dokuczałam.

P: Bardzo dobrze. Czy tego ostatniego dnia podróży nie znaleźliście się blisko Jego Lordowskiej Mości?

O: Tak, na szczycie góry, która leżała obok drogi i z której był rozległy widok.

P: Czy Dick pokazywał w określonym kierunku? Określone miejsce?

O: Owszem, pokazywał, jakby znał tę okolicę.

P: Czy to Jego Lordowska Mość poprosił Dicka, żeby pokazał? Czy wymienili przedtem jakieś znaki?

O: Nie.

P: Czy Dick nie wskazał na tę jaskinię, gdzie pojechaliście następnego dnia?

O: Nie mam pojęcia.

P: Ale to było w tym samym kierunku?

O: Wskazywał na zachód. Więcej nie wiem.

P: Jak daleko to było od miasteczka, gdzie tego dnia nocowaliście?

O: Jakieś dwie godziny jazdy.

P: Nic się nie wydarzyło, gdy jechaliście?

O: Jego Lordowska Mość był zły, że przy twarzy miałam fiołki, a ja włożyłam je pod opaskę na brodzie, żeby czuć ich słodki zapach. On to poczytał za obrażę, nie wiem czemu. Choć nic wtedy nie powiedział, tylko później.

P: Czy to było uzasadnione? Nie dałaś mu innego powodu niż to, że zbierałaś kwiaty?

O: Jestem pewna, że nie.

P: A co powiedział potem?

O: Przez Dicka wezwał mnie do siebie, kiedy jadł wieczerzę, i ja myślałam, że chodzi o tę samą dawną sprawę. Jednak Jego Lordowska Mość odprawił Dicka, ledwie weszłam, kazał mi się rozebrać do naga, co musiałam zrobić, pewna, że wreszcie wypróbuje na mnie swoją męską potencję. Ale tak się nie stało, kazał mi usiąść na ławce koło siebie, jak bym była winna, i nazwał mnie niewdzięcznicą, jak już mówiłam, z powodu fiołków, a potem rozpustnicą i jeszcze nie wiem kim, był okrutny jak nigdy, jakby oszalał, bo zmusił mnie, żebym ukłękła i przysięgła, że wszystko, co mówi, to prawda. Potem nagle się zmienił i powiedział, że jego okrucieństwo było tylko sprawdzianem, że wręcz przeciwnie jest bardzo ze mnie zadowolony. I mówił potem o strażnikach wód leczniczych, których nazajutrz mieliśmy spotkać, i wtedy powiedział, że zabrał mnie ze sobą, żebym dogodziła i im i że będę musiała to zrobić, za co on mnie wynagrodzi. Że muszę się pozbyć moich londyńskich nawyków i wyglądać na prostą dziewczynę i nie zdradzić się, że niedawno byłam w burdelu.

P: Kiedy mówił o tych wodach, myślałaś, że to te, o których wspomniał w Londynie?

O: Tak.

P: Czy mówił coś więcej o tych strażnikach?

O: Że są cudzoziemcami i nie mówią po angielsku ani żadnym europejskim językiem i nie znają grzeszności kobiet.

P: Czy podał jakieś szczegóły, wymienił jakieś konkretne miejsce albo kraj, z którego te osoby pochodziły?

O: Nie.

P: Czy nie powiedział, gdzie o nich usłyszał?

O: Tylko to, że bardzo chce ich spotkać.

P: Czy należy przez to rozumieć, że ich przedtem nie spotkał?

O: Tak, ale to nie było wyraźnie powiedziane.

P: Czy z tego wynikało, że miał ich spotkać następnego dnia?

O: Wkrótce pan o tym usłyszysz.

P: Czy nie uważasz, że kiedy Jego Lordowska Mość mówił o tym, że da ciębie innym, zachowywał się jak jakiś stręczyciel?

O: Tak, częściowo.

P: Dlaczego tylko częściowo?

O: Wtedy już wiedziałam, że on mówi zagadkami.

P: Chcę coś wiedzieć, nim posuniemy się dalej. Czy nazajutrz rzeczywiście zostałam im oddana? Powiedz tak albo nie.

O: Tak.

P: Czy tego wieczoru znów się bałam, choć byłaś przekonana, że to, co się wydarzyło w świątyni w swej istocie nie było złe?

O: Nie widziałam nic złego w tym kiepskim nastroju Jego Lordowskiej Mości. Nie rozumiałam, co on robi, i najbardziej bałam się swojej niewiedzy.

P: Chciałbym wiedzieć coś jeszcze. Jak myślisz, czy Jego Lordowska Mość wiedział o twojej miłości do służącego? Czy to się działo z jego wiedzą czy w tajemnicy przed nim?

O: Z jego wiedzą, ponieważ oskarżył mnie o to, że okazałam zbyt wiele czułości dla uścisków Dicka, powiedział to jak właściciel: Zostałam kupiona dla mojej przyjemności, a jednak znalazłaś ją w ramionach innego mężczyzny, i że bardzo wiele mu powiedziałam przez te fiołki, które miałam przy sobie.

P: Czy wiedział, że sypiałaś potajemnie z Dickiem, poza tymi przypadkami, kiedy sam tego żądał?

O: To, do czego zostałam najęta, miało miejsce tylko dwa razy, potem już nie, jakby Jego Lordowska Mość stracił nadzieję, że to da jakieś dobre rezultaty, i zostawił mnie swojemu służącemu, jednak nadal był zły, że to mi sprawiało przyjemność.

P: Chcesz powiedzieć, że widząc, iż wasze spółkowanie nie daje zamierzonego wyniku, przestał się tym interesować?

O: Jego Lordowska Mość miał różne cele, a jeden był bardzo ważny.

P: Co to był za bardzo ważny cel?

O: Na razie nie powiem.

P: Musisz to wyjaśnić.

O: W odpowiednim czasie.

P: Czyż to nie dziwne, że kazał ci służyć tym cudzoziemcom, a jednak nie zażądał, abyś odsunęła Dicka?

O: Tak było.

P: Czy było jego życzeniem, byś była nierządnicą dla tych ludzi, gdyby tego zechcieli, i to mimo pozorów twojej niewinności?

O: Tak to rozumiałam.

P: Był to rozkaz czy może decyzję zostawił tobie?

O: Rozkaz, któremu miałam być posłuszna.

P: Czy Jego Lordowska Mość powiedział ci coś więcej?

O: Nie.

P: Zawahałaś się.

O: Szukałam w pamięci.

P: I mówisz nie?

O: Mówię nie.

P: Kobieto, jest coś w twoich odpowiedziach, co mi się nie podoba. Zupełnie jakbyś chciała mnie drażnić, zadawać mi zagadki. Tu nie chodzi o zagadki. Ostrzegam cię.

O: Jeśli mówię zagadkami, to dlatego, że ja też miałam z nimi do czynienia. Nie tylko pana to niepokoi, mnie również niepokoiło.

P: Czy Jego Lordowska Mość kazał ci odejść?

O: Tak.

P: I zobaczyłaś go dopiero nazajutrz rano?

O: Tak.

P: Poszłaś do swego pokoju i wkrótce przyszedł Dick?

O: Spałam, kiedy przyszedł.

P: Czy nie pomyślałaś wtedy, że następnego dnia będziesz w ramionach innego mężczyzny?

O: Wtedy nie wiedziałam, co będzie jutro, Chrystusowi niech będzie chwała.

P: To jutro było blisko. Nie mogłaś przed nim uciec.

O: Wiedziałam o tym.

P: Czy wiedziałaś, że Jones postanowił tej nocy zbiec?

O: Nie.

P: Nie rozmawiał z tobą?

O: Trochę rozmawialiśmy, ale ja go nie lubiłam.

P: Dlaczego?

O: Bo ledwie ruszyliśmy w drogę, zaczął węszyć i udawał, że wie o mnie więcej, niż naprawdę wiedział, i że winna mu jestem wdzięczność za jego milczenie.

P: Czyż nie było w tym prawdy?

O: Mimo to. Nawet Dicka wyśmiewał z powodu jego głuchoty i niemoty. To też mi się nie podobało. Nigdy nie mówił jasno aż do końca.

P: Czy wiedziałaś, że pan Brown także się od was odłączy, gdy tylko wyruszyacie?

O: Nie.

P: Czy byłaś tym zdziwiona?

O: Nie wydało mi się to dziwne. Wykonali swoje zadanie.

P: Bardzo dobrze. Pan Brown odjechał, a wy ruszyliście w kierunku drogi do Bideford. Co było dalej?

O: Po pewnym czasie wjechaliśmy w lasy, bardzo ponure, aż natrafiliśmy na wartki strumień przecinający drogę, który musieliśmy przeciąć. Wtedy jadący przodem Jego Lordowska Mość się zatrzymał i obejrzał na Dicka, i wyciągnął palec wskazujący prawej ręki, dotykając do niego pod kątem prostym palec wskazujący lewej ręki, tak że był to jakby krzyż, na co Dick pokazał przed siebie, ale nie na naszą drogę, która tam zakręcała, lecz na wzgórze czy górę, z której spadała woda.

P: Co z tego wywnioskowałaś?

O: Że Dick musi znać to miejsce, a Jego Lordowska Mość nie, albo nie jest go pewien.

P: Czy wymienili jeszcze inne znaki?

O: Jego Lordowska Mość rozsunął dłonie, jakby coś mierzył, Dick zaś podniósł dwa palce. Tego wtedy nie zrozumiałam, ale teraz wydaje mi się, że to znaczyło: Jeszcze dwie mile przed nami. Więcej znaków nie było. Jednak nie ruszyli w drogę, tylko patrzyli sobie w oczy jak ludzie w transie. Nagle Jego Lordowska Mość zawrócił konia i pojechał przez las, wspinając się na wzgórze, które pokazał Dick.

P: Nic do ciebie nie powiedział?

O: Nie, ani słowa. Nawet na mnie nie spojrział. Zupełnie, jakby mnie tam nie było.

P: Czy kiedyś widziałaś już, żeby tak na siebie patrzyli?

O: Tak, raz, może dwa, ale nie tak długo.

P: Nie tak jak pan i sługa?

O: Raczej jak dwoje dzieci, które chcą sprawdzić, które wytrzyma dłużej.

P: Czy była w tym spojrzeniu wrogość?

O: Nie, ale nie było to zwyczajne patrzenie. Jakby rozmawiali, choć usta się nie poruszały.

P: No, dobrze. Znaleźliście się w wąwozie idącym w górę, Jones mi powiedział, jak jest położony. Kiedy po raz pierwszy zatrzymaliście się?

O: Wkrótce musieliśmy zsiąść z koni, bo inaczej byśmy pospadali. Dick prowadził naszego konia i juczną klacz, ja szłam za nim, a z tyłu Jego Lordowska Mość prowadził swego konia. Wszystko odbywało się w ciszy, z wyjątkiem stukotu kopyt końskich na kamieniach, a szliśmy wzdłuż strumienia milę albo i więcej. Nagle Dick się zatrzymał i przywiązał oba konie do kolczastej gałęzi, a potem wziął konia Jego Lordowskiej Mości i uwiązał do innej gałęzi. Potem zaczął zdejmować skrzynię Jego Lordowskiej Mości z juczej klaczy.

P: Czy Dick zatrzymał się na polecenie Jego Lordowskiej Mości?

O: Nie, z własnej woli. Jakby świetnie wiedział, gdzie idziemy.

P: Mów dalej.

O: Podszedł do mnie Jego Lordowska Mość i powiedział, że moja suknia nie jest odpowiednia na to spotkanie i że zabrał inną, o wiele bardziej odpowiednią i że teraz muszę się przebrać, bo jesteśmy już blisko. Spytałam, czy nie ma lepszej drogi? Odparł, że nie, jest tylko ta jedna. I dodał, żebym się nie bała, bo nie stanie mi się żadna krzywda, jeśli zrobię to, co on mi powie. Po chwili skrzynia znalazła się na ziemi, Dick ją otworzył, a Jego Lordowska Mość podał mi z niej ubranie, które leżało na samym wierzchu.

P: Jakiego rodzaju to był strój?

O: Gorsecik, halka i piękna biała holenderska suknia z koronkami na rękawach, które także miały różowe wstążki związane w kokardy. Piękne prosto z Nottingham pończochy, również białe. I białe pantofelki. Wszystko było białe i nowe.

P: Czy takie stroje są noszone na Dzień Majowy?

O: Takie noszą wiejskie dziewczyny, tyle że z muślinu. Ten strój był lepiej uszyty i z lepszego materiału, jak dla damy.

P: Pasował na twoją figurę?

O: Całkiem dobrze.

P: Nie wiedziałaś o tym wcześniej?

O: Nie.

P: Co było potem?

O: Jego Lordowska Mość powiedział, że się muszę wykapać, nim wdzienę to nowe ubranie.

P: Kazał ci się wykapać?

O: Powiedział, że muszę być czysta na ciele. I wskazał w bok, gdzie strumień tworzył niewielkie zakole, gdyż widać było kamyki i piasek na dnie.

P: Coś wtedy pomyślała?

O: Że woda jest zimna, co powiedziałam głośno. Na to on odparł, że muszę się wykapać, bo ten strumień będzie moim Jordanem.

P: Powiedział „twoim Jordanem”?

O: Tak.

P: Może żartował?

O: Dla mnie to nie był żart.

P: Wykapałaś się?

O: Jak tylko mogłam najlepiej. Woda sięgała mi ledwie do kolan, więc musiałam przykucnąć, a była lodowata.

P: Byłaś naga?

O: Tak.

P: Czy Jego Lordowska Mość patrzył na ciebie?

O: Odwrócił się plecami, a potem i ja stanęłam tyłem do niego.

P: I co dalej?

O: Wysuszyłam się na brzegu, włożyłam nowe ubranie i w słońcu zrobiło mi się całkiem ciepło. Usiadłam. Wtedy Jego Lordowska Mość podszedł znów do mnie i podał mi nóż, który zwykle nosił Dick. Powiedział: Dziś jest Dzień Majowy, ty będziesz jego królową, Fanny, ale sama musisz się ukoronować.

P: Humor mu się poprawił?

O: Chyba tak, choć myślą był gdzie indziej. Szybko odszedł o kilka kroków i patrzył, dokąd idzie Dick.

P: Dick odszedł?

O: Jak tylko otworzył skrzynię i lepiej przywiązał konie. Przeszedł przez strumień i potem ruszył po stromym zboczu w górę.

P: Konie zostały przywiązane inaczej niż zaraz po waszym tam przyjściu?

O: Tak. Kiedy odeszłam, żeby się wykapać, widziałam, że Dick je wiąże na

długich sznurach, których jeden koniec przymocował do kolczastych drzew, które tam rosły, zdjął też z koni siodła i uprząż, a tak je związał, że mogły pić ze strumienia i skubać trawę.

P: Co znaczyło, że postój miał być długi?

O: Tak.

P: Czy widziałaś Jonesa, który się tam ukrył i obserwował was?

O: Nie myślałam o nim, o nikim nie myślałam, tylko o sobie. Uwiłam wianek, jak potrafiłam najlepiej, wtedy wrócił Dick i dał znak Jego Lordowskiej Mości.

P: Taki znak, popatrz?

O: Nie, nie taki.

P: Jones powiada, że był właśnie taki.

O: Nie, nie był, i wątpię, żeby mógł tak dobrze widzieć z miejsca, gdzie się schował.

P: Wobec tego, co to było?

O: Złożył ręce, o tak, na wysokości piersi. Widziałam to już wcześniej i wiedziałam, że znaczy: Gotowe, albo: Zrobiłem, co zostało polecane. Wtedy mogło znaczyć: Ci, których mamy spotkać, czekają na nas wyżej. Gdyż Jego Lordowska Mość natychmiast do mnie podszedł, kazał mi wstać i powiedział, że musimy iść, ale że najpierw ja będę niesiona. Było stromo, ziemia bardzo kamienista i Dick wziął mnie na ręce.

P: Czy sprawiał wrażenie podnieconego, kiedy wrócił z góry?

O: Nie.

P: No, dobrze. Na razie dosyć. Jeszcze z tobą nie wejdziemy, moja pani, do tej jaskini. Mój protokolant zaprowadzi cię do oddzielnego pokoju, żebyś coś zjadła. Nie wolno ci rozmawiać z twoim mężem ani z nikim innym, czy to jasne?

O: Będę rozmawiać z mężem mojej duszy, z Chrystusem.

Wysoki, lekko zgarbiony protokolant otworzył drzwi. Rebeka szła za nim, kiedy ją prowadził korytarzem do następnych drzwi. W pokoju, gdy odwróciła się i spojrzała na niego, spytał:

– Piwo czy znowu woda, proszę pani?

– Woda.

– Proszę nie wychodzić z tego pokoju.

Przytaknęła skinieniem głowy. Patrzył na nią długo, jakby wątpił w jej słowa, potem wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Pokój był niewielką sypialnią, z jednym oknem, przy którym stał stół i dwa krzesła. Nie podeszła do niego, lecz zatrzymała się przy łóżku, schyliła unosząc narzutę, zajrzała pod łóżko i wyciągnęła naczynie, którego szukała, szybko uniosła spódnice i usiadła na nim.

Nie musiała zdjąć dolnej części bielizny z tej prostej przyczyny, że w owym czasie wszystkie Angielki, ze wszystkich klas społecznych, nie nosiły pod halką, i tak było przez co najmniej następne sześćdziesiąt lat. Można by napisać rozprawę o tym niezrozumiałym i mało znanym fakcie dotyczącym spodniej bielizny, a raczej jej braku. Francuzki i Włoszki dawno znalazły na to lekarstwo, Anglicy również, ale nie Angielki. Wszystkie te wytworne, imponujące damy z wyższych sfer w swych eleganckich, również dworskich strojach, których tyle wizerunków zostawili nam osiemnastowieczni malarze, są – mówiąc brutalnie – bez majtek. A co więcej, kiedy wreszcie dokonano przełomu – a właściwie go przykryto – i pierwsze damskie majtki, a wkrótce po nich pantalony, pojawiły się z początkiem dziewiętnastego wieku, zostały okrzywane za nieprzyzwoite, prowokacyjne wobec mężczyzn, co było bez wątpienia przyczyną, że wkrótce stały się *de rigueur*.

Rebeka, po załatwieniu swojej naturalnej potrzeby, wstała i wsunęła gliniany nocnik z powrotem pod łóżko i poprawiła narzutę. Następnie wolno podeszła do okna i wyjrzała na rozległy dziedziniec na tyłach gospody.

Przed chwilą zajęchała prywatna karetka zaprzęzona w cztery konie, które na razie nie zostały wyprężnięte. Na bocznych drzwiach był namalowany herb, podtrzymywany przez dwunożnego smoka i panterę, ale jego motto oraz inne szczegóły były stąd nieczytelne. Nie było też widać ani pasażerów, ani woźniców, tylko chłopaka stajennego najwidoczniej zostawionego do pilnowania koni. Po dziedzińcu kręciły się szukające pożywienia kury i kogut, wróble oraz para białych gołębi, które chłopak leniwie oparty o karetkę karmił z ręki ziarnem. Od czasu do czasu wsuwał

większe ziarna do ust i przeżuwał je. Nagle Rebeka pochyliła głowę i przymknęła oczy, jakby nie mogła dłużej patrzeć na tę niewinną scenę. Usta jej zaczęły się poruszać, choć nie wydobywał się z nich żaden dźwięk i stało się jasne, że mówiła do tego męża, do którego ośmieliła się przed chwilą zwrócić.

Nagle jej wargi znieruchomiały, usłyszała bowiem kroki na drewnianej podłodze korytarza. Otworzyła oczy i szybko usiadła na jednym z krzeseł, tyłem do drzwi, które się otworzyły, i ktoś w nich stanął. Wszakże nie był to ów sardoniczny urzędnik, którego oczekiwała, lecz starszy mężczyzna średniego wzrostu, raczej otyły, ubrany na szaro. Stał nieruchomo w progu i przyglądał się jej. Rebeka wstała, ale się nie skłoniła. Mężczyzna na głowie miał płaski, czarny kapelusz, a w prawej ręce ścisnął opartą o podłogę jakby laskę pasterską. Jednak nie była to prawdziwa laska pasterska, która zazwyczaj jest zakończona wygięciem drewnianym albo z rogu, ta miała spiralne zakończenie z polerowanego srebra, co wyraźnie symbolizowało jakąś dostojną funkcję. Przypominała raczej biskupi pastorał.

Nie patrzył też na nią normalnie, lecz jak człowiek szacujący zwierzę, które zamierza kupić, klacz albo krowę, i szybko musi podać cenę, jaką chce za nie zapłacić. W tym spojrzeniu było coś władczego i dostojnego zarazem, obojętnego dla zwykłego śmiertelnika, niebacznego na wszelkie prawa, a równocześnie człowiek ten sprawiał wrażenie, jakby czuł się zagubiony w tym otoczeniu. Nagle odezwał się, lecz nie do Rebeki, choć nie spuszczał wzroku z jej twarzy:

– Każ jej zrobić krok w przód. Niech stanie w świetle.

W korytarzu ukazał się protokolant i zza pleców stojącego w progu mężczyzny dał jej szybki znak lekko zgiętym palcem. Podeszła bliżej. Koniec laski został szybko uniesiony, odsuwając ją, by nie stanęła za blisko. Zatrzymała się od niego o jakieś sześć stóp. Twarz obcego była ciężka, pozbawiona wszelkich uczuć, ani zła, ani dobra, i co dziwniejsze nawet normalnej ciekawości. Można się było w niej dopatrzeć ponurego zwątpienia przepojonego melancholią. Jednak nawet ono zostało przyćmione aurą absolutnej władzy, w sensie zarówno zwykłym, jak i królewskim, obojętności wrodzonej, ale i nabytej. Teraz, kiedy była blisko, nie szacował jej jak uprzednio, ale patrzył wyłącznie w jej oczy, jakby się starał odczytać w nich coś metafizycznego. Rebeka, z rękami złożonymi na brzuchu, też patrzyła na niego, ani z szacunkiem, ani bezczelnie, po prostu otwarcie, spokojnie, wyczekująco.

Powoli ręka mężczyzny zsunęła się po lasce, wyciągnął ją niepewnie w przód, aż srebrne wygięcie znalazło się na jej okrytej rąbkiem czepka szyi. Poruszając

nieznacznie ręką przyciągnął Rebekę do siebie. Zostało to uczynione tak ostrożnie i delikatnie, że w innych okolicznościach można by powiedzieć: nieśmiało. Nawet nie drgnęła, kiedy srebrne zwieńczenie laski dotknęło jej, ani wtedy, kiedy zaczęła być przyciągana do przodu. Nie sprzeciwiła się temu, aż wreszcie nacisk na szyję zelżał i twarze ich znalazły się od siebie o niecałe dwadzieścia cali. Jednak nie wydawały się bliskie, nie dlatego, że różniły je wiek i płeć, lecz dlatego, że należały do dwóch odwiecznie obcych sobie kategorii ludzi.

I nagle, równie szybko, jak się pojawił, mężczyzna ten zakończył swoje bezsłowne oględziny. Laska gwałtownym ruchem została znowu oparta o podłogę, a stary człowiek odwrócił się jakby rozczarowany. Rebeka zdążyła tylko zauważyć, że mocno kuleje, zatem laska nie była tylko ekscentryczną ozdobą, lecz także koniecznością; zauważyła też, że protokolant cofnął się w głębokim ukłonie, jak również, choć w jeszcze niższym, pan Ayscough, który podążył za nieznanym. Wtedy protokolant stanął w drzwiach, spoglądając na nią jakby pytająco i nieoczekiwanie leciutko mrugnął prawym okiem. Na chwilę zniknął, po czym wrócił, niosąc drewnianą tacę, na której był pieczony kurczak na zimno, duża szklanka i mały dzbanek z wodą, skórzany, poczerniały ze starości kufel, miska zielonych pikli, solniczka, dwa jabłka i bochenek chleba. Postawił tacę na stole, a z kieszeni wyjął nóż i dwa dwuzębne widelce. Następnie zdjął surdut i rzucił go na łóżko. Rebeka stała nieruchomo ze spuszczonego wzrokiem. Protokolant w samej koszuli usiadł na krześle i chwycił jedną ręką kurczaka, w drugiej trzymając nóż.

– Musisz jeść, kobieto.

Rebeka usiadła naprzeciw niego, koło okna, a on odkroił i podał jej kawałek kurzej piersi. Potrząsnęła przecząco głową mówiąc:

– Chciałabym to przesłać na dół mojemu mężowi i ojcu.

– Nie, musisz odżywić swojego bękarta, jeśli już nie siebie. No, weź. – Teraz ukrajał pajdę chleba, położył na niej mięso i podsunął jej. – Jedz, na razie szubienica ci nie grozi. – I znowu mrugnął prawym okiem, wyglądało to jak tik, nad którym nie panuje. – Twój mąż i ojciec nie będą tak dobrze jeść. Mogą jednak coś zjeść, jeśli zechcą. Posłaliśmy im chleb i ser. Wiesz, co na to powiedzieli? Że nie tkną diabelskiego jedzenia. No, i leży koło nich na ziemi. Litość spowodowała grzech.

– Nie, to nie o to chodzi. Dziękuję panu.

– Ja tobie też, za rozgrzeszenie.

Pochyliła na chwilę głowę, jak to robiła, kiedy się modliła w samotności,

odmówiła błogosławieństwo i zaczęła jeść, on także, udko kurze i wielki złożony na pół kawał chleba, w który włożył kilka pikli, nagryzał raz jedno, raz drugie, a robił to żarłocznie, bez delikatności, jakby uznając fakt, iż życie zawsze może przynieść głodowanie, zatem jeśli można się najeść do syta jak teraz, nie należy tym gardzić. Rebeka naląła sobie wody do szklanki, potem nabiła na widelec jednego korniszona, po chwili jeszcze jednego, wreszcie trzeciego. Drugiej porcji mięsa odmówiła, kiedy protokolant podał je w milczeniu. Wzięła natomiast jabłko. Patrzyła na siedzącego naprzeciw mężczyznę, a kiedy skończył całego kurczaka i wypił wszystko piwo, powiedziała:

– Jak się pan nazywa?

– Po królewsku, moja pani, John Tudor.

– A gdzie się pan nauczył pisać tak szybko?

– Stenografii? Dużo ćwicząc. To dziecinnie łatwe, jak już się człowiek nauczy. A kiedy nie potrafię czegoś odczytać, przepisując normalnym pismem, zawsze coś wymyślę. I tak mogę powiesić człowieka albo go uniewinnić, i nikt się nie zorientuje.

Znowu zauważyła tik w jego prawym oku.

– Umie czytać, pisać nie umiem, tylko podpisać się potrafię.

– Przecież nie musisz pisać.

– Mimo to chciałabym się nauczyć.

Nie odpowiedział, ale kiedy lody zostały już przełamane, ciągnęła dalej:

– Czy jest pan żonaty?

– Tak, ale się pozbyłem kłopotu.

– Jak to pozbył się pan kłopotu?

– Ożeniłem się z taką jedną gorszą niż ty, bo miała straszny jęzor. Zawsze albo się kłóciła, albo wszystkiemu przeczyła. Wystarczyło, że jej odpowiedziałem, to wrzeszczała jak najęta. Aż wreszcie pewnego dnia porządnie ją zbiłem, na co sobie zasłużyła, a że nie mogła tego ścierpieć, to uciekła, wyświadczając mi w ten sposób wielką przysługę.

– Dokąd poszła?

– Nie mam pojęcia i nic mnie to nie obchodzi. Tam, dokąd zawsze idą kobiety, do piekła albo do innego mężczyzny. Nie była taka ładna jak ty. Dobrze, że się jej pozbyłem. – Znowu mrugnął okiem. – Ciebie to bym przeprosił.

– I nie wróciła?

– Nie. – Wzruszył ramionami, jakby żałował, że o tym mówi. – Stara historia,

minęło już szesnaście lat od tej pory.

– Czy zawsze pan pracował dla pana Ayscougha?

– Właściwie tak.

– Czy wobec tego znał pan Dicka?

– Nikt go nie znał, moja pani. Jego nie można było znać. Choć, jak się wydaje, on znał ciebie. Wprost trudno w to uwierzyć.

Spuściła wzrok.

– Był prawdziwym mężczyzną.

– Tak powiadasz?

Spojrzała na niego z wahaniem, świadoma, że mówi to z sarkazmem, jednak niezupełnie rozumiejąc dlaczego. Przez chwilę patrzył w okno, potem znów spojrzał na nią.

– Nigdy nie słyszałaś o takich, kiedy byłaś tam, wiesz?

– O jakich?

– Daj spokój, kobieto. Nie zawsze byłaś święta. Mówiłaś dziś dużo i z przekonaniem, że znałaś swoich klientów. Czy nie miałaś nigdy do czynienia z odmieńcem?

– Nie rozumiem, o co panu chodzi?

– O to, co jest wbrew naturze i wielką zbrodnią. Kiedy służący może się stać panem, a pan służącym.

Patrzyła na protokolanta przez dłuższą chwilę, kiwnął nieznacznie głową, żeby rozwiać jej wątpliwości, i znowu mrugnął okiem.

– Nie zauważyłaś żadnych tego oznak?

– Nie.

– Nawet nie podejrzewałaś tego?

– Nawet nie podejrzewałam.

– To dobrze. Bóg oszczędził twoją niewinność. I nie mów o tym, chyba że będziesz zapytana. A już nigdy poza tymi murami, kobieto, jeśli ci życie miłe.

Z podwórza, z dołu, doszedł stukot kopyt końskich na kocich łbach, zgrzyt okutych żelazem kół, wołanie stangreta. Protokolant wstał i popatrzył na zegarek. Dopiero, kiedy kareta odjechała, nie odwracając się od Rebeki, która nadal siedziała, powiedział jakby do siebie:

– On nigdy nie powinien się o tym dowiedzieć.

Wziął surdut z łóżka i włożył go.

– Zostawiam cię teraz, moja pani. Zrób, co trzeba, wkrótce zaprowadzę cię znowu do pana Ayscougha. – Nieznacznie skinęła głową. – Mów prawdę. Nie bój się. On ma taki sposób bycia.

– Mówiłam cały czas prawdę i nadal będę ją mówić. Nic innego.

– Istnieją dwie prawdy, moja pani. Jedna, kiedy ktoś wierzy, że to jest prawda, i druga, kiedy jest bezsporna. Tobie uwierzemy, zatem będzie to ta pierwsza, ale szukamy tej drugiej.

– Muszę mówić to, w co wierzę.

Był już w drzwiach, ale się zatrzymał i obejrzał na nią.

– O to spytam później, po wszystkim.

Jeszcze jedno mrugnięcie okiem i wyszedł.

Dalej zeznaje

REBEKA LEE

die et anno praedicto

P: Zaczynamy, moja pani. Nie zapominaj, że zeznajesz pod przysięgą. Najpierw chciałbym spytać, czy wiesz, na czym polega grzech sodomii?

O: Tak.

P: Czy zauważyłaś kiedy, od chwili spotkania Jego Lordowskiej Mości, jakąś oznakę, że on i Dick są jego ofiarami? Że byli winni popełnienia go?

O: Nie, jestem pewna, że nie.

P: Kiedy Jego Lordowska Mość zawiódł cię, może napomknął o tym, że to właśnie było przyczyną jego słabości.

O: Nie.

P: Ani później?

O: Nie.

P: Czy nigdy nie pomyślałaś, że niezależnie od tego, co mówi, albo czego nie mówi, taka mogła być prawdziwa przyczyna?

O: Ci, których znałam, powiadali, że mają inne obyczaje. Tam, gdzie grzeszyłam, było to dobrze znane. Mówiło się o nich ładne chłopaczki albo pieszczoszki. Są zwykle bardziej firecykowaci niż inni mężczyźni, przebiegli. Lubią błaznować i gorszyć, wywoływać skandale. Podobno skutek rozgoryczenia i poczucia krzywdy potępiają innych, bo sami są potępiani.

P: Czy Jego Lordowska Mość sprawiał takie wrażenie?

O: Nie, wcale.

P: Kiedy Dick brał cię na jego oczach, czy nie domagał się, żeby to robił w sposób sprzeczny z naturą?

O: Milczał jak kamień.

P: A teraz, pani Lee, liczę się z pani odpowiedzią. Czy jest pani tego pewna?

O: Z pewnością nie przejawiał takich skłonności i nikt nigdy o tym nie wspomniał u madame Claiborne, choć miałyśmy w zwyczaju omawiać wszystkich, którzy do nas przychodzili, i to w sposób jak najbardziej swobodny, czyli jakie mają wady i w jakie skandale byli zamieszani. Lord B., który ma najdłuższy język w całym Londynie i jest najszcześliwszy, kiedy usłyszy coś złego o przyjacielu, też mnie kiedyś o to spytał. Ale nigdy nie wspomniał o takim grzechu. Mówił tylko, że Jego Lordowska

Mość jest tak oschły, że przedkłada książki i studia nad moje ciało. Ciekaw też był, czy wreszcie rozbudziłam w nim apetyt na nie.

P: Co odpowiedziałas?

O: Że jego reputacja jest fałszywa.

P: Bardzo dobrze. A teraz opowiedz o jaskini.

O: Ale ja będę mówiła najświętszą prawdę.

P: A ja będę wątpił, kiedy mi na to przyjdzie ochota.

O: Prawda wątpliwa też jest prawdą.

P: A więc niech będzie taka do wątpienia. Mów.

O: Kiedy szliśmy pod górę, jaskinia początkowo była ukryta przed naszym wzrokiem, bo ją zasłaniało niewielkie wzniesienie. Nagle na ścieżce przed nami pojawiła się srebrzysta dama.

P: Jak to srebrzysta?

O: Ubrana była bardzo dziwnie w coś srebrnego, na czym nie było żadnego wzoru. I co dziwniejsze, nosiła wąskie spodnie takie, jakie noszą marynarze, podobne widziałam w Londynie, miał je mężczyzna jadący konno, ale jej były jeszcze wąsze, prawie tak ciasne jak pończochy. I miała dopasowaną bluzę z tego samego materiału, a wszystko lśniło jak srebro. Na nogach miała buty takie jak mężczyźni noszą dojazdy konnej, tyle że trochę krótsze, jakby z czarnej skóry, ale nie miały wywiniętej cholewki. Stała, patrząc na nas, jakby czekała na nasze przybycie.

P: Chcesz powiedzieć, że pojawiła się znikąd, z powietrza?

O: Może się gdzieś ukrywała.

P: Dlaczego powiedziałaś o niej dama?

O: Bo to nie była zwykła kobieta.

P: Czy ktoś jej towarzyszył? Służący, chłopak stajenny?

O: Była sama.

P: Młoda czy stara?

O: Młoda i bardzo ładna, miała piękne, całkiem proste, nie związane włosy, a tak czarne jak skrzydło kruk, i krótko przycięte nad brwiami.

P: Czy była w jakiejś czapce, może w kapeluszu?

O: Nie. I muszę panu powiedzieć, że jej zachowanie było równie niezwykle jak jej wygląd, bo się poruszała i stała nie jak dama, ale raczej jak młody dzentelmen, w sposób bardzo naturalny, jak ktoś, kto nie zwraca uwagi na formy towarzyskie, pozdrowiła nas także w nieoczekiwany sposób, wyciągnęła przed siebie dłonie jak do

modlitwy. Trzymała je tak przez krótką chwilę, jakby w krótkim przyjacielskim pozdrowieniu.

P: Nie okazała zdziwienia z powodu waszego przybycia?

O: Najmniejszego.

P: Jaka była reakcja Jego Lordowskiej Mości?

O: Od razu upadł na kolana i zdjął kapelusz, jakby chcąc okazać swój szacunek. Dick też uklęknął, ja zrobiłam to samo, choć nie wiedziałam, dlaczego ani kim ona może być. Na co młoda dama uśmiechnęła się, jak ktoś, kto nie oczekiwał takiego przejawu szacunku, ale skoro to miało miejsce, przyjęła z radością.

P: Czy coś powiedziała?

O: Nie, ani słowa.

P: Czy Jego Lordowska Mość odezwał się do niej?

O: Klęczał z głową schyloną, jakby nie śmiał spojrzeć jej w twarz.

P: Czy miałaś wrażenie, że oni kiedyś się już spotkali?

O: Wydawało się, jakby on wiedział, kim ona jest.

P: Czy nie pozdrowiła jakoś specjalnie Jego Lordowskiej Mości, okazała mu swój szacunek?

O: Nie.

P: Z jakiego materiału było to dziwne odzienie?

O: Nie wiem, nigdy czegoś takiego nie widziałam. Błyszczał jak najlepszy jedwab, choć sprawiał wrażenie bardziej sztywnego.

P: W jakim była wieku?

O: Mniej więcej w moim.

P: Czy była Angielką czy cudzoziemką?

O: Nie była Angielką.

P: A więc jakiej narodowości?

O: Z wyglądu przypominała taką kobietę, którą dwa lata temu pokazywali za opłatą w namiocie koło Mall, a którą nazywali kobieta-korsarz. Została schwytana na morzu, na pirackim statku, i była kochanką kapitana, a w okrucieństwie dorównywała mężczyznom. On został powieszony w Deptford, jej darowano życie. A patrzyła na oglądających, jakby wszystkich chciała zabić. Na szczęście trzymali ją w łańcuchach. A była bardzo ładna i zgrabna. Claiborne chciała ją sprowadzić do swego domu. Ujarzmianie jej dzikości mogło być wielką atrakcją dla klientów, ale jej właściciele nie zgodzili się na cenę. Poza tym powiedzieli, że raczej zabiłaby się, niż na to przystała.

Jednak ta piękna dama na ścieżce, to nie była ona, z całą pewnością nie. Ta, na którą patrzyliśmy, była łagodna, nie okrutna.

P: Ta kobieta w namiocie, o której mówiłaś, była Turczynką? Czy może Mauretanką?

O: Nie wiem, miała ciemne oczy i włosy i oliwkową skórę. Nie była uszmiękowana i przypominała Żydówki, jakie widywałam w Londynie, ale nie była nieśmiała, nie okazywała też lęku tak, jak one mają w zwyczaju. O tej w namiocie mówiono, że nie jest naprawdę kobietą-korsarzem, ale zwykłą Egipcjanką, której zapłacono za udawanie. Mówię o tym, bo to mi przyszło na myśl, kiedy ją zobaczyłam.

P: Dlaczego powiadasz, że sposobem bycia przypominała raczej młodego dżentelmena?

O: Nie była afektowana jak londyńskie damy, sprawiała wrażenie, że nie musi imponować strojem czy zachowaniem. Wydawało mi się, że była zmieszana naszym klęceniem, chyba nie uważała tego za konieczne. Bo zaraz potem po męsku oparła ręce na biodrach, jakby chciała powiedzieć, że ją zaskoczyliśmy.

P: Czy była rozgniewana?

O: Nie, ponieważ nadal się uśmiechała, raczej jakbyśmy ją rozbawili. I potem nagle dała znak ręką, jak ktoś, kto zaprasza gościa do swego domu, żeby zechciał wejść. Jak córka zaprasza przybyłych rodziców.

P: Czy dostrzegłaś w niej przebiegłość lub zło?

O: Jonesowi mówiłam o niej źle, niech Bóg mi to wybaczy. Widziałam jej dziwne ubranie i sposób bycia, ale przede wszystkim niewinność i urodę, jakich nie można spotkać w Anglii, miała też swobodę i wdzięk, jakiej nie znają Angielki.

P: Co było potem?

O: Zrobiła ten sam gest ręką, a potem odwróciła się i zaczęła iść spokojnie i po prostu jak we własnym ogrodzie, bo się pochyliła, żeby zerwać kwiat, i podniosła go, żeby powąchać. Jakby nas wcale nie było. Wtedy Jego Lordowska Mość wstał i podeszliśmy, tam gdzie przedtem ona stała, i zobaczyliśmy przed sobą wejście do jaskini, ona tam była i patrząc na nas, wskazała na stawek, jakby chciała powiedzieć, że tam mamy zaczekać, potem odwróciła się, weszła w ciemność i zniknęła.

P: Czy ścieżka, którą szliście pod górę, sprawiała wrażenie często używanej?

O: Była ledwie widoczna, czasem zupełnie niktęła.

P: Nie spytałaś Jego Lordowskiej Mości, kim jest ta osoba?

O: Tak, a on powiedział tylko: Módl się, żeby stała się twoją przyjaciółką. Nic

więcej.

P: Mów dalej.

O: Doszliśmy do stawku przed jaskinią i do wysokiego kamienia. Jego Lordowska Mość stanął nieco z boku, podczas gdy ja uklęknąłem nad wodą, obmyłam sobie twarz i napiłam się, bo słońce mocno grzało i było gorąco.

P: A teraz pytam cię, kobieto, powiadasz, że było ci gorąco, może z powodu męczącej wędrówki nie byłaś całkiem przytomna? Nie twierdzę, że kłamiesz, ale może miałaś jakieś zmącenie świadomości i widziałaś przed sobą coś, czego w ogóle nie było, ale wynikło z przegrzania głowy i dlatego sprawiało wrażenie rzeczywistości.

O: Nie, jestem pewna, że tak nie było.

P: Jest nie do pomyślenia, by jakakolwiek kobieta, nie mówiąc o damie, i to obcego pochodzenia, mogła być całkiem sama w takim miejscu.

O: Wiele rzeczy jest nie do pomyślenia, nie tylko to. Wyda pan osąd, kiedy pan wszystko usłyszy.

P: No, to mów.

O: Jego Lordowska Mość podszedł do stawku, gdzie siedziałam, i powiedział: Czas nadszedł, Fanny. Strażnicy czekają. Muszę panu wyznać, że kiedy tam siedziałam, nagle zabolowało mnie serce z przerażenia. Nie podobało mi się to czarne wejście do jaskini, które przypominało raczej bramę do piekła niż miejsce zażywania leczniczych wód. Kiedy Jego Lordowska Mość wymówił te słowa, odparłam, że się boję. Na co on powiedział, że teraz jest za późno. Ja na to, żeby mnie zapewnił, że mi się nie stanie żadna krzywda. Wtedy odparł, że większa krzywda stałaby się, gdybym teraz była nieposłuszna. Chciałam się więcej dowiedzieć o tych strażnikach, ale zdenerwował się. Wziął mnie za ramię, mówiąc, że dość tego, musiałam też włożyć na głowę uwity przedtem wianek. Dick schwycił mnie za rękę i pociągnął w kierunku jaskini, a Jego Lordowska Mość szedł za nami jakieś dwa kroki. Okropnie przerażona pomyślałam, niech Bóg mi wybaczy, że spróbuję uciec, gdyż wpadłam w ręce dwóch diabłów, którzy noszą maski zwykłych ludzi, że te wody, o których mówili, to otchłanie piekła, gdzie gotują się grzesznicy, a strażnikami też są diabły, których zaraz spotkam. Te wszystkie myśli spadły na mnie z taką siłą, że padłam na kolana i błagałam Jego Lordowska Mość, żeby mi powiedział prawdę. Wiedziałam, że zgrzeszyłam, ale nie więcej niż inni, więc błagałam, żeby mnie oszczędził, sama nie wiem co jeszcze. Wtedy krótko odparł, że jestem głupia i że nie sądzi, żeby mnie wzięto do piekła, wręcz przeciwnie, zostaną przyjęta z otwartymi ramionami, że tak

dobrze wypełniłam swoje zadanie. Spytał też, czy nie byłam dotąd dobrą służką diabła? A więc czy nie powinnam raczej bać się gniewu niebios? No, więc wstałam i poszłam.

P: Czy Jego Lordowska Mość nie zagroził ci szpadą?

O: Nie, choć ją wyciągnął i trzymał w ręku. Nie mówił wtedy do mnie z wściekłością, raczej był zniecierpliwiony, że tak się pomyliłam co do ich zamiarów.

P: Cofnijmy się na chwilę. Czy widziałaś, zanim Jego Lordowska Mość kazał ci iść, znak z jaskini, że czas nadszedł? Srebrzysta kobieta nie pokazała się więcej?

O: Trudno powiedzieć. Ja nie patrzyłam w kierunku jaskini, byłam taka przerażona. Myśli mi się kłębiły w głowie.

P: Czy zauważyłaś wypalone miejsce przed wejściem do jaskini?

O: Tak, zapomniałam o tym powiedzieć.

P: Opowiedz dokładnie.

O: Miałam wrażenie, że niedawno palił się tam ogień, ale popiół został zgarnięty. Leżał w kole, jak po wielkim ognisku.

P: Bardzo dobrze. Mów dalej.

O: Słońce było bardzo mocne, najpierw nie widziałam dobrze, tylko cienie, i gdyby nie kierował mną Dick, nie wiedziałabym, gdzie iść. Nagle zmusił mnie, żebym spojrziała w lewo. Wtedy stanęłam.

P: Dlaczego się zatrzymałaś?

O: Z powodu larwy.

P: Jakiej znowu larwy?

O: Która unosiła się wewnątrz jaskini, wielka, nabrzmiała, biała jak śnieg.

P: Co to było?

O: Coś, co przypominało larwę, choć nią nie było. Jej duże świecące oko patrzyło na nas, a mnie krew zakrzepła w żyłach i miałam ochotę krzyżeć. Wtedy Jego Lordowska Mość stanął koło mnie i wziął pod drugie ramię, skierował do tego czegoś i wtedy uklękłam.

P: Tylko ty czy wszyscy?

O: Wszyscy, jak w świątyni i jak przedtem na ścieżce.

P: Chciałbym wiedzieć coś więcej o tej larwie. Opisz ją dokładnie.

O: Była z czegoś białego, ale nie z ciała, raczej z drewna pomalowanego lakierem albo błyszczącego metalu, długości trzech karet i więcej, a w głowie miała wielkie oko, a po bokach zobaczyłam inne oczy, też błyszczące, choć mniej, jakby zielonkawe szkło. A na końcu były cztery wielkie leje, czarne jak smoła.

P: Czy miała szczęki i zęby?

O: Nie, nie miała, także nóg nie miała, przynajmniej z początku tak sądziłam, ale pod spodem sześć dziur a może otworów gębowych.

P: I nie leżała na ziemi? Była zawieszona? Na sznurach, a może na jakichś rusztowaniach? Nic takiego nie widziałas?

O: Nie.

P: Jak wysoko się unosiła?

O: Na wysokości dwóch ludzi, może wyżej. Wtedy nie myślałam o mierzeniu.

P: Czemu powiadasz, że to była larwa?

O: Bo tak mi się z początku wydawało. Bo to coś miało wyraźną głowę i ogon, i było grube, i miało podobny kolor.

P: Czy ta larwa się poruszała?

O: Nie, wtedy, kiedy po raz pierwszy stanęliśmy przed nią, wisiała w powietrzu jak latawiec, ale bez sznurka. Albo jak pustułka, tyle że nie biła skrzydłami, jak robią ptaki.

P: Jaki miała obwód?

O: Większy niż wysokość człowieka, jak dwóch ludzi.

P: Dziesięć do dwunastu stóp?

O: Tak.

P: I powiadasz, że była długości trzech karet albo i więcej? To nieprawdopodobne! Zmyśliłaś wszystko, nie mogę w to uwierzyć. Jak to coś dostało się do środka jaskini? Przecież wejście było za małe, jak również korytarz prowadzący do wewnętrznej sali.

O: Nie wiem, przysięgam, że ta larwa tam była. A jeśli pan nie chce mi uwierzyć, to nic więcej już nie powiem. Nie będę kłamać. Jestem tak samo potępiona jak strumień, przez który bez pożytku przepływa woda.

P: Już prędzej uwierzę w te twoje trzy czarownice, o czym opowiedziałaś Jonesowi, i w diabła przy twoim tyłku niż w tę brednię.

O: Tacy już jesteście wy, mężczyźni. Na wszystko patrzycie z punktu widzenia waszej płci. Czy pan wie, panie Ayscough, po co są ladacznice? Żeby mężczyźni mogli jak najgorzej myśleć o kobietach. Gdybym dostała po gwinei od każdego mężczyzny, który mówił, że chciałby, żebym była jego żoną albo żeby jego żona była taka jak ja, byłabym bogata.

P: Dość tego bezczelnego gadania. Na razie nie zaprzeczam twojej opowieści,

kobietę, ale dostrzegam w tobie skłonności do kłamstwa. Ta nieprawdopodobna larwa, co jeszcze możesz o niej powiedzieć?

O: Z boku miała koło, a za nim jakieś rysunki w jednym rzędzie, i drugie takie samo koło na brzuchu.

P: Jakie znów koło?

O: Było namalowane na białej skórze larwy, niebieskie jak letnie morze albo niebo, i miało szprychy wokół piasty.

P: A co przedstawiały te rysunki?

O: Nie wiem. Widziałam rysunki w szeregu, podobne do liter albo liczb, które może odczytać ktoś, kto je zna. Jeden był podobny do ptaka, może do jaskółki w locie, inny do kwiatu, takiego jak na filizance, a nie jak w życiu, ale takiego rozmiaru. A jeszcze inny to było koło podzielone na dwie części zakrzywioną linią, jedna połowa czarna, druga biała, jak zmniejszający się księżyc.

P: Nie były to litery alfabetu ani zwykłe liczby?

O: Nie.

P: Czy zauważyłaś jakieś chrześcijańskie symbole?

O: Nie.

P: Czy to coś wydawało jakieś dźwięki?

O: Jakby mruczenie, choć raczej ciche, jak mocno płonącego w kominku ognia albo w piecu kuchennym. Albo jak rój pszczół w ulu. I zaraz poczułam ten słodki zapach, jaki znałam z tej świątyni, i ujrzałam podobne światło, które wtedy unosiło się nad nami. Od razu poczułam wielką ulgę, gdyż wiedziałam, że to wszystko wbrew pozorom, nie może przynieść nic złego.

P: Jak to, widziałaś jakieś złe dziwo, które zaprzeczało wszelkim prawom natury, i twierdzisz, że nie było złe?

O: Tak, ja wiedziałam, że to nie jest złe, dzięki temu zapachowi. Później powiem o tym.

P: Jak można określić po zapachu, czy coś jest złe czy dobre?

O: Po tym zapachu, tak, gdyż to był zapach niewinności i szczęśliwości.

P: Bardzo pięknie. A teraz opisz mi, jak pachnie niewinna szczęśliwość?

O: Nie potrafię tego wyrazić słowami, choć nadal czuję ten zapach.

P: Tak jak czuć twoją udawaną pobożność, śmierdzącą w każdym słowie. Rozkazuję ci opisać ten zapach, tak jak go czułaś swoim niezbyt błogosławionym nosem.

O: W tym zapachu było samo dobro.

P: Ale jaki był? Słodki czy raczej ostry? Przypominał piżmo, bergamotę, kwiat pomarańczy, olejek różany? Kwiaty czy owoce, a może wody pachnące, jakie robią na Węgrzech czy w Kolonii? Czy może to była spalenizna? Dlaczego nie odpowiadasz?

O: Pachniało życiem wiecznym.

P: Kobieto, gdybym zadał ci inne pytanie, od którego zależałaby wiara albo nadzieja, mogłabyś tak odpowiedzieć. Ale nie w tym przypadku. Powiadasz, że nadal czujesz ten zapach. No, dobrze. Nie dam się oszukać tymi bredniami.

O: A więc przede wszystkim pachniało dziką białą różą, która rośnie w żywopłotach i kwitnie w czerwcu, nazywamy ją dziewiczą różą, bo panna młoda musi ją mieć w swoim bukietcie, jeśli właśnie wtedy wychodzi za mąż. Ten kwiat jest piękny przez jeden dzień, najwyżej dwa i kiedy się otwiera, mocno pachnie. Wewnątrz ma złote serduszko.

P: Powiadasz dzika biała róża?

O: Ona jest bardzo delikatna i musi mieć oparcie, mniej też pachnie niż te, które rosną w ogrodzie. To jest tak, jakby się chciało określić duszę człowieka na podstawie jego twarzy.

P: Czy w jaskini palono wielki ogień, tak jak to powiedziałaś Jonesowi?

O: Nie, ale było tam takie miejsce, podobne do tego przed wejściem, tyle że stare, ze szerniałym popiołem.

P: Ogień nie palił się?

O: Nie było ani jednej iskierki, nawet się nie tliło.

P: Czy jesteś tego pewna? Nie czułaś zapachu spalenizny?

O: Jestem pewna. Nie było takiego zapachu.

P: Czy widziałaś, teraz kiedy byłaś blisko, skąd dochodziło to wielkie światło?

O: Nie widziałam, gdyż było przykryte jakby mlecznym szkłem albo grubym muślinem. A mimo to było jaśniejsze niż jakakolwiek lampa czy świeca, jakie w życiu widziałam.

P: Duży był jego zasięg?

O: Na jedną stopę.

P: Nie więcej?

O: Nie więcej, ale było jaśniejsze niż słońce. Nie mogłam na nie patrzeć wprost.

P: Jak blisko klęczałaś, kiedy unosiło się nad tobą?

O: Dość blisko. O tak, jak od tej ściany tutaj.

P: Czy utrzymujesz, że to była jakaś maszyna, która przybyła ze świątyni i która mogła się wznieść do nieba jak ptak?

O: Tak, i o wiele dalej.

P: Pomimo że nie miała kół, skrzydeł ani koni?

O: Pan jeszcze znacznie więcej usłyszysz, panie Ayscough. I będzie pan uważał, że jestem pozbawiona rozumu, wierzę w zjawy. Pan się dowie, że miałam kontakt z Bogiem. Jestem biedną kobietą, nieuczoną i całkiem zwyczajną, ale powiadam panu, że to się nie wydarzyło we śnie, ale raczej przypominało te cuda, które widziałam na pokazie w Londynie. Może pan mówić, to było oszustwo i triki, ale nie widziałam w tym żadnych oznak fałszywości.

P: Czy zauważyłaś, jak się zachował wtedy Jego Lordowska Mość? Czy był zaniepokojony, bał się tego monstrum?

O: Raczej jakby na coś czekał. Ponownie zdjął kapelusz i trzymał go przy boku.

P: Jak ktoś, kto wie, że znajdzie się w obecności ważniejszej od siebie osoby?

O: Tak.

P: A jak zachowywał się Dick? Czy sprawiał wrażenie zaleknionego?

O: Bał się, wzrok miał spuszczone.

P: Co dalej?

O: Jak już mówiłam, klęczeliśmy, Jego Lordowska Mość trzymał przed sobą swoją szpadę, ostrzem do dołu, a dłonie trzymał na rękojeści, jak w dawnych czasach poddany przed swoim królem. Potem słyszeliśmy westchnienie wiszącej w powietrzu larwy i zaczęła opadać bardzo powoli, jak piórko, i wreszcie brzuchem oparła się o ziemię, a wtedy z tego brzucha wysunęły się cienkie nogi, które miały wielkie ciemne łapy, na których się oparła. I wtedy nagle w jej boku ukazały się drzwi.

P: O czym mówisz, kobieto? Drzwi?

O: Nie widziałam żadnych drzwi, dopóki się ona unosiła, ale kiedy opadła na ziemię, te drzwi otworzyły się przed nami w samym jej środku i wysunęły się, choć nie widziałam w jaki sposób, może na zawiasach, cztery stopnie ze srebrnej kraty.

P: Co zobaczyłaś w środku?

O: Ani serca czy wnętrzości, lecz jakby ścianę z drogocennych kamieni, które błyszczały różnymi kolorami, jak topazy, szmaragdy, rubiny, szafiry i chryzolity, sama nie wiem co, ale bardziej przyćmione niż jasne, jakby podświetlone z tyłu świecami, ale żadnej nie dostrzegłam. Jak w zamkowym witrażu, lecz o wiele mniejsze.

P: Pytam wyraźnie, co to było: prawdziwa larwa, żyjąca istota czy coś

sztucznego, jakaś maszyna?

O: Raczej maszyna. To z jej wnętrza wydobywał się ten słodki balsamiczny zapach. Nagle Jego Lordowska Mość skłonił głowę, jakby dał znak, że teraz ukażą się strażnicy wód.

P: A te nogi, skąd wyszły?

O: Z ciała larwy, z tych czarnych otworów, o których przedtem mówiłam, wydawały się za cienkie, żeby wytrzymać taki ciężar, a jednak wytrzymały.

P: Jakiej były grubości? Czy miały uda, łydki?

O: Nie, wszystkie były jednej grubości, jak pałka konstabla, i przy tym dużym ciele wyglądały jak nogi pająka.

P: Mów dalej.

O: I teraz w drzwiach ukazała się ta srebrzysta postać, którą widzieliśmy przedtem, w ręku trzymała pęk kwiatów białych jak śnieg. Uśmiechnęła się i szybko zeszła po schodach, które prowadziły z wnętrza larwy, i stanęła przed nami, ale zaraz odwróciła się, gdyż nad nią ukazała się jeszcze jedna kobieta, tak samo ubrana, a choć starsza i włosy miała siwe, była wyprostowana i też uśmiechnęła się do nas, ale z większą powagą, jak królowa.

P: W jakim była wieku?

O: Miała jakieś czterdzieści lat, nie więcej, nadal urodziwa.

P: Mów dalej, dlaczego przestałaś?

O: Wiele mam jeszcze do opowiedzenia, ale pan nie uwierzy, że to prawda, ale to święta prawda, przysięgam na niebiosy.

P: Niebiosy nie siedzą przede mną.

O: No, to musi pan uwierzyć swej biednej słudze, gdyż i ta druga kobieta zeszła po srebrnych schodach, a kiedy była na samym dole, ukazała się w drzwiach trzecia. Ta była stara, kruchej budowy, włosy miała bielusińskie. Zatrzymała się i spojrzała na nas, jak tamte dwie, i potem wolniej niż one zeszła i stanęła obok nich. Teraz wszystkie na nas patrzyły tak samo życzliwie. I następny cud, stało się jasne, że to była matka i córka i córka córki. Wydawało się, że to jest jedna kobieta w trzech przedziałach wieku, tak miały podobne rysy mimo różnicy lat.

P: Jak ubrane były te dwie?

O: Tak samo dziwnie jak ta pierwsza, w srebrne spodnie i bluzy. Mógłby pan uważać to za nieprzystojne dla damy w starszym wieku, ale tak nie było, ponieważ wszystkie nosiły te stroje, jakby do tego przywykły, jakby je nosiły nie dla kaprysu,

lecz jako ubranie, które im odpowiada, gdyż jest proste i wygodne.

P: Nie miały biżuterii, jakichś ozdób?

O: Żadnych. Tylko ta najstarsza miała bukiet ciemnopurpurowych kwiatów, prawie czarnych, najmłodsza, jak już mówiłam, białych, a jej matka bukiet kwiatów czerwonych jak krew. Poza tym wszystkie trzy, mimo różnicy wieku, podobne były jak ziarnka grochu w strączku.

P: Czy towarzyszyły im ropuchy, zające, czarne koty? Może kruki?

O: Nie, naprawdę nie. Nie było też żadnej miotły ani wielkich saganów. Ostrzegam, pan nie wie, z czego szydzi.

P: Tego właśnie brakuje w twoim opisie latającej larwy, jej pajęczych nóg i tych kobiet jak strachy na wróble.

O: Opowiem panu o rzeczach jeszcze trudniejszych do uwierzenia. Te dwie kobiety, młoda i stara, które stały koło niej, ona w środku, odwróciły się do niej i zrobiły krok, jakby się chciały zbliżyć. I w dziwny sposób, znów nie wiem jak, połączyły się z nią w jedno, jakby w niej stopniały, zniknęły niby duchy, które przenikają ściany, a jednak ta kobieta o siwych włosach, matka, stała tam, gdzie przedtem były one trzy, tak wyraźnie, jak widzę teraz pana. I pokazała nam swój bukiet, nie był to ten czerwony ani z tych innych kwiatów, lecz jeden trójbarwny, jak gdyby chciała pokazać, że musimy uwierzyć w to, w co wątpią nasze oczy.

P: To by wystawiło na próbę najbardziej naiwnego głupca.

O: No, to musi pan odegrać tę rolę. Bo ja dalej będę mówić tylko prawdę, choć dla pana będzie to zawsze powód do podejrzeń. Niech się pan nie gniewa, bardzo proszę. Pan jest prawnikiem i musi nicować każde moje zdanie i obracać na różne strony każde słowo. Ostrzegam pana, moje słowo jest duchowe. I może pan wyśmiać jego treść, ale na tym świecie i tak nie będzie pan mądrzejszy.

P: O tym się jeszcze przekonamy. Opowiadaj dalej te swoje banialuki.

O: Ta kobieta, matka powiedziałabym, podeszła tam, gdzie klęczeliśmy, najpierw do Jego Lordowskiej Mości i wyciągnęła ręce, żeby wstał, co uczynił, i objęła go ramionami, jak matka syna, który wrócił z dalekiej podróży, a ona przez wiele lat nie mogła go objąć. Potem przemówiła w języku, którego nie znam, cicho i serdecznie, na co Jego Lordowska Mość odpowiedział w tym samym nie znanym mi języku.

P: Nie tak szybko. Jaki to był język?

O: Nigdy takiego nie słyszałam.

P: A jakie języki słyszałaś w swoim życiu?

O: Holenderski i niemiecki, no i francuski. Trochę także hiszpańskiego i włoskiego.

P: Nie był to żaden z nich?

O: Nie.

P: Kiedy Jego Lordowska Mość odpowiedział, czy sprawiał wrażenie, że zna ten język, że jest mu bliski?

O: Jak najbardziej bliski, a przy tym Jego Lordowska Mość nie był taki jak poprzednio.

P: Wyjaśnij to dokładnie.

O: Był pełen szacunku i wdzięczności. Tak jak syn, który się znajdzie przed matką po długiej nieobecności. I zapomniałam powiedzieć, że kiedy podeszła do niego, odrzucił swoją szpadę, jakby to było coś już mu niepotrzebnego, także pochwę i pas, jak człowiek, który przebywał za granicą, gdzie groziło mu niebezpieczeństwo, a teraz przybył nareszcie do swojego domu, gdzie może się czuć całkiem bezpiecznie.

P: Powiadasz, moja pani, że odrzucił szpadę, jak to było dokładnie? Odłożył ją czy odrzucił?

O: Jakby już nigdy nie zamierzał jej nosić, gdyż upadła o jakieś dziesięć stóp od niego, tak samo pochwa i pas, jakby to było już niepotrzebne mu przebranie.

P: A teraz powiedz, czy witali się i rozmawiali jak osoby, które się znały?

O: Właściwie nie okazał zdziwienia, więc pewno musieli się już spotkać. Potem się odwrócił, żeby nas przedstawić, najpierw Dicka, który nadal klęczał, ale kobieta wyciągnęła rękę do niego, którą on mocno chwycił i przycisnął do ust. Skłoniła go, by wstał, i wtedy na mnie przyszła kolej. Najpierw muszę panu powiedzieć, że Jego Lordowska Mość przemówił do niej w jej języku i choć nie wiem, co było mówione, wyraźnie słyszałam moje imię, to, które otrzymałam na chrzcie, nie Fanny, lecz Rebeka, którego nigdy dotąd nie używał, i nie wiem nawet, skąd je znał.

P: Nigdy mu nie podałaś swego prawdziwego imienia? Może zrobił to ktoś inny?

O: W burdelu nikt nie znał mego prawdziwego imienia, tylko madame Claiborne.

P: Wobec tego dowiedział się od niej. Mów dalej.

O: Stojąca naprzeciw mnie kobieta uśmiechała się, jakbyśmy były dawnymi przyjaciółkami, które się spotkały po długim rozstaniu. I nagle pochyliła się i wzięła moje ręce w swoje dłonie i podniosła mnie z klęczek, i tak stałyśmy blisko, gdyż nie

wypuściła moich rąk, kiedy wstałam, i nadal się uśmiechała, patrząc mi w oczy, jak dawna przyjaciółka, żeby się przekonać, czy bardzo się zmieniłam, i potem podała mi bukiet z trójbarwnych kwiatów, jakby to był dar od niej. A potem zdjęła mi wianek z głowy i obejrzała go, ale nie nałożyła go sobie, tylko uśmiechając się z powrotem włożyła na moją głowę, i pocałowała mnie delikatnie w usta, jak to dawniej było w zwyczaju, żeby powiedzieć, iż mnie serdecznie wita. Nie wiedziałam, co robić, więc dygnęłam w podzięcie za kwiaty i też się uśmiechnęłam, ale nie tak jak ona, która sprawiała wrażenie, że mnie dobrze zna, jak matka albo kochająca siostra.

P: To wszystko odbyło się bez jednego słowa?

O: Bez jednego słowa.

P: Czy poruszała się z wdziękiem jak prawdziwa dama?

O: Z wielką prostotą, podobnie jak jej córka, jak ktoś, kto nie liczy się z wymogami tego świata, nawet ich nie zna.

P: Jednak pochodziła z wyższych sfer?

O: Z najwyższych.

P: A co z tymi kwiatami, które ci dała?

O: Były trójbarwne, podobne rosną na skałach koło Cheddaru, sprzedawane są latem w Bristolu, nazywane są czerwcowymi goździkami. Ale te były inne, większe, mocniej pachniały, a poza tym o tej porze roku te goździki jeszcze nie kwitną.

P: Czy podobnych nie widziałaś przedtem?

O: Nie, nigdy. Choć mam nadzieję, że je znowu zobaczę i powącham.

P: Jak to znowu zobaczysz?

O: Dowie się pan. Potem kobieta ta wzięła mnie znowu za rękę, żeby zaprowadzić do larwy. Jej się nie bałam, ale bałam się wejść do środka, więc spojrzałam na Jego Lordowską Mość, który stał za mną, żeby spytać, co mam robić. Na co on podniósł palec do swoich ust, dając mi w ten sposób znak, żebym nic nie mówiła i skinął w stronę matki, która nas powitała. Kiedy spojrzałam na nią, zdawała się rozumieć, o co pytałam, i podniosła ręce na wysokość piersi, jak przedtem zrobiła jej córka, i też się uśmiechnęła, żeby mnie uspokoić. Poszłam więc z nią, jak chciała, i weszłam na srebrne schody, i zostałam wprowadzona do jej pojazdu, jej salonu, nie wiem jak to określić, bo nie był ani jednym, ani drugim, ale cudownym miejscem, pokojem wyłożonym tymi błyszczącymi drogocennymi kamieniami, które widziałam przez drzwi.

P: Czy Jego Lordowską Mość i Dick też weszli?

O: Tak.

P: I ta kobieta ciebie pierwszą wpuściła?

O: Tak.

P: Czy nie byłaś zdumiona, że ciebie, ładacznice, tak traktują?

O: Odebrało mi mowę.

P: Powiedz więcej o tym pokoju, o tych drogocennych kamieniach.

O: Niektóre świeciły mocniej niż inne, i to wieloma kolorami, kwadratowe i okrągłe, i wszystkie ściany, nawet część sufitu była nimi wyłożona. A na wielu były znaki, jakby każdy miał jakiś magiczny albo tajemniczy sens, ale ja nie potrafiłam ich odczytać. Koło niektórych były małe zegarki, jednak wskazówki stały w miejscu, widocznie nie były nakręcone.

P: Czy godziny były zaznaczone?

O: To były tylko znaki, ale nie takie jak w naszym świecie.

P: Jak duży był ten pokój?

O: Szerokości dziesięciu, może dwunastu stóp, długości może dwudziestu stóp, wysoki tak jak szeroki.

P: Czym był oświetlony?

O: Miał dwa okienka w suficie, przez które wpadało przyćmione światło, słabsze niż to na dworze.

P: Jak to okienka?

O: Były jakby z mlecznego szkła, ale ukryte z tyłu, stamtąd pochodziło to światło.

P: Nie było tam jakichś zasłon, mebli?

O: Kiedy wchodziliśmy, nie było. Ale kiedy znaleźliśmy się w środku, ta kobieta dotknęła palcem jednego z drogocennych kamieni i drzwi, przez które weszliśmy, same się zamknęły, jakby w tajemniczy sposób, a srebrne schody się złożyły. Potem dotknęła innego klejnotu, a może tego samego, i wtedy z obu ścian zsunęły się, jakby ławy lub miejsca do siedzenia. Nie wiem jak, chyba dzięki jakiejś sprężynie, tak jak wysuwają się tajne szuflady w komodach. Wtedy zaprosiła nas, żebyśmy usiedli, Jego Lordowska Mość i Dick po jednej stronie, ja z drugiej. To, na czym usiadłam, pokryte było białą skórą, delikatną jak puch. Potem poszła w róg pokoju i dotknęła znowu drogocennego klejnotu i ukazała się szafka, w której stało wiele flaszek i butelek z nieprzejrystego szkła, jak w aptece, w niektórych były zapewne proszki, w innych płyny, zresztą nie wiem, co tam było. W jednej z tych flaszek, którą wzięła, była chyba

madera, gdyż płyn miał złocisty kolor, i naląła z niej do trzech małych kryształowych szklanek, gładkich, a przy tym niesłychanie lekkich i cienkich, i każdemu z nas podała jedną. Z początku nie chciałam pić, obawiając się, że to trucizna, choć ani Jego Lordowska Mość, ani Dick nie bali się pić. Po chwili wróciła do mnie i znowu się uśmiechając, wzięła ode mnie szklankę i nieco z niej wypila, dając w ten sposób dowód, że niczego nie muszę się obawiać. I oddała mi szklankę, wtedy ja też się napiłam. Nie było to wino, jak się spodziewałam, lecz raczej napój owocowy, miał smak świeżych moreli albo soczystych gruszek, był jednak słodszy, bardziej delikatny, piłam z przyjemnością, bo wyszło mi w gardle.

P: Nie smakował jak alkohol? Brandy albo dżin?

O: To był sok wyciśnięty z owoców.

P: Mów dalej.

O: Potem ona usiadła blisko mnie, wyciągnęła rękę i dotknęła niebieskiego klejnotu na ścianie. Nagle zrobiło się ciemno, w tym pokoju nie było światła, tylko trochę przenikało przez małe okienka, o których już mówiłam, a które przypominały oczy... i zapomniałam powiedzieć, że ze środka wyglądały inaczej niż z zewnątrz, nie były z zielonego szkła, nie, po prostu przezjrzyste, bez żadnej skazy. I przeraziłabym się znowu okropnie, gdyby nie otoczyła mnie ramieniem, jakby mnie chciała uspokoić, a drugą ręką uściśnęła moją dłoń, też żeby mi dodać otuchy. Było jasne, że chce zapewnić, iż nie uczyni mi nic złego, i trzymała mnie jak własne dziecko, żeby uspokoić moje wszystkie obawy na widok tego, co przekraczało moje zrozumienie.

P: Mocno cię trzymała?

O: Jak siostra albo przyjaciółka. Czasem tak się trzymałyśmy w burdelu, kiedy miałyśmy wolne albo czekałyśmy na klienta.

P: Co dalej?

O: I wtedy nastąpił jeszcze większy cud, bo tam, gdzie kończył się ten pokój, gdzie przedtem była głowa larwy, nagle pojawiło się okno otwarte na wielkie miasto, nad którym przesuwaliliśmy się jak ptak.

P: Jakie ono było?

O: Zaraz powiem.

P: Lepiej nie mów, bo tego już za wiele.

O: Kiedy przysięgam na Jezusa, że tak było, albo tak mi się wydawało.

P: Ten wspaniały pokój wykładany drogocennymi kamieniami w jednej chwili wyleciał z jaskini i znalazł się nad wielkim miastem? Nie jestem twoim

niewypierzonym kurczakiem, pani Lee, na niebiosą, nie jestem.

O: To moje opowiadanie pana zwodzi, mówię tylko to, co widziałam, ale jak widziałam, sama nie wiem.

P: To się bardziej nadaje do sprzedawanej na straganie broszury niż do słuchania. Nadal uważam cię za sprytną dziwkę, z tą twoją całą gadaniną o nicowaniu zdań i obracaniu słów.

O: Kiedy mówię prawdę. Błagam pana, pan musi mi uwierzyć.

P: Może tę wizję wywołał napój, który ona ci podała?

O: Nie czułam oszołomienia ani nie byłam senna, wszystko było bardzo realne, kiedy lecieliśmy nad tym miastem, i widziałam jeszcze znacznie więcej, opowiem o tym. Ale to wszystko działo się jakby za sprawą dobrej magii, jak we śnie, bo przez te mniejsze okienka widziałam, że nie opuściliśmy jaskini, gdyż jej ściany stały na zewnątrz.

P: Jak duże było to okno, przez które widziałas miasto?

O: Trzy stopy na cztery, dłuższe niż wyższe.

P: A jednak mówisz, że widziałas, że ta maszyna się poruszała, nie opuszczając jaskini.

O: Tak.

P: Musiałaś być pod wpływem czarów albo narkotyku, albo i tego, i tego.

O: Pewne jest, że byłam przenoszona. Przez to okno nie patrzyliśmy, jak patrzyliśmy przez zwykłe szkło. Było tak, jakby ktoś inny nas widział to z daleka, to znów z bliska, to z jednej strony, to z drugiej. Chciałam odwrócić wzrok, żeby spojrzeć w bok albo do tyłu, ale nie mogłam. Na próżno moje oczy chciały się na czymś zatrzymać, musiałam patrzeć na to, co widziałam.

P: Okno nie może widzieć, moja pani. Nie byłaś przy zdrowych zmysłach. A co to było za miasto, nad którym podobno leciałaś?

O: Niezwykle piękne, w życiu takiego nie widziałam, ani nie słyszałam, żeby ktoś o takim opowiadał. Było białe-złote, wszędzie ogrody, parki, piękne ulice i aleje, ogrody i zielone sady, potoki i stawy z rybami. Właściwie jak na wsi, gdzie mieszkają bogaci ludzie. I panował spokój.

P: Skąd wiesz, że to były sady? Przecież leciałaś dość wysoko.

O: A jednak widziałam małe drzewka rosnące rzędami, tak jak sady, więc myślę, że to były sady. A wśród nich wielkie gościńce brukowane chyba złotem, gdzie chodzili ludzie i przejeżdżały lśniące pojazdy, choć nie ciągnęły ich konie. Mimo to

poruszały się.

P: Jak się poruszały?

O: Nie wiem jak. A piesi nie chodzili po tych złocistych ulicach, bo te drogi przesuwały się wraz z nimi. Potrafili jednak poruszać się jak my, gdyż na łące, nad którą lecieliśmy, w dwóch kręgach tańczyły dziewczęta, a niedaleko mężczyźni, ale nie w kręgu, tylko obok siebie, widzieliśmy też takich, którzy chodzili jak my.

P: Jak oni tańczyli?

O: Wydawało mi się, że tańcząc śpiewają, a dziewczęta poruszały się z wielkim wdziękiem, schylając się, jakby zamiatały, i radośnie unosząc twarze do nieba, a mężczyźni poruszali się tak, jakby rzucali ziarno, a potem udawali, że koszą, ale czynili to znacznie szybciej niż dziewczęta. W tej krainie dbano o czystość, gdyż widziałam wiele osób zamiatających miotłami i szczotkami ścieżki i złote aleje, a także piorących w strumieniach. Wszędzie, w ogrodach i sadach panował porządek. I z pewnością w domach też.

P: Czy zewnątrznie byli tacy jak my?

O: To byli ludzie różnych narodowości. Niektórzy biali, inni oliwkowi albo żółci, brunatni i czarni jak noc. Nie mogłam dojrzeć szczegółów, gdyż byli jednak zbyt daleko. To było tak, jakbyśmy stali na wieży, która się ruszała, jakby miała nogi.

P: Jak byli ubrani?

O: Wszyscy jak te trzy kobiety, w srebrnych bluzach i spodniach, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Poruszaliśmy się tak szybko, że nie widziałam wszystkiego, ledwo coś zauważyłam, a już znikalo i pojawialo się coś nowego.

P: Czy te czarne dzikusy były nagie?

O: Nie.

P: Czy widziałaś jakieś kościoły?

O: Nie.

P: Żadnego śladu Boga ani żadnych miejsc kultu?

O: Wszystko było Jego śladem, ale w inny sposób. Nie było księży, kościołów, nic takiego.

P: A świątyń pogańskich?

O: Też nie widziałam.

P: Żadnych pałaców ani wielkich budowli? Giełd, szpitali czy sądów?

O: Nic takiego nie zauważyłam, tylko piękne wielkie domy, w których wszyscy mieszkali razem, bez żadnej różnicy czy podziału. Większość nie ogrodzona, bez

plotów, domy rozrzucone pośród zieleni, nigdzie też nie widziałam tłumów ani dymiących kominów. Wszędzie było pięknie jak na farmie, wszędzie zielono jak w pełni lata. A w górze słońce w pełnym blasku, jakby wiecznie trwał tam czerwiec. I tak nazwałam ten szczęśliwy kraj, który został nam pokazany.

P: Jak go nazwałaś?

O: Wieczny Czerwiec.

P: Alias, zamki na lodzie. Z czego były zbudowane domy, z kamienia czy cegieł? Miały strzechy czy dachy z łupku?

O: Nie miały takich dachów jak nasze, gdyż nie były z tego świata, który znamy. Ściany lśniły bielą jak wnętrza morskich muszli, dachy zaś i drzwi były ze złota, dachy różnego rodzaju, niektóre w kształcie wielkich namiotów, inne z ogrodami na górze, jeszcze inne okrągłe jak wielkie sery, i oprócz tego wiele mających inne kształty.

P: Skąd wiesz, że te drzwi i dachy były ze złota?

O: Nie wiem, ale takie robiły wrażenie. I widziałam także wielkie domy, w których mieszkało wiele osób, a nie jedna tylko rodzina jak w naszym świecie, jedne były tylko dla kobiet, a inne dla mężczyzn, i ten podział był widoczny także gdzie indziej. W jednym miejscu na otwartej przestrzeni zebrało się wiele osób obojga płci, które słuchały jakiegoś mówcy, ale podział był ścisły: kobiety z lewej, mężczyźni z prawej.

P: Czy zauważyłaś małżeństwa albo pary kochanków?

O: Nie, nie widziałam. W Wiecznym Czerwcu nie jest tak.

P: Co nie jest tak? Czy oni żyją jak rzymscy mnisi albo odizolowane zakonnice?

O: Ciało wraz z jego wszystkimi grzechami nie istniało tam. Gdyby tak było, nie byłoby Wiecznego Czerwca.

P: Czy widziałaś, żeby ktoś pracował?

O: Jedynie w ogrodach i na polach, dla przyjemności.

P: Nie było sklepów, handlarzy ulicznych, targowisk?

O: Nie, ani warsztatów i fabryk, w każdym razie ja ich nie widziałam.

P: Czy zauważyłaś żołnierzy albo uzbrojonych ludzi?

O: Nikt tam nie nosił żadnej broni.

P: W to, moja pani, uwierzyć nie można.

O: Nie można uwierzyć na tym świecie.

P: A gdzie była twoja starsza dama podczas tej powietrznej podróży?

O: Siedziała na ławce koło mnie i obejmowała przez cały czas, a ja oparłam

głowę o jej ramię, gdy przyglądałam się temu wszystkiemu.

P: Czy jej ciało było ciepłe?

O: Takie samo jak moje.

P: Co możesz powiedzieć o tym fantastycznym mieście, które ci pokazano, czy raczej o którym śniłaś?

O: To z tego miasta ona przybyła, nie z tego świata, lecz jakiegoś lepszego, którego mieszkańcy wiedzą wszystko, podczas gdy my nic nie wiemy. Oni w wielu rzeczach są podobni do nas, w innych niepodobni, a już zupełnie niepodobni w swym spokoju i dostatku. Bo ja przez cały czas nie widziałam ani jednego nędzarza, żebraka, kaleki, chorego, nikogo, kto cierpiałby głód, nie widziałam też nikogo, kto wyróżniałby się swym bogactwem i pozycją, było oczywiste, że wszyscy są zadowoleni z identyczności swego losu, a ponieważ byli cnotliwi, nikt nie grzeszył. Nie tak jak u nas, gdzie serce każdego mężczyzny i kobiety zamknięte jest w klatce własnej chciwości i pychy, i tak naprawdę żyjemy tylko dla siebie.

P: Chciałbym, żebyś mi mówiła, co widziałaś, a nie to, co twoja buntownicza, nowo odnaleziona demokracja ci podpowiada.

O: Nic nie wiem o żadnej demokracji.

P: Jak to nie wiesz? Mówię o rządach tłumu.

O: Nie, to jest chrześcijańska sprawiedliwość.

P: Dość tego.

O: To wszystko prawda, obserwowałam ten świat tylko z zewnątrz. Nie dostrzegłam jednak ani żołnierzy, ani strażników, ani też więzień czy ludzi zakutyh w kajdany.

P: Powiedziałem, dość!

O: Ja wiem, że pan w to nie wierzy, nie winie pana o to. Ja też chwilami wątpiałam w swoim umyśle. Musi pan dziwić się, że mężczyźni i kobiety mogą żyć w takiej zgodzie i harmonii, gdy nawet tutaj na ziemi jeden naród tego nie potrafi, nie mówiąc już o wielu pomieszanych. Bo tam nie było żadnych oznak wojny, zniszczenia, okrucieństwa, ani zazdrości, jedynie życie wieczne. I powiem panu, choć ja od razu tego nie pojęłam, że to było niebo.

P: Albo to, co ty uważałaś za niebo. A to nie to samo.

O: Proszę uważnie mnie wysłuchać, panie Ayscough. Bo teraz lecimy coraz niżej, coraz bardziej zbliżamy się do Wiecznego Czerwca i zatrzymujemy się, żeby odpocząć na łące pełnej kwiatów. Tam czekają dwie kobiety i mężczyzna, żeby nas

powitać. A za nimi na końcu łąki inni mężczyźni i kobiety koszą trawę, a potem ją układają w kopy, jak podczas sianokosów. Zauważyłam jednak, że wszyscy oni są barwnie ubrani, inaczej niż pozostali, a dwaj mężczyźni, którzy czekali pod drzewem, ubrani byli na biało, i kobieta obok nich też na biało.

P: Czyś sama nie powiedziała, że tam nikt nie pracował?

O: Oni pracowali, ale nie tak jak my.

P: Co to znaczy, nie tak jak my?

O: Pracowali, bo chcieli, a nie dlatego, że im kazano.

P: Skąd wiesz, że tak było?

O: Dlatego, że śpiewali i cieszyli się, niektórzy odpoczywali lub bawili się z dziećmi. Potem zobaczyłam, że tych dwóch na biało ubranych mężczyzn pod drzewem, to byli ci sami, stary i młody, których widziałam owej nocy w świątyni. Teraz ten młodszy, którego wtedy nazwałam cieślą, który wtedy wskazał palcem w górę, stał z kosą na ramieniu, jakby wrócił właśnie od koszenia, a starszy mężczyzna miał białą brodę i stał, trzymając w ręku kij, w cieniu tego drzewa, pod jego liśćmi i owocami, które przypominały pomarańcze jaśniejące wśród zieleni. A wygląd miał kogoś zarówno bardzo mądrego, jak i dobrego, kto był panem tych wszystkich, których doglądał, ale teraz nie pracował, a jednak wszyscy patrzyli na niego jak na swego ojca i pana.

P: Jakiej narodowości był ten stary człowiek?

O: Wszystkich narodowości, ani czarny, ani biały, ani brunatny, ani żółty.

P: To nie jest wystarczająca odpowiedź.

O: Tylko taką mogę dać. Były jeszcze cudowniejsze rzeczy, gdyż kobieta, którą widziałam przez okno, była tą samą, o którą się opierałam, siedząc koło niej na ławce wewnątrz larwy, i która trzymała moją dłoń. To mnie tak zmieszało, że musiałam się odwrócić i spojrzeć na nią, i oto w cudowny sposób ona dalej siedziała przy mnie, choć również zdawała się być poza oknem, inaczej ubrana, w białej szacie. I ta koło mnie uśmiechnęła się jak siostra, jakby nawet drocząc się ze mną z powodu tej zagadki. I nagle pochyliła się i pocałowała mnie. Jej wargi spoczęły na moich wargach, w odruchu najczystszej miłości, jakby chciała powiedzieć, że nie powinnam się bać tego, co widzę przez okno, że ona może zarówno mnie trzymać, jak i stać na zewnątrz pod drzewem koło starego mężczyzny, który teraz wyciągnął rękę, dając jej znak, żeby podeszła bliżej. Ten gest wyraźnie mówił: Ona jest moja, z mojej krwi i kości.

P: Czy fakt, że jednocześnie była w dwóch miejscach, nie jest pewnym

dowodem, że śniłaś?

O: Może to pewny dowód dla pana, dla mnie żaden, to nie był sen. I wcale nie było snem, że ja też chodziłam po tej łące.

P: A co się wtedy działo z Jego Lordowską Mością? Czy obserwowałaś, jak on reagował na tę wizję za oknem? Czy był nią urzeczony, wierzył w nią czy nie wierzył?

O: Nie myślałam wcale o nim ani o Dicku. Przedtem raz tylko spojrzałam, ale wtedy Jego Lordowską Mość, który siedział naprzeciw, nie wyglądał przez okno, ale patrzył na mnie. Tak jakby raczej obserwował, czy bardzo jestem tym wszystkim oszołomiona, nieraz tak bywa w teatrze, że kawaler towarzyszący damie woli na nią patrzeć niż śledzić przedstawienie.

P: Czy nie odniosłaś wrażenia, że on to widział już przedtem, że tobie pokazywano coś, co on już znał?

O: Jedno wiem, że się uśmiechnął, kiedy zobaczył, że patrzę na niego, i ręką wskazał okno, jakby chciał powiedzieć: Tam patrz, nie na mnie.

P: Uśmiechnął się?

O: I to tak jak nigdy przedtem do mnie się nie uśmiechał, to znaczy przyjacielsko, serdecznie, jak do dziecka.

P: A Dick, co z nim?

O: On był oszołomiony tak samo jak ja.

P: No, dobrze. Wróćmy do tej łąki.

O: Jak już mówiłam, wydawało mi się, że po niej chodzę, gdyż czułam zapach kwiatów i słodką woń skoszonej trawy, słyszałam śpiew ptaków, skowronków i drozdów, także kosiarzy.

P: Co śpiewali? Słyszałaś słowa? A może znałaś melodię?

O: Podobną melodię słyszałam w dawnych czasach, kiedy byłam małym dzieckiem, choć moi rodzice jako kwakrzy nie tolerowali muzyki. Tak, wydawało mi się, że ją znałam.

P: Czy ją pamiętasz?

O: Niestety, nie.

P: Mów dalej.

O: I było tak, jakbym chodziła w raju, w wiecznym życiu i szczęśliwości, wyzwolona z naszego okrutnego i złego świata, z moich własnych grzechów i próżności, które, jak rozumiałam, miały mi być odpuszczone. Szłam w morzu światła, wszystko było światłem, nie było teraz krztyny cienia w mej duszy, i kiedy tak

szłam w stronę tych trojga, czas nie przemijał w zwykły sposób, raczej o wiele wolniej, jak wtedy kiedy śnimy. I zobaczyłam, że stary człowiek podnosi rękę, zrywa owoc wiszący na gałęzi nad jego głową i podaje tej kobiecie, matce, a ona bierze owoc i na otwartej dłoni wyciąga do mnie, kiedy się zbliżam. Nie jakby robiła wielką łaskę, ale po prostu daje, zachęcając, żebym ten owoc zjadła, czego ja pragnę z całego serca. I choć staram się przyśpieszyć kroku, żeby go wziąć, nie mogę, i wtedy podchodzi do mnie ten, który stał z kosą, syn starego człowieka, ona również jest do niego uderzająco podobna, jakby to była jedna rodzina. I wtedy nagle jakbym znała ich język, rozumiem, kim są naprawdę ci troje. Panie Ayscough, teraz mówię to wyraźniej, niż wtedy pomyślałam, kiedy to było drgnienie, szept, domysł, sama nie wiem co, czegoś, co miało nastąpić. Ja ciągle, jak pan, musiałam wątpić w te dziwne okoliczności, w jakich to się działo. Proszę pamiętać, że byłam wychowana jako kwakierka, nigdy nie myślałam o boskości ucieleśnionej w żywych oddychających osobach, ale wyłącznie jako o rozświetlającym mnie wewnątrz duchu. Bowiem Przyjaciele powiadają: Nie ma prawdziwego ducha w obrazie, ani też obraz nie może być prawdziwym duchem. A ja będąc wielką grzesznicą, czy mogłam oczekiwać, że będę godna tego? I teraz nastąpiło najdziwniejsze, gdyż ten z kosą wskazał na nie skoszoną obok siebie łąkę i zobaczyłam tam jego śpiącego bliźniaka. Obok leżała kosa, a on był pokryty kwiatami jak zmarły. Jednak uśmiechał się, a na twarzy tego, który mi go wskazał, był ten sam uśmiech. I tak, po stokroć tak, nic nie będę więcej ukrywać. Ci dwaj mężczyźni byli jednością, jedynym człowiekiem wśród ludzi: naszym Panem, Jezusem Chrystusem, który umarł za nas, a jednak zmartwychwstał.

P: Co to, trafiłaś do nieba? Z dziwki stałaś się świętą?

O: Może pan sobie szydzić ze mnie, proszę bardzo, ja mówię o tym, co dopiero potem zrozumiałam. Co święci mogą dostrzec w okamgnieniu, ja widziałam niewyraźnie. To nie było tak, jak ludzie mówią, że prawda przychodzi w jednej sekundzie, ona czasem dociera wolniej, i tak było ze mną. Sama z siebie szydę, że byłam tak ospała. I powiadam panu, ja niegodna grzesznica z całą pewnością znalazłam się w obecności Ojca i Syna. A choć stali tak po prostu jak dwaj żeńcy w polu, to byli Oni. A przy tym, ja nadal nie wiedziałam, na czyim ramieniu się opieram. Och, jakże byłam głupia, niestety, i całkiem ślepa.

P: Skończ z tymi zagadkami. Powiedz mi teraz, kim była ta kobieta?

O: Nie kobieta, lecz królowa królowych, większa niż największe damy. Ta, bez której Bóg Ojciec nie mógłby dokonać swego dzieła, którą niektórzy nazywają

Duchem Świętym. To była Święta Matka Mądrości.

P: Święta Matka, powiadasz? Dziewica Maryja?

O: Większa nawet. Święta Matka Mądrości, to ona ma w sobie ducha woli Bożej i jest wraz z Nim jednością od początku, podejmuje to wszystko, co obiecał Chrystus Zbawiciel. Jest zarówno Jego matką, jak i wdową po Nim, a także córką; i w tym kryje się prawda o tych trzech kobietach, które stały się jedną, kiedy je zobaczyłam po raz pierwszy. Ona żyje zawsze i zawsze będzie moją panią.

P: Kobieto, to zakrawa na bluźnierstwo. W Księdze Rodzaju wyraźnie jest napisane, że Ewa pochodzi z żebra Adama.

O: A czyż nie urodziła się także z kobiety? Bez niej nic nie ma, pan też by się nie urodził. Nie byłoby Edenu ani Adama, ani Ewy, gdyby Święta Matka Mądrości nie była najpierw z Bogiem Ojcem.

P: Co takiego? Ta wielka matka, *magna creatrix*, miała by ciebie trzymać w ramionach jak jakaś twoja przyjaciółka z burdelu?

O: To była kochająca dobroć i łaskawość. Nikt nie jest aż tak grzeszny, żeby nie mógł być zbawiony. A pan zapomina, że w swej ślepotcie nie poznałam jej. Bo przecież, gdybym ją poznała, padłabym przed nią na kolana.

P: Dosyć tych gdybań. Co dalej?

O: Jej królestwo nadejdzie, Chrystusowe także, i to o wiele szybciej, niż sądzi ten grzeszny świat. Amen. Mogę świadczyć o tym.

P: No, to bądź świadkiem, kobieto, końca tej swojej wymyślonej świętej prawdy i daj spokój z tym kazaniem i prorokowaniem. Co dalej działo się w jaskini?

O: Po tych cudownych rzeczach nastąpiły okropne. Biegłam po niebiańskiej łące, żeby wziąć owoc, który mi podawała Święta Matka Mądrości, i już trzymałam go prawie w dłoniach, kiedy nagle zrobiło się ciemno, zapadła czarna noc. Jednak pojawiło się światło ukazujące taką scenę, że modłę się o to, by nigdy więcej tego nie ujrzeć. Był to obraz zażartej walki, pola bitwy, gdzie mężczyźni walczyli jak tygrysy, i słychać było chrzęst żelaza, przekleństwa i krzyki, strzały z pistoletów i muszkietów, przeraźliwy huk armat i jęki umierających, widziałam krew i dym armatni. Nie potrafię opisać tych strasznych czynów i okrucieństw ani przerażenia, jakie czułam, gdyż bitwa zdawała się toczyć tak blisko, że walczący w końcu musieli wpaść do tego pokoju w larwie, w którym siedzieliśmy. Wtedy ja, przerażona tą straszną zmianą, spojrzałam w twarz Świętej Matki Mądrości, żeby u niej szukać pociechy, i zobaczyłam jeszcze coś straszniejszego, bo jej nie było, nie było też Jego Lordowskiej

Mości ani Dicka. Nic nie było, tylko wielka ciemność.

P: Nadal więc byłaś w larwie? Czy bitwę widziałas tak jak poprzednio, przez okno?

O: Tak. I choć ją widziałam, nie słyszałam ani nie zauważyłam, kiedy tamci wyszli. I teraz zostałam sama, byłam zamknięta w najstraszniejszym więzieniu z antychrystem jako towarzyszem. Nigdy nie przypuszczałam, że może istnieć tak wielkie zło i okrucieństwo, które musiałam oglądać. Każda zaś scena była gorsza od poprzedniej.

P: Czy widziałas coś jeszcze oprócz tej bitwy?

O: Wiele było różnych scen, nie wszystkie dotyczyły bitwy, ale każda przedstawiała zbrodnię i grzech: tortury, morderstwa, zdrady, rzeź niewinnych. Widziałam antychrysta tak wyraźnie, a okrucieństwa ludzi były gorsze niż u najdzikszych zwierząt, tysiąc razy gorsze.

P: Co opowiedziałas Jonesowi?

O: Opowiedziałam mu trochę, ale nie wszystko. Tego nie można opowiedzieć.

P: Opowiadałaś mu o morzu płomieni, czy tak?

O: Tak. Widziałam małą dziewczynkę, dziewięcio-, może dziesięcioletnią, która mocno poparzona wybiegła z domu podpalonego przez żołnierzy. Sukienka się na niej paliła. A mnie bolało serce, bo nikt nie zwracał uwagi na jej cierpienie, żołnierze tylko się z niej śmiali. Gdybym mogła, rozszarpałabym ich na strzępy. Zerwałam się ze swego miejsca i podbiegłam do okna, bo ona się zbliżyła do mnie, ale na próżno, umarłabym sto razy, byle jej pomóc, gdyż widziałam w niej siebie, taką, jaką byłam, nim zaczęłam grzeszyć, ale dzieliła nas szyba mocna jak kamienny mur, której nie mogłam zbić, choć nieszczęsne dziecko paliło się żywcem o niecałe trzy stopy ode mnie i płakało rozpaczliwie. Nadal ją widzę i mam ochotę płakać, kiedy przypominam sobie jej wyciągnięte rączki, błagające o pomoc. Była tak blisko mnie, ale ja znajdowałam się jakby o tysiące staj i nic nie mogłam zrobić.

P: Te wizje czy były z tego świata?

O: Zupełnie jak z tego świata, nie było w nich miłości, tylko okrucieństwo, zabijanie, ból. Wszystko to spotykało niewinnych, kobiety i dzieci, i nie było temu końca.

P: Czy rozpoznałaś wśród nich jakąś twarz czy miejsce z tego świata?

O: Wątpię, czy to był ten świat, choć może istnieje taki świat.

P: Zatem te wizje nie były z tego świata?

O: Może były z Chin, bo twarze tych ludzi przypominały Chińczyków na filiżankach i porcelanie, były bardziej żółte niż nasze, a oczy mieli wąskie. Kiedy po raz drugi wyjrzałam przez okno, nad sceną rzezi świeciły trzy księżycy i w ich świetle wszystko wyglądało jeszcze okropniej.

P: Nie mylisz się? Trzy księżycy?

O: Jeden większy i dwa mniejsze. I dziwna rzecz, wielkie pojazdy, mające w środku armaty, poruszały się szybciej niż najszybsze konie, jak uskrzydłone lwy, latały niby rozwścieczone szerszenie i spuszczały wielkie granaty na swoich wrogów, powodując wśród nich niewyobrażalne zniszczenie – całe miasta leżały w gruzach, wyglądały tak, jak podobno wyglądał Londyn nazajutrz po Wielkim Pożarze. A poza tym olbrzymie słupy dymu i płomieni paliły wszystko na dole, wywołując huragan i trzęsienie ziemi wszędzie, gdzie się pokazały. Były to tak straszne obrazy, że w porównaniu z nimi nasz świat wydaje się bardzo łagodny. Jednak wiem, że ziarna tego zła można znaleźć w naszym świecie. Może nam tylko brak owych diabelskich sztuczek i przemyślności. Człowiek jest zły nie tylko z własnej woli, lecz z woli antychrysta. Im dłużej on rządzi, tym bardziej jesteśmy skazani na zagładę i wszystko skończy się w ogniu.

P: Jesteś taka sama, kobieto, jak ci twoi, wierzysz w najgorsze. Czy przez to okno widziałaś tylko zagładę?

O: Okrucieństwo, niewyobrażalne okrucieństwo.

P: A więc nie było tam Boga. Czy taki świat może być prawdziwy? Że niektórzy ludzie są okrutni i niesprawiedliwi, zgoda, lecz że tacy są wszyscy, to nie może być prawda.

O: To była przepowiednia, świat może się taki stać.

P: Bóg chrześcijański nie pozwoli na to.

O: On zniszczył Sodomę i Gomerę z powodu ich grzechów i fałszywych bożków.

P: Było ich niewiele wśród wielu. Tym, którzy naprawdę wierzyli i zaufali Jego słowu, nie uczynił krzywdy. Ale dość tego. Wracajmy do twojej larwy.

O: Stałam przed oknem, widziałam, jak się pali ta niewinna dziewczynka, musiałam patrzeć, jak umiera na moich oczach, padłam więc zrozpaczona na podłogę, nie chcąc dłużej patrzeć. I wtedy pojawiła się wielka mgła i zaległa cisza. Nagle rozbłysło światło. W końcu tego jakby pokoju dostrzegłam Jego Lordowską Mość. Był jakiś odmieniony, z początku go nawet nie poznałam, gdyż był ubrany tak jak ci wszyscy z Wiecznego Czerwca, w jedwabną bluzę i obcisłe spodnie, nie miał też swojej

peruki. Patrzył na mnie ze smutkiem, jakby chciał powiedzieć, że nie ukaże mi więcej obrazów cierpienia, lecz ulży w nim, podszedł tam, gdzie leżałam, podniósł mnie i położył delikatnie na ławce, potem schylił się nisko nad moją twarzą i spojrzał w oczy z taką miłością i tkliwością, jakiej mi nigdy dotąd nie okazał. Nie zapomnij mnie, Rebeko, powiedział, nie zapomnij mnie, po czym pocałował w czoło jak brat. Nadal patrzył mi w oczy i wtedy jego twarz stała się taka sama jak tego, którego widziałam na łące. Tych twarzy nigdy nie zapomnę.

P: Ja ciebie też nie zapomnę, moja pani, zapewniam cię. Czy to ma być twój najlepszy numer? Oto Jego Lordowską Mość przemienia się w Pana Wszecrzeczy, w samego Zbawiciela?

O: Pan wie swoje, a ja swoje. Odczuwałam wtedy tak wielką radość, że nie mogłam jej unieść i zasnęłam.

P: Zasnęłaś? Przecież to idiotyczne, żeby zasnąć w takim momencie.

O: Musiałam zamknąć oczy i nie patrzeć na tę tkliwą twarz nade mną, żeby nasze dusze mogły się połączyć. Jakby kochający mąż chciał, żebym odpoczęła od jego miłości.

P: A może coś więcej was połączyło, nie tylko wasze dusze?

O: To wstyd, że pan mógł pomyśleć coś takiego!

P: Czy nie dał ci jakiegoś napoju?

O: Tylko na mnie patrzył, nic więcej.

P: A wymyślona przez siebie Święta Matka Mądrości nie pojawiła się znowu?

O: Nie, Dick także nie. Tylko on.

P: A gdzie się obudziłaś, z powrotem w niebie?

O: Obudziłam się na twardej ziemi, w jaskini, do której weszliśmy na samym początku, choć nie od razu ją rozpoznałam, bo mi się zdawało, że nadal jestem pogrążona we śnie i słodko wypoczywam. Ale wkrótce zrozumiałam, że poniosłam jakąś wielką stratę. Było mi zimno i zauważyłam, że całe moje ubranie zniknęło. Potem myślałam o Świętej Matce Mądrości, o tym że śniłam o niej, ale zaraz pojęłam, że to nie był sen, tylko że ona odeszła, a moja dusza została osierocona, wobec czego strata ubrania nic nie znaczyła. A potem w zamięcie, jak w podmuchu jesiennych liści, przyszło wspomnienie tych trzech postaci na łące. Dopiero teraz wiem, kim były. To był nasz Ojciec i jego Syn, i Ona obok, a biorący udział w sianokosach to byli święci i aniołowie. Nie zapomnę też tego, który mnie przywiódł do tej świętej wiedzy. W tej wilgotnej jaskini czułam jeszcze słodki zapach Wiecznego Czerwca, choć był słaby.

Wiedziałam z całą pewnością, że to nie był sen, że naprawdę to przeżyłam. Popłynęły mi łzy, że to wszystko się pojawiło i zniknęło, nim dobrze zrozumiałam. I powiem panu, że odczułam to jako większe okrucieństwo niż te, na które patrzyłam. Tak, nadal byłam próżna, nadal byłam ladaczną, myślałam tylko o sobie samej, wyszydzonej i odrzuconej. Zawiodłam w wielkiej próbie, jakiej zostałam poddana. I tak niemądra klęczałam i modliłam się, żeby mnie z powrotem zabrano, tam, gdzie spałam tak słodko. W każdym razie moja dusza jest teraz mądrzejsza.

P: Skończ z tą swoją duszą. Czy w jaskini było jakieś światło?

O: Niewielkie, takie, że ledwo mogłam coś widzieć.

P: Czy larwa wciąż tam była?

O: Zniknęła.

P: Wiem, żeś to wszystko sobie wymyśliła. Taka machina nie mogła znaleźć się w jaskini ani jej opuścić. To wszystko zrodziło się w twoim kobiecym mózdzku i rozrosło jak ten mały robak w twoim łonie.

O: Może pan sobie mówić, co pan chce. Zaprzeczyc mej przemianie, czynić wedle swej woli, dla mnie to nie ma znaczenia, dla prawdy Chrystusowej także. Może tylko pańska dusza pożałuje tego.

P: Dosyć. Czy przeszukałaś jaskinię? A może Jego Lordowska Mość zasnął w jakimś kącie tak jak ty?

O: Kiedy wreszcie postanowiłam wyjść, potknęłam się o szpadę Jego Lordowskiej Mości, która leżała tam, gdzie ją rzucił.

P: Nie podniosłaś jej?

O: Nie.

P: I nie sprawdziłaś, czy gdzieś w pobliżu nie leży Jego Lordowska Mość?

O: On odszedł.

P: Dokąd odszedł?

O: Tam, gdzie go widziałam po raz ostatni.

P: Skąd wiesz, przecież zasnęłaś.

O: Zasnęłam i nie wiem, jak odszedł, ale wiem, że tak było.

P: Czy możesz zaprzeczyc, że mógł się oddalic inaczej, nie tylko w twojej maszynie?

O: Wedle pańskiego pojmovania nie mogę zaprzeczyc, według mego mogę, i to robie.

P: Powiadasz, że został zabrany do krainy Wiecznego Czerwca?

O: Nie został zabrany, on tam wrócił.

P: Jak wytłumaczysz, że zostałaś naga? Czyżby te twoje święte wizje pozbawiły cię ubrania jak zwyczajne złodziejzki?

O: Święta Matka Mądrości zabrała jedynie całą moją grzeszną przeszłość. To nie była kradzież, ona odesłała w nowych szatach moją duszę. Wyszłam nowo narodzona z łona jej ducha.

P: I ledwie się spotkałaś z Jonesem od razu zaczęłaś kłamać?

O: Nie dlatego, żeby mu dokuczyć. Niektórzy ludzie od urodzenia przypominają ciężkie, szerokie statki, których nie poruszy ani własne sumienie, ani Chrystusowe światło. Dobrze wiedziałam, że chce mnie wykorzystać, a ja tego nie chciałam. Musiałam mocno się natrudzić, żeby uniknąć jego zakusów.

P: Teraz nie unikniesz moich.

O: Mówię panu prawdę, ale pan nie chce wierzyć. Pan sam wątpi i dlatego powinnam kłamać, żeby mi pan uwierzył.

P: Pobożne kłamstwa albo niemoralne przypowieści to to samo. Zrobiło się późno, moja pani, ale ja z tobą jeszcze nie skończyłem, i nie pozwolę ci, żebyś dzisiejszej nocy wymyśliła ze swoim mężem nowe przypowieści. Będziesz spała pod tym dachem, w pokoju, gdzie jadłaś, czy to jasne? I nie wolno ci z nikim rozmawiać z wyjątkiem mego protokolanta, który będzie cię pilnować jak oka w głowie.

O: To niesprawiedliwe, przynajmniej wedle praw boskich.

P: Zamiast tego mógłbym cię wtrącić do miejskiego więzienia, moja pani, gdzie byś była o chlebie i wodzie, a spała na zawszonej słomie.

O: Musi pan to powiedzieć memu ojcu i mężowi. Wiem, że oni na mnie czekają.

P: Idź stąd i dziękuj Bogu, że jestem tak łaskaw dla ciebie. Nie zasługujesz na to.

Dziesięć minut później trzech mężczyzn weszło do pokoju, gdzie znajdował się pan Ayscough. Stanęli sztywno w progu, jakby w obawie przed jakąś zaraźliwą chorobą nie chcieli zbliżyć się do prawnika. Było jasne, że są deputacją protestujących, jak również było jasne, że prawnik zmienił zdanie co do zuchwalstwa Rebeki. Kiedy wyszła wraz ze swym strażnikiem, podszedł, tak jak wcześniej tego dnia, do okna. Słońce właśnie zaszło i na placu panował znacznie mniejszy ruch niż rano. Jedno się tylko zmieniło. Pod oknem na przeciwległym rogu nadal stali ci trzej mężczyźni, ponurzy jak erynie i tak samo nieugięci, ale teraz towarzyszyło im dziesięć innych osób, w tym sześć kobiet, trzy starsze, trzy młodsze, a wszystkie ubrane jak Rebeka. Można by przypuszczać, że zgromadzili się przypadkowo, gdyby nie ich podobny ubiór i uporczywe spoglądanie wszystkich w okno, w którym pokazał się Ayscough.

Dostrzegli go i jednocześnie trzynastcie par rąk w modlitewnym geście podniosło się na wysokość piersi. Ale modlitwa nie została odmówiona. To była demonstracja, a nie prośba, ponure wyzwanie, mimo że bez krzyków i wrogich gestów. Uczucia tych ludzi malowały się tylko na ich poważnych, skupionych twarzach. Ayscough patrzył przez kilka chwil na te filary sprawiedliwości, a potem wycofał się w głąb pokoju. Właśnie wrócił protokolant, dzierżąc w ręku wielki klucz od pokoju Rebeki. Kiedy podszedł do stołu i zaczął porządkować strony zapisane nie do odcyfrowania pismem, szykując je do żmudnej transkrypcji, nagle Ayscough powiedział coś ostrym tonem. Protokolant spojrział nań zdumiony, słysząc polecenie, ale nic nie odparł, tylko skłonił się i wyszedł z pokoju.

W środku przybyłych trzech mężczyzn stał James Wardley, choć najniższy wzrostem, najwyraźniej cieszący się największym autorytetem. Włosy miał siwe, długie i proste, tak samo jak jego dwaj towarzysze, pooraną zmarszczkami twarz, wskutek czego wyglądał starzej niż na swoje pięćdziesiąt lat. Można by go uważać za ponurego pocziwca, gdyby nie okulary w stalowej oprawce, opatrzone po bokach dziwnymi kawałkami czarnego szkła, które zasłaniały boczne światło, co sprawiało wrażenie nie tylko krótkowzroczności, lecz także wrogości, kiedy jego oczy zza bardzo małych szkieł wpatrywały się w prawnika. Ani on, ani jego dwaj towarzysze nie zdjęli swoich kwakerskich kapeluszy, podświadomie demonstrując ten szczegół przynależności do swojej sekty. Często tak czynili, chcąc okazać, że odcinają się od

konwencjonalnego społeczeństwa.

Mąż Rebeki, smutny jak zawsze, wydawał się wyjątkowo zakłopotany. Wyglądał nie tyle na potencjalnego rebelianta, ile na przypadkowego obserwatora. Wzrok miał wbity w podłogę, jakby wcale nie miał ochoty przebywać w tym miejscu. Z ojcem Rebeki było całkiem inaczej. Mocny, barczysty mężczyzna, ubrany w brązową kurtkę i także spodnie, chyba w wieku Wardleya, nie ustąpiłby w niczym ani na cal. W przeciwieństwie do zięcia miał bardzo zdecydowany wyraz twarzy. Patrzył śmiało, wręcz agresywnie, a opuszczone wzdłuż ciała ręce zacisnął w pięści, jakby się szykował do walki.

Wardley był uosobieniem kłótności i zamiłowania do dyskusji. Stało się tak, nie dlatego, że brakowało mu wiary we własne przekonania i wizje, ale że nade wszystko lubował się w ich przedstawianiu i obronie, co pozwalało mu szydzić z braku logiki swych wrogów (jak również ich kołtuńskiego zadowolenia z tego jawnie niesprawiedliwego świata) i także – o, jak bardzo słodka bywa żółć – wysłać ich na przyszłe potępienie. Żył w nim – jak w przeszłości w niezliczonych kłótniach – duch Toma Paine'a.⁶ Nie był prawdziwym francuskim prorokiem, to po prostu jego niekonformistyczna i uparta natura znalazła właściwy moment w dziejach historii, aby ujawnić swoje możliwości.

Z kolei melancholijny mąż Rebeki w rzeczywistości był zaledwie mistykiem-ignorantem, który podchwycił styl profetycznych wizji i żył w przekonaniu, że wszystko, co głosi, dzieje się pod wpływem boskiego natchnienia, a więc po prostu siebie okłamywał, był anachroniczny. Jak wielu ówczesnych ludzi z jego klasy nie potrafił dostrzec tego, co z łatwością dostrzega nawet mało inteligentny współczesny człowiek, głębszy nawet niż on – mianowicie niewątpliwego znaczenia własnej

⁶ Thomas Paine (1737-1809) – angielski pisarz polityczny, działacz demokratyczny, w 1774 r. przybył do Ameryki Płn., gdzie walczył o niepodległość kolonii brytyjskich w armii amerykańskiej. W 1787 r. wrócił do Anglii, występując o zawieszenie monarchii i wprowadzenie demokracji, napisał wtedy *The Rights of Man* (1791-1792). W 1791 r. w obawie przed aresztowaniem uciekł do Francji. Jako członek Konwentu Narodowego był więziony przez jakobinów. W latach 1794-1795 napisał *The Age of Reason*, gdzie atakuje Biblię i popiera deizm. Z powodu swych poglądów spotkał się z dużą wrogością, w 1802 r. wrócił do Ameryki, gdzie również nie cieszył się popularnością. Umarł w zapomnieniu i ubóstwie (przyp. tłum.).

osobowości, osadzonej do pewnego stopnia w świecie, którym ta osobowość może manipulować albo który może kontrolować. John Lee nie rozumiałby stwierdzenia: *Cogito, ergo sum* i o wiele bardziej zwięzłego współczesnego odpowiednika „ja”. Współczesne „ja” nie potrzebuje myśleć, wiedzieć, że istnieje. Z pewnością inteligencja w czasach Johna Lee miała jasną, choć niezupełnie współczesną samoświadomość, ponieważ jednak mamy retrospektywny nawyk przypominania sobie i oceniania minionego wieku wedle jego Pope’ów, Johnsonów, Addisonów i Steele’ów, z łatwością zapominamy, jak całkowicie nietypowy bywa artystyczny geniusz większości istot ludzkich w każdej epoce, choćbyśmy nie wiem jak próbowali dowieść czegoś wręcz przeciwnego.

John Lee oczywiście był (ale nie tak jak narzędzie czy zwierzę) w świecie całkowicie z góry przewidzianym, napisanym jak ta książka. Sumiennie czytał Biblię i tak samo słuchał i pojmował istniejący wokół niego świat – nie jak coś, co trzeba przyjąć albo nie przyjąć, w imię czego albo przeciw czemu trzeba działać, ale taki jaki po prostu był, co znaczyło, jaki zawsze będzie albo być musi, jak opowiadanie z ustaloną raz na zawsze narracją. Nie miał Wardleyowego, wyemancypowanego i quasi-politycznego umysłu, jego wiary, iż czyny ludzkie mogą zmienić świat. Jego prorocтва mogły głosić taką zmianę, ale nawet w tym był on tylko narzędziem, jucznym zwierzęciem. Jak wszyscy mistycy (i wielu powieściopisarzy, nie wyłączając autora tej książki) był jak zdumione dziecko wobec realnego teraz, o wiele bardziej szczęśliwym poza owym teraz w opowiadanej przeszłości albo profetycznej przyszłości, uwięziony w tej skomplikowanej trudnej gramatyce, na którą nie pozwala wyobrażana terażniejszość.

Nigdy nie zmusilibyście krawca do przyznania się, iż zasady francuskich proroków po prostu odpowiadają jego prawdziwej naturze i wręcz go cieszą, a nawet do zastanowienia się, że gdyby zamiast przywództwa nieznanej, prowincjonalnej sekty, w jakiś cudowny sposób otrzymałby moc kierowania narodem, nie byłby tak srogim tyranem, jak Robespierre, co zapowiadały do pewnego stopnia jego okulary z bocznymi osłonkami. Te liczne wady towarzyszy ojca Rebeki sprawiły, że z tej trójki Amos Hocknell był najbardziej prostolinijny i dla wielu przyczyn najbardziej typowy.

Zarówno jego religią, jak i zapatrywaniami politycznymi rządziła wyłącznie zręczność jego rąk. Był człowiekiem o wiele bardziej praktycznym niż Wardley czy John Lee, dobrym stolarzem. Samymi ideami mało się przejmował i na ogół traktował

je jak ozdoby w siostrzanych rzemiosłach wyrobu mebli i artystycznych przedmiotów z drewna – jako zbyteczne i z pewnością grzeszne w oczach Boga. Ta wyraźna u dysydentów tendencja w kierunku konstrukcji, dobrej roboty, trzeźwości gustu (na niekorzyść fantazji, wyszukanej ornamentyki, zbytecznego luksusu i tak dalej) wywodziła się oczywiście z doktryny purytańskiej. Jednak estetyka Towarzystwa Ludzi Bogobojnych i Statecznych w latach trzydziestych osiemnastego wieku (a nawet począwszy już od roku 1660) zaczęła być powszechnie pogardzana i dyskredytowana przez ludzi bogatych i wykształconych, ale nie takich jak Hocknell.

Dla niego stolarstwo stało się religijnym wzorcem i wedle niego osądzał wiele rzeczy poza obrabianiem drewna. Uważał, iż przedmiot, opinia, idea, styl życia człowieka muszą być jasne, zgodne z jego celem, dobrze zbudowane, dobrze spasowane i zacopowane, przystosowane do swej funkcji; ale nade wszystko, treść nie może być ukryta pod błahym ornamentem. To, co nie było w zgodzie z tymi prostymi receptami, które zapożyczył ze swego rzemiosła, było złe lub bezbożne. Estetyczna przydatność urosła do moralnej sprawiedliwości, prostota nie tylko była piękna, ale i cnotliwa, a najbardziej satanicznym bezcelowym tworem, kryjącym się pod gorszącą i nadmierną ornamentyką, było społeczeństwo angielskie.

Hocknell nie był aż takim bigotem, żeby odmawiać swoim klientom bogatego zdobienia futryn drzwiowych czy obudowy kominków, w ogóle wykonywania tego rodzaju zamówień, ale uważał to wszystko za diabelski wymysł. Na piękne domy, stroje, pojazdy i tysiące innych rzeczy, które ukrywały, trawestowały albo ignorowały elementarne prawdy mówiące o niesprawiedliwości ludzkiej egzystencji, nie zwracał uwagi. Przede wszystkim wierzył w prawdę głoszoną przez Chrystusa, którą uważał raczej za kawałki cennego, dobrze wysuszonego drewna, starannie ułożonego na podwórzu niż gotową konstrukcję. Materiał ów czekał na to, by tacy jak on wykorzystali go właściwie i odpowiednio przetworzyli. Metafory, których używał w swoim prorokowaniu były oparte na następującym obrazowaniu: obecny dom jest zgniły i musi się rozpaść, podczas gdy pod ręką znajdują się znacznie lepsze materiały. Proroctwa Amosa Hocknella były o wiele prostsze niż te, które głosił jego zięć, czerpiąc ze swej wiedzy o apostołach i różnych postaciach Starego Testamentu. Stolarz raczej żywił nadzieję niż wierzył w rychłe ponowne przyjście Chrystusa. Podobnie jak tylu chrześcijan przed nim i po nim ufał, że to musi nastąpić, ponieważ powinno się stać.

Oczywiście, powinno się stać, ponieważ Ewangelię z łatwością można odczytać

jako dokument polityczny, nie bez kozery średniowieczny Kościół walczył tak długo, żeby w Europie trzymać ją poza zasięgiem języka używanego przez ludzi prostych. Jeśli wszyscy są równi wedle Chrystusa, a wszyscy pragnący się dostać do nieba oceniani są wedle tych samych wymagań, to dlaczego nie kwalifikuje się tak samo ludzi tu na ziemi? Nie mogły dać na to odpowiedzi różnego rodzaju teologiczne manipulacje ani wybiórcze cytaty usprawiedliwiające cesarów tego świata. Stolarz zawsze też pamiętał o tym, jaki zawód wykonywał ziemski ojciec Chrystusa, i prawdziwie był dumny z tego porównania, niebezpiecznie ocierając się o grzech próżności.

Wedle powszechnych kryteriów był drażliwym, wybuchowym człowiekiem, w wielu sytuacjach niezłomnym, zwłaszcza kiedy chodziło o jego prawa, albo o to, co za nie uważał. Należało do nich patriarchalne prawo decydowania o życiu córek i wypędzenia tej, która została przyłapana na grzechu. Po powrocie Rebeka najbardziej obawiała się właśnie jego reakcji. Najpierw więc roztropnie postanowiła prosić matkę o przebaczenie i uzyskała je, albo raczej obietnicę przebaczenia, o ile zezwoli na to ojciec. Dlatego matka wzięła ją za rękę i natychmiast zaprowadziła do ojca. Pracował właśnie w nowo zbudowanym domu. Klęcząc zakładał drzwi na dolny zawias, nieświadom ich obecności, aż Rebeka powiedziała jedno jedyne słowo: ojciec. Odwrócił się i spojrzał na nią strasznym wzrokiem, jak gdyby zobaczył diabła. Dziewczyna padła na kolana i pochyliła głowę. Nagle jego twarz zaczęła się zmieniać, stracił nad nią władzę, wyraźnie cierpiał. Po chwili Rebeka znalazła się w jego mocnych ramionach i oboje wybuchnęli płaczem.

Poddawanie się przypiływom silnych uczuć było warunkiem istnienia dysydentów oraz ich praktyk religijnych, ponieważ między innymi tak bardzo różniło ich od obyczajów arystokracji i naśladowanej ją klasy średniej, teraz zaś powszechnej tradycji angielskiej, która boi się naturalnych uczuciowych reakcji (czy w innym języku istnieje zwrot „atak uczucia”?) i opanowała do perfekcji sztukę zimnej krwi, operowania słownikiem bagatelizującym prawdziwe doznania, cynizmem i zaciskaniem zębów, żeby się trzymać „w garści”. Dzisiaj potrafimy rozmawiać chłodno, stosując psychiatryczną terminologię i kamuflujące słownictwo, kiedy mówimy o histerycznym entuzjazmie, łkaniu, oraz wielu innych gwałtownych zjawiskach, których tak wiele można było znaleźć w praktykach religijnych wczesnych dysydentów. Powinniśmy raczej wyobrazić sobie świat, w którym znowu ledwie istnieje świadomość własnego „ja”, a kiedy już istnieje, jest piętnowana; gdzie wszyscy

w większości są tacy jak John Lee, bardziej postaciami napisanymi przez kogoś innego niż wolnymi jednostkami w naszym rozumieniu przymiotnika i rzeczownika.

Pan Ayscough wstaje od stołu i przesuwa się koło trzech mężczyzn stojących przy drzwiach – albo raczej, mówiąc dokładnie, stara się prześliznąć, ponieważ jest niższy nawet od Wardleya, i przypomina karłowatego kogucika, który wszak udaje prawdziwego angielskiego koguta-bojownika, takiego z ringu na tylnym podwórzu gospody. W każdym razie patrzy na twarze trzech mężczyzn, dając im do zrozumienia, że został bardzo niewłaściwie potraktowany. Protokolant gestem ręki nakazuje przybyłym iść za swoim zwierzchnikiem, co czynią posłusznie, a sardoniczny skryba zamyka pochód.

Pięciu mężczyzn udaje się do pokoju nad podwórzem gospody. Prawnik podchodzi do okna, staje do nich plecami, ręce krzyżując pod rozcięciem surduta z tyłu, i patrzy na pograżony w mroku dziedziniec. Rebeka stoi przy łóżku, jakby w pośpiechu się z niego poderwała, najwyraźniej zdumiona tą uroczystą delegacją. Podobnie jak oni nie robi żadnego gestu, żeby ich powitać. Następuje chwila niezręcznego napięcia tak charakterystyczna dla tego rodzaju spotkań. Pierwszy odzywa się Wardley:

– Siostrze, ten człowiek wbrew woli zmusił cię do spędzenia tutaj dzisiejszej nocy.

– To nie jest wbrew mojej woli, bracie Wardley.

– On nie miał do tego żadnego prawa. Nie jesteś o nic oskarżona.

– Zobowiązało mnie do tego moje sumienie.

– Czyś pytała o radę Jezusa Chrystusa?

– On powiada, że jestem do tego zobowiązana.

– Czy nie byłaś źle traktowana, zważywszy na twój stan zarówno ciała, jak i ducha?

– Nie byłam.

– Czy ten człowiek nie próbował cię oderwać od twojej wiary?

– Nie.

– Czy jesteś tego pewna?

– Tak. Jestem pewna.

– Czy nie powiedział ci, że musisz powiedzieć pewne rzeczy, bo w przeciwnym razie będziesz z tego powodu cierpieć?

– Nie.

– Nie bój się, gdyby szydził z ciebie albo w jakiś sposób próbował cię oderwać od światła, siostró. Mów całą prawdę, nie tylko Chrystusową prawdę.

– Mówiłam i będę mówić.

Wardley wyraźnie jest zaskoczony jej spokojem. Pan Ayscough nadal wygląda przez okno, można sądzić, że teraz czyni to częściowo, by ukryć twarz.

– Czy jesteś pewna, że to, co robisz, jest najlepsze w Chrystusie?

– Jak najbardziej pewna, bracie.

– Będziemy się z tobą modlić, siostró.

W tym momencie Ayscough odwraca się gwałtownie.

– Możecie się za nią modlić, ale nie z nią. Słyszeliście sami, że nie zrobiłem jej żadnej krzywdy, czy to wam nie wystarczy?

– Będziemy się z nią modlić.

– Nie, nie będziecie, mój panie. Macie prawo pytać ją o to, co istotne, ale wspólna modlitwa nie należy do meritum. Nie pozwalam na nią.

– Przyjaciele, będziecie świadczyć o tym. Modlitwa została określona obraźliwym słowem.

Protokolant, który stoi za trzema mężczyznami, robi krok w przód i chwyta za ramię najbliższego mężczyznę, to jest ojca Rebeki, chcąc go skłonić do wyjścia. Wtedy Hocknell jak oparzony odwraca się i silnie ujmuje go za nadgarstek niczym imadłem, patrząc przy tym gniewnie na urzędnika.

– Nie dotykaj mnie, ty... ty diable.

Wardley kładzie dłoń na ramieniu Hocknella.

– Uspokój swój słuszny gniew, bracie. Przyjdzie czas, że i oni zostaną osądzeni.

Hocknell patrzy przez chwilę na krawca, niezbyt chętny go posłuchać, ale w końcu puszcza rękę urzędnika.

– To tyrania. Nie mają prawa zabraniać modlitwy.

– Jesteśmy wśród niewiernych, bracie.

Hocknell spogląda na swoją córkę.

– Córko, uklęknij.

Po tym nagłym rodzicielskim rozkazie następuje cisza. Rebeka ani drgnęła, również nieruchomo stoją obaj mężczyźni, zapewne sądząc, iż byłoby poniżej ich godności uklęknąć, nim ona to uczyni. Jej wpatrzony w podłogę mąż jest jeszcze bardziej nieszczęśliwy niż przedtem. Wardley spogląda gdzieś poza nią. Ona

tymczasem podchodzi do ojca z uśmiechem mówiąc:

– We wszystkim jestem twoją córką. Nie obawiaj się, nie złamię się ponownie. Teraz jestem córką Chrystusa. – I dodaje: – Proszę cię, ojczy, odejdz w pokoju.

Trzej kwakrzy stoją w milczeniu, zastanawiając się, czy kobieta może lub powinna decydować w takiej sprawie. Patrzą na jej ładną twarz, na której maluje się prostota, zrównowazenie, ale także i namysł. Sceptyk albo ateista mógłby w tym dopatrzeć się pogardy dla nich, nawet dla ich płci, ale myliłby się. Czują litość, a nie pogardę, i w żaden sposób nie wątpiła w istotę swej wiary. Aż do tej chwili Ayscough sprawia wrażenie całkowicie obojętnego, teraz jednak zaczyna uważnie obserwować Rebekę. Wreszcie to Wardley przerywa impas:

– Więcej miłości, siostró. Niech duch Chrystusa będzie z tobą.

Młoda kobieta śmiało patrzy w nadal gniewne oczy ojca.

– Więcej miłości, bracie – mówi.

Bierze jego rękę w dłoń i unosi do ust. Zapewne jest to ukryta aluzja do minionego zdarzenia, jakiegoś dawniejszego poskromienia jego wybuchowego temperamentu. Nie wygląda na ułagodzonego i szuka w jej spokojnych oczach i lekkim uśmiechu odpowiedzi na pytanie, dlaczego ona zna jego, ale on nie zna jej. Przypomina człowieka, któremu w późnej fazie życia pokazano przebłysk czegoś, czego nie zaznał przedtem: lekkości, czułości, ostatnie echo jej poprzedniego życia, oddalonego o tysiąc mil od solidnego drewna i moralnych ocen wedle kątnika. Ale nie ma cienia tych uczuć, kiedy odwraca się do swego męża. Bierze jego obie ręce w dłonie, ale ich nie całuje, nie składa też pocałunku na jego twarzy. Mimo złączonych uściskiem rąk wymieniają takie spojrzenia, jak ludzie sobie obcy.

– Mów prawdę.

– Tak, mężu.

I to wszystko. Wychodzą, a wraz z nimi protokolant. Ayscough zostaje sam z Rebeką, nadal patrząc na nią. Zmieszana, prawie zawstydzona, skromnie spuszcza wzrok. Przez dłuższą chwilę obserwuje ją, po czym nagle, bez słowa, wychodzi. Drzwi zamykają się, słyhać zgrzyt przekręcanego w zamku klucza, Rebeka nasłuchuje jego oddalających się kroków, potem podchodzi do łóżka i klęka. Oczy ma otwarte, usta pozostają nieruchome. Po chwili wstaje i kładzie się na łóżku. Dłońmi zaczyna gładzić ledwie zaokrąglony brzuch, unosi głowę, żeby nań spojrzeć, potem opada na poduszkę i uśmiecha się o wiele weselej niż poprzednio.

Dziwny to uśmiech, dziwny w swej niewinności. Nie przejawia ani próżności,

ani dumy, zadowolenia, że dobrze zapanowała nad sytuacją, żadnego śladu reakcji na niezręczną sztywność jej trzech braci w Chrystusie. Ten uśmiech wyraża wewnętrzną głęboką pewność, nie taką, na jaką zasłużyła, ale jaka jej została dana, jest w niej obecna poza jej wolą. Rebeka dzieli jedną rzecz ze swoim mężem oprócz wspólnej wiary, ona także ma bardzo niewyraźne poczucie tego, co określa i jest w naszych czasach wspólne dla ego każdej jednostki. Uśmiecha się, ponieważ łaska Chrystusa po raz pierwszy obdarzyła ją darem proroctwa: wie, że dziecko w jej łonie będzie dziewczynką. Dziś powiedzielibyśmy: po prostu odkryła, że chce, by tak było, i dlatego całkiem nie rozumie, co naprawdę czuje. Jej uśmiech nie jest uśmiechem osobistej wiedzy i zachwycenia tym. To uśmiech kobiety, która posłyszała zwiastowanie, teraz zapisane.

Przesłuchanie i zeznania

JAMESA WARDLEYA,
które złożył bez przysięgi
czwartego dnia października,
w dziesiątym roku panowania naszego Władcy,
Jerzego Drugiego, z Bożej łaski Króla Wielkiej Brytanii
i Anglii etc.

Nazywam się James Wardley. Z zawodu jestem krawcem. Urodziłem się w roku 1685, w Bolton nad rzeką Moor w tym kraju. Jestem żonaty.

PYTANIE: Słuchaj, Wardley, godzina jest późna, a moja sprawa z tobą krótka. Nie mam zamiaru dyskutować tutaj na temat twojej wiary, chcę tylko ustalić pewne fakty, które dotyczą Rebeki Lee. Czy ją zaliczasz do swojej trzody, zgromadzenia czy jak to nazywasz?

ODPOWIEDŹ: Nie jestem ani biskupem, ani plebanem, żeby liczyć dusze jak skąpiec swoje gwinee. Żyjemy we wspólnocie. Ona jest siostrą i wierzy w to, w co ja wierzę.

P: Wykładasz doktrynę francuskich przodków, czyż nie tak?

O: Uczę prawdy, że ten świat jest bliski końca z powodu swego grzechu i że Jezus Chrystus powróci, żeby ponownie go odkupić. I że każdy, kto okaże swoją wiarę w Niego i żyć będzie Jego światłem, zostanie zbawiony. A wszyscy inni będą na wieki potępieni.

P: Potępieni będą ci wszyscy, którzy nie pójdą w twoje ślady?

O: Ci wszyscy, którzy pójdą za antychrystem, który rządzi, od kiedy skończył się pierwszy Kościół apostołów, i którzy nie słuchają słowa Pańskiego ukazanego dzięki łasce proroctwa.

P: Powiadasz, że cała religia od tego czasu to antychryst?

O: Sto lat temu przyszli Przyjaciele. Wszyscy inni są opętani przez wielkie „ja” diabła. Odejdź wielkie „ja”, i nie wracaj więcej. Tak mówimy.

P: Czy wierzycie w predestynację tak jak kalwini?

O: Nie, Bóg też w to nie wierzy.

P: Co w niej jest fałszywego?

O: Wedle predestynacji człowiek nie może się zmienić w żyjącym Chrystusie,

ani zwalczyć ciała i przekreślić grzechu, jeśli zechce, jak powinien to uczynić.

P: Czy tę doktrynę wywodzicie z Biblii?

O: Z wyjątkiem tego, że jeśli człowiek ponownie się nie narodzi, nie będzie mógł zobaczyć Królestwa Bożego. Ta księga jest dobrym świadkiem i źródłem mądrości, ale to nie wszystko.

P: Jak to? Czy to nie jest święta i niezawodna prawda?

O: My mówimy, że została napisana przez dobrych i świętych ludzi. Oni dzięki światłu nie kłamali. W niektórych sprawach takie było wówczas ich zrozumienie, ale nie jest to niezachwiana prawda. To są tylko słowa. Pan nasz nigdy nie był przywiązany do słów, ani do Księgi, swego ostatniego testamentu, wedle którego On jest teraz martwy, co jest nikczemną herezją szerzoną przez antychrysta, tak więc grzesznicy mogą grzeszyć w większym spokoju. On nie umarł. On żyje. On widzi wszystko i wkrótce przyjdzie do nas.

P: Słyszałem, że nie wierzycie w Trójcę Świętą.

O: Ona się składa wyłącznie z męskich elementów, a ponieważ kobieta nie ma w tym udziału, my w nią nie wierzymy.

P: Czyż nie jest bluźnierstwem głosić, że Chrystus może przyjść ponownie w postaci kobiety?

O: Jakież w tym bluźnierstwo? Pierwszym i największym grzechem było cudzołóstwo Adama i Ewy, którzy oboje tak samo byli winni. Mężczyzna i kobieta, którzy wyszli z ich lędźwi, mogą być oboje zbawieni i oboje mogą zbawiać. Oboje mogą być na podobieństwo Chrystusa, i będą.

P: Czy wierzysz, że będzie Go można zobaczyć na naszym świecie, choć nadejdzie z nieba?

O: Chrystus nie jest tajemnicą. Obecny stan świata udziela panu odpowiedzi. On byłby widzialny, gdyby nie było tak, jak jest, gdyby nie było ślepoty i zepsucia.

P: A co ze Świętą Matką Mądrości?

O: Kim ona jest?

P: Czyż nie tak nazywacie Ducha Świętego?

O: Nie.

P: Czy słyszałeś taką nazwę?

O: Stanowczo temu zaprzeczam.

P: A czy nieba, nieskończonego życia, nie nazywacie Wiecznym Czerwcem?

O: Zawsze sprzedaje się więcej jajek zepsutych niż dobrych, proszę pana. Niebo

nie ma żadnej określonej pory roku, to może być nie tylko czerwiec, ale każdy inny miesiąc.

P: Czy wyrzekacie się wszelkich cielesnych uciech?

O: Cielesna natura jest siedzibą antychrysta, tam my nie wkraczamy. Nas z jej więzów wyzwala czystość, nic innego. Tak mówimy i tak staramy się żyć.

P: A teraz ostatnie pytanie: czy wedle waszej wiary ciało naprawdę wierzących przeżyje śmierć?

O: Wszystko ciało jest zepsute, zarówno tych, co mają światło, jak tych, którzy go nie mają. Tylko duch zmartwychwstanie.

P: Czy nauki pochodzą tylko od ciebie, czy od tych, którzy nazywali siebie francuskimi prorokami?

O: To pan sam musi osądzić. Powinien pan przeczytać Missona i Eliasza Mariona, i Tomasza Eamesa, który odszedł do Pana przeszło trzydzieści lat temu, także sir Ryszarda Bulkeleya. Mieli oni wpływ na Johna Lacy'ego, który do dziś dnia żyje w tym kraju, a liczy sobie teraz siedemdziesiąt dwa lata i świadczy o prawdzie dłużej niż ja.

P: No, dobrze, wracajmy do mojej sprawy. Czy jesteś przekonany, że Rebeka Lee wierzy tak samo jak ty i ci, których wymieniłeś?

O: Tak.

P: A może robi to tylko z woli swego męża albo ojca, żeby się obu albo choć jednemu przypodobać? Przecież to się często zdarza we wszystkich religiach, nie tylko twojej.

O: Ona wyznaje naszą religię, kierując się własnym sumieniem. Wypytałem ją sam w tej materii, także moja żona, która ją zna lepiej.

P: Czy znasz jej przeszłość? Czy wiesz, że była prostytutką w Londynie?

O: Odpokutowała to.

P: Pytam ponownie, czy jesteś świadom jej przeszłego życia?

O: Rozmawiałem o tym z moimi braćmi, z moją żoną i naszymi siostrami i mamy nadzieję, że będzie zbawiona.

P: Jedynie nadzieję?

O: Zbawiać będzie tylko Jezus podczas Sądu Ostatecznego.

P: Czy wierzysz w to, iż ona szczerze żałuje swego minionego życia?

O: Jak najbardziej szczerze, gdyż pragnie zbawienia.

P: A czy naprawdę wierzy w to co wy? Może udaje fanatyzm?

O: Nie odpowiem panu na to. Przyszedłem w pokoju.

P: Czyż nie opuściłeś kwaków z powodu sprawy pokoju, przecież urodziłeś się kwakrem.

O: Urodziłem się przyjacielem prawdy i takim umrę, ale z tą różnicą, chwała niech będzie Panu, że muszę walczyć o słowo Chrystusa. A ja nie uważam, że wrogowie Chrystusa nic mnie nie obchodzą, jak oni mają w zwyczaju. Jeśli ktoś mi zaprzeczy w sprawach ducha, ja mu w odpowiedzi też zaprzeczę.

P: Czy jest prawdą, że usunięto cię z ich tutejszego domu modlitwy?

O: Mogę tam nadal chodzić, jeśli będę milczeć. To tak jakby człowiekowi pozwolono chodzić, pod warunkiem że chodzić będzie w kajdanach. Ja jednak nie będę tak czynił ze względu na Jezusa Chrystusa, mego Pana.

P: Podobno dwa lata temu zostałeś siłą usunięty z ich zebrania?

O: Ja prorokowałem Jego przyjście, a oni nie mogli tego znieść i nie chcieli słuchać.

P: Czyż nie powiedziałeś, że autorytet świecki nie jest dla takich jak ty, którzy siebie nazywają prawdziwymi chrześcijanami? I że świecki autorytet był przykładem grzechów, z powodu których nasz świat został potępiony.

O: Powiedziałem, że nie można tego znieść, kiedy świecki autorytet zmusza nas do występowania przeciwko nam samym i przysięgania przeciw naszemu sumieniu. Nie powiedziałem, że w innych rzeczach nie należy go słuchać. Czy znalazłbym się tu przed panem, gdybym mówił inaczej?

P: Powiedziano mi, że chcesz, by wspólnie korzystać z wszelkiego bogactwa i własności, i że o tym mówiłeś.

O: Ja przepowiadałem, że kiedy zadość się stanie zemście Boga, tak będzie wśród tych, którzy zostaną zbawieni. Nie powiedziałem, że to się ma stać teraz.

P: Czy utrzymujesz, że świat byłby lepszy, gdyby tak się stało?

O: Podtrzymuję, że świat byłby lepszy, gdyby tak się stało, i tak się stanie dzięki woli Boga.

P: Czy świat stanie się lepszy, jeśli zostanie przewrócony na nitce?

O: Chrystus tego dokona. To najlepsza rękojmia.

P: Powodując rebelie i zamieszki, czyż nie tak?

O: Pan nie ma na to dowodu, zresztą nie ma go.

P: Ilu was jest, tych francuskich proroków?

O: Czterdziestu, może pięćdziesięciu i trochę w Bolton, tam, gdzie się

urodziłem. Również w Londynie jest kilku.

P: A więc nie jesteście zbyt mocni?

O: Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka. Chrystus miał mniejszą garstkę, kiedy zaczynał.

P: To nie dowodzi, że nie bierzesz udziału w buntowniczej rebelii, jesteście zbyt słabi, żeby miała się powieść. Co byłoby, gdybyście byli silniejsi?

O: Pan mnie nie złapie w sidła swoich podstępnych przypuszczeń, panie Ayscough. Jesteśmy posłuszni prawu cywilnemu we wszystkich cywilnych kwestiach, nikogo nie krzywdzimy. Tak, wywołalibyśmy rebelię przeciwko grzechowi, z mieczem w rękę zaatakowalibyśmy grzech, ale to byłoby ratowanie duszy. Prawo tego nie zabrania. A kiedy będziemy silni, nie będzie żadnej rebelii, bowiem wszyscy zobaczą, iż żyjemy w Chrystusie, i przyłączą się do nas. Wtedy zapanuje pokój i prawdziwy szacunek wśród ludzi.

P: Przecież prawo żąda posłuszeństwa wobec Kościoła chrześcijańskiego oraz jego autorytetu, czyż nie tak?

O: Tak. Katolicyzm też kiedyś był religią panującą.

P: A więc powiadasz, że protestantyzm i panująca w naszym królestwie religia jest takim samym złem i zepsuciem jak rzymski katolicyzm?

O: Ja powiadam, że wszystkie kościoły tworzą ludzie. Ludzie z racji swej cielesności rodzą się zepsuci. Ja nie mówię, że wszyscy ludzie w Kościele anglikańskim są zepsuci. Może czytał pan *Poważne wezwanie*. Nie uważam tego, który to napisał, Williama Law, duchownego w pańskim Kościele, za złego człowieka, dlatego że on każe się wstydzić większości waszych plebanów, ponieważ jak krety są ślepi na Chrystusowe światło.

P: A więc twierdzisz, że nie mają kwalifikacji, by pełnić swoją służbę? Przecież to wyraźna zachęta do buntu przeciw nim. Podobnie nasi przodkowie w zeszłym stuleciu popadli w błędy i nietolerancję. Nie tylko twoje słowa cię potępiają, lecz także historia.

O: To, co pan mówi, też pana potępia, jeśli pan poprze kogoś na jakieś stanowisko, mimo że jest zły albo ślepy. Dzięki takiemu rozumowaniu można uważać, że diabeł jest dobry. Z pewnością nie kupi pan mięsa u złego rzeźnika ani nie pójdzie do kogoś z mojej profesji, kto źle szyje. Ale pan nie będzie mieć wyrzutów sumienia, słuchając, że słowo Chrystusa zostało zdradzone, sfalszowane przez byle chłystka. BOWIEM JEŚLI MA ODPowiedni strój i za swoim nazwiskiem ma długi jak psi ogon rząd

dużych liter, może upijać się, łąjdaczyć, może robić, co zechce, bo się nadaje do tego.

P: Czy taki jest twój pokój i szacunek dla ludzi? Pan Fotheringay dowie się o tym.

O: Czy to nie pan dyskutuje ze mną na temat mojej wiary? Na dobre wyszłaby i jemu taka dyskusja.

P: Dość tego. Zapewniam cię, że dowie się o tym. Czy ta kobieta, Rebeka Lee, prorokowała na waszych zebraniach?

O: Nie.

P: Czy kiedykolwiek, publicznie albo prywatnie, mówiła o pobudkach, które doprowadziły ją do tej nagłej pobożności?

O: Powiedziała tylko, że ciężko grzeszyła i że bardzo boleje nad swym dawnym życiem.

P: Czy nie mówiła, co konkretnie skłoniło ją do tej przemiany?

O: Nie mówiła.

P: W żadnym czasie, w żadnym miejscu?

O: Nigdy i nigdzie.

P: Ani o innych osobach?

O: Nie.

P: Jesteś pewien?

O: Ona jest nieśmiała, tak jak powinno być, i żyje teraz w Chrystusie albo będzie żyć w Nim.

P: Co znaczy, że będzie żyć? Czy nie jest jeszcze całkowicie przekonana?

O: Ona jeszcze nie doszła do prorokowania. Ten dar otrzymuje się dzięki łasce Chrystusa, o co się modlimy.

P: Żeby mogła gadać brednie jak najlepsi spośród was?

O: Być może otrzyma błogosławiony dar światła i mówienia o nim, jaki otrzymała moja żona oraz inni.

P: Czy nadal tego nie potrafi?

O: Jak dotąd nie prorokowała jeszcze.

P: A może ona was oszukuje?

O: Czemu miałyby oszukiwać?

P: Może udaje, że nie jest już tym, kim była, a w głębi serca pozostała nie zmieniona.

O: Ona żyje dla Chrystusa, a więc pewnego dnia będzie żyć w Chrystusie. Oboje

z mężem są bardzo biedni, on nie zarabia nawet na ich utrzymanie. Dlaczego miałyby udawać, że tak nędznie żyje, kiedy mogłyby żyć gdzie indziej w luksusie?

P: Nie pomagasz im?

O: Pomagam, kiedy mogę, a jej bracia i siostry w Chrystusie także pomagają im.

P: Czy ta wasza dobroczynność to coś specjalnego, czy dajecie wszystkim w potrzebie?

O: Wszystkim. Bo tak mówił George Fox⁷ i błogosławieni pierwsi bracia, że ciało, ten przybytek duszy, musi być dobrze nakarmione i ubrane, by światło prawdy mogło przeniknąć do duszy. I powiem panu, dlaczego to mówili, bowiem wokół siebie widzieli, że większość ludzi żyje w nędzy, gorzej niż zwierzęta, i widzieli również, że ci, którzy mogliby i powinni im pomóc, mając sami dla siebie i swoich rodzin w nadmiarze ubrania i jedzenia, nic nie robili w tym kierunku, powodowani egoizmem i chciwością. Mówili dalej, że ten brak litości śmierdzi jak padlina w nozdrzach Chrystusa i przyczyni się do potępienia tych, którzy tak są ślepi. Może pan nas nazywać buntownikami, proszę bardzo, bowiem w tym jesteśmy buntownikami, i uważamy, że nasze dawanie jest najlepszym odbiciem prawdziwej wspólnoty Jezusa Chrystusa. Niech pan nas nazywa buntownikami, Jego także może pan tak nazwać.

P: Chrystus dawał powodowany współczuciem. W waszym przypadku tak nie jest. Wy dajecie, żeby przekupywać tych, którzy nie mają właściwego rozeznania swojej sytuacji.

O: Czy słuszną sytuacją jest przymieranie głodem i chodzenie w łachmanach? Dlaczego pan nie pójdzie na tę ulicę, gdzie mieszka nasza siostra? Nie ma pan oczu?

P: Mam oczy i widzę, że ukryta za waszymi plecami ma się nieźle w tym nędznym mieście.

O: Tak dobrze ukryta, że ją pan znalazł.

P: Szukaliśmy jej wiele miesięcy.

O: Proszę, mam przy sobie gwineę, którą wczoraj dostałem za uszycie dwóch ubrań. Niech pan dołoży jedną gwineę od siebie, a pójdę na Toad Lane i dam tym,

⁷ George Fox (1624-1691), angielski przywódca i założyciel religijnego Stowarzyszenia Przyjaciół. Początkowo terminator szewski. Od młodości szukał duchowego natchnienia. W 1647 roku zaczął głosić swe „przekonania”, które przepełniły jego życie światłem. Prześladowany za głoszone nauki w latach 1649-1675 osiem razy był skazany na więzienie. Szczerłość, odwaga i pogoda ducha zyskały mu dużą popularność. W roku 1671, żeby umocnić w wierze swych zwolenników, odbył podróże do Ameryki, do Nowej Anglii i Płd.

którzy pańskim zdaniem są w dobrej sytuacji, a jednak przymierają głodem i żyją gorzej niż żebracy. Jak to, nie chce pan? Nie wierzy pan w miłosierdzie?

P: Nie w takie miłosierdzie, które prowadzi do najbliższego sklepu z dzinem.

O: Jutro też pan nie pójdzie. O, pan jest ostrożnym człowiekiem. A czyż Jezus Chrystus nie dał za pana znacznie więcej niż jedną gwineę? Czy pan myśli, że był taki ostrożny jak pan i powiedział: Może lepiej będzie nie zbawiać tego człowieka, jest słaby, może moja krew zostanie zmarnowana w sklepie z dzinem?

P: Stajesz się bezczelny. Wypraszam sobie.

O: A zatem nie da pan tej gwinei. Jesteśmy więc kwita.

P: Powiadam, istnieje duże prawdopodobieństwo, że ona popełniła wielką zbrodnię.

O: Ona nie popełniła żadnej zbrodni, najwyżej tę, że urodziła się Ewą. Pan wie o tym równie dobrze jak ja.

P: Jest podejrzana o wielkie kłamstwo.

O: Niech pan da spokój, dużo o panu słyszałem. Ludzie powiadają, że przyzwoity z pana człowiek, choć bardzo skrupulatny w służbie dla swego pana. Może mnie pan potępiać, niech tak będzie, jestem do tego przyzwyczajony. Może mnie pan próbować złamać i tych wszystkich, którzy wierzą w to co ja, stosując wiedzę ze swoich grubych ksiąg prawniczych, które tak samo jak panujące zwyczaje oddzielają biednych od bogatych żelazną ścianą. My nigdy nie damy się złamać, może pan próbować najsprytniejszych sposobów, a to się nigdy nie stanie. Wszystkie pana różgi przemienia się w cepy do młócenia, byśmy się stali jeszcze lepszym ziarnem pszenicznym. Opowiem panu pewną historię z czasów mego ojca. Było to w roku ścieścia Monmoutha, jak również w roku moich urodzin, czyli w 1685. Chwała Jezusowi, ojciec był przyjacielem prawdy, od kiedy spotkał George'a Foxa, który po raz pierwszy wraz ze swą żoną ujrzał światło w Swarthmoor. Ojciec mój został skazany na więzienie w Bolton na skutek sfalszowanego oskarżenia, a kiedy tam przebywał, przyszedł niejaki pan Crompton, który był sędzią pokoju i miał go sądzić i napominał go, żeby naprostował swoje ścieżki i wyrzekł się wszelkich powiązań z przyjaciółmi. Ale mój ojciec nie dał się złamać w swej wierze i zaczął z takim żarem mówić o swoich przekonaniach, że wreszcie to sędzia zwątpił. Wziął mego ojca na bok i powiedział mu, że są na tym świecie dwie sprawiedliwości, wedle jednej mój ojciec był niewinny, i to była sprawiedliwość Boga, a wedle drugiej, która była sprawiedliwością ludzką,

Karoliny, dwukrotnie też jeździł do Holandii (przyp. tłum.).

jest winny. W trzy lata później ten sędzia stał się przyczyną wielkiego skandalu, gdyż zrzucił swój sędziowski łańcuch i przyłączył do nas, choć zapłacił za to wysoką cenę, gdyż utracił wiele rzeczy tego świata. A kiedy znów spotkali się, tym razem już w braterstwie, tak powitał mego ojca: Teraz na ciebie, przyjacielu, przyszła kolej mnie sądzić. Przedtem utkałem tak niedobłą sprawę, ale teraz wiem, że sprawiedliwość bez światła jest jak osnowa bez wątku i nigdy z tego nie będzie dobrego materiału.

P: Palestra wcale nie zmartwiła się jego odejściem. Naród, który nie odróżnia prawa od grzechu, jest stracony. Zbrodnia jest faktem, którego można dowieść albo nie. Grzech osądza tylko Bóg.

O: Pan jest ślepy na prawdę.

P: A ty jesteś ślepy na to, co sądzą i myślą rozsądni ludzie. Kiedy grzech staje się zbrodnią, rodzi się wielka tyrania, czego dowodem była inkwizycja wśród papistów.

O: Gładko się panu wymawia słowo inkwizycja, panie prawniku. Ludzie myślą... pewno że myślą, większość ludzi myśli. Jednak większość myśli o ziemskim życiu i o tym, co najlepiej będzie sprzyjać ich grzesznemu bytowaniu. Niewielu przejmuje się tym sądem w górze, przed którym wszyscy staną. Tam dowie się pan, ile waży grzech wobec pańskiego prawa, które jest ustanowione przez antychrysta.

P: Dość tego. Jesteś zbyt uparty, człowieku.

O: I zawsze taki będę, dopóki jestem chrześcijaninem, niech Pan nasz będzie błogosławiony.

P: Jutro ty i twoi kamraci dacie mi spokój, zrozumiano? Żaden nie będzie tu stać na dole. I ostrzegam, opanuj swój złośliwy temperament, bo w przeciwnym razie natychmiast wezwę pana Fotheringaya, który wie, jakie jest moje zadanie, i że prowadzę śledztwo w sposób słuszny i właściwy. A teraz odejdź.

Wczesnym rankiem następnego dnia Rebeka zostaje wprowadzona przed oblicze Ayscougha do tego dużego pokoju, w którym była poprzednio, a w którym znajduje się masywny, na obłych nogach siedemnastowieczny stół. Nie jest to przerobiona sypialnia, ale pokój wedle potrzeb gospody, używany czasem jako jadalnia, pokój klubowy lub miejsce prywatnych spotkań. Krzesło przygotowane dla Rebeki dzieli sześć stóp polerowanej tafli z czarnego dębu od jej interlokutora. Ze zdumieniem patrzy, gdy on wstaje, żeby ją powitać jak jakąś damę. Co prawda, nie kłania się nisko, jakby to zrobił wobec takiej osoby, jednak patrzy na nią i kiwa z uznaniem głową, a następnie gestem wskazuje, gdzie ma usiąść. Szklanka z wodą już jest dla niej naszykowana, jak widać przewidziano, że może mieć pragnienie.

– Czyś odpoczęła dobrze, przestałaś pościć?

– Tak.

– Nie masz żadnych skarg co do pokoju.

– Nie.

– Możesz usiąść.

Rebeka siada, on stoi nadal. Odwraca się do Johna Tudora, który już zasiadł u szczytu stołu, i robi szybki gest ręką: nie należy zapisywać tego, co będzie powiedziane teraz.

– Muszę cię pochwalić za twoje wczorajsze zachowanie, że nie uległaś podstępным machinacjom Wardleya i twojego ojca. Dałaś tym dobry przykład.

– Oni nie chcieli źle.

– Co do tego, nie zgadzam się. Nieważne, pani Rebeko. Boski ojciec może się różnić we wszystkim od ojca ziemskiego. Ale jeśli idzie o stratę syna, są oni tacy sami, i zasługują na nasze względy. Czyż nie tak?

– Powiedziałam wszystko, co wiem.

Ayscough patrzy z góry na te niewzruszone dotąd oczy, teraz zdumione zmianą jego postawy. Po ostatniej odpowiedzi przekrzywia nieco głowę w peruce na swój charakterystyczny sposób, jakby oczekiwał, że ona powie coś więcej. Lecz Rebeka milczy, podchodzi więc do okna i zamyślony wygląda na ulicę, potem znów się do niej odwraca.

– Pani Rebeko, my prawnicy musimy być skrupułami. Musimy zbierać pokłosie z naszej roli bardziej dokładnie niż inni ludzie, musimy zachować najmniejsze ziarno prawdy, tym staranniej, kiedy go brak. Muszę zadać pewne

pytania, które pani obecnie może uznać za obraźliwe.

– Proszę pytać. Nie zapomniałam, że kiedyś grzeszyłam.

Ayscough wpatruje się z uwagą w wyczekującą nieustępliwą twarz wyraźnie widoczną w świetle okna.

– Moja pani, nie będę powtarzał opowiadania, które usłyszałem wczoraj, gdyż zapewne jest ono świeże i w twojej pamięci. Jeśli po dzisiejszej nocy, kiedy miałaś czas, żeby się zastanowić, chciałaś teraz zmienić swoje zaprzysiężone zeznanie, nie musisz się tego wstydzić. Jeśli coś zostało opuszczone, jeśli nie powiedziałaś całej prawdy z powodu swego stanu albo dla jakiejś innej przyczyny, nie poniesiesz za to żadnych konsekwencji. Na to daję ci moje słowo.

– Powiedziałałam całą prawdę.

– Wedle najlepszej swej wiary, wszystko tak, jak było?

– Tak.

– Jego Lordowska Mość został przeniesiony do nieba?

– Tak.

– Pani Rebeko, wolałbym, żebyś powiedziała nie, bardzo bym chciał. Pamiętaj, że mam nad tobą przewagę. Znałaś Jego Lordowska Mość zaledwie miesiąc i to w niecodziennych okolicznościach, jak sama przyznałaś. Ja go znam od wielu lat. Niestety, ten, którego ja znałem, jest zupełnie inny od tego, którego tyś opisała.

Rebeka nie odpowiada, Ayscough chwilę czeka, po czym mówi dalej:

– Opowiem ci o nim w wielkim zaufaniu. Atencja, jaką cię darzył, zdumiałaby jego własną rodzinę i krąg znajomych, bowiem uważano go za najbardziej opornego człowieka wobec twojej płci. Nazywano go Biednym Johnem. Przypominał raczej zdechłą rybę niż mężczyznę z krwi i kości. W minionych latach nie okazywał najmniejszego szacunku dla Kościoła anglikańskiego, mimo swego wysokiego pochodzenia. Nigdy nie widziano go w kościele. Mogę uwierzyć w to, że pragnęłaś porzucić swoje dawne życie i chętnie zgodziłaś się na jego propozycję, która mogła ci w tym dopomóc, bardzo dobrze. Jego Lordowska Mość okazał ci pomoc, mimo że byłaś zwykłą ulicznicą, na którą nigdy przedtem nawet by nie spojrział. Stało się to dopiero na miesiąc przed waszym wyjazdem. W to, klnę się na swoje życie, wprost nie mogę uwierzyć.

Znowu czekał na jej odpowiedź, lecz Rebeka nadal milczała. Wrócił więc do swego fotela przy stole, ona ciągle patrzyła na niego. Może łudził się, że intensywność jej wzroku osłabnie, złagodnieje, ale tak samo jak przedtem wyrażał on dziwną

mieszaninę pokory i stanowczości, jakby była głucha na wszelkie rozsądne argumenty. Ciągnął więc dalej:

– Muszę też powiedzieć jeszcze o czymś, w co trudno mi uwierzyć. Mianowicie, że zostałaś sprowadzona do ważnego ongiś miejsca pogańskich obrzędów, żeby spotkać naszego Pana, Jezusa Chrystusa, i jego Ojca, w całkiem niepobożnych okolicznościach, a potem... do tej jaskini, co jest jeszcze bardziej nieprawdopodobne. Nie wierzę też w zwykłych rzemieślników i stolarzy, którzy zostali przemienieni w bóstwa, ani nie wierzę w tę kobietę, która według ciebie, miała być Duchem Świętym, a która, jak powiedział mi Wardley, w ogóle nie jest znana wśród waszych proroków, podobnie jak nie znany jest wam Wieczny Czerwiec. Pani Rebeko, nie jesteś głupią kobietą, jesteś kobietą bywałą w świecie. Czy gdybyś usłyszała taką historię, jaką opowiedziałaś mi, od kogoś innego, czy nie zwątpiłabyś w rozum własny albo opowiadającego? Czy nie zawołałabyś: Nie mogę i nie chcę wierzyć w tak absurdalną i bluźnierczą opowieść, która została wymyślona po to, żeby oszukiwać i mamić i odciągać od właściwej prawdy?

Rebeka nadal nie odpowiadała, tylko patrzyła na niego, choć oczywiście powinna była teraz jakoś zareagować. Jednak nastąpiło to, co wielokrotnie zdarzało się podczas przesłuchań. Zazwyczaj odpowiadała bardzo wolno. Nie sprawiała wrażenia, że szuka słów, waha się i jest zakłopotana, jej zachowanie sugerowało, że najpierw musi mieć przerwę, by przetłumaczyć sobie słowa Ayscougha z obcego języka i dopiero wtedy może dać odpowiedź. Całkiem brak jej było agresywnej szybkości i precyzji Wardleya, zdolności riposty; wydawało się, że to nie ona sama udziela odpowiedzi, ale czeka, by najpierw przekazał ją jakiś tajemniczy doradca.

– Najbardziej wątpiałam, nie mogłam wprost uwierzyć, kiedy Chrystus pojawił się po raz pierwszy. Powiedziałam panu prawdę, nic więcej nie mogę dodać.

– Jesteś zbyt skromna, moja pani. Nawet Claiborne mówiła, że byłaś świetną aktorką. Czy nie przyznałaś sama, że nie mówiłaś prawdy Jonesowi? Możesz twierdzić, że byłaś zmuszona kłamać, ale nie to, że nie skłamałaś mu.

– Moje kłamstwo nie dotyczyło zasadniczych spraw.

– Znaleźć się w raj, spotkać Boga Wszechmogącego i Jego Syna, to nie jest wielka sprawa?

– Tak wielka, że nie można tego wyrazić słowami. Ja nie wiedziałam wtedy, jak to wyrazić słowami, i nadal nie potrafię tego panu przekazać. Ale tak się to odbyło, i ja mogłam zobaczyć Jezusa Chrystusa i Jego Ojca, co nappełniło moją duszę spokojem i

tak wielką radością, jakiej nie zna nikt inny.

– Bóg Wszechmogący rolnikiem, Zbawiciel kosiarzem, czy to się godzi?

– Czyż Bóg nie będzie Bogiem tylko dlatego, że nie siedzi w chwale na tronie, a Chrystus nie będzie Chrystusem, ponieważ nie jęczy na krzyżu? Aniołowie nie będą aniołami, ponieważ nie widzę ich skrzydeł, a na dodatek trzymają w dłoniach sierpy zamiast harf czy trąb? Powiadam panu, tak mnie wychowano, że uważałam wszystkie obrazy boskości za fałsz pochodzący od szatana. A to, co ujrzałam, było tylko cieniem światła, widzianym przez moje ciało, ale przez moją duszę widziałam światło, pierwszy i jedyny przedmiot mojej miłości.

– Oczami możesz widzieć, co chcesz, ponieważ wszystko, co widzisz, uważasz za fałsz. Czy nie tak?

– To, co widzę oczami, jest cielesne, nie jest daną prawdą, która pochodzi wyłącznie od światła. Patrząc cieleśnie, nie widzę mniej prawdy i fałszu niż pan, czy każdy inny mężczyzna lub kobieta.

Ayscough po tej wymianie słów znalazł się w trudnej sytuacji, choć nie okazał tego po sobie. Człowiek współczesny nie miałby cienia wątpliwości, że Rebeka kłamie lub co najmniej zmyśla. Śródziemnomorskim niepiśmiennym chłopom bogowie, z wyjątkiem od czasu do czasu Maryi Dziewicy, już się nie objawiali, nawet za czasów Ayscougha tego rodzaju wizje były związane z katolickimi szachrajstwami, czym protestanci gardzili. Jednak jego Anglia, nawet jego klasa, była bardzo daleka od współczesnych poglądów. Ayscough wierzył na przykład w duchy, choć żadnego osobiście nie widział, ale słyszał i czytał tyle opowieści na ten temat, i to nie tylko od starych kobiet i zdzieciniałych staruszków, że niektórym dawał wiarę. Duchy i zjawy nie wywodziły się z czyjejś nadmiernie wybujałej wyobraźni, one wywodziły się z bardzo prawdziwej nocy, nadal na ogół nie oświetlonej, pojawiały się w odizolowanej, wyspiarskiej Anglii, która nadal miała razem mniej mieszkańców niż jedna dzielnica współczesnego Londynu.

Ayscough z pewnością był zwolennikiem odwołania aktu o czarnoksięstwie (choć nie został on odwołany dla Szkocji) tego właśnie roku. Ponieważ jednak czarnoksięstwo kojarzył z przypadkami, o których słyszał, a nawet których był świadkiem jako młody człowiek (pławienie czarownic na specjalnym krześle) oraz z nieefektywnym prawem i na ogół wątpliwymi dowodami, nie przyjął, że nigdy nie było czarnoksięstwa, lecz raczej, że zostały ujawnione najgorsze przypadki. Nie wykluczał, że podczas jakiegoś grzesznego sabatu czarownic w odległym zakątku Devonu nadal

są uprawiane odwieczne praktyki, choć wydaje się to bardzo wątpliwe. Wyczuwał, że Rebeka ukrywa dziewięć dziesiątych swych świątobliwych wizji. Jednak nie można zlekceważyć owej jednej dziesiątej prawdy. Nigdy nie uda mu się jej ujawnić, ale ona trwa jak dokuczliwy cień w jego boku.

– Nie zamierzasz zmienić zeznań? Powtarzam, nie poniesiesz za to żadnych konsekwencji.

– Nie z powodu prawdy będę cierpieć i nic nie zmienię.

– Bardzo dobrze, moja pani, wyświadczyłem ci wielką przysługę, z czym nigdy nie spotkałabyś się w sądzie. Nie chcesz z tego skorzystać, twoja sprawa, i niech skutki tego spadną na ciebie, jeśli to, co mówiłaś, jest fałszem. A teraz zaczynamy od zaprzysiężenia. – Usiadł i spojrzał na Johna Tudora, który zajmował miejsce na krańcu stołu. – Pisz wszystko.

P: Wróćmy zatem do twego widzenia, mimo że wszelkie słowa mogą być fałszem. Czy jesteś pewna, że nigdy przed przybyciem Jego Lordowskiej Mości do domu madame Claiborne nie widziałaś go?

O: Nie, nie widziałam.

P: Nie słyszałaś, żeby ktoś o nim mówił?

O: Nie.

P: Czy twoje usługi często były zamawiane z góry?

O: Tak.

P: Czy było też tak w przypadku Jego Lordowskiej Mości?

O: Był zapisany w księdze madame Claiborne przy moim nazwisku jako przyjaciel lorda B.

P: Z jakim wyprzedzeniem zostało to wpisane?

O: Ona nic mi o tym nie powiedziała, uprzedziła dopiero owego dnia rano, kiedy on przyszedł.

P: Czy zawsze tak zwykła czynić?

O: Tak.

P: Czy widziałaś, co było zapisane, czy tylko ona ci to przeczytała?

O: Nie wiedziałam, kim jest, dopiero później się dowiedziałam, już to mówiłam.

P: Czy wychodziłaś na miasto? Na rauty, na tańce, do teatru, może gdzie indziej?

O: Czasami, ale nigdy sama.

P: Więc jak?

O: Wychodziłyśmy, żeby zarzucić sieci, ale zawsze z madame i jej obstawą.

P: Co to znaczy zarzucić sieci?

O: Żeby złowić klientów. Tym, którzy się skusili i chcieli się z nami spotkać, odpowiadano, że owszem mogą się spotkać, ale tylko w burdelu.

P: Czy ty albo twoje towarzyszki zbierałyście prywatne zamówienia?

O: Gdyby się wydało, że oszukujemy madame, zostałybyśmy ukarane.

P: Jak?

O: Musiałybyśmy zjeść wieczerzę z mężczyznami z obstawy. Tak to się nazywało. A potem zostałybyśmy ukarane jeszcze gorzej. Takie były u niej zasady. Lepiej umrzeć niż uczestniczyć w tej wieczerzy, mówiłyśmy między sobą.

P: Czy zostałaś kiedy tak potraktowana?

O: Nie, ale wiedziałam, które z dziewcząt były tak ukarane.

P: A jednak bywałaś w publicznych miejscach, czy właśnie wtedy mógł cię zobaczyć po raz pierwszy Jego Lordowska Mość?

O: Może mnie zobaczył, ale ja go nie pamiętam.

P: A Dick?

O: Dick też nie.

P: A kiedy się spotkaliście, czy Jego Lordowska Mość nigdy nie wspominał, że cię widział przedtem? Że długo szukał okazji, żeby się z tobą spotkać?

O: Nie.

P: A czy mógł o tobie słyszeć? Czy mówiono o tobie w mieście?

O: Niestety, tak.

P: A teraz powiedz, czy nigdy nikomu nie zwierzyłaś się, że bolejesz nad swoim losem i chciałabyś go odmienić?

O: Nie.

P: Może zwierzyłaś się którejś z koleżanek?

O: Nie ufałam żadnej, nikomu nie ufałam.

P: Czy wytrwałość Jego Lordowskiej Mości po tym, jak się spotkaliście, kiedy nie zaznał z tobą normalnej przyjemności, nie wydawała ci się dziwna?

O: Zdawało mi się, że jakąś przyjemność czerpał z nadziei.

P: Czy nie dał do zrozumienia, że zostałaś wybrana dla celu innego niż owa rzekoma nadzieja?

O: Nie, nigdy.

P: Czy interesował się twoją przeszłością?

O: Zadał tylko kilka pytań.

P: Nie wypytywał cię o twoje życie w burdelu? Na przykład, czy nie jesteś zmęczona nim?

O: Pytał o to, ale nie czy jestem zmęczona, choć większość mężczyzn o to pyta. Przede wszystkim oni się boją własnego grzechu.

P: Co to znaczy?

O: Czy dobrze jest, jak człowiek boi się swego grzechu, ale jednak nadal grzeszy. Niektórzy przezywają nas od łajdaczek i jeszcze gorzej, kiedy są u szczytu swej żądzy, inni mówią do nas imionami tych kobiet, które kochają, tak, nawet swoich żon i, niech Bóg mi wybaczy, matek, córek, sióstr. A inni milczą jak zwierzęta, jak te kobiety, które wykorzystują. Wszyscy, którzy żyją tylko cielesnymi uciechami, są potępieni, ale nie te kobiety najbardziej.

P: Czy chcesz powiedzieć, że ci wszyscy, którzy zachowują się jak najgorsze zwierzęta, mają być mniej obwiniani niż ci, którzy grzeszą świadomi swej winy?

O: Bóg jest teraz, albo Go nie ma.

P: Nie rozumiem, moja pani.

O: On sądzi ludzi, takimi jakimi są, a nie jakimi być powinni, i najbardziej potępia nie tych, którzy nie znają nic lepszego, ale tych, którzy znają.

P: Jak widzę, Bóg postanowił okazać ci przychylność, jeśli idzie o te sprawy.

O: Jaką krzywdę wyrządziliśmy panu, panie Ayscough? Nie chcemy pana krzywdzić, czemu więc postanowił pan nas krzywdzić, szydzić, kiedy mówimy szczerą prawdę. Nasza wiara pochodzi od Boga, ale również w tym jesteśmy pokorni. Nie twierdzimy, że została ona tylko nam odsłonięta; nie, innym też, pod warunkiem, że nie czczą antychrysta. Powiadam raz jeszcze: ci, którzy żyją tylko cielesnymi uciechami, są potępieni, to bez znaczenia wielcy czy mali, są potępieni.

P: Wróćmy do tego, co mnie interesuje. Czy uważasz, że nim wyjechałaś z Londynu, Jego Lordowska Mość przeprowadził specjalny wywiad, żeby się upewnić, czy się nadajesz do realizacji jego zamysłu i czy jesteś gotowa porzucić dotychczasowe życie?

O: Nic o tym nie wiedziałam przed wyprawą do świątyni.

P: Może po prostu nie ujawnił tego? Czy nie sądzisz, że zostałam wybrana?

O: Zostałam zbawiona, a nie wybrana.

P: To także. Ale musiałaś być wybrana, żeby być zbawiona.

O: Nie wiedziałam wtedy ani o jednym, ani o drugim.

P: Bardzo dobrze, dajmy na razie temu spokój. Chcę wrócić do kwestii potępienia. Odpowiedz, czy mężczyzna i kobieta nie mogą czasem cieleśnie współżyć, jeśli są prawomocnie poślubieni? Dlaczego nie odpowiadasz? Czyż nie są przeznaczeni do prokreacji?

O: Nie będą żyć w Wiecznym Czerwcu.

P: Czyż nie mówiłaś, że widziałaś tam dzieci?

O: Duchowe, one nie były cielesne tak jak my. Pan będzie szydził, że my nienawidzimy wszystkich cielesnych grzechów i je potępiamy. Powiadam panu wszystko to, co widziałam w krainie Wiecznego Czerwca, to były duchy tych, którzy walczyli za życia swego z tym wstrętnym grzechem i teraz otrzymali nagrodę. W ich nagrodzie leży święty dowód tego, w co wierzymy.

P: Czy to jest nauka francuskich proroków?

O: Poza tym Chrystusa, On się nie ożenił.

P: Wszystkie przyjemności cielesne są grzeszne?

O: Przed wszystkim ta jedna jest źródłem wszystkich innych grzechów. Dopóki tego nie pokonamy, nie będziemy zbawieni.

P: Raz jeszcze ponawiam pytanie: Czy twój mąż jest zgodny z tobą co do tego, czy nie?

O: Raz jeszcze odpowiadam. To sprawa między nami i Chrystusem, a panu nie do tego.

P: Dlaczego nie odpowiesz: tak, zgadza się, żyjemy w Chrystusie? Czy może jest tak, że ty się nie zgadzasz? [*Non respondet.*] Bardzo dobrze, twoje milczenie mówi samo za siebie. Jaka jest rola Jego Lordowskiej Mości w tym wszystkim? Jak sądzisz, dlaczego właśnie ciebie wybrał? Dlaczego spośród wszystkich, to on miałby być zbawiony i jeśli to było jego celem, dlaczego przyszedł do ciebie, a nie do kogoś innego?

O: Ponieważ ja tego potrzebowałam.

P: Czyż inni też nie byli w równie wielkiej potrzebie, choć żyli w o wiele mniejszym grzechu?

O: To, czym byłam, to popiół, to była kara za moją ślepotę.

P: Nie, to nie jest odpowiedź na moje pytanie.

O: Łaska Chrystusa często przychodzi wtedy, kiedy się wydaje, że najmniej na

to zasługujemy.

P: Na ten temat nie będę dyskutować, moja pani.

O: Nie mogę być tym, czym byłam, ani tym, czym jestem, choć to jest lepsze niż to, kim byłam. Jaka będę, zależy od tego, co będę robić.

P: A co będziesz robić?

O: To, co robią kobiety na tym świecie, czy chcą tego, czy nie.

P: Zatem wszystko się wydarzyło dlatego, żebyś poczęła dziecko?

O: Dziecko, które noszę w swoim łonie, jest tylko cielesnym znakiem.

P: Znakiem czego?

O: Wielkiego światła i wielkiej miłości.

P: Powiadasz, że dziecko to przyniesie światło i miłość, a może ty uczynisz to, dając mu życie?

O: Ona przyniesie jeszcze więcej.

P: Cóż to? Jesteś pewna, że będzie twojej płci? Wyjaśnij.

O: Nie mogę tego wyjaśnić, pan i tak tego nie zrozumie.

P: Moja pani, potrafię zrozumieć bardzo wiele rzeczy. Skąd wiesz, że to będzie dziewczynka?

O: Skąd, nie wiem, ale wiem.

P: I wiesz, że kiedy dorośnie, będzie głosić kazania i prorocтва?

O: Ona będzie służebnicą Świętej Matki Mądrości.

P: Przecież pragniesz dla niej najbardziej grzesznej i bluźnierczej roli. [*Non respondet.*] Oto wysondowałem twoje najtajniejsze myśli. Czyż tak nie jest wśród waszych proroków? Czy ci najbardziej bezbożni nie twierdzą, że kiedy Chrystus znów przyjdzie, będzie kobietą? Niech Bóg mi wybaczy samo sformułowanie tej myśli, czyż potajemnie nie wierzysz, że to, co nosisz w swym łonie, będzie takim Chrystusem-kobietą?

O: Nie, nie. Przysięgam, że nie. Nie jestem aż tak próżna, nigdy tego nie powiedziałam, nawet w głębi serca.

P: Mogłaś nie powiedzieć, ale powzięłaś taką myśl.

O: Nie, powtarzam, że nie. Jakżeż mógłby ktoś taki urodzić się z tak wielkiej grzesznicy?

P: Tak, to niemożliwe, chyba że owa grzesznica uwierzyła, iż sama stała się świętą, ponieważ dane jej było ujrzeć Boga i Jego Syna i jeszcze na dodatek Ducha Świętego. Czy zaprzeczysz, że w twoim proroczym świetle taka kobieta-Chrystus może

przyjść?

O: Zaprzeczam z całej duszy, że mogłaby nią być ta, którą noszę w swoim łonie.

P: Nie bądź taka skromna, moja pani. Byłaś uhonorowana przez kogoś z najwyższych. Dlaczego miałabyś nie wierzyć, że rośnie w tobie nasienie boskie, nie Dicka?

O: Pan zastawia na mnie pułapkę. Pan nie wie, co to znaczy być kobietą.

P: Mam żonę, dwie córki, obie starsze od ciebie, i poza tym wnuczki. Czym jest kobieta? Moja pani, słyszałem tę zagadkę i odpowiedziałem na nią.

O: Nie ma tu żadnej zagadki. Tak, jak byłam wykorzystywana, kiedy byłam ladacznicą, tak samo mogę nadal być wykorzystywana. I wszystkie inne kobiety.

P: Jak to, czy wszystkie kobiety są ladacznicami?

O: W tym tak. Nie możemy powiedzieć, w co wierzymy, ani co myślimy, w obawie że będziemy wyśmiane, ponieważ jesteśmy kobietami. Jeśli mężczyźni uważają, że coś musi być, tak będzie, a my musimy słuchać. Nie mówię tylko o panu, tak jest wszędzie i ze wszystkimi mężczyznami. Jeśli nie zostaną stworzone specjalne warunki, nikt nie usłyszy ani nie zobaczy Świętej Matki Mądrości, ani nie skorzysta z tego, co może przynieść, kiedy się pojawi.

P: Co miałaby przynieść, do tego wrócimy. Chciałbym wiedzieć, co nosisz w swym łonie, moja pani.

O: Ta, którą noszę, będzie kimś większym niż ja, ja zostałam przeznaczona do tego, żeby ją urodzić. Powiadam, że nie jestem godna, by ona miała być Jezusem Chrystusem, który nadejdzie. Powtarzam, nie jestem tego warta ani tak próżna. Kimkolwiek będzie, nie będę płakać, ale będę dziękować Panu z całego serca, że została mi dana. I przyszedł czas, żebym panu powiedziała coś więcej jeszcze. Jego Lordowska Mość był panem nie tylko w tym świecie, ale o wiele większym w tamtym, co musiał tu ukrywać. To, co ja uważałam za jego okrucieństwo, było dobrocią, choć tego z początku nie rozumiałam, i tego także, iż wiedział, że ludzie z tego świata żyją w nocy antychrysta. Mówił często w taki sposób, jakby nie mógł zdradzić, kim jest, z wyjątkiem tych, w których obudziła się ta łaska. Tak, żył jak ktoś, kto znalazł się wśród walczących z nim, i musi ukrywać swoje prawdziwe sojusze, jednak nie ukrywa wszystkiego przed tymi, którym wierzy albo co do których żywi nadzieję. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Ja nie mówię, że był tym z Biblii. Ja mówię, że był z Chrystusowego ducha, mówił i działał w Jego imieniu i dla Niego. Mówiłam wczoraj, jak Jego Lordowska Mość i jego służący wydawali się jednością. A teraz widzę, że naprawdę

byli jednością. Dick cielesnym i niedoskonałym ciałem, a Jego Lordowska Mość duchem, taka bliźniacza natura, jaką wszyscy musimy mieć, w nich była wyraźnie ujawniona. I tak jak ciało Chrystusa musiało umrzeć na krzyżu, tak musiało tego ostatniego dnia umrzeć biedne ziemskie „ja” nie odrodzonego Dicka, po to by drugie „ja” zostało zbawione. Powtarzam raz jeszcze, że tego drugiego „ja” nikt więcej na tej ziemi nie zobaczy w jego dawnej postaci, ale on nie umarł, lecz żyje w Wiecznym Czerwcu i jest jednością z Jezusem Chrystusem, czego byłam świadkiem. Tak więc powiedziałam to wszystko bardzo prosto i nazbyt krótko, ale pan i tak w to nie uwierzy.

P: Powiadasz, że Jego Lordowska Mość został uniesiony w tej przypominającej larwę maszynie, która została w boski sposób zesłana, żeby go zabrać z tego świata.

O: Tak.

P: Mimo że początkowo on cię najął do wielkiej sprośności?

O: Żebym się przekonała, że jest to droga do piekła. Ale on w tym nie brał udziału ani nie czerpał z tego żadnej przyjemności.

P: Jednak to jego drugie cielesne, ja”, o którym mówiłaś, ten podobny do zwierzęcia Dick, taką przyjemność przeżywał?

O: I dlatego musiał umrzeć. Ale po tym pierwszym razie nie było już tej nikczemnej i sprośnej przyjemności, ale, jak mówiłam, zrodziła się litość i uczucie, tak mocne, że się zdumiałam i nie mogłam zrozumieć, jak to się stało. Dziś wiem, że ten, który płakał w moich ramionach, był tą upadłą połową, ciałem, cieniem poniżej światła, a wiedząc o tym, cierpiał tak jak Chrystus, kiedy płakał, że został opuszczony.

P: Jednak nikt nie dopatrzył się w nich tego? A teraz wyłożę ci całą prawdę, moja pani. Oto arystokrata z pogardą odnoszący się do wszelkich oczekiwań, jakie żywiono wobec niego z powodu jego wysokiego urodzenia, nieposłuszny wobec swego czcigodnego ojca, nie szanujący Boga, gardzący obowiązkami rodzinnymi, oraz jego służący, bardziej podobny do zwierzęcia niż do ludzkiej istoty – oto co można o nich powiedzieć, i tacy byli w oczach całego świata, z wyjątkiem ciebie.

O: Nie obchodzi mnie, w co wierzą inni. Wiem tylko to, w co ja sama wierzę, i tak będę czynić aż do dnia śmierci.

P: Powiadasz, że Jego Lordowska Mość musi ukrywać, nie może zdradzić swoich prawdziwych sojuszków i obowiązków, na przykład, że jest albo był z ducha Zbawiciela. Jak to możliwe? Czy nasz Pan, Jezus Chrystus, prawdy nie stawiał ponad wszystko inne? Czy w Ewangelii mówi się o Jego ukrywaniu się, udawaniu, jak jakiś

dwulicowy szpieg, bojący się o własną skórę? Co na to powiesz? Czyż nie jest bluźnierstwem nawet pomyśleć o tym?

O: Faryzeusze stali się mocni.

P: Co przez to chcesz powiedzieć?

O: Chrystus nie może przyjść na ten świat, jakby chciał, gdyż jest tu zbyt dużo grzechu. On przyjdzie w całej swej chwale, kiedy świat zostanie oczyszczony z antychrysta. Teraz znów zostałby ukrzyżowany, gdyby się ludzie dowiedzieli, że jest wśród nas i że uczy, tak jak uczył przedtem, tym bardziej, gdyby przyszedł w postaci kobiety. Wszyscy zachowaliby się jak pan, wyśmiewaliby Go i gardzili Nim, krzyżując, że Bóg nie może uczestniczyć w płci Ewy, że to bluźnierstwo. Ale On przyjdzie, kiedy chrześcijanie staną się prawdziwymi chrześcijanami, takimi, jakimi byli z początku. I wtedy On przyjdzie taki, jaki jest, albo Ona taka, jaka jest.

P: Tymczasem pojawią się tylko podróbki i fałszerze, czyż nie tak?

O: Pan widzi wszystko w świetle tego świata. Czy nie czytał pan Dziejów Apostolskich? Jeśli człowiek nie narodzi się ponownie, nie będzie mógł ujrzeć Królestwa Bożego. Rzeczy widzialne są przemijające, to, co wieczne, jest niewidzialne. Wiara jest istotą rzeczy, co do których żyjemy nadzieję, dowodem rzeczy niewidzialnych. Tak Bóg zbudował ten świat. Mnie uważa pan nadal za przebiegłą rozpustnicę, Jego Lordowską Mość za nieposłusznego syna, a Dicka za zwierzę. Jeśli pan tak widzi, tak musi być, pan nie może się zmienić. Raz tylko urodzony, chcąc nie chcąc, pan musi żyć wedle swego światła.

P: Moja pani, to zakrawa na jawną pychę, mimo że udajesz pokorę.

O: Jestem tylko dumna w Chrystusie, nic więcej. Będę mówiła o Jego świetle, nawet jeśli czynię to kiepsko.

P: Szydząc ze wszystkich powszechnych i zapisanych wierzeń?

O: Królestwo Chrystusowe nie jest przymusem. Jeśli coś musi być, nie jest Chrystusowe. Ladacznica, która zawsze musi być ladacznicą, nie jest z Chrystusa. Mężczyzna, który zawsze musi rządzić kobietą, nie jest z Chrystusa. Dzieci, które muszą umierać z głodu, nie są z Chrystusa. Wszyscy muszą cierpieć z powodu tego, kim się urodzili, i to nie jest z Chrystusa. To ciemność, to grobowiec, w którym spoczywa świat z powodu swych grzechów.

P: Teraz zaprzeczasz prawdziwej istocie chrześcijaństwa. Czyż święta Biblia nie określa, jakie są nasze obowiązki, co musimy robić?

O: Mówię, co powinniśmy robić, co jest najlepsze, a nie to, co musimy, bo

wielu tego nie czyni.

P: Czyż nie musimy słuchać Chrystusa?

O: Jesteśmy tak wolni, że nie musimy być Jemu posłuszni. On chce, żebyśmy Go wybrali z własnej woli, dlatego mamy także możliwość wolnego wyboru zarówno zła, jak i grzechu, i ciemności. Nie ma w tym przymusu. Słyszałem, jak to mówił brat Wardley. Chrystus zawsze przebywa w jutrze, żywi nadzieję, że choć dziś bardzo grzeszymy i jesteśmy ślepi, jutro łuski opadną nam z oczu i zasłużymy na zbawienie. Mówił też, że Jego cała boska moc i tajemnica kryje się w tym, że On mówił nam, iż człowiek może się zmienić z własnej woli i dzięki Jego łasce, a wtedy będzie odkupiony.

P: Taką wiarę przyjąłeś od Wardleya?

O: Czerpię ją także z własnej duszy, kiedy patrzę na moje dawne życie i obecne.

P: Czy przekonanie, że człowiek może się zmienić, co każdy rozsądny może przyjąć w sprawach duszy i jej odkupienia, nie okazuje się najbardziej haniebną i niebezpieczną zasadą, kiedy zostanie przeniesiona na sprawy tego świata? Czyż nie prowadzi to do wojen domowych i rewolucji, do obalenia całego porządku prawnego? Czy zasada, że każdy człowiek musi się zmienić i być skłonny do przemiany nawet poprzez krwawą przemoc i okrucieństwo, jeśli nie chce tego zrobić z własnej woli, nie jest godna potępienia?

O: Taka zmiana nie jest z Chrystusa, nawet jeśli jest dokonywana w Jego imię.

P: Czy nie dlatego wasi prorocy oddzielili się od kwaków, którzy nie chcieli brać miecza do ręki w imię swoich przekonań?

O: Jest to tak samo nieprawdziwe jak to, że pszeniczny chleb jest brunatny. Będziemy zwyciężać tylko przez naszą wiarę i perswazję, ale nie mieczem. Bo to nie jest Chrystusowa droga.

P: Tak więc teraz zaprzeczasz Wardleyowi. Bowiem wczoraj oświadczył mi, że z mieczem w dłoni ruszy przeciwko tym, którzy nie wierzą tak jak on. Nie zawahał się nawet grozić obecnemu rządowi naszego narodu.

O: Jest tylko człowiekiem.

P: Wielce buntowniczym.

O: Znam go lepiej niż pan. Wśród swoich jest łagodny i litościwy. To człowiek rozsądny, jeśli nie grozi mu prześladowanie.

P: A ja ci mówię, że on nie kieruje się zdrowym rozsądkiem i wkrótce zapłaci za to. W każdym razie skończ z tym kazaniem. Przejdźmy teraz do Dicka. Więcej o nim

wiesz niż ci, którzy go znali dawniej. Powiedz, co ukrywał pod zewnętrznymi pozorami?

O: Cierpiał z powodu tego, jaki był, i to nie jak zwierzę.

P: Czy chcesz przez to powiedzieć, że rozumiał dużo więcej, niż przypuszczali otaczający go ludzie?

O: Zrozumiał, że upadł.

P: I co poza tym? Mówiłaś niezwykle pochlebne rzeczy o jego panu. A teraz przypomnij sobie. Czyż to nie Dick zdawał się przewodzić tego ostatniego ranka? To on, a nie Jego Lordowska Mość wiedział, gdzie zboczyć z gościńca, jak też kiedy powinniście zejść z koni i dalej iść pieszo? To on pierwszy poszedł w górę, podczas gdy Jego Lordowska Mość i ty czekaliście poniżej. Co na to powiesz?

O: Była w nim jakaś mądrość, której brak ludziom normalnym, nawet tak wybitnym jak Jego Lordowska Mość.

P: Nie zauważyłaś niczego, co dowodziłoby, że któryś z nich był już kiedyś w tamtych miejscach?

O: Niczego.

P: Sądząc z zachowania Dicka, wydaje się, że znał tamte okolice. Jak to możliwe?

O: Nie kierował się pamięcią, ale sercem. Tak jak zwierzę potrafi wrócić do domu, choć zagubiło się bardzo daleko i żaden człowiek go nie prowadzi.

P: Utrzymujesz, że twój Wieczny Czerwiec i te wszystkie wizje były mu znajome?

O: Powitał Świętą Matkę Mądrości, kiedy po raz pierwszy podeszła do nas, jak wierny pies, który od dawna był trzymany z dala od swej pani, a teraz łąsi się do niej.

P: Jones powiedział, że wybiegł z jaskini, nim tyś wyszła, jak ktoś w wielkim strachu i przerażeniu, kto miał jedną tylko myśl: uciec. Czy pies tak by zrobił, gdyby odnalazł swoją panią?

O: Tak, gdyby nie mógł pokonać swego grzechu.

P: Czemu Święta Matka Mądrości, która okazała ci tyle łaski i dobroci, nie okazała jej tej biednej istocie? Dlaczego pozwolono mu uciec i popełnić ten wielki grzech *felo de se!*

O: Chce pan, żebym odpowiedziała na coś, na co tylko Bóg może odpowiedzieć.

P: Chciałbym, żebyś mi odpowiedziała tak, bym mógł w to uwierzyć.

O: Nie potrafię.

P: Zatem ja dam następującą odpowiedź. Może mimo swego upośledzenia był przejęty tym, iż Jego Lordowska Mość został zabity na jego oczach albo porwany, zobaczył, że stracił swego opiekuna?

O: Nie wiem, co się stało, zasnęłam.

P: Moja pani, najpierw on prowadzi cię do tego miejsca, co nasuwa przypuszczenie, że wiedział, co się tam wydarzy, jednak to, co się wydarzyło, powoduje koniec jego ziemskiej wędrówki. Czyż nie jest to bardzo ponure?

O: Wszystko jest ponure, jeśli Bóg tak chce.

P: Żałosne i zarazem fałszywe, zwłaszcza jeśli będziesz dalej tak odpowiadać i udawać samozwańczą świętą, unosząc się wśród chmur ponad tymi bredniami. Zauważyłem to, kiedy po raz pierwszy powiedziałem ci, że Dick nie żyje. Jakaż kobieta, która usłyszy, że ojciec dziecka, które nosi w swym łonie, nie żyje, będzie tak spokojnie się zachowywać? Jakby słyszała o śmierci byle kogo. A potem jednak oświadczasz, że bardzo go kochałaś, jak nigdy nikogo, ty, kobieta, która miała tylu kochanków co much nad padliną. Teraz znów powiadasz, że nic nie wiesz, o niczym nie masz pojęcia, że to w ogóle nieważne. Co to znaczy?

O: To znaczy, że noszę jego dziecko, a jednak moje serce się raduje, że on nie żyje, i to ze względu na niego, a nie na siebie. Teraz on podniesie się z martwych, ale już bez swoich grzechów.

P: Czy takie jest twoje chrześcijańskie braterstwo?

O: Mówię raz jeszcze, uważa mnie pan za lustro mojej płci, ale uczyniła je pańska płeć. A mnie to nie odpowiada. Już mówiłam panu, byłam ladacnicą, cieszyłam się jego żądzą, gdyż on był żądzą wcieloną jak byk albo ogier. Czy pan nie widzi, że się zmieniłam, że nie jestem już grzesznicą, że narodziłam się ponownie w Chrystusie, że widziałam Wieczny Czerwiec? Zerwałam z przeszłością. Dzięki swej wierze nierządnicą Rahab nie zginęła wraz z niesprawiedliwymi.

P: Ty jesteś gorsza niż owa przemieniona nierządnicą. Ty, kobieta, udajesz biskupa, ośmielasz się robić teologię ze swoich kłamstw, szalonych marzeń, tego swojego Wiecznego Czerwca i Świętej Matki Mądrości. Jakim prawem wymyślasz takie nazwy, jeśli nawet twoi współwyznawcy ich nie znają?

O: Nikomu o tym nie mówiłam, tylko panu, i nie powiem im. Nie wszystkie nazwy powiedziałam panu, i już ich nie powiem. Wszystko to są tylko słowa na tym świecie, choć znaki czegoś większego w przyszłym świecie. Czy wasze kościelne hymny i pieśni, w których używacie słów, żeby się radować w Panu, są czymś złym? Czyż one

Go nie chwałą? Przecież nawet rząd na to pozwala.

P: Pilnuj swego języka.

O: Będę pilnować, jeśli pan też będzie pilnować swego.

P: No, to już jest niepomiarowa bezczelność.

O: Nie ja ją sprowokowałam.

P: Dość tego. Twoim zdaniem Dick dlatego zmarł, że pożądał ciebie?

O: Umarł po to, by wyrzec się swego cielesnego „ja”, które zgrzeszyło.

P: Nigdy przedtem nie spodziewałaś się dziecka?

O: Nie.

P: Choć miałaś wiele po temu okazji? Ile razy byłaś dosiadaną podczas pracowitej nocy? [*Non respondet.*] Ależ pobożnisia z ciebie, odpowiadaj. [*Non respondet*] Nieważne, mogę się domyślić. A co z tym bękartem, w którego wrobiłaś swego męża?

O: Moja niepłodność była z woli Chrystusa i z Jego woli jestem taka, jaka jestem. Mój mąż będzie jej ojcem w tym świecie, a ona nie będzie bękartem.

P: A co z tym ojcem, nie z tego świata?

O: Nie należy mówić prawdy o rzeczach widzialnych.

P: Chcę, żeby ona została powiedziana.

O: Pański świat nie jest moim światem, ani Jezusa Chrystusa.

P: Chciałbym, żebyś mi powiedziała, kobieto, co przede mną ukrywasz. Kto jest ojcem? Dick czy Jego Lordowska Mość? Co ci mówi twój niesforny umysł?

O: Jego Lordowska Mość jest tym, kim jest, ani mniej, ani więcej, dlatego nie jest ojcem z tego świata.

P: Ale uważasz, że w innym może nim być?

O: Z ducha, nie z nasienia.

P: Czyż nie zostało ustalone po Bożemu, że grzechem jest buntować się przeciw autorytetowi człowieka? Czyż nie świadczy o tym pierwszy czyn Wszechmocnego, odtąd już na zawsze?

O: Tak ludzie mówią.

P: Biblia święta jest więc fałszywym świadectwem?

O: Świadkiem z jednej tylko strony. Błąd leży w człowieku, a nie w Bogu czy Jego Synu. Ewa zrodziła się z żebra Adama, tak powiedziane jest w drugiej Księdze Rodzaju. W pierwszej powiedziane jest, że Bóg stworzył mężczyznę i kobietę na swój obraz i podobieństwo. O czym nasz Pan, Jezus Chrystus, mówi następnie w Ewangelii

świętego Mateusza, w rozdziale dziewiętnastym, i tam nie ma nic o żebrach, tylko o Mojżeszu, który pozwolił oddać swoje żony. A Jezus Chrystus powiedział, że na początku tak nie było. Wszyscy byli równi.

P: Wcale nie wierzę w to twoje nowe narodzenie i nie zmyli mnie ten twój schludny czepek ani skromna spódnica. Odnalazłaś się w nowym grzechu i tyle. Sprawia ci radość przeinaczać to wszystko, w co nasi przodkowie kazali nam w swej mądrości wierzyć. Grasz na najniższych uczuciach. Byłaś jawnogrzesznicą dostarczającą przyjemności mężczyznom, czyż nie tak? A teraz sprawiasz, że służą oni twojej przyjemności, i odrzucasz przeszłość jak byle szmatę, niemodne okrycie, ty, przebiegła diablico. Religia jest dla ciebie tylko maską, niczym więcej. A wszystko to czynisz, żeby się zemścić.

O: Nie złapie mnie pan w swoje sidła.

P: W jakie znowu sidła?

O: Pan chce, żebym powiedziała, że jestem zatracona w zemście, jak jaka jędra, megiera, i że nie potrafię rozsądnie myśleć, bo się boję, że będę źle zrozumiana.

P: Wyczuwam twoje złe zamysły.

O: Zaraz powiem panu o moich złych zamysłach. Większość niesprawiedliwości na tym świecie jest dziełem człowieka, a nie naszego Pana, Jezusa Chrystusa. Przemiana, oto mój cel.

Ayscough słucha jej uważnie, ale teraz on ociąga się z odpowiedzią. Ona siedzi wyprostowana na swoim krześle, z rękami jak zawsze na kolanach, wpatrując się w niego intensywnie, jakby patrzyła na samego antychrysta. W jej oczach widać może pewną potulność, ale na twarzy maluje się upór, jest zdecydowana do niczego się nie przyznać. Ayscough wreszcie odzywa się, raczej do siebie niż do niej:

– Łiesz, kobieto. Jesteś kłamczynią.

Jej twarz pozostaje nie zmieniona. John Tudor spogląda na nią sponad swego stenogramu, co zwykle robi podczas takich przerw. Tak zawsze jest, od początku przesłuchań prawnik zawsze atakuje. Rebeka patrzy na niego, zwleka z odpowiedzią. Dziś jednak cierpliwość Ayscougha najwyraźniej jest na wyczerpaniu. Postanowił zacząć przesłuchanie w łagodniejszym tonie, bardziej uprzejmie niż poprzedniego dnia, jednak w miarę rozwoju sytuacji zrozumiał, że ona tego nie docenia. Ani łagodne słowa, ani ostre nie złamią jej, nie ujawnią tajemnicy, którą ukrywa. Nie wyzna, co naprawdę się wydarzyło. Ayscough wspomina dni, kiedy każde porządne

przesłuchanie wsparte było torturami. Dzięki tej metodzie przynajmniej można było dotrzeć do prawdy, ale ustawa o prawach skończyła z tego rodzaju procedurami w Anglii. Tylko w przypadku zdrady państwowej praktyka ta przetrwała w grzesznych i zdegenerowanych katolickich państwach, takich jak Francja, a Ayscough mimo wszystkich swoich błędów był Anglikiem, a nie Francuzem, co jednak nie przeszkodziło, że w tej chwili ogarniał go coraz większy gniew.

Rebeka dzisiaj czuła się nie tylko sama obrażona, ale obrażono także jej religię. Wiedziała jednak, że taki sceptycyzm i prześladowania są czymś oczywistym. Bolało ją, że to przesłuchanie nie ukazywało w pełni jej religii – jej praw, mądrości, nieodzowności w życiu ludzi. W rzeczywistości tych dwoje wiele dzieliło. Były to bariery nie tylko wieku, płci, klasy społecznej, wykształcenia i tym podobne, ale również coś znacznie głębszego, bo zależność od dwóch całkiem różnych części ludzkiego ducha. Być może u korzeni tego znajdował się podział na lewą i prawą półkulę mózgu, które same w sobie nie są ani złe, ani dobre. Ci, u których dominuje lewa półkula (i prawa ręka), są racjonalni, uzdolnieni matematycznie, zorganizowani, wymowni, zwykle ostrożni i konwencjonalni – w znacznej mierze społeczeństwo opiera się na nich albo przynajmniej funkcjonuje dzięki nim. Mądry i rzeczowy obserwator ewolucji ludzi zdominowanych przez prawą półkulę będzie ich uważać za mniej pożądaných, z wyjątkiem kilku dziedzin peryferyjnych, takich jak sztuka i religia, gdzie mistycyzm i brak logiki odgrywają dużą rolę. Jak Rebeka nie potrafią oni jasno rozumować, często płaczą im się myśli i argumenty, mają słabe poczucie czasu oraz instynkt polityczny. Wykazują skłonności do trwania w niezmiernie rozciągniętym teraz, traktując zarówno przeszłość, jak i przyszłość jako terażniejszość, zamiast uporządkowawszy je, kontrolować jak uczciwi, przyzwoici „lewopółkulowcy”. To oni przeszkadzają, mącą, sieją niepokój. Tak właśnie było z Rebeką i Ayscoughem, którzy spotkali się w roku 1736, reprezentując przeciwstawne sobie bieguny, choć w ich czasach nikt nie potrafił dostrzec tych fizycznych przyczyn ich odmienności. Rebeka jest teraz na samej krawędzi swego „prawopółkulowego ja”, do którego przynależy. Wreszcie odzywa się, jakby mówiła sama do siebie:

– Pan udaje ślepcę, pan udaje ślepcę...

– Nie mów tak do mnie. Nie pozwolę na to.

– Nic mnie to nie obchodzi. Pan jest chmurą, ciemnością, w pana pytaniach kryje się Lucyfer, pan chce mnie oplatać swym prawniczym łańcuchem, który jednak najbardziej krępuje pana samego. Czyż nie widzi pan, że nasz świat jest zgubiony? Nie

popęlnia się nowych grzechów, lecz stare, wciąż te same od początku czasu. To materia po tysiącokroć zniszczona i zbrukana, w której każde włókno to grzech. Powiadam panu, pan nigdy się nie obmyje do czysta ani nie odnowi. Nigdy się pan nie odnowi, pan i jemu podobni, dopóki zło, które niszczy niewinnych od dnia ich narodzin, nie zostanie odrzucone. Czyż pan nie potrafi dostrzec, że pan i tacy jak pan jesteście ślepi?

Ayscough zrywa się gwałtownie z fotela.

– Milcz, kobieto! Powtarzam, milcz!

Ale do Rebeki teraz nic nie dociera. Ona także wstaje i nadal oskarża, nie powoli, z namysłem, jak przedtem, lecz bardzo szybko, czasem wręcz niezrozumiale.

– Jak wy czcicie niebo? Zmieniając dzisiejszy świat w piekło? Czy pan nie widzi, że my, którzy żyjemy w Chrystusie, jesteśmy jedyną nadzieją? Opuśćcie swoje ścieżki, wejdźcie na ścieżki Chrystusa, teraz zapomniane. Wasz grzeszny świat szydzi z nich i je prześladowuje, tak, pogrzebie je. Pan i panu podobni jesteście z całą pewnością skazani na potępienie. Tak, to minie, Jego droga zmartwychwstanie i przejrzą grzesznicy, tak, my, ludzie wiary, będziemy usprawiedliwieni, a pan i pański legion antychrysta przeklęty z powodu waszej ślepoty, waszych grzesznych dróg. To my zwyciężymy, powiadam panu, Chrystus powróci, jak prorokowano. Jego światło przeniknie każdy uczynek i każde słowo, cały świat będzie jak jedno wielkie okno, przez które przenika światło, i ukaże ono zło, które będzie ukarane w piekle, i nikt z potępionych, takich jak pan, nie umknie przed karą.

– Każę cię wrzucić do lochu i wychłostać!

– Nie, o nie, nie uda ci się, ty podły karle, który oplatałeś mnie swymi pętami zła! Powiadam ci, że czas miniony nigdy nie powróci, ty na próżno czepiasz się go, to teraz, teraz, powiadam ci, przyjdzie nowy świat, nie będzie więcej grzechu, kłótni między mężczyzną a mężczyzną, kobietą a mężczyzną, rodzicem a dzieckiem, między panem i sługą. Nie będzie złej woli, umywania rąk, wruszania ramionami, ślepoty takiej jak twoja na to wszystko, co łamie twój spokój i egoistyczne nawyki. Żaden sędzia nie będzie sądzić biedaka. Nie będzie też rządzić chciwość ani próżność, ani okrutne szyderstwo, nie będzie ucztowania, kiedy inni przymierają głodem, pięknych szat, kiedy inni chodzą w lachmanach. Czyż nie widzisz, że lew będzie leżeć razem z jagnięciem, i zapanuje światło i sprawiedliwość, a dobry Bóg nie dostrzeże ciebie... Nie możesz być tak ślepy na swoją własną wieczność, nie możesz...

Ayscough spogląda na Tudora, który z głową nisko opuszczoną szybko

stenografuje.

– Na miłość boską, człowieku. Rusz się. Przerwij ten potok wymowy!

Tudor wstaje z wahaniem.

– Powiadam ci, widzę, widzę, ciebie nie widzę, nadchodzi...

Tudor w milczeniu podchodzi do Rebeki i nagle się zatrzymuje. Dzieje się coś niezwykłego. Przy ostatnim „widzę” kobieta nagle przestaje patrzeć na Ayscougha i wbija wzrok w róg pokoju po swojej lewej stronie, o jakieś piętnaście stóp od miejsca, gdzie się znajduje. Małe boczne drzwi najwidoczniej prowadzą do sąsiedniego pokoju. Zachowuje się tak, jak gdyby ktoś przez nie wszedł i stał tam teraz, przerywając jej monolog. Wrażenie to jest tak mocne, że zarówno Ayscough, jak i protokolant patrzą również w tym kierunku. Nikt nie otworzył drzwi, nikt nie wszedł. Potem patrzą na Rebeke, która jest tak samo wpatrzona jak przedtem, nieruchoma, milcząca, ale nie zdumiona czy przestraszona, lecz wręcz przeciwnie, jakby wdzięczna, że ktoś jej przerwał. Poprzedni wyraz uporczywości i napięcia nagle zniknął. Cokolwiek widzi, twarz jej rozjaśnia uśmiech, dziwnie pokorny, dziecięcy i pełen oczekiwania, jakby się znalazła twarzą w twarz z kimś, komu wierzy i kogo kocha.

Ayscough znów spogląda na boczne drzwi, a potem na Tudora, który odpowiada na nie zadane pytanie:

– Nikogo tu nie ma, sir.

Obaj mężczyźni chwilę na siebie patrzą, wreszcie Ayscough przenosi wzrok na Rebeke.

– Ona ma atak. Spróbuj coś z nią zrobić.

Tudor podchodzi bliżej, potem o jakieś dwa kroki zatrzymuje się przed kobietą w transie, ostrożnie wyciąga rękę i potrząsa nią, jakby była węzem albo jakimś groźnym zwierzęciem. Ale ona nadal jest wpatrzona w drzwi.

– Mocniej, człowieku, mocniej. Przecież cię nie ugryzie.

Tudor staje za jej plecami, odsuwając jej krzesło w tył, i wzięwszy za oba ramiona, zaczyna ją potrząsać. Ona najpierw zdaje się nie czuć tego, ale po chwili wydaje cichy okrzyk bólu, jakby poniosła wielką stratę albo przeżywała kulminacyjny moment aktu miłosnego, a nie prawdziwe cierpienie. Powoli podnosi wzrok i patrzy na Ayscougha, który nadal przygląda się jej, stojąc za stołem, lecz nagle zamyka oczy i głowa jej opada.

– Posadź ją na krześle.

Tudor podsuwa jej krzesło.

– Proszę usiąść, wszystko już minęło.

Siada całkiem bezwolnie, głowę ma spuszczoną nisko, po chwili unosi dłoń do twarzy i zaczyna łkać, z początku jakby ze wstydu, jakby chciała ukryć uczuciowe załamanie. Ayscough pochyła się do przodu, opierając ręce na stole.

– Co teraz widziałaś? – Jediną jej odpowiedzią jest łkanie. – Daj jej wody.

– Trzeba ją zostawić, proszę pana. To takie wapory. Zaraz miną.

Przez chwilę Ayscough patrzy uważnie na łkającą kobietę, po czym nagle wstaje, podchodzi do bocznych drzwi i chce je otworzyć. Ale bez rezultatu, choć próbuje kilkakrotnie, z coraz większym zniecierpliwieniem. Nie ustępuje. Powoli idzie do okna i spogląda na ulicę. Nie widzi jednak tego, co jest na zewnątrz. Jakaś maleńka uparta cząstka mózgu szydzi z całego jego rozsądku i jest on tak samo wstrząśnięty jak Rebeka, choć nie przyznaje się do tego, nie obraca się, choć jej łkanie się nasila, jest nieopanowane, wstrząsa ciałem, nabiera intensywności. Dopiero kiedy szloch nieco ustaje, Ayscough odwraca się. Protokolantowi udało się nakłonić Rebeke, żeby się napiła wody. Tudor stoi przed nią, rękę trzymając na jej ramieniu, choć ona nadal siedzi ze spuszczoną głową. Po minucie Ayscough wraca na swój fotel. Przez chwilę patrzy na pochyloną głowę, potem gestem daje znak swemu urzędnikowi, aby wrócił na miejsce przy stole.

– Czy odzyskałaś zdrowe zmysły, moja pani? – Przytakuje skinieniem głowy. – Możesz dalej rozmawiać? – Znowu skinienie. – Co ci się przytrafiło? – Potrząsa przecząco głową. – Dlaczego patrzyłaś tak uparcie na te drzwi?

– Nie na drzwi, na to, co widziałam w nich – odpowiada wreszcie, nie podnosząc jednak wzroku.

– Tam nikogo nie było. Dlaczego nie odpowiadasz? Wybaczę ci tę twoją napuszoną gadaninę i bezczelność, a nawet obrażające mnie słowa. Chciałbym się dowiedzieć, co widziałaś. – Rebeka krzyżuje ramiona na piersiach, Ayscough czeka, lecz na próżno. – Czy wstydzisz się wyznać, co widziałaś?

Rebeka się prostuje, żeby spojrzeć na niego, i znowu ręce składa na kolanach i wtedy on widzi jej oczy, całą twarz, która zdumiewa go, gdyż widnieje na niej słaby, ale wyraźny uśmiech, który długo zapamięta.

– Niczego się nie wstydzę.

– Dlaczego się uśmiechasz?

Nadal jest uśmiechnięta, jakby to była wystarczająca odpowiedź.

– Czy widziałaś osobę?

- Tak.
- Osobę z tego świata?
- Nie.
- Czy to był nasz Zbawiciel?
- Nie.
- A może Święta Matka Mądrości?
- Nie.

– Moja pani, dość tego. Patrzyłaś tak, jakbyś kogoś widziała, i to kogoś, kogo znasz. Czyż nie tak? Mów, kto to był?

Tajemniczy uśmiech zniknął z jej twarzy, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że znajduje się przed wrogiem. Od tej chwili w dalszej części przesłuchania Rebeka jest całkiem odmieniona. Wiadomo, że nie wygra, nie może wygrać, ani w tej historycznej terażniejszości, ani w przyszłości. Wiadomo, ale ona o tym nie wie.

O: Powinien się pan domyślić.

P: Jego Lordowska Mość? Twierdzisz, że widziałaś Jego Lordowską Mość, stojącego w tym tutaj pokoju?

O: Pan i tak nie uwierzy.

P: Jak wyglądał?

O: Jak mój przyjaciel.

P: Jak był ubrany? Tak jak wtedy, kiedy jechaliście przez Devon, czy jak w twoich wizjach?

O: Tak jak w Wiecznym Czerwcu.

P: A więc pokazał się jak duch, zjawa, która przenika przez drzwi i mury, które są przeszkodą dla człowieka z krwi i kości?

O: On przyszedł.

P: Czy coś mówił?

O: On nie potrzebuje słów.

P: Nie zdziwiła cię jego obecność? Odpowiedz. A może widziałaś go przy innej okazji po pierwszym maja? Czy nie tak? Odpowiedz! Tak czy nie? Czy od samego początku okłamywałaś mnie, kiedy pytałem cię, czy miałaś z nim jakiś kontakt?

O: Pan mi nie uwierzy.

P: To nie jest odpowiedź. Widziałaś go czy nie widziałaś, może nie tak jak tu dzisiaj, mimo to jednak jakoś go widziałaś?

O: On jest moim przyjacielem.

P: A więc go widziałaś?

O: Wiedziałam, że jest blisko.

P: Powiedz jasno, czy czułaś jego bliską obecność duchową?

O: Bardzo bliską.

P: Czy widziałaś go tak jak mnie, w formie cielesnej?

O: Co to jest forma cielesna?

P: Oj, bo zacznę się gniewać.

O: On nie był w postaci cielesnej, z tego świata, jednak taki jaki jest.

P: Czy kiedyś podczas podobnej okazji, kiedy czułaś bliskość duchową Jego Lordowskiej Mości, odezwał się do ciebie?

O: Słowami nie, raczej duchowo.

P: Jak to duchowo? Czy powiedział kiedyś: zrób to albo tamto, wierz w to albo w tamto?

O: W duszy.

P: Czy twojej duszy zostało powiedziane, co musi robić i w co wierzyć?

O: Że to, co robi i w co wierzy, jest słuszne.

P: Czy dusza Jego Lordowskiej Mości, czy co tam chcesz, mówiła kiedyś o nim samym, na przykład gdzie może być teraz jego ciało?

O: Nie, nie potrzebowała.

P: Jesteś pewna, że przebywa w tym twoim Wiecznym Czerwcu?

O: Tak.

P: Czyś mówiła komuś innemu, twojemu mężowi, rodzicom, przyjaciołom, komukolwiek, o tych rozmowach?

O: Nie.

P: Nikt nie może zaświadczyć o tym, że miałaś takie wizje, duchowe rozmowy czy jak to nazywasz?

O: Nikt, tylko on i nasz Pan, Jezus Chrystus.

P: Jak często miały one miejsce po pierwszym maja? Nie potrząsaj głową, moja pani. Możesz powiedzieć ogólnie. Często czy niezbyt często? Wielokrotnie czy rzadko?

O: Kiedy tego potrzebowałam.

P: Często czy niezbyt często?

O: Z początku często.

P: A teraz rzadziej?

O: Tak.

P: Czy nie jest to częste wśród twoich współwyznawców, że mają wspólne wizje po to, żeby potwierdzić skuteczność swoich przekonań? Dlaczego nikomu nic o tym nie mówiłaś?

O: Nie uwierzyliby.

P: Czyś nie powiedziała, że Jego Lordowska Mość jest z ducha Jezusa Chrystusa? Czy to nie wystarczy?

O: Nie nadszedł jeszcze czas, by go widziano.

P: Twoi towarzysze mogliby go nie uznać, gdybyś im wyznała, co się wydarzyło ostatniego dnia kwietnia? Nie zrozumieliby, jak wielką wagę przywiązujesz do niego? Nie sięgają wzrokiem tak daleko jak ty?

O: Ja widziałam go wśród nas, tam gdzie się spotykamy, całkiem wyraźnie, jednak moi bracia i siostry nie widzieli go. Nie może być widziany przez wszystkich.

P: Czy powiesz im, kiedy czas nadejdzie?

O: Będzie im powiedziane.

P: Przez kogo, jeśli nie przez ciebie?

O: Prawda wyjdzie na jaw i wszyscy oprócz potępionych ją zobaczą.

P: Dlaczego wymawiasz każde słowo jak kot chłęczący śmietankę? Sprawiasz wrażenie, że cieszysz się z potępienia innych. Czy to po chrześcijańsku?

O: Wcale się nie cieszę. To pan i jemu podobni cieszycie się z tego, że nic nie może się zmienić, że pan i tacy jak pan sprowadziliście piekło gorsze niż to prawdziwe dla wszystkich znajdujących się poniżej was na tej ziemi. Teraz ja pytam: czy to po chrześcijańsku? Pan wie, że jestem prostą kobietą, a pan uczonym prawnikiem. Czy pan i pańskie prawo może mi odpowiedzieć na to proste pytanie? Pan wie, że tak jest. Czy może mi pan powiedzieć, dlaczego tak jest, usprawiedliwić to?

P: Każdy ma swoje przeznaczenie. Tak jest napisane.

O: A bogatsi zasługują na więcej? Rzeczywiście tak jest wyznaczone, ale tylko z woli bogatych, a nie z woli Boga. On by na to nie pozwolił.

P: Gdyby to nie było wolą Boga, nigdy by na to nie pozwolił.

O: Jeśli dotąd jeszcze nie uderzył, to nie dowód, że tego nie uczyni. Tymi usprawiedliwieniami nadużywa pan Jego cierpliwości.

P: A ty, moja pani, Jego gniewu, by zadośćuczynić własnym roszczeniom.

O: Litość jest pożyczonym pieniądzem. Pewnego dnia trzeba będzie ją spłacić, a ten kto nie zapłaci, poniesie karę. Wszystko obróci się w proch i pył, i wszystko

obejmie ogień taki, jak widziałam.

P: Ciągłe te twoje prorocтва. O tym, co ma przyjść, mówisz, jakby już przyszło, co świadczy o twoich szalonych myślach. Pytam cię zatem, jak można zmienić obecny świat?

O: Żyjąc tak, jak powinniśmy żyć, czyli poprzez światło i słowo Chrystusa.

P: Jeśli tak uporczywie będziesz się sprzeciwiać wszystkiemu, moja pani, to ja prorokuję, że będzie ci to zakazane. Nie mów nic więcej, nie dam się wciągnąć znowu w dalszą jałową dyskusję. Na razie mam ciebie naprawdę dość. Po pierwsze, upominam ciebie, i to z najwyższą powagą, w sprawach następujących: nie będziesz mówić o tym, co się tu wydarzyło, ani o tym, co działo się wcześniej tego roku. Ani twojemu mężowi, ani ojcu, ani Wardleyowi, nikomu i pod żadnym pozorem. Żeby dowieść słuszności swej wiary, nie będziesz nigdy mówić o tych rzekomych spotkaniach z Jego Lordowską Mością, ponieważ nigdy nie miały miejsca. I nigdy więcej nie będziesz prorokować. Zrozumiano?

O: Heroda też trzeba zrozumieć.

P: Nie chcę od ciebie słyszeć prawdy czy nieprawdy. Żądam milczenia w obu tych kwestiach. Przysięgniesz to i podpiszesz na papierze, który leży przede mną. Czy potrafisz podpisać się swoim nazwiskiem?

O: Jeśli pan i panu podobni myślicie, że mogą uwięzić prawdę Bożą, to ja będę pańskim trybunałem, żeby dowieść, że pan się myli. Ale mogę podpisać się moim cielesnym nazwiskiem.

P: Ostrzegam cię. Nie myśl sobie, że będziesz mówić mimo to i że ja się o tym nie dowiem. Dowiem się i sprawię, że będziesz przeklinać dzień, w którym przemówiłaś.

O: I także to, że złamałam słowo.

P: To nie wszystko. Żądam także przysięgi i podpisu pod tym, co przysięgłaś na początku, a mianowicie że w żaden zwykły sposób, to znaczy poza swoimi wizjami i duchowymi rozmowami nie widziałaś i nie rozmawiałaś z Jego Lordowską Mością od dnia pierwszego maja tego roku, nie miałaś też z nim żadnego kontaktu ani jakichkolwiek wieści o nim od osób trzecich. Masz stwierdzić tylko to co następuje: nie wiesz, co się z nim stało. I podpisać.

O: Podpiszę.

P: Uśmiechasz się?

O: Pan mnie przyszpilił w tym co najmniej ważne, a odrzuca to, co

najważniejsze.

P: Ja ciebie przyszpilę w więzieniu, jeśli sobie to zlekceważysz.

O: A ja wszystko lekceważę.

P: Ostrzegam cię po raz ostatni. Jeśli skłamałaś, i ja się o tym w przyszłości dowiem, nie będzie dla ciebie cienia litości, o jakiej przed chwilą mówiłaś. Cały gniew rodziny Jego Lordowskiej Mości i mój własny spadnie na ciebie.

O: Nie będę zasługiwała na nic lepszego.

Tutaj wyżej wspomniane uroczyste oświadczenie zostaje odczytane przesłuchiwanej, które następnie ona podpisuje swoim nazwiskiem.

P: Bardzo dobrze, możesz odejść. Nie jesteś mi na razie potrzebna. Ale nie myśl, że jesteś wolna. Masz się stawić na każde moje wezwanie.

Rebeka wstaje. John Tudor patrzy uważnie z krańca stołu na swego pana, przesłuchanie nie potoczyło się, jak oczekiwano, a nawet przybrało zaskakujący obrót. Ayscough zatrzymuje Rebekę, która zamierza odejść.

– Jest jeszcze jedna sprawa, decyzja została podjęta wbrew mojej radzie. Gdybym mógł postąpić wedle własnej woli, wołałbym raczej, żeby cię wychłostano... – Urywa. – Polecono mi dać tobie to, mimo tych wszystkich twoich kłamstw.

Ayscough sięga do wewnętrznej kieszeni kamizelki, wyjmując małą złotą monetę i popycha po blacie stołu w stronę Rebeki. Jest to jedna gwinea.

– Nie wezmę tego.

– Weź, takie otrzymałem polecenie.

– Nie wezmę.

– Kierujesz się tylko dumą, niczym więcej.

– Nie wezmę.

– Weź. Drugi raz nie będę prosić.

Rebeka patrzy na monetę i potrząsa głową mówiąc:

– Wobec tego daję ją panu, a pan musi przyjąć. – Patrzą na siebie. – I jeszcze proroctwo: pan zostanie powieszony. – Rebeka chwilę milczy i dodaje: – Jeszcze czegoś pan potrzebuje, panie Ayscough, daję więc panu więcej miłości.

Wychodzi. Ayscough zaczyna zbierać swoje papiery. Po kilku chwilach sięga po odrzuconą gwineę, patrząc przy tym ostro w kierunku Johna Tudora, jakby chciał na

nim wyładować gniew. Ale ten szchwany lis nie jest głupi, głowę ma nisko spuszczoną.

Wasza Miłość,

Znajdzie w tym sprawozdaniu Wasza Miłość wiele trudnych do uwierzenia rzeczy, jednak pozwolę sobie powiedzieć, iż, moim zdaniem, nie mieliśmy tu do czynienia ze sprytnymi kłamstwami ani historią zmyśloną przez zwykłą oszustkę w celu ratowania własnej skóry, bo gdyby ta kobieta naprawdę była przebiegła, wymyśliłaby coś lepszego niż ta nieprawdopodobna opowieść, i w ten sposób nie narażałaby się na niebezpieczeństwo. Krótko mówiąc, jeśli idzie o Reбекę Lee, możemy powtórzyć za Tertulianem *Credo, quia absurdum*, iż należy w to uwierzyć (jeśli w ogóle), ponieważ jest niemożliwe do uwierzenia. Najwyraźniej została ona wyszkolona przez Jego Lordowską Mość oraz jego służącego, a te ich praktyki spowodowały, że rozrosły się i dojrzały bolesne urazy, jakich nabyła podczas swego pobytu w lupanarze. Jestem przekonany, że nie kłamie w zwykłym sensie tego słowa, to znaczy we wszystkim, co dotyczy owych wydarzeń oraz ich natury i znaczenia, gdyż ona wierzy, że tak było. Jako *non obstante* jestem przekonany, że jej zeznanie jest fałszem co do istoty prawdy relacjonowanych przez nią wydarzeń.

Tutaj muszę najpierw opowiedzieć Waszej Miłości o jej widzeniu, które zostało niezbyt szczegółowo zapisane. Jak sądzę, nie było ono odegrane z premedytacją, nie było też odmienne w swym charakterze od tego rodzaju scen, jakie się często zdarzają wśród jej współtowarzyszy, zabobonnych sekciarzy. Moim zdaniem więcej podejrzeń budzi jej zachowanie, kiedy przyszła do siebie, a którego nie potrafię wyjaśnić. Wydawało się, jakby nagle objawiła jakąś dotąd ukrytą część swego „ja”: bezczelność ulicznicy, którą zaobserwowałem u jej poprzedniej pani, Claiborne. Zostało zapisane, że się uśmiechała, ale nie ma wzmianki o jej źle maskowanej pogardzie, kiedy spytałem, czy się nie wstydzi tego, co widziała. Jednak nawet ta jej zuchwała i śmiała pogarda nie była przebiegłą grą mającą na celu oszustwo. Moim zdaniem ta jej wizja raczej sprawiła, iż umocniła się w swej upartej dumie, lub przestała zwracać uwagę na to, że jej zachowanie może zdradzić, jak bardzo gardzi moim przesłuchaniem.

Wasza Miłość sam zauważy, jak mało (albo czasem wcale) okazuje logiki, mówiąc o swych przekonaniach, i może skrytykować mnie, że nie nalegałem mocniej na ukazanie w pełni jej osobliwie zagmatwanej głupoty. Proszę, by Wasza Miłość

uwierzył mi, że tacy jak ona nigdy nie czują się upokorzeni, o nie, oni popadają w coraz większą apostazję i wreszcie nieodwracalnie są z nią związani. Znam takich jak ona nieuczonych ludzi, którzy raczej dadzą się spalić na stosie niż posłuchają głosu rozsądku albo odwołają swoje błędy; tak uparci są aż do śmierci. Przypominają bohaterów legendarnych romansów, na których został rzucony czar, są więc odtąd jego pozbawionymi rozsądku niewolnikami. Nikt nie zdoła ich przekonać, że ich wiara to fałsz. Rebeka Lee tym bardziej jest umocniona w swoim uporze, że jak się Wasza Miłość domyśla, *rota fortunae* wyniosły ją znacznie ponad przeznaczony jej status, mimo iż były to rozpusta i bezwstyd. Ona nigdy, jak to się powszechnie zdarza u jej płci, nie poznała mądrości Bożej dotyczącej przeznaczenia kobiet, których zadaniem jest pomagać mężczyźnie w domu i rodzinie.

Krótko mówiąc, Wasza Miłość może mi wierzyć, że nie da się ona łatwo sprowadzić ze swojej nowej drogi. Poza cytowanym przeze mnie przypadkiem na ogół w jej odpowiedziach było mniej zaprzeczenia i zuchwalstwa niż można by sądzić po tym, co zostało zapisane, czasem odnosiłem nawet wrażenie, iż było jej przykro, że odpowiada tak śmiało, ale tak musi z powodu nakazów swej wiary. Jest to mały pozytyw na jej korzyść, choć w ogólnym rozrachunku traci znacznie więcej. W większości przypadków wykazuje ona tak wielki upór w swych przekonaniach, z jakim sługa Waszej Miłości rzadko kiedy się spotkał. Widać to szczególnie wyraźnie w tym, co mówiła o sekretnych skłonnościach natury i charakteru Jego Lordowskiej Mości (Wasza Miłość wie o tym aż nazbyt dobrze), a co zaprzecza najwyraźniej naszej wiedzy w tym przedmiocie, podobnie jak w tym, co dotyczy przyszłości tego bękarta, którego się spodziewa.

Wasza Miłość domyśla się zapewne, że za takie twierdzenia można by ją zaskarżyć, gdyż jawnie, w sposób podły obraża każdą szacowną religię. Jednak czas, nie wątpię, już wkrótce ukaże jej karygodne zaślepienie i da bardzo bolesną naukę za jej arogancję. Poza tym, jak sądzę, Wasza Miłość zgodzi się z moją sugestią, że byłoby lepiej, gdyby tak wyraźnie bezbożne oświadczenie nie zostało podane do publicznej wiadomości, bowiem każde tego rodzaju urojone proroctwo, jak wiemy, ściąga tłumy hałastu. Najlepiej nie budzić licha, niech sobie śpi spokojnie. Nie muszę opisywać Waszej Miłości dalszych konsekwencji, jakie mogą wyniknąć, gdyby to złe lichy zostało obudzone i wydostało się na ulice. Takie osoby jak Rebeka Lee o wiele mniej są niebezpieczne, kiedy są zwykłymi heretykami, śmieciami świata, *puellae cloacarum*, niż kiedy się cieszą specjalnym nabożeństwem.

Uważam, że wszystko, co dotyczy jej religii, jest szkodliwe dla tego miasta, i takiego zdania jest też Fotheringay, który miał więcej do czynienia z jej współwyznawcami, bowiem choć na zewnątrz uznają prawo obowiązujące w naszym kraju, podczas swoich spotkań nie okazują dla niego poszanowania, wręcz przeciwnie, mówią, że jest to tyrania, która powinna być obalona, kiedy nadejdzie stosowny czas. Na wszystkie argumenty tych, którzy przeciw temu protestują albo chcą z nimi dyskutować, są głusi. Pan F. powiada, że zupełnie jakby nie mówili naszym językiem i nadal byli wśród nas francuskimi uciekinierami. Słyszano, jak Wardley powiedział, że jałową rzeczą jest dyskutować na tematy religijne ze zwykłymi chrześcijanami, gdyż w swej ignorancji są jak Turcy i z tego powodu będą potępieni.

Pan F. ma wśród nich swego szpiega, który ich sumiennie obserwuje. Obiecał mi, że ukróci ich działalność, jak tylko znajdzie dobry po temu powód, co ma nadzieję wkrótce się stanie. Do jakiego stopnia są we własnej obronie odważni i solidarni, to Wasza Miłość może wnioskować z obecnego przypadku. Jednak wracając do naszej sprawy, wierzę, iż Rebeka Lee, choć sprowadzona na manowce, jest wytrwała w swej buntowniczej nowej wierze. Nie przyjęła datku Waszej Miłości i ani przez moment nie kusilo jej, żeby wziąć ofiarowaną monetę. Raczej sprawiała wrażenie, iż uważa ją (niech Bóg jej to wybaczy) za pieniądze diabła i nie chce ich, pomimo iż zapewniałem, że były ofiarowane w najlepszej intencji. Bez wątpienia, jej silna wola ukryta jest czasem pod pozorami nieśmiałości. Kiedy Wasza Miłość powiedział po spotkaniu z nią, że nie jest przeciętną kobietą, jak zawsze miał rację. Nic więcej nie będę już mówił na jej temat.

Wasza Miłość zaszczycił mnie tydzień temu, nadmieniając, że nie powinienem ukrywać moich konkluzji z powodu oczywistego szacunku, jaki muszę żywić dla Jego wybitnej pozycji społecznej. Teraz więc, choć z największą niechęcią, będę posłuszny Jego życzeniu, jednak cisną mi się łzy do oczu, gdyż domniemana prawda, jaką zamierzam ukazać, jest tak bardzo gorzka. Wasza Miłość, ujmę to krótko: Chciałbym mieć nadzieję, choć nie mam podstaw, żeby w to wierzyć, że Jego Lordowska Mość żyje nadal. Opiera się to nie tylko na tym, o czym Wasza Miłość już wie: mianowicie że Jego Lordowska Mość od dnia, kiedy po raz ostatni był widziany, nie podjął żadnej należynej mu sumy z wyznaczonych sobie funduszy ani dochodów.

Biorę także pod uwagę śmierć Jego służącego, Thurlowa. Wasza Miłość wie, jakie przywiązanie okazywał ten człowiek swemu panu przez całe ich wspólne życie. Przypuszczam, iż sam zadał sobie śmierć z następującej przyczyny: jak pies w ludzkim

ciele, czym był, wiedział, że jego ukochany pan umarł, sam nie chciał więc dłużej żyć. To prawda, że jak w większości tego rodzaju wypadków, nie umarł z melancholii u boku swego pana, którego śmierć, jak sądzę, skłoniła go do tak desperackiego zakończenia swego życia. Miejsce, gdzie *felony de se* zostało dokonane, było, jak już mówiłem, w mojej obecności starannie przeszukane. Wszak obawiam się teraz, że popełniliśmy omyłkę. Zakładam, że mogło to mieć następujący przebieg: kiedy Thurlow zobaczył, że Jego Lordowska Mość zmarł w jaskini, uciekł w wielkim przerażeniu, o czym mówił Jones, ale później, kiedy dziewczyna i Jones odeszli, mogło to być dopiero następnego ranka, wrócił, żeby zobaczyć dokładnie to, w co nie mógł uwierzyć za pierwszym razem, a kiedy ujrzał w jaskini ciało swego pana, zakopał je w pobliżu albo może zaniósł w jakieś miejsce, którego nie znamy. Kiedy zaś dokonał tego najbardziej ponurego zadania, oddalił się i zrozpaczony skończył ze sobą. Na podstawie tego przypuszczenia muszę nadal bazować, jako powodu śmierci Jego Lordowskiej Mości.

Jeszcze muszę dodać to, co jest dowodem przez zaprzeczenie, a jednak nabiera mocy wraz z upływem czasu, a mianowicie nikt nic nie słyszał o Jego Lordowskiej Mości od owego ponurego dnia pierwszego maja: ani żeby wsiadł na statek, ani żeby zamieszkał w którymś mieście. Można by powiedzieć, że zaokrętował się potajemnie, może nie w Bideford ani Barnstaple, ale w jakimś innym porcie, gdzie myśmy nie prowadzili poszukiwań, i nadal w wielkiej tajemnicy żyje tam, dokąd się udał. Powstaje jednak pytanie, dlaczego nie wziął ze sobą służącego? W sprawach, kiedy nie mamy pewności, musimy brać pod uwagę prawdopodobieństwo. Nie można, niestety, powiedzieć, iż wedle dużego prawdopodobieństwa żyje on w odosobnieniu na obczyźnie. Jak Wasza Miłość wie, żaden z naszych agentów i ambasadorów, do których pisałem, nie udzielił odpowiedzi, na jaką liczyliśmy.

Polecenie Waszej Miłości obliguje mnie teraz, żebym przekazał moje najbardziej smutne przypuszczenie, mianowicie stwierdzić, jak Jego Lordowska Mość mógł dojść do tego fatalnego końca. Wasza Miłość, mógłbym wierzyć w to, że został podstępnie zamordowany, gdyby istniał jakikolwiek dowód na to czy choćby prawdopodobieństwo. Wasza Miłość wie równie dobrze jak ja, że nie ma takiego dowodu. *Horresco referens*, ograniczę się do tego: Jego Lordowska Mość sam sobie zadał śmierć. I w tym Thurlow, jak w wielu innych sprawach, poszedł w ślady swego pana.

Nie będę powtarzał tego wszystkiego z przeszłości Jego Lordowskiej Mości, co

Wasza Miłość zna o wiele lepiej niż ja, a co tylekroć budziło dezaprobatę Waszej Miłości i Jego rodzicielski ból, jednak muszę wierzyć, że mamy najlepsze podstawy, by wyjaśnić, co się wydarzyło w kwietniu tego roku. Nie mówię tylko o filozoficznych poszukiwaniach Jego Lordowskiej Mości, które prowadził wbrew życzeniom Waszej Miłości, ale o czymś więcej, o tym mocnym duchu sprzeciwu, na który Jego Lordowska Mość sobie pozwalał, z pasją folgując swoim zainteresowaniom.

Aż nadto dobrze wiemy z historii, że takie poszukiwania mogą oderwać ich adepta od szlachetnego świata rozumu, od pożytecznych i godnych pochwały badań i zaprowadzić w czarny labirynt Chimery, w dziedziny wręcz bluźniercze i zabronione śmiertelnikom. Jestem przekonany, że to właśnie się przytrafiło Jego Lordowskiej Mości. W grzeszny sposób uporczywie próbował przeniknąć jakąś ciemną tajemnicę egzystencji, a nawet został nią opętany, co może się stało, ponieważ nie mógł zrealizować swego wielkiego zamysłu. Nie twierdzę, że wersję, którą opowiedziała Rebeka Lee Jonesowi, należy uważać za prawdę, jednak może była ona bliższa faktycznym wydarzeniom. Nie twierdzę, że świadomie kłamała, jednak nie wiadomo, czym powodowana chciała, by uwierzono w coś wręcz przeciwnego niż zamierzała. Wasza Miłość spyta, w jaki sposób do tego doszło, a ja na to nie potrafię odpowiedzieć. Jedynie mogę stwierdzić, iż bez wątpienia Rebeka Lee ma pewne wrodzone skłonności, które zauważył Jego Lordowska Mość, i doszedł do wniosku, że może je wykorzystać, by osiągnąć swój cel.

Nie wątpię też w ogólny zarys tego wielkiego planu. Nie będę nużył Waszej Miłości wyliczaniem, jak wiele od dawna świadczy o przewrotnej chęci Jego Lordowskiej Mości, by negować to, do czego skłaniać go powinien był rozum i synowski szacunek, wręcz nie tylko skłaniać, lecz wobec jego wysokiej rangi społecznej podtrzymywać i podnosić. Wszyscy przy różnych okazjach słyszeliśmy, słowa i opinie z ust Jego Lordowskiej Mości, które obrażały zarówno boską mądrość i jej odbicie w naszym ziemskim świecie – powiedziałbym mądrość, dzięki której ten świat istnieje, jej dalekowzroczność w kwestiach obywatelskich i politycznych. Zapewne Jego Lordowska Mość powodowany szacunkiem dla swego szlachetnego ojca, kiedy był w złej wnie, często nie wygłaszał przed nim swoich poglądów. A kiedy to robił, w innych okolicznościach, których byłem świadkiem, słyszałem, jak nieraz damy mówiły, że po prostu on lubi dokuczać, krytycznie zaś nastawieni dżentelmeni uważali go jedynie za idącego na fali mody cynika, który większą uwagę zwraca na to, jakie wrażenie robi w eleganckim towarzystwie niż na własną nieśmiertelną duszę.

Nawet ci bardziej sprawiedliwie go oceniający winę za jego poglądy składali na karb tego, że był młodszym synem i żywił z tego powodu głęboką urazę.

Pragnę tu powtórzyć to, co sir Richard Malton powiedział mi ostatnio w Londynie na temat abolicji uchwały przeciwko czarnoksięstwu: choć należy przyjąć, że stare wiedźmy zniknęły, istnieje wielu bezczelnych libertyńskich filozofów, gotowych zająć ich miejsce. Jest sporo takich w Londynie, Wasza Miłość, którzy nie krępują się wyznawać, że nie wierzą w nic prócz czerpania przyjemności z rozpusty, którzy w ogóle nie przejmują się Kościołem i Religią, jak też Królem i Konstytucją, którzy przeszliby bez skrupołów na mahometanizm, gdyby wiedzieli, że zdobędą w ten sposób intratną posadę czy jakiś przywilej. Jednak to nie są ci, o których mówił sir Richard, oni są tylko niewolnikami zgubnej mody naszych czasów. *Nos haec novimus esse nihil*, gdyż istnieją poza tym gorsi, znacznie gorsi. Ci wspomniani wyżej jawnie deklarują, kim są. Ci, o których mówię, przeważnie chowają się za maską tego, w co naprawdę wierzą, i pracować będą nad tym, jak wziąć w ryzy ten świat, albo ujawniają tylko tyle, żeby ich uważano za niewolników mody, jak w przypadku Jego Lordowskiej Mości. Jak lisy kryją się za maską tupetu, byśmy nie zobaczyli, dokąd naprawdę zmierzają, ani jakie są ich prawdziwe zamysły.

Dwanaście miesięcy temu zdarzyło się, iż spytałem Jego Lordowską Mość, czym się zajmuje w swoich badaniach, a on odpowiedział, jak mi się wtedy zdawało, na poły gorzkim żartem. Interesuje mnie to, powiedział, jak można zrobić z ropuchy człowieka, a z głupca filozofa. Na co rzekłem, że uzurpuje sobie boskie prerogatywy. Odparł, że się myślę, ponieważ świat pokazał nam, że można całkiem łatwo przemienić ludzi w ropuchy, a filozofów w głupców i że raczej powinien sobie uzurpować diabelskie prerogatywy. Teraz wierzę, Wasza Miłość, że gdy mówił o tej przemianie, mieściła się w tym pewna część wyznania, które mógłby złożyć, gdyby okazja była bardziej sprzyjająca. Tak naprawdę wątpił we wszystko: w narodziny, społeczeństwo, rząd, sprawiedliwość, wolałby żeby w jakimś innym lepszym świecie dzisiejsze założenia i układy okazały się złe i zepsute. Jednak nie był na tyle odważny ani może zbyt przebiegły, żeby mówić o tych rzeczach otwarcie.

W wyniku jakiejś słabości albo strachu, Wasza Miłość, wierzę, iż doszedł wreszcie do tego, co wydarzyło się w kwietniu. Przekonał tę, która w tym była względnie niewinna, a poza tym na tyle łatwowierna, by dowieść tezy, której nie ośmielał się sam postawić, ukrytej pod płaszczykiem buntowniczej religii. Mówiąc wprost, że ten świat, który istnieje, należy obalić. Fakt, iż była to kobieta, a do tego

ladacznicą, dowodzi, że był szaleńcem, by porywać się na takie przedsięwzięcie, opierając się na tak słabej podstawie, jednak użył jej do pierwszej próby, gdyż chciał się przekonać, czy ta prosta kobieta, dostarczająca mężczyznom przyjemności, może być przemieniona w fanatyczkę, narzędzie jego tajemnych celów. Nie mógłby tego poprzeć żaden myślący człowiek, gdyż jest to wartościowanie nie wedle czyjejs kondycji, lecz według niego samego, nie wedle urodzenia, lecz faktu istnienia. Jest to wyraźne naśladowanie owych francuskich proroków: wszyscy muszą być traktowani tak samo. Ona także to niebezpieczne przekonanie odnosi do spraw religijnych. Ich ogólne nastawienie to agresywność polityczna, charakterystyczna dla tłumu, żeby między innymi zniszczyć święte prawa dziedziczości. Oni zniszczyliby ten naród całkowicie. Wątpię czy Jego Lordowską Mość przejmował się choć trochę wyznawaną przez nich religią, jednak był wyznawcą innych przekonań.

Wasza Miłość, po tak smutnej zapowiedzi muszę przejść do konkluzji. Otóż sądzę, że zniszczyliby on świat, który go zrodził, i któremu wszystko zawdzięczał, nawet te środki, które umożliwiły mu przeprowadzenie jego planów. Siebie samego również zniszczyliby. *Fiat experimentum in corpore vili*, a czyniąc to, uczynił zło samemu sobie, wpadł we własne sidła. Z tego, co o nim mówiono, i z jego zachowania podczas tej ostatniej podróży widzimy, że sam potajemnie żywił wiele wątpliwości, a planowane przedsięwzięcie budziło jego obawy na długo przedtem, nim zostało zakończone. Jak mógł nie dostrzec, że zaniechał prawdziwych badań naukowych na rzecz zwykłych kuglarskich sztuczek, takich jak w Stonehenge? W jaki sposób sprowadził tam światło na niebo i ukazał te dwie postacie, które bluźnierczo miały uchodzić za Boga Wszechmogącego i Jego Syna, nie wiemy. Trzymał się na uboczu, kiedy to wszystko się tam działo; nie wątpię, że ci, których wynajął, zostali sowiec opłaceni, wszystkie dowody oszukaństwa zostały usunięte pod osłoną ciemności; podobnie było w jaskini, choć trzeba pamiętać, że o tym, co się tam działo, wiemy tylko na podstawie zeznań Rebeki Lee, które są jednym wielkim popisem fantazji, a nie rzeczową, godną wiary relacją. Tuszę, iż Wasza Miłość nie przypisuje jej świadomej złej woli i oszustwa, zapewne był to wynik jakiegoś narkotyku lub odurzającego napoju, a może czegoś w rodzaju czarnej magii.

Wierzę, iż sumienie miłosiernie położyło kres przedsięwzięciu Jego Lordowskiej Mości, który wreszcie musiał uznać wobec samego siebie, iż popadł w szaleństwo, w bezbożny związek z tym wszystkim, od czego odżegnuje się przyzwoitość, nakłaniany do tego przez nierozumną i wrogą nienawiść i urazę nie

tylko wobec swego szlachetnego ojca, ale też świętych zasad i wierzeń, wobec całego uczciwego społeczeństwa. Najmłodsza siostra Jego Lordowskiej Mości powiedziała mi kiedyś, że jej brat jest jak wahadło, nigdy, nawet przez minutę, nie może być w tym samym nastroju. W tej ciemnej devońskiej jaskini zapewne przekonał się, że jak wahadło oddalił się od wszystkiego, czego dokonał, i pożałował tego z gwałtownością niezwykłą nawet dla niego samego, powodowany zaś tą właśnie gwałtownością położył kres swemu nieszczęsnemu życiu. Wasza Miłość, nie mogę twierdzić, że tak było. Jednak mogę przypuszczać, i na tej podstawie powiedzieć, że kiedy stwierdził, iż zgrzeszył, i to w sposób jak najbardziej odrażający, musiał potępić siebie za to, co uczynił, co było jedyną właściwą ekspiacją za jego straszne zbrodnie.

Wasza Miłość nie obrazi się, mam nadzieję, że tak śmiała wyciągnąłem konkluzję, gdyż uczyniłem to na Jego własne życzenie. Jak zapewne Wasza Miłość sobie przypomina, wyznał osobiście swemu najbardziej pokornemu słudze, że gdyby nie zaprzeczały temu wszelkie dowody, a nawet wielkie podobieństwo fizjonomii, uważałby, że Jego Lordowska Mość był odmieńcem. Obawiam się, że Wasza Miłość nie mylił się i słusznie wyciągnął wniosek, że we wszystkich sprawach, z wyjątkiem dziedzictwa krwi, Jego Lordowska Mość istotnie był odmieńcem, a nie prawdziwym synem Waszej Miłości.

Wasza Miłość zadał mi również pytanie, w jaki sposób najlepiej przekazać tę sprawę Jego czcigodnej małżonce. Proponuję tutaj z wielkim szacunkiem, co następuje: dzięki naszej niewiedzy nie musimy przekazać najgorszej wiadomości dotyczącej Jego Lordowskiej Mości, o czym w tym liście z wielką ostrożnością, ale wedle prawdopodobieństwa mówiłem. Nie możemy uwierzyć w to, co o nim mówiła Rebeka Lee, jaki był i kim się stał, gdyż byłoby to niezgodne z tym, w co wierzy rodzina. A może powiedzieć, że mieszka w obcym kraju, gdzie nie chce zdradzić swego incognito, gdzie przebywa dlatego, iż uznał, że tak bardzo zranił Waszą Miłość, i nie chce Mu więcej sprawiać kłopotu? Można powiedzieć też, że zastanawia się nad wyrządzoną przez siebie niesprawiedliwością i we właściwym czasie powróci, by prosić Waszą Miłość o przebaczenie.

Piszę ten list w pośpiechu, żeby jak najprędzej został doręczony Waszej Miłości. Dowie się Wasza Miłość, z jakim smutkiem, a zarazem lękiem zawiodłem Jego nadzieje, nie doprowadzając spraw mimo jak największych wysiłków do bardziej szczęsnego zakończenia. Człowiek powodowany swą naturą chciałby wiedzieć wszystko, ale to Bóg decyduje, co można wiedzieć, a czego nie można. Musimy się

zatem poddać Jego wielkiej mądrości i łasce w takich sprawach, które On najlepiej dla nas śmiertelników rozwiązuje, choć o tym nie wiemy. Wobec tej wielkiej tajemnicy jak najbardziej pokornie radzę, by Wasza Miłość szukał pocieszenia w bardziej ziemskich sprawach, a więc często przebywał w towarzystwie swej czcigodnej małżonki oraz czcigodnego syna, pana Markiza, (który w przeciwieństwie do swego brata tak wspaniale uosabia cnoty swego ojca), oraz tych uroczych dam, Jego córek. Cóż, choć jeden kwiat zwiędł, inne mogą przynieść tym większe pocieszenie.

Wkrótce po przeczytaniu tej przesyłki przez Waszą Miłość stawię się przed Jego obliczem i na Jego rozkazy. Kończąc teraz, proszę Waszą Miłość o przyjęcie wyrazów mego najgłębszego współczucia z powodu tak nieszczęsnego zakończenia mego śledztwa i jak najbardziej szczerze zapewniam o gorliwości we wszystkich sprawach, Jego pokorny sługa

Henry Ayscough

Z sąsiedniego pokoju dobiega szmer głosów, przeważnie kobiecych, jakby niewielka grupa spokojnie czekała na jakieś wydarzenie, choć to wydarzenie w dniu dwudziestym ósmym lutego miało już miejsce, i trzech obecni mężczyźni: Wardley, Hocknell i John Lee, zostali właśnie wpuszczeni z Toad Lane, gdzie przedtem musieli przebywać. Rebeka leży sama na twardym łóżku w wewnętrznej piwnicznej izbie, leży na plecach, twarz ma wymęczoną, bez wyrazu, teraz, kiedy już po wszystkim, niemal ponurą. Jest południe, dziwna pora, żeby leżeć w łóżku, ale ona nie może wstać i nie powinna. Nagle głosy na zewnątrz cichną, zebrani tam najwidoczniej nasłuchują. W drzwiach pojawia się cień – to John Lee z ciasno owiniętym przed chwilą noworodkiem, którego mocno przyciska do siebie prawym ramieniem. Obraz człowieczego zagubienia. Obrazu tego nie poprawia fakt, że powoli i jakby po dłuższym ociąganiu się zdejmuje kapelusz przed tym echem znacznie większych Narodzin, które wydarzyły się w podobnie nędznych warunkach. Rebeka patrzy na zawiniątko. Poważna i zmieszana twarz mężczyzny zdaje się zwiastować koniec świata, ale po chwili namysłu pokazuje się na niej cień chłodnego uśmiechu.

– Dobrze się czujesz?

– Bardzo dobrze, mężu.

– Modliłem się za ciebie i za tę nową duszyczkę.

– Dziękuję ci.

Podchodzi teraz do niej, trzymając w obu rękach nowo narodzone dziecko, absurdalnie owiązane jak paczka, i kładzie w wyciągnięte ręce matki. Odrażający obyczaj ciasnego spowijania dzieci właśnie kończył się wśród bardziej wyemancypowanych kobiet, jak też dzięki filozofowi Johnowi Locke'owi, niestety, jeszcze nie wśród biedaków. Kowal-prorok obserwuje, jak żona kładzie zawiniątko koło siebie i patrzy nań z dziwną paradoksalną intensywnością, na poły z miłością, na poły ze zwątpieniem, zarazem obiektywnie i subiektywnie, z pewnością, ale i ze zdumieniem, jak patrzy młoda matka po raz pierwszy na to, co zrodziło się z jej wnętrza... na tę istotę długo ukrytą w głębinach oceanu, a jednak cudownie żywą. Twarzyczka dziecka nie jest wcale boska, lecz pomarszczona, jakby nadal przebywała w wodzie. Nagle maleństwo otwiera oczy, wydaje się zdumione odkryciem tego nowego i nieszczęsnego świata, na który przyszło, a jednak jest już w nich błysk lazuru, bezmiar pustego nieba. Przyjdzie czas, kiedy ludzie będą pamiętać te oczy, ich błękitną szczerość i niezłomną prawdę, która wcale nie będzie pusta.

John Lee z powrotem wkłada swój szerokoskrzydły kapelusz.

– Kupiłem wam obu podarek.

Rebeka przenosi wzrok z dziecka na niego i uśmiecha się lekko, w głębi serca nie dowierzając, że może ją spotkać taka zwyczajna przyjemność.

– Co to jest?

– Ptaszek. Chcesz zobaczyć?

Odwraca się, idzie do sąsiedniego pokoju i wraca, trzymając za wiklinowy uchwyt owinięty jak dziecko materiałem, mały kwadratowy przedmiot. Trzyma go teraz nad łóżkiem, tak by ona mogła lepiej widzieć, i ściąga materiał. W małej łożinowej klatce znajduje się szczygieł. Barwnie upierzony ptaszek przerażony uderza skrzydełkami o brunatne pręty.

– On się oswoi i będzie śpiewać.

Rebeka wyciąga wolną rękę, żeby dotknąć klatki.

– Musisz ją powiesić przy drzwiach, w świetle.

– Tak.

John Lee przez dłuższą chwilę spogląda na ptaszka, który teraz wcisnął się w kąt klatki, jakby znaczył dla niego więcej niż leżące na łóżku koło Rebeki zawiniątko.

– Bóg tej nocy dał mi dla niej imię.

– Jakie?

– Maria.

– Obiecałam Panu, że będzie miała na imię Anna.

– Żono, musisz być posłuszna. Nie możemy odmówić daru. Było to wyraźnie powiedziane.

– Nie odmawiam żadnego daru.

– Właśnie odmawiasz. To nie przystoi w takiej chwili. Co Pan dał nam, musimy przyjąć.

– Co więcej otrzymaliśmy?

– Ona ujrzy ponowne przyjście Jezusa Chrystusa.

– Możemy jej dać dwa imiona.

– Dwa imiona to próżność. Jedno wystarczy.

Przez chwilę milczy, tylko patrzy na niego, potem spogląda na nędzny koc, którym jest przykryta, i mówi:

– Powiadam ci, Johnie Lee, że kiedy nasz Pan przyjdzie znowu, będzie w postaci kobiety, a matka powinna znać Jej imię.

Patrzy na nią w milczeniu niepewny, czy taka lekkomyślność nie zasługuje na nagane, czy raczej może należy ją zignorować. Wreszcie pochyla się, kładzie niezręcznie rękę na jej ramieniu, w jednej czwartej jest to gest błogosławieństwa, w jednej czwartej wybaczenia i w dwóch czwartych całkowitego niezrozumienia. Jak wielu innych proroków ślepy jest na terażniejszość. Prostuje się.

– Zaśnij. A kiedy się obudzisz, zrozumiesz, że musisz być posłuszną.

Wychodzi, zabierając klatkę. Przez długą jeszcze chwilę młoda kobieta wciąż wpatruje się w koc. Słyszy, jak John coś mówi, może o szczygłe. Zapada cisza i po chwili rozlega się śpiew ptaka z drzwi wejściowych do piwnicy, delikatne srebrzyste dzwonięcie, przenikające ponure izby niczym promień słońca, przenikające także sumienie.

Teraz Rebeka przenosi wzrok na małą istotę, którą trzyma w ramionach. W oczach jej maluje się jakby zdumienie, że oto ktoś wtargnął w jej świat, unosi głowę i bardzo delikatnie całuje różowe, pomarszczone czołko.

– Więcej miłości, Anno. Więcej miłości, mojej miłości.

Buzia dziecka zaczyna się marszczyć, co jest zapowiedzią płaczu, który wnet rozbrzmiewa w izbie. W kilka sekund później, kiedy małe usteczka zostają przytknięte po raz pierwszy do piersi matczynej, płacz ustaje. Na zewnątrz słychać znowu gwar głosów. Rebeka karmi dziecko, z oczyma zamkniętymi, pogrążona w zachwycie nad tą afirmacją samej siebie, czego opisać nie mogą słowa, jakie zna. Na chwilę otwiera oczy i patrzy w ciemny kąt izby, jakby ktoś tam stał, potem znów je zamyka. Zaczyna lekko kołysać dziecko, niedosłyszalnie przy tym nucąc. Dziecko leży uciszone. Jest to bardzo prosta kołysanka, składająca się tylko z trzech powtarzanych słów: „Vive, vi, vive vum, vive vi, vive vum, vive vi, vive vum...”; nie są to zwykłe słowa i w ogóle nic nie znaczą.

Epilog

Czytelnikom, którzy coś niecoś wiedzą o tym, kim to dziecko urodzone w Manchesterze stało się w realnym świecie, nie muszę mówić, że jest to bardzo niehistoryczna powieść. Wydaje mi się, że ta dziewczynka naprawdę się urodziła dwa miesiące przedtem, nim zaczyna się moja opowieść, 29 lutego 1736. W rzeczywistości nic nie wiem o jej matce i prawie nic o innych postaciach, takich jak Lacy i Wardley, którzy istnieli naprawdę. Tutaj, z wyjątkiem nazwisk, są postaciami przeze mnie wymyślonymi. Może istnieją książki i dokumenty, które w historycznych kategoriach powiedziałyby mi więcej. Z nikim się nie konsultowałem, nie czyniłem żadnych wysiłków, żeby je odnaleźć. Powtarzam: jest to larwa, załączek, a nie próba przedstawienia poprzez fakty albo słowa kompletnego wycinka historii.

Żywię wielki szacunek dla dokładności i skrupulatności udokumentowanej historii, nie tylko dlatego, że część swego życia (w bardzo pokorny sposób) jej poświęciłem, ale dlatego, że ta wymagająca dyscyplina jest w swej istocie niezwykle odmienna w celach i metodach od fikcji. Na tych stronach tylko raz wspomniałem Daniela Defoe (który zmarł w 1731), co jest jedynie namiastką podziwu i sympatii, jakie zawsze do niego żywiłem. *Larwa* nie zamierza być bezpośrednim naśladownictwem, gdyż w żadnym wypadku nie można go naśladować. Jednak coś przejąłem z jego powieści.

Mój tekst jest larwą, załączkiem, który rozrósł się z prymitywnego obrazu podróżnych, jaki ukazałem na początku. Pewnego dnia jedna z owych tajemniczych osób uzyskała twarz. Otóż przypadkiem kupiłem akwarelę, wizerunek młodej kobiety, bez podpisu artysty, tylko w rogu widniał napis atramentem po włosku: 16 lipca 1683. Ta dokładna data z początku spodobała mi się tak samo jak rysunek, który niczym specjalnym się nie wyróżniał, jednak coś w pociągłej, poważnej twarzy tej kobiety, jakaś w jej oczach niezrozumiała obecność, odmowa umierania, zaczęły powoli mnie nawiedzać. Może owa odmowa umierania, tak nierealna przecież we wszystkich aspektach, związała tę prawdziwą i nieznaną kobietę z inną, znaną, którą od dawna szanowałem, a której narodzin byliście właśnie świadkami.

Ten dziwaczny pomysł, żeby wizerunek siedemnastowiecznej Włoszki (i prostytutki, jak przypuszczam) skojarzył mi się ze znacznie później urodzoną, wybitną i świątobliwą Angielką, musi zachwiać wszystkimi normalnymi poglądami na to, jak powstaje powieść. Tym czytelnikom, których uszy nie reagują na nazwisko Anny Lee

ani nie wiedzą, kim była w rzeczywistym świecie, opowiem o niej.

Rzadko się zdarza, by ateista dedykował powieść pewnej formie chrześcijaństwa. Mimo to książka ta została napisana częściowo z wielkiej sympatii dla Zjednoczonego Stowarzyszenia Wierzących w Drugie Przyjście Chrystusa (grupy lepiej znanej jako „shakerzy”), którego Anna Lee była założycielką. Teraz dla większości ludzi pojęcie „shaker” oznacza styl mebli oraz ultrapurytanizm zbliżony do ascetyzmu niektórych zgromadzeń zakonnych (takich jak cystersi) na drugim przeciwległym religijnym krańcu. Ortodoksyjni teolodzy zawsze gardzili doktrynalną naiwnością tej sekty, ortodoksyjni duchowni ich fanatyzmem, ortodoksyjni kapitaliści ich komunizmem, ortodoksyjni sensualiści ich odrazą do wszystkiego, co cielesne, a ortodoksyjni mężczyźni ich zdumiewającym feminizmem. Jednak ja uważam ich za jeden z najbardziej fascynujących – i profetycznych – epizodów w długiej historii protestanckiego dysydentyzmu, i to nie tylko z powodów społecznych i historycznych. Coś w myśli i teologii „shakerów” (w tym również ich twierdzeniu, że Trójca Święta, pozbawiona pierwiastka żeńskiego, nie może być święta), ich dziwne obrzędy i wspaniałe twórcze życie praktyczne, ich bogaty język metafor i pełne polotu zastosowanie muzyki i tańca, zawsze zdawały mi się zapowiadać zespolenie fikcji z rzeczywistością. My, powieściopisarze, także domagamy się daleko posuniętej wiary, często wręcz absurdalnej wobec normalnej rzeczywistości; my także potrzebujemy pewnej dozy zrozumienia ze strony czytelników wobec prawd ukrytych w naszych metaforach.

W latach czterdziestych i pięćdziesiątych siedemnastego wieku Anglia miała już za sobą okres zdecydowanego dysydentyzmu i samoodkrycia, historycznie Anna Lee przychodzi później. Zaledwie w kilka lat po jej urodzeniu, w kwietniu 1739, niezadowolony, a jednak wyświęcony w Kościele anglikańskim duchowny stanął na wzgórzu Kingsdown, wówczas znajdującym się poza miastem Bristol, i przemówił (z pewnością nie było to uroczyste kazanie) do zebranej bristolskiej biedoty, składającej się głównie z górników oraz ich rodzin. Wielu jego słuchaczy zaczęło płakać, inni byli tak przejęci i wzruszeni, że wpadli w katatoniczny trans. Z całą pewnością na tych bardzo prostych ludzi, analfabetów, łatwo można było wpływać, teraz takie zjawiska są całkiem zrozumiałe, zarówno antropologicznie, jak i psychologicznie. Ale na Kingsdown objawiło się coś więcej niż charyzma mówcy. Na zgromadzonych spłynęło światło. Zupełnie jakby dotąd byli ślepi (co w przypadku wielu górników istotnie miało miejsce), żyli w ciemności.

Sądę, że zawdzięczamy tyle samo tym wszystkim spontanicznym łzom, łkaniom i ekstazom ludzi niepiśmiennych, co filozofom ducha i wrażliwym artystom. Nieortodoksyjna religia była jedynym wehikułem, dzięki któremu większość tych, którzy nie byli ani filozofami, ani artystami, mogła wyrazić to bolesne wyrastanie nasienia swego „ja” z twardej gleby irracjonalnego i spętanego tradycją społeczeństwa – społeczeństwa nie tak znowu irracjonalnego, żeby nie wiedziało, jak wiele zależy od tego, by nie dostrzec, iż jego tradycje podane są w wątpliwość, jego fundamenty zachwiane. Czy możemy się dziwić, że nowo narodzone ego (którego wiek młodzieńczy możemy nazwać wiekiem romantyzmu) często wybierało środki, by przeżyć i wyrazić siebie tak samo irracjonalnie, jak ci, którzy je powstrzymywali?

No cóż, nienawidzę współczesnego ewangelizmu z jego fałszywymi technikami w stylu Madison Avenue i powszechnie odrażającym konserwatyzmem w polityce. Prawie zawsze bez wahania opiera się na tym, co najgorsze, najbardziej zacofane w chrześcijaństwie, jest podstępny zwolennik tego wszystkiego, co reakcyjne we współczesnej myśli i polityce, i w ten sposób zaprzecza prawdziwej istocie samego Jezusa. Nie żebym uważał tę cechę za pozytywną w innych religiach, takich jak islam. Ale to, co się stało z Johnem Wesleyem i Anną Lee oraz im podobnymi w osiemnastym wieku, to coś całkiem odmiennego: emocjonalne oświecenie obok, prawie pomimo, intelektualnego (i średnio zamożnej burżuazji) oświecenia, z którego słynne jest *siècle de lumières*. Mieli oboje, Wesley dzięki swej energii i sile przekonania, Anna Lee dzięki swemu uporowi (wielkiej też dzielności) i poezji (genialna była w obrazowaniu) jasną wizję tego, co złe w ich świecie. Wizja Anny była bardziej dokładna niż Wesleya, który to fakt należy przypisać jej płci, ale może nade wszystko temu, że była niewykształcona, a więc nie splamiona obiegowymi wierzeniami, wyuczoną tradycją i wpływem innego rodzaju oświecenia. W głębi serca ludzie tacy jak Anna byli rewolucjonistami, podobnie jak pierwsi chrześcijanie oraz ich Założyciel.

Wysiłki (zwłaszcza Johna Wesleya) miały pewnego dnia wyhodować bigoterię o wąskich horyzontach, wewnętrzną tyranie, tak samo ośmieszającą życie jak tyranie, którym próbowali położyć kres albo od nich uciec. Ale ja tu mówię o tej początkowej fazie, kiedy był w nich duch, nim przyszedł zorganizowany biznes religijnego nawracania i zdobywanie *en masse* zwolenników, co przyćmiło ich wspaniałe osobiste przykłady i siłę. Cóż to za smutna ironia w całej historii religii, że choć teraz tak bardzo podziwiamy i cenimy architekturę shakerowską i meble, że padamy na kolana przed

nimi, natomiast całkowicie odrzucamy ich wiarę i styl życia, jakie uformowały te rzeczy.

Shakerzy mieli czysto angielskie korzenie, ale wkrótce na skutek prześladowań musieli opuścić Anglię. W Manchesterze prawdziwa Anna Lee najpierw pracowała we młynie, potem kroila błamy futrzane dla pewnego kapelusznika, potem była kucharką w infirmerii, wyszła za mąż (za Abrahama Stanleya, kowala!) i urodziła mu czworo dzieci, które wszystkie przedwcześnie zmarły. Wyjechała do Ameryki w roku 1774, w towarzystwie małego grona współwyznawców. W Ameryce prawie natychmiast opuścił ją mąż i przez kilka lat jej „rodzina” była tak samo nękana jak w Anglii. Rozwój, dojrzałość i upadek Stowarzyszenia – wszystko to nastąpiło w Ameryce. Wiele dogmatów i praktyk w jego zgromadzeniach zostało sformułowanych po śmierci Anny w 1784 roku przez jej uczniów, takich jak Joseph Meacham i Lucy Wright, ale w tym wszystkim (nie tylko w okresie wielkiego ożywienia w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku) kryje się piętno niezwyklej osobowości Anny.

Łatwo teraz pomniejszać żniwo jej działalności, rysunki powstałe z duchowej inspiracji, pieśni i muzykę, transy, w jakie wpadała, spontaniczną religijność i propagowanie seksualnej abstynencji, z której Stowarzyszenie było słynne (i którego niebezpieczeństw było w pełni świadome, próbując kompensować to wyrzeczenie rozmowami oraz różnego rodzaju obrzędami). Podobną żywiołową i podejrzaną religijność można zaobserwować przed pojawieniem się Anny u tych wczesnych francuskich proroków, których nazwiska zacytowałem ustami Wardleya.

Jednak nie wolno pominąć problemu tak istotnego dla myślącego odłamu Zjednoczonego Stowarzyszenia, mianowicie świadomego dążenia, by uciec od nauki, rozumu, ustalonych wierzeń i religii w to, co jedynie tłumaczy ucieczkę od tak potężnych bogów, w bardziej ludzkie społeczeństwo, które należy stworzyć, w to wszystko, co zawarte w słowach „więcej miłości”. Świadczyło to o tym, że Anna Lee i wcześnie shakerzy przewidzieli, że nie tyle antychryst, ile z pewnością Mammon, powszechna chciwość każdego człowieka, pragnienie żeby mieć więcej pieniędzy, więcej bogactw i przedmiotów, pewnego dnia zapanuje nad światem i zagrozi mu zniszczeniem. Nasz obecny świat jest tak samo jak biedny Dick głuchy na wezwania Anny o prostotę, umiar i samokontrolę. Wspólnoty shakerów w zasadzie obecnie nie istnieją. Dla dwudziestowiecznego Adama i Ewy ich wiara jest zbyt prosta, ich zasady zbyt radykalne. Jednak dla mnie coś innego w nich nie umarło.

Dysydyntyzm jest powszechnie znanym ludzkości zjawiskiem, jednak w

północnej Europie i Ameryce, jest on, sędzę, naszą najbardziej cenną dla świata spuścizną. Kojarzmy go zwłaszcza z religią, bowiem każda nowa religia zaczyna się od odstępstwa, to znaczy odmowy, by wierzyć w to, w co ludzie sprawujący władzę każą nam wierzyć, i co nam nakazują i do czego nas zobowiązują, stosując wszelkie metody, począwszy od totalitarnej tyranii i brutalnej przemocy aż do manipulowania środkami masowego przekazu i kulturalnej hegemonii. W istocie jest to wieczny biologiczny albo ewolucyjny mechanizm, nie coś, co kiedyś było konieczne, po to tylko, żeby sprostać potrzebom wcześniejszego społeczeństwa, kiedy wierzenia religijne były wielką metaforą i matrycą scalającą wiele rzeczy poza religią. Dysydyntyzm jest zawsze potrzebny, a w naszym wieku bardziej niż kiedykolwiek.

Historycznie wyewoluowana zewnętrzna forma, zaadaptowana jak w roślinie czy zwierzęciu, by sprostać pewnemu układowi warunków, jest skazana na klęskę, kiedy pojawi się nowy układ, co moim zdaniem całkiem wyraźnie widać na przykładzie nie tylko Zjednoczonego Stowarzyszenia, ale zachodnich społeczeństw jako całości. To co shakerzy „skreślili” albo potępiłi w społeczeństwie i świecie, w którym musieli żyć, wydaje się nam czymś niezwykłym, utopijnym, a ich remedia są dzisiaj nie do zastosowania, jednak przynajmniej niektóre pytania, które zadali, i wyzwania, które rzucili, pozostają moim zdaniem nadal bez odpowiedzi.

Od osiemnastego wieku w tylu innych dziedzinach niezwykle się rozwinęliśmy, ale na ich zasadnicze proste pytanie: jaka moralność usprawiedliwia jawną niesprawiedliwość i nierówność w ludzkim społeczeństwie? – nie daliśmy jak dotąd żadnej odpowiedzi. Istotnym powodem jest to, że popełniliśmy kardynalny grzech, tracąc dawne poczucie przeciętności, to znaczy mądrego umiarkowania. Świadczy o tym sposób, w jaki wypaczyliśmy i zdeprecjonowaliśmy to pojęcie (kiedy poczucie naszego indywidualnego „ja” wzrosło), sprowadzając je do jego współczesnego sensu. Jak w greckim darze dla Troi, jest to ukryta cena, nałożona przez naturę na naszą dwudziestowieczną świadomość i obsesję naszego „ja”. Gatunek nie może wypełniać ilościowo swej życiowej przestrzeni do absurda nadmiaru, a przy tym nadal wychwalać w jednostce nadmiar, krańcowość, brak przeciętności. Kiedy nadmiar staje się synonimem powodzenia, społeczeństwo jest skazane na zagładę.

Doszedłem do wniosku, że wszelkie ustalone religie są, ogólnie biorąc, najlepszym przykładem form stworzonych, by wyjść naprzeciw nie istniejącym już warunkom. Gdyby mnie spytano, co współczesny i przyszły świat mógłby bez szkody stracić albo wyrzucić za burtę dla własnego dobra, nie wahałbym się odpowiedzieć:

wszystkie ustalone religie. Jednak nie neguję, że w przeszłości musiały one istnieć. Najmniej ze wszystkiego neguję (cóż innego może uczynić powieściopisarz) ten etap lub okres, kiedy się tworzyły, niezależnie od tego, jak ślepe, zwiotczałe i ograniczone stały się później, w każdym razie ich szkielet musi być zniszczony albo co najmniej zaadaptowany do wymogów nowego świata. Staliśmy się teraz zbyt mądrzy, żeby zmieniać, zbyt samolubni i zbyt różnorodni, zbyt zdominowani przez diabelskie wielkie „ja” wedle terminologii shakerów, zbyt samotyranizujący się, zbyt oddani własnym wygodom, zbyt zmęczeni, zbyt obojętni wobec bliźnich, zbyt przestraszeni.

Nie oplakuję zewnętrznej formy, ale utraconego ducha, odwagi oraz wyobraźni słowa matki Anny Lee, jej logosu, jego załączka prawie boskości – owej tytułowej larwy.